

PETER R. DE VRIES



**PORWANIE
HEINEKENA**

**Kulisy uprowadzenia
króla piwa**

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Proces

Epilog

Podziękowania

PETER R. DE VRIES

**PORWANIE
HEINEKENA**

Z niderlandzkiego przetłóżyły
Krystyna van Eggermond-Krupa
Małgorzata Woźniak-Diederer


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
De ontvoering van Alfred Heineken

Wydawca
Magdalena Hildebrand

Redaktor prowadzący
Tomasz Jendryczko

Redakcja
Zuzanna Henel

Korekta
Marzenna Kłos
Dorota Wojciechowska

De ontvoering van Alfred Heineken © 1987/2007/2013 by Uitgeverij De Fontein/Peter R. de Vries

Originally published by Uitgeverij De Fontein, Utrecht
Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Diederer-Woźniak, 2015
Copyright © for the Polish translation by Krystyna van Eggermond-Krupa, 2015

Świat Książki
Warszawa 2015

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Laguna

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-073-5

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Mojemu niezapomnianemu przyjacielowi
Robbiemu Offenbergowi
Cor van Hout – 1987

*Któż z nas nie wie, że cesarze, królowie i książęta są potomkami
przestępców i że ich bogactwa oraz władza opierają się
na dobrach zdobytych w nieprawy sposób...?*

(Papież Grzegorz VII, podczas ekskomuniki króla Henryka IV)

CORNELIS VAN HOUT

Urodzony 18 sierpnia 1957 roku w Amsterdamie. Podczas uprowadzenia mieszkał przy Staalmeesterslaan 7 w Amsterdamie, razem z Sonją Holleeder, młodszą siostrą wspólnika porwania Willema Holleedera. Miał wtedy jedno dziecko. Używał pseudonimu Flip (Flipper). Jest narratorem tej książki. W 1987 roku skazano go na jedenaście lat pozbawienia wolności. Został zamordowany w Amstelveen 24 stycznia 2003 roku.

WILLEM HOLLEEDER

Urodzony 29 maja 1958 roku w Amsterdamie. Podczas uprowadzenia mieszkał przy Staalmeesterslaan 348 w Amsterdamie. Nieżonaty. Używał pseudonimu Nos (Neus). W 1987 roku skazano go na jedenaście lat pozbawienia wolności.

FRANS MEIJER

Urodzony 16 maja 1953 roku w Amsterdamie. Podczas uprowadzenia mieszkał przy Eikenlaan 7 i Den Helder Bestevaerstraat 15 w Amsterdamie. Miał żonę i czworo dzieci. Używał pseudonimu Jeż (Stekel). W 1985 roku skazano go zaocznie na dwanaście lat więzienia.

JAN BOELLAARD

Urodzony 23 października 1952 roku w Amsterdamie. Podczas uprowadzenia mieszkał przy Dillenburg 15 w Zwanenburgu. Miał żonę

i dwoje dzieci. Używał pseudonimu Kot (Poes). W 1984 roku skazano go na dwanaście lat pozbawienia wolności.

MARTIN ERKAMPS

Urodzony 27 kwietnia 1963 roku w Amsterdamie. Podczas uprowadzenia mieszkał przy Hoofdweg 453 w Amsterdamie. Nieżonaty. Używał pseudonimu Hamulec (Rem). Był przyrodnim bratem Cornelisa van Houta. W 1984 roku skazano go na dziewięć lat więzienia. W 1985 roku po odwołaniu zmniejszono karę do ośmiu lat.

Rozdział 1

Rok 1981 dobiegał końca. Szampan od południa chłodził się w lodówce. Trzy butelki dom pérignon, po jednej dla każdego. Jeszcze nie wiedziałem, czy je wypijemy, ale nie o to chodziło. Zawsze należałem do typów zapobiegliwych: strzeżonego Pan Bóg strzeże. Najchętniej dołożyłbym jeszcze jedną butelkę, liczyłem bowiem na to, że pojawi się również Jan Boellaard, ale niestety, po raz pierwszy od piętnastu lat zawiódł nas w ten sylwestrowy wieczór. Zadzwoił do mnie po południu ze Stanów z wiadomością, że tym razem nie możemy na niego liczyć. Za dziesięć dwunasta, czyli w porze naszego tradycyjnego spotkania, będzie siedział w samolocie wracającym do Holandii. Święta spędził wraz z żoną i kilkorgiem znajomych na Florydzie. Nie miał zamiaru opuścić naszego sylwestra i z żalem w głosie tłumaczył się przez telefon, że się pomylił i bardzo przeprasza.

Zirytowałem się, coś takiego jeszcze się nigdy nie zdarzyło, fatalna wiadomość. Nawet nie starałem się ukryć rozczarowania i powiedziałem Janowi, że nie będzie go w kluczowym momencie, takim, w którym nie powinno go zabraknąć.

Po drugiej stronie oceanu, Boellie, jak go często nazywaliśmy, zareagował zgryźliwie.

– Cor, posłuchaj, możesz się na mnie wyładowywać, ale nie jestem w stanie dotrzeć na czas! Nawet gdybym bardzo chciał!... Samolot wcześniej nie odleci. Co, może mam go porwać? – zapytał poirytowanym głosem.

Roześmiałem się i zripostowałem:

– Gdybyś wiedział, o co chodzi, to wiem, że byłbyś do tego zdolny. Ale dobrze, przyjacielu. Nic się nie da zrobić. Powiedz, czy wieczorem mogę

liczyć na twój głos...

Tym pytaniem wzbudziłem natychmiast ciekawość Boellaarda, czułem to. Wiedział, że jeżeli wieczorem będzie głosowanie, to poruszane będą ważne sprawy.

– Oczywiście, Cor, słuchaj, a nie mogłbyś już teraz uchylić rąbka tajemnicy? – starał się jeszcze dowiedzieć czegoś więcej.

Odpowiedziałem mu, że nie możemy rozmawiać o tym przez telefon i żeby dał znać, jak będzie w domu. Wtedy wszystkiego się dowie. Jan obiecał na zgodę, że zamówi w samolocie butelkę szampana i dokładnie o godzinie dwunastej wypije za nasze zdrowie i przyszłość. W ten sposób przynajmniej myślami będzie z nami.

W blasku mijanych lamp na obwodnicy Amsterdamu spojrzałem na zegarek, była za kwadrans dwunasta. Ułamek sekundy później nacisnąłem lekko pedał gazu i sportowy mercedes 450 z pięciolitrowym silnikiem przyśpieszył natychmiast. Wskazówka szybkościomierza skoczyła nagle z osiemdziesięciu na sto czterdzieści kilometrów na godzinę. Przymiotnik „sportowy” nie znajdował się w nazwie bez powodu. O tej porze nie musiałem się obawiać mandatu. Na drodze nie było prawie nikogo, a już na pewno nie było policji. Zdałem sobie sprawę, że muszę się spieszyć, inaczej nie dotrę na czas. Dodałem gazu...

Właściwie co roku miałem ten sam problem. Do wpół do dwunastej byłem na imprezie u rodziny mojej ówczesnej partnerki Anneke van der Bijl. I chociaż od lat wszyscy wiedzieli, że przed północą muszę już wyjść, jak zwykle i tym razem wywołało to niesnaski. Używano wszelkich sposobów, żeby mnie zatrzymać:

– No co, Cor, nie bądź taki nietowarzyski, zostań jeszcze... chociaż kwadrans.

Robili to z sympatii, ale bezskutecznie. Było to bardziej rytualne pożegnanie niż poważne zamierzenie. Sami też o tym wiedzieli. Powitanie nowego roku obchodziłem tradycyjnie z moimi starymi kumplami i nikim więcej. Najczęściej w sekretnym miejscu, bez kobiet, rodziców i obcych. Po prostu my czterej: Frans Meijer, Jan Boellaard, Wim Holleeder i ja. Znaczyło to dla nas bardzo wiele.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że sylwestra uważaliśmy za najważniejszy dzień roku. Podsumowaliśmy wtedy przeszłość i robiliśmy plany na przyszłość. Pieczętowaliśmy naszą bliską przyjaźń na kolejny rok. Dlatego szkoda, że Boellie nie mógł być z nami. Kilkaset metrów przede mną na ciemnym niebie rozbłysły dwa fajerwerki. Spojrzałem odruchowo na zegarek, dochodziła północ. Tak jak w zeszłym roku, mieliśmy się spotkać w budynku przy Van Hallstraat w amsterdamskiej dzielnicy Oud-West. Boellaard mieszkał tam, zanim przeprowadził się do Zwanenburga. Odtąd zajmowała je często Sonja, młodsza siostra Willema Holleedera. Przy takich okazjach korzystaliśmy z tego lokalu. Mieszkanie było urządzone: miało lodówkę, telewizor i telefon. Zaszywaliśmy się w nim, nie wyjeżdżając daleko. Lubiłem je, bo znajdowało się blisko dzielnicy, w której wyrosłem: Van Beuningenstraat. Typowa amsterdamska dzielnica robotnicza. Jan, Frans i Willem też stąd pochodzili.

Apartament pod numerem 99 mieścił się na pierwszym piętrze. Pod nim znajdowała się kwiaciarnia o pięknej nazwie Het Groene Paradijs (Zielony Raj). Kiedy mieliśmy na myśli to mieszkanie, mówiliśmy zazwyczaj: „Do zobaczenia za chwilę, w Raju...”. Tamtego sylwestra przyjechałem na Van Hallstraat ostatni. Czerwony saab turbo Willema Holleedera już stał zaparkowany, zajmując połowę chodnika przed drzwiami wejściowymi do budynku, a po drugiej stronie ulicy dostrzegłem brązowego mercedesa Fransa Meijera. Na pierwszym piętrze paliło się światło.

Wszedłem szybko po schodach na górę. Drzwi były otwarte, Frans z Willemem siedzieli, a raczej leżeli, rozparci na fotelach, czekając na mnie.

– A, dobrze, że raczyłeś przyjść... – próbował mi dociąć Frans. – Już cię prawie spisaliśmy na straty.

W geście powitania uniosłem dłoń do Willema i odpowiedziałem, nawiązując do słów Fransa:

– Ile razy mam powtarzać, że szefowi wolno więcej?...

Willem włożył już dwie butelki szampana do wiaderka z lodem i od razu mogłem opaść na ostatni wolny fotel, żeby patrzeć, jak na zegarze telewizyjnym upływają ostatnie sekundy 1981 roku. Zaczęliśmy opowiadać, co każdy z nas robił tego wieczoru. Dało się zauważyć, że choć wszyscy trzej

bawiliśmy się przyjemnie, to jesteśmy szczęśliwi, będąc znowu razem.

Kiedy zegar wybił dwunastą i na zewnątrz słychać było fajerwerki, wznieśliśmy na stojąco toast za nowy rok.

– Za tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi... i za Boelliego, który teraz naprawdę siedzi bliżej raj... – zażartowałem, mając na myśli jego podróż samolotem.

Zadźwięczały kryształowe kieliszki. Wypiliśmy porządny łyk bąbelkowego napoju, a potem jeszcze jeden.

Tak wyglądała nieoficjalna część ceremonii, potem nastąpiła część oficjalna. Powiedzmy, ważne sprawy. Od lat panował zwyczaj, że po wybiciu dwunastej każdy z nas wygłaszał niedługie przemówienie, w którym określaliśmy swoje życzenia, oczekiwania i plany na nadchodzący rok, oraz wracaliśmy do najlepszych i najgorszych momentów minionego. Staraliśmy się dobrze je przygotować. Kiedyś przeczytałem, że mafia tak robi, spodobało nam się i też wprowadziliśmy ten zwyczaj.

Nigdy nie umawialiśmy się, kto zaczyna, ale po wyrazie oczekiwania na twarzach Wima i Fransa widziałem, że zakładali, iż ja pierwszy mam ugryźć temat. Nawet mi to pasowało. Miałem sporo do opowiedzenia i długo rozmyślałem nad tą przemową. Nie chciałem mówić o byle czym. Mój temat mógł zadecydować o całej naszej przyszłości. Nie tylko o 1982 roku, ale też i następnych latach. Miało to być przemówienie przez duże P. Nigdy nie byłem dobrym mówcą, ale przy Fransie i Willemie nie miało to znaczenia. Nie chodziło o sformułowania ani sposób wypowiedzi. Znaliśmy się dostatecznie długo, żeby rozumieć się w pół słowa, wystarczyło jedno spojrzenie. Zacząłem więc, zgodnie ze zwyczajem, na stojąco przy stole, na którym stało wiaderko z szampanem.

– Słuchajcie, przyjaciele. Chcę z wami dzisiaj coś omówić i przedstawić pewną propozycję. Chodzi o biznes, ale biznes, który nie ma nic wspólnego z tym, co robiliśmy do tej pory...

Zamilkłem na chwilę i popatrzyłem na Willema i Fransa, żeby przekonać się, czy mnie słuchają. Słuchali. Ciągnąłem dalej:

– W ostatnich lat robiliśmy razem interesy i czasami udało nam się zarobić niezłe pieniądze. Jeździmy dobrymi samochodami, mamy grube

portfele, fundujemy sobie luksusowe wakacje i możemy stawiać kolejki w knajpach. Na pozór niczego nam nie brakuje. Mimo to, nie wiem, czy się ze mną zgodzicie, jeśli dobrze pomyśleć – a tak zrobiłem – to uważam, że trochę chałturzymy. Bo jak sytuacja faktycznie wygląda? Wykupiliśmy wszystkie nieruchomości na kilku ulicach. Brzmi fajnie, ale czy naprawdę tak jest? Właściwie nie, bo wszystkie są obciążone hipoteką. Banki robią trudności, urząd skarbowy również. Mieszkania wymagają remontów, najemcy wiszą codziennie na telefonach i narzekają, do innych się włamują i zakładają squaty, rynek się załamuje, oprocentowanie jest wysokie. Właściwie to ciąg nieszczęść. Nędzny dochód. Jeszcze trochę i trzeba będzie dokładać do interesu. Co się wtedy stanie, nie muszę wam mówić. Powiedzcie sami: Mam rację czy nie?

Nikt nie zaprotestował. Willem i Frans przytaknęli skinieniem głowy. Nie powiedziałem im niczego nowego. Rozumieli, że to jedynie wstęp do właściwej części. Mieli rację, więc kontynuowałem:

– Stolarsnia już nie działa tak jak przedtem, trzeba do niej dokładać. Zleceń prawie nie ma. Biznes powoli się kończy. Przedsiębiorstwo budowlane już zbankrutowało. Krótko mówiąc: zastanawiam się, co my właściwie robimy? To nie jest dobry kierunek. Chyba że gotowi jesteśmy zrezygnować ze wszystkiego w niedługim czasie: samochody sprzedać, konie wycofać z wyścigów, jachty wydobyć z wody, i żyć ze stałej pensji kilku tysięcy guldenów miesięcznie zamiast z wypchanych portfeli, które mamy teraz. Wszystko stracić! Czy tego chcemy? Możemy? No, ja w każdym razie nie, od razu to mówię. Już wolę umrzeć. Uważam, że nadszedł odpowiedni moment, żeby powziąć poważną decyzję, zagrać *va banque*. Przygotować plan, który za jednym zamachem rozwiąże wszystkie nasze problemy. Na zawsze. Naprawdę na zawsze...

Poczekalem, żeby mieli czas przetrwać ostatnie słowa, i łyknąłem bąbelkowego napoju. Nikt nic nie powiedział. Spojrzeli na mnie uważnie.

– Okej, mam przejść do rzeczy? Już to robię. W przeszłości rozmawialiśmy wielokrotnie o porwaniu. Rozważaliśmy plusy i minusy. Przygotowywaliśmy plan, a nawet byliśmy bliscy jego wykonania. Operacja „Rolls-Royce”... pamiętacie jeszcze? Z wielu przyczyn nic z tego nie wyszło

i zajęliśmy się zwykłą pracą: nieruchomościami, stolarnią. Ale ten pomysł nigdy mnie nie opuścił i jestem dalej przekonany, że potrafimy go zrealizować. Proponuję, żeby tym razem nie skończyło się na gadaniu. Popracujemy poważnie, zorganizujemy porwanie i wykonamy plan. Tym sposobem urządzimy się za jednym zamachem. Przyjaciele... pomyślałem, że trzeba to zrobić w tym roku...

Frans Meijer popatrzył na mnie w zamyśleniu. Na jego twarzy pojawił się słaby, niezdecydowany uśmiech, jakby potrzebował czasu do przyswojenia sobie tej wiadomości. Ze względu na jego roztargniony sposób reagowania nazywaliśmy go czasem Profesorem. Willem Holleeder skinął prawie niewidocznie głową. Dla niego ta historia nie była niespodzianką. Przez ostatnie tygodnie często rozmawiałem z nim w samochodzie o przestępstwach, a szczególnie o uprowadzeniach. Filozofowaliśmy na temat naszej niedosłej pierwszej próby. Rozmawialiśmy o ryzyku i najtrudniejszych elementach takiej akcji. O tym dlaczego wtedy nic z tego nie wyszło, chociaż włożyliśmy w przygotowania sporo trudu. Teraz zrozumiał, że te rozmowy nie były przypadkowe, przynajmniej z mojej strony.

Oto właśnie przyjemna strona przyjaźni – bezwarunkowe zaufanie do siebie. Nigdy nie musieliśmy podkreślać, że coś jest tajemnicą. Śmiać mi się chce, kiedy słyszę, jak ludzie chcą coś powiedzieć, ale ostrzegają słuchacza, że nie może tego powtarzać. Dla mnie to dowód, że nie mają przed sobą przyjaciela. Podobnie tamtego sylwestrowego wieczoru nie musiałem tłumaczyć Fransowi i Willemowi, czy mówię poważnie, czy sobie żartuję. Podniosłem kieliszek i spojrzałem na nich.

– Zgadza się? – zapytałem tylko. Frans i Willem zareagowali od razu i stuknęli się ze mną kieliszkami.

– Tak jest! – odpowiedzieli prawie jednocześnie. To wystarczyło. Propozycja została przyjęta.

Z przemówień Willema i Fransa nic tego wieczoru nie wyszło. Pochłonał nas plan, który przedstawiłem, i on zdominował całe spotkanie. Porwanie było przecież poważnym przedsięwzięciem. Wszyscy trzej byliśmy tym trochę podekscytowani. Rozmawialiśmy przez pół godziny. Akcja w 1982

roku... organizacja... ofiara... pieniądze. Poruszyliśmy kilka spraw, nie poświęcając żadnej więcej niż kilka minut. W tym momencie nie było takiej potrzeby. Zanim się zorientowaliśmy, napoczęliśmy trzecią butelkę Dom Pérignon.

– Kiedy zaczynamy? – zapytał Frans, jakby nie mógł się doczekać. Willem, który reagował zawsze z rozmysłem, chciał wiedzieć, czy Boellie też w to wchodzi.

– Z Kotem nie ma problemu, mam jego głos – odpowiedziałem. – Zgadza się... Tylko planu jeszcze nie zna.

Boellaarda nazywaliśmy między sobą Kot. Kiedy słuchał, przechylał zawsze nieco głowę, a gdy byliśmy czymś zajęci, łąził za nami jak ciekawski zwierzak. Lubilem pseudonimy. Są typowe dla robotniczych dzielnic Amsterdamu, a także dla podziemia kryminalnego. W każdym razie stopniowo wymyśliłem ksywki dla wszystkich moich przyjaciół, które potem stały się popularne. Jan Boellaard był więc Kotem, Willema Holleedera nazywaliśmy Nosem, z powodu – naszym zdaniem – pokaźnego organu węchowego, jakim dysponował. Frans Meijer miał swego czasu krótko ostrzyżone włosy, więc dostał ksywkę Jeż, ale niekiedy, jak już wspomniałem, bywał Profesorem. Mojego młodszego brata zawsze przezywałem Hamulec, bo wszystko hamował, wstrzymywał różne działania, często pracował powoli, bez przekonania. Mnie przyjaciele nazywali Flipperem albo Flipem, dlatego że wiecznie stałem przy automatach do gier. Ksywka nie zawsze schlebia, ale wyjaśnia, ilustruje osobowość, a przede wszystkim jest wygodna. O to mi właściwie chodziło.

Gdzieś o wpół do drugiej w nocy zakończyłem spotkanie, mówiąc, że nie musimy omawiać całej sprawy teraz i że nasze rodziny czekają, aż wrócimy. Zamknęliśmy Raj i zeszliśmy razem na dół. Kiedy otwierałem drzwi swojego mercedesa, Willem zawołał:

– Cor! – Odwróciłem głowę, ale on tylko podniósł kciuk. To wystarczyło. Usiadłem za kierownicą, nacisnąłem jeszcze klakson i odjechałem. Umówiłem się z rodzicami w Amsterdamie Północnym. Cała rodzina miała się tam spotkać. Po drodze ogarnęło mnie dziwne uczucie. Czułem mrowienie w całym ciele. Czy to od szampana? Prawdopodobnie nie.

Miałem przeczucie, że umówiliśmy się tego wieczoru na coś konkretnego, nie byliśmy cieniasami. Rok 1982 zapowiadał się ciekawie...

Rozdział 2

Chociaż ze wspomnianej w noworocznym przemówieniu operacji „Rolls-Royce” nic nie wyszło, nie była to swego czasu czcza gadanina. Mówiliśmy o „poważnej robocie”. Zarówno, jeśli chodziło o osoby, które mieliśmy na oku, jak i pieniądze.

Oczywiście tak poważnego przestępstwa nie popełnia się ad hoc, jakby to wynikało z tych kilku napisanych zdań. Przeciwnie, taką decyzję trzeba przemyśleć z każdej strony. Właściwie to uważam, że na jej podjęcie ma wpływ całe życie. Kiedy i gdzie się ktoś urodził, kim jest, z kim się zadaje, kogo spotyka, co robi, a czego nie robi. Cały zespół czynników, które w końcu określają, czy ktoś jest za, czy przeciw, i może najważniejsze – czy nadaje się do tego. To jednak coś innego niż kradzież w sklepie czy włamanie do stołówki klubu piłkarskiego. Jest mnóstwo spraw dodatkowych. Nie tylko trzeba wymyślić plan, ale również go wykonać, na czym większość projektów się załamuje. Teoria i praktyka nie zawsze idą ze sobą w parze. Sztuką jest połączyć je ze sobą.

Uprowadzenie zawsze mnie fascynowało. Od młodości. Czytałem wszystko, co można było na ten temat znaleźć. Od nierzeczywistych historii z komiksów, po ekscytujące kryminały. Nie mówiąc już o gazetach, w których czasami opisywano zagraniczne porwania. Nie przeoczyłem żadnego filmu w telewizji i w kinie. Najchętniej oglądałem je po dwa razy. Ciekawe, że podobne zainteresowania wykazywał mój kumpel Frans Meijer, z którym zadawałem się od trzynastego roku życia. Jeśli o to chodzi, „nadawaliśmy na tych samych falach”. Tym bardziej dziwne, że uprowadzenie było do tamtego momentu nieznanym fenomenem w naszym kraju. Takie rzeczy działy się tylko za granicą.

Przypominam sobie pierwszy raz, kiedy rozmawialiśmy poważnie na ten

temat. Był ciepły, letni wieczór i spacerowaliśmy z psami po pustym terenie w Amsterdamie Zachodnim, tam gdzie wyrósł teraz dworzec Sloterdijk. Miałem chyba ze czternaście lat, a Frans skończył wtedy osiemnaście. Chodziliśmy jeszcze do szkoły. Pamiętam, że utrzymywałem, iż napad na bank jest łatwiejszy, a ryzyko mniejsze. Napad to zdarzenie typu hit-and-run (uderz i zwiewaj), ręce do góry, zabrać pieniądze i uciekać. Kidnapping składa się z kilku etapów: porwanie ofiary, przewiezienie do kryjówki, kontakt z negocjatorami, i *last but not least* otrzymanie okupu. Trzeba stanąć oko w oko z policją, bo ona nie zostawi cię w spokoju.

Reakcja Fransa już wtedy pokazała, że częściej o tym myślał. Powiedział:

– To prawda, ale z drugiej strony przy napadzie nigdy nie wiadomo, jaki będzie łup. Przy uprowadzeniu można samemu ustalić wysokość okupu. Podejmuje się raz duże ryzyko, ale jeśli się uda, można wygrać wiele za jednym zamachem. Napadów potrzeba przynajmniej z dziesięć, żeby się urządzić. Czyli dziesięć razy podejmować ryzyko bycia złapanym...

W ten sposób odbywały się nasze rozmowy. Filozofowaliśmy trochę, interesowały nas szczegóły, wysilaliśmy mózgi, żeby wychwycić słabe punkty jakiegoś planu. Wtedy nie przyszło nam do głowy, że sami kiedyś się tym zajmujemy. Myślę, że bardzo powoli dojrzewaliśmy do decyzji.

Patrząc wstecz, nasze rozmowy sięgały głębiej. Interesowały nas aspekty „techniczne” porwania. Konsultowaliśmy, co można, a czego nie wolno robić. Wtedy skończyło się na gadaniu. Nie widziałem w tym nic złego, tym bardziej że wszyscy przyjaciele myśleli podobnie. Zresztą, który chłopak w tym wieku nie puszcza czasem wodzy fantazji?

Temat po latach na nowo wzbudził wiele emocji, kiedy pod koniec 1977 roku z amsterdamskiego placu Profesora Tulpa wprowadzono potentata na rynku nieruchomości Mauritsa Caransę. Właściwie było to pierwsze porwanie dla okupu w Holandii, śledziłem na bieżąco wszystkie wydarzenia. Działo się to naprawdę blisko mnie. Rzeczywistość, nie fikcja. Codziennie kupowałem gazety i czytałem wszystkie wiadomości na ten temat, podobnie jak Frans Meijer i Jan Boellaard. Już wtedy przyjaźniłem się z Willemem Holleederem, ale nie tak blisko jak później. Sprawa Caransy sprawiła, że rozmowa o „naszym porwaniu” wróciła.

– Widzisz, Jez, może się udać – zagadnąłem Fransa Meijera. – I zapamiętaj moje słowa, jeśli to się uda, porwań będzie więcej...

Myślałem o Włoszech, gdzie uprowadzenia stały się częścią normalnego życia. Czytałem, że czasami dochodziło tam do dwóch, trzech porwań w tym samym czasie.

Przypadek sprawił, że podczas uprowadzenia Caransy nasza firma Epan zajmowała się w Vinkeveen remontem domu jego jugosłowiańskiego zięcia. Mieliśmy wymienić kilka futryn i tym samym byliśmy blisko sprawy, przynajmniej w naszym pojęciu. Pomyślałem wtedy nawet, że ten zięć ma coś wspólnego z porwaniem, że to jest jakaś fiskalna sztuczka. Potem dowiedziałem się, że detektyw sądził początkowo podobnie, ale odstąpił od tej teorii.

Rozmawiając dużo na ten temat w trakcie całego wydarzenia i po nim, doszliśmy do wspólnej konkluzji, że uprowadzenie Caransy było drobną sprawą, chociaż dobrze przygotowaną. Sprawcy dostali po czterech dniach negocjacji dziesięć milionów guldenów w banknotach po tysiąc i wypuścili biznesmena. Z zeznań Caransy przytoczonych w gazetach można było wywnioskować, że brało w nim udział przynajmniej czworo, może nawet pięcioro ludzi. Musieli się podzielić okupem, a wtedy, naszym zdaniem, niewiele przypadało na jednego. A trzeba jeszcze dorzucić do rachunku poniesione koszty i czas włożony w przygotowanie porwania. Dziesięć milionów nie było warte takiego ryzyka.

– Jeśli zdecydujemy się na coś takiego, to trzeba zrobić to raz, a dobrze. Duże uderzenie za jednym zamachem – przekonywał Frans.

Przez następne miesiące powoli dojrzewaliśmy do tego, żeby spróbować czegoś podobnego. Właściwie pomysł był szalony. Usiłowałem później zrekonstruować moment, kiedy przekroczyliśmy granicę między zwykłym gadaniem a poważnymi przygotowaniem. Nie można było jej dokładnie określić. Odbyło się to niemal niepostrzeżenie, a my brnęliśmy dalej. Wydaje mi się, że moment, w którym przygotowania zaczęły kosztować i musieliśmy wyłożyć pieniądze na stół, był pod tym względem ważny. W ten sposób stało się jasne, że porwanie przestało być tylko rozrywką umysłową.

Z perspektywy czasu uważam, że istotną rolę odgrywało przekonanie, iż

jesteśmy zdolni do popełnienia tego przestępstwa, chociaż faktycznie nie opierało się ono na niczym. Może na naszej pewności siebie, ale co można za to kupić? Ile mieliśmy wtedy lat? Szpanerzy z Amsterdamu dobiegający dwudziestki... No dobrze, ta pewność siebie była jeszcze wzmocniona faktem, że porywaczom Caransy udawało się przez następne miesiące wymykać z rąk policji.

W latach 1978–1979 Meijer, Boellie i ja byliśmy właścicielami firmy budowlanej w Amsterdamie i mieliśmy warsztat stolarski położony w ustronnym miejscu w Westelijk Havengebied (zachodniej dzielnicy portowej). Na tym terenie znajdowały się firmy rozbiórkowe i składy złomu, gdzie cały czas słychać było jakieś dźwięki. Teren nosił nazwę Heining, my zajmowaliśmy działki nr 25 i 49. Stał tam budynek biurowy i kilka baraków. Zawsze nazywaliśmy ten warsztat pracy „Het Honk” – „Dziupła” i często się w niej spotykaliśmy.

Tam, między trocinami i papierem ściernym, ułożyliśmy pierwszy scenariusz naszego porwania. Początkowo trochę ze śmiechem i tylko teoretycznie, ale stopniowo plan był coraz poważniejszy, bardziej rzeczywisty. Tak jak wtedy, kiedy miałem czternaście lat, spacerowałem teraz często z Fransem i Boelliem po surowym terenie dzielnicy portowej i dyskutowaliśmy o porwaniu, *naszym* porwaniu. Zmieniły się czasy, ludzie i my też. Nie byliśmy już uczniakami, a plany nie były tylko chłopięcą fantazją.

Ówczesne pytanie, czy damy radę, nie było już ważne. To była przeszłość. Teraz próbowaliśmy znaleźć odpowiedzi na pytania: Jak to zrobić? Kto ma być ofiarą? Zanim się obejrzeliśmy, zajmowaliśmy się prawdziwymi przygotowaniem, budowaliśmy „rusztowanie” planu uprowadzenia znanego Holendra, używając terminologii naszej firmy.

Ustaliliśmy kilka założeń. Po pierwsze, porwanie miało pomóc nam urządzić się na całe życie, oczywiście na wolności, a nie w więzieniu. Poza tym ofiara musiała być osobą, za którą zapłacono by hojnie i od razu, nawet gdyby chodziło o wiele większą sumę pieniędzy niż za Caransę.

W ten sposób powoli rodził się plan operacji „Rolls-Royce”, który odpowiadał powyższym założeniom. Nazwę zapożyczyliśmy od marki

angielskiego samochodu, symbolu bogactwa i technicznej doskonałości. Ale właściwie niewiele miała z tym wspólnego poza tym, że dobrze określała nasze aspiracje. W gruncie rzeczy chodziło o dwie litery RR. Kiedy rozmawialiśmy między sobą o rolls-roysie, to mieliśmy na myśli: *rich ransom*, dosłownie hojny okup, a w wolnym tłumaczeniu: mnóstwo forsy...

Nie określiliśmy na razie, przez kogo czy też raczej za kogo okup miał być zapłacony. Nazwisko mogliśmy uzupełnić później, uważaliśmy, że nie stanowi to szczególnego problemu. Nasze myśli krążyły wokół takich osób jak: Brenninkmeijers z koncernu odzieżowego C&A, Vroom i Dreesmann, właściciele sieci domów towarowych, czy ktoś z rodziny Fentener van Vlissingen – uważanej za najbogatszą w Holandii, ewentualnie jakaś osoba z zarządu Philipsa, Shella czy Unilevera. Wybór był bogaty. Po chwili namysłu można było przygotować całą listę miliarderów. Nie o to chodziło. Porwanie niosło ze sobą rozmaite problemy, które trzeba było najpierw rozwiązać. I uważaliśmy, że wyłonienie nazwisk i ustalenie ich kolejności na liście ma sens dopiero potem. Woleliśmy najpierw ułożyć porządną listę, który wykluczy albo rozwiąże wszystkie możliwe problemy techniczne. Za wszelką cenę należało bowiem uniknąć sytuacji, kiedy podczas porwania zaskoczą nas trudności, na które nie będziemy przygotowani. Ponieważ wtedy trzeba improwizować, działać pod presją, a to nieuchronnie prowadzi do fatalnych błędów i pomyłek. Nie, bez idealnego planu rozpoczęcie operacji „Rolls-Royce” nie miało żadnego sensu. Szybko zgodziliśmy się co do tych założeń.

Jedną z pierwszych kwestii, nad jaką się zastanawialiśmy, była wysokość okupu. O to przecież chodziło. Kwota, jaką wyłożono za Caransę, była marna. Niewarta ryzyka. To lepiej już siedzieć bezpiecznie przed kominkiem. Jeśli mieliśmy ruszyć z tą akcją, powinniśmy zażądać dużo więcej. Nie chcieliśmy zawczasu ustalać, ile dokładnie, bo to zależało oczywiście od tego, kogo porwiemy i jak powiodą się nam negocjacje. Określiliśmy jedynie, że powinna wynosić gdzieś między trzydzieści a siedemdziesiąt pięć milionów guldenów, żeby wystarczyło na luksusowe i satysfakcjonujące życie. No cóż, od czasów porwania Mauritsa Caransy wszystko podrożało. Jako pierwszy porwany w naszym kraju wymigał się

dość tanio. Byliśmy przekonani, że kwota trzydziestu, czterdziestu czy pięćdziesięciu milionów guldenów za wymienionych wyżej miliardów holenderskich może zostać zapłacona. I to szybko. W gotówce, złocie i diamentach – to był drugi punkt, co do którego szybko się zgodziliśmy.

Tak, to był naprawdę *rich ransom*. Pod każdym względem.

Kiedy już razem ustaliliśmy stawkę, zabraliśmy się do konkretnej roboty. Łatwo było powiedzieć, że porwanie ma przynieść od trzydziestu do siedemdziesięciu pięciu milionów guldenów, ale trudniej sprawić, by tak się stało. Trzeba było zabrać się do pracy, przemyśleć każdy szczegół i konsekwencje jego wdrażania. Większość planów nie wychodzi, ponieważ nie są dostatecznie dopracowane. Zorganizowanie przestępstwa było według nas bardziej kwestią kalkulacji, czasu, uwagi i żmudnej roboty niż sprytu. Chodziło po prostu o to, żeby nie robić błędów, których po głębszej analizie można było uniknąć.

Postrzegałem to jak grę w szachy. Trzeba skoncentrować się, wymyślić kilka ruchów do przodu, rozważyć, co może zrobić przeciwnik, przeanalizować słabe ogniwa i dopiero wtedy – na pewno nie wcześniej – przesunąć pionki. Bezbłędna praca nie jest utopią, jeśli poświęcić jej odpowiednią ilość czasu. Ale oczywiście nie bez powodu mówi się, że najprostsze rzeczy są najtrudniejsze.

Próbowałem zewsząd zbierać literaturę na ten temat, przede wszystkim zagraniczną. W Dziupli godzinami analizowaliśmy różne uprowadzenia na przykład potomka potentata naftowego Getty'ego czy córki amerykańskiego magnata prasowego Randolpha Hearsta albo barona Empaina, a w bibliotece czytaliśmy nawet o niesławnym porwaniu Lindbergh baby, dziecka światowej sławy pioniera lotnictwa.

Czerpaliśmy z tych lektur inspiracje, uczyliśmy się na błędach innych według zasady: lepiej ukraść dobry pomysł, niż wykonać swój kiepski... Utwierdzaliśmy się w przekonaniu, że uprowadzenie jest jednym z najtrudniejszych przestępstw i do tego czasochłonnym.

Jedno przynajmniej nie budziło wątpliwości, odpowiedź na pytanie, gdzie będziemy więzić naszą przyszłą ofiarę, padła błyskawicznie: w baraku na Heining, w naszej Dziupli, w dzielnicy Westelijk Havengebied. Pasowała

idealnie. Ustronne miejsce, trudne do znalezienia dla obcych i dobrze przez nas strzeżone. Lepszej kryjówki nie można było sobie wymarzyć.

Pytanie, na które znalezienie odpowiedzi zajęło nam znacznie więcej czasu, i według mnie było znacznie ważniejsze, brzmiało: w jaki sposób zainkasujemy okup bez zwracania uwagi? To była trudna i złożona sprawa, która przyprawiała nas o ból głowy. Rozważaliśmy dziesiątki możliwości, ale odkrywaliśmy w nich równie wiele słabości. Stwierdziliśmy na przykład, że kapitał kilkudziesięciu milionów guldenów w gotówce to góra pieniędzy trudna do ukrycia, nawet jeśli są to banknoty tysiącguldenowe. Nie da się ich przenieść w dyplomatce. Trzeba raczej zamówić firmę logistyczną, coś jak Van Gend & Loos. Z tego powodu zamierzaliśmy zażądać złota i diamentów. To uprościłoby znacznie transport skarbu.

Pamiętam jeszcze, że możliwe rozwiązanie problemu podsunęła nam przez czysty przypadek firma C&A, notabene przedsiębiorstwo odzieżowe, którego właściciele pretendowali do odegrania głównej roli w naszym porwaniu. Któregoś sobotniego popołudnia kupiłem w Amsterdamie kilka podkoszulków i zobaczyłem, że gotówka, jaką zapłaciłem, jest transportowana przez wewnętrzny system rur do kasy głównej. System wykorzystywał powietrze. Pieniądze zapakowane w specjalną kapsułę były po prostu wsysane. Widziałem to już dziesiątki razy. Ale tym razem stanąłem nagle jak wryty. Wyszeptałem do Fransa Meijera, który mi towarzyszył:

– Tsss... Jeżyk, popatrz... co o tym myślisz?

Mam pomysły, ale nie jestem silny od strony technicznej. To było zadanie odpowiednie dla Jana Boellaarda. Po przyjściu do domu poinformowałem Kota, co zobaczyliśmy, i zapytałem, czy potrafi zbudować coś takiego na większą skalę. Po chwili rozmowy stało się jasne, o co nam chodzi: o system długich, łatwych w montażu plastikowych rurek, które mogą wsysać coś z określonego punktu. Jeśli to by zadziałało, moglibyśmy przejąć okup może nawet z odległości pół kilometra. Nie musielibyśmy stać oko w oko z ludźmi, którzy go dostarczają, bo to był najslabszy i chyba najniebezpieczniejszy punkt całej akcji. W dniu przekazania pieniędzy mieliśmy zamontować tę instalację w umówionym miejscu i w ten sposób całkowicie zaskoczyć

policję. Po jakichś trzech tygodniach system był już na takim etapie, że mogliśmy rozpocząć próby na terenie Heining. Kot podłączył do rurek kompresor, żeby sprawdzić siłę ssania. Z nieco szerszych, wykonanych z PCV, zrobił kapsuły długości mniej więcej czterdziestu pięciu centymetrów. Wokół nich założył gumowe pierścienie, dzięki czemu system był szczelny, a siła ssania większa. Cała sieć przypominała kształtem i działaniem mniejszą konstrukcję z C&A. Z tym że nam nie chodziło o wydawanie reszty, jak w sklepie, ale o okup. Żeby urealnić sytuację i sprawdzić ciężar kapsuły wypchanej pieniędzmi, używaliśmy zamiast banknotów plików pociętego papieru gazetowego. Rezultat był zadowalający, ale nie byliśmy zachwyceni. System niby działał, ale rury kilka razy się zatkały, kapsuły docierały wolno i z problemami. Sprężarka trzęsła się i prychała jak stara lokomotywa. Mieliśmy wątpliwości, czy nadaje się do użytku. Kupa szmalu to oczywiście coś innego niż plik starych gazet. Poza tym przekazywanie pieniędzy nie mogło zabierać zbyt dużo czasu. Nie chodziło o to, żeby kilkoro ludzi całą noc upychało banknoty w kapsuły, dając policji czas na zbadanie, dokąd te rury prowadzą. Zdecydowaliśmy, że system należy udoskonalić. Może odległość, jaką założyliśmy, była za duża i trzeba ją skrócić albo użyć rury o większym przekroju, w których mogły się mieścić większe kapsuły. Boellie obiecał przetestować takie możliwości, a my tymczasem mieliśmy pomyśleć nad innymi rozwiązaniami problemu transferu pieniędzy. Wierzyłem, że znajdziemy jakieś wyjście. Byliśmy na dobrym tropie. Poza tym musieliśmy rozpocząć przygotowania w baraku na Heining, wybrać ofiarę, pomyśleć, gdzie i w jaki sposób najlepiej ją porwać. Ponadto należało powoli zinwentaryzować listę wszystkich niezbędnych przedmiotów, takich jak sprzęt do łączności, wyposażenie kryjówki, samochody, narzędzia, przebrania, broń i tym podobne.

Mimo że takie sprawy uważałem za o wiele bardziej interesujące niż majsterkowanie z agregatami i łączenie rur rynnowych, z moich postanowień niewiele wyszło. Tak się złożyło, że właśnie wtedy przybyło mi zajęć w agencji nieruchomości i na kilku transakcjach nieźle zarobiłem. Okazało się, że mam niezwykle dobrą rękę do sprzedawania i kupowania nieruchomości na licytacjach. Bywały dni, że rano kupowałem dom,

a wieczorem sprzedawałem go z zyskiem dwudziestu tysięcy guldenów. Zanim się zorientowałem, stałem się poważnym właścicielem wielu nieruchomości w Amsterdamie i nie tylko.

W tym też czasie bowiem udało mi się kupić okazjnie ładne mieszkanie w hiszpańskiej miejscowości Fuengirola, dokąd chętnie jeździłem. Kilkoro przyjaciół mieszkało tam przez cały rok i ja, jak tylko mogłem, wyrywałem się do Hiszpanii. A od kiedy stałem się posiadaczem własnego lokum, frekwencja wyjazdów jeszcze się zwiększyła. W konsekwencji miałem o wiele mniej czasu na ciemne praktyki, o których początkowo myślałem. Czy to była opatrność?

To samo dotyczyło Fransa Meijera, z którym przeprowadziłem wiele udanych transakcji. Operacja „Rolls-Royce” trochę się zacięła. Kiedy mnie nie było, nic się nie działo, a kiedy wracałem, działo się niewiele więcej. Rozmawialiśmy jeszcze trochę o tym i zastanawialiśmy się nad różnymi rozwiązaniami. Kot informował nas czasem o nowych możliwościach technicznych, dzięki czemu ewentualny transfer pieniędzy byłby mniej ryzykowny i może szybszy, ale zapał wyraźnie się zmniejszył. Operacja „Rolls-Royce”, którą rozpoczęliśmy z takim entuzjazmem i energią, zesłała na razie na dalszy plan. Nie bardzo wiem, jak to się stało. Wydaje mi się, że handel nieruchomościami i mieszkanie w Hiszpanii były nie tyle przyczyną, ile wymówką, jakiej się uchwyciłem w tej sprawie. Może byliśmy wtedy za młodzi i nie mieliśmy odwagi na tak duży skok. Z jednej strony dobrze zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jakie problemy niesie ze sobą organizacja porwania, a z drugiej strony widocznie nie byliśmy gotowi, żeby to wszystko zrealizować.

Wymyślić coś to jedno, a wykonać to drugie... Mimo naszego głębokiego zainteresowania przestępstwami cała sprawa utkwiała w martwym punkcie. Niekiedy żartowaliśmy jeszcze na ten temat, ale to było wszystko. Jan Boellaard, który zarządzał stolarnią, mówił czasami:

– Wiesz co, Cor, jak tak dalej pójdzie z tymi nieruchomościami, to jeszcze sam zostaniesz Caransą... Ciebie porwiemy. Nie będziemy się musieli wcale wysilać. Umówimy się po prostu, kiedy masz się zameldować w pakamerze na Heining. Możesz zabrać jakąś przyjaciółkę...

Mimo że sam byłem winny rozsypania się planów, gdzieś w środku ogarniało mnie uczucie żalu, niezadowolenia. W wolnych chwilach często myślałem o całym przedsięwzięciu i niedoskonałościach naszego pomysłu. Czy potrafilibyśmy to wykonać? Czy jesteśmy na tyle odważni? Czy to wszystko jest blefem, jakąś głupią grą? Gdzie jest punkt zwrotny? Czy powinniśmy kontynuować plan? Pytania wracały do mnie przede wszystkim wtedy, kiedy na łamach finansowych gazet i czasopism pojawiały się nazwiska czołówki ludzi biznesu, których w myślach widziałem już pod muszką.

Z powodu niejasnych okoliczności zapał widocznie zgasł, ale w środku czułem, że nadejdą nowe czasy, że wystarczy dmuchnąć i rozżarzy się na nowo. Byłem młody. W życiu człowieka wiele się może zdarzyć.

Rozdział 3

Ledwie dorosłem, a już miałem zaawansowany plan porwania kogoś z czołówki biznesu i zarobienia trzydziestu–sie–demdziesięciu pięciu milionów guldenów. Dokąd mnie to zaprowadzi? Czasami o tym myślałem, bo chociaż pomysł nasunął się sam, nie wszystko było takie oczywiste. Wokół siebie widziałem dawnych kolegów ze szkoły i z dzielnicy, stawali się porządnymi głowami rodzin: domek–praca–żonka. Klasyczny przykład do naśladowania. Praca, najlepiej z jakimiś perspektywami, potem ślub, kilka lat później jedno lub dwoje dzieci i ładny dom z ogródkiem.

Uważałem, że to normalne, ale z drugiej strony wiedziałem, że nie należę do takich typów. Od początku chciałem od życia więcej niż tylko wypełnienia standardowej normy, którą ustalili inni. Była zbyt przewidywalna i nieciekawa. Nie znoszę uregulowanego życia, gdzie wszystko jest z góry ustalone. Myśl o utrzymywaniu się z miesięcznej pensji, z której trzeba płacić za mieszkanie, jedzenie i ubranie, była dla mnie nie do zniesienia. Trochę jak chodzenie w przyciasnym gorsecie. Byłem niespokojnym duchem. Pragnąłem od życia więcej niż inni i czego innego. Co to więcej i inaczej oznaczało, nie wiedziałem dokładnie. Z biegiem lat życie samo się po prostu wypełniało zdarzeniami. Czasami zastanawiałem się, dlaczego nigdy nie marzyłem o domu, pracy, żonie. A kopa dawały mi rzeczy nieprzeciętne, emocje, zmiany, sensacje i wyzwania. Czy byłem „nieprzeciętny”? Czy to były tylko moje złudzenia, którymi każdy z nas przecież żyje, także zwykły ojciec rodziny? Czy to już było „zapisane” w moim życiu? Nie wiedziałem. Może to kombinacja tych wszystkich czynników.

Frans Meijer zajmował się tymi problemami poważniej. Studiował książki religijne, czytał o reinkarnacji, parapsychologii i filozofii. Wiedział

naprawdę dużo i w niektórych momentach zaskakiwał nas niespodziewanymi wypowiedziami i poglądami. Śmiać nam się chciało z jego książkowych mądrości i języka, który widocznie się z tym wiązał, i mówiliśmy po prostu z nefalszowanym akcentem amsterdamskim: „Słuchajcie, profesor Mądraliński znowu się mądrzy...”.

Ale jedną wypowiedź Jezyka zapamiętałem. Mówił zawsze: „Wszystko w twoim życiu jest już określone. Określone od momentu urodzenia”. Uważałem, że to ciekawy pogląd, chociaż uczciwie mówiąc, czasami podejrzewałem Fransa, że takie mądrości serwuje w sytuacjach, które pasowały do jego punktu widzenia. Na przykład, gdy mieliśmy podjąć decyzję: robić coś czy nie. Tym sposobem próbował trochę uspokoić nasze sumienia. No bo przecież i tak wszystko było z góry określone... Wykonywaliśmy tylko to, co zostało nam przeznaczone ponad dwadzieścia lat temu w momencie naszych narodzin. Prawda czy nieprawda? Uważałem, że to ładnie brzmi, ale nie wiedziałem, czy mam w to wierzyć.

W każdym razie urodziłem się 18 sierpnia 1957 roku pod znakiem Lwa w Amsterdamie, na Van Beuningenstraat pod numerem 205. Małe mieszkanie w trochę podupadłej dzielnicy stolicy – Staatsliedenbuurt. Miałem dwóch braci i dwie siostry. Jeden brat i siostra byli moim przyrodnim rodzeństwem. Matka, gospodyni domowa, rozwiodła się z ojcem, właścicielem kawiarni, kiedy miałem jakieś dwa lata. Spotkałem go później, ale właściwie nie utrzymywałem z nim żadnego kontaktu. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Mój ojczym, Maarten Erkamps, był murarzem na budowie. Trochę czasu trwało, zanim nawiązaliśmy dobre relacje, ale było to spowodowane przede wszystkim tym, że jako chłopiec byłem nieznośny. Kiedy w pewnym momencie porozumieliśmy się, dalej było już dobrze i zawsze mogłem na niego liczyć. Nigdy nie odczuwałem, że jest moim ojczymem. Zawsze traktowałem jak prawdziwego ojca.

W podstawówce dawałem sobie niezłe radę. Chodziłem do szkoły Rochussenschool przy Van Hallstraat i byłem jednym z lepszych uczniów w klasie. Był to dla mnie szczęśliwy okres. Na teście końcowym miałem całkiem dobry wynik, siedemdziesiąt osiem punktów, z takim rezultatem mogłem iść do liceum. Tak się nie stało. W tamtych czasach tego typu szkoła

była dla lepiej sytuowanych, a poza tym liceum było za daleko. Dlatego poszedłem do MAVO^[1] przy Frederik Hendrikplantsoen w Amsterdamie. Tam od razu zaczęły się kłopoty. Już pierwszą klasę musiałem powtarzać. Miałem jedenaście lat i właściwie byłem za młody. Uważano mnie za zdolnego, ale nic nie robiłem. Nie odrabiałem lekcji, buntowałem się, zachowywałem się ordynarnie i lubiłem się bić. Miałem ogólnie w nosie szkolne obowiązki. Za karę musiałem ciągle zostawać po lekcjach. Raz nawet przez cały rok, ponieważ zachachmęciłem puszkę na datki i przez kilka tygodni zbierałem do niej pieniądze dla siebie na placu Dam, i to jeszcze podczas lekcji. Całkiem dobrze mi szło. Ludzie chętnie dawali takiemu chłopczykowi potrząsającemu dużą puszką. Karę uważałem za niesprawiedliwą. Na swoją obronę dodam, że nikogo nie oszukałem, nikt z tych, co mi dawali, nie pytał, na co właściwie zbieram do tej puszkki.

Nauka w szkole nie szła mi głównie z powodu ścisku w dwupokojowym mieszkaniu przy Van Beuningenstraat, które zajmowaliśmy przeważnie w sześć osób. Było jak magazyn, w którym gromadziły się same problemy. Kłopoty z pieniędzmi, bezrobocie, zimno, choroby i tak dalej, ich waga zwiększała się proporcjonalnie do ciasnoty. Poza tym zdarzało się, że ojczyma nie było w domu przez kilka miesięcy. Siedział w więzieniu za jakieś drobne sprawy. Codzienne kłopoty spadały na głowę mojej mamy, która w tej sytuacji nie miała czasu sprawdzać, jak nam idzie w szkole. Pamiętam, że raz w tygodniu odwiedzaliśmy ojczyma, najczęściej w kopulastym więzieniu w Bredzie albo w Haarlemie. Widzę jeszcze ten obraz przed sobą. Chętnie chodziłem, bo w pomieszczeniu dla odwiedzających dostawałem zawsze wafelka, żebym był grzeczny. W domu panowała bieda. Ciężko było wyżywić pięcioro dzieci. Rano, żeby trochę dorobić, roznosiłem gazety w trzech rejonach. A wieczorem zbierałem z kolei stare gazety, żeby je sprzedać handlarzowi makulaturą. W czwartki, kiedy po zmierzchu wystawiano kosze na śmieci, przeczesywałem razem z bratem Adjem ulice w poszukiwaniu użytecznych rzeczy. Mimo to ubrania dostawaliśmy od Armii Zbawienia; szczególnie buty i kurtki na zimę były problemem. W domu dzieci spały w malutkim pokoju na piętrowych łóżkach. Nie było to idealne rozwiązanie, codziennie były jakieś problemy i wybuchały kłótnie.

Kiedy miałem trzynaście lat, spotkałem Fransa Meijera i Jana Boellaarda. Byli odpowiednio cztery i pięć lat starsi ode mnie, ale od razu się polubiliśmy. Frans miał w domu na placu Van Beuningen specjalny pokój wyposażony jako siłownia i tam zawsze ćwiczyliśmy. Jan Boellaard pochodził z dzielnicy Staatsliedenbuurt, mieszkał o rzut kamieniem ode mnie przy Keucheniusstraat, był synem pracownika poczty. Frans, tak jak ja, miał ojczyma. Swojego prawdziwego ojca spotkał w późniejszym wieku, był dyrektorem fabryki ciastek, mieszkał w dużym domu nad rzeką Amstel. Jan i Frans znali się dłużej. Obaj należeli do klubu motorowego Kreidler-Florett, którego członkowie siali postrach w okolicy. Frans Meijer był z zawodu kafelkarzem, chociaż nigdy go przy tej pracy nie widziałem – Jan Boellaard zaś cieślą – potrafił zrobić wszystko, co zobaczył.

Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Wszystko robiliśmy razem. Najpierw były wspólne treningi, ale wkrótce również inne rzeczy. Często spacerowaliśmy razem we trójkę, rozmawialiśmy o przyszłości, pracy, dziewczynach, zarabianiu pieniędzy, wakacjach, właściwie o wszystkim, co interesuje młodych ludzi. Szybko zauważyłem, że Jan i Frans mieli podobne zasady i myśleli jak ja. Oni też nie widzieli nic ciekawego w dokładnym planowaniu życia, za to pociągała ich jego nieprzewidywalna strona.

Dużo czasu spędzaliśmy na terenie Sloterdijk, gdzie chodziliśmy na spacer z psami Fransa. Był jednym z pierwszych mieszkańców Amsterdamu, którzy posiadali pitbulteriera. Miał też owczarka. Pozwalaliśmy zwierzętom polować na zające, a sami dyskutowaliśmy na rozmaite tematy. Weekendy też spędzaliśmy we trójkę, ale mściło się na mnie to, że byłem o kilka lat młodszy. Różnica między czternasto- i osiemnastolatkiem ma bardzo duże znaczenie w tym wieku. Kiedy Meijer i Boellaard wybierali się na dyskotekę, nie miałem zwykle odwagi iść z nimi, bo wykorzystywali mnie na wabika, żeby poderwać dziewczyny.

Wtedy też po raz pierwszy wszedłem w kontakt z policją i miałem do czynienia z przemocą z użyciem broni, chociaż sam nie byłem winny. Grałem systematycznie w karty w świetlicy dzielnicowej De Schroef na rogu Oostzaanstraat, najczęściej na pieniądze. Grałem zwykle ze starszymi chłopakami, ale dawałem sobie radę między innymi dzięki treningom

u Fransa w domu. Wybuchaly tam czesto klótnie i awantury, które przeradzaly się w bójk i kończyły na ogół moim zwycięstwem.

Pewnego wieczoru sytuacja wymknęła się spod kontroli. Po partii blackjacka pokłóciłem się z jednym chłopakiem, który nie chciał zapłacić. Atmosfera zrobiła się gorąca i w momencie, gdy wydawało się, że bójka jest nieunikniona, wyciągnął z kieszeni spodni pistolet gazowy kalibru 6,35. Zaczął strzelać na oślep i właśnie, kiedy chciałem się schylić, dostałem kulę w udo, kilka centymetrów od pachwiny. Najpierw za nim pobiegłem, ale nie wytrzymałem bólu w nodze. Chłopak został i tak aresztowany, a krótka informacja o tej historii trafiła do gazet. Na tym się jednak nie skończyło. Kilka miesięcy potem spotkałem tego faceta na dyskoteci, wtedy go dopadłem. Moja noga już się wygoiła, a on nie miał pistoletu. W ciągu kilku sekund czerwona mgła przysłoniła mi oczy i pokazałem mu, gdzie raki zimują. Dla niego skończyło się to szpitalem, a dla mnie czterema dniami aresztu policyjnego. Nie przeszkadzało mi to. Rachunek trzeba było wyrównać. Wszyscy w moim środowisku tak myśleli. W dzielnicy Staatslieden taki był zwyczaj. To był język, który rozumieli. A ja całkiem dobrze nim władałem.

W szkole wylądowałem tymczasem w trzeciej klasie. W tamtych czasach można było zdać egzaminy końcowe MAVO po trzech latach. Czyli jeden rok mniej tortur i wagarowania. Wybrałem tak zwany pakiet rozrywkowy: wiedza o handlu, geografia, biologia, angielski, niderlandzki i francuski. Nie uczyłem się dobrze, ale za to potrafiłem dobrze ściągać i w ten sposób jakoś zdałem egzaminy. Szkołę porzuciłem i poszedłem do pracy w administracji w Społecznym Funduszu Budownictwa, w dziale zwolnień chorobowych.

Kiedy miałem piętnaście lat, moi rodzice przeprowadzili się z Van Beuningenstraat do większego mieszkania przy Zilverschoonstraat numer 15 w Amsterdamie Północnym. Było dużo lepiej, ale zmiana przyszła za późno. Moje stosunki z ojczymem pozostawiały wtedy jeszcze wiele do życzenia i starałem się usilnie wyprowadzić z domu. W jakikolwiek sposób. Dlatego zameldowałem się w siedzibie Królewskiej Marynarki Wojennej, która przyciągnęła moją uwagę hasłem: *Join the Navy – see the World*^[2]. Brzmiało interesująco. To bardziej odpowiadało moim oczekiwaniom na

przyszłość niż praca w zakurzonej biurze. Maglowali mnie przez cztery dni w Hollandsche Rading i zostałem przyjęty. Cor van Hout – marynarz, brzmiało nieźle. Ojczym odwiózł mnie pierwszego dnia. Stacjonowałem na lotnisku w Valkenburgu, a kiedy mnie wysadził z samochodu, odbyliśmy niespodziewaną rozmowę:

– Cor, wiem, że między nami nie zawsze się dobrze układało, ale chcę ci to powiedzieć: jeśli nie chcesz tu być, nie musisz. Zawsze możesz wrócić. Pamiętaj o tym.

Ta rozmowa wzruszyła mnie i znacznie polepszyła stosunki między nami. Od tego momentu zawsze był gotów mi pomóc i nigdy nie musiałem prosić go na próżno.

Ze zwiedzenia świata dzięki marynarce nic nie wyszło. Zawiodłem się bardzo. Chciałem zostać komandosem. Oczekiwałem szkolenia, strzelania i biwaków ćwiczeniowych, a zamiast tego służyłem za stewarda oficerom w kantynie i ścieliłem im łóżka. Porażka! Wytrzymałem tylko dlatego, że w domu uchodziłem za wielkiego marynarza. Bajka, której się trzymałem, szczególnie wobec moich kumpli. Od czasu do czasu serwowałem im barwne opowieści o ciężkich treningach i ćwiczeniach. Trudno było się stamtąd wyrwać. Podpisałem kontrakt na sześć lat i chcieli mnie tyle trzymać. Po kilku rozmowach z lekarzem, który zawyrokował, że jestem jeszcze za młody, żeby się dobrze poczuć w tym świecie, dostałem jednak zwolnienie.

Po powrocie do Mokum^[3] poszedłem najpierw do pracy u zegarmistrza na Vinkenstraat i nauczyłem się reperować zabytkowe francuskie zegary szafkowe. Wieczorami pracowałem z Fransem Meijerem i Janem Boellaardem u handlarza używaną odzieżą, musieliśmy ją sprasowywać w bele po sto pięćdziesiąt–dwieście pięćdziesiąt kilogramów. Dostawaliśmy zapłatę, a jednocześnie był to dobry trening kulturystyczny.

Po pożegnaniu z marynarką nie mieszkałem już w domu, ale na czwartym piętrze budynku przy Bestevaerstraat w Amsterdamie. To był dom Fransa i on sam też tam mieszkał, piętro niżej. Nie widziałem co prawda świata, ale stałem się samodzielny, dla piętnastolatka to było już coś.

Oprócz Fransa i Jana spotykałem się w tych latach często z Wimem

Holleederem, który mieszkał na Eerste Egelantiersdwarstraat w dzielnicy Jordaan. Był o rok młodszy ode mnie i chodził do klasy MAVO o rok niżej. Tak jak ja lubił sport. Ze względu na nasze okazałe bicepsy zdominowaliśmy szkołę. We dwójkę byliśmy nie do pobicia. Wim był synem gwiazdy kolarstwa lat powojennych, który też miał na imię Wim.

Wim Holleeder ojciec po zakończeniu kariery sportowej pracował początkowo w przedsiębiorstwie Hoppe, które zostało później włączone do koncernu Heinekena. Był zatrudniony w dziale reklamy i miał hopla na punkcie firmy. Całe jego całe życie składało się z Heinekena. Heineken w pracy i Heineken po pracy. Nie można było z nim rozmawiać niemalże o niczym innym. Wkurzał się porządnie, gdy ktoś wchodził do jego domu w czapce Grolscha. W swoim dążeniu do popularyzacji marki Heineken posuwał się tak daleko, że w pijanym widzie potrafił zdzierać z murów i niszczyć tablice reklamowe innych browarów. Problemy zaczęły się nawarstwiać, gdy wpadł w alkoholizm i stał się agresywny, skłonny do bicia i nieprzewidywalny.

Przez moją przyjaźń z Wimem bywałem czasami w browarze Heinekena. Holleederowie nie mieli w domu prysznic ani wanny, więc Wim chodził kilka razy w tygodniu do garażu browaru na Ruysdaelkade w Amsterdamie, żeby wziąć prysznic. Czasami szedłem tam razem z nim i gapiliśmy się wspólnie na ładne samochody, między innym na wóz samego Alfreda Heinekena. W tym czasie był to piękny, opancerzony, zielony mercedes 350SE. Jeśli w pobliżu nie było nikogo z personelu, to włączaliśmy czasami do środka i bawiliśmy się przyciskami. Poruszaliśmy ciężkimi drzwiami, żeby poczuć, jak się otwierają i zamykają, i zazdrościliśmy kierowcy, którego uważaliśmy za szczęściarza – cały dzień może jeździć takim wspaniałym samochodem i jeszcze mu za to płacą.

Tak to po raz pierwszy zbliżyliśmy się do Heinekena. W 1975 roku Frans, Jan i ja postanowiliśmy założyć firmę budowlaną. Robiliśmy czasami jakieś fuchy i szybko doszliśmy do wniosku, że lepiej pracować na swoim. Posiadaliśmy już know-how. Frans twierdził, że potrafi układać kafelki. Jan był dyplomowanym cieślą. A ja, kim ja byłem? Ja miałem dwie lewe ręce i niewyparzoną gębę, ale fachu żadnego. Na szczęście w szkole liznąłem

niecو wiedzy o handlu, więc zgodziliśmy się, że zajmę się administracją i księgowością. Bardziej mi to pasowało niż latanie ze skrzynką narzędzi po rusztowaniach. Nie mieliśmy oficjalnych papierów, ale za sumę pięciu tysięcy guldenów na rok szybko znaleźliśmy kierownika z renomowanej firmy budowlanej, gotowego „wypożyczyć” nam swoje nazwisko.

Firmę nazwaliśmy Epan, od postaci świętego Pankracego, którego imię oznacza wszechmocny. Warsztat mieścił się na Lindenstraat 29 w dzielnicy Jordaan. Było tam też maleńkie biuro. Nie miałem wtedy jeszcze osiemnastu lat i według prawa nie mogłem być członkiem zarządu spółki. Poprzez notariusza musiałem zwrócić się do prokuratora o specjalne zezwolenie i dostałem je. Moja matka musiała za mnie wciąż poświadczać. Kiedy wszystko załatwiliśmy, chodziłem po ulicy dumny jak paw. W wieku siedemnastu lat zostałem dyrektorem firmy budowlanej.

Chcąc znaleźć zlecenia, zamieściliśmy w gazetach ogłoszenia, że w dowolnym czasie możemy podjąć się prac konserwacyjnych i remontów. To był czysty bluff, nie potrafiliśmy nawet przygotować oferty, o podatku VAT kiedyś słyszałem, ale nie wiedziałem dokładnie, co to jest. Pewnie wagarowałem na tej lekcji. Byłem jednak przekonany, że wszystkiego się nauczymy. Uważaliśmy się za ludzi czynu.

Powiodło się, w odpowiedzi na ogłoszenia przyszło całkiem sporo listów. Na początku chodziliśmy wszędzie we trójkę, ale szybko okazało się, że ludzie traktują „tego młodego blondasa” – czyli mnie – za jakiegoś pomocnika, służącego. My zaś mądrze przemilczaliśmy fakt, że jestem członkiem zarządu, chociaż osobiście wiele mnie to kosztowało.

Pierwszym zleceniem była wymiana elewacji w salonie Volkswagena w Huizen. Zażądaliśmy dwanaście tysięcy guldenów i ku naszemu zdziwieniu facet nie protestował. Zarobiliśmy netto pięć tysięcy. Ale kasa! Od tej pory wypłacaliśmy sobie trzysta guldenów pensji tygodniowo na głowę, a resztę inwestowaliśmy w nowe maszyny i narzędzia.

Z czasem mieliśmy coraz więcej zleceń i dzięki wielu tablicom reklamowym, które wszędzie porozwieszaliśmy, Epan stał się rozpoznawalny w Amsterdamie. Podejmowaliśmy się coraz trudniejszych i bardziej skomplikowanych prac. Nie potrzebowaliśmy już zamieszczać

ogłoszeń, że mamy czasu w nadmiarze. Dość szybko musieliśmy zatrudnić księgowego i dodatkowych pracowników: cieśli, murarzy, sztukatorów i kafelkarzy. W tym czasie dowiedziałem się wiele o ludziach i podcużyłem rachunkowości. Z własnej inicjatywy skończyłem wieczorowy kurs na ten temat, po prostu dlatego, że mnie to zainteresowało w praktyce. Zaczęliśmy zarabiać na tydzień nie trzysta, ale trzy tysiące guldenów, a nierzadko nawet więcej. Od tego momentu miałem w kieszeni zawsze ze dwadzieścia, trzydzieści tysiączków. Tak na drobne wydatki. Nazywaliśmy to „kieszonkowym”. To była kwota, na którą większość moich rówieśników musiała pracować pół roku. Skończyłem właśnie osiemnaście lat i czekałem jeszcze na przysłanie prawa jazdy, a przed moimi drzwiami stał już mercedes 280S. A wkrótce potem mercedes 350. Dyrektor firmy musiał się przyzwoicie prezentować na ulicach, nie?

Byłem zachwycony, chociaż teraz zdaję sobie sprawę, że w tamtym czasie musiał to być śmieszny obraz: podrostek, co jeszcze się golić nie musiał, za kierownicą luksusowego samochodu. Odczuwałem to trochę, bo jak podjeżdżałem tym mercedesem, to wołano za mną: „Hej, chłopczyku, tatuś pozwolił ci pożyczyć auto na jeden dzionek?”.

Slogan marynarki, *See the world*, stał się rzeczywistością. Wakacje były coraz droższe i jeździliśmy na nie częściej: Nicea, Cannes, Bahamy, Hawaje, Las Vegas, Nowy Jork.

W niedługim czasie Epan zatrudniał ponad sto osób. Brzmi ładnie, ale mieliśmy też sporo zmartwień. Oznaczało to, że co tydzień musieliśmy mieć prawie sto tysięcy guldenów, żeby móc wszystkim zapłacić. Warsztat na Lindenstraat stał się za mały. W 1978 roku przeprowadziliśmy się do większego kompleksu na terenie przemysłowym Heining w Zachodniej Dzielnicy Portowej. Stał tam już barak ze stolarnią, więc mogliśmy przenieść wszystkie maszyny. Budynek na Lindenstraat, w sercu Amsterdamu, został przebudowany na biuro. Wykończyliśmy je, używając najdroższych materiałów. Efekt był imponujący. Dużo marmuru, ciemne drewno i szkło. Cała przebudowa kosztowała mniej więcej sto tysięcy guldenów, ale mogliśmy sobie na to pozwolić. Podobnie jak na wyposażenie i sponsorowanie własnej drużyny piłki nożnej, na której widok drużynom

innych firm czy wylaziły na wierzch.

Mimo stu osób personelu i całego luksusu Frans, Jan i ja pozostaliśmy sobą, chłopakami z robotniczej dzielnicy. Nie ukrywaliśmy swego pochodzenia, przeciwnie, byliśmy dumni, że z nikogo staliśmy się kimś. Dyrektorzy banków, którzy normalnie by nas nie zauważali, otwierali drzwi przed nami. „Tak, panie Van Hout; oczywiście, panie Van Hout; wszystko załatwimy, panie Van Hout...”.

W przebudowanym biurze na Lindenstraat mieliśmy osobny pokój konferencyjny, gdzie przyjmowaliśmy architektów, klientów i podwykonawców. Najczęściej prowadziliśmy te rozmowy razem z Boellaardem. Przy trudnych negocjacjach wychodziliśmy czasami z pokoju, żeby goście mogli ze sobą coś uzgodnić. Nie wiedzieli, że Frans Meijer siedział czasem zamknięty w szafie ściennej i słyszał wszystko, co ci faceci o nas mówili. Niekiedy robiliśmy z tego potem użytek, ale zdarzyło się też, że Frans wyskakiwał z szafy jak diabeł z pudełka, bo nie podobało mu się, co goście mówili. Zanim panowie otrząsnęli się ze strachu, byli już na ulicy.

Przyszedł jednak koniec tego pięknego okresu. Z powodu ostrej zimy w 1979 roku mieliśmy kłopoty ze skończeniem robót w terminie. Prace musiały zostać wstrzymane ze względu na duży mróz, ale pracownikom trzeba było co tydzień wypłacać pensje. Takiej zimy nie przewidzieliśmy. Sytuacja stała się ciężka. Epan dosłownie zamarznął. Na dodatek poza pracownikami wszyscy jakby wyczuli nasze problemy i zaczęli domagać się pieniędzy, między innymi Społeczny Fundusz Budowlany i urząd skarbowy.

Wpadliśmy trochę w panikę. Żeby ocalić to, co było jeszcze do ocalenia, zaczęliśmy inkasować należności, kilkaset tysięcy. Czasami przy użyciu brutalnej siły. W tej sytuacji wybór był prosty: polegną oni albo my, to już lepiej, żeby oni. W kilka osób chodziliśmy odbierać pieniądze, w skład zespołu wchodził też Willem Holleeder, który po odbyciu służby wojskowej pracował u nas jako kierowca.

Graliśmy w grę, w którą lubi grać też policja: jeden zachowuje się agresywnie, a drugi prezentuje się jako rozsądny. Willem był tym agresywnym, wchodził do domu dosłownie razem z drzwiami. Groził, że

wszystko rozwali, jeśli od razu nie dostanie pieniędzy. W tym momencie ja wkraczałem do akcji i próbowałem niby go uspokoić. W ten sposób stawałem się dla dłużnika tym, „z którym można rozmawiać”. Jednak dawałem do zrozumienia, że nie mogę ręczyć za kolegę, więc lepiej od razu zapłacić. Kręcąc głową, dodawałem, że u „tego i tego” Willem porozbijał wszystkie meble w domu. Działo doskonale. Prawie we wszystkich przypadkach od razu dostawaliśmy forszę. Nie było to eleganckie, ale nie potrafiliśmy inaczej. Na koniec tygodnia nasi pracownicy też nie mieli zamiaru iść do domu z pustymi rękami. Bali się nas jeszcze, ale mogli nam zdemolować całe biuro.

Jednak przegraliśmy tę walkę. W ciągu kilku tygodni długi sięgały milionów i stopniowo bankructwo stało się nieuniknione. To był koniec kariery. Mieliśmy jeszcze kilkaset tysięcy guldenów zapasów, ale i one mogły zniknąć w tej studni bez dna. Nie chcieliśmy do tego dopuścić, to były ciężko zapracowane pieniądze. W dniu ogłoszenia bankructwa firmy Epan w sądzie w Amsterdamie Frans, Jan i ja wyjechaliśmy z forszą. Do Las Vegas.

Kilka dni wcześniej oficjalnie zwolniłem Boellaarda i Meijera z funkcji dyrektorów, dzięki czemu tylko jedna osoba ponosiła odpowiedzialność – na wypadek, gdyby coś poszło nie tak – ja. Ponadto ukryłem część rachunkowości. W Las Vegas zabawialiśmy się przez jakieś dziesięć dni, ale nie przepuściliśmy tych kilkuset tysięcy, podzieliliśmy je. Bawiliśmy się dobrze, ale nie byliśmy szaleńcami. Kupiliśmy stos żetonów, żeby mieć później dowód, że graliśmy w kasynie, ale pod koniec dnia wymienialiśmy je wszystkie z powrotem w kasie. Podczas gdy my mieszkaliśmy w dobrym hotelu w Las Vegas i zabawialiśmy się na koncertach Franka Sinatry i Toma Jonesa, Willem Holleeder został w Amsterdamie z trzydziestoma tysiącami przeznaczonymi dla zbyt nachalnych wierzycieli i pilnował biura.

Epan nie okazał się żyłą złota, na jaką liczyliśmy, ale w sytuacji kryzysowej potrafiliśmy znaleźć całkiem dobre rozwiązanie.

Po powrocie do Holandii zameldowaliśmy się pełni skruchy u kuratora, prawnika z Amsterdamu, pana Vincenta Kraala. Powiedzieliśmy mu, że w panice chcieliśmy zaryzykować ostatni raz, żeby uratować naszą firmę, ale stoły do ruletki w Las Vegas okazały się nieubłagane. Według mnie pan Kraal

domyślał się, że coś w tej sprawie śmierdzi, jednak niewiele mógł zrobić. Bilety lotnicze były dowodem, że rzeczywiście byliśmy w Las Vegas. Przesłuchano nas jeszcze, ale cała sprawa się rozmyła, a my mieliśmy kilkaset tysięcy lewych pieniędzy, żeby rozpocząć na nowo.

Zaraz po umorzeniu postępowania upadłościowego „z powodu braku dochodów” Boellaard odkupił cały handel na Heining i na nowo otworzył tam stolarnię. Ja zająłem się czymś innym. W czasach, kiedy Epan pracował jeszcze na pełnych obrotach, zauważyłem, że strasznie oszukiwano na fakturach. Co chwilę ktoś mnie prosił o wysłanie faktury na sto albo dwieście tysięcy, za co dostawałem kwotę podatku VAT plus pięć procent. Oczywiście w gotówce. Numer polegał na tym, że mogli odpisać sobie tę sumę jako koszty przedsiębiorstwa, a dla biura podatkowego księgowość się zgadzała. Zauważyłem, że tego rodzaju praktyki były w większości przedsiębiorstw bardziej regułą niż wyjątkiem.

Dlatego zaproponowałem Willemowi, z którym byłem coraz bardziej zżyty, żebyśmy założyli firmę i zajęli się pośrednictwem pracy na budowach. Można było zarobić krocie, nic właściwie nie robiąc. Jak ustaliliśmy, tak zrobiliśmy. Willem kupił za kilka tysięcy firmę Schaafmaker jako przykrywkę i zaczęliśmy handlować. Mogę się pochwalić, że robiliśmy to bardzo zręcznie. Najpierw orientowaliśmy się w biurze pośrednictwa pracy, które firmy pilnie potrzebowały personelu i zwracaliśmy się do nich. Działo doskonale. W krótkim czasie jakieś trzydzieści osób pracowało dla nas na czarno na rusztowaniach, a za jednego robotnika inkasowaliśmy pięćset do tysiąca guldów netto na tydzień. Tylko liczyć zyski!

Przez rok wszystko szło doskonale i żyliśmy z tego luksusowo. Jednak kiedyś musiało się to skończyć, nie mogło być inaczej. Wiedzieliśmy o tym, ale chcieliśmy skorzystać, ile się da. Naszą filozofią było hasło: żadnych zmartwień o jutro. Bez troskie życie skończyło się w ciepłe piątkowe popołudnie w Amstelveen. Na terenie przemysłowym pracowało tam kilku naszych pracowników i mieliśmy się rozliczyć z szefami. Podjechaliśmy z Willemem naszymi mercedesami 350 i 450 SLC, bo stamtąd planowaliśmy ruszyć od razu do Düsseldorfu, gdzie mieliśmy spędzić weekend w hotelu Holiday Inn. Nasze dziewczyny były z nami, musieliśmy jeszcze tylko

zainkasować kasę.

Willem wszedł do środka z wyliczeniem godzin pracy, a ja czekałem za rogiem. W ciągu kilku sekund naokoło mojego samochodu znalazło się kilku policjantów i zostałem zatrzymany. Oskarżenie brzmiało: nielegalne pośrednictwo pracy.

Na posterunku policji w Amstelveen rozpoczęło się przesłuchanie. Powiedziałem, że nie mam z tym nic wspólnego, że o niczym nie wiem. Przypadkowo nieco wcześniej zacząłem handlować nieruchomościami i dobrze mi szło. W ten sposób mogłem się wymówić, że zajmuję się czymś innym. Mercedesa, którego mi najpierw zabrano, dostałem z powrotem, ponieważ w związku ze sprawą Epanu był zarejestrowany na moją matkę. Po raz pierwszy mogłem powiedzieć z uśmiechem na twarzy: Ten samochód? Pożyczyłem na jeden dzień od matki.

Po czterech dniach byłem wolny. Nie mogli mi nic zrobić. Z Nosem było inaczej. Firma Schaafmaker była zarejestrowana na jego nazwisko, a papier z wyliczeniem godzin, który trzymał w rękach w momencie aresztowania, nie przemawiał na jego korzyść. Dostał sześć tygodni aresztu w więzieniu dla nieletnich De Vest w Haarlemie, bo Willem był jeszcze formalnie nieletni, mimo że w gazetach pisano o zatrzymaniu „nielegalnego pośrednika pracy”, co budzi inne skojarzenia.

Kiedy sprawa była wreszcie rozpatrywana przed sądem w Amsterdamie, bronił go mecenas Jeljer de Jong, stary lis z Jordaanu, którego o to poprosiłem. De Jong w mowie obrończej wskazał na Willema i zwrócił się do sędziów:

– Proszę spojrzeć na tego dzieciaka... czy Wysoki Sąd naprawdę uważa, że on potrafiłby oszukać tych wszystkich doświadczonych przedsiębiorców, najczęściej dwa razy starszych od niego? Przecież to niemożliwe!

Sprytnie to rozegrał. Kara była równa aresztowi tymczasowemu i Willem od razu stał się wolnym człowiekiem. Wyszliśmy tego dnia z sądu razem, klepnałem go po ramieniu i odezwałem się niby pouczającym tonem:

– Zachowuj się przyzwoicie, Nos, bo nie mam ochoty zadawać się z kimś, kto siedział w pudle...

Poprzez mecenasa Jeljera de Jonga poznałem jakiś czas wcześniej

Jacobusa Kleina, pośrednika nieruchomości, który znajdował się w tarapatach. Był właścicielem firmy noszącej jego nazwisko i spółki-córki, która nazywała się JADU. My zawsze akcentowaliśmy ostatnią literę: JAD-U[4]. Do firmy należało około czterdziestu mieszkań na Schaepmanstraat. Klein zaproponował mi jej kupno. Spodobał mi się ten pomysł, bo ulica leżała blisko placu Van Beuningen, gdzie dorastałem. Kupiłem ją, przejmując długi Kleina, i nie pomyliłem się. Opłaty za czynsz przynosiły więcej, niż szło na odsetki i spłatę kredytu, a ponadto nielegalne, lewe płatności za „wręczenie klucza” nowym najemcom zapewniały ekstradochody, kiedy starzy lokatorzy się wyprowadzali.

Podczas gdy ja próbowałem zrobić karierę potentata na rynku nieruchomości, Meijer i Boellaard z powrotem pracowali na Heining. Pytali, czy chcę się przyłączyć, ale w tamtym momencie nie widziałem przyszłości w stolarstwie; fabryka nie funkcjonowała najlepiej. A po wszystkich aferach byłem trochę zmęczony branżą budowlaną.

W sprawach nieruchomości dobrze porozumiewałem się z Meijerem. Założyliśmy dwie agencje, spółki Madjoeh i Amstelborgh, w których prowadziliśmy interesy, każdy z nas posiadał po pięćdziesiąt procent udziałów. Na znanej giełdzie nieruchomości w Amsterdamie, w hotelu Sonesta, kupowaliśmy co jakiś czas domy i mieszkania i tym sposobem udało nam się zbudować całkiem niezły portfel, należały do nas mieszkania między innymi na ulicy Hoofdweg i Courbetstraat oraz w szykownej dzielnicy Amsterdam-Zuid (Amsterdam Południowy). Żeby pomóc trochę Janowi Boellaardowi, określiliśmy w statutach, że siedziba spółek mieści się na Heining. Kwoty, jakie płaciliśmy za czynsz, pozwoliły mu nieco odetchnąć.

Poza tym nie wychylałem się za bardzo w tych latach. Nie byłem widoczny w życiu publicznym. O naszym projekcie „Rolls-Royce” nikt oczywiście nie wiedział. To była osobna sprawa. Trenowałem często z Willemem Holleederem i grałem prawie codziennie w tenisa. Przyjaciół pokazał mi wyścigi konne, które od razu mnie zaintrygowały. Uważałem, że to fascynujący świat i piękne hobby. Trochę grałem u bukmacherów, ale posiadanie własnego konia na torze uważałem za najwspanialszą rzecz.

Wkrótce kupiłem piękną klacz o imieniu Untold-D.

Problemy zaczęły się mnożyć, kiedy do jednego z domów przy Leidsegracht 29 w centrum Amsterdamu, który został zakupiony przez Fransa za pożyczone sześćset pięćdziesiąt tysięcy guldenów, włamali się i zajęli go wiosną 1981 roku dzicy lokatorzy. Próbowaliśmy różnych metod, ale nie chcieli się wyprowadzić. Groził nam poważny cios finansowy. Wyliczyłem, że wstając codziennie rano z łóżka, traciliśmy z powodu odsetek, spłaty kredytu i kosztów eksploatacji ponad pięćset guldenów. Codziennie. To może przyprawić człowieka o poranną depresję. Początkowo próbowaliśmy interweniować na policji, ale oni tylko wzruszali ramionami. Oświadczyli, że nic nie mogą zrobić. Stopniowo wpadaliśmy we wściekłość. Mimo najlepszej woli nie potrafiliśmy zrozumieć, jak ktoś bezkarnie może zajmować naszą nieruchomość, którą kupiliśmy za pożyczone na wysoki procent pieniądze.

W maju tego roku, kiedy straty wynosiły już kilkadziesiąt tysięcy guldenów, zdecydowaliśmy się sami „opróżnić” lokal. Razem z agentem nieruchomości Jacobem Kleinem zorganizowaliśmy bojówkę, nasza czwórka – Jan, Frans, Willem i ja, stanowiliśmy jej część. Mieliśmy pomóc dzikim lokatorom w przeprowadzce.

Napięcie wokół tego squatu było jednak tak duże, że od razu rozpoczęła się straszna bijatyka. Wyrzuciliśmy wszystkich i rozprawiliśmy się z ich dobytkiem. Łóżka, materace, krzesła, stoły zostały wyrzucone przez okna na ulicę. W ferworze walki młotek przebił nawet szybę akwarium i na dywanie oraz na schodach leżały tropikalne rybki, próbujące łapać powietrze. Na odgłosy walki pojawiła się policja, która miała posterunek rejonowy za rogiem. Spotkaliśmy się na środku ulicy i bijatyka, którą rozpętaliśmy wewnątrz budynku, rozgorzała na nowo – z tą różnicą, że teraz staliśmy nie naprzeciwko squattersów, ale policjantów w niebieskich czapkach. Szczególnie Frans się rozpalił i walczył tak, jakby jego życie od tego zależało. Stał jeszcze na nogach, kiedy pięciu policjantów na nim wisiało, ale musiał zainkasować sporo ciosów. Na ulicy wzdłuż kanału powstało zbiegowisko, ludzie mogli oglądać w ten ciepły, wiosenny dzień niezły spektakl, w sam raz dla miłośników kina akcji. Przegraliśmy tę walkę, nie mogło być inaczej. Po

kolei zakuto nas w kajdanki. Odprowadzono dyszących, spoconych, z zakrwawionymi twarzami, poobcieranymi knykciami i w podartych ubraniach. Willem Holleeder, najsilniejszy z nas wszystkich za sprawą codziennych treningów i widocznie wcale nieustrudzony, narobił strachu policjantom, przełamując po prostu stalowe kajdanki. To był jego ostatni wyczyn.

Następnego dnia nasze zdjęcie pojawiło się w gazecie, a my siedzieliśmy w celi. Mieliśmy cztery dni na ochłonięcie. Nie był to nadmierny luksus, bo ja rzeczywiście się gotowałem ze złości po tych wydarzeniach. Potraktowano nas jak kryminalistów, tymczasem tylko broniliśmy swojej własności, kiedy policja wielokrotnie odmówiła nam pomocy. A teraz, gdy z bezsilności postanowiliśmy sami interweniować, stali w trzyosobowych grupach, gotowi do bicia. Jak to możliwe! Rzygać mi się chciało. Naszym zdaniem świat stanął na głowie, to nie my, ale ci squattersi powinni siedzieć.

Później była sprawa sądowa i każdy z nas dostał jeszcze po kilka tysięcy guldenów kary. I zdaniem prokuratora jeszcze powinniśmy się z tego cieszyć. Proszę – dziękuję. Byłem strasznie rozżalony i wyciągnąłem wnioski: jeśli to jest prawo, to okej, niczym się nie będę przejmował...

1 MAVO – najniższy poziom szkoły średniej (przyp. tłum.).

2 Dołącz do marynarki – zobacz świat (przyp. tłum.).

3 Mokum – nazwa Amsterdamu używana przez samych mieszkańców miasta. Pochodzi od hebrajskiego słowa oznaczającego „miasto”, „miejsowość” (przyp. tłum.).

4 Gra słów. Brzmi jak „ja-doei”, co znaczy mniej więcej: nie ze mną te numery (przyp. tłum.).

Rozdział 4

Znowu wracam do nocy sylwestrowej 1981 roku. Do decyzji, jaką podjęliśmy zaraz po północy. Tak jak przewidywałem, Kot zapalił się do naszego planu, kiedy mu wszystko wyjaśniłem pierwszego stycznia. Głowę miał jak zwykle trochę przechyloną, a jego oczy błyszczały, gdy mnie słuchał. Kapelusz kowbojski, który nosił na specjalne okazje, obracał coraz szybciej między palcami, co było znakiem podniecenia.

– Aha, więc operacja „Rolls-Royce” będzie reaktywowana? Omówiliście już co i jak? – zapytał z widocznym zapałem na koniec mojego monologu. Jasne było, że Kot w to wchodzi.

– No, nasze plany nie są jeszcze tak zaawansowane – odpowiedziałem z uśmiechem. – Ale to będzie coś podobnego...

Coś podobnego. Łatwo powiedzieć, ale co to znaczy „coś podobnego”?

To było główne pytanie stawiane na naszych zebraniach przez następne tygodnie. Po noworocznym spotkaniu nie marnowaliśmy czasu i od razu w styczniu rozpoczęliśmy działania. Zbieraliśmy się najczęściej w obszernym mieszkaniu Willema Holleedera przy Staalmeesterslaan 348, naprzeciwko centrum odzieżowego. Willem nie był wtedy jeszcze żonaty i mogliśmy bez zakłóceń, a przede wszystkim niesłyszani przez nikogo, debatować do późna w nocy. Przez pierwsze tygodnie dyskusja nie była jeszcze ukierunkowana. Na początku każdy miał własne pomysły i poglądy, dlatego trochę trwało, zanim zaczęliśmy się dogadywać. Musieliśmy po prostu znowu wejść w temat.

W przeciwieństwie do operacji „Rolls-Royce” teraz chcieliśmy od razu ustalić nazwisko ofiary. Po przemyśleniu sprawy uważałem, że od tego trzeba zacząć. Trzeba wiedzieć, o kim się mówi. Kryteria się nie zmieniły: ofiara miała być bogata, a rodzina czy negocjatorzy musieli za niego hojnie

zapłacić.

Nie było to takie łatwe, jak się szybko przekonaliśmy. Wielu ludzi sprawia wrażenie bogatych, ale wcale nimi nie jest. Mieszkają w pięknym domu, są milionerami, ale nam to nie wystarczało. Nie chcieliśmy takiej afery jak z Caransą, gdzie kidnaperzy zadowolili się sumą dziesięciu milionów. Zabieraliśmy się do pracy zgodnie z zasadą ustaloną przez Fransa Meijera już wcześniej. Musieliśmy się wzbogacić za jednym zamachem.

W jednej z rozmów Kot zaproponował ostrożnie, że może trzeba wziąć pod uwagę kilka osób z rodziny królewskiej. Uważał, że odpowiadają wszystkim kryteriom.

– Pewnie chcesz zrobić z tego *royal ransom* – roześmiałem się.

Nawiązałem do naszego starego planu *rich ransom*. Boellaardowi najwyraźniej spodobała się idea królewskiego, olbrzymiego okupu. Mnie to nie odpowiadało. Nie powinniśmy się do czegoś takiego zabierać. Dom królewski jest w Holandii świętością. Lepiej ich nie dotykać, tłumaczyłem innym. Wolałbym już porwać papieża. Urowadzenie księcia lub księżniczki postawiłoby na nogi wszystkich. Cały świat mielibyśmy przeciwko sobie. Poza tym nie tylko policja kryminalna byłaby w to zamieszana, ale i wszystkie możliwe służby bezpieczeństwa, krajowe i zagraniczne. A z nimi nie miałem ochoty mieć na pieńku. W krótkim czasie byłaby to gorąca sprawa polityczna. Jeśli chcieliśmy wykonać plan, to musiała to być „zwykła” afera kryminalna. Rodzinę królewską trzeba zostawić w spokoju.

– Nie komplikujmy sprawy – odbiłem piłeczkę do Jana Boellaarda. I wszyscy się zgodzili z moimi słowami. Z tej przyczyny z naszej listy szybko odpadł Joop den Uyl, przywódca Partii Pracy i dawny premier. Na początku mieliśmy go na oku, bo czasem go spotykaliśmy. Frans Meijer był w tym czasie właścicielem budynku przy Nicolaas Witsenstraat i ku naszemu zdziwieniu widzieliśmy czasami, jak den Uyl spaceruje samotnie po ulicy. Później dowiedzieliśmy się, że znajdowało się tam jakieś biuro partyjne i dlatego musiał tam bywać. Porwanie byłoby drobnostką, ponieważ nikt go nie pilnował. Rozważaliśmy przez chwilę tę „kandydaturę”, ale ze względu na polityczne aspekty musiała ona odpaść. Poza tym nie było jasne, od kogo moglibyśmy domagać się pieniędzy. Sam ich nie miał, więc mielibyśmy

pewnie żądać ich od partii, ale nie wiedzieliśmy, czy partia miała kilkadziesiąt milionów do wyłożenia. Zażartowałem, że istniała szansa, iż nam powiedzą: „możecie go zatrzymać!...”.

No dobrze, zatem nie postacie ze świata polityki, ale w takim razie kto? Przeczesywaliśmy gazety i czasopisma w poszukiwaniu *big shots* z holenderskiego świata biznesu. To było łatwo dostępne i znakomite źródło. Patrzyliśmy nie tylko na wiadomości finansowe, ale także na rubryki plotkarskie, gdzie wielu bohaterów naszej „grupy docelowej” opisywano obszernie. Dyskutując, stworzyliśmy listę poważnych kandydatów, spośród których ostatecznie mieliśmy wyłonić ofiarę:

1. Wisse Dekker, prezes Philipsa.
2. Alfred Heineken, główny akcjonariusz Heinekena.
3. Albert Heijn, prezes AHOLD.
4. Anton Dreesmann, dyrektor sieci domów handlowych V&D.
5. Piet van Doorne, prezes fabryki DAF-Trucks.
6. Prezes rady nadzorczej dużego banku, nazwisko mieliśmy jeszcze uzupełnić.

Krótko mówiąc – majątni ludzie. Wszyscy byli *captains of industry* z wielkich koncernów. Mając listę, zabraliśmy się do pracy. Przeanalizowaliśmy nasze możliwości oraz zalety i wady poszczególnych osób. Próbowaliśmy zdobyć informacje na ich temat. Nie było to takie trudne. Wszyscy byli znanymi postaciami życia publicznego i dlatego gazety rozpisywały się na ich temat szeroko. Od pism plotkarskich po tygodnik „Vrij Nederland”, nie zapominając o „Financieel Dagblad”. Gdzie mieszkają, czy mają swojego szofera, domki letniskowe, z kim są związani prywatnie, jakie mają hobby i tak dalej, i tak dalej. Wystarczyło trochę poszperać i można się było wiele o nich dowiedzieć. Lubilem czytać i byłem ciekawski. W czasach działalności Epanu miałem na to trochę czasu i dzięki temu podniosłem swój poziom ogólnej wiedzy. Teraz mogło się to przysłużyć naszej sprawie. Pierwszy odpadł z listy Dreesmann. Nie dlatego, że

finansowo czy od strony technicznej nie był odpowiednią partią, przeciwnie, ale, jak się dowiedzieliśmy z gazet, miał słabe zdrowie i kilka tygodni leżał w szpitalu. Nie wiedziałem oczywiście, jak się teraz czuje, ale nie mogliśmy ryzykować i porwać kogoś chorego na serce. Gdyby umarł, natychmiast stalibyśmy się mordercami, czego należało unikać. Dreesmanna skreśliliśmy więc z listy.

Potem okazało się, że to wcale nie był taki głupi pomysł brać pod uwagę zdrowie kandydata. Piet van Doorne, ze sławnej rodziny, która jako pierwsza i może ostatnia produkowała holenderskie samochody, umarł nagle, kilka miesięcy po tym, jak umieściliśmy go jako potencjalną ofiarę na naszej liście. Nie wiedzieliśmy wtedy tego, ale teoretycznie mogło to się zdarzyć w trakcie porwania.

W sumie mieliśmy spore wymagania: ofiara musiała być bardzo bogata, nie mogła pochodzić z królewskiego rodu ani zajmować żadnej funkcji politycznej. Ponadto kandydat powinien cieszyć się żelaznym zdrowiem. Gdzie znaleźć kogoś takiego?

– Co myślicie o człowieku za sześć milionów dolarów? – zawołał Willem Holleeder podczas jednego z pierwszych zebrań, robiąc aluzję do serialu telewizyjnego pod tym samym tytułem.

Ale nawet ten bioniczny superczłowiek się nie nadawał, jak orzekł Frans Meijer.

– Nic z tego, bo za faceta wartego sześć milionów nigdy nie dostaniemy więcej niż sześć milionów... a o ile nie macie nic przeciwko, chciałbym zażądać kilkakrotnie większej sumy – odpowiedział poważnie na żartobliwie zadane pytanie. Najwyraźniej poczucia humoru nam nie brakowało.

Wisse Dekker stał długo na naszej wyimaginowanej liście na pierwszym miejscu. Wyimaginowanej, bo na tym etapie przygotowań nic nie zapisywaliśmy. Takie zapiski mogłyby być później tylko niepotrzebnym dowodem. Przypuszczalnie i tak będziemy musieli spisać na papierze dosyć rzeczy, jeśli nadejdzie taki moment. Prezes Philipsa odpowiadał aż nadto wszystkim naszym wymaganiom i standardom. To była interesująca kandydatura, zwłaszcza że Willem kiedyś podczas zabawy karnawałowej bawił się z dziewczyną, która była sekretarką w korporacji w Eindhoven

i pracowała dla rady nadzorczej.

Nos przypominał się jej i kilka razy spędził z nią weekend. W ten sposób mógł się dowiedzieć czegoś więcej. Robił to bardzo sprytnie. Oglądał z nią albumy ze zdjęciami i mimochodem pytał o szczegóły, jeśli to były fotografie zarządu Philipsa lub samego Wisse'a Dekkera. Mimo że dziewczyna ze względu na wysoką pozycję w pracy była początkowo nieufna, Willem stopniowo zdobył dużo informacji. Czasami pozornie nieważne drobiazgi, które dla nas mogły być kiedyś istotne. W ten sposób Nos wybadał, w jaki sposób Dekker jeździ do pracy, gdzie dokładnie mieszka, i że często jada śniadania w znanym hotelu De Cocagne przy Vestdijk w Eindhoven. Dowiedział się też, w jaki sposób można uzyskać dostęp do jego biura, niemal bunkra w siedzibie głównej firmy.

Nasze badania były już na tyle zaawansowane, że Nos kilka razy śledził Dekkera w drodze do domu, żeby zobaczyć, czy jest strzeżony, a jeśli tak, to w jaki sposób. Stwierdził, że ochrona właściwie nie istnieje. Dziwiłem się, że czołowi przedstawiciele biznesu tak lekceważą swoje bezpieczeństwo. Kiedy raz zrobiłem na ten temat uwagę, Jez odpowiedział z właściwym sobie humorem:

– Nie martw się, Cor, jak uderzymy, to wszystko się zmieni...

Kandydatura Wissego Dekkera miała też minusy. Odległość z Eindhoven do baraku w Heining była bardzo duża, poza tym to nie nasz teren, chyba że porwalibyśmy go w pobliżu Amsterdamu. Dotyczyło to także Pieta van Doorne'a z firmy DAF-Trucks. Do tego dochodził jeszcze fakt, że – jak wyczytałem w gazecie – firma notuje teraz zyski, ale przeżyła ostatnio kilka trudnych lat. Banknoty nie leżały tam w stosach do sufitu. To mogło negatywnie wpływać na decyzje negocjatorów w czasie porwania. Sama rodzina Van Doorne'ów była podobno bardzo bogata. Wynalazcy „sprytnej dźwigni”^[5] sprzedali dużą część udziałów osobom trzecim i według znawców tematu zarobili miliony.

Jeśli mówimy o „liście” osób do porwania, to Albert Heijn, wielki człowiek, właściciel sieci supermarketów o tej samej nazwie, wydawał się osobą jakby stworzoną w tym celu. Wszystko przemawiało za jego kandydaturą: potężny koncern przynoszący zyski, biznesmen prawie nie miał ochrony, a poza tym

był w odpowiednim wieku, niezbyt stary. To dziwne, ale mimo tylu zalet nigdy nie traktowaliśmy go poważnie. Kiedy na zebraniu rozmawialiśmy raz o nim, Boellie pokręcił głową i dodał:

– Mnie się nie podoba ten pomysł, będziemy musieli negocjować ze sklepikarzami... wyobraźcie to sobie. Totalna porażka. – I śmiejąc się, dodał: – Poza tym on twierdzi, że zawsze opiekuje się wnukami[6]... tak mówi w reklamach.

W końcu nie wpisaliśmy na listę żadnego konkretnego prezesa banku. To były w sumie relatywnie nieznane osoby. Najpierw myśleliśmy o kimś z AMRO, NMB albo ABN, ale rozważaliśmy także kogoś z mniejszego banku-córki. Na przykład Piersona albo Van Lanschota. W banku pieniądze nigdy nie powinny stanowić problemu. Minusem było to, że bankierzy znali wszystkie tajniki znakowania pieniędzy, notowania ich numerów, a ABN i AMRO posiadały poza tym dużą sieć placówek międzynarodowych. Po porwaniu mogło to działać na naszą niekorzyść. Wszystkie banki mogłyby połączyć siły i wtedy wymienianie okupu stałoby się trudniejsze niż w sytuacji, kiedy ofiara nie byłaby bankierem. Trzymaliśmy tę możliwość w zapasie, jako rodzaj rezerwy.

I król piwa Alfred Heineken. Razem z Wissem Dekkerem od początku należał do najpoważniejszych kandydatów. Heineken był bogaty, niebotycznie bogaty. Poza tym pochodził z Amsterdamu, a koncern miał tu główną siedzibę, co bardzo nam odpowiadało. Willem Holleeder wiedział, jak zdobyć o nim wiele informacji, już choćby dlatego, że jego ojciec chorobliwie dużo o nim opowiadał. Dom Heinekena w Nordwijk, licząc w linii prostej, też nie leżał tak daleko od Heining. Facet, jak już wspominałem, był tak bogaty, że okup mógł zostać zapłacony z jego prywatnego kapitału, gdyby koncern odmówił, co raczej nie wchodziło w grę. Po stronie minusów należało zapisać, że Heineken cieszył się dużą popularnością wśród ludności i jego porwanie mogło wzburzyć opinię publiczną, ale to dotyczyło także innych osób z tej listy.

W rezultacie zostało trzech kandydatów, nad którymi mieliśmy dalej pracować: Wisse Dekker, Alfred Heineken, Piet van Doorne. A w rezerwie prezes któregoś banku.

Postanowiłem poddać sprawę pod głosowanie. Musieliśmy dokonać wyboru. Pamiętam dobrze tamten moment: siedzieliśmy w mieszkaniu Willema w skórzanych brązowych fotelach chesterfield, z widokiem na park Rembrandta. Zmierzchało powoli i włączały się po kolei latarnie, oświetlając miasto. Z dziewiątego piętra roztaczał się ładny widok, ale tym razem mieliśmy inne sprawy na głowie.

– Dekker? – zapytałem pozostałych trzech, z myślą, że zareagują, jeśli uznają go za najlepszego kandydata. Było cicho. Patrzyliśmy na siebie wyczekująco. Entuzjazmu nie było widać. – Heineken? Całkowicie wbrew swoim zwyczajom Willem zareagował pierwszy. Zwykle robił to z rozmysłem i wołał najpierw usłyszeć opinie innych, zanim coś powiedział, ale teraz rozległo się nagle: „Tak, jestem za!”.

Spojrzeliśmy wszyscy na niego, ale nikt nie zapytał właściwie dlaczego. Zналиśmy odpowiedź. Życie domowe Willema było zdominowane przez Heinekena. Na dodatek jego ojciec, który stał się kłopotliwy dla koncernu z powodu alkoholizmu, został po czterdziestu latach wiernej służby wyrzucony z pracy. Prawie z dnia na dzień. Heineken był jego życiem, ale też zniszczył to życie. I wielu innych... Willem czuł się rozgoryczony. Nie pił ani kropli alkoholu po zwolnieniu ojca z pracy. Problemy w domu nabrzmiały do tego stopnia, że jego rodzice zdecydowali się rozwieść po dwudziestu pięciu latach małżeństwa.

Po tym jak Willem opowiedział się „za”, Jan, Frans i ja przystaliśmy na jego wybór. Pasowało nam to z wcześniej już wymienionych powodów. Uważaliśmy również, chociaż nie było to najważniejsze, że nie zaszkodzi, gdy taki facet pozna życie od mniej przyjemnej strony. Nawiązując do słynnego sloganu reklamowego, mówiliśmy: „To jest to piwo... a to jest nasz facet”[7].

Ten wybór był właściwie pierwszym krokiem w przygotowaniach. Wiedzieliśmy wreszcie, na kim mamy się skupić i w jakiś sposób odczułem ulgę. Rozmawialiśmy jeszcze o tym i owym, Willem przyniósł nam kilka butelek grolscha z lodówki, żeby wznieść toast. Rzuciliśmy parę dwuznacznych uwag i dowcipów, atmosfera była bardzo zrelaksowana. Kiedy ostatni zbierałem się do wyjścia, przypomniałem sobie nagle

zdarzenie z młodości: Ruysdaelkade. Chciałem się tym podzielić z Nosem i zderzyłem się z nim w drzwiach.

– Willem, pamiętasz... – zacząłem. Widocznie zrozumiał moje zamyslenie, innego wytłumaczenia nie mam, ale wiedział, co chcę powiedzieć.

– Tak, Cor, pamiętam... jak jako mali chłopcy siedzieliśmy za kierownicą jego mercedesa.

Spojrzałem na niego zdziwiony. Jeśli to nie jest telepatia, to jak to nazwać? Chciałem mu właśnie przypomnieć, jak w garażu na Ruysdaelkade chodził pod prysznic i razem podziwialiśmy samochód Heinekena.

– Tak – potwierdził. – Pamiętam dobrze... a teraz otwiera naszą listę.

Skoro przygotowania miały ruszyć z miejsca, potrzebne były pieniądze. I to niemała suma. Urowadzenie to przestępstwo trudne do wykonania i jeśli chce się odnieść sukces, trzeba w nie zainwestować. Jak to w interesach: najpierw koszty, potem zyski. Nie miałem pojęcia, ile dokładnie nam potrzeba, ale wiedziałem, że mnóstwo. Na szczęście nie byliśmy biedni. To nie byłby dobry punkt wyjściowy do zorganizowania takiego przedsięwzięcia. Coś nam zostało po Epanie, a poza tym mój biznes związany z nieruchomościami nieźle funkcjonował.

Zaproponowałem utworzenie specjalnej kasy, z której płacilibyśmy za różne wydatki: transport, koszty pobytu w kryjówce, samochody, broń, przebrania, przebudowę baraku, urządzenia elektroniczne, jednym słowem za wszystko, co było potrzebne. Ustaliłem wysokość kwoty na sto tysięcy guldenów, z możliwością zwiększenia do stu pięćdziesięciu tysięcy. Kapitał sam w sobie niezły dla kogoś, kto planuje napad, ale my przygotowując się do być może najgłośniejszego przestępstwa, jakiego dokonano w Holandii, musieliśmy liczyć się z kosztami.

Skoro kwestia pieniędzy została załatwiona, postanowiliśmy przestudiować nawyki Alfreda Heinekena i opracować je. Taką codzienną rutynę – kiedy wyjeżdża i przyjeżdża. Ustaliliśmy, coś w rodzaju wart. Po kolei obserwowaliśmy ogromną willę Heinekena na Boerhaaveweg na skraju Noordwijku. Rano, w dzień i w nocy. Musieliśmy wiedzieć wszystko. Wypatrywaliśmy ciemnozielonego cadillaca fleetwooda, którym go wożono.

Ustalaliśmy jakie procedury obowiązują ochronę przy bramie do willi i inne ważne szczegóły. Szybko zdaliśmy sobie sprawę z tego, że są tylko dwie drogi dojazdowe do domu Heinekena, co czyniło porwanie łatwiejszym, ale utrudniało pilnowanie. Pod żadnym pozorem nikt nie mógł nas zauważyć. Codziennie ktoś z naszej czwórki jechał innym samochodem, żeby obserwować i stać na warcie. Czasami pożyczaliśmy auta od przyjaciół i przyjaciółek, żeby zwracać jak najmniej uwagi. Willem pojechał nawet kilka razy na motorowerze. Wieczorem zdawaliśmy sprawozdanie.

Staraliśmy się dowiedzieć, czy za Heinekenem jadą jacyś ochroniarze, jeśli zabiera go z domu jego szofer Ab Doderer, poza tym przypatrywaliśmy się, jak jeździ. Czy ciągle tymi samymi drogami, czy drzwi samochodu są zablokowane i tym podobne, małe, ale ważne szczegóły. Kilka razy pojechaliśmy pod dom Doderera, przy Jacob Melkmanstraat w Amsterdamie, żeby pomyszkować. Staraliśmy się po prostu dowiedzieć wszystkiego. Istniała szansa, że zaparkuje tam kiedyś na noc cadillaca. Wtedy moglibyśmy łatwo dokładnie przebadać samochód. Aba Doderera znaleźliśmy z Willemem osobiście. Od niepamiętnych czasów był szoferem Heinekena i przegonił nas kiedyś z garażu, gdy tłustymi paluchami dotykaliśmy szyb limuzyny, zaglądając do środka. Między sobą nazywaliśmy go Wianek[8], bo był prawie łysy, miał tylko „wianek” włosów wokół czaszki.

Obserwowaliśmy też przez jakiś czas żonę Heinekena, miała na imię Lucille. Często robiła zakupy w miasteczku, spacerowała samotnie po plaży albo wychodziła z psem. Mogliśmy ją porwać bez żadnego problemu, ale nie chcieliśmy. To byłoby tchórzostwo, bezbronna kobieta, która nie ma nic wspólnego z tym wszystkim. Nawet na ten temat nie rozmawialiśmy. To byłoby wbrew naszemu niepisanemu kodeksowi honorowemu.

Wieczorami, kiedy omawialiśmy w mieszkaniu Willema nasze całodniowe dokonania, siedzieliśmy godzinami nad mapą Noordwijku i okolic, żeby ustalić, jakie drogi zbadamy następnego dnia. Plan zakładał obezwładnienie Heinekena w Noordwijku. Szukaliśmy idealnej trasy ucieczki. Z tego powodu Willem i Frans obserwowali przez wiele nocy posterunek policji w Noordwijku przy Oude Zeeweg. Mieścił się on w zabytkowej willi, na nieszczęście blisko Boerhaaveweg i w razie

niebezpieczeństwa policjanci mogli przybyć na miejsce w ciągu dwóch minut. Nie mogło być gorszej sytuacji. Dlatego ważne były informacje, ilu policjantów tam jest i w jaki sposób działają. Przez wiele dni sprawdzaliśmy to, próbując doszukać się jakiejś logiki. Posterunek policji uważałem za duży problem. Gdybyśmy porwali Heinekena obok jego willi, to musielibyśmy przejechać obok niego. Poza tym liczyłem się z tym, że Heineken ma telefon bezprzewodowy lub jakiś telefon w samochodzie, który automatycznie wyśle sygnał alarmowy na posterunek. Dlatego trzeba było doskonale rozpracować system jego działania.

Czasami obserwacje musieliśmy przerywać, bo Heineken wyjeżdżał w interesach za granicę albo na urlop. Wtedy zajmowaliśmy się innymi pracami albo odpoczywaliśmy przez kilka dni. Czytałem wiele wiadomości finansowych w gazetach i tygodnikach na temat pozycji koncernu i zasobów samego Alfreda Heinekena. Od tego czasu codziennie sprawdzałem, jak stoją jego akcje na giełdzie. W ten sposób dowiedziałem się, że Heineken jest chyba nawet bogatszy, niż myśleliśmy.

Zajmowaliśmy się sprawą już przez jakiś czas i zauważyłem, że po kilku miesiącach nasza koncentracja zmalała. Wydawało się, że historia może się powtórzyć, że porzucimy ten plan, tak jak przedtem zostawiliśmy operację „Rolls-Royce”. Nie dotrzymywaliśmy umów albo wykonywaliśmy tylko połowę zadania, albo spóźnialiśmy się na spotkania. Czy to dlatego, że do tej pory plan istniał głównie w teorii i na papierze? Przez to wydawał się nam nierzeczywisty? Podczas przygotowań do poprzedniej akcji to była głównie moja wina, ale teraz nie było o tym mowy. Chciałem wykonać ten plan i moje myśli były nim całkowicie pochłonięte. Irytowało mnie, że inni nie byli zmobilizowani w stu procentach. Kiedy już w przygotowaniach stawaliśmy się nonszalancy, to nie wróżyło dobrze na przyszłość. Frans Meijer był często nieobecny, bo od jakiegoś czasu mieszkał z przyjaciółką w Den Helder. Jan Boellaard poświęcał według mnie za dużo czasu stolarni, którą kierował.

Kroplą, która przelała czarę i spowodowała niesnaski między nami, było zachowanie Fransa Meijera. Przejechał w Noordwijku na czerwonych światłach, a policja zarejestrowała jego numery, o czym dowiedzieliśmy się

później, gdy dostaliśmy telefon z komisariatu w Noordwijk. Przestraszyliśmy się. Policjant powiedział, że sporządzono raport, ponieważ Meijer zignorował światła. Zostawiono mu wybór: miał zapłacić albo się odwołać. Jeśli miał jakiś powód, dla którego przejechał przez czerwone światła, doradzono mu drugie wyjście. Widziałem już tę scenę przed sobą: „Było tak, Wysoki Sądzie, śledziliśmy pana Heinekena, wie pan, tego od browarów, i wtedy...”. Oczywiście szybko zapłaciliśmy, żadnego hałasu ani protestów. Przeklinałem ten wypadek przy pracy. Jeź ze swoim piractwem drogowym! Zawsze to samo. Ten facet po prostu nie potrafił prowadzić. Nawet metra nie mógł przejechać poprawnie! Dwanaście razy podchodził do egzaminu na prawo jazdy, zanim zdał, i musiał jeszcze zapłacić pięćset guldenów egzaminatorowi, bo inaczej znowu by oblał.

To był incydent, który w tak delikatnych przygotowaniach nie powinien mieć miejsca. Jeśli Heinekena już naprawdę porwiemy, to policja kryminalna będzie sprawdzała każdy ślad i wtedy ten mądrała od mandatów może sobie przypomnieć, że przyłapał na czerwonych światłach jakiegoś osobliwego amsterdamczyka. A gdyby tak rutynowo przyszli sprawdzić, to już mogli cię mieć. Ale postaraliśmy się też o alibi, tłumaczące nasze bywanie w Noordwijk. Tam stały moje konie. Konie Boellaarda też, dzięki mnie nabrał entuzjazmu do wyścigów. Był właścicielem Santiago-D, który później został mistrzem świata w międzynarodowych zawodach policji w kategorii zaprzęgów dwukołowych.

W każdym razie po tamtym incydencie odbyliśmy zebranie, żeby dojść razem do porozumienia.

– Słuchajcie, jeśli ktoś chce teraz zrezygnować, to proszę bardzo – zacząłem. – Niech powie. Nie ma problemu. Nadal będziemy dobrymi przyjacielami. Ale jeśli chcemy wykonać plan, to musimy inaczej i lepiej współpracować. Nie mam zamiaru marnować stu tysięcy na amatorszczyznę, znam fajniejsze sposoby wydawania pieniędzy. Już nie mówiąc o iluś tam latach więzienia. No to kto chce odejść?...

Zapanowała cisza. Wszyscy zrozumieli, że mówiłem poważnie. Jeź przerwał milczenie suchą uwagą świadcząca, że plan dochodzi do skutku:

– Okej, Flipper, to na czym stanęliśmy?

Znowu podjęliśmy przygotowania i od tego momentu wszystko szło jak z płatka. Byliśmy czujni, uważni, ostrożni w działaniach i konsekwentnie dotrzymywaliśmy danego słowa. Zebrania były coraz dłuższe i bardziej intensywne. Mieliśmy mnóstwo spraw do omówienia i ustalenia. W którym miejscu można porwać Heinekena i jak, ile pieniędzy zażądamy, z kim mamy negocjować i w jaki sposób, jak zaatakować, uciec, jak bezpiecznie przerzucić pieniądze?

Same pytania. A każda odpowiedź prowadziła do następnych dziesięciu pytań i problemów. To, że Heineken będzie przetrzymywany w baraku na Heining, było jasne już przy planach operacji „Rolls-Royce”. Dalej traktowaliśmy to jako punkt wyjściowy całej akcji. Trudno go było jednak umieścić tak sobie w blaszanym baraku, który dobrze przepuszczał dźwięki. Heineken po przelatujących samolotach zorientowałby się w piętnaście minut, że znajduje się w pobliżu Schiphol. A poza tym po terenie kręciło się sporo ludzi z personelu stolarni, księgowy i sekretarka naszej agencji nieruchomości. Ryzyko, że się czegoś domyślą, było bardzo duże.

Nasz kompleks na Heining był ogromny. Z przodu przy bramie stał budynek służący za biuro. Siedzieli tam księgowy i sekretarka. Z tyłu znajdował się warsztat stolarski, a w nim wszystkie maszyny i piły. Stamtąd wąskie przejście prowadziło do półokrągłego baraku z blachy falistej. To był bardzo duży barak, liczył kilkadziesiąt metrów długości. Od frontu przechowywano drewno, a w jego połowie znajdowała się zamykana, przesuwana ściana do drugiej części pomieszczenia. Było trudno dostępne i w nim to chcieliśmy uwięzić Heinekena. Oprócz Boellaarda nikt tam nie chodził, więc doskonale nadawało się do naszych celów. Musieliśmy jednak zwiększyć środki bezpieczeństwa. Gdyby Heineken zaczął krzyczeć, to połowa Amsterdamu mogłaby go usłyszeć, więc barak należało przystosować, a ściany izolować. Na zebraniach zastanawialiśmy się, w jaki sposób to zrobić. Po wielu dyskusjach znaleźliśmy doskonałe rozwiązanie. Naprawdę idealne! Wkopiemy w ziemię duży żelazny zbiornik i tam uwięzimy króla piwa. Heineken zniknie bez śladu, nawet jeśli policja kryminalna chciałaby przeszukać barak. Nad ziemią będzie wystawała tylko pokrywa wjazdu, ale z tym da się coś zrobić. Wszyscy będą po tym po prostu

chodzili. Poza tym Heineken nie będzie mógł w tym zbiorniku nic widzieć ani słyszeć, a później, już po zakończeniu całej historii, zalejemy go betonem i tym samym zatrzemy wszelkie ślady. Jedyne co nam pozostało, to znaleźć taki zbiornik. Boellaard miał się tym zająć i wywiązał się z zadania szybko i dobrze. Pewnego dnia wiosną 1982 roku na teren Heining wjechał wielki dźwig i przywiózł duży, osmołowany na czarno zbiornik na ropy, długi na dwanaście metrów, wysokości większej niż wzrost człowieka. Kot zakupił go w IJmuiden na giełdzie firmy Stork. Za osiem tysięcy z kasy na porwanie. Musieliśmy przełknąć ten wydatek, ale był tego wart, kto mógł dostarczyć taki podziemny bunkier taniej? Poza tym mieliśmy na nim zarobić krocie. Byliśmy zadowoleni. Kiedy we czwórkę sprawdzaliśmy stan kontenera, Frans uderzał młotkiem, sprawdzając wytrzymałość, i echo jeszcze brzmiało, kiedy rzekł:

– Chłopie, widziałeś kiedyś taką beczkę do piwa?

Teraz, kiedy „zakwaterowanie” zostało przygotowane, podjęliśmy dwie inne ważne decyzje. Określiliśmy dokładnie miejsce akcji i zdecydowaliśmy, że porwiemy nie tylko Alfreda Heinekena, ale również... jego kierowcę, Aba Doderera.

Zaczynając od punktu pierwszego: M.P., czyli miejsce przestępstwa leżało jakieś dwieście metrów od willi Heinekena w Noordwijk. Nasze obserwacje pomogły ustalić, że wyjeżdża zawsze z Boerhaaveweg na niewielkie rondo i wjeżdża w Koepelweg, a potem przez Beeklaan na drogę krajową w kierunku Hagi i Amsterdamu. Po wielu rozważaniach powstał plan porwania go na ulicy Koepelweg. To była mała aleja wysadzana drzewami, długości około dwustu metrów. Miało to tę zaletę, że samochód Heinekena ani nie mógł jechać po niej szybko, ani nigdzie skręcić. Nie było żadnych przecznic. Nie mieliśmy odwagi dokonać porwania na dużej drodze. Opancerzony cadillac był jak czołg i mógł zepchnąć z niej każdy samochód.

Wybraliśmy Noordwijk również dlatego, że nie chcieliśmy, aby sprawę dostała w swoje ręce policja w Amsterdamie. Po uprowadzeniu Caransy nabrali doświadczenia w takich przypadkach i mieli więcej wprawy niż inne oddziały policji w Holandii. Lepiej dla nas, kiedy sprawę przejąłby komisariat w Noordwijk. Zakładaliśmy, że policja krajowa zorganizuje

pewnie specjalny zespół, do którego włączy detektywów z Amsterdamu, ale po pierwsze, trochę to potrwa, a po drugie, przypuszczalnie doprowadzi do zazdrości i rywalizacji. Jeśli chodzi o takie sprawy, to i policji nic, co ludzkie, nie jest obce. Wszystko to działałoby na naszą korzyść.

Szkicując plan z grubsza, mieliśmy czekać na cadillaca na Koepelweg i zająć mu drogę. Samochód chcieliśmy ukryć w krzakach i ruszyć, kiedy Heineken będzie nadjeżdżał. Kierowca miał tak wykonać manewr zakręcania, żeby zmusić Doderera do przyhamowania i zatrzymania. W tym momencie jeden z nas uderzyłby w cadillaca od tyłu kradzionym samochodem, i w ten sposób uniemożliwiłby mu również odwrót. My z Willemem mieliśmy wtedy wyskoczyć i rozbić specjalnym młotkiem szyby pancerne samochodu, jeśli Doderer zablokowałby drzwi. Następnie planowaliśmy wyciągnąć Heinekena i Doderera z auta, zaprowadzić ich do naszego samochodu i odjechać. Alejka Koepelweg nadawała się do tego doskonale. Przy odrobinie szczęścia nikt by nas nie zauważył – nawet policja, bo drzewa i krzaki zupełnie zasłaniały widok. To oznaczało jednak, że całą operację należy wykonać przed jesienią. Przy Koepelweg stało kilka domów, a po drugiej stronie drogi poniżej rozciągały się łąki. Samochód naprawdę łatwo można było zablokować. Ustaliliśmy, że cała operacja nie może trwać dłużej niż minutę. To miała być błyskawiczna akcja.

Jak już mówiliśmy, mieliśmy zabrać również Aba Doderera. Długo dyskutowaliśmy na ten temat. Urowadzenie stawało się przez to bardziej skomplikowane. Właściwie było to coś wyjątkowego: dwie osoby naraz. Takie rozwiązanie miało jednak sporo zalet. Jeśli go porwiemy, nie będzie mógł nikogo zaalarmować ani udzielić policji żadnych wskazówek. Była duża szansa, że tym sposobem minie sporo czasu, zanim ktoś zorientuje się, co się stało. Odtworzenie wydarzeń przez policję przy braku świadków trochę potrwa. To znowu dawało nam cenny czas. Jeśli dobrze pójdzie, zdążymy dojechać do zbiornika na Heining.

Porywając kierowcę, zyskiwaliśmy coś jeszcze. Negocjatorzy będą się prawdopodobnie obawiać, że w celu wywarcia na nich presji możemy posłużyć się Dodererem. Szansa, że coś stanie się jednemu uprowadzonemu, jest mniejsza, gdyż nieżywy zakładnik nie ma żadnej

wartości. Z dwoma sprawa wygląda inaczej.

Może to zabrzmieć twardo, ale oczywiście nie znaczy, że zamierzaliśmy im coś zrobić. Groźby miały być jedynie grą. Mieliśmy to później udowodnić. Już we wczesnym stadium przygotowań podczas zebrań wyznaczyliśmy sobie granice, jakich nie należy przekraczać. Uznaliśmy jednogłośnie, że nie może być żadnych ofiar śmiertelnych ani ciężko rannych. Przemocy mieliśmy użyć tylko w momencie porwania ofiar, tego nie dało się uniknąć. Nie mogliśmy ich przecież zapytać, czy by nie wsiedli do naszego samochodu w celu odbycia przejażdżki w nieznanym kierunku. Problem porwania jednej czy dwóch osób został załatwiony przez Nosa z istic amsterdamską logiką:

– Jak można porwać jednego faceta, to można i dwóch. Może nie?

Dla świata zewnętrznego oczywiście dalej żyliśmy normalnie. Nikt, naprawdę nikt nie wiedział, co robimy. Nasze żony i dziewczyny były przekonane, że zajmujemy się handlem nieruchomościami i prowadzimy trudne, zajmujące dużo czasu sprawy: hipoteki, kupna i sprzedaży, giełdy, remonty. Swoją drogą były przyzwyczajone, żeby nie pytać o szczegóły. Nauczyliśmy je tego już w czasach Epanu, kiedy trudniliśmy się nielegalnym pośrednictwem pracy.

Rozumowaliśmy tak: czego kobiety nie wiedzą, tego nie wygadają. Wiedziałem, że jeżeli podejrzani milczą lub wypierają się wszystkiego, to detektywi przepytują mniej nieugięte osoby z ich otoczenia. Szczególnie matki oderwane od dzieci można poddać silnej presji. „Proszę złożyć wyjaśnienia, to puścimy panią do domu. Prawie wszystkie dowody już mamy...”. Niewiele kobiet potrafi się oprzeć takiej presji. Tego musieliśmy za wszelką cenę uniknąć. W końcu nie chodziło o mandat, ale o porwanie. Tajemnicę trzeba było zachować, nigdy i nikomu jej nie przekazywać. Graliśmy o nasze życie, wolność. Zdawałem sobie z tego sprawę, ale byłem święcie przekonany, że wszystko się dobrze skończy. Na razie mieliśmy jeszcze sporo do zrobienia. Musieliśmy rozwiązać kilka innych kwestii.

5 Tzw. Variomatic – bezstopniowa, automatyczna skrzynia biegów; w holenderskiej reklamie nazywano ten system „sprytną dźwignią” (pienter pookje) (przyp. tłum.).

6 Gra słów: slogan koncernu AH „AH let altijd op de kleintjes” można zrozumieć dwojako: Albert Heijn zawsze pamięta o maluczkich, albo: Albert Heijn opiekuje się ciągle wnukami (przyp. tłum.).

7 Dit is de man. Dit is z'n bier. – To jest ten facet. A to jego piwo (przyp. tłum.).

8 Kerstkrans – dosłownie: wianek bożonarodzeniowy (przyp. tłum.).

Rozdział 5

Kiedy ustaliliśmy osoby i miejsce, przyszła kolej na okup. Według mnie to była najbardziej atrakcyjna część przygotowań. Bądźmy szczerzy, od tego wszystko się zaczęło. Pieniądze, stosy banknotów, miliony działały na naszą wyobraźnię. Mimo to ustalenie dokładnej sumy, jakiej mieliśmy zażądać, nie było łatwe, nawet się o to pokłóciliśmy. Już wcześniej wspominałem, że porwanie uważaliśmy za środek do wzbogacenia się. Ale co to oznacza? Co znaczy „bogaty”, czy jak to się mówi w przestępczym świecie Amsterdamu „nadziany”? Okazało się, że każdy ma inne zdanie na ten temat. Jednemu wystarczy cztery czy pięć milionów na osobę, inni uważają, że dziesięć to za mało. We wcześniejszych rozmowach była mowa o trzydziestu–siedemdziesięciu pięciu milionach guldenów, ale to było kilka lat temu. Teraz okazało się, że nawet taka duża suma jest dyskusyjna.

Frans Meijer był najbardziej chciwy. Kiedy na jednym ze spotkań zapytałem go, ile powinniśmy zażądać za uwolnienie Heinekena, nie namyślał się ani minuty.

– Sto milionów! – powiedział, jakby to była gra w monopol. – Za mniej w to nie wchodzę.

Roześmieliśmy się wszyscy. Sto milionów. Za mniej niż dwadzieścia pięć milionów na łebka ten pan nie weźmie udziału. To było nierozsądne żądanie. Za dużo. Nie jestem z natury skromny, wręcz przeciwnie, ale nie powinniśmy się z góry ośmieszać. Powiedziałem, że nie możemy tak po wariacku żądać okupu, trzeba to dobrze przemyśleć. Nie będziemy obniżać kwoty ani jej negocjować. To osłabiłoby tylko naszą pozycję. A przy stu milionach niewątpliwie by się tak stało. Według mnie Frans wcale nie zdawał sobie sprawy, jaki to magazyn papieru te sto milionów guldenów. Do tego umówiliśmy się, że odbierając okup, nie akceptujemy banknotów

tysiącguldenowych. Bałem się tak zwanego efektu Caransy. Dziesięć milionów okupu za biznesmena wypłacono w takich właśnie nominałach i w całej Holandii powstała mała psychoza. Na każdego, kto wyciągał taki banknot z portfela, patrzono podejrzliwie. Jeszcze do niedawna – mówię o roku 1982 – w gazetach pojawiały się informacje, że gdzieś wypłynęły „tysiączki Caransy”. Chcieliśmy tego uniknąć.

Byliśmy zgodni, że trzeba zażądać różnych walut. Z dwóch powodów. Po pierwsze, policja będzie niepewna narodowości porywaczy, po drugie, łatwiej je wymieniać, szczególnie za granicą. Wybraliśmy tak zwaną twardą walutę: banknoty stumarkowe, pięćsetfrankowe, amerykańskie studolarówki i holenderskie banknoty stuguldenowe.

Frans przyznał mi rację, kiedy przedstawiłem swoje argumenty, ale dalej upierał się przy tych stu milionach. Liczby z wieloma zerami latały w powietrzu. Przynajmniej werbalnie. Osiągnięcie kompromisu tego wieczoru nie było nam pisane. Dyskusja robiła się coraz bardziej gorąca i na koniec wściekły Jeż wstał, żeby wyjść.

– Jesteście bandą amatorów! Targujecie się, zamiast załatwić sprawę za jednym zamachem! Nie chce mi się w to wierzyć! Sami sobie radźcie! – wrzeszczał Frans i wyszedł, trzaskając drzwiami. Usłyszeliśmy, jak zbiega po schodach z dziewiątego piętra.

I to by było na tyle. Koniec posiedzenia. Zostaliśmy jeszcze chwilę z Janem Boellaardem i Willemem Holleederem, omawiając ostatnie problemy, kiedy zadzwonił dzwonek. Nos poszedł otworzyć i kto stał w drzwiach? Frans Meijer. Jak gdyby nic się nie stało, zapytał mnie ze stalowym wyrazem twarzy:

– Hej, Cor, masz dla mnie złotaka[9], benzyna mi się skończyła, a nie mam forsy przy sobie. Inaczej nie dojadę do Den...

Nie skończył jeszcze, kiedy Kot, Nos i ja wybuchnęliśmy śmiechem... ha, ha, ha... co za człowiek! Nie ma dwudziestu pięciu guldenów w kieszeni, ale za mniej niż sto milionów się nie ruszy!

Kilka dni później znowu uśmialiśmy się z Fransa. Jechaliśmy we czwórkę samochodem autostradą między Utrechtem a Amsterdamem i na wysokości Akademickiego Centrum Medycznego mijaliśmy olbrzymie magazyny

Heinekena. Na tym terenie stało chyba kilka milionów żółtych skrzynek do piwa, poustawianych w stosy wysokie jak domy. Jeż wskazał jeden z nich i powiedział sucho:

– Spójrzcie, możemy zażądać kaucji za to wszystko, też wypadnie sporo na łebka.

Chcieliśmy wiedzieć, o czym konkretnie mówimy, więc w tym samym tygodniu postanowiliśmy się przekonać, ile ważą pliki banknotów. Do czego to przydaje się forsa na kidnaping...

Żeby sprawę upodobnić nieco do rzeczywistości, Boellaard kupił partię drewna, z którego można było wyciąć bloczki wielkości pliku banknotów. Bardzo przydała się w tej sytuacji stolarnia na Heining. Maszyny pracowały wieczorami na pełnych obrotach, piłując kawałki drewna, strugając i szlifując. Chcieliśmy to wykonać dokładnie i precyzyjnie. Zasuwaliliśmy w pocie czoła i w ten bardzo bolesny sposób przekonaliśmy się, ile wart jest milion guldenów. Już nie mówiąc o stu milionach. Byłem bliski omdlenia. Bloczki drewnianych „banknotów” upychaliśmy w workach pocztowych, które gdzieś zdobyliśmy. Kiedy wypełniliśmy nimi pięć worków, postawiliśmy je na wadze. To był ogromny ciężar. Wskazówka wahała się w okolicach czterystu kilogramów. Zagwizdałem cicho... cholera, tyle forsy! Od tamtej nocy mówiliśmy między sobą, że bogatym jest się wtedy, kiedy nie liczy się pieniędzy, ale je waży...

Żeby się przekonać, jak sobie z tym radzić, ciągnęliśmy worki po całej fabryce, podawaliśmy je sobie, wkładaliśmy do auta, wyciągaliśmy z powrotem i chodzili kilkaset metrów w kółko. Było ciężko. Mimo że byliśmy wysportowani, musieliśmy używać całej siły. Targaliśmy te osiemdziesięciokilowe worki zadyszani i spoceni. W pewnym momencie worek Fransa Meijera podarł się i bloczki wysypały na ziemię. Zapytałem Fransa, czy teraz zgadza się ze mną, że pięć takich worków to absolutny limit. W końcu musieliśmy jeszcze uciec z tą forsą. Inaczej zostalibyśmy takim królem Midasem, który dotknięciem ręki zamieniał wszystko w złoto, ale przez to cierpiał głód. Jeż przystał na to niechętnie. Właściwie chciał odłożyć swój osąd do momentu, kiedy policzymy wszystkie bloczki i będziemy wiedzieć dokładnie, o jaką sumę chodzi. Od razu się do tego

zabraliśmy. Te czterysta kilo stanowiło w przeliczeniu trzydzieści pięć milionów guldenów minus trzysta pięćdziesiąt tysięcy! Oczywiście według ówczesnego kursu. Chodziło o cztery równe partie banknotów po pięćdziesiąt tysięcy w guldenach, markach, frankach i dolarach.

Razem dwieście tysięcy banknotów:

50 000 w banknotach 100-guldenowych f 5 000 000,-

50 000 w banknotach 100-markowych f 5 550 000,-

50 000 w banknotach 500-frankowych f 9 250 000,-

50 000 w banknotach 100-dolarowych f 14 850 000,-

RAZEM: 34.650.000,-

Wpadliśmy w euforię. No, no, ale to będzie strzał! Tylko Frans był trochę kwaśny.

– Może zrobimy z tego pięćdziesiąt milionów – próbował nas nakłonić. – Dla Heinekena nie ma żadnej różnicy. Dla nas tak, prawie po cztery miliony na łebka...

Zazwyczaj godziłem się z moim kumplem, ale nie tym razem. Bałem się po prostu, że za tę chciwość zapłacimy. Im więcej zażądamy, tym więcej czasu, wysiłku i energii będzie nas kosztowało wyniesienie wszystkiego, a to wiąże się z większym ryzykiem. Nie chciałem tego. Cała operacja była dostatecznie niebezpieczna. Dodatkowe piętnaście milionów oznaczało bowiem nie czterysta kilogramów papieru, ale ponad pięćset trzydzieści. Dwa worki więcej. Niemożliwe. Padlibyśmy pod takim ciężarem, jakkolwiek dziwnie to zabrzmiałoby. Może dla Fransa byłaby to piękna śmierć, ale ja dziękuję. Zasugerowałem, że okup powinien zmieścić się w samochodzie, najlepiej osobowym. Ktoś, kto go dostarczy, też będzie musiał zrobić to sam. Jeśli jeden człowiek z tym sobie nie poradzi, to negocjatorzy będą naciskali na dwie osoby. Dla nas stanowiło to dodatkowe ryzyko. Do tego dochodziła możliwość, że jeśli koncern użyje do transportu okupu samochodu dostawczego lub busika, to łatwo może się w nim ukryć kilku policjantów.

Samochodu osobowego nie da się zapchać pięciuset czy sześciuset kilogramami papieru. W ten sposób sami prosilibyśmy się o kłopoty. Podsumowując te rozważania, powiedziałem do pozostałych:

– Chłopaki, czterysta kilo, czyli trzydzieści pięć milionów, to jest granica. Dalej nie idę. Nie można chcieć za dużo.

Mój pogląd zwyciężył. Kot i Nos od początku się ze mną zgadzali. Meijer teraz też przytaknął, chociaż trochę protestował, żeby się od razu nie poddawać. Marudził:

– Okej, jak chcecie, ale uważam, że powinniśmy zażądać więcej.

Na co teatralnym gestem wyjąłem z portmonetki banknot dwudziestopięcioguldenowy i wręczyłem mu. Mrugając okiem do Boellaarda i Holleedera, powiedziałem do Jeżyka:

– Tutaj, przyjacielu, masz forszę na benzynę, żebyś miał za co wrócić do domu...

Ostatecznie więc stanęło na trzydziestu pięciu milionach guldenów, czyli granica ustalona kiedyś dla operacji „Rolls-Royce” nie była taka głupia. Wypadało mniej więcej po osiem do dziewięciu milionów guldenów na osobę i zależało jeszcze od kursów walutowych w następnych miesiącach. Przy takich sumach wahania mogły szybko sięgać stu tysięcy. Szczególnie ruchomy był kurs dolara. Uważaliśmy, że dla Heinekena okup tej wysokości nie powinien stanowić problemu. Wyliczyłem, że to jakieś dwa procent jego prywatnego kapitału. Porywacze Caransy, domagając się dziesięciu milionów guldenów, żądali, licząc proporcjonalnie, więcej. To pokazywało, jak gigantycznie bogaty był król piwa.

Plan porwania powoli nabierał realnego kształtu. Zbieraliśmy się codziennie. Zwykle u Willema. Tymczasem sam zamieszkałem w bloku obok, na Staalmeesterslaan 7. Odpowiadało mi to. Mieszkanie znajdowało się blisko dzielnicy, w której się wychowałem, było obszerne i nowoczesne. Kiedy czuliśmy się zmęczeni lub mieliśmy chęć coś zjeść, dzwoniłem często do mojej przyjaciółki Sonji Holleeder, siostry Willema, że zaraz przyjdziemy do niej na obiad. Zamieszkałem z Sonją, kiedy zaszła w ciążę.

Przedtem prowadziłem dość hulaszcze, można powiedzieć podwójne życie. Oprócz Sonji byłem w związku z inną dziewczyną, z którą mieszkałem

przy Bestevaerstraat. Sonja mieszkała wtedy przy Van Hallstraat, gdzie obchodziliśmy sylwestra. Kursowałem ciągle między obiema paniami. Z jednej strony było to podniecające, ale z drugiej męczące i niemiłe dla kobiet, które starały się zatrzymać mnie przy sobie. Ciągłe problemy z urodzinami, świętami, weekendami i wakacjami. Kiedy Sonja zaszła w ciążę, zdecydowałem się zamieszkać z nią przy Staalmeesterslaan. Uważałem, że powinienem wziąć odpowiedzialność za nią i mające się narodzić dziecko, przestać myśleć tylko o sobie. Wyszło mi to na zdrowie, stałem się spokojniejszy.

Spotykaliśmy się też na Heining, ale tylko wieczorami albo w weekendy. W ciągu dnia pracowali tam ludzie w stolarni, przyjeżdżali dostawcy i przedstawiciele handlowi. Ryzyko było zbyt duże. W mieszkaniu Willema nikt nie mógł nas podsłuchiwać ani nam przeszkadzać. W tym celu Nos kazał zamontować podwójne drzwi między salonem, gdzie najczęściej siedzieliśmy, a przedpokojem. Były całkowicie dźwiękoszczelne. Takie środki nie były zbyt cennym luksusem. Ostrożności nigdy dosyć.

Okazało się to kilka miesięcy później, kiedy pewnego razu siedzieliśmy i dyskutując, porozkładaliśmy na stole różne przedmioty: broń, rękawiczki, walkie-talkie, kominiarki, peruki. Nagle gdzieś blisko usłyszeliśmy trudny do zidentyfikowania dźwięk. Przestraszeni rozglądaliśmy się dookoła.

– Co to jest? Kto tam? – zapytałem.

Boellaard, który niczego nie słyszał, uspokajał nas.

– Nic takiego, chłopaki, duchy widzicie, jesteśmy na dziewiątym piętrze. Już wpadacie w panikę?

Mimo to rozglądałem się po pokoju i nagle zobaczyłem jakiś ruch za oknem – to były nogi czyszciciela szyb, który powoli przesuwał się na dół. Co chwilę stukał nimi w szkło. Przeraziliśmy się śmiertelnie i błyskawicznie schowaliśmy wszystkie rzeczy pod stół. W ostatnim momencie, chwilę potem bowiem uśmiechaliśmy się uprzejmie do zaglądnącego z zaciekawieniem do środka chłopaka.

Mieszkanie Willema było wygodne i starannie urządzone. Przyjemnie się tu obradowało. Miał ładne meble, solarium, sprzęt sportowy i telewizor z wideo. Nawet jeśli nie przygotowywaliśmy planów, to spędzaliśmy miło

czas. Ja chętnie opalałem się w solarium, Jeż leżał na kanapie, oglądając na wideo zawsze ten sam film: *Ojca chrzestnego* z Marlonem Brando. A jeśli oglądał jakiś inny film, to był to *Ojciec chrzestny II*. Nigdy nie miał ich dosyć. Myślę, że obejrzał je ze dwieście razy. I za każdym razem z entuzjazmem włączał wideo, uciszając nas, żeby móc usłyszeć, co mówią aktorzy.

W celu wprowadzenia w błąd policji, dla większego bezpieczeństwa, postanowiliśmy podczas uprowadzenia i negocjacji udawać Niemców. W kryjówce na Heining, o ile w ogóle mieliśmy się odzywać do Heinekena i Doderera, to wyłącznie w tym języku. Mieliśmy zamiar użyć typowo niemieckich rzeczy i w ten subtelny sposób zostawić kilka mylnych śladów. Przez chwilę zastanawialiśmy się, czy nie dodać politycznego tła do kidnapingu i nie podać się za Frakcję Czerwonej Armii, Grupę Baader-Meinhof albo jakąś „nową” organizację. Detektywi straciliby niewątpliwie mnóstwo czasu na prześwietlenie rozmaitych ekstremistów i radykalnych odłamów. Jednak odrzuciliśmy ten pomysł. Już wcześniej ustaliliśmy, że nie chcemy żadnych ofiar, aby nie spowodować zaangażowania w akcję różnych służb bezpieczeństwa. W takim razie nie powinniśmy prowokować ich sami, nawet na niby. Mogliśmy skierować policję na mylny trop innymi metodami. To była sprawa na później.

Wracając do okupu – chcieliśmy zażądać prawie trzydziestu pięciu milionów. W jaki sposób je odebrać? Bezpiecznie. Oczywiście musieliśmy pozostawać niewidzialni. Porwanie nie miało sensu, jeśli nie wiadomo było, jak tę sprawę załatwić. Właściwie to był najtrudniejszy aspekt całego przedsięwzięcia. Zgarnąć kogoś z drogi nie jest sprawą trudną, ale potem... Kontakt z negocjatorami był śmiertelnie niebezpieczny, ale konieczny. W pewnym momencie musieliśmy stanąć z nimi oko w oko, żeby odebrać pieniądze. Detektywi mogli nas podglądać i podsłuchiwać.

Nad tym punktem przygotowań mocno się napociłem i nagłowiłem. To było najsłabsze ogniwo łańcucha. Jak, do cholery, zrobić to dobrze? Na Staalmeesterslaan rozprawialiśmy o tym we czwórkę bez końca, nie wiem, ile pomysłów rozpatrzyliśmy. Nieprawdopodobne, niemożliwe, nierozsądne, ryzykowne, niebezpieczne, niewykonalne metody były dyskutowane przez wiele godzin. Musiał być jakiś sposób! Teraz również wróciliśmy do

pomysłu, aby zażądać nie tylko pieniędzy, ale też złota i diamentów. Wtedy, jak to mówił Jeż, mogliśmy „przy okazji” domagać się większej sumy.

Po pobieżnym zbadaniu cen złota szybko go sprowadziłem na ziemię. Gdybyśmy mieli trzydzieści pięć milionów guldenów w złocie, to w tamtym czasie taka ilość złota ważyłaby około tysiąca kilogramów. Dwa razy więcej niż pieniądze papierowe. Dużą zaletą kruszcu było to, że można go przetopić. A przy pieniądzach papierowych obawialiśmy się problemów z – być może oznakowanymi – numerami seryjnymi. Diamenty też nie były dobrym rozwiązaniem. Istniało duże prawdopodobieństwo, że dostaniemy w ręce szlifowane szkło. Nie moglibyśmy wykonać sami ekspertyzy, a gdyby się wydało, że zapłacono nam diamentami, mielibyśmy trudności z ich sprzedażą. Właściwie szkoda, bo taki kilogramek diamentów można łatwo przewieźć i ukryć. To jest uniwersalny środek płatniczy. Można go używać na całym świecie. No dobrze, ale co w takim razie zrobić? Może jednak zażądać banknotów tysiącguldenowych? Łatwo je zainkasować i pakunek zrobiłby się leciutki. Jeden banknot zamiast dziesięciu stówek. Później jednak mielibyśmy tylko same problemy. Banknotu stuguldenowego albo stumarkowego nikt nie ogląda, ale tysiąc obracają w rękach po trzy razy. Nie, lepiej jednak nie.

Willem proponował posłanie jakiegoś pośrednika na policję, który mógłby prawie jawnie odebrać okup. Dość brutalny sposób, ale efektywny. Człowiek ów wróciłby bez problemów, bo my mielibyśmy jeszcze zakładników w rękach, a pieniądze mogły być przekazane w tajnym miejscu. Pośrednik zostałby potem prawdopodobnie zidentyfikowany, ale jeśli nic by nie wiedział o zleceniodawcach i ich miejscu pobytu, nie mogliby mu nic zrobić. Dlatego musiał to być ktoś, kto pochodził z naszego środowiska, godny zaufania, ale nieznający nas osobiście.

Po licznych dyskusjach doszliśmy do wniosku, że to szukanie igły w stogu siana i lepiej zrezygnować z tego pomysłu. Teoretycznie dobre rozwiązanie, ale nie do wykonania. A gdyby tak prysnął z całą forszą? Nie chcieliśmy ryzykować.

Frans Meijer wpadł na pomysł złożenia okupu w łodzi, na brzegu jakiejś łatwo dostępnej rzeki lub kanału na polderze. Jak tylko pieniądze znajdą się

w łodzi, to my przeciągniemy ją za linę na drugą stronę, gdzie będziemy siedzieli ukryci w zaroślach. Oczywiście nie powiedzielibyśmy negocjatorom od razu, w jakiej rzeczce mają złożyć pieniądze, ale poinformowalibyśmy ich w inny sposób. Na przykład listownie lub telefonicznie. W krytycznym momencie policja znajdowałaby się po drugiej stronie rzeki. W pobliżu nie mogło być żadnego mostu. A my byśmy się szybko zwinęli. Uważałem ten plan za zbyt prosty, ale miał kilka punktów, nad którymi należało się zastanowić. Wróciliśmy do porzuconego projektu z zasysaniem: sprężarka, rurki i tak dalej. Ponieważ byliśmy urzeczeni tym pomysłem, pojeździliśmy jeszcze po okolicy, szukając odpowiedniego miejsca, gdzie można by założyć taką instalację. Myśleliśmy o przebraniach robotników i chcieliśmy zakopać te rury wzdłuż jakiejś drogi. W dniu przekazania pieniędzy musielibyśmy tylko podłączyć kompresor. Plan był całkiem dobry, nawet wyjątkowy i innowacyjny, ale po długich rozważaniach stwierdziliśmy, że jest zbyt niebezpieczny i odrzuciliśmy go.

W ten sposób wróciliśmy do pomysłu z łodzią. Dokładnie mówiąc: z barką mieszkalną. Jeszcze dokładniej: z kradzioną barką mieszkalną. Plan mieliśmy następujący: Najpierw ukradniemy albo polecimy ukraść taką barkę i przycumujemy ją trochę zakamuflowaną na kanale Amsterdam-Ren. Następnie wybudujemy niewidoczne wejście, drogę albo tunel łączący ją z lądem, tak żeby nikt w kluczowym momencie nie widział, że na nią wchodzimy, nawet gdybyśmy byli śledzeni. Potem odpłyniemy powoli, a po drodze sprawdzimy, czy w pieniądzach z okupu nie ma ukrytych nadajników. Następnie przepakujemy je w beczki z ciężarkami, które spuścimy do wody. Beczki mieliśmy jeszcze opakować w ołów, żeby zakłócić ewentualne sygnały. Później, kiedy już niebezpieczeństwo minie, będziemy mogli je znowu wyłowić.

Do tego planu też mieliśmy zastrzeżenia. Kanał Amsterdam-Ren był czasami wzburzony i istniało niebezpieczeństwo, że nie będzie można odpłynąć. A jeśli śledczy w jakiś niefortunny sposób odkryją, że jesteśmy na tej barce, to w takiej powolnej, ociążalej krypie nie mieliśmy żadnych szans.

Innym rozwiązaniem był plan, że każemy samym negocjatorom przynieść pieniądze i wrzucić je do wody, a my w strojach nurków

przechwycimy je na dnie. Łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Byłoby ciężko manewrować pod wodą wielkimi paczkami z pieniędzmi, jeszcze dodatkowo obciążonymi. Poza tym musielibyśmy zawczasu zażądać, żeby pieniądze były zapakowane w wodoszczelne, obciążone pojemniki. Policja mogłaby się czegoś domyślić. Rozważaliśmy zatem sabotaż, nurek miał poodkręcać lub zniszczyć śruby łodzi policyjnych znajdujących się w pobliżu. Ale to było trochę za skomplikowane.

Jak już mówiłem, prowadziliśmy długie i trudne rozmowy. Także męczące. Czasami pomysł wydawał się dobry na pierwszy rzut oka, ale im dłużej się nad nim zastanawialiśmy, tym więcej wykazywał wad – ku rozczarowaniu tego, kto taki plan z werwą przedstawiał i nie chciał się od razu poddawać. Nie zawsze była to łatwa sytuacja, także dla mnie, żeby przekonać kolegów, iż plan ma mankamenty lub jest zbyt niebezpieczny. Czasami rozmowy kończyły się na kłótniach. Szkoda, ale musieliśmy się z tym pogodzić. Nie mogliśmy popełnić błędu. Próby były niemożliwe. Wszystko musiało się udać za pierwszym razem i to doskonale! Każdy punkt, każde ogniwo musiało być dopracowane.

Ktoś rzucił pomysł, żeby przekazanie pieniędzy odbyło się za granicą. Odrzuciliśmy go, to byłby „mecz wyjazdowy”, a nie trzeba śledzić ligi piłki nożnej, żeby wiedzieć, iż większość takich meczów kończy się przegraną. Musieliśmy zostać na swoim terenie. Za granicą nawet detektywów i ich samochodów nie można rozpoznać. W Holandii, a szczególnie w Amsterdamie, nie musieliśmy się tym martwić. Oprócz kilku drobnych incydentów nie mieliśmy kłopotów z policją, ale dzięki mediom znaleźliśmy jej metody działania i na ogół umieliśmy wyłowić agentów.

Żeby nie zatrzymywać się wciąż na pytaniu „jak”, zmieniliśmy pytanie na „gdzie”. Zapropnowałem, aby w miarę możliwości przekazanie okupu nastąpiło w środku kraju. Najlepiej w okolicach Utrechtu. Ustaliliśmy, iż odbierając go, nie możemy stanąć oko w oko ze stroną przeciwną. Musieliśmy wymyślić sposób, który umożliwi uniknięcie bezpośredniego kontaktu. W sprawie Caransy przekazanie pieniędzy odbyło się w centrum miasta, dwie osoby na motorowerach, dla niepoznaki w kaskach, przejęły dziesięć milionów guldenów. Uważałem, że to ryzykowna operacja. Udała

się, bo to było pierwsze uprowadzenie w Holandii, ale policja też już zmyślała i woleliśmy się trzymać od niej z daleka.

Całej naszej czwórce odpowiadała koncepcja, że osoba, która dostarczy okup, pozostanie przez długi czas w niepewności co do miejsca transakcji. Detektywi będą ją na pewno dokładnie śledzili. Możemy im to utrudnić, kazać takiej osobie długo jeździć, najlepiej po opuszczonych drogach. Na przykład wcześniej rano albo późnym wieczorem. Na początku wszyscy są bardzo skoncentrowani, ale jeśli jazda trwa dostatecznie długo, to człowieka ogarnia znużenie i uwaga spada. Wtedy musimy działać. Umówiliśmy się, że Frans i Willem pokręcą się po okolicach Utrechtu i zinwentaryzują wszystkie możliwości. Popatrzą, posłuchają, wypróbują. Ja miałem zająć się mapą Holandii, żeby wyznaczyć dla negocjatora trasę, która po ogromnych objazdach doprowadzi go do nas.

– Przygotuj jakąś ładną trasę rajdową, zawsze byłeś w tym dobry – powiedział Jan Boellaard.

Każdy miał swoje wyznaczone zadanie. Jez i Nos byli ciągle w drodze, a z rana obserwowali willę Heinekena na Boerhaaveweg 20 w Noordwijku. To poranne zadanie stało się rutyną. Willem jeździł codziennie, nawet w weekendy. Musieliśmy wiedzieć o każdym szczególe, każdej zmianie, nawet najmniejszej. Być przygotowani na wszystko. W dniu porwania nic nie mogło nas zaskoczyć. Zabrałem się do pracy, przygotowania trasy i związanych z tym szczegółów, a Kot miał się zająć sprawami technicznymi. Przede wszystkim kwestią zainstalowania zbiornika w ziemi.

I tu mieliśmy problem. Duży zbiornik nadawał się do naszych celów, ale metr pod ziemią dopływ powietrza był ograniczony. Niewystarczający. Pod ziemią miało przebywać bez przerwy dwoje, troje ludzi. Boellaard pytał na prawo i lewo, jakie są możliwości zwiększenia dopływu tlenu, ale to była trudna sprawa. Zdał sprawozdanie na naszym codziennym spotkaniu:

– Ten zbiornik to porażka, przeliczyliśmy się. Zbadałem wszystkie możliwości, ale bez generatora pracującego bez przerwy nie można dostarczyć odpowiedniej ilości tlenu, a chyba nie o to nam chodzi – oświadczył ponuro.

Nie, nie o to! Włożyliśmy tyle wysiłku w wymyślenie sposobu, jak ukryć

dwóch mężczyzn w niewidocznym miejscu i mielibyśmy postawić obok warczący silnik?... Już słyszałem w myślach pytania: Co to, dlaczego ten wąż znika pod ziemią? Neeee... to było jak proszenie się o wpadkę. Według Kota jedynym rozwiązaniem, o jakim mogliśmy jeszcze pomyśleć, były butle tlenowe używane przez nurków. Poroniony pomysł jak dla mnie. Ile takich butli potrzeba na dzień? I skąd je brać bez zwracania uwagi? Uważałem, że jest to też niebezpieczne rozwiązanie. Szybko mogło coś pójść nie tak i wtedy będziemy mieli niezłą zadymę.

Byłem wściekły. Cholera jasna, ten zbiornik kosztował osiem czerwonońców[10] z kasy na porwanie, a teraz nic z tego. Wyrzucałem sobie, że nie pomyślałem o tym wcześniej, chociaż sprawa była oczywista. Zapytałem Boellaarda, czy może się jeszcze go pozbyć.

– Tak, może za cenę złomu, ale nie dostaniemy za niego więcej niż tysiąc guldenów – odparł. Podniosłem brwi ze zdziwienia, jak to możliwe, że takie grosze. Trochę zrzędliwie powiedziałem:

– No, jak tak dalej pójdzie, to rzeczywiście będziemy musieli zażądać więcej pieniędzy. Wyjdzie, że Jeź miał rację.

To była kosztowna pomyłka, na pewno, ale można ją było przeboleć. Takie rzeczy się zdarzają. Właściwie powinniśmy się cieszyć, że sprawa wyszła na jaw w odpowiednim momencie. Błędy lepiej robić teraz niż potem. Boellaard jako posłaniec złych wiadomości znalazł jednak od razu rozwiązanie problemu. Niby gdzie i jak mieliśmy tych dwóch zakładników więzić? To pytanie było trudniejsze niż stracone osiem tysięcy.

– Dlaczego po prostu nie zbudować w baraku dwóch cel? – zauważył Kot.
– Wtedy nie będzie problemu z tlenem. Mogę cię zapewnić, że potrafimy to zrobić i pies z kulawą nogą ich nie znajdzie.

Spojrzałem na niego zdziwiony. Chciałbym to zobaczyć. Zbudować cele, których nikt nie będzie widział. To byłby ósmy cud świata. Jan widocznie myślał o tym dłużej, bo kiedy zobaczył nasze zainteresowanie, wyciągnął z kieszeni złożoną karteczkę ze szkicem.

Moje oczy powędrowały na ten paperek. Od razu było widać, że to przekrój baraku. Boellaard wyjaśnił:

– Zobaczcie, wymyśliłem, że z tyłu zrobimy drugą ścianę, tak żeby ktoś

nieznający pomieszczenia sądził, że barak na niej się kończy. Za tą ścianą zbudujemy dwie cele, które doskonale wyizolujemy trocinami i odpadkami z piłowania. Kiedy ktoś wejdzie nieoczekiwanie do środka, nic nie będzie widział. Nie zauważy, że pomieszczenie jest krótsze o jakieś cztery metry w stosunku do wymiarów zewnętrznych. Przy czterdziestu dwóch metrach długości to wcale się nie rzuci w oczy. Podobny system zastosowano w domu Anny Frank. Musimy tylko wstawić drzwi, których nie będzie widać. Zajmie to trochę czasu, ale da się zrobić. I w ten sam sposób wykończymy drugą stronę baraku. No, jak wam się podoba?

Kot patrzył na nas triumfalnie. I miał rację.

Szturchnąłem go w bok i podekscytowany pokazałem kciukiem. To było to!

– Kot, prawdziwy stolarz z ciebie! – powiedziałem, wiedząc, że nie lubi tego tytułu.

Jak go tak nazywałem, to korygował mnie zawsze: „Przedsiębiorca, Flip, przedsiębiorca... mam dyplom, chłopie”. Z dyplomem czy nie, odwalił kawał dobrej roboty. Szczerze podziwiałem Kota. Naprawdę dobrze to wymyślił. Frans i Willem również nie mieli żadnych uwag. Zbudowanie tej ściany i celi nie powinno przedstawiać żadnych trudności. Mieliśmy wszystkie potrzebne maszyny, jeszcze niedawno przecież byliśmy właścicielami dużej firmy budowlanej. Taka robota to łatwizna.

Jan miał też pomysł, jaki kształt powinny mieć cele. Na odwrocie kartki ze szkicem narysował szybko kilka kresek. Przedstawiały one pomieszczenie za niezbudowaną jeszcze ścianą, z korytarzykiem pośrodku i dwiema celami po obu stronach. Przejście zamykały podwójne drzwi. Cele miały mieć razem wymiary trzy i pół na osiem i pół metra. Co było łatwe do wykonania, bo barak miał dziesięć metrów szerokości. Przyjęliśmy projekt jednogłośnie. Orzekłem, że to doskonale zakwaterowanie, choć nie Hilton.

– W każdym razie każdy z nich będzie miał swój pokój.

Frans oczywiście natychmiast znalazł okazję, żeby mi dogryźć:

– W takim razie, Cor, uważam, że powinniśmy podnieść cenę...

Z tymi wszystkimi planami nadszedł czas na zrobienie odpowiednich zakupów. Trzeba było zgromadzić materiały do zbudowania celi, ale i inne

artykuły potrzebne w trakcie porwania: maszynę do pisania, papier, materace, peruki do przebrania, narzędzia, sprzęt radiowy, walkie-talkie, toalety chemiczne, koce, aparaturę do nagrywania, broń, amunicję, aparat fotograficzny, kajdanki, ubranie i wiele innych.

Byłem zdania, że powinniśmy mieć te wszystkie rzeczy w domu na długo przed porwaniem. Możliwe, że w telewizji będą pokazywać niektóre z tych przedmiotów i sprzedawca mógłby sobie przypadkiem przypomnieć, jak wygląda osoba, która je kupowała. Im dawniej to było, tym trudniej będzie mu to zrobić. Poza tym chcieliśmy jak najwięcej potrzebnych rzeczy kupić w Niemczech. To miało wzmocnić wrażenie, że sprawcy pochodzą z tamtego kraju. Robienie zakupów powierzyliśmy Willemowi. Dostarczaliśmy mu listę potrzebnych rzeczy, a on wykreślał z niej kolejne pozycje. Prawie co tydzień – mówię o lecie i jesieni 1982 roku – kursował swoim saabem turbo do Niemiec i nabywał co potrzeba w dużych centrach handlowych z materiałami budowlanymi. Zaczął od tego, co było niezbędne do konstrukcji cel. Strona wewnętrzna widoczna dla Heinekena i Doderera miała być wyłożona białymi płytami z dziurkami. To był nie tylko gładki materiał, ale również dźwiękoszczelny. Cele musiały być zbudowane z trwałych materiałów i nie mogły mieć żadnych znaków szczególnych łatwych do zapamiętania.

Wiedziałem, że Caransa w czasie uwięzienia zdołał ukryć w swoim ubraniu włókna z zasłon i dywanu. To była dla nas nauczka. Z tego względu ustaliliśmy, że zakładnicy nie mogą nosić swojego ubrania, ale dostaną od nas piżamy, które odbierzemy im w dniu uwolnienia. W ten sposób nie będą mogli nic przemyścić na zewnątrz. Gdyby mimo to udało im się wynieść kilka drzazg ze ściany, to badania laboratoryjne ustaliłyby, że materiał pochodzi z Niemiec.

Resztę budulca do wykorzystania, od strony zewnętrznej, mogliśmy kupić zwyczajnie w Amsterdamie. W Heining mieliśmy stolarnię, więc nie rzucało się to w oczy. Boellie, „architekt” projektu, rozrysował na papierze kompletny bunkier. Na podłogę miał być wylany beton, a w nim zatopione specjalne metalowe maty, co uniemożliwiałoby wykopanie drogi ucieczki. Sufit miał się składać z grubej warstwy zbrojonego betonu, a ściany, według Kota,

należało zbudować z betonowych bloków B3, każdy z nich ważył czterdzieści kilogramów. Wokół nich w odległości sześćdziesięciu centymetrów miała powstać następna ściana. W niej ukryto by rurę podłączoną do maszyn piłujących, i w ten sposób cała przestrzeń wypełniłaby się trocinami. Dla pewności Boellie mur zewnętrzny chciał pokryć specjalnymi, dźwiękoszczelnymi matami. Fort Knox^[11] wysiadał przy tej konstrukcji.

Trochę się podśmiewałem z Kota:

– O Boże, Janie, boisz się, że Clint Eastwood albo Sylvester Stallone tu przyjadą? – zapytałem. – Za kogo ty uważasz Heinekenka i Wianka?

Boellaard zareagował z niewzruszonym spokojem.

– Jak ty swoją pracę wykonasz równie dobrze, to nie będziemy mieli żadnych kłopotów.

Na razie nie powinni się o to martwić. Dzień i noc myślałem bez przerwy o sposobie przekazania okupu i trasie rajdu, jaki miał poprzedzić ten moment. Poza tym potrzebowaliśmy broni, w tym celu nawiązałem kontakty z podziemnym światkiem Amsterdamu. Udało mi się zrobić to szybciej i łatwiej, niż myślałem. Historie z popularnych czasopism o tym, że w każdej kawiarni można kupić kałacha, nie były przesadzone. Muszę dodać, że od czterech lat należeliśmy do związku strzeleckiego, więc wiedzieliśmy, o czym rozmawiamy, znaliśmy też całe środowisko. Prawie w każdą środę można nas było znaleźć na strzelnicy Osdorp, na Overtoom w Amsterdamie. Jan znakomicie posługiwał się każdym rodzajem broni. W domu miał szafę z imponującą kolekcją nagród. Nikt nie miał szansy z nim wygrać. Zapisywał się i zwyciężał w krajowych zawodach strzeleckich, w których uczestniczyli teoretycznie lepsi od niego zawodnicy z policji krajowej i miejskiej. Jan nie tylko dobrze strzelał, ale lubił też kowbojskie ubrania. Chciało mi się czasami śmiać, kiedy przychodził w kapeluszu i butach rodem z westernu oraz koszuli z bola-krawatem. „Kowboj Jan” – podśmiewaliśmy się z niego, ale kiedy stawał na strzelnicy, mieliśmy szacunek dla jego celności.

Dzięki pośrednikowi, którego nazwiska ze zrozumiałych względów nie wymienię, mieliśmy w ciągu miesiąca cały arsenał broni do wyboru. Pistolety, rewolwery, karabiny maszynowe i granaty ręczne. No, te ostatnie to trochę przesada. Po ścisłych konsultacjach kupiliśmy w końcu: rewolwer

Colt Python magnum kalibru 357; dwa pistolety FN^[12] typu high power, kalibru 9 mm; pistolet Walther, model P38, również kalibru 9 mm i dwa uzi oraz duży zapas magazynków oraz setki sztuk odpowiednich nabojów.

Cały ten zapas „żelastwa” dostaliśmy za siedem i pół tysiąca guldenów. Oczywiście zapłaciliśmy gotówką z kasy na porwanie. Od pośrednika chciałem się jedynie dowiedzieć, skąd pochodzi. Nie miałem ochoty, żeby nam wlepił broń używaną do Bóg wie jakich operacji, bo gdyby coś się nie udało, to mogliby nas jeszcze tym obciążyć. Siedzenie w pudle jest już i tak okropne, ale za innych to w ogóle kanał. Człowiek zapewnił nas jednak, że wszystko jest *clean* i według niego pochodziło z Belgii. Musiałem mu wierzyć na piękne oczy, gwarancji żadnej nie było. No cóż, tak to jest w takich „interesach”.

Chcąc zapoznać się nieco z tą bronią, zabieraliśmy ją na strzelnicę, co było oczywiście zabronione. Następnie po cichu dokonywaliśmy podmiiany. Nikt tego nie zauważył, przede wszystkim dlatego, że Boellaard był kimś w rodzaju komisarza, a ponieważ zdobył wiele nagród, cieszył się powszechnym uznaniem. W ten sposób mogliśmy poćwiczyć do woli. To była naprawdę dobra broń. Miałem nadzieję, że nie będzie trzeba jej używać, ale musieliśmy być przygotowani na wszystko. W nagłych przypadkach trzeba było przynajmniej umieć wykonać strzał ostrzegawczy. I musiało to wyglądać groźnie. Każdy powinien się bać. W takiej operacji nie można używać straszaków. Po wypróbowaniu broni włożyliśmy ją do skrzynki i zakopaliśmy w baraku. Na czas akcji mogliśmy ją stamtąd znowu wyjąć. Musieliśmy się z nią ostrożnie obchodzić, bo była kradziona i nie mieliśmy na nią pozwolenia. Gorzej, mogliśmy stracić w ogóle pozwolenie na broń, gdyby ktoś to odkrył.

Inne prace, jak obmyślenie trasy, też powoli posuwały się do przodu. Po długim namyśle wydawało mi się, że znalazłem całkiem dobre rozwiązanie. Przynajmniej w ogólnym zarysie. Według mnie powinniśmy negocjatorowi kazać jeździć po całej Holandii. Może z północy na południe. Kilkaset kilometrów. A po drodze musiał w jakiś sposób otrzymywać informacje, dokąd i jak ma dalej jechać. Jak? Tak, to było trudne pytanie, ale myślałem o poleceniach pisemnych, które mieliśmy dzień wcześniej gdzieś podłożyć

albo zakopać. Planowaliśmy uderzyć dopiero pod koniec tej trasy, kiedy kierowca będzie zdezorientowany co do momentu przekazania okupu. Ten człowiek nie mógł dużo wcześniej wiedzieć, gdzie ma zdeponować pieniądze. Musiał być zaskoczony, bo doskonale wiedziałem, że policja zainstaluje w samochodzie specjalną aparaturę, która pozwoli im śledzić ruchy auta, nawet gdyby stracili ślad na drodze. Prawdopodobnie będą mieli kontakt radiowy i będą mogli z nim rozmawiać. A więc ostatnie polecenie musiało być przekazane tuż przed transferem pieniędzy. Żeby nikt nie zdążył interweniować.

Po zastanowieniu znalazłem możliwe rozwiązanie. W trakcie rajdu powinniśmy facetowi kazać zamienić samochód na uprzednio ukradzione przez nas i podstawione wcześniej auto. Powinno w nim znajdować się jakieś walkie-talkie nastawione na konkretną częstotliwość, na której będziemy wydawać polecenia. W ten sposób możemy w ostatnim momencie określić miejsce przekazania okupu. Plan należało jeszcze dopracować w szczegółach, ale teoretycznie pomysł był dobry. Pozostali zgodzili się ze mną, nie mieli żadnych uwag krytycznych, poza pytaniem, jak sobie poradzimy z walkie-talkie? Tego oczywiście jeszcze nie wiedziałem, ale to była dobra podstawa do dalszej pracy. Trzeba gdzieś zacząć, inaczej nigdy się do niczego nie dojdzie. Willem miał podczas następnej wycieczki do Niemiec rozejrzeć się za walkie-talkie i aparaturą radiową. Pozostawał jeszcze problem, jak i gdzie w końcu ma się naprawdę odbyć przekazanie okupu, tak aby jego dostarczyciel nas nie widział. Plan z walkie-talkie mógł nam w tym pomóc, ale jeszcze go nie przemyślałem do końca. To była praca na najbliższą przyszłość.

Wiedzieliśmy naturalnie, jaki ma być rezultat końcowy, ale kolejność spraw do załatwienia ciągle się mieszała. Nie dlatego, że byliśmy tacy chaotyczni, po prostu jedne sprawy można było zorganizować łatwiej niż inne. Za każdym razem posuwaliśmy się jednak o kilka kroków do przodu. I o to chodziło. W końcu dojdziemy do celu. Tak sądziłem. Niestety niedługo potem wydarzyło się coś, co raptownie wstrzymało operację „Heintje”, czyli „Heinekenek”, jak ją nazywaliśmy między sobą[13]. I nawet ja miałem wątpliwości, czy do niej kiedykolwiek wrócimy.

9 Geeltje – dosł. żółtak, popularna nazwa banknotu dwudziestu pięciu guldenów, w kolorze żółtym (przyp. tłum.).

10 Osiem tysięcy, od koloru banknotów (przyp. tłum.).

11 W Fortcie Knox przechowuje się złoto banku federalnego Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

12 Produkowany przez belgijskie zakłady Fabrique Nationale (FN) (przyp. tłum.).

13 Heintje to zdrobnienie od Hein – Heineken (przyp. tłum.).

Rozdział 6

Stało się to we wtorek 30 listopada 1982 roku. Siedziałem z Sonją około wpół do dziesiątej rano przy stole kuchennym nad śniadaniem i jak zazwyczaj wziąłem do ręki gazetę. Podgryzając chleb, zerkalem, co nowego się wydarzyło. Prawie natychmiast się zakrztusiłem. Moje oczy jak magnes przyciągał tytuł pośrodku strony:

ŻĄDANIE DWÓCH MILIONÓW OKUPU
ZA UPROWADZONĄ KOBIECĘ

A pod spodem małymi literami:

ŻONA DYREKTORA SIECI HOTELOWEJ

Zanim się zorientowałem, zakląłem głośno:

– Cholera, szlag by to trafił! – Sonja siedząca naprzeciwko mnie popatrzyła z przestraszaniem.

– Co się stało? – spytała zdezorientowana. Wiedziałem, że zachowałem się niezbyt logicznie i odpowiedziałem prawie normalnym tonem. – Porwali kobietę za okup...

Odwróciłem gazetę do niej, żeby mogła zobaczyć historię. Było tam także zdjęcie porwanej. Sonja nadal nie rozumiała mojej ostrej reakcji, bo odezwała się:

– No to co z tego, musisz przez to kląć?

– Przepraszam, Box – mruknąłem i czytałem dalej w napięciu.

Tak jak wszyscy w moim otoczeniu, Sonja też miała pseudonim, nazywałem ją zawsze Boxer Boxie, albo po prostu Box, ponieważ w młodości

uprawiała kickboxing i była w tym całkiem dobra.

Według relacji z „De Telegraaf”: „jeden lub kilku nieznanych sprawców uprowadziło pięćdziesięcioletnią żonę dyrektora sieci przydrożnych restauracji Van der Valk. Została ona porwana w nocy z piątku na sobotę z mieszkania w Nuland” – przeczytałem.

Krew krążyła mi szybko żyłach. Czułem się jednocześnie zły, podniecony i zawiedziony. Mózg pracował na pełnych obrotach. Jacy idioci to zrobili? Co to znaczyło dla nas? Co teraz? Mamy o wszystkim zapomnieć?

Nie chciałem wzbudzać dalszych podejrzeń u Boxie, więc zjadłem śniadanie, chociaż mi wcale nie smakowało. Pod pretekstem, że się śpieszę na jakieś spotkanie, wyszedłem zaraz i pojechałem prosto do Willema. Właśnie wrócił z rutynowej trasy do Noordwijku i jeszcze o niczym nie wiedział. Jego pierwsza reakcja była taka sama jak moja...

Z mieszkania Willema zadzwoniłem do Fransa Meijera i Jana Boellaarda, zapytałem, czy mogą natychmiast przyjechać. Po niecałej godzinie siedzieliśmy razem i czytaliśmy gazetę na nowo. Teraz radio również donosiło o porwaniu. Okazało się, że Toos van der Valk została uprowadzona kilka dni temu, ale detektywi nie podawali tej wiadomości ze względów taktycznych. Dobrze znałem sieć Van der Valka. W całym kraju stały motele, które miały w logo coś w rodzaju papugi^[14]. Zdroworozsądkowo myśląc, ta osoba jak najbardziej kwalifikowała się do porwania.

Ale my byliśmy ogromnie rozczarowani. Taka sprawa teraz bardzo nam nie pasowała. Uwaga wszystkich zostanie skupiona na przestępstwie, a co gorsza istniała spora szansa, iż Heineken może wzmocnić lub zmienić swoją ochronę. Wtedy trzeba będzie zaczynać wszystko od nowa. O ile w ogóle zaczniemy, bo nie widziałem rozwiązania tej sytuacji. Powiedziałem kolegom, że musimy wstrzymać wszystkie prace i przygotowania. Nie miałem ochoty dalej się w to bawić, kiedy cała holenderska policja została postawiona na nogi. Rozeszliśmy się w złych humorach. Za długo pracowaliśmy nad tym projektem i za dużo pieniędzy zainwestowaliśmy w przygotowania, żeby to sobie odpuścić.

Przez następne tygodnie śledziliśmy uważnie wszystkie wydarzenia zarówno z powodu naszych własnych planów, jak i ciekawości, co zrobią

porywacze. Początkowo nie rozumiałem, dlaczego uprowadzili kobietę. Uważałem, że to tchórzostwo. Później dowiedziałem się, że właściwie zamierzali porwać jej męża, ale podczas nocnego napadu nie zastali go w domu. Niejako z konieczności zabrali ze sobą obecną na miejscu panią Van der Valk. Mimo że na żądanie kidnaperów gazety ograniczały podawanie informacji, ujawniono, że porywacze zażądali dwunastu i pół miliona guldenów. Na co natychmiast narazili się na szyderczą uwagę Fransa Meijera, który z wyraźną pogardą w głosie wykrzyknął: „Co za dyletanci!”.

Siedemnastego grudnia, czyli po dwóch tygodniach, Toos van der Valk została uwolniona, a porywacze aresztowani. Okazało się, że byli to Włosi, przetrzymywali ją w mieszkaniu w Belgii. Odetchnąłem. Zmartwiłbym się bardziej, gdyby to byli Holendrzy albo ktoś z Amsterdamu. A tak można było jeszcze myśleć, że tylko obcokrajowcy są zdolni do czegoś takiego. Zwłaszcza Włosi – no, wszyscy wiedzą, że Włosi w takich sprawach przodują. Tam prawdopodobnie wymyślono to przestępstwo.

Dziwne, ale poczułem się naprawdę szczęśliwy, kiedy pani Van der Valk wyszła z tego żywa. Wcale nie dlatego, że przy złym zakończeniu nasze plany byłyby niewykonalne, tylko tak zwyczajnie, po ludzku. Przez dwa i pół tygodnia cała Holandia śledziła wydarzenia w napięciu i byłem zadowolony, że ona i rodzina przeszli przez ten test bez szwanku. Kiedy wieczorem pokazano ją na moment w telewizji i załamany głos powiedział, że dziękuje wszystkim za współczucie, sam miałem ściśnięte gardło. Przez moment pomyślałem: do czego ja się właściwie zabieram? Może dla wielu to niewytłumaczalna, niewiarygodna, niejednoznaczna postawa. Jednak fakt, że przygotowywałem porwanie, nie oznacza, że nie miałem uczuć. Jedno nie wyklucza drugiego. Chodziło tutaj o bezbronną kobietę, która niczemu nie była winna.

Minął już prawie rok od naszego osobliwego, noworocznego spotkania na Van Hallstraat. Równie długo opracowywaliśmy plany. Zainwestowaliśmy czas i pieniądze. Wiele innych pomysłów zaniedbaliśmy. Czasami miałem wątpliwości i mówiłem sobie, że zajmujemy się karkołomną sprawą, że to szaleństwo. Ale nie mogliśmy i nie chcieliśmy się zatrzymać. A teraz

wszystko, z powodu innego uprowadzenia, stawało pod znakiem zapytania. Ze względu na wszystkie święta daliśmy sobie trochę luzu. Wyjazdy z żonami, przyjaciółkami, dziećmi – o ile to kogoś dotyczyło. Tylko Frans Meijer i Jan Boellaard byli oficjalnie żonaci i mieli dzieci. Jeż, nawiasem mówiąc, rozstał się już z żoną i mieszkał z nową przyjaciółką Marijke, z którą też miał dzieci. Musiał więc dzielić swój czas pomiędzy obie rodziny. Oczekiwano od nich, że chociaż raz będą przyjemnie spędzać czas razem. Akurat teraz nam to pasowało. Rok był pracowity. Nie tylko z powodu przygotowań do porwania, ale i zwykłych zajęć. Na rynku nieruchomości panowała bryndza i jeśli chciało się coś więcej zarobić, to trzeba było się nabiegać. Stawało się jasne, że w nadchodzącą noc sylwestrową wrócimy do tematu porwania i podejmiemy definitywną decyzję: idziemy dalej czy się wycofujemy?

Podobnie jak rok temu jechałem 31 grudnia 1982 roku w dobrym humorze na Van Hallstraat 99. Na ulicy już stały zaparkowane samochody Willema i Fransa, a na górze zobaczyłem kapelusz kowbojski na wieszaku, który mógł należeć tylko do Kota. Jak zwykle przyjechałem ostatni. Klub stawił się w całości. Zimny dom pérignon też już czekał. Nadchodzący rok był dla mnie ważny, nie tylko w związku z planowaną akcją, ale również dlatego, że w lutym miałem zostać ojcem. Na początku czułem się trochę dziwnie, ale później bardzo mi się ten pomysł spodobał i nie mogłem się doczekać narodzin dziecka.

W przeciwieństwie do poprzedniego sylwestra nie musiałem dużo mówić. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi. To była po prostu kwestia: tak czy nie.

– Toos van der Valk wróciła do domu – zacząłem. – Pytanie, co robimy? Brniemy w to dalej? Sam początkowo uważałem, że nie ma sensu tego ciągnąć. Ale tymczasem dowiedzieliśmy się czegoś więcej o organizacji samej akcji i nie wiem, co wy o tym myślicie, ale uważam, że porwanie Van der Valk było zorganizowane w dość amatorski sposób...

Widać Jeż zgadzał się ze mną całkowicie, bo od razu wpadł mi w słowo:

– To byli dyletanci!

Roześmieliśmy się wszyscy, potem kontynuowałem całkiem poważnie:

– Słuchajcie, to nie byli Holendrzy, ale Włosi. Na meczu wyjazdowym. Porobili głupie błędy, niepotrzebnie żądali tysiącguldenowych banknotów. Ale my, chłopaki, nie bójmy się, damy radę! Potrafimy to zrobić lepiej, mądrzej i bardziej profesjonalnie. Teraz albo nigdy! To trzeba po prostu zrobić. Prosta sprawa, w przyszłym roku o tej porze albo będziemy bogaci, albo będziemy siedzieć w pierdlu. Dla mnie to jest...

Nie zdążyłem skończyć, a tu nagle korek butelki szampana wystrzelił aż pod sufit, bo Nos oblużował już na zapas druciki. Przestraszyliśmy się, zabrzmiało to jak strzał z pistoletu.

Chwilę potem wznieśliśmy entuzjastycznie kielichy i potraktowaliśmy to za dobry znak.

– Za powodzenie! Wchodzimy w to! – rzucił Willem ze śmiechem.

W 1983 roku zabraliśmy się energicznie do pracy. Wznowiliśmy obserwacje. Ja nadal pracowałem nad planem transferu pieniędzy, Boellie gromadził materiały do zbudowania celu, Frans krążył po okolicach Utrechtu i Noordwijku, a Willem, oprócz codziennych wypraw do Noordwijku, jeździł regularnie do Niemiec na zakupy. Kasa na porwanie skurczyła się o sto tysięcy, ale robiliśmy postępy. Codziennie naradzaliśmy się, a plany przybierały wyraźniejsze kształty. Myśleliśmy teraz według pewnego wzoru i zauważyłem, że mniej się sprzeczałyśmy. Ubywało docinków typu: aha, ty zawsze wiesz lepiej albo: nie marudź, przecież się na tym nie znasz... Nasze stanowiska zbliżały się. Kilka razy zdarzyło się, że któryś z nas opuszczał spotkanie wściekły: sami sobie radźcie, ja się wyłączam. A następnego dnia znowu zasiadał na skórzanych chesterfieldach Willema. Minął raptem rok, ale sporo nauczyliśmy się przez ten czas. Myślę, że w Holandii, a może i na całym świecie, nie było wielu osób, które przez tak długi czas zajmowały się przygotowaniem porwania lub czegoś podobnego. Oczywiście wolałbym zrobić to wszystko szybciej, ale dokładność, a co za tym idzie jakość operacji, zajmuje dużo czasu. Po upływie roku nadal zajmowaliśmy się wszystkim z entuzjazmem, co było dobrym znakiem. Potem często nas pytano, jak wyglądała nasza organizacja. Policja i prasa chciały się koniecznie dowiedzieć, kto był szefem, a kto podwładnym. Chciało mi się wtedy śmiać. Nas to nigdy nie interesowało. Nie tworzyliśmy grupy o określonej

hierarchii. Jedyne związki, jakie nas łączyły, to były więzy silnej przyjaźni. Byliśmy kumplami. Od lat. Każdy miał swoje talenty i swoją siłę, ale wszyscy byliśmy równi. Nikt nie potrafiłby zrobić tego sam. Nikogo z nas nie mogło zabraknąć. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Taki był punkt wyjściowy, no może z moim zdaniem liczone się nieco bardziej. To nie oznacza jednak, że każdy swój pomysł mogłem przepchnąć. Raczej to, że jeśli w czasie zebrania omawialiśmy plan, który mi się nie podobał, to najczęściej nie przechodził. A zdarzyło się i tak, że plan przedstawiony przeze mnie został odrzucony przez trzech pozostałych. W tym znaczeniu można powiedzieć, że byłem *primus inter pares*, pierwszym spośród równych sobie. Ale podkreślam jeszcze raz, sami nie przywiązywaliśmy do tego specjalnej wagi. To był po prostu naturalny proces, z którym wszyscy się pogodzili i który nie zagrażał naszej przyjaźni. Najlepszy dowód, że moją córeczkę, urodzoną 8 lutego 1983 roku, nazwałem po Fransie – Francis. Na cześć naszej przyjaźni.

Nadszedł czas, kiedy trzeba było ukraść samochody. Porwania nie wykonuje się własnymi środkami lokomocji. Powstało pytanie, kto to ma zrobić. Przecież nie mogliśmy się do tego zabrać sami. A co by było, gdyby mnie złapali? Jeździłem wtedy mercedesem 500 SE, byłem dyrektorem agencji nieruchomości i miałbym ukraść przykładowo opla kadetta? Coś by się tu nie zgadzało. To samo dotyczyło Willema, Fransa i Jana. Nawet najgłupszy posterunkowy wiedziałby, że coś tu śmierdzi.

W ten sposób powstał pomysł, żeby tę sprawę załatwił mój młodszy, przyrodni brat Martin Erkamps. Miał firmę świadczącą usługi sprzątania, która pracowała również dla nas. Był zawsze fajnym, niezawodnym facetem. Lubilem go. Był nie tyle przyrodnim bratem, ile przyjacielem. Nazywałem go zawsze Hamulec, lub Hamulczyk, bo często postępował zachowawczo bądź naiwnie, przez co pewne sprawy traciły na szybkości.

W marcu 1983 roku zaprosiłem go na wieczór do mnie. Boxie była akurat w domu, a ja nie chciałem, żeby coś usłyszała, więc poszliśmy na spacer do parku Rembrandta za naszym blokiem. Spytałem, czy praca mu odpowiada i czy nigdy nie myślał o innej. Może jest zainteresowany zleceniem, na którym można dobrze zarobić? Gdy w grę wchodziły pieniądze, Hamulec

potrafił słuchać uważnie. Był chętny do lukratywnych zadań, a z mojego tajemniczego tonu domyślił się, że chodzi o coś, co nie powinno ujrzeć światła dziennego. Prawdopodobnie pracy niewiele, a zarobek dobry.

Zapytałem następnie, czy byłby gotów ukraść samochód.

– Ach, mogę ukraść każde auto, jakie chcesz, to bułka z masłem – zaczął się natychmiast przechwalać. Spodziewałem się takiej reakcji i opowiedziałem mu, bez ujawniania planów, że kilka osób zajmuje się dużą sprawą i trzeba w związku z tym ukraść kilka samochodów.

On jako dwudziestolatek potrafił to zrobić dobrze, bez specjalnego ryzyka. Gdyby go złapali, zawsze mógł powiedzieć, że chciał się tylko przejechać i groziło mu co najwyżej dwa tygodnie więzienia w zawieszeniu. Zaproponowałem mu kilkaset tysięcy, jeśli się dobrze spisze, na co zamrugał kilka razy oczami, ale natychmiast się opanował. Przed drzwiami bloku kazałem mu przysiąc, że z nikim nie będzie na ten temat rozmawiał. Umówiliśmy się, że wkrótce wybierzemy się razem w drogę.

W charakterze testu wysłałem go najpierw kilka razy z Willemem Holleederem do Niemiec na zakupy. Zastanawiałem się, czy Hamulec będzie po drodze próbował wypytywać Willema albo robić dwuznaczne uwagi. Ale nie, nie puścił pary z ust. Był po prostu w porządku.

Po wielu wysiłkach Nosowi udało się w Düsseldorfie znaleźć importera gotowego sprzedać nam za gotówkę odpowiednią aparaturę radiową. Byliśmy zgodni co do tego, że w trakcie operacji potrzebujemy pięć aparatów walkie-talkie. Nawet jeśli nie wiedzieliśmy na pewno, czy je wykorzystamy, żeby doprowadzić negocjatora w odpowiednie miejsce, to i tak mogły służyć doskonale do wzajemnej komunikacji.

Bardzo trudno było zdobyć tego rodzaju aparaty. Po pierwsze, nie były zatwierdzone przez PTT^[15], po drugie, Willem musiał niezwykle ostrożnie pytać o możliwości urzędzeń tego typu. Szukaliśmy takich o niewielkim zasięgu, nie więcej jak kilka kilometrów. Inaczej istniało prawdopodobieństwo, że będą mogli nas podsłuchiwać radioamatorzy i uczynią z całego porwania słuchowisko. Niemiecki sprzedawca, wyjaśniając ich działanie, pytał jeszcze, do czego dokładnie potrzebujemy tych walkie-talkie. Jedno niepotrzebne słowo i ten człowiek mógł świetnie

zapamiętać Holendra, który przyszedł do niego kupić specjalną elektronikę. Willem dokładnie się spisał. Zapłata w gotówce – siedem tysięcy guldenów – też naturalnie działała cuda. Przyjechał do domu z pięcioma walkie-talkie, marki Standard, z Japonii. Miały trzy kanały, które kwalifikowały się do tak zwanego pasma VHF. To znaczy do komunikacji na obszarach morskich. Moc transmisji wynosiła 1,2 wata, a zasięg w mieście ponad dwa kilometry, poza miastem nieco więcej. Doskonale do naszych celów. Naklejki z nazwą firmy i numerem seryjnym natychmiast zniszczyliśmy. Prawdopodobnie jeden z tych aparatów trafi przy przekazywaniu okupu w ręce policji, a wtedy będą potrzebowali nieco czasu, żeby ustalić, skąd to walkie-talkie pochodzi. Dlaczego mielibyśmy im w tym pomagać?

Kupiliśmy też wyprodukowaną w Niemczech maszynę do pisania, na której można było pisać listy do koncernu Heinekena. W tym celu nabyliśmy gruby plik kartek A4 z niemieckim znakiem wodnym „Zeta Mattpost”, które można było kupić tylko w Niemczech. Specjalnie o to prosiliśmy. Wiedzieliśmy, że policja bada takie rzeczy w laboratorium, także czcionkę maszyny do pisania. Utwierdzi ich to w przekonaniu, że mają do czynienia z Niemcami.

Do wybicia szyby w opancerzonym cadillacu Heinekena Nos kupił w niemieckim sklepie z narzędziami specjalny siekierołom dla straży pożarnej, firmy Peddinghaus. Po użyciu mieliśmy go celowo zostawić na miejscu zdarzenia.

Przygotowywaliśmy też ciuchy potrzebne do akcji. Nie chcieliśmy używać kominiarek i kasków, żeby nie zwracać uwagi. Lepsze były dobre przebrania. Gdyby przypadkowo pojawił się jakiś świadek, przedstawiłby policji zupełnie mylny opis sprawców. Przebrania wymagały zatem profesjonalnego przygotowania. Nie było sensu paradować w jaskrawej, nylonowej peruce za dwie dychy z V&D[16]. Nie, musieliśmy mieć prawdziwe peruki. Szkoda tylko, że w Holandii niewiele było sklepów z takimi rzeczami. Gdyby nagle czterech facetów z Amsterdamu kupowało peruki, brody i wąsy dobrej jakości, na pewno zwróciliby uwagę personelu.

Dlatego ratunku poszukaliśmy za granicą. Okazało się, że w belgijskim mieście Hasselt znajduje się filia sklepu znanego holenderskiego perukarza

Theo Zantmana. Pojechałem tam z Willemem Holleederem w sobotę po południu i zamówiliśmy „dla teatru amatorskiego” cztery komplety peruk z regulowanym obwodem, wąsy i brody. Blond, ciemne i czarne. Koszt: ponad tysiąc pięćset guldenów.

Dwa tygodnie później były gotowe do odebrania. Sprzedawca zaczął wtedy zadawać niewygodne pytania. Słyszał po akcencie, że przyjechałem z Holandii i zastanawiał się, dlaczego kupujemy peruki w Belgii. Wymyśliłem na miejscu bajeczkę, że jestem homoseksualistą i peruki nie są dla teatru amatorskiego, ale dla mnie, bo chcę odwiedzać pewne miejsca incognito, pan rozumie... Wszelkie podejrzenia sprzedawcy natychmiast zniknęły. O tym, że zrozumiał, o czym mówię, świadczyło mrugnięcie oka, jakie mi posłał zza lady.

Zaraz po powrocie do Holandii postanowiłem wypróbować te peruki. Idąc do Willema, nałożyłem czarną i wąsy. Przypadkowo był u niego Hamulec i to on sprawdzał przez judasza, kto przyszedł. Wcale się nie zorientował, że to ja i zawołał do Willema:

– Hej, Nos, jakiś wysoki facet z kręconymi włosami stoi przed drzwiami...

No to sprawa była załatwiona, jeśli nawet mój własny brat mnie nie rozpoznał.

W sklepie z używaną odzieżą w Alkmaar kupiliśmy cztery zielone kurtki wojskowe, żeby na uliczce Koepelweg w Noordwijk, gdzie planowaliśmy porwać Heinekena, nie rzucać się w oczy między drzewami i krzewami. Ponadto nabyliśmy komplet kajdanek firmy Alcyon i dwie kamizelki kuloodporne produkcji amerykańskiej. Kamizelki nie były przesadą, bo przy odbieraniu okupu będzie pewnie dużo policji.

To były drobiazgi. A ponieważ jeszcze kilka dużych spraw nie zostało załatwionych, albo tylko połowicznie, byłem zadowolony, że po długim namyśle przyszło mi do głowy rozwiązanie problemu transferu okupu. Pomysł polegał na wykorzystaniu wiaduktu i wydawało się, że miał niewiele wad. Negocjator stałby na wiadukcie, a my pod nim, niewidoczni dla niego. Miał zrzucić pieniądze albo spuścić je po specjalnej, przygotowanej przez nas, konstrukcji. Nie tylko, że nas nie widział, wielką zaletą był też fakt, że znajdowaliśmy się na dwóch różnych drogach. To ważne podczas ucieczki.

Nie mógł od razu ruszyć za nami w pościg. Mogliśmy odjechać bez problemu.

Miałem nadzieję, że zmyli to policję i będzie ona czekać na nas na niewłaściwej drodze. Plan spodobał się moim kompanom i postanowiliśmy go sprawdzić. We wtorek po południu pojechaliśmy we czwórkę na duży wiadukt przy autostradzie E10 w kierunku Utrechtu. Udało się na sto procent! Pochodziliśmy tam trochę, co właściwie było zabronione, i dokonaliśmy ważnego odkrycia. W konstrukcję wbudowano kanał odpływowy o okazałych wymiarach, przykryty żelaznymi elementami, z kwadratowymi otworami. Biegł stromo na dół. Zauważyłem go od razu. Samochody pędziły obok nas, a ja wydzierałem się z entuzjazmem do innych:

– Chłopaki! To jest wspaniałe odkrycie!

Pieniądze spakowane w worki pocztowe można było szybko spuścić po tej stromiźnie na dół, a my musieliśmy je tylko złapać. To było jajko Kolumba. Frans Meijer spróbował podnieść jeden z tych żelaznych elementów i okazało się to bardzo łatwe. Dzień wcześniej należało tylko zdjąć jeden z nich i zjeżdżalnia była gotowa. Wyglądało, jakby ją specjalnie dla nas zbudowali.

Teraz musieliśmy sprawdzić, czy wszystkie wiadukty miały takie kanały odpływowe, bo E10 nie nadawała się do naszych celów, leżała za blisko Amsterdamu. Po powrocie, w zaciszu mieszkania Willema, odkryliśmy następne zalety tej metody. Na autostradzie nie wolno się było zatrzymywać. My oczywiście zmusimy negocjatora do tego, ale od razu da się zauważyć, czy jakieś inne samochody również to zrobią. Można było wtedy dać głowę, że to są gliny. W ten sposób mogliśmy się łatwo przekonać, czy nas śledzą. Mądrzejsi o tę wiedzę Willem i Frans udali się znowu w drogę, w kierunku Utrechtu, teraz ze specjalnymi poleceniami:

1. Znaleźć wiadukt z podobnym systemem odwadniania.
2. Sprawdzić, czy nie ma zjazdu z autostrady przez następne kilka kilometrów, żeby negocjatorzy ani psy nie mogli nas ścigać.

Willem i Frans przejechali kilka tysięcy kilometrów, zanim znaleźli odpowiednie miejsce. Nie zawsze było to łatwe. Nie można tak sobie wysiąść na drodze, żeby sprawdzić kanały odpływowe. Przyciągali uwagę. Umówili się przedtem, że jeśli zatrzyma ich policja lub na przykład pomoc drogowa, to powiedzą, że silnik im się przegrzał.

No i oczywiście w pewnym momencie, kiedy stali na wiadukcie, znaleźli się właśnie w takiej sytuacji. Porsche policji krajowej zjechało na pobocze i zapytano ich, czy nie mają problemów. Mocny w języku Jez wzięły konwersację na siebie. Ale w ostatniej chwili, jak to było w jego zwyczaju, zmienił taktykę. Grubym głosem, nieco afektowanym tonem, jak opowiadał potem Willem, zaczął:

– Nie, panowie, żadnych problemów – zagadywał policjantów. – Jestem pośrednikiem nieruchomości, panowie, i interesują mnie stojące tam szeregowce... – Frans wskazał na ledwie widoczne domy za łąkami. Policjanci popatrzyli zdumieni na Nosa, który skulił się, ubrany w dzinsy i stare tenisówki. Poradzili Fransowi przyjrzenie się tym domom z bliska, na co odpowiedział rezolutnie:

– Ale mnie chodziło głównie o widok.

Policja przełknęła tę historię, chociaż Willem zauważył ich porozumiewawcze spojrzenie: ci to już kompletnie zwariowali.

Ten incydent mnie nie zdenerwował. Ale Willema wręcz rozgniewał. Znałem Jeżyka już dwanaście lat i wiedziałem, że chwilami jest nieobliczalny. Zdarzało się, że dyskutowało się z nim przez godzinę, oświadczał, że się ze wszystkim zgadza, żeby kwadrans potem zrobić coś dokładnie na odwrót. Czasami bywało to kłopotliwe, ale nauczyłem się z tym żyć. Poza tym wiedziałem, że Frans potrafi się znakomicie wydobywać z opresji. Większym problemem było to, że wprowadzał w błąd innych członków grupy, którzy działali zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami.

Mimo tych drobnych przeszkód Frans i Willem znaleźli w końcu idealne miejsce spełniające nasze wymogi: wiadukt przy A12 koło Utrechtu, tuż za skrzyżowaniem Oudenrijn w kierunku Arnhem. „System odwadniający – perełka!” – zapewniali nas po powrocie. Dobra wiadomość wywołała wesoły nastrój. Kto mógł kiedykolwiek pomyśleć, że istnienie czegoś takiego, w co

normalnie nikt nigdy nie wnika, może nas tak rozentuzjasmować?

Kiedy Jeż i Nos zaznaczyli to miejsce na mapie, pojechaliśmy wszyscy popatrzeć. Dyskretnie oczywiście, skoro tam miał rozegrać się fragment naszej akcji. Zawsze istniała możliwość, że w okolicy znajdzie się jakiś spacerowicz, obserwator ptaków albo włóczęga. Frans i Wim nie przesadzali. To była doskonała lokalizacja. Kanał odwadniający biegł ładnym skosem w dół, a metalowe pokrywy dawało się usunąć jednym ruchem ręki. Na dodatek nie było żadnego zjazdu z autostrady w okolicy, więc po przekazaniu okupu nie mogli nas ścigać. Jeż i Nos najeździli się co niemiara, ale znaleźli igłę w stogu siana.

W sumie pojechaliśmy tam z dziesięć razy o różnych porach. Interesowało nas zwłaszcza, jak wygląda okolica wcześniej rano i późnym wieczorem, bo to miał być prawdopodobnie czas, w którym chcieliśmy zainkasować trzydzieści pięć milionów guldenów. Obserwowaliśmy ruch drogowy i notowaliśmy, kiedy szybko przybiera na sile, a kiedy maleje. Testowaliśmy, które samochody dobrze widać z daleka. Rezultaty tych obserwacji były potrzebne do planu rajdu, którego trasa powoli powstawała w mojej głowie.

Teraz, kiedy miejsce przekazania okupu zostało ustalone, Frans skoncentrował się na trasie ucieczki z Noordwijku, po uprowadzeniu Heinekena z Dodererem. Jeździł tam w kółko bez końca, znał każdy zaułek, każdą alejkę i po jakimś czasie wiedział dokładnie, które ulice są jednokierunkowe, kiedy i jak działa sygnalizacja świetlna, nawet ścieżki rowerowe i dla pieszych nie miały dla niego tajemnic. Kiedy w Noordwijku popsuła się latarnia, Frans wiedział o tym w ciągu dwudziestu czterech godzin. Zaproponował, żeby do trasy ucieczki włączyć kawałek ścieżki rowerowej lub dla pieszych, żeby zmylić policję. Ta sugestia bardzo mi się podobała.

Frans był bardzo sprytny, instynkt podpowiadał mu dobre rozwiązania. Wiezorami informował nas o postępach i pokazywał na mapie wypróbowane możliwości. Chcąc dokonać oceny trasy, jechaliśmy tam jeszcze we czwórkę. Najczęściej dwoma samochodami, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. Ja z Nosem, a Jeż z Kotem. Nie przesadzę, jeśli powiem, że

pokonaliśmy ją ze sto razy. Na koniec niedobrze mi się już robiło. Za każdym razem od nowa oglądać te same ulice i szukać innych możliwości. Szczególnie ważne było ustalenie, która trasa jest krótsza, czasami nawet o kilkaset metrów. Coś okropnego, ale to była konieczność. Musieliśmy jak najszybciej i najlepiej bez zwracania uwagi dojechać z Heinekenem i Dodererem na Heining.

Po wielu porównaniach znaleźliśmy w końcu odpowiednią trasę. Mieliśmy porwać Heinekena z szoferem na Koepelweg, blisko jego willi. To ustaliliśmy już wcześniej. Stamtąd planowaliśmy przejechać obok posterunku policji w Noordwijku, kawałek ulicą Beeklaan, ale jeszcze przed światłami skręcić w lewo w Gladiollusstraat, wjechać do wsi i małymi uliczkami wyjechać na Nieuwe Offemweg. Tam mieliśmy od razu skręcić w prawo w Schiestraat, potem Lange Weg przejechać obok gminnego ośrodka sportowego. Następnie skierować się na Leeweg i na jej końcu przesiąść się do innego samochodu. Krętą drogą dojechać aż do Leidsevaart, co sytuowałoby nas już poza strefą niebezpieczeństwa.

Na ostatek zostałaby nam szybka jazda przez „wioski tulipanowe”: Hillegom, Bennebroek, Cruquius, na obwodnicę polderu przez Vijfhuizen, w kierunku Zwanenburg, dalej przez most zwodzony, a stamtąd było już tylko kilka minut do Heining. Według mnie dobra trasa. Gdyby z jakiegoś powodu wszczęto alarm, to logiczne byłoby zamknięcie drogi prowincjonalnej, ale my jej właśnie chcieliśmy uniknąć. Leeweg, którą planowaliśmy jechać, biegła równolegle do niej, ale trzeba ją było najpierw znaleźć, tak jak to zrobił Frans. Gdybyśmy jechali tą trasą zgodnie z przepisami, dotarcie do baraku na Heining zajęłoby nam trzydzieści pięć minut. Czas możliwy do zaakceptowania. Tym bardziej że zakładaliśmy, iż chwilę potrwa, zanim ktoś się zorientuje, że na Koepelweg stało się coś dziwnego.

Operacja „Heintje” całkiem nas pochłonęła, niewiele wychodziło z wakacji, siłowni i rozrywek w mieście. Jedyne, czego nie porzuciłem, to wyścigi konne. Przede wszystkim w Hilversum i Duindigt. Były moją prawdziwą pasją. Tego hobby nie chciałem się wyrzec za żadną cenę, nawet za trzydzieści pięć milionów guldenów. Tymczasem oprócz Untold-D

kupiłem jeszcze dwa konie: Whisty-Fortunę i Varinsję, która była prawdziwym czempionem i zwyciężała w różnych zawodach w Duindigt i Groningen. Trenował ją mistrz Jan van Dooyeweerd, startowała ze „stajni Flippera”, jak mnie zarejestrowano, zdobyła wiele nagród, które razem przyniosły mi kilkadziesiąt tysięcy guldenów. Właściwie to nie było tak lukratywne, bo koń kosztował fortunę. Naprawdę opłacalne były zakłady u bukmacherów. Czasami udawało się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: mój koń wygrywał ładny wyścig, a oprócz tego zakłady przynosiły mi tysiące, a w skrajnych przypadkach nawet kilkadziesiąt tysięcy guldenów. Uwielbiałem atmosferę wyścigów. Pokręcić się trochę przy stajniach, ocenić szanse, pogadać z ekspertami, zobaczyć, czy mój własny koń jest w formie, potem z przyjaciółmi i przyjaciółkami coś zjeść, napić się dobrego wina i na koniec wyścigi. Sama rozkosz, nigdy nie miałem dosyć. Najwięcej przyjaciół poznałem na torze. Robbiego Offenberga, z którym kupiłem pierwszego konia, ale również jego teścia Gijsa van Dama, który kilka lat później – w 1985 roku – pojawił się w mediach, ponieważ jego młodszego syna wprowadzono na kilka dni, i wielu innych.

Z operacją „Heintje” było inaczej. Mało romantyzmu, żadnych obiadków, mniej relaksu. Musieliśmy po prostu, jakkolwiek to dziwnie zabrzmiało, ciężko pracować. Dzień w dzień. Przygotowania wymagały dużo koncentracji, pomysłowości i odporności. Nie można było się od nich uwolnić. Jadąc samochodem do domu, analizowałem w myślach możliwości i zagrożenia, podsumowywałem, co już zostało zrobione, a co nas jeszcze czeka. Żle sypiałem, czasami śniłem o tym, nawet siedząc z Boxie, potrafiłem nagle, podczas rozmowy, całkowicie odpłynąć myślami. A kiedy Sonja mówiła: „płacę dwadzieścia centów za twoje myśli...”, zaczynałem się dziwnie jąkać. W zasadzie to nie było takie złe. Stanowiło dowód, że traktujemy sprawę poważnie. Po znalezieniu wiaduktu koło Utrechtu dopasowywałem w myślach wszystkie kawałki rajdowej układanki. Oczywiście brakowało jeszcze kilku elementów, a inne należało jeszcze trochę dopasować, ale plan zaczął nabierać kształtów, kontury stawały się widoczne.

Opowiadałem już, że mieliśmy zamiar porządnie zmęczyć naszego kuriera, zanim dotrze na miejsce z pieniędzmi. To samo dotyczyło

oczywiście śledzącej nas z samochodów i centrali na komisariacie policji. Cóż, wymyśliłem dla nich niezłą czterystukilometrową trasę, długie kawałki w ciemności po pustym polderze. Pokonanie jej przy prędkości około stu kilometrów na godzinę powinno zająć jakieś pięć do sześciu godzin. Nasi przeciwnicy będą zdziwieni. To jednak coś innego niż miejska przejażdżka podczas porwania Caransy. Kierowca i jego poplecznicy nic nie będą przedtem wiedzieli. Informację, gdzie złożyć pieniądze, dostaną dopiero na trasie. Cieszyłem się na samą myśl o tym. To był przecież rodzaj gry umysłowej, taka partia szachów. Pomyślałem, że chciałbym zobaczyć ich twarze, kiedy samochód będzie musiał jechać na północ. W policyjnych centralach i u zwołanych specjalistów wywoła to lawinę spekulacji. Pospiesznie będą mobilizować tamtejszą policję. I wtedy... wtedy prześlemy wiadomość, że mają jechać z powrotem na południe. Zupełnie ich zdezorientujemy, nie będą wiedzieć, co ich czeka, zaczną się zastanawiać, czy przekazanie pieniędzy w ogóle nastąpi. I w tym momencie, kiedy będą zmęczeni i niepewni, uderzymy.

Szkicując na razie krótko scenariusz przekazania okupu, widziałem to tak: gdy nasze wszystkie warunki zostaną spełnione i banknoty w pięciu workach będą przygotowane, nawiążemy wieczorem kontakt z willą De Ark w Noordwijku. Jak to dokładnie ma się odbyć, jeszcze nie wiedziałem, ale nie powinno stanowić większego problemu. Powiemy, o której godzinie samochód z pieniędzmi ma wyjechać. Wcześniej podamy, jakiej ma być marki i jakiego koloru, żebyśmy go mogli łatwo rozpoznać.

Samochód z jedną osobą w środku, którą dla wygody będę nazywał panem X, pojedzie do hotelu Hilton na lotnisku Schiphol, gdzie w określonym miejscu będzie czekała następna wiadomość na temat dalszej trasy. Myślałem o pakowaniu wiadomości do plastikowych kubków z nakrętką. Z lotniska trasa miała prowadzić do motelu Van der Valk w Akersloot. To nie był przypadkowy wybór. Zakładałem, że policja chcąc nie chcąc przypomni sobie o porwaniu Toos van der Valk, ze wszystkimi mylnymi przypuszczeniami związanymi z tą sprawą.

Droga do Akersloot, które leży w północnej Holandii między Heemskerk i Alkmaar, miała jeszcze jedną zaletę. Jadąc z Schiphol, kierowca musiał

wybrać specjalną trasę, prowadzącą przez autostradę A10, znaną w Holandii pod nazwą Coentunnelweg. Ta droga biegnie równolegle do... Staalmeesterlaan, na której mieszkaliśmy z Willemem. Z jego mieszkania na dziewiątym piętrze mogliśmy przez lornetki obserwować przejeżdżający samochód. O tej porze ruch na drodze był duży, więc rozważaliśmy jeszcze, czy nie zażądać specjalnego oznakowania auta, ale to był szczegół, możliwy do uzupełnienia w ostatnim momencie. Kiedy samochód z pieniędzmi przejedzie, mieliśmy wyjechać na nasze pozycje przy wiadukcie.

Przy motelu Akersloot miał się znajdować drugi kubek z poleceniem, zgodnie z którym pan X musiał jechać do miejscowości 't Zand, dwanaście kilometrów na południe od Den Helder, przy kanale Noordhollands. Tam powinien wykopać trzeci kubek i pojechać autostradą E10 przez Afsluitdijk, następnie Bolswaard i Sneek do fryzyjskiego Joure, gdzie czekało na niego nowe zadanie. W tej miejscowości kierowca miał się przesiąść do innego, podstawionego przez nas samochodu, skradzionego wcześniej przez Hamulca. Klucz mieliśmy schować po prostu w kubku. Pieniądze musiały zostać oczywiście przeładowane. Dzięki tej zamianie pozbylibyśmy się ewentualnych urządzeń do namierzenia pojazdu lub komunikacji, jakie policja niewątpliwie zainstaluje w pierwszym samochodzie. Aby łatwo rozpoznać nowe auto, mieliśmy na dachu zamocować bagażnik i umieścić na nim taczkę. A ponieważ będzie ciemno, myślałem nawet o zamianie reflektorów na tak zwaną lampę francuską, dającą żółte światło zamiast białego. Wtedy moglibyśmy z daleka widzieć, jak nadjeżdża. Na wysokości Utrechtu autostrada była trzypasmowa, a z naszych obserwacji wynikało, że po dziesięciu minutach można zwariować od patrzenia na reflektory i trudno odróżnić jeden od drugiego. Ponieważ sami przejechaliśmy tę trasę kilka razy, wiedzieliśmy, ile czasu to mniej więcej zajmuje i o której możemy się spodziewać samochodu. Ale nie mogliśmy ryzykować co do minuty. A gdyby tak podenerwowany kierowca jechał znacznie szybciej...

W tym nowym samochodzie na przednim siedzeniu miał leżeć jeden z aparatów walkie-talkie kupionych przez Willema w Niemczech. Do tego chcieliśmy dołączyć list wyraźnie mówiący, że od tej pory instrukcje wydawane przez radiotelefon mają absolutne pierwszeństwo nad

poleceniami z kubeczków.

Z Joure pan X miał jechać przez Noordoostpolder, Emmeloord, Lelystad, Almere i Weesp/Muiden do Bijlmermeer^[17], trasą liczącą około stu pięćdziesięciu kilometrów. Przyjechawszy do Bijlmermeer, kierowca powinien skrócić do Gaasperdam-Weesp i tam planowaliśmy zostawić dla niego następne zlecenie w zakopanym kubeczku. Miejsce chciałem zaznaczyć wielką czerwoną plamą farby przy znaku drogowym lub czymś takim; mieliśmy ją zrobić w ostatnim momencie. Jeśli po drodze coś się nie uda lub policja interweniowałaby przed czasem, to nie znajdą tego miejsca, a więc i dalszej trasy. To był element samoobrony.

Jeśli wszystko poszłoby dobrze, to w kubku będzie nowe polecenie, nakazujące kierowcy, aby jechał autostradą A12 do motelu Postiljon koło Arnhem, przez Utrecht. Tam znajdzie kolejną kartkę z mylną tym razem informacją. Kierowca będzie zakładał, że maraton jeszcze się nie kończy i że posyłają go znowu do Arnhem, ale po drodze zdarzy się coś innego. Liczyliśmy, że po czterech, pięciu godzinach jazdy jego koncentracja bardzo osłabnie.

Zlecona trasa do motelu w Arnhem będzie prowadziła przez wiadukt w Utrechcie, który wybraliśmy na miejsce kulminacyjnego momentu akcji. Kiedy kierowca będzie miał około kilometra do celu, a my rozpoznamy samochód po żółtych reflektorach i taczce na dachu, jeden z nas krótkimi zdaniem i wezwie go przez walkie-talkie. Inni w tym czasie ukryją się w krzakach na łąkach, żeby obserwować drogę.

Przez radiotelefon poprowadzimy pana X pasem awaryjnym do kanału odwadniającego, polecimy mu się tam zatrzymać i przez otwór spuścić wszystkie worki z okupem. Zaraz potem każemy mu udać się do motelu Postiljon w Arnhem i tam oczekiwać dalszych instrukcji dotyczących uwolnienia Alfreda Heinekena i Aba Doderera. My tymczasem szybko spakujemy pieniądze i odjedziemy w świetle wschodzącego dnia.

Tak z grubsza wyglądał plan rajdu. Oczywiście nie wymyśliłem każdego szczegółu sam. Inni także wnieśli do niego swoje pomysły, a ja je wszystkie zebrałem i prawie dosłownie naniosłem na mapę. Całe dni poświęciliśmy tej układance. I tak jak piszę, nie wszystko było jeszcze gotowe. Mieliśmy

dopiero zarys planu. Musieliśmy jeszcze sami kilka razy przejechać tę trasę, a przede wszystkim znaleźć dobre miejsca na ukrycie kubków. Tak, żeby było je łatwo znaleźć, ale żeby nie wpadły w niepowołane ręce. To byłaby katastrofa, bo brakowałoby ogniwa i kierowca nie wiedziałby, jak ma jechać dalej. Pan X nie mógł tej nocy zabłądzić. Wszystko musiało być całkowicie jasne, tak, żeby nawet dziecko zrozumiało. Żadnych dwuznaczności. W celu przetestowania całej trasy rajdu rozważałem możliwość wysłania Hamulca, żeby dokładnie przejechał ją według instrukcji. Nie wiedział o niczym, więc jeśli jemu uda się to zrobić bez żadnej pomyłki, to kierowca z okupem z koncernu Heinekena też potrafi. Następne tygodnie mieliśmy poświęcić tym sprawom. Willem kupił w Niemczech na zapas plastikowe kubki. Skoro trafią w ręce policji, musiały również być niemieckiej produkcji. Sporo pracy już wykonaliśmy, ale podczas jednego ze spotkań podsumowaliśmy, co należy jeszcze zrobić:

- Stworzyć plan ucieczki po odebraniu okupu. Podróżowanie z czterystoma kilogramami pieniędzy do Amsterdamu nie byłoby zbyt mądre. Trzeba było coś z nimi zrobić. Policja mogła zablokować drogi.
- Ponieważ istniała możliwość, że policja ukryje w workach z okupem jakieś nadajniki, które umożliwiłyby śledzenie nas, musieliśmy poszukać sposobu szybkiego ich zlokalizowania.
- Trzeba było jeszcze ukraść różne samochody potrzebne do wykonania planu. Szacowałem, że potrzebujemy co najmniej pięciu pojazdów. Dwa do przewiezienia Heinekena i Doderera na Heining, jeden miał czekać w Joure, jeden lub dwa na miejscu przekazania okupu i pewnie jeszcze jakiś jeden zapasowy.
- Należało szybko rozpocząć budowę cel w baraku na Heining. Materiały były zgromadzone, a plany wystarczająco dokładne.
- Nie zdecydowaliśmy jeszcze, w jaki sposób nawiążemy kontakt z negocjatorami z koncernu Heinekena. Prawdopodobnie będzie musiał się odbywać w formie pisemnej i telefonicznej.

Oprócz tych pięciu głównych punktów było jeszcze wiele mniej ważnych spraw do załatwienia, żeby cały plan się powiódł. Zdawało się, że nowych kwestii wciąż przybywa. Mnóstwo pracy, a tu czas uciekał. Ustaliliśmy, że porwanie nastąpi przed nadejściem jesieni, ponieważ w tym czasie Koepelweg w Noordwijku jest prawie niewidoczna zza grubej kurtyny liści. Kiedy opadną, nasze szanse się rozwieją. Rozpoczęło się odliczanie.

14 W rzeczywistości logo przedstawia tukana (przyp. tłum.).

15 PTT – holenderska Poczta Telegraf Telefon (przyp. tłum.).

16 V&D – sieć domów towarowych Vroom i Dreesmann (przyp. tłum.).

17 Bijlmermeer – dzielnica mieszkaniowa Amsterdamu, znana z wielkich bloków, gdzie mieszka wielu imigrantów (przyp. tłum.).

Rozdział 7

Przy przenoszeniu pierwszego betonowego bloku B3 na tyły baraku nadwerżyłem sobie kręgosłup. To był mój wkład w budowę pomieszczenia dla porwanych. Pod pretekstem, że bardziej nadają się do pracy umysłowej, zrezygnowałem z tego zajęcia. Kotu i Jezowi lepiej wychodziło dźwiganie ciężarów niż mnie. To nie przypadek, że w Epanie też więcej siedziałem w biurze, a nie na rusztowaniach.

Budowę bloku z celami rozpoczęliśmy w kwietniu. To była ciężka praca. Nie tylko dlatego, że konstruowaliśmy coś w rodzaju bunkra, ale również dlatego, że mogliśmy pracować tylko wieczorami. Za dnia przebywali tu księgowy i sekretarka, a po warsztatach stolarskich kręciło się wielu ludzi. Puszczanie w ruch betoniarek lub przywiezienie partii cegieł czy siatki było zbyt ryzykowne. Prowadziłoby do niepożądanych pytań. Nawiasem mówiąc, gdyby ktoś przez przypadek zobaczył, co robimy, mieliśmy powiedzieć, że szykujemy pomieszczenie do walk psów. To wcale nie było takie głupie. W tamtym czasie wiele się o nich mówiło i pisało, a Frans miał bułteriera. W dalszym stadium budowy mieliśmy przekonywać, że to sypialnia dla nielegalnych imigrantów. Trochę grubymi nićmi szyte, bo komu są potrzebne ściany o grubości sześćdziesięciu centymetrów. Ale naprawdę chodziło o to, że nikt nie mógł udowodnić, iż to nieprawda.

Budowa zajęła nam dziesięć tygodni. Ale stanęła konstrukcja, której mógł nam pozazdrościć architekt więzienia w Bijlmeer. Ucieczka stąd była absolutnie niemożliwa, niezależnie od tego jakiego przestępcę by tam wsadzić. Jedyne co nas jeszcze czekało, to przetestować, czy cele są dźwiękoszczelne. Przestrzeń między ścianami wypełniona była trocinami na grubość pół metra i chciałem wiedzieć, jaki jest tego efekt. W stolarni włączyliśmy jednocześnie wszystkie maszyny. Na pełne obroty. Hałas był nie

do wytrzymania, bezpieczniki prawie wystrzeliły ze skrzynki, ale w celach była cisza jak makiem zasiał. Można było również krzyczeć do woli w środku, a osoba stojąca na zewnątrz i tak niczego nie słyszała. Absolutna izolacja. Byłem pod wrażeniem. Porządna robota, można powiedzieć. Jeśli teraz wybudujemy jeszcze ścianę zasłaniającą cele, to wszystko będzie gotowe.

Musieliśmy się jeszcze tylko przekonać, jak to jest, kiedy siedzi się tam przez dłuższy czas. Czy było wystarczająco dużo powietrza? Po fiasku ze zbiornikiem byłem tym naprawdę zaniepokojony. Umówiłem się z Willemem, że sprawdzimy to, wpychając tam Kota i zamykając drzwi. Jako projektant powinien najlepiej osądzić, czy wszystko działa należycie. Poprosiliśmy wieczorem, żeby poszedł z nami, przepuściliśmy go grzecznie pierwszego w drzwiach i zatrzasnęliśmy je za nim, zamykając na klucz. W środku położyliśmy walkie-talkie, bo przez zamknięte drzwi nie dało się rozmawiać. Po niecałej minucie Kot zaczął krzyczeć przez ten aparat, żebyśmy go wypuścili. Pękaliśmy ze śmiechu z Willemem. Kazaliśmy mu siedzieć wiele godzin. Od czasu do czasu wołaliśmy, że idziemy się napić kawy albo że jedziemy do domu, co wywoływało u Jana nowe ataki złości. Grał na zmianę to wściekłego, to przymilnego lub odgrywał męczennika. W pewnym momencie zrobiło się cicho. Kot nie reagował wcale na walkie-talkie, nawet jak go obrażaliśmy. Spojrzeliśmy z Willemem po sobie. Co się stało, czy to jakiś chwyt naszego kolegi? Jeśli zajrzemy, to wstawi nogę w drzwi i ucieknie. Ale nie byliśmy wcale tego pewni. Cele były całkowicie szczelne, powietrze dopływało jedynie przez rurę w dachu. Jeśli coś się z nią stało...

Boellaard oczywiście udawał. W momencie, kiedy ostrożnie otwieraliśmy drzwi, uderzył w nie całą siłą swojego niemałego ciała i nie mogliśmy go powstrzymać. Mimo to czegoś nauczyliśmy się z tej zabawy. Musieliśmy mieć możliwość zaglądania do celi przez zamknięte drzwi. Jeśli Heineken lub Doderer będą milczeli, to będziemy mogli wtedy sprawdzić, co się dzieje.

Jeszcze tego samego dnia umieściliśmy w drzwiach wizjery, przez które można było zaglądać do wewnątrz. Zainstalowaliśmy również kupiony w Niemczech interkom, taką elektryczną nianię. Zakładnicy mogli w ten

sposób przekazywać nam wiadomości lub o coś poprosić, a my mogliśmy ich w każdym momencie podsłuchiwać, co też mogło się nam przydać. Chcąc się w inny sposób upewnić, czy dopływ tlenu jest dostateczny, zapaliliśmy na całą noc kilkadziesiąt świeczek w celach. Jeśli byłoby za mało tlenu, zgasną, pamiętałem to z lekcji fizyki w szkole. Następnego ranka wszystkie się paliły. Nie musieliśmy się martwić, powietrza było dosyć.

Ustalając dalsze szczegóły akcji, nie mogliśmy się zgodzić między sobą, czy mamy porwanym założyć w celi kajdanki i unieruchomić ich łańcuchami przy ścianie. Kot zaproponował to ze względów bezpieczeństwa. Nie potrafiliśmy przecież przewidzieć, jak Heineken i Doderer zachowają się w czasie przetrzymywania, może będą mieli napady złości lub rozpacz? Mogą wtedy poranić nas albo siebie. Meijer i Boellaard byli za używaniem łańcuchów w celach. Ja wprost przeciwnie. Nie da się stamtąd uciec, uważałem, więc po co te łańcuchy? Zdawałem sobie sprawę, że po uwolnieniu przetrzymywanych posłuży to jako argument przeciwko nam. Opinia publiczna zdecydowanie nie lubi przemocy fizycznej. Kot nadal trzymał się swojego zdania. Wytykał mi, że w takim razie powinniśmy usunąć chemikalia z toalet chemicznych zakupionych w Niemczech, bo to też jest niebezpieczne.

– Jeśli mówi się A, to trzeba powiedzieć B. Sam twierdzisz, że nie możemy podejmować żadnego ryzyka. A wracając do kajdanek, to przecież, jeśli będą spokojni, możemy je zdjąć. To tylko na kilka dni – argumentował.

Kiedy za jakiś czas przyszedłem zobaczyć postępy prac, ujrzałem łańcuchy wmurowane w ściany. Spojrzałem na Kota pytająco, ponieważ uważałem, że w tej kwestii nie podjęliśmy jeszcze decyzji. Wzruszył ramionami i odparł:

– No tak, Flip. Trzeba było pilnować sprawy, chłopie. Teraz potrzeba silnego faceta, żeby je wyrwać.

Dyskusja była zamknięta. Łańcuchy pozostały w ścianie.

A skoro cele niemalże już wyszykowaliśmy na przyjęcie gości, nadszedł czas, żeby mój brat Hamulczyk pokazał, co potrafi. Obmyśliłem już plan kradzieży samochodów, a Frans przyjrzał się dokładnie kilku wypożyczalniom w Randstad[18]. Upierałem się, żeby z którejś z nich zwinąć

dwie sztuki. Miałem w tym swój cel. Jedno z aut mogliśmy wykorzystać do uprowadzenia zakładników na Koepelweg. Potem porzucimy je w okolicy Noordwijk, i przesiądziemy się do innego pojazdu.

Pierwszy samochód wpadnie w ręce policji, która przebada go na wszystkie strony, szukając śladów. Szybko dowiedzą się, skąd i kiedy został skradziony. Sprawdzając doniesienie, dowiedzą się również, że w tym samym włamaniu skradziono jeszcze jedno auto. I o to mi chodziło... Policja będzie znała markę, typ, numer rejestracyjny i kolor tego samochodu, roześle informacje teleksem po całym kraju, żeby go znaleźć. Będzie przypuszczała, że jest jeszcze w naszych rękach. W ten sposób mogliśmy pięknie wyprowadzić policję w pole, porzucając auto gdzieś na parkingu w pobliżu granicy z Belgią na przykład. Na tylnym siedzeniu zostawimy but albo jakąś inną część garderoby Heinekena, że niby działaliśmy w pośpiechu. W ten sposób powstałaby mylna sugestia, że wyjechaliśmy za granicę, a w każdym razie, że nie ma nas w Amsterdamie. Jak już wspomniałem, przestępstwo jest jak partia szachów. Trzeba obmyślić kilka ruchów naprzód.

Ale mieliśmy jeszcze czas. Wrócę do tej kwestii. Najpierw musieliśmy te samochody gdzieś „zwinąć z drogi”, jak to mówił Hamulec. W maju 1983 roku pojechaliśmy na rozpoznanie do Nijmegen i Den Bosch. Najpierw pokręciliśmy się nieco po okolicy, żeby znaleźć odpowiednie samochody. Preferowałem wozy dostawcze i kombi z dużym bagażnikiem. Okazało się, że kradzież auta to nie taka bułka z masłem, jak Hamulec początkowo twierdził. Potrafił szybko otworzyć drzwiczki, ale nie umiał włączyć silnika. Łączenie kabli rozruchowych w ciemności nie było wcale łatwe. Raz został nawet przyłapany na gorącym uczynku i goniła go cała horda ludzi. Kilka ulic dalej zgarnąłem go z ulicy – tylko przez przypadek nikt nas nie widział – i szybko wyjechałem z miasta. Hamulec leżał na podłodze samochodu.

Zdecydowaliśmy, że trzeba to zorganizować inaczej. To była trochę amatorska robota. Jeśli się uda, trzeba najpierw zdobyć klucze takiego samochodu i wtedy można odjechać bez problemu. Ale w jaki sposób to zrobić? Hamulec, który musiał się teraz trochę wykazać, wpadł na doskonały pomysł.

– Chodźmy na basen. Ludzie muszą tam zostawiać ubranie w szafkach. Trzeba tylko obserwować, kto jakim samochodem przyjeżdża i gdzie zostawia ubranie.

Uważałem, że możemy spróbować. Nie mieliśmy specjalnie dużego wyboru. Kto z nas miał to zrobić? W połowie czerwca pojechałem z Hamulcem na kryty basen do Rijswijk. Siedzieliśmy w aucie na parkingu i obserwowaliśmy podjeżdżające samochody. Hamulec miał na sobie dresy i spodenki kąpielowe, a na szyję zarzucił nonszalancko ręcznik. Nie rzucał się w oczy. Po niedługim czasie podjechał pięciodrzwiowy citroen GS. Szturchnąłem brata w bok.

– Co o tym myślisz? Do roboty!

Hamulec wyszedł z samochodu i wszedł za kierowcą do środka. Miał spróbować w szatni ukraść jego ubranie, razem z kluczem. Popatrzyłem na zegarek, żeby zobaczyć, ile czasu go nie będzie. Byłem troszkę zdenerwowany. Bałem się, że się nie uda. Kradzież na basenie to ryzyko, zanim się zorientujemy, może być ogromny rwetes. Zastanawiałem się, czy Hamulczyk da sobie radę. Miał dopiero dwadzieścia lat. Czy nie za dużo od niego wymagałem?

Niepotrzebnie się martwiłem. Wcześniej, niż się spodziewałem, Hamulec wyszedł pośpiesznie z budynku. Nie od razu go poznałem, ale potem roześmiałem się. Wyglądał idiotycznie! Miał na sobie spodnie chyba o trzy rozmiary za małe, koszulę, której rękawy sięgały łokci, a z włosów spływały jeszcze krople wody. Przechodząc obok mnie z uśmiechem, podniósł kciuk na znak, że wszystko jest okej. Rzeczywiście, doszedł do citroena, otworzył drzwiczki, wsiadł i kilka sekund później zobaczyłem chmurkę dymu unoszącą się z rury wydechowej. Silnik zapalił, reflektory zaświeciły się, Hamulec opuścił parking.

Ruszyłem za nim. Pojechaliśmy szybko na Heining przy Noordzeeweg w Amsterdamie Zachodnim. Auto ukryliśmy w baraku, w części, za składem drewna. Hamulczyk, wciąż ubrany cudacznie, opowiedział barwnie, co się stało. Przebrał się szybko w kabinie i czekał, aż facet z citroena odda ciuchy do szatni. Stał tak blisko za nim, że wydawało się, iż przyszli razem. Ubrania zostały rzeczywiście powieszzone na jednym numerku. Potem mój

braciszek zanurkował w basenie i jeszcze zanim właściciel samochodu na dobre wszedł do wody, Hamulec wrócił do szatni. Pod pretekstem, że chce włożyć kolczyk do kieszeni, dostał ubranie z powrotem. Nie swoje, ale tamtego mężczyzny. Początkowo chciał wyciągnąć tylko klucze, bał się jednak, że szatniarz go zapamięta. Dlatego nałożył na siebie dużo za ciasne ubranie i uciekł.

Wybuchnąłem śmiechem, co za historia! Ach, ale ten właściciel będzie zrozpaczony, kiedy okaże się, że zniknęły nie tylko jego ciuchy, ale i samochód. Już go widziałem stojącego w kąpielówkach, czerwonego ze złości, przeklinającego szatniarza, który nic nie mógł zrobić. Ach ten Hamulec, niezły dzieciak!

Tym wyczynem braciszek nadrobił wszystkie swoje błędy. Martwiło mnie jedynie to, że zostawił na basenie swoje ubranie. Prawdopodobnie miała je teraz policja. Hamulec zapewniał mnie jednak, że to były stare, zużyte dresy, których nikt nie rozpozna. No dobrze. Pierwszy samochód już mieliśmy. Wszystkie rzeczy właściciela spaliliśmy w piecyku w stolarni. Odłożyłem tylko etui z okularami leżące w schowku. Mogły się przydać do wprowadzenia w błąd policji.

Kilka tygodni później, w lipcu, Hamulczyk ukradł jeszcze dwa samochody z wypożyczalni Europcar w Rotterdamie. Chodziło o dwa auta z tej samej firmy, o których pisałem wcześniej. Jeź odkrył ją podczas jednej ze swoich rundek po Holandii i widział, że klienci wrzucają wieczorem kluczyki do skrzynki na listy, a samochody stoją na zewnątrz. Hamulczyk wyłowił je ze skrzynki magnesem i w ten sposób wziął w posiadanie samochód dostawczy renault T35 i srebrnoszarego opla kadetta. Tej nocy odwiózł na Heining najpierw renówkę, a potem spokojnie wrócił po opla. Nie można mu było odmówić śmiałości i bezczelności.

Kilka tygodni później, sprawdzoną metodą „na basen”, ukradł w Bredzie zielonego forda taunusa kombi, tym razem był na tyle uprzejmy, że zostawił właścicielowi ubranie.

Barak na Heining stawał się powoli garażem.

Powiedziałem Hamulcowi, że może kraść samochody, gdzie chce, byle nie w Amsterdamie. Chciałem trzymać policję ze stolicy z daleka od naszych

spraw. Dlatego ściągał je z całego kraju. Kiedy potrzebowaliśmy jeszcze jednego samochodu, powiedziałem mu, żeby tym razem jednak rozejrzał się w Mokum. Później ktoś mógłby zwrócić uwagę, że Amsterdam był pomijany, chociaż to mekka złodziei samochodów.

W rezultacie na początku sierpnia Hamulec zwędził z Burgemeester Roëllstraat zielonego mercedesa hanomaga, typu pick-up (pick-mee^[19] jak mówiliśmy), używanego przez gminny wydział zieleni miejskiej. Ponadto dokupiliśmy jeden samochód. Potrzebowaliśmy go, żeby jeździć nim w czasie przygotowań. Nie mogliśmy używać kradzionych aut, ryzyko odkrycia i aresztowania było zbyt wielkie. Z drugiej strony nie chcieliśmy wszędzie jeździć naszymi mercedesami i saabami. Rodzina i znajomi szybciej zapamiętywali samochód niż osobę. Chcieliśmy tego uniknąć, jeżdżąc nieznanym autem, kiedy wybieraliśmy się w drogę w ramach operacji „Heintje”. Hamulec kupił z ogłoszenia w gazecie żółte renault 20TL od kogoś mieszkającego w Capelle aan de Ijssel, ale nie zmienił tablic rejestracyjnych. W ten sposób nie mogli nas zlokalizować, jeśli popełnilibyśmy wykroczenie drogowe, jak swego czasu Frans w Noordwijk. Hamulec zapłacił za samochód gotówką sześć tysięcy guldenów i nie podał sprzedawcy nazwiska kupującego, czyli dobrze załatwił sprawę. W ten sposób posiadaliśmy cały park samochodowy. W sumie sześć sztuk: białego citroena GS, pomarańczowe dostawcze renault, srebrnoszarego opla kadetta, zielonego forda taunusa kombi, zielonego mercedesa pick-upa hanomaga i żółte renault 20 TL.

Auta stały w baraku. Boellie miał je doprowadzić do ładu i utrzymywać w nienagannym stanie. Zamontował we wszystkich nowe akumulatory, żeby w kluczowych momentach akcji nie było żadnych problemów z zapaleniem silnika. Uzpełnił olej i benzynę. Sprawdził opony i wymienił je, jeśli trzeba było. Skontrolował i skorygował oświetlenie, żeby nie zatrzymano nas z powodu uszkodzonego migacza. Wydaje się, że to nadmierne środki ostrożności, ale tylko z pozoru. Nie mogliśmy się potknąć na takich głupich szczegółach. Musieliśmy się liczyć naprawdę ze wszystkim. W samochodach z wypożyczalni popsuliśmy liczniki, żeby nie można było wyliczyć, ile kilometrów przejechaliśmy. W wypożyczalniach takie rzeczy rejestrują

bardzo dokładnie. Poza tym zamontowaliśmy na samochodach nowe tablice rejestracyjne własnej produkcji. Piekielna robota, przy której Willem Holleeder i Martin Erkamps spędzili wiele dni.

Najpierw dowiedzieli się, gdzie można kupić żółte, odblaskowe tablice bez numerów. Było to niezmiernie trudne, bo sprzedaż podlegała pewnym ograniczeniom, ponieważ wybijano na nich znak NL. Odwiedzili mnóstwo sklepów w Holandii, ale odsyłano ich wszędzie z kwitkiem. Udało im się w końcu w sklepie z częściami samochodowymi w Rotterdamie, pod pretekstem, że ich potrzebują do celów reklamowych swojej firmy. Takie małe kłamstewko.

Potem w specjalistycznym sklepie w Zelandii kupili czarne litery i cyfry. Hamulec stracił dwa dni, żeby zdobyć jego adres. Z tymi materiałami mogliśmy zrobić nasze własne tablice rejestracyjne. Porządne przymocowanie liter i cyfr było żmudną pracą, ale Boellie i Jeż spisali się znakomicie. Trzeba było patrzeć przez lupę, żeby dostrzec, iż nie są tłoczone, tylko przylutowane. Nawiasem mówiąc, nie wybraliśmy numerów przypadkowo. Najpierw na wschodzie kraju poszukaliśmy dokładnie takich samych modeli samochodów i zapisaliśmy ich numery. Na przykład: mieliśmy pomarańczowy samochód dostawczy Renault. Szukaliśmy tak długo, dopóki nie znaleźliśmy jeszcze jednego pomarańczowego busika Renault, mniej więcej z tego samego roku i zanotowaliśmy jego numer. Następnie przylutowaliśmy ten numer na naszych tablicach rejestracyjnych. Gdybyśmy popełnili jakieś wykroczenie drogowe lub trafili na rutynową kontrolę policji, to wszystko by się zgadzało. Komputer policji krajowej pokazałby, że chodzi o pomarańczowe dostawcze renault, takie i takie, stąd i stąd. A więc nie byłoby meldunku, że samochód został skradziony, jest poszukiwany lub coś takiego. Przy odrobinie szczęścia moglibyśmy jechać dalej. W rzeczywistości po holenderskich drogach poruszały się dwa identyczne auta na tych samych numerach. W najgorszym przypadku, w razie mandatu na przykład, prawdziwy właściciel samochodu mógł może udowodnić, że jego samochód nigdy nie był w takim miejscu, ale nas i tak nie mogli wykryć. I o to chodziło.

Tymczasem ustaliliśmy bardziej precyzyjnie datę porwania. Inaczej

dopracowywanie szczegółów mogło się ciągnąć w nieskończoność. Miał to być poniedziałek, środa lub piątek we wrześniu. Z wielomiesięcznych obserwacji Willema wynikało, że wtedy mamy największą szansę na spotkanie Heinekena. To oznaczało z kolei, że mamy jeszcze ponad miesiąc na zakończenie ostatnich przygotowań. Ledwo dogadaliśmy się w sprawie D-day, doszło do nieoczekiwanej konfrontacji z Alfredem Heinekenem na naszym terenie, przez moment sądziłem, że się wszystkiego domyśla. W słoneczne, piątkowe popołudnie siedzieliśmy z Willemem na tarasie naszej ulubionej kawiarni „Arie” na Westerstraat, popijając coś, kiedy od niechcienia spojrzałem na ulicę i serce mi zamarło. Szturchnąłem Willema i wyszeptałem podekscytowany:

– Patrz! Idzie tu, z Wiankiem... jak to możliwe?!

Przestraszyliśmy się okropnie. Alfred Heineken we własnej osobie ze swoim szoferem Abem Dodererem, szli w naszym kierunku. Wydawało się, że to on nas śledzi, a nie my jego.

– Cholera, on idzie oczywiście do mojego ojca! – wyszeptał Willem. – Pewnie mnie widział w Noordwijku i chce zapytać, co to wszystko znaczy.

Odstawiłem piwo, wyszedłem z tarasu i udałem się dyskretnie za nimi. Rzeczywiście kierowali się w stronę Egelantiersdwarstraat, gdzie pod numerem 60 mieszkał wtedy ojciec Willema, ale nie weszli do środka. Westchnąłem z ulgą. Wstąpili do jakiegoś zakładu budowlanego coś odebrać. Nic groźnego. To nasze nieczyste sumienia wyolbrzymiły sytuację. Można powiedzieć na złodzieju czapka gore. Kiedy Jeż dowiedział się o tym później, uważał, że przegapiliśmy doskonałą okazję.

– Dlaczego nie zaprosiliście go od razu na Heining? – zapytał z właściwym sobie poczuciem humoru.

Pracowaliśmy dalej. Prawie codziennie mogliśmy coś skreślić z naszej listy. Rozwiązane problemy, zakupione materiały. Willem był bardzo zajęty znalezieniem metody wykrycia ewentualnych nadajników w workach z pieniędzmi. Odwiedził różnych specjalistów w Holandii i pytał ich, jakie są możliwości zorientowania się, że ktoś umieścił gdzieś podsłuch. Oczywiście nie mówił wprost, że chodzi o wyłowienie nadajnika ze stosu banknotów, ale okrężną drogą potrafił dać do zrozumienia, o co chodzi. Okazało się, że na

rynku jest jakieś urządzenie: tak zwany *frequenz-protector*. Aparat rejestrował każdą wysyłąną falę radiową i zaczynał piszczeć coraz głośniej, im bliżej było do źródła. Potrzebowaliśmy go. Co to jest dwa tysiące wobec trzydziestu pięciu milionów guldenów? Nie musieliśmy go kupować w Niemczech, bo nikt tej zabawki nie zobaczy ani nawet nie będzie wiedział, że jej używaliśmy. Dlatego mogliśmy to spokojnie kupić w specjalistycznym sklepie w Amsterdamie, gdzie wiedzą, co to znaczy dyskrecja.

Teraz przyszła kolej na pytanie: jak nawiążemy kontakt z rodziną Heinekena albo z koncernem. Początkowo myśleliśmy o telefonie przenośnym, takim aparacie, który można wszędzie wziąć ze sobą. Wadą było to, że fale radiowe łatwo można było podsłuchiwać. Poza tym taki telefon kosztował piętnaście–dwadzieścia tysięcy guldenów. Mieliśmy jeszcze nieco gotówki w kasie na porwanie, ale wydawało mi się, że to zbyt duża suma na takie urządzenie, tym bardziej że nie wywoływało ono mojego entuzjazmu. Ponadto jak mieliśmy się zameldować przez taki telefon? Każdy mógł powiedzieć, że jest porywaczem. Musieliśmy najpierw wysłać dowód, że mamy zakładników w ręku i dopiero potem zatelefonować. Frank sugerował, że powinniśmy używać zakodowanych imion, tak jak i negocjatorzy. To znacznie uprości sprawę. Uznaliśmy pomysł za dobry i w rezultacie wymyślaliśmy przez cały wieczór najdziwaczniejsze kryptonimy. Niektóre śmieszne, inne głupie, dwuznaczne, prosto z kryminałów albo czasów wojny. Wszyscy zgadzaliśmy się, że powinny to być imiona, które dadzą do myślenia policji. Bardzo chciałem ich wprowadzić w błąd, żeby nie mieli czasu zajmować się prawdziwymi poszlakami. W końcu zgodziliśmy się dla nas na kryptonim: Orzeł, ptak drapieżny, symbol siły i wolności. Podobało mi się to znaczenie, tym bardziej iż podejrzewałem – niesłusznie, jak się potem okazało – że policja może przypuszczać, że coś spadnie z powietrza lub że mamy jakieś związki z lataniem. Negocjatorzy mieli się meldować pod kryptonimem: Zając – ofiara orła. Pokazywał on pozycję w hierarchii ważności. Orzeł przeciwko zającowi. Uważaliśmy to za dobry chwyt psychologiczny. Zastraszanie i imponowanie stanowią istotną umiejętność porywaczy. Dlatego kryptonimy musiały być starannie dobrane.

Mogliśmy sobie głowy dać uciąć, że telefony w willi De Ark i w koncernie Heinekena będą na podsłuchu, a negocjator zostanie dobrze poinstruowany przez policję, jak ma prowadzić rozmowę i że ma ją przeciągać. W naszym interesie zaś leżało jej maksymalne skrócenie, aby nie można było ustalić, skąd dzwoniemy. Musieliśmy się dobrze przygotować. Wolałem nie korzystać z budek telefonicznych, to było zbyt oczywiste rozwiązanie. Całkiem możliwe, że o określonych porach policja będzie je obserwowała. Dlatego zaproponowałem używanie telefonów w kinach, restauracjach, kawiarniach, szpitalach i tym podobnych miejscach. Nikt nie mógł nas zobaczyć, a jeśli nawet policja ustaliłaby miejsce rozmowy, to nikt nie będzie pamiętał, kto wtedy dzwonił. Musieliśmy tylko pilnować, żeby nie łączyć się dwa razy z tego samego aparatu. Sporządziliśmy z Willemem odpowiednią listę, na której znalazły się na przykład budka w kinie Tuchinski na Reguliersbreestraat i bary w okolicach Leidseplein. Nikt się tego nie będzie spodziewał. Oczywiście nie byliśmy na tyle głupi, żeby sami prowadzić rozmowy. Dzięki porwaniu Garansy nauczyłem się czegoś, mianowicie jakich błędów należy się wystrzegać. Wtedy jeden z kidnaperów dawał instrukcje telefoniczne, gdzie należy złożyć okup. Po uwolnieniu zakładników taśmę z nagraniem głosem wielokrotnie puszczano w radiu i telewizji: czy rozpoznajecie państwo ten głos? Chciałem im za to bardzo podziękować. My postąpimy inaczej. Postanowiliśmy ułożyć tekst, nagrać go na taśmę w wykonaniu samego Heinekena i Doderera. W ten sposób załatwialiśmy dwie sprawy naraz. Negocjatorzy mieli od razu znak życia od zakładników, a z głosem nie mogli nic zrobić. Poza tym dzięki nagraniu w trakcie kontaktu telefonicznego nie nastąpią żadne przejęzyczenia, a rozmowa nie będzie mogła być niespodziewanie przerwana przez negocjatora.

W ramach przygotowań pracowaliśmy wieczorami w biurze na Heining, opracowując projekty listów z żądaniami, jakie chcieliśmy wysłać do koncernu Heinekena. Uważałem, że nierozsądne byłoby pisanie ich po porwaniu. Wtedy człowiek znajduje się w stresie i łatwo o błędy. Moja filozofia brzmiała: niczego, co można zrobić teraz, nie odkładamy na później. Przy pisaniu listów okazało się, że to słuszna strategia. Spędziliśmy

nad tym kilka wieczorów i nie wiem, ile próbnych wersji spaliliśmy w piecyku. List musiał być jednoznaczny, ale nie mógł ujawniać żadnych informacji, które zwróciłyby się przeciwko nam. Musiało z niego jasno wynikać, że to poważna sprawa, a nasze żądania muszą zostać spełnione, i to od razu. Ze wszystkimi wymaganiami, co do okupu, wyszła z tego niezła epistoła. Również w listach używaliśmy kryptonimów Orzeł i Zając. Kot napisał je, używając niemieckiej maszyny do pisania na niemieckim papierze ze znakiem wodnym Zeta Mattpost, aby uniknąć zostawienia odcisków palców i innych śladów. To byłoby niechlujstwo.

Listy włożyliśmy do kopert, a Nos wpadł na jeszcze jeden pomysł fałszywego tropu w prezencie dla policji. Wyrwał włos z peruki i włożył go do koperty, żeby mieli coś do oglądania pod mikroskopem. Listy schował w swoim sejfie Jan Boellaard. Kilka miesięcy wcześniej ktoś się włamał do jego domu i próbował wypalić zamek w sejfie. Dlatego Jan włożył tam teraz ładunek wybuchowy. Jeśli ktoś będzie próbował go otworzyć – policja lub włamywacze – to nastąpi wybuch i listy zostaną zniszczone. Były bardzo obciążającymi dowodami i jeśli wpadłyby w niepowołane ręce policji, mogłyby napytać nam biedy.

Kiedy cele na Heining były gotowe, Jan Boellaard rozpoczął budowę ściany mającej zasłonić całą konstrukcję przed niepożądanym okiem. Obłożył takim samym drewnem front baraku, żeby sprawiał wrażenie jednolitej powierzchni. Nie powiedział nam, jak zamierza zamontować niewidoczne drzwi, ale miałem zaufanie do niego w takich sprawach. Pewnego wieczoru w sierpniu zaprosił nas wieczorem, abyśmy obejrzeli rezultaty. Był widać przekonany o jakości wykonanej pracy, bo chciał się zakładać:

– Stowę dla tego, kto znajdzie drzwi!

Z zaciekawieniem przyglądaliśmy się drewnianej ścianie. Robiła wrażenie! Wyglądało, jakby barak kończył się na niej, nawet nam nie rzucało się w oczy, że jest krótszy o cztery metry. Czyste złudzenie optyczne. Drzwi nigdzie nie było widać. Powoli przesuwałem ręce po drewnie, usiłując wykryć drobne nierówności. Niczego nie wyczuwałem. Willem i Frans też chcieli zainkasować sto guldenów od Boellaarda, ale nie mogli znaleźć

żadnych drzwi. Kot pękał z dumy. A kiedy się odezwałem:

– Okej, poddajemy się... pokaż. – Podszedł do prawej strony ściany, nacisnął i drzwi się otworzyły. Wmontował sprytny system z magnetycznymi zaciskami. Robota pierwszej klasy! „Pokoiki”, jak między sobą nazywaliśmy cele, powoli się zapełniały. Pojawiły się materace, śpiwory, koce, piżamy. Poza tym toalety chemiczne, dywan z przeceny w Niemczech, elektroniczna niania, butelki niemieckiej wody pitnej i stos holenderskich książek do czytania. Za piętnaście guldenów kupiliśmy całe pudełko na Waterlooplein. Wzięliśmy wszystkie, żeby sprzedawca nie mógł sobie potem przypomnieć tytułów, gdyby Heineken i Doderer wymienili je po uwolnieniu. To były głównie jakieś stare książki. Ponadto, mimo iż przetestowaliśmy wcześniej dźwiękoszczelność pomieszczeń, na wszelki wypadek ustawiliśmy w nich też magnetofon i radio, które mieliśmy zamiar puszczać przez całą dobę. Muzyka miała dodatkowo zagłuszyć ewentualne hałasy lub szum nisko lecącego samolotu. Do baraku, gdzie było zimno i brakowało podstawowych wygód, wstawiliśmy też przyczepkę kempingową – przecież musieliśmy gdzieś spać i trzymać wartę. Zainstalowaliśmy w niej elektroniczną nianię połączoną bezpośrednio z celami, mieliśmy bowiem zamiar zrobić z niej centrum dowodzenia. W ten sposób zapewniliśmy sobie minimum komfortu i ciepło. Willem kupił przyczepkę za tysiąc osiemset guldenów w Badhoevedorp. Nie przejmował się specjalnie, bo Heineken i Doderer mieli jej wcale nie widzieć, więc nie będzie liczyć się w ich zeznaniach. Tylko przedmioty, o których zakładnicy mogli coś wspomnieć policji, musiały pochodzić z Niemiec.

Była jeszcze jedna, śmieszna sprawa czekająca na rozwiązanie: pieniądze za okup. Co mieliśmy z nimi zrobić? Ponad czterystu kilogramów, w pięciu wielkich workach, nie da się włożyć do starej skarpety. Byłem zdania, że podobnie jak broń, musimy je zakopać w bezpiecznym miejscu. Takie rozwiązanie wydawało się oczywiste. Pozostali zgodzili się ze mną. Musiały leżeć tam, gdzie ich nikt nie znajdzie, nawet wtedy, gdy zostaniemy zdemaskowani. Dlatego nie można ich było ukryć na Heining, bo planowaliśmy cele zburzyć. Nie mogliśmy wynająć sejfów w banku, już widzę, jak patrzyliby na nas, wchodzących z pięcioma workami pieniędzy. Nie, to

musiało być jakieś miejsce na łonie natury, w lesie lub coś takiego. Najlepiej w pobliżu wiaduktu, gdzie odbierzemy okup, a więc koło Utrechtu. Nie chcieliśmy się z nimi za długo włóczyć. Po uprowadzeniu policja będzie uważnie obserwowała okolicę, a z takimi workami zwracalibyśmy naturalnie na siebie uwagę. Im wcześniej je bezpiecznie ukryjemy, tym lepiej. Trzeba było je dobrze zabezpieczyć i przykryć grubą warstwą ziemi.

– Może wtedy jeszcze trochę przyrośnie – żartowałem.

Jan Boellaard kupił w tym celu cztery duże plastikowe beczki, ciężkie, czarne, wysokie na metr dziesięć o średnicy pół metra, z pokrywą. Mogliśmy w nie wrzucić worki, ale także broń, kamizelki kuloodporne, walkie-talkie i inne przedmioty, których chcieliśmy się od razu pozbyć. Musieliśmy tylko znaleźć jeszcze odpowiednie miejsce. Uznaliśmy, że powinno się ono znajdować niedaleko wiaduktu, gdzie mieliśmy odebrać okup. Zalesiony teren stwarzał mnóstwo możliwości. Liczyła się też łatwość dojazdu do niego. Miało leżeć nie za blisko i nie za daleko. Po krótkich poszukiwaniach stanęło na okolicach położonego w centrum kraju Zeist. Wybraliśmy lasek obok zjazdu z autostrady A28 na drogę lokalną między Den Dolder i Zeist, jakieś trzysta metrów od kawiarni De Taveerne. Lasek był położony na uboczu i tak gęsty, że nikt nie mógł nas widzieć przy robocie. Uznaliśmy jednogłośnie, że tam najlepiej będzie ukryć pieniądze.

Jakieś dwa tygodnie przed porwaniem wkopaliśmy w nocy beczki w ziemię. Jeden z nas stał cały czas na warcie, a pozostali dwaj pracowali. Mordercza robota. W ziemi było pełno korzeni, a beczki miały ponad metr wysokości, co oznaczało, że musieliśmy wykopać cztery otwory głębokie na półtora metra. Pracowaliśmy jak opętani. Dopiero o świcie wszystko było gotowe, a my wyglądaliśmy jak górnicy, czarni i spoceni. Ale mieliśmy kryjówkę, której jak sądziliśmy, nikt nie znajdzie.

Kiedy ustaliliśmy miejsce, dopracowywałem ostatnie brakujące ogniwa fragmentu planu dotyczące przekazania okupu. Kiedy skończyłem, układanka była kompletna, a rezultat, jak uważałem, wspaniały. Zwłaszcza ostatnie elementy. O co chodziło? Mówiąc krótko, po przejęciu pieniędzy mieliśmy jechać jak najszybciej do lasu w Zeist. Boellaard, nasz kierowca, miał tam zwolnić, a Frans i ja mieliśmy natychmiast wyciągnąć lub wyrzucić

pięć worków z gotówką, w ciągu pół minuty. Pusty samochód miał jechać dalej. Jeśli będzie śledzony z jakiejś odległości, to nie powinni się zorientować, że na moment zatrzymał się, bo lasek nas zasłoni. Razem z Fransem mieliśmy rozciąć worki i sprawdzić naszym aparatem, czy nie ma w nich nadajników. Następnie planowaliśmy zrzucić je do beczek, wraz z bronią, walkie-talkie i zielonymi ubraniami. Na koniec włożymy dresy, adidas, wsiądziemy na rowery sportowe, które miały tam na nas czekać, i wrócimy z Zeist do domu. Policja poczuje się nieźle zdezorientowana. Wszystkimi siłami będą szukać dużego samochodu dostawczego z pięcioma workami pieniędzy, a nie dwóch młodzieńców jadących rowerami, którzy nie mają nawet portfela przy sobie...

Boellaard miał zamienić samochód na parkingu w Amersfoortcie i wrócić do Amsterdamu. Gdyby przypadkowo został zatrzymany, to nic nie miał przy sobie, ani pieniędzy, ani broni, zupełnie nic. Plan był pierwszorzędny. Od początku do końca. Byliśmy gotowi do akcji.

W piątek 26 sierpnia zebraliśmy się w mieszkaniu Willema na końcowe rozmowy. Siedzieliśmy przy stole i wypiliśmy jak zwykle po kilka filiżanek kawy. Od kiedy zaczęła się ta cała farsa, pochłonęliśmy hektolitry kawy, herbaty, piwa i napojów chłodzących. Teraz chodziło o ustalenie ostatecznej daty i godziny akcji. Wybraliśmy drugi poniedziałek września, dwunastego. Wtedy mieliśmy uderzyć. Rano, około dziewiątej. Znałem wszystko na pamięć: Koepelweg, Beeklaan, Gladiollusstraat, Nieuwe Offemweg...

Wczesnym rankiem na początku września powtórzyliśmy jeszcze dokładnie cały scenariusz na Koepelweg. Samochody w gotowości bojowej, my w krzakach, walkie-talkie przygotowane do nadania informacji „Zajac nadjeżdża” i tak dalej. Odgrywałem wtedy Heinekena. Chcieliśmy sprawdzić, czy biznesmen w swoim cadillaku ma jeszcze możliwość ucieczki, kiedy zajedziemy mu drogę. Starłem się, jak mogłem, oczywiście innym autem, ale nie dałem rady się ruszyć. Samochód przede mną, samochód za mną. Kilka sekund potem zostałem wywleczony ze środka przez Nosa i odjechaliśmy: Beeklaan... Gladiollusstraat... Nieuwe Offemweg... Plan działał znakomicie. Ucieczka była niemożliwa.

Powiedziałem innym, że od tego momentu musimy się wszędzie

pokazywać: na wyścigach, w kawiarni Arie, w Jordaanie[20], spacerować po mieście, amsterdamskich placach Leidseplein, Rembrandtsplein. To były ostatnie tygodnie przed akcją, a podejrzenie nie padnie na nas szybko, jeśli tuż przed porwaniem będzie nas wszędzie pełno. Policja powinna szukać ludzi, którzy byli niewidoczni w ostatnim czasie. Ważne też, że nie byliśmy notowani jako notoryczni przestępcy. Mieliśmy niemal czystą kartę. Najpierw sprawdzą wszystkich znanych gangsterów, my byliśmy poza zasięgiem radaru.

Ostatnie tygodnie spędzaliśmy na odpoczynku. Podnosiliśmy się na duchu, dodawaliśmy sobie nawzajem pewności i staraliśmy się być bardziej tolerancyjni wobec siebie, ponieważ zabrakło tego nieco w ostatnim okresie. To nie była w końcu biurowa posada od dziewiątej do piątej, ale wyczerpujące, trwające dzień i noc przedsięwzięcie. Podczas porwania musieliśmy stanowić zżyty zespół, w którym każdy za coś odpowiada.

W niedzielę 11 września umówiliśmy się o piątą po południu na Heining, żeby przygotować samochody i rzeczy. „My” to była od tej pory grupa pięcioosobowa. Nasza czwórka i mój brat Hamulec. Ukradł wcześniej samochody i robił zakupy w Niemczech, ale nigdy mu nie mówiłem, o co chodzi. Kiedy okazał się sprawny, a na dodatek w stu procentach godny zaufania i lojalny, zaproponowałem innym, żeby go przyłączyć. Hamulec mógł zajmować się Heinekenem i Dodererem oraz przydać się do innych zadań. To by nas trochę odciążyło, moglibyśmy się lepiej skupić na transferze pieniędzy i kontaktach z negocjatorami. Nikt nie protestował. Jedynym warunkiem było to, żeby braciszek nie poznał miejsca przechowywania pieniędzy. Zgodziłem się na to. Jeśli ktoś czegoś nie wie, to nie może się wygadać. On był bardziej współnikiem, a nie sprawcą. Nie musiał wiedzieć wszystkiego.

W każdym razie w pierwszym tygodniu września pospacerowałem z Hamulcem po parku Rembrandta. Powiedziałem mu bez ogródek, o co chodzi, kogo mieliśmy na oku, co to oznaczało. Zareagował bardzo lakonicznie, wydawało się, że nie był zaskoczony.

– Tak myślałem, że chodzi o porwanie – odpowiedział. Hamulec nie był naturalnie głupi. Domyślał się, że nie planujemy napadu na sklep spożywczy

na rogu, jeśli potrzeba pięciu skradzionych samochodów. Poza tym widział, że Boellaard pracuje wieczorami w baraku. O nic nie pytał, ale oczywiście zastanawiał się dlaczego. Zapytałem, czy ma odwagę wejść w ten projekt. Uświadomiłem mu, że chodzi o ciężkie przestępstwo, o którym będzie głośno. Hamulczyk zastanowił się chwilę.

– Mogę się jeszcze wycofać? – zapytał tonem, który sugerował, że właściwie jest już za późno. Miał rację.

W ten sposób było nas pięciu tego wieczoru. Wszyscy przyszli punktualnie. Mimo ryzyka byliśmy pełni energii w dobrych nastrojach, zadowoleni, że po wszystkich przygotowaniach, rozważaniach i wydatkach wreszcie przychodzi czas na akcję. Minęło półtora roku od zasadniczej rozmowy w sylwestra w Raju, a więc czas najwyższy na akcję.

Samochody na fałszywych numerach wyjechały z garażu. Drzwi jasnozielonego baraku otworzyły się i Kot wyprowadził terenowego mercedesa hanomaga, żeby go podstawić na parking w Bennebroek, miejscowości leżącej trochę na północ od Noordwijku. Następnego dnia miał pojechać stamtąd na Koepelweg, co miało tę zaletę, że silnik będzie rozgrzany. Willem ruszył pomarańczowym dostawczym renault na Koningin Astridboulevard w Noordwijku i tam go zostawił. Hamulec miał zaparkować srebrnoszarego opla kadetta i renault 20 przy parku Rembrandta, obok naszych bloków, na dwóch miejscach parkingowych. Tymi samochodami planowaliśmy rano wyruszyć do akcji. Podczas gdy auta jechały na swoje miejsca, spacerowałem z Fransem Meijerem po terenie Heining, omawiając ostatnie szczegóły. Rozmawialiśmy trochę o przeszłości, czasach, kiedy jako czternasto-, piętnastoletnie łobuziaki szwendaliśmy się razem, puszczając wodze fantazji.

– Teraz to się stanie, Frans – powiedziałem. – Filozofowaliśmy na ten temat i proszę, przechodzimy do czynów... jutro się to stanie.

Kiedy Jan, Willem i Hamulec wrócili, umówiliśmy się, że spotykamy się o piątej rano w mieszkaniu Willema. Każdy z nas miał klucz, więc nie było problemu, że kogoś obudzimy, dzwoniąc do drzwi. Broń, peruki i walkietalkie już tam leżały. Potem rozeszliśmy się do domów, żeby się trochę przespać. Boellaard do swojego domu na Dillenburg w Zwanenburgu,

Hamulec do mieszkania na amsterdamskiej Hoofdweg, Jez na Bestevaerstraat do byłej żony, a Willem i ja do naszych mieszkań na Staalmeesterlaan.

Kiedy przyszedłem do domu, popatrzyłem na moją córeczkę Francis. Miała już pół roczku, spała tak niewinnie, niczego nieświadoma. Czuję się w tamtym momencie zmęczony. Było już wpół do dwunastej, a musiałem wstać wcześniej rano. Sonja spała. Poszedłem do łóżka i mimo zmęczenia i nerwów zasnąłem twardo.

¹⁸ Randstad – konurbacja w Holandii, obejmująca Amsterdam, Rotterdam, Utrecht i Hagę oraz wiele sąsiednich, mniejszych miast (przyp. tłum.).

¹⁹ Od: meepicken – ukraść (przyp. tłum.).

²⁰ Jordaan – popularna dzielnica w Amsterdamie (przyp. tłum.).

Rozdział 8

Kiedy rano zadzwonił budzik, poderwałem się przestraszony. Wzrok powędrował w stronę podświetlonej tarczy; wskazywała kwadrans po czwartej. Uff, właśnie mi się śniło, że zasnęłam i pozostali wyjechali do Noordwijku beze mnie... To by dopiero było! Z ulgą wyłączyłem brzęczący budzik. Zaczynał się 12 września 1983 roku.

Sonja się obudziła i zapytała zaspana:

– Co się dzieje?

Wstałem i odpowiedziałem cicho:

– Nic, Box, umówiliśmy się na wschodzie kraju, musimy wcześniej wyjechać, rozumiesz.

Nie czekałem na odpowiedź, czy naprawdę zrozumiała. Zamknąłem drzwi do łazienki i odkręciłem prysznic. Zaczęła po mnie spływać lodowata woda. Normalnie nienawidziłem tego, ale teraz odebrałem jako dobrodziejstwo. Każdy nerw, każde włókno, każda komórka mojego ciała musiały się obudzić, być w formie i w pogotowiu.

Wszyscy przyjechali na czas do mieszkania Willema. Napiliśmy się mocnej kawy i czekaliśmy, aż kofeina zacznie działać. Było jeszcze wcześniej. Milczeliśmy, zajęci swoimi myślami, próbowaliśmy się skoncentrować, jak sądzę. Willem przygotował tacę croissantów, ale ich nie tknąłem. Rano na ogół nie jestem głodny. A teraz miałem jeszcze porwanie na głowie. Dla Willema jedzenie było pewnym automatyzmem. Po pięciu rożkach zapytał pozostałych, czy chcą zjeść kilka, bo inaczej on wszystkie skończy. Przecież szkoda zostawiać! Połknąłem jeszcze trzy. Ten facet potrafił jeść dzień i noc.

Potem przygotowaliśmy się do operacji „Heintje”. Nałożyliśmy peruki i przykleiliśmy wąsy, to był zabawny moment, dużo śmiechu. Już wcześniej wypróbowaliśmy te rekwizyty kilka razy, gdy prowadziliśmy obserwacje, ale

za każdym razem przebieranki stawały się powodem do żartów. Kiedy Frans przywdział swoją perukę i brodę, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

– Jeżyku, znacznie lepiej wyglądasz! Na twoim miejscu odtąd bym tak chodził na co dzień.

Pozostali zachichotali, nawet nie spojrzawszy. Nałożyłem swoje przebranie, kontrolując w lustrze, czy dobrze leży. Spełniało wszelkie oczekiwania. Nie byłem ani trochę do siebie podobny. Zupełnie jakbym patrzył na innego człowieka. Nikt nie chciał przyznać, że jest zdenerwowany, chociaż to przecież całkiem zrozumiałe w takiej sytuacji. Kiedy Kot tuż przed wyjściem wyslizgnął się za potrzebą do ubikacji, roześmieliśmy się prawie jednocześnie.

– Już się boisz? Przecież jeszcze nic nie zrobiliśmy!

Po Boellaardzie jeszcze wszyscy skorzystali z toalety...

Potem zabraliśmy rzeczy: kurtki, rękawiczki, broń, walkie-talkie, młotek. Rozdałem wszystkim specjalne nylonowe piłeczki, które kupiłem kilka dni wcześniej. Mieliśmy je włożyć do ust w czasie akcji, żeby nic nie mówić. Nikt nie mógł niczego powiedzieć. W podnieceniu i napięciu ktoś mógł przez przypadek wymienić czyjeś imię i w ten sposób dostarczyć Heinekenowi, Dodererowi lub świadkowi zdarzenia ważny dowód. Piłeczka uniemożliwiała mówienie. Tylko ja jej nie miałem. Gdyby zaszła potrzeba, miałem komenderować całą grupą. Od razu chcieliśmy wywołać u ofiar wrażenie, że jesteśmy Niemcami, więc miałem krzyczeć do Heinekena: *Mitkommen! Schnell!*

Obładowani schodziliśmy na dół. Nie pojechaliśmy windą, bo baliśmy się, że mimo wczesnej godziny ktoś znajomy może nas zobaczyć. Schodziliśmy z dziewiątego piętra po schodach. Niosłem torbę sportową z dwoma uzi, kilkoma magazynkami i trzystoma nabojami. Razem niezły ciężar.

Nawiasem mówiąc, nie mieliśmy wcale zamiaru używać tych uzi. Chcieliśmy je porzucić na miejscu zdarzenia, żeby wywołać u policji wrażenie, iż zapomnieliśmy ich w dużym pośpiechu. Policja znajdzie torbę i naprawdę się przestraszy. Broń będzie sugerowała, że jesteśmy ciężko uzbrojonymi gangsterami. Wiedząc to, będą może bardziej skłonni do

spełnienia naszych żądań. Trzysta naboí wyglądało groźnie.

Hamulec też się stawiał tego ranka w mieszkaniu Willema, ale wyszedł szybko po wypiciu kawy. Miał jechać motorowerem do Noordwijku, a to zabierało trochę czasu. Zabrał ze sobą specjalny trójkątny klucz, który pasował do słupka uniemożliwiającego wjazd samochodów na drogę na terenie rezerwatu przyrody. Taki rodzaj słupka, który można było wymontować ze środka ścieżki. Kot zdobył ten klucz od znajomego pracującego w Wydziale Robót Publicznych w Amsterdamie. Hamulczyk miał usunąć słupek i postawić go z powrotem zaraz po tym, jak przejeździemy. Gdyby nas ktoś śledził, to musiałby pomyśleć, że uciekamy inną drogą. Od samego początku zgubiliby ślad. Ścieżka była jednym z fantastycznych pomysłów Fransa przy wyszukiwaniu odpowiedniej drogi ucieczki.

Hamulec miał potem pojechać na małe rondo na końcu Boerhaaveweg i tam schować się aż do momentu pojawienia się na drodze Heinekena z Dodererem. Powinien wtedy nam natychmiast zameldować przez walkie-talkie, kiedy tylko ich zobaczy: „Zając nadjeżdża... Zając nadjeżdża...”.

Na tym kończyło się jego zadanie, mógł wrócić na swoim motorowerku do Amsterdamu.

Ja z Willemem jechaliśmy srebrnoszarym oplem kadettem z parkingu przy bloku do Noordwijku, a Meijer i Boellie żółtym renault 20. W Bennebroek mieli się przesiąść do terenowego mercedesa hanomaga. Poruszaliśmy się drogą, którą wybraliśmy jako trasę ucieczki, żeby sprawdzić, czy nie ma żadnych niespodziewanych objazdów, kopców piasku czy innych przeszkód. Prawie nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie było takiej potrzeby. Czuliśmy się silni, mocni, pewni naszego planu. Pół godziny później siedzieliśmy na ławce w lasku, niedaleko fabryki farb Sikkens, i czekaliśmy. Zrobiło się bardzo zimno, jesień nadciągała powoli, ale to była ostatnia rzecz, jaka nas martwiła. Poza tym mieliśmy na sobie grube kurtki i specjalne rękawiczki w cielistym kolorze. Nie po to, żeby nas chroniły przed zimnem, ale żeby nie pozostawić nigdzie odcisków palców. Wiedzieliśmy, że Appie Doderer jeździł tędy swoim jasnozielonym volkswagenem golfem po szefa do Noordwijku. Planowaliśmy zająć pozycje docelowe, dopiero jak nas

minie. Nie było sensu ustawiać całego cyrku na Koepelweg, kiedy nie wiedzieliśmy, czy Heineken tego dnia opuści willę. Jeśli Doderer przejedzie, to mieliśmy jeszcze przynajmniej godzinę, jak wynikało z wielomiesięcznych obserwacji Willema.

Meijer i Boellaard czekali w mercedesie, w miejscu, w którym mieliśmy się przesiąść, kawałek na północ od Noordwijku, obok małej śluzy na końcu Leeweg w Zwetterpolder. Siedząc na ławce, jeszcze raz przeleciałem w myślach cały plan. Jeśli Doderer nas wyminie, to my z Willemem pojedziemy najpierw po Meijera i Boellaarda i zabierzemy ich oplem kadettem. Następnie udamy się po pomarańczowy samochód dostawczy renault, który stoi od wczoraj na bulwarze w Noordwijku. Kot wsiądzie do niego i zaparkuje go w ustronnym miejscu na Koepelweg. My z Fransem siądziemy z tyłu i weźmiemy torbę z bronią i amunicją. Willem pojedzie oplem w pobliże willi i poczeka, aż Heineken opuści teren rezydencji. Boellie, kiedy tylko usłyszy od Hamulca „Zając nadjeżdża”, wykona skomplikowany, drobiazgowo przećwiczony manewr zmuszający cadillaca fleetwooda do zwolnienia i zatrzymania. Willem, jadący za cadillakiem, natychmiast uderzy w tył auta. Nie tylko dlatego, żeby przestraszyć Heinekena i Doderera, ale także po to, żeby unieruchomić samochód.

Dwaj pasażerowie pod wpływem szoku będą się jeszcze zastanawiali, co się stało, kiedy ja z Meijerem wyciągniemy z samochodu Doderera. Kierowcę trzeba wyprowadzić najpierw. Jeśli uda mu się błyskawicznie zablokować drzwi, to wybijemy szybę kuloodporną za pomocą kupionego wcześniej łomu. Dopiero kiedy Doderer będzie siedział w renault pod okiem Boellaarda, zabierzemy się do Heinekena, którego tymczasem będzie pilnował Willem. Jeź i ja pomożemy mu wyciągnąć biznesmena z auta i obezwładnimy. To wszystko miało trwać oczywiście nie dłużej niż pół minuty.

Następnie uciekniemy, zostawiając specjalnie „niechący” torbę z bronią. I naturalnie uszkodzonego opla. Policja będzie musiała się domyślić, co się stało. Tak miało to wyglądać, pomyślałem po raz setny. Willem, siedzący obok mnie, też widocznie o tym myślał. Spoglądał z napięciem na drogę i marudził:

– Gdzie się ten Wianek podziewa?

Początkowo też patrzyłem w skupieniu, ale ponieważ jestem trochę daltonistą, to szturchałem go przy każdym przejeżdżającym golfie.

– Patrz, jedzie! – mówiłem, a nasze tętno podskakiwało o dziesięć czy dwadzieścia uderzeń. Za każdym razem na nic, za trzecim dostałem burę od Nosa:

– Słuchaj, mądralo, załóż sobie okulary, ten samochód nie jest jasnozielony, ale jasnożółty!

Co minutę spoglądaliśmy na zegarek. Doderer powinien przejeżdżać około wpół do dziewiątej. Kiedy tak czekaliśmy, Hamulec pokonywał tam i z powrotem trasę między nami a Meijerem i Boellaardem, żeby składać relację na bieżąco. Gdy przyjechał za drugim razem, poinformował nas podekscytowanym głosem, że o mały włos, a mielibyśmy poważny problem. Żeby ustawić mercedesa w odpowiedniej pozycji, trzeba było trochę cofnąć samochód. Meijer miał dawać znaki Janowi Boellaardowi. Niestety, popełnił jakiś błąd i Kot uderzył w słupek, przewracając go, dokładnie w momencie, kiedy obok przejeżdżał patrol policji z Noordwijku. Policjant otworzył szybkę i zapytał, czy nie potrzebują pomocy.

Na szczęście Boellaard zareagował przytomnie i machnął ręką, że wszystko jest w porządku. Jeź przestraszył się jednak bardzo i stojąc za samochodem, zdjął w przyпіlywie paniki perukę i brodę. Torba z bronią stała obok niego i właśnie chciał ją wrzucić do wody. W ostatnim momencie wszystko skończyło się dobrze. Popatrzyliśmy z Willemem na siebie znacząco, kiedy Hamulec zdawał tę relację. Takie incydenty pokazują, jak trudny jest kidnaping. Nawet jak wszystko jest dobrze zorganizowane, to tego typu wpadek nie można przewidzieć. Można zaplanować wszystko do ostatniego szczegółu – tak zrobiliśmy – ale nie można zabezpieczyć się przed czystym przypadkiem. Chyba że wywróżyć, ale tego nie potrafiliśmy. Inaczej nigdy byśmy tego wszystkiego nie zaczęli...

Minuty mijały, Doderer nie pojawiał się. Dało mi to okazję do utarcia nosa Willemowi. Zapytałem niby oburzonym głosem:

– Docinałeś mi, że nie noszę okularów, ale sam chyba powinieneś się o nie postarać, bo prowadziłeś obserwacje kilka miesięcy, jest już za kwadrans

dziewiąta, a Doderera dalej nie ma...

Trochę się wkurzyłem. Cholera, dlaczego nie przyjeżdża? Minęła dziewiąta, wpół do dziesiątej, za kwadrans dziesiąta i nic się nie działo. Zupełnie nic. Powiedziałem Hamulcowi, który cały czas krążył między nami, że o dziesiątej odwołujemy akcję, jeśli do tego czasu nic się nie zdarzy. Nie mogliśmy przecież siedzieć tutaj cały dzień. Nadeszła godzina dziesiąta, a jasnozielony golf Doderera nie pojawił się. Z bólem serca dałem sygnał, że na dzisiaj koniec.

Nie udało się. Zamiast z Heinekenem i Dodererem jechaliśmy do domu na wielkim kacu. Samochody zostały ponownie zaparkowane w pozycjach wyjściowych: w Noordwijk, Bennebroek i na parkingu obok naszych bloków. Po powrocie do mieszkania Willema humory mieliśmy pod psem. Logiczne. Tak długo się tym zajmowaliśmy, wszystko było w końcu przygotowane, a akcja nie doszła do skutku. Co za rozczarowanie! Byliśmy spięci aż po czubki palców, a tu takie zakończenie... Zupełnie jak mecz piłki nożnej o mistrzostwo Holandii. Rok treningów, stadion wypełniony kibicami, wszyscy są gotowi do spektaklu, a tu na kilka minut przed gwizdkiem trzeba wracać do szatni, bo mecz jest odwołany z powodu nieprzybycia sędziego. Tak się wtedy czuliśmy.

Przez pierwszą godzinę było całkiem cicho. Ze złości zerwaliśmy peruki i brody, leżały teraz porozrzucane po podłodze podobnie jak rękawiczki. Każdy z nas odreagował rozczarowanie po swojemu. Najpierw wszedłem do wanny z gorącą wodą, pewnie dla kontrastu z zimnym prysznicem, który wzięłem rano. Leżąc, mogłem się spokojnie zastanowić nad sytuacją. Kot siedział apatycznie w fotelu, Nos opalał się w solarium. Jeż włączył wideo ze swoim nieśmiertelnym *Ojcem chrzestnym*, ale po raz pierwszy w życiu film wcale go nie wzruszał. Był pogrążony w myślach i nie patrzył na ekran. Zgłębiał pewnie jakieś problemy metafizyczne, bo w pewnym momencie z zamkniętymi oczami zawołał teatralnym głosem:

– Ten człowiek ma konszachty w diabłem... przysięgam... diabeł go uchronił.

Wszyscy się roześmieli.

– Słyszysz tego wariata – chichotał Willem. A Boellaard odparował:

– Jak to możliwe, Frans... przecież to ty jesteś diabłem?

Wkrótce potem wszyscy się rozeszli. Mieliśmy spotkać się znowu wieczorem. Zawyrokowałem, że nie ma co podejmować decyzji pod wpływem złego nastroju, robić nowych planów zresztą też nie. Umówiliśmy się w znanej restauracji chińskiej Fong Lie, na amsterdamskiej P.C. Hoofdstraat[21], gdzie chętnie bywał też Heineken. Kto wie, może go tam spotkamy... Jedliśmy z apetytem i nie rozmawialiśmy o naszej sprawie, nigdy nie wiadomo, kto może podsłuchiwać. Po obiedzie, do którego zamiast szampana piliśmy tylko wodę mineralną Perrier, wróciliśmy do mieszkania Willema, aby porozmawiać. Hamulczyk był razem z nami. Próbowałem przywrócić dobry nastrój, mówiąc, że sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, to ryzyko zawodowe. Nie można mieć gwarancji sukcesu przy takiej pracy. Wtedy wszyscy by się tym zajmowali, a przecież nie o to chodzi. Pytanie: co teraz? Czy mamy odłożyć całą operację na czas nieokreślony? Czy odważyć się jeszcze raz? Każdy z nas się wypowiedział i postanowiliśmy szybko, że spróbujemy po prostu następnego dnia. Wszystko było przygotowane, samochody stały na posterunku. Musieliśmy to wykorzystać. Po co czekać dłużej?

Tylko Willem Holleeder się sprzeciwił. Nie dlatego, że nie chciał, ale ze względu na informacje, jakie zebrał podczas trwającej blisko rok obserwacji willi. Nos ustalił, że Heineken nigdy nie jeździł we wtorki do Amsterdamu, więc szansa na sukces w tym dniu była znikoma. Wiedziałem, że Willem ma prawdopodobnie rację, ale to nie powód, żeby nie spróbować. Heineken bywał zazwyczaj w poniedziałki w domu, a tym razem nie postąpił według schematu. Może będzie zatem we wtorek. Zawsze powtarzam: nie spróbować to przegapić szansę. Jak zawsze w sytuacjach niezgody, zagłosowaliśmy i z wynikiem trzy do jednego postanowiliśmy spróbować następnego dnia. Hamulec był obecny, ale nie miał prawa głosu. Czułem się za swojego zaledwie dwudziestoletniego brata odpowiedzialny i nie chciałem go za bardzo włączać do tej sprawy. Willem zgodził się z decyzją większości ze słowami:

– Okej, ale zobaczycie, że miałem rację.

Kolejna próba skończyła się tak jak poprzedniego dnia. Spotkaliśmy się

wcześnie rano, mając nadzieję, że nowy dzień to nowa szansa. Znowu siedzieliśmy z Willemem przez dwie godziny na ławce jak zaręczona para, w perukach, rękawiczkach i nic się nie działo: żadnego jasnozielonego golfa, żadnego Doderera, żadnej akcji. Willem miał rację. Niestety. Zrezygnowaliśmy za piętnaście dziesiąta, kwadrans wcześniej niż ostatnio.

Tym razem zawód nie był tak duży. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że przewidywania Nosa mogły się sprawdzić, byliśmy na to przygotowani. Zastanawialiśmy się natomiast, gdzie podział się Heineken. Był w podróży służbowej czy w swoim domu na południu Francji, w Szwajcarii, czy na pełnomorskim jachcie Something Cool? W takim wypadku perspektywa była smutna. Mógł wrócić dopiero za trzy, cztery tygodnie.

Po południu pojechaliśmy do miasta zasięgnąć języka. Najpierw do „kwatery głównej” koncernu Heinekena przy Tweede Weteringplantsoen, nie bez powodu nazywanej Pentagonem. Ciemny cadillac stał przed drzwiami, dobry znak. Szef był prawdopodobnie w środku. Następnie objechaliśmy miejsca, gdzie, jeśli mielibyśmy szczęście, mogliśmy Heinekena zastać. Nie do wiary, ale jeszcze nie skończyłem zdania w myślach, kiedy Jeż wrzasnął:

– Patrzcie, to on! – Pokazywał palcem mężczyznę idącego kilkadziesiąt metrów od nas. I rzeczywiście, czy to był przypadek? Kiedy jechaliśmy przez Herengracht, zobaczyliśmy, jak spaceruje. Elegancki pan, w garniturze, z płaszczem przeciwdeszczowym luźno przewieszonym przez ramię. Zupełnie sam, bez żadnej ochrony. Willem zwolnił nieznacznie i z ciekawością obserwowaliśmy nasz obiekt. Nie patrzył na nas ani się nie oglądał, wszedł do biura banku Pierson, Heldring & Pierson. Aha, a więc był w kraju. Odetchnęliśmy z ulgą. Wieczorem, w mieszkaniu Willema, atmosfera była tym razem znacznie lepsza. Powiedziałem:

– Chłopaki, nie ucieknie nam. Jutro go mamy. Zbiórka o piątej!

Jednak znowu mieliśmy pecha. Trzeci raz siedzieliśmy z Willemem na tej cholernej ławce w porannym chłodzie. Byłem zły. Co za fiasko! Tak nie można. Dużo ryzykowaliśmy z bronią, kradzionymi samochodami, w perukach. Tej środy zdecydowałem.

– Przez trzy dni staliśmy na próżno. Jutro dzień odpoczynku. Tylko Frans

i Willem pojedą do willi zobaczyć, czy Heineken tam jest.

Nie było go, poinformowali nas następnego dnia. Widocznie spał gdzieś indziej. Wkurzało mnie to okropnie, ale jednocześnie odczuwałem zadowolenie, że nie staliśmy na próżno. Bardzo frustrujące doświadczenie. Zrobiłem sobie przerwę i wyspałem się porządnie. Przez to napięcie i wczesne wstawanie byłem śmiertelnie zmęczony. W piątek rano też zostaliśmy w domu. Tylko Willem wybrał się sprawdzić, czy Heineken jest u siebie. Gdzie się podziewał, to tylko diabeł mógł wiedzieć, ale ani jego, ani Doderera tego ranka w Noordwijku nie było. Czas na dalsze decyzje. Co mieliśmy zrobić? Trzy dni spóźnienia w stosunku do pierwotnego planu i żadnych konkretów. Nadchodził weekend. Powinniśmy z powrotem wszystko zwozić? W weekend nic się nie wydarzy. Byłem jednak przeciwny ruszaniu samochodów. Pomarańczowe renault przypominało latarnię morską, zwracało uwagę, lepiej nim za dużo nie jeździć. Lepiej zostawić samochody na swoich miejscach. Umówiliśmy się, że po niedzieli pojedziemy we czwórkę rozejrzeć się po Noordwijku. Chciałem się sam przekonać, czy nie popełniliśmy żadnego błędu w rozumowaniu. W weekend musimy się zrelaksować. Wybrałem się z Sonją na wyścigi, postawiłem cały stos banknotów, żeby się przekonać, czy fart mnie nie opuścił. Godzinę później zainkasowałem u bukmachera siedem tysięcy guldenów. Poczuję się dobrze. Uśmiechając się, mruknąłem do siebie:

– Jeszcze potrafisz, Flip...

W poniedziałek ruszyliśmy we czwórkę. Dotarliśmy na miejsce wcześniej. Na tyle wcześniej, że zobaczyliśmy Aba Doderera przejeżdżającego obok nas swoim jasnozielonym golfem... Cholera jasna! Co za pech! Z drugiej strony nie ma tego złego, Heineken najwyraźniej znowu nocuje w Noordwijku. Jedna jaskółka wiosny nie czyni, więc postanowiliśmy nie decydować pochopnie i nie zwoływać akcji na wtorek. Heineken rzadko bywał we wtorki. Najpierw musieliśmy się jeszcze porozglądać. Potem zdecydować. We wtorek sytuacja też wyglądała obiecująco: kierowca znowu przyjechał po szefa. Powrócił do normalnego rytmu dnia.

Tego popołudnia nie musieliśmy długo dyskutować: uderzamy następnego dnia. Z sekretnego pomieszczenia na Heining znowu

wyciągnęliśmy broń i peruki, a wieczorem pojechaliśmy jeszcze z Willemem do Utrechtu i Zeist sprawdzić każdy szczegół. Wszystko musiało być skoordynowane. Nie dostrzegliśmy żadnych problemów i umówiliśmy się następnego ranka o piątej. Jeszcze trochę, a staniemy się rannymi ptaszkami.

Niestety, mówiąc słowami Jeża, diabeł maczał w tym palce: Heinekena nie było! Siedzieliśmy na ławce ponad dwie godziny i stopniowo zaczęliśmy z Willemem coraz bardziej narzekać i przeklinać. Nie wpływało to dobrze na nasz układ nerwowy. Sam nie mogłem się z tym pogodzić. Do diabła, jak to możliwe! Wydawało się, że ten facet potrafi wywachać niebezpieczeństwo i zniknąć.

Nie daliśmy za wygraną. Kiedyś musiało się nam udać. W piątek rano znowu siedzieliśmy z Willemem na ławce, tuż obok fabryki farby. Po raz piąty. Trwało to już drugi tydzień. Całe porwanie powinno się właściwie zakończyć. Powinniśmy mieć już forszę w rękach. Nie przypuszczałem, że plan w tym punkcie nas zawiedzie. Jeden albo dwa razy, okej, ale to był już piąty raz... I znowu na próżno. Heinekena nie było, Doderer też się nie pojawił.

Musieliśmy wyładować napięcie i frustrację. Przeklinaliśmy jak szewcy. Beznadzieja! Lataliśmy codziennie z bronią, jeździliśmy kradzionymi samochodami w cholernych perukach na głowach! Zauważyłem, że schudłem. Nie jadłem śniadania, a stres pożerał energię. Zrzucenie kilku kilogramów było nawet pożądane, bo zaczęli mnie przezywać Grubas, ważyłem prawie setkę, ale bez przesady...

Z twarzy Willema też można było wyczytać napięcie i rozdrażnienie ostatnich tygodni. Jadał za dwóch roboli, ale pod oczami miał głębokie, nabrzmiące worki. Siedzieliśmy przygnębieni na chesterfieldach w jego mieszkaniu. Tylko Frans leżał w solarium, żeby nabrać zdrowego koloru skóry. Zawołałem do niego:

– Hej, Jeż... – Przez otwarte drzwi widziałem, że odwrócił głowę w moim kierunku. – Chyba masz rację.

Frans patrzył na mnie, nic nie rozumiejąc.

– O co ci chodzi?

– No, z tym diabłem... – odpowiedziałem. Nie jestem przesądny, ale zaczynałem wątpić.

Diabeł czy nie, któregoś dnia – najlepiej jak najszybciej – musiało się udać. Zainwestowaliśmy tyle czasu i pieniędzy, że nie mogliśmy sobie pozwolić na zrezygnowanie z akcji z powodu drobnej zwłoki. Plan był dobry, musiał się udać. Mieliśmy spróbować ponownie w poniedziałek rano. Radziłem wszystkim, żeby w niedzielę pojawili się w stałych miejscach, wszędzie pokazali twarz. Ja pojechałem z Willemem na wyścigi. Nie miałem jednak takiego nastroju jak zwykle. Myślami błądziłem po Koepelweg. Byłem zmęczony, ale mój mózg pracował na pełnych obrotach. Dzień i noc, chciałem czy nie chciałem. Nie mogliśmy jednak niczego po sobie pokazać. Na wyścigach mój kumpel, Robbie Offenber, zauważył, że wyglądam na zmęczonego.

– Może i prawda – odpowiedziałem nonszalancko. – Mam dużo pracy. Trzeba włożyć sporo wysiłku, żeby zarobić parę groszy.

Następnego ranka, w niedzielę, leżałem jeszcze w łóżku, bawiąc się z córeczką Francis, kiedy zadzwonił telefon. To był Nos, odebrałem telefon trochę opryskliwie. Nawet nie przeprosił, że dzwoni o tak wczesnej porze, tylko mówił pośpiesznie:

– Flip, cholerne kokosy stoją przed drzwiami!

Przestraszyłem się niezmiernie. Terminem „kokosy” określaliśmy policję. Nazwa pochodziła od popularnego zespołu popowego „Kid Creole and the Coonuts” (Kreolskie[22] dziecko i kokosy). „Kit”, to w amsterdamskim slangu policja, zwykliśmy mówić: „Het *creoolt* hier van de kit” (kłębi się tu od policji).

Willem opowiedział mi, że rano chciał odwieźć mercedesem do domu dziewczynę, która u niego spała. Kiedy wyjeżdżał z garażu pod blokiem, chciał skręcić w prawo i dlatego spojrzał w lewo, czy można, a wtedy zobaczył zaparkowanego opla mantę, na numerach FF. Uzmysłowił sobie natychmiast, że to musi być dochodzeniówka. Staliśmy kiedyś całe popołudnie przed kwaterą główną policji na Elandsgracht w centrum Amsterdamu i zauważyliśmy, że wjeżdża tam relatywnie dużo samochodów na numerach rejestracyjnych FF, większość była tej samej marki, szczególnie

dużo modeli Opla.

Nos przejechał wolno obok policyjnego auta i zerknął na chwilę do środka. Oczywiście oparcie fotela kierowcy było opuszczone i siedział na nim tajniak, obserwując wszystko znad krawędzi deski rozdzielczej. Przed drzwiami Willem odkrył jeszcze fioletowego opla rekorda, w którym też ktoś siedział, a za rogiem stał podejrzany volkswagen jetta. Willem nie potrzebował więcej informacji. Wsadził dziewczynę pod byle pretekstem do taksówki i okrężną drogą pojechał na Bos en Lommerweg w Amsterdamie Zachodnim, do znanej mu i działającej budki telefonicznej. Dzwonił stamtąd. I przeklinał w duchu.

Jeśli Willem tak mówił, można się było założyć, że to prawda. Miał nieomyślne oko w takich sprawach. Dlatego stał tak często na posterunku w Noordwijku.

Wiadomość wcale mi się nie spodobała. Ostrożnie położyłem Francis na środku łóżka, a sam szybko z niego wyskoczyłem. W dziesięć sekund włożyłem spodnie, podkoszulek i buty. Z szuflady wyciągnąłem trochę pieniędzy i paszport. Kiedy wszedłem do pokoju, Sonja patrzyła na mnie zdziwiona. Właśnie robiła śniadanie. Przejąłem inicjatywę, zanim zdążyła zapytać:

– To był Nos. Urząd Kontroli Skarbowej stoi pod drzwiami. Muszę lecieć...

Dałem całusa jej i zawiedzionej Francis, po czym wyleciałem z domu, zanim zdążyła coś powiedzieć. Historia z policją skarbową nie była w tym momencie wcale zmyślona. Chcąc Boxie przygotować na wszystkie ewentualności, powiedziałem jej już jakiś czas temu, że mam kłopoty z fiskusem i być może będę się musiał ukrywać przez kilka dni.

Zbiegałem ze schodów wielkimi krokami i tylnymi drzwiami od strony parku wyszedłem przez garaż. Najpierw musiałem przeskoczyć przez wysoki mur, ale okazuje się, że w sytuacjach podbramkowych człowiek potrafi przeskoczyć sam siebie. Jednym skokiem pokonałem przeszkodę i biegłem do budki telefonicznej, gdzie czekał na mnie Willem. Stamtąd poinformowaliśmy Fransa w Den Helder i Boelliego w Zwanenburgu. Zaniemówili obydwaj i powiedzieli to samo: „Jak to możliwe?”. Tak, to było dobre pytanie. Rozmawialiśmy tego popołudnia w motelu w Alkmaar,

położonym przy wielkim rondzie przy wjeździe do miasta. Jedliśmy obiad i dyskutowaliśmy gorączkowo o nowej sytuacji. Meijer nie mógł w to uwierzyć.

– Niemożliwe. Organizacja jest doskonała. Nie zrobiliśmy żadnego błędu. Nikt nie wie, co planujemy. Nikt o tym z nikim nie rozmawiał. Przykro mi, ale ja w to nie wierzę.

Żeby się przekonać, pojechaliśmy z powrotem do Amsterdamu, Frans zabrał psa i wysadziliśmy ich z samochodu niedaleko naszych bloków. Jeź udając, że idzie na spacer z psem – było dosyć zimno – przespacerował się wokół bloku. Kwadrans potem wsiadł podekscytowany do samochodu i potwierdził, co już w zasadzie wiedzieliśmy:

– Macie rację, cholera, psy się zaczęły!

Sytuacja wymagała szybkiego działania. Wszystkie samochody powinny zniknąć z drogi. I to od razu. Trzeba było też opróżnić mieszkanie Willema. Peruki, broń, listy, rękawiczki, wszystko. To była nagła konieczność. Oczywiście plan uderzenia w poniedziałek został bez słowa porzucony. Boellaard sam podjął się dowiezienia w nocy, po ciemku wszystkich samochodów na Heining. Pytanie było tylko: kto opróżni mieszkanie Willema? Jeśli kokosy naprawdę mają nas na oku, nie powinniśmy tego robić sami. Wpadło mi do głowy pewne rozwiązanie. Zadzwoiłem do Hamulca, do jego mieszkania na Hoofdweg, i powiedziałem mu, żeby przyjechał samochodem swojej dziewczyny do bloku i wyniósł stamtąd wszystko w torbach. Zdziałało. Pojawił się za niecałą godzinę i wjechał samochodem do garażu. Jeśli policja sprawdzi numery rejestracyjne, to nie były zapisane na niego ani nikogo znajomego. Prawdopodobnie zostawią go w spokoju. Za niecały kwadrans wyjechał z garażu. Udało się.

Pojechaliśmy wszyscy różnymi drogami na Heining, uważając po drodze, czy nikt nas nie śledzi. W baraku szybko porzuciliśmy wszystkie rzeczy za podwójną, niewidzialną ścianą. Inne ślady, jak papier i koperty, spaliliśmy w piecyku. Hopla, wszystko razem!

Tego wieczoru wynajęliśmy z Willemem pokój w hotelu Residence w Vinkeveen, oczywiście pod przybranym nazwiskiem. Co kilka godzin dzwoniłem do Sonji z pytaniem, czy nie pytała o mnie policja skarbową.

Liczyłem się z możliwością wtargnięcia i przeszukania mieszkania. Kokosy nie bez powodu obserwowały blok w niedzielę. Nic się nie wydarzyło i po kilku dniach odważyliśmy się podejść bliżej i spać w domu. Wciąż byłem trochę niespokojny.

Wkrótce potem szedłem Staalmeesterlaan i nagle zobaczyłem Fransa van de H., sąsiada, o którym wiedziałem, że siedział kiedyś za narkotyki. Mieszkał w bloku Willema. Nagle wpadł mi do głowy pomysł i podszedłem do niego. Zagadnąłem w ciemno:

– Hej, nie chcę się wtrącać, ale uważaj, bo policja stoi na czatach.

To było dobre zagranie, bo okazało się, że wiedział więcej ode mnie. Odpowiedział:

– Nie, chłopie, to nie o mnie im chodzi, ale o Evertje T.

Niezauważalnie odetchnąłem. Dzięki Bogu! Nie znałem Evertje osobiście, ale czytałem kiedyś o nim. W gazetach opisywano go jako porywacza Caransy. Właściwie był więc kolegą. Obecnie zajmował się bardziej narkotykami i dlatego pod drzwiami kłębiło się od kokosów. Po tylu niepowodzeniach ta wiadomość była tak dobra jak szóstka w lotto.

Kiedy po dwóch dniach zniknęły samochody tajniaków, wróciliśmy do naszego planu. Zaczęliśmy ostrożnie obserwować. Postanowiliśmy codziennie sprawdzać, co dzieje się nie tylko w Noordwijku, ale i w Amsterdamie, w biurze Heinekena. Być może uda się dowiedzieć czegoś więcej o ruchach Heinekena i dokładniej przewidzieć, kiedy będzie nocował w Noordwijku. Nie miałem ochoty po raz kolejny marznąć na próżno przez cały ranek na drewnianej ławce. Jeśli teraz zdecydujemy się na akcję, to musi się udać. W stolicy po wielu rozczarowaniach dokonaliśmy odkrycia. Widzieliśmy, jak Heineken często spaceruje z biura na Tweede Weteringplantsoen. Otwarcie i bez ochrony. Można mu było rękę podać, podstawić taksówkę i kazać mu wsiadać. Nawiasem mówiąc, w tym czasie przebudowywano Pentagon. W oknach nie było zasłon i z pobliskiego przystanku tramwajowego mogliśmy zaglądać do środka aż do wysokości trzeciego piętra. Widzieliśmy tam, jak wielki szef przechadza się, przyjmuje gości i czasami wygląda przez okno. Wieczorami około siódmej wyłączały piękne żyrandole, a trzy minuty później otwierały się drzwi i Alfred

Heineken wychodził z biura. Rejestrowałem wszystko, każdy szczegół, każdy drobiazg i wchłaniałem je w siebie. Kilka dni później podczas jednego z naszych zebrań przyszedł czas na to, co w świecie komputerowców nazywa się *output*. Powiedziałem innym:

– Chłopaki, nie wiem, czy zauważyliście, ale według mnie Heinekena o wiele łatwiej porwać w Amsterdamie niż w Noordwijku. Może rozejrzymy się po stolicy?

Spowodowało to gorącą dyskusję. Frans Meijer był zdecydowanie przeciwny zmianie planów. Tyle czasu zajmowaliśmy się przecież akcją w Noordwijku, szczególnie Frans. Trudno się pogodzić ze zmianą. Jeź i Nos przejechali tysiące kilometrów po tej okolicy. Miało się okazać, że po nic? Nie, nie poddawali się tak łatwo. Meijer przypomniał, że już dawno temu umówiliśmy się, że porwanie nie może być sprawą dla amsterdamskiej policji. Porywając Heinekena w stolicy, właśnie wejdziemy na ich terytorium. To był rzeczywiście ważki punkt. Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy jednak od niego odejść. Gliny to gliny, kto nam zagwarantuje, że amsterdamska policja nie weźmie sprawy w swoje ręce, jeśli porwanie nastąpi w Noordwijku? Przedstawiłem atrakcyjne argumenty, które obmyśliłem w ostatnich dniach. Przekonywałem, że Heinekena można porwać teraz po ciemku, co w Noordwijku było niemożliwe. Heineken wysiadał tam z samochodu dopiero za ogrodzeniem. Zajechanie drogi z drugiej strony było trudne, również ze względu na wyznaczoną trasę ucieczki. Poza tym trasa z Amsterdamu na Heining była nieporównywanie krótsza. Różnica wynosiła około trzydziestu kilometrów. A więc mniej ryzyka po drodze. Amsterdam był po prostu dobrym wyborem...

Kiedy wymieniałem te argumenty, widziałem po twarzy Boellaarda, że się waha. Zaczynał dostrzegać korzyści, ale widocznie musiał przyzwycząić się do tej myśli. Willem od razu stał po mojej stronie.

Rozmawiałem z nim już w samochodzie. Zawsze bezpośredni Nos byłby, że tak powiem, gotów porwać Heinekena nawet w momencie, kiedy ten znajdowałby się na posterunku, żeby zapłacić mandat. Jeśli czuł, że coś można zrobić, to nikt i nic nie mogło go powstrzymać. Nawet stalowe kajdanki.

Argumentem przemawiającym za moją propozycją był fakt, że już pięć razy staliśmy na próżno w Noordwijku, więc plan nie był tak doskonały. To zdecydowało, że wszyscy czterej zagłosowaliśmy w końcu za Amsterdamem, chociaż Frans miał wątpliwości. Ciągle podkreślał, że będziemy mieli do czynienia ze stołeczną policją kryminalną. Mnie się to też nie podobało, ale musieliśmy dokonać wyboru i przyjąć konsekwencje.

Front przesunął się w tych dniach z Noordwijku do Amsterdamu, na Tweede Weteringplantsoen. Do Pentagonu. Można nas tam było teraz znaleźć prawie codziennie. Obserwowaliśmy Heinekena i Doderera z przystanku tramwajowego, z samochodów śledziliśmy, co się dzieje w banku i okolicy, notowaliśmy wszystkie ruchy i zwyczaje wokół kwatery biznesmena. Cieszyłem się z tej zmiany. W Amsterdamie czułem się jak w domu, swobodniej niż w Noordwijku. Tam, mimo tysięcy przejechanych kilometrów, byliśmy jednak obcy. Amsterdam oferował dziesięć razy więcej możliwości. Tutaj się urodziliśmy i znaliśmy miasto jak własną kieszeń. Wadą było to, że musieliśmy wytyczyć inną trasę ucieczki. Zaczynała się przy biurze mieszczącym się w centrum przy Weteringplantsoen, a kończyła na Heining przy Noordzeeweg w Amsterdamie Zachodnim. Próbowaliśmy zaplanować drogę pomiędzy tymi miejscami. Udało się to całkiem szybko. Dużo szybciej niż w Noordwijku. Po dwóch tygodniach i przejechaniu ponad dwóch tysięcy kilometrów opracowaliśmy trasę. Z grubsza biorąc: z Weteringplantsoen mieliśmy skręcić i dojechać pasem dla tramwajów do Frederiksplein – gdzie mieści się De Nederlandsche Bank – potem skręcić w Sarphatistraat, przez most Hoge Sluis przejechać Amstel, od razu skręcić na Prof. Tulpplein, gdzie leży hotel Amstel. Ten plac jest właściwie zamknięty dla ruchu samochodowego, ale dla rowerzystów zbudowano tunel pod mostem Torontobrug. Wjazd samochodów do tunelu blokowały dwa słupki. No, z tym nie mieliśmy problemów nawet w Noordwijku, więc tym bardziej w naszym rodzinnym mieście. Słupków można się szybko pozbyć. Tunel dla rowerzystów był doskonałym miejscem na przesiadkę. Pomarańczowe renault mieściło się idealnie w tunelu, co do dwóch centymetrów. Jeśli będzie pościg, to mogliśmy zablokować tym autem wjazd do tunelu innym samochodom. Oczywiście nie zapomnieliśmy, że w 1977

roku Maurits Caransa został porwany na Prof. Tulpplein, więc policja kryminalna mimowolnie będzie od razu kojarzyła naszą akcję z tamtym zdarzeniem. A my postaramy się skierować ją na mylny trop.

Po przesiadce mieliśmy jechać prosto przez Weesperzijde, kawałek wzdłuż rzeki, w kierunku terenu przemysłowego Amstel. Planowaliśmy przejechać najpierw z tyłu dworca Amstel, ulicą Spaklerweg, gdzie po lewej stronie widać więzienie Bijlmer – „tam nie jedziemy”, żartowaliśmy w trakcie próbnych jazd – a następnie obok fabryki gumy do zucia Maple Leaf i biur koncernu Coca-Coli. Na końcu Spaklerweg mieliśmy skręcić w De Heusweg, to była dróżka kończąca się na leżącym w pobliżu wzgórzu. Zaraz za wzgórzem leżała obwodnica południowa, której trasa biegła obok centrum kongresowego RAI w kierunku Zaandamu. Musieliśmy na nią wjechać, ale szybko zorientowaliśmy się, że przy odrobinie umiejętności wzgórze nie stanowiło problemu i można było łatwo dostać się na obwodnicę. To nie był oczywiście oficjalny wjazd, ale doskonale pasował do naszego planu. Jeśli po porwaniu zostanie wszczęty alarm, to na pewno wszystkie wjazdy i zjazdy zostaną zablokowane. Z wyjątkiem naszej małej dróżki za wzgórzem, o której istnieniu nikt nie wiedział. Kiedy znajdziemy się na autostradzie A10, to dalsza droga jest drobnostką. W ciągu kilku minut jesteśmy na tak zwanej Coentunnelweg, przejedziemy obok naszych bloków przy Staalmeesterslaan, zjedziemy zjazdem Havens West (Porty Zachodnie), dalej obok biur gazety „De Telegraaf” przy Basisweg, przez nowo powstały przez nasypanie piasku teren, na którym stoi teraz stacja Sloterdijk. Potem kilka zakrętów i byliśmy bezpieczni jak w domu, na Heining, za podwójną ścianą. Byłem podekscytowany, że wszystko poszło tak szybko, a po przeanalizowaniu byłem zdania, że ta trasa jest nawet lepsza niż trasa z Noordwijku. Inni musieli mi przyznać rację. Pozostawał jeszcze fakt, że będziemy mieli przeciwko sobie policję kryminalną z Amsterdamu. No cóż, trzeba się było z tym pogodzić.

Tak mocno wierzyłem w nasz plan, że gotów byłem stanąć naprzeciwko Sherlocka Holmesa, Herkulesa Poirota, Maigreta i kogo tam jeszcze. Jeśli będzie trzeba – wszystkich jednocześnie. Połamię sobie na nas zęby. No cóż, pracowaliśmy nad uprowadzeniem prawie dwa lata. Nie mogą tego nadrobić

w ciągu kilku dni.

Musieliśmy uderzyć w krótkim czasie. Nie tylko dlatego, że miałem dosyć obchodzenia kolejnego sylwestra na Van Hallstraat z mdłą gadką, ale również dlatego, że była już późna jesień. Zastrzeżenie co do liściastej zasłony nie dotyczyło już Koepelweg, ale odnosiło się do lasku w Zeist. Cała sprawa musiała się zakończyć przed świętami. Wtedy moglibyśmy witać Nowy Rok w dobrych nastrojach: bajecznie bogaci i niewykrywalni. Robota za nami.

²¹ P.C. Hoofstraat – jedna z najelegantszych ulic Amsterdamu (przyp. tłum.).

²² Gra słów: Creole jest podobne do słowa krioelen – „po holendersku kłębić się” (przyp. tłum.).

Rozdział 9

Mieliśmy zamiar porwać Heinekena wieczorem, po drodze z biura do samochodu, w którym będzie czekał na niego Ab Doderer. Cadillac stał zwykle zaparkowany przed drzwiami, a więc Heineken miał do przejścia tylko kilka metrów. Musieliśmy go obezwładnić w ciągu paru sekund. Właściwie był to rozbój uliczny. We wcześniejszej wersji planu amsterdamskiego rozważaliśmy porwanie Heinekena z biura na trzecim piętrze. Zamierzaliśmy po prostu wejść do środka i go „zabrać”.

W praktyce pomysł ten okazałby się trudny do zrealizowania. Jak wejść do biura? Heineken nie miał ochrony, ale nie szczędził pieniędzy na elektroniczne wyposażenie siedziby koncernu. Któregoś dnia Willem zadzwonił tam, żeby się przekonać, jak wyglądają procedury przy wejściu. Okazało się, że były dość skomplikowane. Drzwi otwierały się elektronicznie, wchodziło się do jakiegoś westybulu i stało znowu przed zamkniętymi drzwiami. Trzeba było podać imię, nazwisko i powód przybycia przez interkom. Widocznie sprawdzano te dane z księgą gości lub kalendarzem i dopiero wtedy drzwi się otwierały, i można było przejść dalej.

I jeszcze coś. W budynku zainstalowano system telewizji przemysłowej. W każdym pokoju wisiała pod sufitem kamera. Nos szybko zawrócił z tej wycieczki, mrużąc do interkomu:

– Przepraszam, pomyliłem się, umówiłem się na Eerste Weteringplantsoen.

A to była Tweede Weteringplantsoen. Kamery były dla mnie powodem, żeby zrezygnować z tej operacji w środku budynku. Nie bardzo miałem ochotę oglądać jeszcze raz całą akcję w kolorze w wieczornych wiadomościach. Poza tym Ab Doderer czekał na swojego szefa zazwyczaj na zewnątrz, w samochodzie. Nie mogliśmy ich więc porwać jednocześnie,

musielibyśmy operować na dwa fronty. To nie była pożądana sytuacja.

Mimo to myśl uprowadzenia Heinekena z biura nie była nielogiczna po wszystkich niepowodzeniach w Noordwijku. Chcieliśmy przejąć inicjatywę i nie zależeć od godziny, o której Heineken miał je ochotę opuścić. W porównaniu z Noordwijkiem była jeszcze jedna sprawa, jakiej nie można było pominąć: ruch uliczny. Amsterdam jest miastem znanym z zatorów, korków ulicznych, objazdów i innych niespodziewanych przeszkód w ruchu. Planowaliśmy godzinę A – ataku, po wieczornym szczycie, ale to nie znaczyło, że miasto wtedy wymiera. Nigdy nie będzie tak cicho jak na wsi. Po drodze do tunelu dla rowerzystów, gdzie mieliśmy się przesiąść, musieliśmy minąć dwa duże skrzyżowania ze światłami, oba na wysokości DNB, De Nederlandsche Bank, na końcu Weteringschans. Prawdopodobieństwo, że staniemy na czerwonych światłach, było całkiem spore. Chciałem uniknąć przekraczania zasad ruchu drogowego podczas ucieczki, mogłoby to ściągnąć na przykład uwagę przejeżdżającego przypadkowo patrolu. W jakiś sposób musieliśmy więc rozwiązać sprawę światel. Albo je całkowicie zepsuć, albo tak pomajstrować, żeby dla nas przeskoczyły na zielone. Przypomniałem sobie, że w dni, kiedy ruch był duży, widziałem na jednym ze skrzyżowań policjantów przy skrzynce, obsługujących światła ręcznie. Zaproponowałem, żebyśmy zbadali, czy nie da się zmanipulować działania światel na skrzyżowaniu. Pewnego wieczoru jechaliśmy trasą ucieczki jeszcze raz, żeby sprawdzić, czy na Weteringschans można znaleźć taką skrzynkę. Rzeczywiście, na skrzyżowaniu Weteringschans-Westeynde była podobna.

Jan Boellaard, poprzez swojego znajomego pracującego w Wydziale Robót Publicznych, załatwił jeszcze w tym samym tygodniu klucz, a tymczasem Hamulec, na innym skrzyżowaniu, z zainteresowaniem obserwował całe popołudnie, jak taka skrzynka działa i mimochodem zadał kilka pytań. Potem za pomocą klucza sami zbadali kilka razy urządzenie od środka i rozrysowali na papierze jego działanie. Sam nic z tego nie rozumiałem, ale Kot i Hamulec mieli wykształcenie techniczne, które im się teraz bardzo przydało.

Po niedługim czasie Hamulec twierdził, że potrafi zmieniać światła. Aby

się przekonać, pojechaliśmy któregoś popołudnia wykonać próbę na skrzyżowaniu Rijnstraat-Vrijheidslaan, blisko centrum kongresowego RAI. Mieliśmy siedzieć w samochodzie i obserwować, jak mój braciszek steruje ruchem. Obowiązywała ta sama zasada, co z kradzieżą samochodów, w jego wykonaniu to był młodzieńczy wybryk. Gdybym to zrobił ja lub któryś z nas, kwalifikowałoby się to do dalszego śledztwa. Powiedziałem bratu, że ma „zafiksować” światła na pomarańczowym. Ten fachowy termin usłyszałem kiedyś w rozmowach. Oznaczał przełączenie świateł na mrugające pomarańczowe. Gdybyśmy całkowicie je wyłączyli, co według Hamulca i Kota było łatwiejsze, moglibyśmy ściągnąć uwagę. Światła mrugające na pomarańczowo nie były niczym dziwnym w Amsterdamie. I wtedy będziemy mogli przejechać bez problemu, bo Weteringschans to droga z pierwszeństwem ruchu. Przepuszczą nas. Na dodatek pomarańczowa furgonetka renault miała przypadkowo kolor podobny do autobusów miejskiego przedsiębiorstwa komunikacyjnego, więc mogliśmy jechać po pasie dla tramwajów bez zwracania uwagi. Zza kierownicy mercedesa przyglądałem się z zainteresowaniem Hamulcowi majstrującemu przy skrzynce. Jak na swoje dwadzieścia lat był niezłym spryciarzem. Chwilę potem wrócił rozpromieniony.

– Załatwione! – powiedział, wsiadając.

Spojrzałem zaciekawiony na skrzyżowanie i światła i zacząłem się śmiać.

– Tak? – zapytałem. – To dlaczego wszystkie samochody stoją? Chłopie, ustawiłeś je na czerwonych zamiast na pomarańczowych. Korek się zrobił!

Hamulec poczerwieniał prawie jak światła, a my ryczeliśmy ze śmiechu. Rzeczywiście udał mu się młodzieńczy wybryk. Odjechaliśmy szybko, ze wszystkich stron słychać było klaksony. Później wypróbowaliśmy to jeszcze raz i okazało się, że Hamulec potrafi świetnie się spisać. Światła nie stanowiły więcej żadnej przeszkody.

Wszystko było właściwie przygotowane. Zmiana planów z Noordwijku na Amsterdam zajęła nam niewiele czasu i stwarzała mniej problemów, niż myślałem. Osobiście jednak wciąż uważałem starą wersję za ładniejszą i bardziej wyrafinowaną od tej, którą szykowaliśmy teraz. Szczególnie podobał mi się pomysł z zajechaniem drogi na Koepelweg. Akcja

w Noordwijk miałyby większy rozmach, świadczyłaby o tym, że gruntownie przemyśleliśmy przedtem sprawę. Z drugiej strony powinniśmy również wzbudzić podziw, porywając kogoś w środku miasta. Ach, w końcu nie było to takie ważne.

Nie czekaliśmy na nagrody w konkursie piękności. Chodziło o największą skuteczność. Założyliśmy, iż pokażemy, że z nami nie ma co żartować. Chcieliśmy zakończyć negocjacje – a więc i porwanie – w ciągu czterech dni. Ocenialiśmy, że Heineken i Doderer powinni tyle wytrzymać. Po tej aferze ze squatem też siedzieliśmy w celi przez cztery dni, a ile ludzi trzymano w więzieniu nawet dłużej zupełnie za nic i nawet przeprosin nie usłyszeli? W zasadzie chcieliśmy porwać ich w środę. Wtedy rajd z okupem wypadalby w niedzielę wieczorem, kiedy prawie nikogo nie ma na drogach. A odebranie pieniędzy odbyłoby się w poniedziałek rano, w czasie największych korków porannego szczytu. Planowaliśmy krótkie i zdecydowane negocjacje. Wiedzieliśmy, że długie rozmowy lub jakieś opóźnienie będą działały na naszą niekorzyść. Koncern Heinekena lub policja na pewno zatrudnią specjalistów w tej dziedzinie, może nawet psychologów.

Wiedziałem, że opracowaliśmy bardzo dobry plan i przygotowaliśmy się w sposób, z jakim policja kryminalna jeszcze nie miała do czynienia, ale zdawałem sobie też sprawę, że nie powinniśmy lekceważyć umiejętności naszych przeciwników w dziedzinie komunikacji i negocjacji. Jeśli o to chodzi, żaden z nas nie miał w tym kierunku przeszkolenia, wykształciła nas praktyka amsterdamskiej ulicy. Im dłuższe będą negocjacje, tym większe prawdopodobieństwo, że policja zdobędzie wskazówki na temat naszej tożsamości lub miejsca pobytu.

Tymczasem nadszedł listopad, w poniedziałek, siódmego, zebraliśmy się we czterech pod biurem Heinekena przy Tweede Weteringplantsoen. Mieliśmy szczęście: tego dnia był w biurze. Natychmiast odbyliśmy naradę w mieszkaniu Willema i sprawdziliśmy po kolei każdy punkt. Czy wszystko jest w porządku: przebrania, broń, samochody; przeczytaliśmy jeszcze raz listy do koncernu Heinekena, omówiliśmy szczegóły trasy rajdu i po raz kolejny odwiedziliśmy Utrecht i Zeist, a do cel zawieźliśmy jedzenie i picie, i tak dalej. Wszystko było zapięte na ostatni guzik. Hamulczyk usunął

w międzyczasie dwa słupki blokujące dojazd do tunelu dla rowerzystów, więc mogliśmy nim przejechać naszą furgonetką. Codziennie kontrolował, czy gmina nie zastąpiła ich nowymi. Na szczęście takie rzeczy zawsze trwały w Amsterdamie bardzo długo. Droga była wolna, więc czas na akcję. Sami określiliśmy moment uderzenia: środa wieczór, 9 listopada 1983 roku.

Wydawało się, że los nam sprzyja. Kiedy wstałem we wtorek rano i czytałem gazetę, znalazłem informację, że miejski zakład energetyczny będzie strajkował i między innymi wyłączy wieczorem oświetlenie uliczne w Amsterdamie. Zatarłem ręce i zachichotałem: cha, cha, cha, znakomicie chłopcy! To ci niespodzianka. We wtorek po południu znowu kręciliśmy się wokół biura Heinekena. Hamulec był z nami. Siedzieliśmy po raz kolejny z Willemem na drewnianej ławce na skwerku, tuż obok Pentagonu. Mogliśmy obserwować stamtąd wszystkie ruchy. Samochód Heinekena stał przed drzwiami. Siedział w nim Ab Doderer. Widziałem, że czyta jakąś gazetę.

Właściwie uważałem, że to dziwna sytuacja. Dlaczego ten facet nie czeka w środku, przy piecyku? Teraz włączał co chwilę silnik, pewnie po to, żeby się ogrzać. Czasami siedział tak przez kilka godzin. Czekał, czekał i czekał. Pamiętam, że dawniej mu zazdrościłem, bo jeździł takim pięknym samochodem. Teraz inaczej na to patrzyłem. Praca szofera jest do niczego. Limuzyna Heinekena stała tuż za żółtym renault 20TL. Hamulec ustawił go w tym miejscu wcześniej, żebyśmy w momencie akcji mieli samochód tuż przed drzwiami. Zazwyczaj parkowało tam mnóstwo aut. Renówka miała na krótko przed akcją ustąpić miejsca pomarańczowej furgonetce, która stała od kilku dni na Swammerdamstraat, tuż obok wspomnianego tunelu dla rowerzystów, na tyłach urzędu podatkowego. Hamulec miał wyjechać z miejsca parkingowego, jak tylko zobaczy Boellaarda w furgonetce.

Frans czekał już kilka godzin na przystanku na tramwaj, który widocznie nie miał zamiaru nadjechać, a Kot spacerował tam i z powrotem. Nie było to takie istotne, chodziło o wyczucie atmosfery, o koncentrację. Ale sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Kiedy staliśmy na rogu Nicolaas Witsenkade i Tweede Weteringplantsoen, Jeż powiedział nagle:

– Chłopaki, na co my czekamy? Porwijmy go dzisiaj! Wszystkie latarnie

będą wieczorem wyłączone. Kto wie, jak będzie jutro...

Popatrzyliśmy na siebie zdezorientowani. Teraz? Za jakieś półtorej godziny? Spojrzałem ukradkiem na zegarek, było po wpół do piątej. Willem zareagował pierwszy. Uważał, że nie powinniśmy tego robić, bo po prostu nie zdążymy. Może i tak, ale z drugiej strony uważałem, że Jez też ma rację. Tyle razy czekaliśmy na próżno. Poza tym słyszeliśmy, że następnego dnia Heineken jedzie na przyjęcie do Zoeterwoude, żeby świętować udane zakończenie sprawy o szantaż. Nie było pewności, czy wróci potem do Amsterdamu do biura. A jeśli znowu będziemy czekać niepotrzebnie? Na pewno odbije się to na naszej ostrości widzenia. Myślałem szybko. Większość rzeczy była przygotowana od miesiący. Mogliśmy być gotowi do akcji w krótkim czasie. Nie musieliśmy się trzymać ustalonej daty.

Zdecydowałem:

– Okej, spróbujmy. Jeśli się pospieszymy, może nam się udać. Szybko!

Boellaard pobiegł na Swammerdamstraat i przyjechał pomarańczową furgonetką. Hamulec czekał już w żółtym renault i kontrolował sytuację w tylnym lusterku. Musieliśmy wszystko zgrać w czasie, bo wiedzieliśmy od dawna, że Doderer jest parkingowym wyjadaczem. Jak tylko ktoś zwolnił miejsce blisko wejścia do biura, to nie czekał nawet minuty, tylko natychmiast tam wjeżdżał, chcąc dogodzić szefowi. Udało się jednak. Hamulec wyjechał, a Kot natychmiast zajął jego miejsce. Sprawa załatwiona. Potem popędziliśmy na Heining i zabraliśmy wszystkie potrzebne rzeczy: peruki, broń, rękawiczki, torbę z uzi i amunicją.

Z Heining pojechaliśmy białym citroenem na Swammerdamstraat. Zostawiliśmy go tam, miał służyć do przesiadki. Boellie go przygotował. To był model kombi i łatwo dało się kogoś wepchnąć do środka od tyłu. Kot zrobił też drewnianą płytę, którą można było wsunąć nad leżącą w bagażniku osobą, rodzaj pokrywy. Uwięziony pasażer nie mógł wyglądać przez okno i patrzeć, którądy jedziemy. A nikt z zewnątrz zaglądać do środka. Citroen był zatem zarezerwowany dla Heinekena. Doderera mieliśmy przewieźć żółtym renault. Mniej się narażaliśmy, uważałem, przewożąc zakładników osobno.

Latarnie uliczne nie działały, więc po ciemku sprawdzaliśmy nasze

przebrania. Czy peruki nałożyliśmy prosto i czy wąsy nie są krzywo przyklejone. Minutę później szliśmy dwójkami, w odstępach pięćdziesięciu metrów, przez tunel, obok hotelu Amstel, w kierunku banku DNB. Hamulec został na posterunku przed biurem Heinekena. Nie musiał się przebierać, miał patrzeć z dystansu, kiedy „zafiksować” światła uliczne na pomarańczowo, żeby umożliwić nam przejazd bez przeszkód.

Mieliśmy właśnie zamiar przejść mostem Toronto nad rzeką Amstel, kiedy zza rogu wyłonił się Hamulec na swoim motorowerze. Machał rękami.

– Stop, zatrzymajcie się, on już wyjechał – dyszał. – Wyjechał kilka minut temu.

Spojrzałem na zegarek, szybko się uwinęliśmy, ale wskazówki pokazywały, że było już kilka minut po siódmej. Ryzykowaliśmy świadomie. Trzeba się było liczyć z tym, że nie zdążymy. Rozmawialiśmy przez chwilę na ulicy. Podmieniać znowu pomarańczową furgonetkę? Znowu zawozić wszystkie rzeczy na Heining? Zdecydowałem, że tak będzie najlepiej. Nie mogliśmy ryzykować. Pomarańczowe renault było kradzione, na fałszywych numerach rejestracyjnych. Żółte renault kupiliśmy uczciwie, ale nie przepisaliśmy dowodu rejestracyjnego.

Na Heining pograliśmy jeszcze trochę w karty. Po raz szósty nie udało nam się sfinalizować planów, tym razem nie byliśmy właściwie rozczarowani. W jakiś sposób czuliśmy, że miała miejsce próba generalna i wszystko przebiegło sprawnie. Jutro przystąpimy do akcji. Wszyscy poszliśmy wcześniej do domu, żeby wypocząć.

Następnego dnia rano pojechaliśmy najpierw do Noordwijku, zobaczyć, czy jest tam Heineken. Oczywiście był, za moment zjawił się Ab Doderer. Przez chwilę myślałem o godzinach spędzonych wcześniej na tutejszej ławce na próżno. Szturchnąłem Fransa.

– Jeż, a może zwiniemy go tutaj? Przecież znasz drogę.

To były żarty, bo wszystkie rzeczy zostawiliśmy w Amsterdamie. W każdym razie nic nie stało na przeszkodzie w przeprowadzeniu operacji „Heintje”, chyba że przyjęcie się przeciągnie. Strajk energetyków tego dnia się skończył. Szkoda, ale nie taka znowu katastrofa. W naszych planach nigdy nie liczyliśmy na coś takiego. To byłaby gratka. Nic więcej. Po

powrocie do mieszkania zajęliśmy się ostatnimi przygotowaniami, podnosiliśmy wzajemnie na duchu. Morale było dzisiaj bardzo ważne. Jeszcze raz oglądaliśmy kolorowe zdjęcie Alfreda Heinekena. Ja i Willem widzieliśmy go często na żywo, ale Jan Boellaard i Frans Meijer rzadziej. W ułamku sekundy i w dużym napięciu łatwo się było pomylić. Dlatego postaraliśmy się o perfekcyjne zdjęcie. Pikantnym szczegółem był fakt, że dostarczył je sam... koncern Heinekena.

Pewnego dnia Jez poszedł do biura na Stadhouderskade w Amsterdamie i przedstawił się dość hałaśliwie jako nauczyciel, który przygotowuje dla szkoły specjalny projekt o warzeniu piwa. Został bardzo gościnnie przyjęty i dostał stos materiałów. Niestety nie było wśród nich zdjęcia wielkiego szefa, bo sami go nie mieli. Willem pojechał więc specjalnie do siedziby głównej w Zoeterwoude i tam również przedstawił się jako nauczyciel. Dostał w prezencie piękny portret. Nie mogliśmy się pomylić. To ten człowiek! Podczas gdy Heineken zabawiał się jeszcze w Zoeterwoude, my wyruszyliśmy już w drogę. Mieliśmy czas, żeby wszystko powoli przygotować. Spokojnie podstawić samochody i przebrać się. Dziwne, ale po wszystkich próbach po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że tym razem to się zdarzy, jakieś napięcie wisiało w powietrzu, wcześniej tego nie doświadczałem.

Kiedy przyjechaliśmy na Tweede Weteringplantsoen, spotkała nas miła niespodzianka. Heineken wrócił już z Zoeterwoude. Pewnie to był lunch, a nie przyjęcie koktajlowe. Tym lepiej dla nas. Ab Doderer jak zwykle czekał w samochodzie. Latarnie uliczne paliły się jak zwykle, było tylko zimniej niż poprzedniego dnia.

Zaczęliśmy znowu od przestawienia samochodów. Torba z uzi leżała w pomarańczowej furgonetce, którą Kot znowu przyprowadził ze Swammerdamstraat na Weteringplantsoen i zaparkował tuż przed Pentagonem. My czekaliśmy na Swammerdamstraat. Po powrocie Kot zameldował, że wszystko poszło sprawnie, samochód stał zaparkowany przodem do Weteringschans, zgodnie z kierunkiem trasy naszej ucieczki.

Kilka minut potem, tak jak poprzedniego dnia, szliśmy powoli, dwójkami, w odległości pięćdziesięciu metrów w kierunku Pentagonu. Byliśmy

w perukach, a Willem i ja nałożyliśmy dodatkowo kamizelki kuloodporne. Normalnie przy wzroście metr dziewięćdziesiąt i po latach treningu na siłowni wyróżnialiśmy się z tłumu, a teraz byliśmy jeszcze o rozmiar więksi. Było około wpół do siódmej, kończyły się wieczorne korki. Kiedy zbliżaliśmy się do banku DNB, serce mi prawie stanęło. Na skrzyżowaniu stało piętnastu policjantów w mundurach, przeprowadzali kontrolę ruchu drogowego, w rękach mieli walkie-talkie. Cały pluton! Podczas ucieczki musieliśmy przejechać obok nich. Cholera, chociaż raz moglibyśmy mieć trochę szczęścia. Zatrzymaliśmy się na Nicolaas Witsenkade, kilkadziesiąt metrów od Tweede Weteringplantsoen, żeby się naradzić. Pozostali też się przestraszyli tylu policjantów. Co mieliśmy robić? Co się stanie, jeśli przełączymy światła na pomarańczowe? A jak zobaczą Hamulca? Szybko rozważałem w myślach możliwości. Nie chciałem znowu odkładać sprawy. Zdecydowanym głosem, żeby rozwiać wątpliwości pozostałych, powiedziałem:

– Musimy to zrobić! Za każdym razem będą jakieś przeszkody. Co nas obchodzą jakieś psy... Dalej, do dzieła. Światła zostawimy w spokoju, to zbyt niebezpieczne.

Wszyscy skinęli głowami na zgodę. Popatrzyłem pytająco na ich twarze, żeby sprawdzić, czy wiara w siebie nie ucierpiała. Chyba nie. Wyglądali na ponurych, ale zdecydowanych. Skoncentrowanych i gotowych do akcji. Podeszedłem potem do Hamulca, który stał kilka metrów dalej na czatach. Nie tłumacząc niczego, powiedziałem tylko:

– Hamulec, wracaj natychmiast do domu. Czekać na wiadomości od nas. Dalej, na rower i jazda.

Teraz, kiedy światła nie trzeba było ustawiać, chciałem go ochronić. Gdyby coś się stało, uniknąłby konsekwencji. To ja go ściągnąłem i czułem się za niego odpowiedzialny. Chciałem go trzymać z daleka, na ile się dało.

Następną próbę musieliśmy przejść, kiedy dotarliśmy na Tweede Weteringplantsoen. Właśnie przejeżdżał patrol policyjny i siedzący w nim gliniarz przyglądał nam się podejrzliwie. Prawdopodobnie zwracaliśmy uwagę naszą niedźwiedzią posturą. Zmusiłem się do patrzenia na niego, bo odruchowo ma się ochotę odwrócić wzrok, i samochód odjechał powoli. Uff,

porwanie wymaga opanowania, westchnąłem w duchu.

Willem Holleeder stał na przystanku tramwajowym. Oprócz peruki miał jeszcze na głowie czapkę, która tak naprawdę była zwiniętą kominiarką. Początkowo nie chcieliśmy używać takich ściągających uwagę przebrań, ale w przypadku Willema było to konieczne. Całkiem możliwe, że Heineken znajdował się w towarzystwie Marjan Alleman, dobrej przyjaciółki matki Willema. Często bywała u nich w domu i obawialiśmy się, że mimo peruki i wąsów mogłaby łatwo rozpoznać Willema po jego charakterystycznym nosie. Marjan Alleman przyjaźniła się też z Heinekenem i obserwując Pentagon, widzieliśmy kilka razy, jak wychodziła razem z nim. Dlatego w ostatnim momencie zdecydowaliśmy, że Nos dla pewności nałoży jeszcze kominiarkę.

Ja z Franssem Meijerem usiedliśmy na ławce na skwerku przed Pentagonem i spoglądaliśmy dyskretnie przez żywopłot na cadillaca, w którym czekał Ab Doderer. Jan Boellaard stał za rogiem w Den Texstraat, tuż obok pomarańczowej furgonetki, i miał w kieszeni kurtki aerozol z gazem łzawiącym, który kupił w Ameryce. Miał go użyć, jeśli przechodnie skoczyliby na pomoc Heinekenowi i Dodererowi. To był bardzo skuteczny środek i na szczęście nie wywoływał trwałych szkód. Trzymałem rękę w kieszeni i czułem dłonią chłód pistoletu. Nie umawialiśmy się, w jaki sposób będziemy korzystać z broni. Jak już wcześniej mówiłem, chcieliśmy uchodzić za porywaczy, ale nie morderców. Tylko w ostateczności mieliśmy oddać kilka strzałów na postrach. Poza tym absolutnie zabroniliśmy sobie tego robić, jeśli w pobliżu będzie policja. Wiedziałem, że w takim przypadku uznają to za ciężkie przewinienie. „Straszenie tak, strzelanie nie” – wbijałem innym do głowy.

Razem z Franssem cały czas obserwowaliśmy Aba Doderera. Wydawał się niespokojny, jakby czuł niebezpieczeństwo, a może nam się tak tylko wydawało? Kręcił się w aucie tam i z powrotem, co trochę wyglądało na zewnątrz i coś śledził, jakby się czegoś spodziewał. Czy uczestniczył w lunchu, gdzie obecny był także minister sprawiedliwości Korthals Altes, może ktoś mu coś wytknął? Może zwrócił uwagę, że jego szef, bajecznie bogaty *captain of industry*, nie ma dostatecznej ochrony, co stanowi poważne

ryzyko?

Nagle, kilka minut przed siódmą, na górze zgasły żyrandole. Światło zapaliło się w korytarzu. Poderwałem się i szepnąłem do Jeża:

– Idzie... Zaczynamy!

Obserwując bez przerwy Pentagon, szliśmy przez skwerek. Kątem oka widziałem, że Willem również zmierzał powoli w kierunku gmachu, naciągając kominiarkę.

Drzwi otworzyły się. Elly van Gaans, sekretarka Heinekena, pierwsza opuściła budynek i zatrzasnęła je za sobą. Nic dziwnego, na dworze było lodowato. Kilka sekund później drzwi uchyliły się na nowo. Wstrzymałem oddech: Marjan Alleman wyszła na zewnątrz... Dobrze, że Nos nałożył kominiarkę, przemknęło mi przez głowę. Razem z nią opuściły biuro jeszcze trzy osoby. Inaczej niż zwykle. Heineken wychodził najczęściej sam. Nie przeszkadzało mi to. Uważałem, że dostaniemy go tego wieczoru bez względu na okoliczności, nawet gdyby wyszedł z całym plutonem prewencyjnym policji. Nic nie mogło nas powstrzymać.

Zobaczyłem go w świetle otwartych drzwi. Rozpoznałem natychmiast po masywnej sylwetce. Przystanął na moment, prawdopodobnie szukał wzrokiem swojego samochodu z szoferem. To był on... Tak długo czekaliśmy na ten moment, przygotowywaliśmy się, zainwestowaliśmy pieniądze. Heineken mimo chłodu na zewnątrz miał na sobie tylko garnitur. W lodowatym powietrzu pojawiała się biała mgiełka przy każdym wydechu. Nie było odwrotu. Jeszcze tylko kilka metrów. Zobaczyłem, jak Willem podchodzi do Heinekena i łapie go za kłapy marynarki.

– Co to, co się dzieje, proszę mnie natychmiast puścić! – krzyczał zdezorientowany Heineken.

Pani Alleman, właśnie ona, zaczęła krzyczeć i ciągnęła Willema za rękaw; wyszarpnął się gwałtownym ruchem. Jan Boellaard skoczył do przodu i rozpylił jej gaz łzawiący w twarz, przez co wyeliminował ją natychmiast. Od tego momentu wszystko potoczyło się błyskawicznie. Heineken celowo upadł na chodnik, kiedy zrozumiał, co się dzieje. Willem ciągnął go w stronę pomarańczowej furgonetki, co mimo jego siły nie było łatwe. Heineken był cięższy, niż myśleliśmy i oczywiście mocno się opierał. Schowałem do

kieszeni pistolet, którym machałem dla postrachu, i skoczyłem na pomoc.

– *Mitkommen! Schnell!* – komenderowałem po niemiecku.

Heineken zaczął wzywać szofera:

– Ab, Ab, pomocy! Zrób coś! Ludzie, pomocy!

Doderer zobaczył, że coś się dzieje z jego przełożonym i chciał natychmiast przybiec na ratunek, ale złapał go Frans Meijer. Zaczęli się szarpać i ku mojej wściekłości usłyszałem, jak Jeż krzyczy do Doderera:

– Chodź tu do cholery! Mam za zadanie...

Niech to szlag trafi! Uzmysłowiłem sobie, że powinienem rozdać wszystkim nylonowe piłeczki, żeby nie mogli mówić – za późno. To był błąd. Daliśmy policji ważną wskazówkę, że jakiś Holender był zamieszany w porwanie. W tamtym momencie nie miałem jednak czasu się tym denerwować.

Tymczasem udało nam się z Willemem zaciągnąć Heinekena do pomarańczowej furgonetki i zdecydowanym ruchem wsadziliśmy go przez otwartą klapę do środka. Boellie usiadł szybko za kierownicą i zapalił silnik. Rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem, że Meijer ma trudności z opierającym się Dodererem, pobiegłem na pomoc. We dwóch szybko wsadziliśmy go do auta. Przy wsiadaniu został zraniony, bo nie obyło się bez szarpaniny, kierowca walczył z nami. Kłapa była jeszcze otwarta, ale Kot już ruszył, skręcił w prawo w Weteringschans. Heineken i Doderer leżeli na podłodze samochodu. Frans, Willem i ja staliśmy, dysząc ciężko. To był całkiem spory wysiłek – nie do wiary, ile ci faceci ważyli – ale stres i napięcie też przyspieszały bicie serca. Nie było czasu na odpoczynek. Zaczęliśmy od nałożenia zakładnikom kasków na głowę, wizjery zakleiliśmy wcześniej czarną taśmą. Założyliśmy im na ręce i nogi zakupione w Ameryce kajdanki. Kask Heinekena nie pasował za bardzo, był o rozmiar za mały, ale jakoś nam się udało go założyć. W ten sposób nie mogli widzieć, którądy jedziemy.

Byłem zadowolony, że do porwania użyliśmy furgonetki. Może z pewnych oczywistych względów przydałoby nam się bardziej szybkie bmw, ale takie rozwiązanie ma wiele wad. Po pierwsze, jest za mało miejsca, żeby kogoś wcisnąć do środka przez tylne drzwi, a poza tym sami nie mielibyśmy swobody ruchu i siedzielibyśmy ściśnięci jak śledzie. W takim samochodzie

ktoś może ci strzelić z tyłu w głowę, zanim się zorientujesz. W furgonetce mieliśmy dużo miejsca, mogliśmy stać i obserwować ruch z tyłu. Samochód był trochę wolniejszy, ale trudno. W mieście i tak nie dało się jechać za szybko.

Heineken zaczął mówić przez kask.

– *Was wollen Sie?* – powiedział, co znaczyło, że myślał, iż jest w rękach Niemców.

Kiedy nie zareagowaliśmy, próbował na zmianę po niemiecku i holendersku.

– *Wo geht es um?* O co chodzi? Pieniądze? *Kein problem.* Nie ma problemu. *Stoppen!* Zatrzymajcie się. Mam ze sobą czek. Zaraz wypiszę czek, zatrzymajcie się. *Bitte warten Sie.*

Dla mnie to był dowód inteligencji Heinekena. Od razu się zorientował, że chodzi o porwanie. Zdawało się, że był na nie przygotowany. Jednak nie od dzisiaj zajmowaliśmy się tą sprawą i wypisanie czeku było ostatnią rzeczą, na jaką mogliśmy się zgodzić.

W tym momencie Willem, który zerkał do tyłu, zauważył, że ściga nas biało-beżowy mercedes, taksówka. Facet był przypadkowym świadkiem porwania, widział całe zamieszanie i jechał teraz za nami. Nos mnie szturchnął i pokazał mi go. Nie wpadłem w panikę. Zgubimy go w tunelu, nie mógł tam wjechać. Gorszy byłby wóz policyjny. Boellaard zatrzymał się w tym momencie na czerwonym świetle – które miało być zafiksowane na pomarańczowo – ale Nos dał mu znak ręką, żeby jechał dalej. Psy kontrolujące ruch obok banku DNB na szczęście się wyniosły.

Przejechaliśmy Amstel, skręciliśmy na Tulpplein i zobaczyliśmy, że taksówka czekała. Kierowca trochę się wahał. Dlatego przejechaliśmy furgonetką przez cały tunel, bliżej samochodu, do którego mieliśmy się przesiąść. Taksówkarz liczył widocznie, że nie przeciśniemy się tamtędy, ale jak zobaczył, że słupki są usunięte, pojechał w kierunku tunelu. Wszyscy wysiedli, a ja położyłem torbę z uzi obok furgonetki, żeby sprawiała wrażenie zapomnianej w pośpiechu. Potem wyciągnąłem z kieszeni kurtki okulary, które znaleźliśmy w ukradzionym samochodzie, i potłukłem je na podłodze furgonetki. Kawałki szkła rozprysnęły się po aucie.

Prawdopodobnie policja kryminalna je znajdzie i pomyśla, że oprawka potłukła się w trakcie szamotaniny. To był kolejny mylny trop, który podłożyliśmy. Policja będzie traciła cenne godziny na ustalenie, co się stało z okularami. Kilka osób będzie miało co robić przez jakiś czas.

Meijer i Boellaard wsadzili Heinekena do bagażnika citroena. Willem wyciągnął pistolet i jeszcze w kominiarce podszedł do taksówkarza. Podziałało znakomicie. Facet przestraszył się nie na żarty, włączył tylny bieg, schylił głowę za deskę rozdzielczą i odjechał zygzakiem. No i pozbyliśmy się go. Ja tymczasem prowadziłem Doderera do żółtego renault i wpakowałem go do bagażnika. Kilka sekund później odjechaliśmy. Boellaard z Meijerem citroenem, a ja z Willemem renault.

Wszystko poszło dobrze. Oprócz *slip of the tongue*^[23] Meijera nikt nic nie powiedział i nie było żadnych problemów. Akcja przypominała operację wojskową, przebiegła sprawnie i z dużą dyscypliną. Droga do Heining minęła bez przeszkód. Mieliśmy duży zapas czasu. Ja z Willemem jechaliśmy przodem. Trasę znaliśmy na pamięć. Nie spotkaliśmy policji, chociaż Wim twierdził, że widział z daleka na Amsteldijk niebieskie światła, ale ten samochód jechał po przeciwnej stronie rzeki i oddalał się od nas, a nie przybliżał. Poszło jak z płatka. Na wzgórzu, gdzie mieliśmy wjechać na autostradę A10, zatrzymaliśmy się i czekaliśmy z wyłączonymi światłami, dopóki Jeż i Kot do nas nie dołączą. Ostatni kawałek mieli jechać przed nami. Kiedy znaleźliśmy się na obwodnicy, dalsza droga poszła szybko. Przejechaliśmy obok RAI, jadąc po Coentunnelweg, popatrzyliśmy jeszcze na nasze bloki na Staalmeesterslaan i skręciliśmy do Havens-West, w kierunku Heining.

Na wypadek, gdyby policja nam deptała po piętach, mieliśmy przygotowaną zapasową drogę ucieczki. Wtedy z Coentunnelweg nie zjechalibyśmy do Havens-West, ale udali się prosto, w kierunku Schiphol. Na wysokości zjazdu Badhoevedorp-Haarlem dwa dni wcześniej zaparkowaliśmy na skarpie wiaduktu pożyczonego mercedesa. Mieliśmy tam wysiąść, zabrać ze sobą Heinekena, a po przejściu kilkudziesięciu metrów wsiaść do samochodu i pojechać wzdłuż kanału Ringvaart do Zwanenburga. Policja nie mogła nas dalej śledzić, bo nie mieli na skarpie

samochoду, a swoim nie mogli zjechać z wiaduktu. Na szczęście nie potrzebowaliśmy tej drogi ucieczki. Nie było widać żadnego pościgu. W najlepszym razie gliny zjawily się teraz przy tunelu dla rowerzystów.

Drzwi do baraku na Heining zostawiliśmy wcześniej otwarte, więc mogliśmy wjechać od razu do środka. Całe porwanie i jazda zajęły nie więcej niż trzydzieści pięć minut. Poszło naprawdę doskonale. Jak tylko oba samochody znalazły się w środku, zamknęliśmy drzwi. Potem założyliśmy wielką pomarańczową płachtę na renault, w którym leżał Doderer. Willem i ja wleźliśmy pod nią i otworzyliśmy bagażnik. Gdyby Ab zdołał po drodze zrzucić kask z głowy, nie zobaczyłby teraz nic. Nie chciałem, żeby widział dach baraku – był wykonany z blachy falistej – od razu zorientowałby się, o jaki budynek chodzi.

Zabraliśmy Doderera z samochodu i nieśliśmy go, cały czas pod płachtą, do celi po lewej stronie od wejścia. Tam go rozebraliśmy i włożyliśmy mu piżamę. Ubranie i buty od razu spaliliśmy w piecyku. Były już prawie zwęglone, kiedy kierowca Heinekena poprosił:

– Proszę się ostrożnie obchodzić z moim eleganckim garniturem. Co się dzieje? O co chodzi?

Nie odpowiedzieliśmy. Nie mógł słyszeć naszych głosów.

Meijer i Boellaard zajmowali się dalej Dodererem, a my z Willemem założyliśmy płachtę na białego citroena. Teraz przyszła kolej na Heinekena. Pomogliśmy mu wyjść z bagażnika i chcieliśmy go zanieść, kiedy powiedział:

– Zostawcie mnie, sam potrafię iść. *Ich kann selbst laufen.*

Przeszedł pod płachtą do celi po prawej stronie. Jego też rozebraliśmy, dostał zakupioną uprzednio w Niemczech beżową piżamę. Baliśmy się śmiertelnie, że w ubraniu lub butach Heinekena coś jest, dlatego natychmiast spaliliśmy wszystko w piecyku tak gorącym, że nawet złoto by się stopiło. Wrzuciliśmy w płomień jego złote pióra, portfel i inne drobiazgi. Mogłyby stanowić ślady, więc lepiej się ich pozbyć. Tylko banknoty przełożyliśmy do własnej kieszeni.

Nie spaliliśmy jedynie zegarka Heinekena i paszportu oraz prawa jazdy Doderera. Chcieliśmy je posłać rodzinie jako dowód, że naprawdę mamy ich w rękach. Zegarka trochę się baliśmy. Willem słyszał kiedyś, że król piwa

kazał w nim zamontować maleńki nadajnik. Początkowo proponowano mu wszczęcie go za uchem, ale odmówił i wtedy, według Willema, w genialny sposób wmontowano nadajnik w zegarek. Ważyłem go w dłoni i oglądałem uważnie. Zegarek marki Heno Quartz wyglądał właściwie prosto. Uważałem, że za prosto jak na takiego faceta, i to potwierdzało moje obawy, że miał wmontowany nadajniczek. Gdyby był ciężki i ze złota, każdy chciałby go natychmiast ukraść, ale ten egzemplarz wywoływał skłonność do pozostawienia go właścicielowi. I o to prawdopodobnie chodziło. Należało się go szybko pozbyć.

Poczekaliśmy z Willemem w przyczepce, dopóki Meier i Boellaard nie skończą instalować naszych zakładników w pokojach. Słuchaliśmy przez interkom, czy coś mówią. Słyszałem, jak Heineken pytał:

– Pieniądze? Chodzi o pieniądze? *Geht es um Geld?* Niech pan coś powie... *Sagen sie et was bitte!* O pieniądze? Zapłacę...

Włożyłem zegarek Heinekena i dokumenty Doderera do koperty produkcji niemieckiej. Potem poszukałem napisanego wcześniej na maszynie listu z żądaniem okupu i zanim włożyłem go do koperty, przeczytałem jeszcze raz. To był ostry tekst, napisany twardymi słowami. Musiał taki być, żeby wywołać wrażenie. Inaczej mówiąc, miał nam zapewnić trzydzieści pięć milionów euro.

Do Koncernu Heinekena

Do wiadomości rodziny A. Heinekena

To są żądania porywaczy Alfreda Heinekena.

Nie negocjujemy, żądamy!!!

Żądamy okupu za uwolnienie Alfreda Heinekena i kierowcy.

W załączeniu dowód, że są oni naszymi więźniami.

Polecenia należy wypełnić dokładnie, bez żadnych modyfikacji, nawet drobne odstępstwa od żądań biorą państwo na swoją odpowiedzialność.

Domagamy się:

– zakazu publikacji o porwaniu (w gazetach, radiu, telewizji itd.)

– zakazu poszukiwania uprowadzonych osób w całej Europie, prowadzonych przez policję lub inne instytucje.

Okup ma zostać wypłacony w następujących walutach:

50 000 banknotów franków francuskich o nominałach 500 fr. = 12,5 miliona franków.

50 000 banknotów marek niemieckich o nominałach 100 DM = 5 milionów marek.

50 000 banknotów guldenów holenderskich o nominałach 100 f = 5 milionów guldenów.

50 000 banknotów dolarowych o nominałach 100 \$ = 5 milionów dolarów.

Banknoty powinny być uprzednio używane i ponumerowane losowo.

Banknoty muszą być spakowane w pliki po sto sztuk, każdy z nich zabezpieczony dwiema (mocnymi) gumkami.

Wszystkie dwa tysiące plików należy zapakować w pięć worków pocztowych mocno i solidnie zawiązanych!!!

Jeśli pieniądze będą oznakowane, fałszywe, potraktowane płynem lub ich numery będą spisane itd. itd., będzie to oznaczało koniec życia zakładników!!!

Worki z pieniędzmi należy zawieźć do willi De Ark w Noordwijku i złożyć je w białym busie volkswagen transporterze. Bus należy oznakować z obu stron namalowanymi czerwonymi znakami X (krzyżami) wysokości około sześćdziesięciu centymetrów.

Samochód musi mieć zbiornik benzyny zatankowany do pełna.

W willi De Ark w Noordwijku przez cały czas musi być obecny kierowca samochodu, nieuzbrojony policjant w ubraniu cywilnym. Musi on posiadać dowód rejestracyjny transportera i zieloną kartę, prawo jazdy, paszport, legitymację policji, dwieście pięćdziesiąt niemieckich marek i dwieście pięćdziesiąt guldenów.

Jeśli te żądania zostaną precyzyjnie wykonane, należy umieścić w „De Telegraaf”, w rubryce Życzenia, następujący tekst: „Łąka jest zielona dla Zająca”.

Uwaga!!! Spełnienie tych żądań musi nastąpić w ciągu najwyżej trzech dni od dnia porwania!!!

PS W kontaktach będziemy używać kryptonimu Orzeł, kryptonim dla was

to: Zajęc.

Kontakt telefoniczny: De Ark Noordwijk, tel: 01719-12502. Ten numer musi być dostępny dla Orła. (W razie potrzeby należy zwolnić linię!!!).

W sumie wyszedł z tego długi list. Ale było to potrzebne. W ten sposób odpowiedzieliśmy na wiele pytań, które inaczej negocjatorzy na pewno chcieliby nam zadać. Poza tym przekazaliśmy od razu wiele instrukcji. Oszczędzaliśmy w ten sposób czas i skracaliśmy negocjacje. Chociaż chcieliśmy sprawiać wrażenie, że porwanie jest sprawą Niemców, list był napisany po holendersku. Po pierwsze, dlatego że nie znaliśmy na tyle języka niemieckiego, żeby udzielić instrukcji. Z drugiej strony było tyle elementów niemieckich wplecionych w sprawę, że list po holendersku, napisany na niemieckim papierze, wprowadzi może nawet więcej zamieszania. Oczywiście było całkiem możliwe, że – z punktu widzenia policji kryminalnej – w organizacji niemieckiej była jakaś osoba mówiąca po holendersku do utrzymywania kontaktów.

Zakleiliśmy kopertę, nie liżąc jej, bo wtedy policja z próbki śliny mogła ustalić DNA, nie chciałem im robić takiego podarunku. Frans Meijer z Hamulcem mieli zawieźć list do biura policji w Hadze, na mały posterunek przy Huijgenspark 60. Znaleźliśmy go, kiedy Frans obserwował w okolicy dwie wypożyczalnie samochodów przy Pletterijkade, czy nie można było tam ukraść aut. Posterunek wyglądał na spokojny, żadnych problemów przy wejściu i znajdował się w środku kraju. Policja będzie zdezorientowana. Urowadzenie w Amsterdamie i półtorej godziny później sygnał od porwawczy na małym posterunku policji w Hadze. Co to ma znaczyć?

Jak tylko Meijer i Boellaard skończyli, zmieniliśmy z Willemem koszule, nałożyliśmy marynarki i opuściliśmy Heining. Pojechaliśmy jak najszybciej do centrum miasta. Kilka godzin wędrówki po knajpach, śmiechy, zabawy, żeby nas wszyscy zobaczyli w znanych miejscach. To było doskonałe alibi. O tej porze wielu ludzi pewnie jeszcze nic nie słyszało o porwaniu, a my bawiliśmy się przy barze. Nikt nie będzie nas podejrzewał.

Po drodze włączyliśmy radio w samochodzie i słuchaliśmy wiadomości o dziewiątej wieczorem. Mówiono jeszcze o „prawdopodobnym

uprowadzeniu Alfreda Heinekena”. Zaśmiałem się i powiedziałem do Willema:

– Może oficjalnie potwierdzimy?

Odwiedziliśmy prawie wszystkie otwarte bary w okolicy Leidseplein: La Bastille, The Birties, Le Berry, Biblos, poszliśmy wszędzie. Stawialiśmy kolejki, gadaliśmy ze znajomymi kelnerami i barmanami i jeśli się dało, zostawialiśmy niezapłacone rachunki, w ten sposób zapamiętają, że tam byliśmy.

Potrzebowaliśmy zrzucić stres i napięcie z ostatnich godzin, staraliśmy się być rozluźnieni, ale kontrolowaliśmy się. Musieliśmy uważać. Dopiero teraz się wszystko zaczynało. Ja zamówiłem piwo, ale Willem jak zwykle wodę. Wznosiliśmy toasty i mrugaliśmy znacząco do siebie. Nawiązałem do jednej z reklam heinekena, które w tamtym okresie były popularne, a z których śmialiśmy się podczas przygotowań.

– Jakie są plany na dzisiejszy wieczór? – zapytałem Willema, na co zripostował innym tekstem z reklamy:

– Przyjdiesz jeszcze dzisiaj wieczorem?

Po rundce w centrum wróciliśmy do domu. Hamulec i Meijer po odwiezieniu listu do Hagi mieli trzymać wartę w przyczepce. Wszystko musiało się toczyć normalnym rytmem. Boellaard miał po prostu wrócić do żony i dzieci w Zwanenburgu, a Kot, Hamulec i Jeż mieli wziąć na siebie opiekę nad zakładnikami. Boellie dlatego, że był dyrektorem stolarni i nie rzucał się w oczy, a trzech pozostali nie mieli w zasadzie stałych partnerek i nie musieli wracać do rodziny. Przyjaciółka Fransa mieszkała w Den Helder, ale bywał tam tylko w weekendy. Nie musieli się obawiać żadnych niezręcznych pytań. Kiedy dotarłem wreszcie do domu, Sonja już spała. Zaoszczędziło mi to uwag o porwaniu. Nie musiałem teraz na szczęście nic mówić ani udawać. Podobnie jak wcześniej po nieudanych próbach w Noordwijku zapadłem w kamienny sen. Spałem jak suseł. Stres potrafi człowieka wykończyć.

23 Przejęzyczenie (przyp. tłum.).

Rozdział 10

O szóstej rano musiałem znowu pojawić się na Heining, więc o wyspaniu się nie było mowy. Heineken i Doderer powinni być obsłużeni, zanim pojawi się personel biura i stolarni. Nikt nie mógł zauważyć, że używamy kuchni i że jesteśmy tam często we czterech. Sonja nie zwracała już uwagi, że wychodzę wcześniej rano. Zdarzało się to tak często, że przywykła. W czwartek rano pojechaliśmy z Willemem na Heining, gdzie pozostali już na nas czekali. Słuchaliśmy wiadomości radiowych, które co godzinę informowały obszernie o porwaniu. Według agencji prasowej ANP po porwaczach nie było żadnego śladu i ich motywy były niejasne. Doskonale, oby tak dalej, pomyślałem. Nie mieliśmy jeszcze porannych gazet. Na to było za wcześnie.

Frans Meijer i Hamulec zdali najpierw sprawozdanie z wizyty na posterunku w Hadze. Wszystko poszło dobrze. Nikt ich nie widział. Zrobiliśmy w kuchni śniadanie dla Heinekena i Doderera, dla każdego po sześć kanapek z serem i szynką. Sami piliśmy kawę. W przyczepce Kot pracował nad ostatnimi poprawkami do listu, który miał poinformować porwanych, w jakiej sytuacji się znajdują. Popatrzyłem przez judasza, obaj spali jeszcze spokojnie z jedną ręką przypiętą kajdankami do ściany, ale widocznie im to nie bardzo przeszkadzało. Wszystko przebiegało dobrze.

Pół godziny później dostali śniadanie. Podał je Frans Meijer, który w tym celu przebrał się w obszerny, czarny kombinezon, gumki rozmiar 46, kominiarzkę i na to nakładał jeszcze kask motocyklowy. W ten sposób wydawało się, że jest bardzo duży, a obszerne ubranie nie pozwalało się domyślić prawdziwej postury lub innych znaków charakterystycznych. Umówiliśmy się, że w trakcie kontaktów nie wolno nic mówić do więźniów. Nie mogli usłyszeć naszych głosów, choćby po to, żeby zostawić ich

w niepewności, czy jesteśmy Niemcami, czy nie.

Po śniadaniu wręczyliśmy im krótki list napisany na maszynie z podstawowymi informacjami. Zawiadomiliśmy ich, że zostali uprowadzeni dla okupu i jeśli nasze żądania zostaną spełnione w ciągu kilku dni, zostaną uwolnieni cali i zdrowi. Poza tym oznajmiliśmy, że mogą też wyrażać swoje życzenia. Pytaliśmy Heinekena, czy mamy żądać okupu od rodziny, czy od koncernu. Zostawiliśmy mu wybór. Może była jakaś różnica fiskalna istotna dla niego. Dla nas pieniądze to pieniądze, obojętne, czy z jego kieszeni, czy od firmy. Wybrał koncern, tak jak przypuszczaliśmy. Nawiasem mówiąc, daliśmy zakładnikom tylko wkład do długopisu do napisania odpowiedzi, żeby nie zapamiętali żadnych szczegółów zewnętrznych, ale również po to, żeby nie mogli go użyć jako broni.

Willem i Hamulec pojechali do kiosku na Haarlemmerweg kupić poranne gazety, a ja czytałem jeszcze kopię listu, który został dostarczony poprzedniego wieczoru do Hagi. Wzrok automatycznie przesuwiał się po liczbach. Przy podliczaniu sumy we frankach zmarszczyłem brwi. Co tu było napisane? Pięćdziesiąt tysięcy banknotów pięćsetfrankowych daje dwanaście i pół miliona franków? Zacząłem wątpić w siebie. Nie potrafiłem liczyć czy co? Oczywiście że potrafiłem, to rachunek w liście się nie zgadzał!

– Cholera jasna! – zawołałem ze złością. – Błąd! Powinno być nie dwanaście i pół miliona, ale dwadzieścia pięć milionów franków. Zażądaliśmy połowy kwoty...

Kot, który pisał ten list, patrzył z niedowierzaniem. Nie było żadnych wątpliwości, pomyliliśmy się w obliczeniach. Nie cierpiałem takich sytuacji. Napisaliśmy list wcześniej, żeby podobnych błędów uniknąć. Nie mogłem jednak zrzucić winy wyłącznie na kolegów. Sam czytałem go z pięć czy sześć razy i nic nie zauważyłem.

– No cóż, przy następnej okazji sprostujemy. Poza tym napisane jest wyraźnie: pięćdziesiąt tysięcy banknotów pięćsetfrankowych. To jest dwadzieścia pięć milionów franków, jakkolwiek by liczyć – powiedziałem do Boelliego, rozstrzygając sprawę błędu.

Kiedy Willem przyszedł z gazetami, wszyscy zaczęli je przeglądać z niecierpliwością. Zobaczywszy stronę tytułową, zagwizdałem z podziwu.

No, no... liczyliśmy się z tym, że media rozdmuchają sprawę, ale relacje przechodziły nasze oczekiwania. Alleluja! Jak im się udało tak szybko? „De Telegraaf” donosił dużym tytułem na całą szerokość strony: FREDDIE HEINEKEN I JEGO SZOFER UPROWADZENI. Całą gazetę zdominował temat porwania. Strona po stronie, wiadomości ważniejsze i dodatkowe informacje o kulisach akcji. Wszystko o samym Heinekenie, jego rodzinie, koncernie, wcześniejszych próbach porwania, sytuacji finansowej.

Inne gazety poranne, „Algemeen Dagblad” i „Volkskrant”, też nie ustępowały liczbą wiadomości. Publikowały reportaże i artykuły. Opowieści o rodzinie i firmie nie interesowały mnie zbyt, wiedziałem o nich wszystko. Może nawet więcej. Nas interesowało tylko to, czy nie zostawiliśmy jakichś śladów, czy są jakieś niespodziewane zeznania świadków, a szczególnie – w którym kierunku idą poszukiwania policji.

Plon śledztwa był niewielki. Jeśli wierzyć gazetom, nie było żadnego śladu poza tymi, jakie sami starannie przygotowaliśmy. Meldowano na przykład, że furgonetka renault została skradziona z wypożyczalni samochodów, razem z nie odnalezionym jeszcze srebrnoszarym oplem kadettem. Trop szedł dokładnie po naszej myśli. Cała Holandia będzie szukała tego opla, którego w tym celu zostawiliśmy na parkingu w Bredzie, żeby sprawić wrażenie, że uciekliśmy do Belgii.

W „De Telegraaf” umieszczono wywiad z taksówkarzem, który nas śledził mercedesem do tunelu dla rowerzystów. Był to niejaki Freddie Wuyts, nazywany teraz głównym świadkiem. Nagłówek informował, że taksówkarz zajrzał śmierci w oczy. No, no... Czytałem pospiesznie jego relację. Nie potrafił nic powiedzieć. Nie widział naszych twarzy i nawet nie wiedział, ilu nas było. Widocznie panował niezły chaos. Jedna gazeta pisała o trzech sprawcach, druga o czterech, a trzecia o nieznanym liczbie. Im większy chaos, tym lepiej dla nas. Z dotychczasowych publikacji wynikało, że dobrze się spisaliśmy.

Sprzątnęliśmy gazety, żeby personel ich nie znalazł, i poszliśmy do Heinekena i Doderera zabrać ich prośby spisane na papierze. Co dostaliśmy? Ku mojemu zdziwieniu Heineken ułożył całą listę życzeń. Trochę drżącym pismem, pewnie z powodu pisania wkładem, prosił nas o: szlafrok, kaptur,

przybory do golenia, grzebień, lusterko, okulary, jakiś prosty zegarek, biurko i porządne krzesło.

Roześmiałem się.

– Zapytaj jeszcze – powiedziałem do Hamulca – czy nie potrzebuje telefonu, bo chyba zapomniał dopisać do listy.

List zniknął w piecyku. To, że Heineken prosił o „prosty zegarek”, zastanowiło mnie. Pochwaliłem siebie w myślach, że to jego cudo techniki natychmiast odwieźliśmy do Hagi. Mogłem się teraz założyć, że był w nim wmontowany nadajnik. Ab Doderer miał mniej wymagań. Prosił tylko o okulary i karty do gry. Na to mogliśmy się zgodzić. Znajdziemy dla niego jakąś starą talię.

Posprzątaaliśmy wszystko i pojechaliśmy na kawę do knajpy Tante Nannie, w dzielnicy Jordaan, na Westerstraat. Bywaliśmy tam prawie codziennie. Zauważyliśmy, że uprowadzenie jest tematem dnia. Wszyscy o nim rozmawiali. Ku naszemu przerażeniu jeden z obecnych, przekrzykując zgiełk, zawołał:

– Ludzie... Wiem, kto to zrobił!

Natychmiast zapadła cisza i czułem, że inni patrzą na mnie niepewnie. Czułem, jak mi serce bije. A facet dodał:

– De Twee Pinten...!^[24]

Wszyscy zarechotali ze śmiechu. Tak kilka godzin po porwaniu narodził się pierwszy kawał.

Po wypiciu kawy wróciliśmy na Heining. Pracownicy przyjechali już do biura, a wobec kierownika, pośrednika Jacoba Kleina, zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy dopiero pierwszy raz dzisiaj tutaj byli. Po południu pojechaliśmy do miasta, żeby się wszędzie pokazać, a pod wieczór zebraliśmy się w mieszkaniu Willema, żeby przeczytać wieczorne gazety. Sytuacja nie zmieniła się. Słowa „bez śladu” przewijały się przez wszystkie doniesienia. Analizując wydarzenia, ustalono, że chodzi o „starych wyjadaczy” ze względu na odważne uprowadzenie i doskonałą organizację. Uśmiechnąłem się. Najmłodszy z nas dopiero co skończył dwadzieścia lat, a najstarszy trzydzieści. Ha, im więcej takich przypuszczeń, tym mniej będą nas podejrzewali.

Wieczorem, kiedy jedliśmy z Sonją obiad w domu, po raz pierwszy zaczęła rozmawiać o uprowadzeniu. Czy o tym słyszałem?

– Tak – odpowiedziałem obojętnie. – Niezła historia, co...

Boxie powiedziała mi, że do jej matki zadzwoniła Marjan Alleman, która opowiedziała, jak została przypadkowym świadkiem porwania i kidnaperzy prysnęli jej w twarz gazem łzawiącym. Z najwyższym zdumieniem powiedziałem:

– Niemożliwe!?!...

Nie lubiłem udawania, ale inaczej nie mogłem. Dla jej dobra i bezpieczeństwa nie mogłem zdradzić nawet najmniejszego szczegółu.

Kiedy późnym wieczorem pojechałem na Heining, Hamulec poinformował mnie, że Heineken pytał, czy może napisać list do żony. Nie widziałem w tym nic złego. Może musiał poprosić o lekarstwa lub coś podobnego. Absolutnie nie chcieliśmy, żeby mu się coś stało, wtedy wpadlibyśmy w prawdziwe tarapaty. List do żony był krótki, ale ciekawy. Napisał tylko:

Dear Lucille,

Tu Fred Emmer[25]. Ze mną wszystko w porządku. Chodzi tylko o pieniądze. Żadnej polityki. Szybko wróć do domu.

Fred Emmer. Prezenter wiadomości telewizyjnych nazywał się Fred Emmer. Podejrzewałem, że Heineken żartował w ten sposób, bo w celi musiało mu wystarczyć wiadro wody. Ale jeśli to nie był dowcip? Naradzaliśmy się, czy wysłać ten liścik. Początkowo mieliśmy ochotę, ale z drugiej strony przypomniałem sobie historię z porannej gazety, że Heineken był wielką osobowością o bardzo dużej inteligencji, i może ograć porywaczy. Trochę mnie to zaniepokoiło. A jeśli posługiwał się rodzajem kodu? W końcu wrzuciliśmy list do piecyka, żeby nie ryzykować. Frans Meijer zabawiał się tego wieczoru w kucharza na Heining. Usmażył befsztyki z sosem jak do strogonowa. Kiedy zanieśliśmy jedzenie, podsłuchiwałem przez interkom w przyczepce, jak Heineken zareaguje. Tym

razem nie mówił wiele, tylko zapytał, gdzie są rzeczy, o które prosił rano. Nic mu nie daliśmy. Na początku musieliśmy go trzymać krótko, może po kilku dniach będzie można mu poluzować.

Następnego ranka, w piątek 11 listopada, znowu przyjechałem wcześniej rano na Heining. Kupiliśmy szybko gazety, ale nie było w nich nic nowego. Pismaki wyniuchały, że był jakiś list z żądaniami, i trudziły się, żeby zgadnąć, co w nim jest. Na stronach tytułowych wymieniano sumy okupu, od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu milionów guldenów. Duża różnica w porównaniu z dziesięcioma milionami, których żądano za uwolnienie Maupa Caransy w 1977 roku. Policja potwierdziła na konferencji prasowej, że w pobliżu furgonetki znaleziono torbę z uzi i amunicją. „Prawdopodobnie porzucone w pośpiechu przez ciężko uzbrojonych gangsterów”. Nasza uwaga była tym razem skupiona nie na doniesieniach o porwaniu, ale na ogłoszeniach w „De Telegraaf”. Daliśmy koncernowi Heinekena trzy dni czasu na ogłoszenie, miało się ukazać jako ogłoszenie drobne, w kategorii *Życzenia*, jak tylko nasze żądania zostaną spełnione. Mieli na to trzy dni. Ku mojemu zdziwieniu wymagany tekst znalazł się już w piątek rano – czyli dzień wcześniej – w gazecie.

Łąka jest zielona dla Zająca. Potrzebny pilny kontakt.

Charakter tej rubryki wymaga życzeń szczęścia na koniec.

Przeczytałem tekst jeszcze raz. Ostatniego zdania nie rozumiałem. Nie takie było żądanie. Uważali, że mamy im pogratulować na koniec? Dopiero później dowiedziałem się, że gazeta początkowo odmówiła umieszczenia ogłoszenia w rubryce *Życzenia*, ponieważ takowych w nim nie było. Dlatego negocjatorzy musieli dodać to zdanie. Oczywiście rozumieliśmy, dlaczego chcieli się z nami pilnie skontaktować. Po naradzie zdecydowaliśmy się nie reagować od razu. W każdym razie nie tego samego dnia. Negocjacje mogą tylko osłabić naszą pozycję.

Alfred Heineken chciał wiedzieć, ile czasu to wszystko może potrwać. Poza tym na kawałku papierka napisał, że prosi o inną muzykę.

W magnetofonie miał taśmę, z której leciało w kółko to samo. Pisał, że „szału od tego dostaje”. I znowu upomniał się o przedmioty z listy zakupów. A więc nie była ona żartem. Heineken i Doderer nie wiedzieli początkowo, że znajdują się blisko siebie. Ten pierwszy nie był świadomy nawet, że porwaliśmy jego szofera. Doderer natomiast zdawał sobie sprawę, że wprowadziliśmy Heinekena. Pytał regularnie Hamulca o niego.

– Jak się szef czuje? Może mi pan powiedzieć, jak się czuje pan Heineken?

Abowi Dodererowi szybko wszyscy współczuliśmy. Wyglądał na zagubionego, przestraszonego i podenerwowanego. Był tylko marnie opłacanym pracownikiem, który się o to wszystko nie prosił. Próbowaliśmy go uspokoić, na ile się dało, obiecaliśmy pisemnie, pod słowem honoru, że wypuścimy go całego i zdrowego. Taki list daliśmy, nawiasem mówiąc, tylko jemu, ale nie Heinekenowi. Później zostawialiśmy często Dodererowi w celi okulary Heinekena, żeby mógł poczytać. To był świat odwrócony do góry nogami: milioner musiał pożyczać okulary swojemu szoferowi.

W sobotę 12 listopada przyjechaliśmy na Heining. Nie musieliśmy się spieszyć, bo w weekend i tak nie było żadnego personelu. W „De Telegraaf” znowu było ogłoszenie: *Pastwisko jest zielone dla zająca*. Tego dnia mieliśmy się po raz pierwszy skontaktować z negocjatorami. W przyczepce pracowaliśmy nad tekstem, który miał być utrwalony na taśmie i odtworzony w czasie rozmowy. Wiadomości nie nagrywaliśmy sami. Tak jak już wspominałem, mogła być potem użyta przeciwko nam. Początkowo chcieliśmy, żeby sam Alfred Heineken przeczytał na głos nasze postulaty, ale baliśmy się jakiegoś kodu, więc zdecydowaliśmy zlecić to szoferowi, któremu daliśmy w tym celu dyktafon.

Doderer zrobił to, ale bardzo powoli. Nie chciałem, żeby rozmowa trwała dłużej niż 30 sekund. Musiał mówić szybciej. Tekst napisany na maszynie przez Kota zawierał również kryptonimy Orzeł i Zając, i Ab, który nie wiedział o niczym, patrzył na nas z niedowierzaniem i zdumieniem, kiedy to czytał. Myślał, że wpuszczamy go w maliny. Musiał trzy razy powtarzać, zanim nagrał dobrze. Przesłuchaliśmy taśmę przez telefon na Heining, żeby sprawdzić, czy tekst jest zrozumiały. Ja trzymałem dyktafon przy aparacie, a Boellaard słuchał przez słuchawkę drugiego. Było okej. Kiedy taśma się

skończyła, krzyknąłem zmienionym głosem: „A ty nic nie dostaniesz, ani centa!”. Kot przestraszył się na moment, ale zaraz pojął, że to żart.

Tej soboty zrobiliśmy pierwsze zdjęcia zakładników. Byliśmy pewni, że negocjatorzy zażądadzą dowodu, że obaj panowie żyją, i chcieliśmy ich uprzedzić. Frans Meijer i Hamulec zrobili im zdjęcia na różnym tle, różnymi aparatami. Tym sposobem chcieliśmy zasugerować śledczym, że są przetrzymywani w innych miejscach, co miało wzmocnić naszą pozycję, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli. Fotki pstryknęliśmy polaroidem Kodaka. Pierwsze były niedobre, w każdym razie nie nadawały się do naszych celów. Między innymi dlatego, że widać było piżamy Heinekena i Doderera, ale również dlatego, że z boku widać było częściowo lewą rękę i zegarek Jeża. Tego nie chcieliśmy. Policja nie mogła dostać żadnej wskazówki. Żeby udowodnić, że fotografie nie zostały zrobione wcześniej, było widoczne na nich sobotnie wydanie „De Telegraaf”.

Kupiliśmy je specjalnie w Utrechcie, w kiosku międzynarodowym. Dawniej roznosiłem gazety i wiedziałem, że są różne edycje. Chciałem zapobiec, żeby policja domyśliła się, z którego regionu pochodzi gazeta. Użyliśmy tej, która była dostępna w całym kraju.

Alfred Heineken narzekał podczas robienia zdjęć. Właściwie był im przeciwny. To znaczy uważał, że powinien mieć najpierw możliwość ogolenia się i uczesania. Przypuszczał, że chcemy wysłać fotografie do gazety i pewnie chciał wyglądać normalnie. A nam zupełnie nie przeszkadzało, że mężczyźni byli nieogoleni i wyglądali na zaniedbanych. Plany skomplikował nam pewien niespodziewany i trudny problem. Chcieliśmy nadać list i nowe instrukcje na poczcie w Noordwijku, ale – jakby diabeł z nami znowu igrał – pracownicy poczty właśnie w tym tygodniu strajkowali. W całym kraju nie dostarczano listów i paczek. Niedający się przewidzieć zbieg okoliczności, z którym nigdy nie liczyliśmy się w przygotowaniach. Właściwie była to ta sama akcja strajkowa, przez którą kilka dni wcześniej wyłączono wieczorem oświetlenie uliczne w Amsterdamie. Tylko wtedy to działało na naszą korzyść, tym razem niestety nie.

Przeczytałem w gazecie, że tylko zawiadomienia o śmierci będą wysyłane.

Wahałem się, czy nie powinniśmy tego wykorzystać, ale odrzuciłem pomysł. Niepotrzebne szokowanie pani Heineken byłoby brakiem smaku, nie chciałem stosować takich metod. Dlatego szukaliśmy innego rozwiązania. Frans zaproponował, żeby włożyć list i zdjęcia do skrytki bagażowej na dworcu centralnym w Utrechcie, położonym tuż przy centrum handlowym Hoog Catharijne. Widział je, kupując tam gazety. Niezła alternatywa, skoro nie dało rady wysłać listu pocztą. Policja miała swoje metody, żeby skrytkę otworzyć. Hamulczyk i Jeżyk zanieśli paczkę w sobotę po południu, kiedy na dworcu panował ogromny ścisk, i włożyli ją niepostrzeżenie, notując numer. Nie obserwowaliśmy skrytki i nie czekaliśmy, czy policja ją otworzy. To byłoby zbyt duże ryzyko. Mogli nas zauważyć. Mieliśmy własne sprawy. Pocztę zostawiliśmy policji. List dołączony do kolorowych zdjęć brzmiał następująco:

Do Koncernu Heinekena

Do wiadomości rodziny A. Heinekena

To są żądania porywaczy Alfreda Heinekena i jego szofera. Należy je wykonać precyzyjnie!!!

Oto dowody, że obaj są przy życiu (patrz zdjęcia).

Połączymy się telefonicznie z willą De Ark w Noordwijk, numer: 01719-12502, należy się postarać, aby linia była dostępna dla Orła.

Przypominamy, że nasz kryptonim to Orzeł, kryptonim dla was: Zając. Dzwoniąc, przedstawimy się kryptonimem Orzeł i zapytamy o Zajaca. (Zając to również kierowca transportera z pieniędzmi).

Dziesięć minut po poleceniu telefonicznym Orła dla Zajaca Zając (kierowca) wyjedzie z willi De Ark w Noordwijk białym volkswagenem transporterem z pieniędzmi.

Po opuszczeniu willi przez kierowcę bezwzględnie zabraniamy policji czy komukolwiek śledzenia samochodu. (Uwaga na dziennikarzy).

Jeśli w aucie, na ciele kierowcy lub w workach z okupem znajdziemy jakikolwiek ślad nadajników lub aparatury podsłuchowej, to zakładnicy

zostaną zabici, można będzie wykupić tylko ich ciała!!!

Po wyjeździe Zająca policja ani żadne inne służby nie mogą przeprowadzać żadnych kontroli ani zatrzymywać ruchu drogowego w ciągu następnych dwunastu godzin. Bezwzględnie tego zabraniamy.

Po otrzymaniu i przeliczeniu przez nas dwóch tysięcy plików banknotów, jeśli wszystko będzie się zgadzało, zakładnicy zostaną uwolnieni cali i zdrowi.

PS Jest tylko jedna szansa zapłacenia okupu i wykupienia zakładników żywych!!!

Tylko jedna szansa!!!

Orzeł

To był twardy język, szczególnie zwrot o wykupieniu ciał, ale musieliśmy utrzymać napięcie w tej sprawie. Policja powinna z góry zrezygnować z prób wydłużania czasu i innych sztuczek. Mogliśmy to osiągnąć jedynie, stawiając jak najtrudniejsze wymagania. Błąd rachunkowy w podsumowaniu franków francuskich w naszym pierwszym liście skorygowaliśmy, podkreślając, że razem chodzi o dwa tysiące plików banknotów.

Żądając w naszym pierwszym liście kierowcy-policjanta, chcieliśmy zastraszyć drugą stronę. Wiedzieliśmy, że negocjatorzy dołożą wszelkich starań, żeby podstawić śledczego jako kierowcę, zamiast jakiegoś pracownika Heinekena lub zwykłego obywatela. Wymagając tego, dawaliśmy jasno do zrozumienia, że jesteśmy gotowi stawić czoło przeciwnikowi. Pierwszy telefon do negocjatorów wykonaliśmy tej soboty po godzinie siódmej. Zadzwoniliśmy z budki telefonicznej w kinie Tuschinski, w centrum Amsterdamu. Kot obsługiwał telefon, a my z Willemem staliśmy za nim, zasłaniając ludziom widok i mając wszystko na oku. Boellaard wykręcił podany już w pierwszym liście numer willi Heinekena w Noordwijku, 01719-12502. Widocznie szybko odebrano, bo Boellie nacisnął od razu przycisk do odtwarzania na dyktafonie. Wśród zgiełku, jaki panował w kinie, usłyszałem głos Aba Doderera:

„Tutaj mówi Orzeł..

Zadanie dla Zająca. Stacja Utrecht Centralny, skrytka bagażowa numer 2150... Powtarzam: Stacja Utrecht Centralny, skrytka bagażowa numer

2150... 2150... 2150. Należy szybko odebrać zlecenie ze skrytki i zawieźć je do willi De Ark w Noordwijku. Czekać na telefon od Orła... Orła...”.

Myślałem, że w momencie, kiedy taśma się skończy, Boellaard położy słuchawkę, ale ku mojemu zdziwieniu usłyszałem, jak niskim głosem mówi: „Taśma!”. Potem dopiero się rozłączył. Spojrzałem na niego z wyrzutem.

– Co ty wyprawiasz, idioto! Jak się umawialiśmy? Mogą cię namierzyć, człowieku!

Kot wzruszył przepraszająco ramionami.

– Przepraszam, Cor, ale ta kobita przez cały czas nadawała bez przerwy.

I głosem imitującym ją zapiszczał:

– Jest pan tam? Jest pan tam jeszcze? Jest pan tam osobiście? Niech pan coś powie do mnie.

Podejrzewaliśmy, że kobieta po drugiej stronie to Elly van Gaans, sekretarka Heinekena. Na pewno nie jego żona Lucille, bo ona była Amerykanką, a Boellaard twierdził, że właścicielka piskliwego głosu mówiła po niderlandzku absolutnie bez akcentu. Wiedziałem z czasopism, że Elly van Gaans odgrywała ważną rolę w poprzednich sprawach o szantaż. Z tego powodu prawdopodobnie została teraz włączona do sprawy.

Po powrocie na Heining natychmiast spaliliśmy taśmę w piecyku. Do tej pory wszystko szło dobrze, musieliśmy tylko troszkę zmienić plan ze względu na strajk poczty. Chcieliśmy, żeby przekazanie okupu nastąpiło w nocy z niedzieli na poniedziałek, ale zastanawialiśmy się, czy uda nam się utrzymać ten harmonogram. List i zdjęcia zostały dostarczone negocjatorom z opóźnieniem. Naradzaliśmy się, co zrobić i zdecydowaliśmy, że rajd i przekazanie okupu musimy przełożyć o kilka dni. Nie było powodu, żeby upierać się przy poniedziałku. Mogło się to też odbyć w nocy z wtorku na środę. Uznaliśmy nawet, że tak będzie lepiej. Policja została teraz niewątpliwie postawiona w stan pełnej gotowości. Im dłużej sprawa będzie się ciągnąć, tym większe prawdopodobieństwo, że ostrożność będzie malała, a poza tym będą zdezorientowani.

– Ach – podsumowałem dyskusję lakonicznie. – *So what*, zostaniemy bogaci kilka dni później...

Dawało nam to możliwość spokojnego przygotowania trasy rajdu

i sprawdzenia wszystkiego. Musieliśmy wszędzie podłożyć plastikowe kubki z poleceniami: przy hotelu Hilton na lotnisku Schiphol, motelach Van der Valk w Akersloot, 't Zand i w Joure. W Joure trzeba było jeszcze postawić samochód, do którego kierowca miał się przesiąść. Przede wszystkim musieliśmy usunąć metalową kratę z kanału odwadniającego na wiadukcie, na którym miało się odbyć przekazanie okupu, żeby worki z pieniędzmi mogły się ześlizgnąć na dół. Razem dużo roboty, tym bardziej że trzeba ją było wykonać precyzyjnie i bez zwracania uwagi. Opóźnienie pozwalało nam trochę odetchnąć i sprawdzić wszystko dokładnie.

W niedzielę pojechaliśmy z Willemem na wyścigi konne. Pokazać się. Nie miałem właściwie ochoty, byliśmy zmęczeni i nasze myśli krążyły gdzie indziej, ale nigdy ich nie przepuszczałem, więc teraz też nie chciałem. Spotkaliśmy tam Harry'ego Engelsa, przyjaciela od hazardu. Zauważył, że się spóźniłem i zażartował niewinnie:

– Gdzie ty się podziewałeś, Flip, trzymasz w szafie Heinekena czy co?

Zesztywniałem na moment, ale opanowałem się i odpowiedziałem:

– Psst, nie mów nikomu, musiałem go nakarmić – i dlatego...

Na szczęście w mojej rodzinie i najbliższym otoczeniu nikt nie rozmawiał o porwaniu, chociaż śledzili wszystko w radiu i telewizji jak większość Holendrów. Rodzina Sonji nie poruszała tego tematu. Rozmowa o Heinekenie przypominała im złe czasy, o których właściwie pragnęli zapomnieć. Nie chciałem budzić podejrzeń całkowitą obojętnością, więc od czasu do czasu pytałem z zainteresowaniem, czy są jakieś nowe wiadomości.

Heinekena i Doderera uwolniliśmy tymczasem z łańcucha. Zachowywali się spokojnie i zawyrokowałem, że nie mieliśmy się co obawiać panicznych reakcji. Zauważyliśmy, że Heineken próbował nawiązać kontakt z Hamulcem, który najczęściej przynosił im jedzenie. Meijera trochę się bał. Nazywał go „nerwusem”, bo Jeż nie miał do niego cierpliwości. W jakiś sposób Heineken czuł, że mój brat jest jeszcze bardzo młody. Próbował go inteligentnie podejść. Zachowywał się wobec niego bardzo uprzejmie. Zawsze życzył mu „dobrego dnia” i „dobrej nocy” i dziękował za posiłki: „Dzień dobry, Orle, dziękuję, Orle... Czy Orzeł uważa, że to jeszcze długo potrwa?”.

Słyszeliśmy wszystko przez interkom umieszczony w przyczepce, który przesyłał nam wszystko, co mówią w celach. W pewnym momencie Heineken złożył Hamulcowi propozycję. Sympatycznym, ale zdecydowanym głosem szeptał:

– Słuchaj, jak mnie wypuścisz albo powiesz policji, gdzie jestem, to podzielimy się okupem. Dam ci pracę w moim domu w Szwajcarii. Załatwię, że nie będziesz odsiadywał kary. Nie musisz się niczego bać. Będziesz bogaty i nie będziesz się musiał niczego obawiać. No, dobra propozycja...?

Wybuchnęliśmy śmiechem w przyczepce. Heineken próbował wbić klin między nas, zawiązać nić porozumienia z Hamulcem. Sprytne posunięcie. Zauważyłem, że mimo braku zegarka i światła dziennego zawsze dokładnie wiedział, która jest godzina. Kiedy w weekend przyszliśmy pół godziny później, od razu zauważył:

– Ale późno dzisiaj przychodzicie.

W pierwszych dniach Heineken za każdym razem pytał o maszynkę do golenia, grzebień i ciepłą wodę. Uczciwie mówiąc, wylatywało nam to z głowy. Zakładaliśmy, że cała sprawa będzie trwała nie dłużej niż cztery dni, więc nie zadaliśmy sobie trudu, żeby kupować przybory do golenia. Teraz, kiedy sprawa się przeciągała, zdecydowaliśmy się dostarczyć mu maszynkę na baterie, żeby mógł się ogolić.

Chociaż śmialiśmy się z prób przekupienia Hamulca przez Heinekena, a mój brat kręcił głową, mówiąc, że jest odporny na namowy, trochę się tym martwiłem, był młody. Zastanawiałem się, czy nie za wiele od niego żądamy i czy on da sobie radę, i nie ulegnie namowom Heinekena, kiedy nas w pobliżu nie będzie.

Przez pierwsze dni po porwaniu stale czuwaliśmy w nocy w przyczepce na Heining. Potem zrezygnowaliśmy z tego. Nie było takiej potrzeby. Ucieczka była niemożliwa, a cele dźwiękoszczelne. Co jakiś czas przejeżdżaliśmy beczelnie obok kwatery głównej policji na Elandsgracht w Amsterdamie.

– No, no... zabawa trwa w najlepsze – mówiłem, widząc zapalone światła w pokojach śledczych.

Raz nawet połączyliśmy się z willą w Noordwijku w momencie, kiedy

w centrali wszystkie światła już pogasły. Po prostu na złość.

Zakładnicy dostali w weekend krótki list, w którym informowaliśmy ich, że muszą być cierpliwi, bo sprawa potrwa trochę dłużej. Nic nie napisaliśmy o przyczynie. Heineken poczuł się trochę niepewnie.

– O co chodzi? Nie chcą zapłacić? – pytał kilkakrotnie. – Mogę coś zrobić? Mam przekazać jakąś wiadomość, polecenie?

Po kilku dniach otworzyliśmy obie cele jednocześnie. Heineken mógł przez chwilę porozmawiać z Dodererem. To był taki ludzki gest z naszej strony, żeby mogli się podnieść nawzajem na duchu, ale również dlatego, że chcieliśmy podsłuchać przez interkom, o czym będą mówili. Kiedy drzwi zostały otwarte, okazało się, że Heineken rzeczywiście nie wiedział, że jego szofer też jest ofiarą porwania. Zareagował niezmiernie zdziwiony:

– Hej, Ab, co ty tutaj robisz??? – I dodał z nutką humoru: – Jak to możliwe, przecież ty wcale nie masz pieniędzy?

Doderer zareagował nieśmiało, trochę zmieszany:

– Ja też nie wiem dlaczego, szefie. Może dlatego, że próbowałem panu pomóc...

Heineken próbował zachować lekkość rozmowy i dodać otuchy swojemu kierowcy.

– Dobrze, nie ma znaczenia, Ab, dostaniesz forszę za wszystko, nie martw się – żartował.

Następnie omówili sytuację, w jakiej się znaleźli. Heineken zaczął:

– Hej, Ab, czy domyślasz się, gdzie jesteśmy? Według mnie gdzieś w Vinkeveen. Widziałem, jak mijaliśmy po drodze fabrykę gumy do zucia Maple Leaf...

Szturchnąłem Fransa w bok, kiedy usłyszałem ten szczegół. Widzieć mógł tylko dlatego, że Frans nie założył w samochodzie poprawnie klapy w drodze na Heining.

– Nie wiem, szefie, nic nie mogłem zobaczyć po drodze – odpowiedział Doderer.

– Według mnie jesteśmy na jakiejś farmie. Słyszałem chrzęst żwiru, kiedy przyjechaliśmy... – kontynuował Heineken.

– Podejrzewam, że to Niemcy, szefie. To są niemieckie derki, a oni mówią

do mnie czasami po niemiecku... – snuł domysły Ab.

I taka rozmowa toczyła się jeszcze przez jakiś czas. Uspokoilem się. Nic nie wiedzieli. Nie musieliśmy się bać, że przekażą coś istotnego policji.

Dwa dni później przygotowaliśmy wszystko do transferu okupu. Większość plastikowych kubków Hamulec zakopał w łatwych do rozpoznania miejscach, zaparkowaliśmy też samochód w Joure we Fryzji. Żeby łatwo go było odróżnić od innych aut, Jan Boellaard zamontował na dachu taczkę, ukradzioną wcześniej przez Hamulca z jakiegoś placu budowy, a jeden z przednich reflektorów wymienił na inny, świecący na żółto. W ten sposób mogliśmy rozpoznać nasz samochód z daleka, kiedy będziemy czekali na swoich miejscach przy wiadukcie koło Utrechtu. Używaliśmy w tym celu białego citroena GS, do którego przesiadł się Heineken w tunelu dla rowerzystów. Gazety donosiły, że policja podejrzewała, iż kidnaperzy posługiwali się jasnym citroenem, więc Kot szybko przemalował go w baraku na kolor granatowy.

W Zeist usunęliśmy część ziemi, jaka przykrywała zakopane w niej beczki na okup, oraz zostawiliśmy w krzakach dwa rowery wyścigowe, którymi mieliśmy wracać do domu.

Kiedy wszystko było już gotowe, ustaliliśmy, że operacja odbędzie się w nocy z wtorku na środę, z 15 na 16 listopada. Po południu kazaliśmy Dodererowi nagrać następną taśmę, którą mieliśmy odtworzyć przez telefon wieczorem. Tekst brzmiał: „To jest zadanie Orła dla Zająca... Zając ma wyjechać białym volkswagenem busem w kierunku hotelu Hilton na Schiphol w ciągu dziesięciu minut od zakończenia tej rozmowy. Przy wjeździe do hotelu, pod pierwszą latarnią z prawej strony, w plastikowym kubku będzie czekało następne polecenie. Należy je wykonać dokładnie. Jeśli biały volkswagen będzie śledzony, zakładnicy zostaną zabici...”.

Willem i Jan zakopali kubki po południu. Zaczęli od Hiltona. Ryzykowna robota, ktoś z hotelu mógł zobaczyć, co robią, a oni z powodu lustrzanych szyb w oknach nie wiedzieli, czy są obserwowani.

Rozmowę telefoniczną miał znowu przeprowadzić Kot. Tym razem ze szpitala im. Andreeasa przy Theophile de Bockstraat, blisko bloków, gdzie mieszkaliśmy z Willemem. Kazałem przysiąc Boelliemu, że nie będzie

niczego dodawał od siebie, żadnych uwag do telefonu, nawet westchnienia. Miał tylko odtworzyć taśmę i odwiesić słuchawkę.

Siedzieliśmy w mieszkaniu Willema w dobrym nastroju, lekko podekscytowani tym, co miało wkrótce nastąpić. Przekazanie okupu było sednem i jednocześnie zwieńczeniem całej akcji. Przyjemne uczucie, tym bardziej że z gazet i telewizji wiedzieliśmy, że szukają w ciemno, nie znają tożsamości sprawców. Policja znajdowała się właściwie w ślepych zaułku. Nie mogło być inaczej, byli dwa lata za nami, tak długo pracowaliśmy nad przygotowaniem planu.

Mniej więcej kwadrans po dwunastej Boellaard pojechał do budki w szpitalu im. Andreasa. Był z powrotem jeszcze za kwadrans pierwsza. Wszedł, przeklinając pod nosem. Widocznie nie wszystko poszło dobrze.

– Cholera jasna, niedobrze mi się robi od tej kobity – zaklął. – Bez przerwy gada. Według mnie nie słyszeli nagrania z taśmy.

Następnie wysokim, damskim głosem zaczął ją naśladować: „Proszę mnie wysłuchać! Proszę mnie wysłuchać!... To bardzo ważne, mam bardzo ważną wiadomość dla pana. Proszę słuchać, do cholery! Pieniądze są gotowe. Chcemy zapłacić, ale nie w ten sposób. Mam ważną wiadomość, przeczytam...”.

Tak jak się umawialiśmy, Kot po odtworzeniu taśmy rozłączył się, nie okazując zainteresowania tym, co Elly van Gaans miała do powiedzenia. Przez chwilę ogarnęły nas wątpliwości. Czy przeprowadzać akcję tej nocy? Nie obawiałem się, że nasza wiadomość do nich nie dotarła. Na pewno nagrali ją na taśmę i mogli odtwarzać tak często, jak chcieli, nie o to chodziło. Prawdopodobnie chcieli przeciągnąć rozmowę, żebyśmy popełnili jakiś błąd, co zaoszczędziłoby im trzydziestu pięciu milionów. Frans Meijer przełamał impas i powiedział trzeźwo:

– Chłopaki, żadnych bzdur... dzisiaj wieczorem wszyscy będziemy bogaci! Wyruszamy po prostu w drogę. Teraz albo nigdy. Czy tego chcą, czy nie.

Zatem postanowione. Na znak zgody wyłączyłem światło w mieszkaniu i wziąłem jedną z lornetek leżących na stole.

– Zobaczmy – powiedziałem i zająłem miejsce przy oknie.

W ten sposób mogliśmy zobaczyć, czy przejeżdża drogą volkswagen

z czerwonymi znakami. Okazało się to niełatwym zadaniem. Coentunnelweg w tym miejscu ma trzy pasma i wszyscy jechali bardzo szybko. Zrobiła się już północ, jednak mimo późnej pory ruch na drodze był spory. Wszyscy wpatrywaliśmy się intensywnie w samochody. Kilka razy dostrzegliśmy jakiegoś volkswagena transportera, ale za każdym razem nie mieliśmy stuprocentowej pewności, że to ten. Przejeżdżały za szybko, a było ciemno. Zaczęliśmy się martwić. Może go przegapiliśmy? To całkiem możliwe. Koncern Heinekera nie śmiałyby ignorować naszych żądań. Przecież wyraźnie napisaliśmy, że inaczej mogą wykupić tylko ciała.

Czekaliśmy w mieszkaniu do piątej rano. Piliśmy czarną kawę i drzemaliśmy trochę w fotelach. Potem pojechaliśmy w kierunku Utrechtu. Niebezpieczna operacja. Każdy, kto o tej porze był na drodze, zwracał na siebie uwagę. Z tego względu Willem wszedł do bagażnika złotego renault 20, ja położyłem się na tylnym siedzeniu, a Boellie i Meijer siedzieli z przodu. W ten sposób wydawało się, że w samochodzie znajdują się dwie osoby, a nie cztery. Mieliśmy na sobie peruki, rękawiczki, zabraliśmy walkie-talkie i broń. Gdyby nas zatrzymano, to mieliśmy naprawdę bardzo dobry, gotowy pretekst...

W Utrechcie pojechaliśmy do Lunetten, jednej z dzielnic położonych na obrzeżach. Tam stał mercedes hanomag. Mieliśmy się w niego przesiąść, żeby odebrać worki z okupem. Kiedy już siedzieliśmy w mercedesie, czekał nas pierwszy zawód, który od razu postarzył mnie o rok: samochód nie chciał zapalić. Nastąpił moment paniki.

– Cholera jasna... potrzebujemy tego samochodu... musi działać!

Próbowaliśmy go szybko popchnąć, ale to nie takie łatwe. Pick-up jest potwornie ciężki, i po stu metrach pchania dyszeliśmy i spociliśmy się jak konie pociągowe. Nie zapalił... Podjąłem drastyczną, niebezpieczną decyzję, nie można było inaczej. Brakowało czasu. Usiadłem pospiesznie za kierownicą renault i uderzyłem nosem w tył mercedesa. Następnie pchałem samochód do przodu. To była wariacka robota, przód i maska renówki zgniotły się jak harmonijka, opony piszczwały i ślizgały się. Silnik ryczał. Modliłem się, żeby nikt nas nie zauważył. Słyszałem, jak rozbijają się reflektory... Ale ruszył. W pewnym momencie nabraliśmy prędkości i silnik

zaskoczył. Odetchnąłem z ulgą: uff... Pot perlił się na czole, skóra pod peruką swędziała od niego. Kot kłął jak szewc. On był odpowiedzialny za techniczne przygotowanie samochodów i za każdym razem zapewniał, że chodzą jak w zegarku.

Tamtej nocy czekaliśmy na dalsze wydarzenia, leżąc na podłodze mercedesa. Mieliśmy jechać dalej dopiero po sygnale od Hamulca, który siedział w mieszkaniu w bloku na Bijlmermeer i za pomocą pagera miał dać znać, kiedy negocjator przejedzie niebieskim citroenem. Od tego momentu mieliśmy jeszcze czterdzieści pięć minut, żeby wszystko przygotować. Miał wykreślić numer pagera Akademickiego Centrum Medycznego, które działało dzień i noc. Nic się nie działo. Pager milczał. Sprawdziłem pięć razy, czy działa, ale żaden sygnał nie przyszedł.

Nasza niepewność, ale też irytacja rosły z każdą minutą, czekaliśmy do ósmej rano. Może coś się stało, samochód złapał gumę lub coś podobnego. Byliśmy rozżaleni. Wszystko przygotowane. Podjęliśmy olbrzymie ryzyko, a tu nic... Co to za żarty? Przecież jasno daliśmy do zrozumienia, że jest tylko jedna szansa! A oni ją przepuścili. Niesłychane! Wszystko było zaplanowane i opierało się na pojedynczej akcji przechwycenia pieniędzy. Co teraz? Niskim, złowrogim głosem Jeż dał odpowiedź.

– To jest diabeł... diabeł po prostu – rozległo się z podłogi samochodu.

W środę o wpół do dziewiątej rano zrezygnowaliśmy i wróciliśmy do mieszkania Willema, ukrywając uprzednio bezpiecznie wszystkie rzeczy. Chwilę potem przyszedł podekscytowany Hamulec. Miał więcej złych wiadomości. Twierdził, że w Bijlmermeer był śledzony przez mercedesa i citroena „kaczkę”. Może to była policja. Uff, co za okropny poranek. Bieda zamiast bogactwa. Nastroje odpowiadały wieściom. Krzyczeliśmy i przeklinaliśmy. Czuliśmy się oszukani. Byliśmy wściekli, wręcz bladzi ze złości. Zaczęliśmy wątpić w nasz plan. Może nie przygotowaliśmy go wcale dobrze? Gdzie zrobiliśmy błąd? Czy to był wypadek, pech, czy nas oszukiwali? Pytania, same pytania. Początkowo szukaliśmy winy w sobie, nie robiąc sobie nawzajem wyrzutów, bo w tym stadium byłoby to zgubne.

Dopiero później usłyszeliśmy, że śledczy celowo nas tej nocy oszukali. Uważali, że przekazanie okupu odbyłoby się za szybko i obawiali się, że

stracą wszelki wpływ na tę sprawę. Poza tym, jak oświadczyli po jej zakończeniu, bali się, że samochód z okupem będzie śledzony przez prasę, która stale kręciła się wokół Willi De Ark. Nie spełniając naszych życzeń, mieli pewność, że cała historia przeciągnie się o kilka dni. Dni, w których policja będzie pracować na pełnych obrotach i prowadzić śledztwo. Dni, w których bezgranicznie zdenerwowani porywacze mogą popełnić przez nieuwagę jakieś błędy. Śledczy podjęli śmiertelnie niebezpieczne ryzyko. Po zakończeniu całej sprawy najbardziej denerwowało mnie to, że policja kryminalna w różnych publikacjach obwiniała nas, porywaczy, o to, że z zimną krwią przedłużaliśmy całą sprawę. To był szczyt bezczelności. Jeśli o nas chodzi, Heineken i Doderer mogli być wypuszczeni po pięciu dniach. Najgorsze w tym wszystkim było to, że policja знаła teraz naszą trasę i taktykę. Efekt zaskoczenia w postaci rajdu przepadł. Tego nie wzięliśmy pod uwagę. Śledczy mogli przejechać całą trasę, wykopać pojemniki i przeczytać polecenia. Znajdą Citroena w Joure i walkie-talkie w środku... właściwie wszystko. Prawie przegraliśmy. Na wiadukcie koło Utrechtu ustawiliśmy czerwone pachołki drogowe, gdzie samochód miał się zatrzymać po wskazówkach przekazanych przez walkie-talkie. To miejsce nie zdradzało jeszcze wszystkiego, ale jeśli detektywi mieli trochę oleju w głowie, to mogli zrozumieć nasz zamiar. To była katastrofa, bo cały plan opierał się na przekazaniu okupu na wiadukcie. Nie mogliśmy wymyślić żadnego innego równie dobrego sposobu w tak krótkim czasie.

Byliśmy zdruzgotani. Frans Meijer zaproponował, żebyśmy w ogóle porzucili całą sprawę. Wypuścili Doderera i Heinekena. Teraz byliśmy o dziewięćdziesiąt procent słabsi. Pozwoliliśmy im podejrzeć nasze karty. A nie mieliśmy w ręku asów. Zagrażało nam poważne niebezpieczeństwo. Boże, Boże, tak blisko zwycięstwa i takie rozczarowanie... Mieliśmy zaprzepaścić dwa lata pracy? Nie, niemożliwe. Tego nie zrobimy. Jestem, można powiedzieć, przebojowym typem, zebrałem w sobie ostatnią energię, choć nie było jej wiele. Ja też walczyłem ze sobą, żeby nie ulec pokusie odwrotu, ale zdrowy rozsądek zwyciężył.

– Chłopaki, musimy iść dalej. Zaczęliśmy, więc skończymy. Za daleko zaszliśmy. Teraz nie możemy się poddać. Kto tu rządzi? My czy ci cwaniacy

z policji? No, głowy do góry! – powiedziałem i na szczęście wszyscy się zgodzili, chociaż pewnie nie z całego serca.

Przechodziliśmy do drugiego etapu. W odwecie znowu przykuliśmy Heinekena i Doderera łańcuchami. Musieliśmy coś zrobić z gnębiącym nas gniewem. Daliśmy im także list o następującej treści:

Na razie nie zostanie pan uwolniony. To wina pana własnych ludzi. Nie wykonali naszych poleceń. Dlatego jest pan znowu przykuty łańcuchem. Musi pan mieć cierpliwość.

Pytania:

Czy istnieje instrukcja lub oświadczenie notarialne, że nie można wypłacić okupu?

Czy ma pan ubezpieczenie na wypadek porwania?

Z kim mamy negocjować, jeśli oni nie chcą z nami współpracować?

List z tymi złymi nowinami wywołał furję u Heinekena. Po raz pierwszy od czasu przymusowego uwięzienia na Heining stracił panowanie nad sobą. Widocznie fakt, że nie zostanie wypuszczony, był i dla niego dużym rozczarowaniem.

– Co jest do jasnej cholery! – krzyknął nagle. – Ja jestem szefem. Nikt inny tylko ja. Dajcie mi papier i długopis! Won! Wszyscy! Wszystkich zwolnię! Co oni sobie myślą... Powariowali czy co, do diabła?!

Pospiesznie nabazgrał odpowiedź mazakiem na papierze. Był naprawdę wściekły, a na nas wywarło to takie wrażenie, że zapomnieliśmy o własnej złości.

Odpowiedź Heinekena była jasna:

Do Orła:

Jestem biznesmenem, nie bohaterem. Jest instrukcja. Nie ma żadnego notariusza. Skontaktujcie się z Gé van Schaik, Duinvoetlaan 7, w Wassenaar.

24 Gra słów: Nazwa kabaretu, a w dosłownym tłumaczeniu: dwa piwka (przyp. tłum.).

25 Emmer – wiaderko (przyp. tłum.).

Rozdział 11

Chcieliśmy ich ukarać i nie reagowaliśmy przez jakiś czas. Jeśli oni kazali nam czekać na próżno, to my też mogliśmy sobie na to pozwolić. Powinni być jeszcze zadowoleni, że nie byliśmy żadnymi Włochami albo Latynosami, bo wtedy groźby z listu: „Jest tylko jedna szansa zapłacenia okupu i wykupienia zakładników żywych” zostałyby wykonane. Może nie zabiliby Heinekena, ale Doderera na pewno. Negocjatorzy igrali z ogniem, nie wykonując poleceń. Ja nie śmiałybym tak ryzykować, gdybym był na ich miejscu.

Drugim powodem braku reakcji z naszej strony było oczywiście to, że mieliśmy dużo do zrobienia. Trzeba było wytyczyć nową trasę. O drodze przez Afsluitdijk[26], którą uwzględniliśmy w pierwszym rajdzie, można było zapomnieć. Jedyne punkty, który pozostał bez zmian, to wiadukt, przy którym miało nastąpić przekazanie okupu. Musieliśmy tam w jakiś sposób dotrzeć. I nie mieliśmy zbyt dużo czasu na szukanie.

Nową trasę na mapie wytyczyliśmy w mieszkaniu Willema. Punktem wyjściowym była willa Van Schaika w Wassenaar, negocjatora wyznaczonego przez Heinekena. Znałem go ze sprawozdań finansowych w gazetach. Był wiceprezesem zarządu koncernu Heinekena, drugim najważniejszym człowiekiem w firmie. Wyjazd spod willi De Ark w Noordwijku okazał się praktycznie niemożliwy. Dzień i noc koczowała tam przed bramą cała armia fotografów, dziennikarzy i ciekawskich. Gdyby samochód z okupem opuścił posiadłość, podążałaby za nim kolumna pojazdów, a to była ostatnia rzecz, na jaką czekaliśmy.

Wyciągnęliśmy też wnioski z nieudanego rajdu. Nie mogliśmy dopuścić, żeby w razie jakiejś wpadki policja poznała całą trasę, wykopując kubki z ziemi. Teoretycznie istniała możliwość dokonania tego w ciągu

czterdziestu pięciu minut. Należało tylko przeczytać instrukcję zawierającą polecenie jazdy z A do B, a następnie zadzwonić na policję w B z prośbą o szybkie znalezienie następnej instrukcji. Ci z kolei mogli zadzwonić do punktu C i tak dalej i dowiedzieć się bardzo szybko, gdzie samochód kierowcy z okupem będzie jechał. Wydawało mi się, że policja nie odważy się tego zrobić, ale pewności nie było. Nigdy przecież nie przypuszczałem, że nie spełnią żądań za pierwszym razem.

Z tego powodu wprowadziliśmy dla nowej trasy polecenie telefoniczne. Jeżeli coś nie wypali, to po prostu nie zadzwonimy i wtedy strona przeciwna nie będzie wiedziała, co dalej robić. Trochę żałowałem, że nie wymyśliłmy tego za pierwszym razem, no cóż, lepiej być mądrym po szkodzie, niż nie wyciągać wniosków ze złych doświadczeń. Kiedy trasa była mniej więcej wytyczona na mapie, jeździliśmy nią przez kilka dni samochodem, żeby sprawdzić, czy odpowiada naszym wymaganiom. Jednocześnie szukaliśmy miejsc, gdzie można najlepiej ukryć instrukcje w znanych, plastikowych kubkach. Czyli jazda, jazda i jeszcze raz jazda, czasami tysiąc kilometrów w ciągu dnia. Sprawdzanie, ponowne sprawdzanie i jeszcze raz sprawdzanie. Nie mogliśmy dopuścić do tego, żeby przez pośpiech lub niedokładność popełnić błędy. I tak zrobiliśmy ustępstwo, ponieważ skończyły się plastikowe kubki zakupione w Niemczech. Czasu, żeby wysłać kogoś po nie do Niemiec, nie było. Hamulec kupił więc w Hadze nowe, ale oczywiście to nie było dobre rozwiązanie. Nie mieliśmy jednak innego wyjścia. Mimo takich niedoskonałości po kilku dniach nowa, całkiem dobra trasa była gotowa na papierze. Rajd miał wyglądać następująco: Po instrukcji telefonicznej samochód z okupem powinien pojechać z Wassenaar z domu Van Schaika do Amsterdamu, do Euromotelu leżącego na Oude Haagseweg, obok autostrady A4. Tam pod latarnią zakopaliśmy kartkę, w której nakazywaliśmy szoferowi jechać do miejscowości Zevenbergschen Hoek w Brabancji, leżącej przy autostradzie A16, między Bredą a Dordrechtem. W tej dziurze, na stacji benzynowej Texaco otwartej przez całą noc, miał napić się kawy i czekać na telefon od Orła. Chcieliśmy, żeby stamtąd kierowca pojechał dalej drogą do Bredy i przy słupku kilometrowym nr 60 wykopał następny plastikowy kubek. Wiadomość miała zawierać instrukcję

kierującą go najpierw w stronę Antwerpii, potem do Rijsbergen i przez Tilburg autostradą A27 do Utrechtu. W zachodnim Utrechcie powinien zjechać z autostrady zjazdem „De Meern”.

Stamtąd miał pojechać na Bizetlaan w dzielnicy Welgelegen, gdzie znajdowała się restauracja De Hommel. Obok numerowanego słupa latarni była luźna płyta chodnikowa, pod którą ukryliśmy następną instrukcję i kluczyki do samochodu. W tym miejscu kierowca miał przeładować worki z pieniędzmi do podstawionego przez nas auta, w którym na przednim siedzeniu czekało na niego walkie-talkie. Citroena i jeden radiotelefon straciliśmy w Joure, przy pierwszej próbie przekazania pieniędzy, więc teraz musieliśmy użyć zielonego forda 16L, którego trzymaliśmy na Heining w rezerwie.

Po przeładowaniu pieniędzy kierowca miał przejechać przez skrzyżowanie Oudenrijn w kierunku Arnhem, do motelu Maarsbergen, gdzie miała czekać na niego kolejna instrukcja. Zanim jednak tam dojedzie, mieliśmy mu przez walkie-talkie polecić, żeby zatrzymał się na wiadukcie koło Utrechtu, worki z pieniędzmi spuścił przez kanał odwadniający i dopiero potem pojechał do motelu.

Nie była to tak zaskakująca trasa jak za pierwszym razem. Policja była teraz prawdopodobnie przygotowana na taki rajd, ale nie byłem niezadowolony. Kiedy wszystko było gotowe, rozpoczęliśmy pisanie instrukcji. Minęło wiele dni i był już najwyższy czas, żeby sprawę zakończyć. W mediach panowała cisza. Gazety publikowały niewiele, oczywiście również dlatego, że nie miały nic nowego do zakomunikowania. Policja mądrze przemilczała, że zignorowała wezwanie do przekazania okupu i że kontakt został zerwany.

Zanim na dobre przystąpiliśmy do rzeczy, popełniliśmy jeszcze niewybaczalną gafę, która mogła nas kosztować głowę. Byliśmy na Heining bardzo zajęci pisaniem listów do negocjatorów i bez przerwy chodziliśmy tam i z powrotem, z biura do kuchni, z kuchni do przyczepki i na odwrót. W jakiś sposób, nikt nie wie dokładnie, jak do tego doszło, jeden z listów opatrzony kryptonimami Orzeł i Zając zostawiliśmy na ladzie w biurze i na domiar złego następnego ranka znaleźli go pracownicy. Boellie, który

ostatni miał te papiery w ręku, przyszedł się wypowiadać cały czerwony ze wstydu. Myślałem, że zemdleję. To był koszmar. Ten błąd mógł nas kosztować wiele lat więzienia. Przeraziłem się nie na żarty. Mamy wpaść przez taką głupią drobnostkę?

Okazało się, że list został przeczytany przez trzy osoby: administratora Jacoba Kleina, księgowego Matthijisa de Bonta i jego sekretarkę Romildę. Jęknąłem z przerażenia i poczułem, jak podnosi mi się ciśnienie krwi. Mieliśmy jednak szczęście w nieszczęściu, bo nikt nie znał kryptonimów Orzeł i Zając. Istniała niewielka szansa, że nie zrozumieli treści listu, chociaż istniało prawdopodobieństwo, że po zakończeniu porwania policja poda do wiadomości publicznej takie szczegóły i ktoś przypomni sobie ten nieszczęsny list. O ile dotychczas nie zorientowali się, o co chodzi, to w takim momencie niewątpliwie go sobie przypomną. Co za główniana sytuacja! Byłem wściekły na obrót sprawy i po raz pierwszy padły wtedy twarde słowa i oskarżenia. Nie dało się tego usprawiedliwić. Takich błędów po prostu nie mogliśmy robić.

Po południu poszedłem do biura, żeby delikatnie podpytać, jakie konkluzje wyciągnęli z tego listu. Omówiłem jakieś finansowe kwestie z księgowym i powiedziałem mu, że zamierzam niedługo spłacić duży kredyt hipoteczny ciążący na mojej posiadłości. Mówiąc to, patrzyłem uważnie na jego reakcję, kolor policzków, wyraz oczu... Nie reagował, przynajmniej nie w sposób, którego się obawiałem. Nie widział związku. Niedostrzegalnie westchnąłem głęboko: Bogu dzięki! Skończyło się na niewypale. Dużo później usłyszeliśmy, że widzieli list, ale nie zrozumieli jego treści. Wszyscy myśleli, że Boellaard chciał zrobić kawał.

Pierwszą rzeczą, jaką musieliśmy wykonać, była zmiana kryptonimów. Należało odwrócić uwagę od Orła i Zająca i mieć nadzieję, że po uwolnieniu Heinekena takie szczegóły nie wyjdą na światło dzienne w gazetach. Dlatego powinniśmy się postarać, żeby policja nie przywiązywała za dużo wagi do zmiany kodów i z tego względu uważaliśmy, że warto zostawić ten sam wzorzec. Nowymi kryptonimami zostały: „Sowa” i „Mysz”. Jeśli chodzi o hierarchię władzy, na pewno nie gorsze od Orła i Zająca.

Tymczasem zrobił się już 22 listopada. Minęło trzynaście dni od

uprowadzenia biznesmena i jego kierowcy. Dwa długie, wyczerpujące tygodnie, tymczasem my planowaliśmy je na cztery dni... Tego dnia koncern Heinekena próbował znowu nawiązać z nami kontakt, umieszczając nowe ogłoszenie w rubryce *Życzenia* w „De Telegraaf”.

Serdeczne gratulacje. Łąka jest zielona dla Zająca. Aby się na nią dostać, pożądany jest wcześniejszy kontakt, wyłącznie z powodów praktycznych.

Po kilku dniach ciszy w gazetach ukazał się artykuł, że dla policji i rodziny „całkowitą zagadką” jest, dlaczego porywacze nie dają znaku życia i „zastanawiają się, czy podczas poprzedniego kontaktu nie doszło do jakiegoś błędu...”. No, nie ze mną takie numery! Właściwie chciało mi się śmiać. Policja próbowała się wykręcać od odpowiedzialności na wszelkie sposoby. Uczciwie mówiąc, nie miałem o niej wysokiego mniemania. W niektórych kwestiach dochodzenie przynosiło niemal zerowe wyniki. Czystą kpina było na przykład to, że nie rozpoznali na taśmie głosu Aba Doderera i ciągle podawali go za głos jednego z porywaczy.

W gazetach pisano, że chodzi o „mężczyznę w średnim wieku, mówiącego po holendersku”. Eksperci przeprowadzali analizę głosu. Potem słyszałem, że w tym celu sprowadzono nawet autorytet w tej dziedzinie z Bundes Kriminal Amt z Wiesbaden w Niemczech. Nie chciało mi się wierzyć. Działo to naturalnie na naszą korzyść. Spędzili sporo czasu nad takim bzdurnym szczegółem. Dla mnie to był dowód, że policja, a być może i koncern Heinekena, trzymali rodzinę Doderera poza śledztwem. Gdyby mianowicie chociaż raz pozwolili usłyszeć tym ludziom nagrania z taśmy, to byłoby jasne, że to głos zakładnika, a nie jednego ze sprawców.

Odpowiadało nam, że negocjatorzy szukali kontaktu z nami. Skończyliśmy przygotowania i byliśmy gotowi do akcji. Kazaliśmy Abowi Dodererowi nagrać kilka tekstów i razem z Kotem pojechaliśmy do hotelu Holiday Inn w Utrechcie, żeby zadzwonić do willi De Ark w Noordwijku. Aby zapobiec przerywaniu nagrania przez pytania i uwagi Elly van Gaans, kazaliśmy powiedzieć Abowi, że zabraniamy wpadać nam w słowo.

Zadzwoniliśmy około wpół do jedenastej, a taśma odtworzona przez Kota informowała:

Proszę słuchać... i nie przerywać krzykami! Tu mówi Orzeł. To jest instrukcja telefoniczna dla Zająca...

Mimo naszego ostrzeżenia słyszałem przez słuchawkę, że Elly znowu zaczęła jęczeć: „Proszę mnie wysłuchać...” – powtarzała. Wykrzywiłem twarz w grymasie do Boelliego... Cholera, co za wiedźma! Nigdy w życiu nie chciałbym mieć kogoś takiego za sekretarkę. Taśma leciała dalej...

Dlaczego nie spełniono drugiego telefonicznego rozkazu Orła? Czekamy na odpowiedź. Można zadać pięć pytań lub podać pięć sugestii. Przeznaczamy na nie dwadzieścia sekund w następnej rozmowie telefonicznej. Na te pytania dostaną państwo później odpowiedź. Proszę szybciej odbierać telefon... Orzeł.

W tym momencie Elly van Gaans zaczęła znowu mówić:

– Są pieniądze. Proszę słuchać, odnośnie do czterech punktów musimy się dokładniej umówić. Mam ważną wiadomość: w dniu zapłaty chcemy dostać dwa nowe zdjęcia zakładników. Kierowcy chcą najpierw porozmawiać...

Odłożyliśmy słuchawkę, spojrzałem na Boellaarda pytającym wzrokiem.

– Kierowcy? Zwariowali czy co? Będzie jeden kierowca, nie więcej!

Stamtąd pojechaliśmy z Kotem do Belgii, żeby zrobić zakupy. Mieliśmy zadzwonić drugi raz po południu z miejscowości Boom, żeby zanotować pytania. Kupiliśmy kawałek liny, której chcieliśmy użyć do zrobienia nowych zdjęć. Zanim Elly poprosiła nas o nie, sami wpadliśmy na ten pomysł, miały wyglądać strasznie. Może wtedy będą nas słuchać i pospieszą się ze wszystkim. Chcieliśmy do fotografii założyć zakładnikom stryczek na szyję. Kiedy płaciłem w sklepie w Brukseli za linę, facet za kasą zażartował:

– Ależ proszę pana, chyba nie ma pan zamiaru się powiesić?

– Nie, proszę się nie martwić, to nie dla mnie – wymamrotałem

w odpowiedzi niezrozumiale i wyszedłem ze sklepu.

Około wpół do czwartej zadzwoniliśmy z Boom do willi w Noordwijk.
Połączenie było bardzo złe.

Tutaj Orzeł, przekazuję instrukcję telefoniczną dla Zająca. Macie dwadzieścia sekund czasu na zadanie pytań. Teraz. Szybko! Orzeł.

Słuchaliśmy z Boelliem w napięciu i staraliśmy się zrozumieć, o co Elly van Gaans chodzi, ale z ledwością nam się to udawało. Mówiła coś o nowych zdjęciach. Spojrzałem na Kota i zrobiłem ruch, dając znak, że przerywamy połączenie. Może to była jakaś sztuczka policji. Boellaard odwiesił słuchawkę. To nie miało sensu. Zadzwonimy później jeszcze raz. Nie mogliśmy ryzykować nieporozumień w komunikacji z powodu złej jakości połączenia telefonicznego. Trzecia rozmowa tego dnia odbyła się o piątej po południu. Odtworzyliśmy tę samą taśmę co kilka godzin temu. Tym razem słyszalność była dobra. Przykleiłem do słuchawki małe urządzenie, które umożliwiało nagranie pytań i uwag negocjatorów. Elly van Gaans mówiła:

Pieniądze wymagane do uwolnienia obu zakładników są przygotowane, ale mamy problemy praktyczne:

- 1. Dostarczcie nam aktualne zdjęcia uwięzionych.*
- 2. Ze względu na bezpieczeństwo pieniędzy pojedzie dwóch kierowców, którzy chcą z wami porozmawiać, zanim wam wręczą gotówkę.*
- 3. Ze względu na obecność prasy trzeba zmienić miejsce wyjazdu.*

Po zaakceptowaniu tych warunków pieniądze zostaną podjęte z banku. Dlatego nie mogliśmy wcześniej zapłacić. Chętnie objaśnię szczegóły teraz lub jeśli zadzwonicie ponownie...

Odłożyłem słuchawkę i pokręciłem głową.

– Niczego się nie nauczyli... znowu wymyślają jakieś triki... dwie Myszy, które chcą z nami przedtem porozmawiać... hm... może umówimy się

w przydrożnej knajpie dla kierowców? – zaśmiałem się szyderczo i wyszliśmy z budki.

Wróciliśmy do Holandii i pojechaliśmy się dowiedzieć, co słyhać na Heining. Zdecydowaliśmy, że czas włączyć do gry Gé van Schaika, wiceprezesa zarządu. Miejmy nadzieję, że kontakt z nim będzie lepszy niż z sekretarką. W tym celu zrobiliśmy w środę, 23 listopada, nowe zdjęcia Heinekena i Doderera. Daliśmy im notatkę z wyjaśnieniem i prośbą o współpracę:

Panowie,

Przykro nam, ale jesteście zmuszeni wykonać kilka wstrząsających zdjęć wywołujących emocje. Prosimy o współpracę, musi pan wyglądać żałośnie. Musi pan wyglądać tak, jakby był pan zraniony w rękę. Jeśli pan się nie zgodzi, to będziemy zmuszeni pana zranić.

Zdjęcia zrobił Frans Meijer i mój brat przyrodni Martin Erkamps. Założyliśmy zakładnikom bandażę z podręcznej samochodowej apteczki, żeby zasugerować, że są zranieni. Umieściliśmy na nich również, w widocznym miejscu aktualny „De Telegraaf”, żeby nie było wątpliwości, kiedy zostały wykonane. Nie bardzo nam się udały. Albo były na nich jakieś zakazane elementy, albo zakładnicy nie wyglądali wystarczająco żałośnie. W pewnym momencie Willem musiał nawet pojechać na lotnisko Schiphol po dodatkowe rolki filmów. Można było zwariować. Heineken znowu zaczął narzekać, że chce się uczesać. Myślał, że fotografie zostaną umieszczone w gazecie. Frans stracił w tym momencie panowanie nad sobą i gwałtownie przejechał dwoma rękami po jego włosach. Upływ czasu i olbrzymie napięcie odciskało na nas piętno. Nie mogło być inaczej. Heineken zezłościł się na Fransa, kiedy ten zburzył mu fryzurę, i odciął się poirytowanym głosem:

– Przestań! Nie dotykaj mnie! Nie mogę tak wyglądać na zdjęciu...

Po wielu staraniach jednak nam się udało. Wyglądali ponuro. W Noordwijku powinni się przestraszyć. Ich wina, uważaliśmy. Mogli wcześniej przestrzegać instrukcji i wykonać je dokładnie. Włożyliśmy

zdjęcia i list do plastikowego kubka i Frans zakopał go przy autostradzie do Hagi za pomocą specjalnej łopatką do sadzenia cebulek kwiatowych. Poprosiliśmy jeszcze Heinekena o napisanie kilku osobistych słów do Gé van Schaika, które dołączyliśmy do listu. Około wpół do ósmej Kot zadzwonił z baru The Birties przy Leidseplein w Amsterdamie do willi w Noordwijku i odtworzył taśmę z głosem Aba Doderera, z wiadomością, gdzie jest zakopany kubek:

Mówi Orzeł...

Zadanie dla pana Van Schaika. Proszę słuchać! List od Orła leży zakopany przy autostradzie A44 Haga–Amsterdam, przy słupku kilometrowym 5,8.

Orzeł

List dołączony do zdjęć brzmiał następująco:

Heineken, spółka publiczna

Do wiadomości G. van Schaika, członka zarządu spółki Heineken.

Orzeł przedstawia krótko rozwój sytuacji w związku ze sprawą uprowadzenia Alfreda Heinekena i jego kierowcy.

Zmieniamy kryptonimy: Orzeł będzie nosił odtąd nazwę Sowa, a Zając – Mysz.

Meldując się w kontaktach z Myszą, będziemy przedstawiać się kryptonimem Sowa i pytać o Mysza. Kryptonimy mają pozostać absolutnie poufne, prasa nie może się o nich dowiedzieć!

Okup za obu zakładników wynosi łącznie: pięć milionów marek niemieckich, pięć milionów dolarów amerykańskich, pięć milionów guldenów holenderskich i dwadzieścia pięć milionów franków francuskich.

Adres wyjazdu kierowcy (Myszy) ulega zmianie. Teraz będzie to dom pana Van Schaika (G. van Schaika), Duinvoetlaan 7 w Wassenaar, tel. 01751-79008. Odtąd będzie to też punkt kontaktowy Sowy z Myszą. Pan Van Schaik i Mysz muszą być dostępni pod tym adresem dzień i noc.

Biały volkswagen transporter, oznaczony czerwonymi znakami X, należy natychmiast zamienić na używany przez nas samochód dostawczy renault w kolorze pomarańczowym lub taki sam pomarańczowy samochód dostawczy. Należy go podstawić na adres pana Van Schaika. Okup należy włożyć do auta, a więc nie trzymać w banku, ale w domu pana Van Schaika. TYLKO jeden kierowca ma być gotów do odjazdu... przygotowany dokładnie tak, jak podaliśmy w poprzednich instrukcjach!!!

Absolutnie nie akceptujemy dwóch szoferów, kierowca ma wyjechać w ciągu dziesięciu minut od rozmowy telefonicznej!!! Powtarzam: po telefonie Sowy Mysz ma szybko wyjechać pomarańczowym samochodem transportowym renault, i wykonać polecenie Mysz znajdzie kolejną instrukcję na trasie.

Niestety, musieliśmy nieodwracalnie uszkodzić palce zakładników: raz, ponieważ nie spełniono ostatnio naszych wytycznych, a dwa, ponieważ na drogach zaobserwowaliśmy wtedy dużo samochodów cywilnych policji. Niech to się nie powtórzy!!!

Rozkazy należy wykonać natychmiast!!!

Zakładnicy mają już założone stryczki na szyi, nie zmuszajcie nas do pozbawienia życia jednego z nich dla przykładu. Nie ma już szansy wykupienia ciał!!!

Odpowiedzi na pytania są następujące:

- 1. Prośba o „znak życia” od zakładników zostanie zrealizowana w dniu przekazania pieniędzy; Mysz znajdzie zdjęcia po wykonaniu pierwszej instrukcji.*
- 2. Czy okup jest za dwóch zakładników?
Tak, to jest okup za dwóch zakładników, patrz specyfikacja.*
- 3. Dwóch kierowców? Absolutny zakaz, jeden kierowca – Mysz.*
- 4. Inny punkt początkowy? Tak, dom pana Van Schaika, adres: Duinvoetlaan 7 w Wassenaar.*
- 5. Pieniądze w banku? Nie, pieniądze muszą od tego momentu leżeć przygotowane w domu Van Schaika, w każdym momencie gotowe do przejęcia przez Sowę.*
- 6. Co się stanie po przekazaniu okupu? Jeśli pieniądze zostaną*

przekazane, zakładnicy zostaną natychmiast wypuszczeni żywi.

*Dopóki Heineken i Doderer nie wrócą do domu, nie będziemy tolerować żadnych innych policjantów, tylko Mysz. Jeśli zgadzacie się w pełni z treścią tego listu, to 24 listopada należy umieścić ogłoszenie w gazecie „Het Parool”, w rubryce: *Sprzedam samochód.**

Zielony citroen kaczka, rok produkcji 1973.

Lekko uszkodzony, silnik w dobrym stanie.

Tel.: 01719-12345.

Kiedy otrzymamy tę zakodowaną wiadomość, nastąpi szybkie zakończenie całej sprawy, a błagania zakładników zostaną spełnione i wyjdą żywi.

Prywatna wiadomość od Heinekena: Gé, trzymaj policję z daleka, dopóki nie wrócę bezpiecznie do domu. Liczę na ciebie!

H.

Tym razem zrezygnowaliśmy ze zwykłego ogłoszenia w rubryce *Życzenia* w „De Telegraaf”, ponieważ ogłoszenia „Łąka jest zielona dla Zająca” stały się już sławne w całym kraju. Połowa Holendrów przeglądała z rana gazety w poszukiwaniu interesujących wzmianek, w ten sposób mogli brać udział w śledztwie. Kilka razy anons został opublikowany na tytułowej stronie gazety. Tym razem chcieliśmy temu zapobiec, umieszczając w innej gazecie tekst mniej rzucający się w oczy. Na takie ogłoszenie nikt nie zwróci uwagi, no może oprócz ludzi, którzy chcą kupić dziesięcioletniego citroena...

Kiedy Boellaard zadzwonił z wiadomością, że następna instrukcja jest zakopana przy autostradzie A44, w przyczepce na Heining napisaliśmy obszernie wyjaśnienie dla Heinekena i Doderera o ich sytuacji. Postawiliśmy im kilka żądań. Tekst listu brzmiał następująco:

Panie A. Heineken,

Pisząc ten list, chcę pana zawiadomić o rozwoju sytuacji. Jeśli przypomina pan sobie nasz pierwszy list, który dostał pan jakieś dwa tygodnie temu, to pisaliśmy w nim, że będzie pan w domu w ciągu około czterdziestu ośmiu godzin. Tak się nie stało, zawdzięcza pan to nie nam, ale swoim ludziom

i policji.

Wysłaliśmy do nich instrukcję z żądaniem i dostaliśmy w odpowiedzi zakodowane ogłoszenie w gazecie „De Telegraaf”. To był znak dla nas, że zgodzili się z naszymi wymaganiami i że okup jest przygotowany. Niestety, pieniędzy nie naszykowano, a pana ludzie nie byli gotowi spełnić naszych żądań. A więc ogłoszenie to kłamstwo i oficjalnie powinniśmy pana zabić.

Ostatnie zdjęcia mają być dowodem, że nieodwracalnie okaleczyliśmy pana dwa palce.

Wysłaliśmy następny list, a nowe ogłoszenie oznacza, że tym razem są już przygotowani do zapłacenia okupu za panów. Mamy nadzieję, że nastąpi to szybko, a wtedy będą panowie mogli rychło wrócić do domu.

Okup stanowi niewielką sumę dla pana spółki. To nie jest nawet dwa procent pana prywatnego majątku. Zanim pan będzie wolny, chcemy, aby oświadczył pan pod słowem HONORU, że:

1. Nie będzie nas pan próbował ścigać, przykładowo nie będzie pan obiecywał wysokich nagród za informacje o nas.
2. Nie będzie pan zeznawał przeciwko nam po naszym ewentualnym aresztowaniu.
3. Nie zdradzi pan żadnych informacji na temat miejsca pobytu ludzi, którzy pana uprowadzili lub się panem opiekowali.
4. Po powrocie do domu nie będzie pan współpracował z policją w śledztwie przeciwko nam.
5. Jeśli numery banknotów pieniędzy za okup zostały zanotowane lub sfilmowane na mikrofilmach, postara się pan je zniszczyć.

Jeśli nam pan obieca spełnić te warunki, to nic nie stoi na przeszkodzie, aby odzyskali panowie wolność. Musi pan jednak zapamiętać, że jeśli złamie pan słowo honoru, to wytypimy całą pana rodzinę, włącznie z zięciem!

Jeśli zapomni pan o sprawie i zachowa się zgodnie z powyższymi radami, to pana rodzina nie będzie musiała żyć w strachu do końca swoich dni. Niech pan zapamięta, nasza organizacja jest większa, niż się wszystkim wydaje.

Naprawdę uważałem, że ten list i prośba o oświadczenie były dobrym posunięciem. Teraz zabrzmiałoby to może naiwnie, ale w moich oczach tak wówczas nie było. Żeby to zrozumieć, należałoby wiedzieć, jaką wagę nasza czwórka przywiązywała do honoru. Dla mnie słowo honoru poparte mocnym uściskiem dłoni było więcej warte niż gruby kontrakt opracowany przez notariusza i trzech adwokatów. I tak myślał każdy z nas. Przypuszczałem, że słowo Alfreda Heinekena jest dużo warte, w końcu był facetem dużego kalibru.

Patrząc z perspektywy czasu, Heineken i Doderer nie mieli wyjścia, musieli podpisać to oświadczenie, a ich słowo honoru nie miało żadnej wartości.

Za chwilę dostaliśmy od Heinekena oświadczenie, długie na dwie strony. Pisał:

Panowie,

Oto oświadczenie, o które prosiliście.

Czy list, który otrzymałem od panów, można w odpowiednim czasie przesłać pocztą na adres domowy, abym mógł wytłumaczyć to, co napisałem, s.v.p.?

(Przepraszam za bazgroły, ale to z powodu pisania wkładem do długopisu).

Niniejszym oświadczam, że daję słowo honoru i nie będę:

- 1. Próbować panów ścigać i (na przykład przez obiecywanie wysokich nagród) zdobywać informacji przeciwko panom.*
- 2. Składać zeznań przeciwko panom po ewentualnym aresztowaniu.*
- 3. Nie zdradzę żadnych informacji na temat miejsca pobytu ludzi, którzy mnie uprowadzili lub się mną opiekowali.*
- 4. Po powrocie do domu nie będę współpracował z policją w śledztwie.*
- 5. Postaram się zniszczyć ewentualną listę numerów banknotów, fotokopie etc. pieniędzy za okup.*

Heineken (podpis)

Taki sam list wręczyliśmy Abowi Dodererowi. Słowo jednego z zakładników nie miało dla nas żadnej wartości, jeśli drugi tego nie zrobi.

Doderer napisał oświadczenie, jasno deklarując, że nie podejmie żadnych kroków przeciwko nam:

Nie mam pieniędzy na nagrody. Nie znam żadnych informacji. Nie znam panów. Widziałem tylko kask. Nie wiem, gdzie jestem więziony. Nie mam pojęcia, gdzie miałbym panów szukać.

Co miałbym opowiedzieć policji? Tylko coś o momencie porwania, transporcie, zdjęciach i nagrywaniu taśm. To wszystko, co wiem. Chcę być jak najszybciej wolny i dalej żyć szczęśliwie z rodziną.

Byłem dobrze traktowany. Jedzenie i picie było smaczne. Łóżko ciepłe.

Mam zapomnieć też o zdjęciach i taśmach? Przecież o tym i tak wiedzą?

Ab Doderer (podpis)

Następnego dnia, 24 listopada, kupiliśmy z ciekawością „Het Parool” i przeglądaliśmy kolumny z ogłoszeniami w poszukiwaniu oferty sprzedaży Citroena „kaczki”, pod numerem telefonu w Noordwijku. Przeglądaliśmy wiele razy, z góry do dołu i odwrotnie, ale ogłoszenia w gazecie nie było. Zastanawiałem się, co się tym razem stało. Znowu się z nami bawili i chcieli nas wprowadzić w błąd? Czym się ci goście zajmowali? Wyglądało na to, że nie traktują nas poważnie. Zdjęcia i listy były według nas jednoznaczne. Nie mogli ich lekceważyć.

Po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy nie bawić się więcej z negocjatorami i sami ustaliliśmy, że okup musi być przekazany jeszcze dzisiejszej nocy. A więc z czwartku na piątek. Zadzwonimy po prostu wieczorem do domu Van Schaika i każemy Myszy wyjechać w ciągu dziesięciu minut. Koniec! Sfinalizujemy sprawę przed weekendem. Konsekwencje biorą na siebie negocjatorzy. Mieliśmy dosyć. Po dwóch tygodniach stresu byliśmy kompletnie wyczerpani.

Zaczęliśmy szybko przygotowywać potrzebne rzeczy: ostatnie kubki z instrukcjami, broń, ubranie, postawiliśmy rowery w lasku w Zeist,

sprawdziliśmy działanie walkie-talkie, wiadukt i... no tak... znowu dopadł nas pech! Który raz z rzędu! Staliśmy na Heining w perukach, kamizelkach kuloodpornych, gotowi do odjazdu zielonym fordem taunusem do Utrechtu, gdzie mieliśmy go zostawić przy restauracji De Hommel, kiedy Boellie przycisnął zbyt mocno i zatarł sprzęgło. Samochód stanął i nie chciał ruszyć. Niedobrze mi się zrobiło. Teraz znowu to! Operacja odwołana. Takiej usterki nie byliśmy w stanie, choćby prowizorycznie, zreperować o jedenastej wieczorem. Nie mogliśmy pojechać kradzionym autem do warsztatu i poprosić o założenie nowych tarcz. Samochód miał wpaść podczas rajdu w ręce policji; jeśli jego zdjęcie będzie opublikowane w gazecie lub w telewizji, to właściciel mógłby je sobie przypomnieć. Szybką kradzież jakiegoś wozu w tej chwili uważałem za zbyt ryzykowne przedsięwzięcie. Nie pozostawało nic innego, niż to, że sami damy radę naprawić samochód. Cholerna robota, ale nie było wyjścia. Hamulec zdobył następnego ranka w warsztacie Forda instrukcję i razem z Kotem zajęli się sprzęgłem.

Tego dnia, 25 listopada, mogliśmy zanotować wreszcie mały sukces. W popołudniowej edycji „Het Parool” zobaczyliśmy ogłoszenie o sprzedaży lekko uszkodzonego citroena. Pod numerem telefonu: 01719-12345. Tak jak w poprzednich wypadkach nie mogli się powstrzymać i dodali coś od siebie, że pożądanym jest kontakt i tak dalej. Tym razem nie przeszkadzało mi to. Cieszyłem się, że ogłoszenie się ukazało. Dzień wcześniej trochę mnie gnębiło, że go nie było. Bałem się, że to znowu jakaś sztuczka. Teraz pomyślałem, że może nie zdążyli umieścić anonsu w czwartek.

Poinformowałem pozostałych o rozwoju sytuacji i po naradzie określiliśmy datę przekazania okupu na noc z niedzieli na poniedziałek, z 27 na 28 listopada. Tylko pod warunkiem, że w fordzie zostaną wymienione tarcze. Hamulec i Boellaard walczyli z czasem. Nigdy przedtem nie robili czegoś takiego i nie było im łatwo. Cały piątek i sobotę leżeli pod samochodem i gorączkowo przy nim majstrowali, obok leżała zabrudzona książeczka z instrukcjami. Byli cali czarni od smaru i nie pozwalali sobie nawet na przerwy na jedzenie lub pójście do toalety.

W sobotę pod wieczór zadzwoniłem do Boellaarda, byłem ciekawy, jak im idzie. Musimy odłożyć akcję czy nie? Miał dobrą wiadomość:

– Wszystko gotowe, Cor – zameldował z dumą.

Ech, wreszcie coś się udało.

– Duże brawa, Janie! – pochwaliłem jego i Hamulca, uradowany ich moneterskimi sukcesami. Skoro wszystko było gotowe, mogliśmy zaczynać w niedzielę wieczorem.

Nadszedł czas, żeby Ab Doderer nagrał nowe instrukcje. Przy odrobinie szczęścia będzie to ostatni raz. Chyba za wiele od niego wymagaliśmy. Kierowca był wykończony i zdenerwowany, jak się szybko okazało. Jąkał się i zacinał, mylił przy czytaniu. Nie można było dłużej przeciągać przetrzymywania zakładników. Musiałem to z przykrością stwierdzić... Należało szybko zakończyć całą sprawę. Nie mogli tak dłużej żyć. W pewnym momencie Doderer złapał Hamulca za rękawiczkę i błagał:

– Wypuście mnie, proszę, wypuście mnie, panie Orle...

To była poruszająca scena, w takim momencie myślałem sobie: co my właściwie robimy? Jednak nie mogliśmy się zatrzymać, nawet gdybyśmy chcieli. Nie teraz. Doderer nie był w stanie nagrać instrukcji, więc wyjątkowo poprosiliśmy o to Alfreda Heinekena. Poszło lepiej. Widocznie był przyzwyczajony do pracy z dyktafonem. Chodziło o krótki tekst, napisany przez nas, i nie mogłem sobie wyobrazić, żeby udało mu się coś zmanipulować. Heineken pytał wciąż, czy już zapłacono. Jego cierpliwość i wytrzymałość też osiągnęły granicę. Nawiasem mówiąc, w ostatnim tygodniu pozwoliliśmy zakładnikom częściej rozmawiać ze sobą. Otwieraliśmy drzwi i przywiązywaliśmy ich do łańcucha. Nie chciałem, żeby siedzieli razem w jednej celi. Zazwyczaj podsłuchiwaliśmy w przyczepce przez interkom, o czym mówią. Heineken starał się bardzo pocieszać Doderera i dodawać mu odwagi:

– Nie martw się, Ab, zapłać, nawet gdyby żądali dwustu milionów, to żaden problem.

Jeż, który zawsze podbijał stawkę, szturchnął mnie w ramię i przybrał wiele mówiący wyraz twarzy, jakby chciał powiedzieć: a nie mówiłem...

Alfred Heineken zdawał sobie sprawę, że porwanie jest sensacją, chociaż nie dostawał od nas żadnych gazet. Apelowal do swojego szofera:

– Ab, jesteśmy teraz znani na całym świecie. Piszą o nas w każdej gazecie,

możesz być pewien. Jesteśmy sławni. Ty też, Ab...

Czasami żartował i mówił:

– Ab, jak mi dzisiaj pościelisz łóżko, to ja pościelę twoje jutro – i potrząsał łańcuchem, do którego miał przywiązaną rękę.

Heineken nie zawsze był w dobrym nastroju. Bywało, że miał dobry dzień, kiedy indziej depresję, a niekiedy irytowało go, że sprawa stoi w miejscu.

Hamulec dawał mu czasem piwo jego własnej marki albo szklaneczkę ulubionej whisky, Vat 69. Ogólnie dostawali duże i dobre porcje jedzenia. Jajecznice, chleb, kilka razy dania od Chińczyka. Kiedy go pytaliśmy, na co ma ochotę, zamawiał zazwyczaj całe menu jak na dansingu, nie wiem ile drogich przysmaków. A pod spodem dopisywał z cierpkim humorem: „Ale jak się nie da, jajko sadzone też będzie dobre”.

Miał niewątpliwie poczucie humoru i potrafiłem to docenić. Niepostrzeżenie zaczęliśmy odczuwać do niego sympatię. Któregoś dnia wręczył Hamulcowi list z jeszcze jedną propozycją: „Nie mógłbym z wami pojechać do banku w Szwajcarii? Podejmiemy żądaną sumę razem. To już za długo trwa”.

Frans Meijer zrobił w tych dniach błąd, który ku jego złości kosztował go nowe spodnie i zegarek. Im dłużej wszystko ciągnęło się, tym bardziej nonszalancki się stawał i któregoś dnia wszedł do celi bez kaloszy. Spod kombinezonu wystawał kawałek nogawki nowych spodni do golfa, w kratkę. Kiedy mu to wypomnieliśmy, twierdził, że nic się nie stało.

– Wszystko jedno.

Miałem inne zdanie. Musieliśmy uważać. Był jednym z pierwszych, którzy posiadali wtedy takie modne i rzucające się w oczy spodnie. Złapaliśmy go we trójkę, zdarliśmy z niego te nowiuteńkie spodnie – nie bez pewnej przyjemności – i wrzuciliśmy je do piecyka, razem z zegarkiem, który było widać przy robieniu zdjęć. Żadnego ryzyka.

Tej soboty Kot zadzwonił do Wassenaar, do mieszkania Van Schaika z nagrany na taśmie głosem Heinekena, żeby im powiedzieć, że muszą być gotowi do akcji. Pikantny szczegół: Boellaard dzwonił z Leidseplein z... kawiarni Heinekenhoek. Informacja była krótka: „Tu mówi Sowa. Proszę się przedstawić. Tu mówi Sowa, proszę się odezwać”.

Widocznie wiadomość spowodowała zamieszanie, bo według Jana odpowiedziano, że Zajac jest na linii zamiast Myszy, jak głosiła instrukcja. Ale to była drobna pomyłka, nie warto o niej wspominać.

Dalej taśma informowała: „Ogłoszenie przeczytałem. Czy pieniądze są już u pana Van Schaika i czy Mysz jest przygotowana do podróży? Proszę natychmiast odpowiedzieć na te pytania: tak czy nie?!”.

Z drugiej strony linii nadeszła odpowiedź twierdząca: „Tak, wszystko gotowe”.

Następne instrukcje brzmiały: „Należy ściśle wykonywać polecenia. Zaraz otrzyma pan pierwsze zadanie do wykonania. Proszę czekać przy telefonie cały czas i szybko podnosić słuchawkę, meldując się: Van Schaik. Sowa...”.

Teraz rozpoczęło się odliczanie. W niedzielny poranek przyjechaliśmy na Heining, żeby poczynić ostatnie przygotowania. Trzeba było zrobić jeszcze zdjęcia Heinekena i Doderera, które miały być włożone do plastikowego pojemnika i zakopane obok Euromotelu. Obiecaliśmy negocjatorom znak życia od zakładników. W zasadzie głos Heinekena na taśmie też był znakiem, że żyje, o ile ktoś go rozpoznał... Może pomyślą: Co? Znowu jakiś inny porywacz mówi.

W niedzielę w Holandii nie wychodzą żadne gazety, więc pojechaliśmy na Dworzec Centralny w Amsterdamie, żeby kupić niemiecką „Sport am Sontag”. Nieważne, jaką gazetę trzymali w rękach na fotografii, byle data była aktualna. Zdjęcia udały się od razu. Heineken w jakiś sposób czuł, że nadchodzi koniec całej sprawy. Zapytał podczas robienia zdjęć:

– Czy wszystko tym razem idzie dobrze? Problemy rozwiązane?

Skinąłem twierdząco głową. Tak, wszystko w porządku. Teraz albo nigdy.

²⁶ Afsluitdijk – tama i droga na tamie w Holandii, zbudowana w latach 1927–1932 przez zatokę morską Zuiderzee (przyp. tłum.).

Rozdział 12

Zanim mogliśmy powiedzieć słowo: koniec, dwa razy zdarzyło się coś dziwnego.

Obcy ludzie na ulicy bez żadnej przyczyny wskazali na nas jako porywaczy Heinekena i Doderera. Pierwszy raz zdarzyło się to chyba dziesiątego dnia. Pojechaliśmy wieczorem z Fransem Meijerem i Willemem Holleederem do Alkmaar, żeby zobaczyć jakiś dom wystawiony na sprzedaż. Było koło dziesiątej, kiedy wysiedliśmy z auta i zobaczyliśmy na ulicy chwiejącego się na nogach faceta, z półlitrową butelką heinekena w ręce, rzygał co dwa kroki.

Kiedy nas zauważył, spojrzał podejrzliwie i podszedł kilka metrów bliżej. Jakby dopiero wtedy nabrał pewności i zaczął krzyczeć:

– Kurwa mać... to ci faceci, co porwali Heinekena! – Popatrzyliśmy na siebie z przestrawieniem i zdziwieniem.

– Co się dzieje... – wyszeptalem, patrząc dookoła uważnie, czy nikt inny go nie słyszał. A facet mamrotał dalej:

– Wy wstrętni porywacze...

Frans zareagował najbardziej lakonicznie z nas trzech.

– Ten facet powinien otworzyć biznes i przepowiadać przyszłość.

Nieruchomość, którą przyjechaliśmy zobaczyć, zostawiliśmy w spokoju. Czułem się mimo wszystko nieswojo. Wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy.

Kilka dni później zdarzyło się coś podobnego, kiedy poszliśmy wieczorem coś zjeść na szybko do „Broodje Dobbe” na Rembrandtplein. Mieliśmy jeszcze to i owo do zrobienia i spieszyliśmy się. Dlatego zamówiliśmy z Willemem tylko bułkę z tatarskim, ale ku naszej irytacji Frans poprosił o wysmażony befsztyk. Zwróciłem mu uwagę, że przecież nam się spieszy,

na co on wzruszył tylko ramionami.

– Ach, kwadrans w tę czy we w tę, nie robi żadnej różnicy...

W rezultacie doszło do ostrej kłótni. Wyzwałem go od zwariowanego dziwaka, a on nas od nerwusów. Pozostali klienci przysłuchiwali się tej wymianie zdań z zainteresowaniem. Zaraz potem wyszliśmy z Willemem, nie zapłaciwszy rachunku. Niech Jeżyk płaci, i tak ma dużo czasu. Za chwilę nas dogonił – nie zjadł befsztyka. Był trochę zdenerwowany i opowiadał:

– Cholera jasna, wszyscy zaczęli o nas gadać. Mówili, że chyba jesteśmy porywaczami Heinekena... jak to możliwe?

Sam się nad tym zastanawiałem. Niech będzie, że ten facet z Alkmaar wyzwał tego samego dnia trzy tysiące ludzi od porywaczy Heienkena, a w naszym przypadku miał akurat rację, ale taki zbieg okoliczności trochę mnie przeraził. Między innymi dlatego cieszyliśmy się, że wkrótce ta cała nerwówka się skończy. Operacja „Heijntie” trwała już prawie trzy tygodnie. Sytuacja stawała się nie do wytrzymania zarówno dla nas, jak i dla zakładników. Nigdy nie mieliśmy intencji tak długo ich przetrzymywać.

Po zrobieniu zdjęć Heinekenowi i Dodererowi Frans i Hamulec przygotowali dla nich jajecznicę z chlebem, a tymczasem ja z Willemem pojechaliśmy ukryć ostatnie kubki z instrukcjami na trasie rajdu.

Potem wybraliśmy się na wyścigi konne do Hilversum. Kiedy tam spacerowaliśmy, ogarnęło mnie nagle jakieś niedobre przeczucie, nie wiem dokładnie dlaczego. Zobaczyłem ludzi, których nigdy wcześniej tam nie widziałem i intuicja ostrzegła mnie przed jakimś zagrożeniem. To mogły być kokosy. Posłałem Willema na parking, żeby popatrzył, jakie samochody tam stoją. Czasami można się było w ten sposób zorientować, czy to nie tajniacy, na przykład wtedy, jeśli auta miały wbudowaną aparaturę radiową. Nic nie znalazł. Mimo to nie czułem się uspokojony.

Tego dnia, kiedy kupowaliśmy na Dworcu Centralnym gazetę, miałem wrażenie, że ktoś nas śledzi. Jechał za nami volkswagen golf z dwoma mężczyznami w środku. Dlatego Willem dwa razy objechał rondo naokoło i potem ich już nie widzieliśmy. Nadal jednak miałem wątpliwości. Czy czas trwania akcji zaczął odgrywać rolę i widzimy rzeczy, których nie ma, czy...?

Wieczorem w niedzielę zebraliśmy się wszyscy, włącznie z Hamulcem, na

Heining. Trwały ostatnie przygotowania. Trzeba było zakopać jeszcze kilka kubków, ustawić zielonego forda w Utrechcie przy restauracji De Hommel, zawieźć rowery do Zeist i po ostatnich problemach z silnikiem przy próbie przekazania okupu sprawdzić dobrze mercedesa hanomaga.

Jan zaparkował swój samochód na parkingu szpitala De Lichtenberg w Amersfoorcie. Po zawiezieniu worków z pieniędzmi do beczek miał pojechać hanomagiem ponownie do tego szpitala i przesiąść się do swojego auta. Na szczęście sprawdziliśmy jeszcze raz wiadukt w Utrechcie, nie była to niepotrzebna fatyga. Krata, którą usunęliśmy kilka dni temu, została starannie założona z powrotem przez służby drogowe. Zdjąłem ją i wyrzuciłem do leżącego jakieś czterdzieści metrów dalej rowu z wodą. Z tym w każdym razie nie będziemy mieć kłopotów.

Około wpół do piątej po południu wróciliśmy na Heining. Hamulec przywiózł dla zakładników duże porcje obiadowe z chińskiej restauracji w Zwanenburgu – zupę oraz nasi[27] z kawałkami kurczaka i krewetkami, bo mogło długo potrwać, zanim dostaną znowu coś do jedzenia.

W przeciwieństwie do pierwszego razu nie spędziliśmy połowy nocy na czekaniu w mieszkaniu Willema, ale pojechaliśmy około pierwszej do Utrechtu. Nałożyliśmy peruki i kamizelki kuloodporne, dokleiliśmy brody, zabraliśmy walkie-talkie i oczywiście dyktafony z nagranyimi tekstami. Hamulec zawiózł nas swoim samochodem, beżowym fordem kombi. Potem wrócił do mieszkania Willema, które było naszym punktem kontaktowym. Z Utrechtu mieliśmy zadzwonić do domu Van Schaika. Miało to tę zaletę, że nie musieliśmy się pojawiać na ulicy w momencie, kiedy zaalarmowana policja ruszy do akcji. Znajdowaliśmy się już w zaplanowanym punkcie. Mercedes hanomag stał przy Nieuwe Houtenseweg w Lunetten, dzielnicy Utrechtu, która leżała o rzut kamieniem od wiadomego „naszego” wiaduktu. Było jeszcze wcześniej, więc mieliśmy czas, żeby przejrzeć motorower marki Peugeot, którym Willem miał poturkotać do domu po wykonaniu swojej roboty. Silnik zapalił za pierwszym razem.

Byliśmy w dobrym nastroju, ożywieni. Wreszcie zacznie się dzieć coś konkretnego. Rajd, w którym stawką było trzydzieści pięć milionów guldenów nagrody, mógł się rozpocząć. O wpół do trzeciej w nocy

opuściliśmy z Kotem hanomaga, w którym wszyscy leżeliśmy na podłodze, i poszliśmy do pobliskiej budki telefonicznej na niewielkim dworcu kolejowym. To była przedostatnia taśma, nagrana przed południem przez samego Heinekena. Kot wykręcił numer w Wassenaar, jak zostało wcześniej ustalone, odebrał ktoś o męskim głosie:

– Halo, Van Schaik...

Boellaard wcisnął przycisk i taśma ruszyła.

Tu mówi Sowa...

To jest telefoniczna instrukcja dla kierowcy, Myszy. Należy zrobić notatki! Mysz musi wyruszyć w ciągu dziesięciu minut pomarańczowym terenowym renault z pięcioma workami okupu. Ma pojechać do Euromotelu leżącego przy autostradzie A4 za lotniskiem Schiphol, w kierunku Amsterdamu. Na podjeździe terenu hotelowego, pod latarnią z prawej strony, leży zakopana następna instrukcja, która wyjaśni, co należy robić dalej... Sowa.

Czy polecenie jest zrozumiałe i zostanie wykonane? Proszę odpowiedzieć natychmiast: tak czy nie...

Usłyszeliśmy z drugiej strony, jak Van Schaik pośpiesznie odpowiada „tak”: „Instrukcja jest zrozumiała. Jesteśmy gotowi do wyjazdu”.

Taśma zawierała jeszcze ostrzeżenie: „Jeśli pomarańczowy samochód będzie śledzony przez kogokolwiek, to sprawa jest nieodwracalnie zakończona”.

Van Schaik próbował jeszcze potem przedłużyć „rozmowę”, bo zapytał:

– Halo, jest tam pan jeszcze?

Kot odwrócił się do mnie i ruchem głowy zapytywał, co ma zrobić. Dałem znak, żeby odwiesił słuchawkę. Wszystko było dostatecznie jasne. Żadnych gier więcej.

Mysz wyjechała w drogę, a my musieliśmy na razie czekać. Będzie w drodze przynajmniej trzy, trzy i pół godziny. Leżeliśmy na podłodze mercedesa i odliczaliśmy minuty. Od czasu do czasu szeptaaliśmy do siebie kilka słów. Byliśmy bardzo spięci i maksymalnie skoncentrowani. Zdziwiłem

się więc, kiedy godzinę później rozległo się nagle monotonne chrapanie Kota, któremu najwyraźniej nie przeszkadzało, że leży na zimnej podłodze.

Gdzieś kwadrans po czwartej obudziłem go jednak i wyszliśmy z samochodu. Szacowałem, że Mysz znajdowała się teraz gdzieś w okolicy stacji benzynowej Texaco w Zevenbergschen Hoek, gdzie powinna otrzymać następną instrukcję telefoniczną. Zadzwoiłem na stację z pytaniem, czy już przyjechała. Nawiasem mówiąc, brzmiało to idiotycznie. Podejrzewałem, że właściciel stacji myślał, że ktoś go robi w balona.

– Dobry wieczór, tu mówi Sowa, czy Mysz już przyjechała? – zapytałem. Najwyraźniej Mysz przemieszczała się wolniej, niż myślałem, trafiłem dopiero za trzecim razem. Było już po piątej, Boellaard odtworzył zaraz ostatnią taśmę, która nakazywała kierowcy jechać przez Tilburg do Utrechtu, do restauracji De Hommel na Bizetlaan. Ponieważ pokonanie dotychczasowego odcinka trasy zajęło mu tyle czasu, istniało ryzyko, że rano w Utrechcie wpadniemy w kłopoty. Boellie dodał więc zmienionym głosem: „Szybciej jechać! Szybciej jechać!”.

Teraz, kiedy Mysz wyruszyła już ze stacji benzynowej, wyliczyliśmy, że za jakieś niecałe dwie godziny będzie w Utrechcie, biorąc pod uwagę czas potrzebny na przesiadkę do zielonego forda taunusa i przełożenie worków z pieniędzmi koło restauracji. Tuż po szóstej – minuty upływały bardzo wolno – szturchnąłem Willema, że czas się przygotować. W czasie jazdy autostradą A12 miał instruować Mysz przez walkie-talkie, jak dojechać na wiadukt, na którym postawiliśmy dwa czerwone pacholki oznaczające miejsce zatrzymania się. Przy przesiadce w Utrechcie Mysz, oprócz kluczyków do zielonego forda, otrzymała także instrukcję w plastikowym kubku o następującej treści:

Obok pana, na przednim siedzeniu leży pod chustą krótkofalówka, jest włączona, proszę usunąć chustę, ale nie wolno dotykać urządzenia!!! Ewentualne nasze polecenia, wydawane przez walkie-talkie, mają absolutne pierwszeństwo przed instrukcjami pisemnymi i należy je wykonać natychmiast!!!

Sowa

Willem nałożył zielony płaszcz i stary beret wojskowy, wyglądał jak żołnierz. Jakby się urwał z jakiegoś filmu. Zsalutował ręką do beretu i odmaszerował. Chwilę potem zniknął w ciemności. Niecały kilometr od wiaduktu miał się położyć pod drzewami na skraju łąki z lornetką, niewidoczny dla helikopterów. Z tego miejsca miał dobry widok na trzypasmową autostradę i mógł na czas wypatrywać zielonego forda. Aby łatwiej go było rozpoznać, Kot zainstalował w nim dwa różne reflektory, jeden biały, a drugi żółty. W tym samym celu na bagażniku dachowym zamontował damski rower. Podobnie przy pierwszej próbie w Joure, we Fryzji, do dachu przywiązaliśmy, w charakterze elementu rozpoznawczego, taczkę. Willem nie rzucał się w oczy w wojskowym ubraniu, gdyby przypadkowo spotkał o tak wczesnej porze jakiegoś rolnika lub myśliwego. Na tym obszarze stacjonowało wielu żołnierzy i często miewali ćwiczenia w nocy. Nikt się nie zdziwi, jak spotka „sierżanta Nosa”.

Teraz pozostawało nam tylko czekać, dopóki nie usłyszymy głosu Willema w walkie-talkie. To będzie oznaczało, że zbliża się do nas Mysz z łupem. Willem ćwiczył ten tekst niezliczoną ilość razy, żeby wypowiedzieć wiadomość bez akcentu i płynnie. Właściwie był to jedyny raz, kiedy przeciwnik mógł usłyszeć nasze prawdziwe głosy, a spodziewaliśmy się, że nie zostaną nagrane. Nie było przecież połączenia telefonicznego i działaliśmy z zaskoczenia. Nie można było wcześniej kazać Heinekenowi lub Dodererowi nagrać tej wiadomości. Nie mogliśmy przewidzieć rozwoju sytuacji. Ważne było to, żeby Willem mówił wyraźnie, bez amsterdamskiego akcentu. Ostrzegalem go wcześniej, żeby starał się unikać słów „kan”, „kun” i „ken”. Willem miał talent do mylnego ich używania, a to mogło stanowić wskazówkę dla policji. Dlatego jego krótką telefoniczną wypowiedź przećwiczyliśmy uprzednio wiele razy.

Jeszcze raz spojrzałem na zegarek, żeby zobaczyć, która godzina. Dochodziła siódma rano. Zauważyłem, że ruch na drodze powoli wzrastał. Zaczynał się poranny szczyt. Kilka minut potem usłyszałem chrzęst walkie-talkie i głos Willema. Zaczyna się, pomyślałem. Holleeder mówił bezbłędnie. Bez akcentu, nie zacinał się. Słuchałem w napięciu:

Tu Sowa, tu Sowa, wiadomość dla Myszy...

Ta wiadomość ma pierwszeństwo! Ta wiadomość ma bezwzględne pierwszeństwo!

Tu mówi Sowa, wiadomość dla Myszy. Zmniejszyć prędkość do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i jechać wzdłuż balustrady. Zatrzymać się przy czerwonych pachotkach. Tam wrzucić do otworu kanalizacyjnego pięć worków z pieniędzmi. Następnie kontynuować podróż...

Ta wiadomość ma bezwzględne pierwszeństwo!

Mysz z pieniędzmi zbliżała się do wiaduktu. W momencie, kiedy Willem zaczął mówić, Boellaard wjechał mercedesem dokładnie pod wiadukt tak, że z góry nie było nas widać. Meijer wysiadł z auta i usiadł na zboczu w krzakach, żeby patrzeć, czy za samochodem Myszy nie jadą wozy policyjne i czy kierowca wykonuje dokładnie polecenia Willema.

Ja zostałem w samochodzie i ku swemu zdziwieniu usłyszałem nagle typowy, nosowy głos Meijersa przez walkie-talkie:

– Taaak, chodź, chodź tutaj, taaak... taaak!

To było całkowicie wbrew intencji i umowie, ale i tak się roześmiałem.

– Słyszysz tego pajaca? – odezwałem się do Boellaarda.

– Taaak, zrzucaj, zrzucaj tutaj... – powtórzył jeszcze raz Jeź.

Podchodząc do wiaduktu, słyszałem z daleka warkot helikopterów. Zatrzymałem się i zacząłem śledzić oczami ciemne jeszcze niebo. Nic nie widziałem, ale wiedziałem, że tam są.

Kilka sekund później usłyszałem, jak worki pocztowe spadają na dół. Szur... szur... szur... Liczyłem w myślach: raz, dwa, trzy... Kot też widocznie liczył, bo po piątym usłyszałem jego szept za mną:

– Może dołożyli jeszcze jeden za długie czekanie?

Nie miałem czasu na odpowiedź. Zobaczyłem, że Jeź próbuje ciągnąć jeden z nich i od razu się ugiął pod ciężarem.

– Hej, chwileczkę! – rzucił. – To nie moja robota, tych worków nie da się podnieść...

Pomogłem mu i pół minuty potem wszystkie leżały w podwójnej kabinie mercedesa. Spojrzeliśmy jeszcze, czy Mysz, czyli kierowca forda taunusa,

odjechał zgodnie z poleceniem, i wskoczyliśmy do auta.

Pojechaliśmy przez Nieuwe Houtenseweg, obok stacji kolejowej, z której dzwonił, na Furkabaan w dzielnicy Lunetten i skręciliśmy od razu w Brennerbaan. Na jej końcu wjechaliśmy od razu na E8 w kierunku Amersfoort-Zeist, mijając stadion FC Utrecht – Galgenwaard. Kilkaset metrów za nim skręciliśmy w lewo i przez środkowy pas przejechaliśmy na drugą stronę drogi, w ten sposób dostaliśmy się na będącą wówczas jeszcze w budowie autostradę A28, łączącą Amersfoort-Zeist z Utrecht. Jeździły nią wtedy tylko samochody z piaskiem i inne pomagające w jej ukończeniu, bagażowy mercedes hanomag nie rzucał się więc w oczy.

Jechaliśmy w sumie może z siedem minut, najwyżej dziesięć, ale wydawały się one wiecznością. Naciskałem na Boelliego, żeby nie przyspieszał. Nie mogliśmy zwracać na siebie uwagi. Tymczasem spoglądaliśmy z Fransem do tyłu, żeby upewnić się, czy nikt nas nie śledzi: wydawało się, że nie. Po przybyciu do lasu Kot zmniejszył jeszcze prędkość, unikając zapalania świateł hamowania, tylko przez zmianę biegów i hamulec ręczny. Jeśli ktoś nas śledził z odległości, nie widział, że stajemy na moment.

Wyskoczyliśmy z Meijerem z auta, ciągnąc worki. Boellie właściwie się nie zatrzymał. Jechał dalej, a ja wyciągnąłem ostatni worek. Zaciągnęliśmy je do miejsca, gdzie zakopane były beczki. Pokrywki odstłoniliśmy prawie całkowicie dzień wcześniej. Wyciągnęliśmy dwa śpiwory i rozłożyliśmy je na ściółce. Rozciąłem nożem trzy worki i wysypaliśmy zawartość na śpiwory. Wyjąłem z jednej z beczek wykrywacz nadajników i przejechałem po stosie pieniędzy. A niech to! Co za góra forsy... Co za podniecający widok!... czterysta kilo banknotów!

– Tym można otworzyć wszystkie drzwi – szepnął Frans, grzebiąc w banknotach.

– Tak, o ile to nie są drzwi celi... – odpowiedziałem ze śmiechem.

W pierwszych workach nie znaleźliśmy nadajników. Musieliśmy wszystko dokładnie skontrolować, ale co to była za cholerna robota. Poganiał nas coraz wyraźniejszy terkot helikoptera, pracowaliśmy gorączkowo. Sprawdziliśmy trzy worki, potem uznałem, że to zabiera za dużo czasu,

którego nie mieliśmy. Dwa ostatnie skontrolowałem wykrywaczem tylko z zewnątrz, a ponieważ nie usłyszeliśmy żadnego alarmu, szybko spuściliśmy je do beczek. Potem przebraliśmy się. Peruki, rękawiczki, kamizelki kuloodporne, broń, kurtki, wszystko zniknęło w beczkach. Ukrytą na miejscu łopatką przykryłem je warstwą ziemi, a Frans rozrzucił jeszcze liście i gałęzie. Tylko jakaś bardzo mądra głowa mogła to znaleźć.

Następnie włożyliśmy nylonowe spodnie od dresu, które zabraliśmy zwinięte w płaszczach. Do tego bluzy od dresu, jasnoszaro-niebieskie, zupełnie nierzucające się w oczy. Na nogach mieliśmy lekkie tenisówki. W półmroku wschodzącego dnia wyciągnęliśmy z krzaków srebrnoszare rowery sportowe i wskoczyliśmy na siodełka. Zabrałem ze sobą łopatkę i trzymałem ją wzdłuż ramy roweru, co nie było łatwe. Liczyłem się z tym, że z helikoptera przez specjalną aparaturę mogą patrzeć na dół, a ktoś z łopatką, jadący rowerem wyścigowym, wyglądał oczywiście dziwnie. Po jakimś kilometrze wyrzuciłem ją w krzaki. Po kilku kolejnych ogarnęło nas uczucie wyzwolenia. Coś jak: teraz nie mogą nam nic zrobić, jesteśmy bezpieczni. Nie mieliśmy przy sobie nic, co nas mogło zdradzić, pieniądze ukryliśmy w miejscu niewykrywalnym. Byliśmy dwoma zwykłymi rowerzystami, którzy wybrali się na wczesną wycieczkę po ładnej okolicy.

Nareszcie, w końcu się udało! Zauważyliśmy, że obaj bardzo się zgrzaliśmy i chciało nam się okropnie pić. Prawdopodobnie z napięcia.

Mieliśmy do przejechania sześćdziesiąt kilometrów do domu, całkiem spory kawałek. Operację odkładaliśmy tyle razy, że opony zmiękły, na dodatek rower był trochę za mały i bolało mnie od niego siedzenie, ale chętnie znosiliśmy te niewygody. Nie było na świecie żadnego kolarza, który dostał więcej za taką jazdę. Cieszylibyśmy się nawet wtedy, gdybyśmy mieli wracać na kolanach...

Po drodze dzwoniłem kilka razy do Hamulca, żeby sprawdzić, czy dotarł bezpiecznie do domu. Pierwszy raz około dziewiątej rano. Nie było go. Tylko Jan Boellaard dotarł, ale on jechał samochodem. Wszystko przebiegło sprawnie. Nos jeszcze nie dojechał swoim peugeocikiem, chociaż według mnie powinien już być, wyruszył pierwszy.

O wpół do dziesiątej zadzwoniłem z kawiarni. Troszkę się martwiłem. Co

się stało? Nie miałem złudzeń. Jeśli jeden z nas został złapany, to wszystkich wyłowią. Odebrał Hamulczyk, natychmiast zapytałem:

– Nos już jest?

– Tak, właśnie wszedł, złapał gumę – mój brat przyrodni odpowiedział twierdząco.

Uff, na szczęście! Odetchnąłem głęboko.

Tymczasem mieliśmy z Franssem serdecznie dosyć pedałowania i powiedziałem Hamulcowi, że pojedziemy jeszcze kawałek i zadzwonimy, skąd ma nas odebrać. Teraz było już bezpiecznie. Kiedy trzy kwadranse potem przejeżdżaliśmy obok dużego supermarketu Maxis, poddaliśmy się. Porzuciliśmy rowery i zadzwoniliśmy po Hamulca, żeby po nas przyjechał. Czekając na niego, widzieliśmy jeszcze kilka helikopterów lecących w kierunku lotniska Schiphol, to był dobry znak. Nie widzieli nas. Udało nam się. Dwadzieścia minut później, w samochodzie, z entuzjazmem klepnałem Hamulca po ramieniu.

– Wszystko w porządku, chłopcze? Jesteś bogaty, jesteś milionerem... nawet multimilionerem!

Potem szybko przebraliśmy się w aucie, żeby nikt nas nie widział w Amsterdamie w dresach. Musieliśmy być ostrożni do końca. Rowery zostały przy supermarkecie, możliwe, że zanim dojedziemy do domu, zaopiekuje się nimi jakiś złodziejaszek...

Kiedy dojechaliśmy, urządziliśmy w mieszkaniu Willema małą imprezę. Podnieceni opowiadaliśmy swoje wrażenia: dziurawa opona auta Willema, jazda rowerami i imitowaliśmy naturalnie nieśmiertelną wstawkę Fransa: „Taaak, chodź, chodź tutaj, taaak...taaak!”.

To był piękny, niezapomniany moment. Napięcie ostatnich trzech ciężkich tygodni opadało powoli. Chociaż byliśmy potwornie zmęczeni, otworzyliśmy dwie butelki szampana Moët & Chandon i Dom Pérignon, które zachowaliśmy specjalnie na tę okazję. Korki strzelały do sufitu, szampan lał się po pięknym perskim dywanie Willema, który tym razem nie zrzędził. Niby dlaczego miałby? Właśnie zainkasowaliśmy trzydzieści pięć milionów.

Poszedłem potem na pół godzinki wziąć ciepłą kąpiel, obok stał kieliszek

szampana, z którego popijałem co chwilę. Leżałem z zamkniętymi oczami, pozwoliłem myślom wolno płynąć i zdarzenia ostatnich godzin przesuwały się jak w kalejdoskopie... sierżant Willem w berecie... Kot chrapiący na podłodze mercedesa... Meijer uginający się pod ciężarem forsy... góra pieniędzy na śpiworach... jazda rowerem... zadowolenie po powrocie.

Teraz, kiedy mieliśmy już pieniądze, nie było powodu przetrzymywać dłużej Heinekena i Doderera. I tak za długo to wszystko trwało. Ale to nie myśmy zawinili, tylko sabotujący nasze polecenia negocjatorzy i policjanci. Postanowiliśmy uwolnić ich następnego ranka w pobliżu przydrożnej restauracji De Lucht, leżącej między Zaltbommel i Den Bosch. Mieliśmy im włożyć kombinezony i przez tylne siedzenie wepchnąć jakoś do bagażnika. W ten sposób mogliśmy przewieźć obu panów bez zwracania uwagi. Potem chcieliśmy po prostu zostawić samochód na parkingu i pół godziny później zadzwonić do recepcji restauracji z wiadomością, że Alfred Heineken i Ab Doderer leżą w aucie. O resztę nie dbaliśmy.

Odświeżyliśmy się nieco i pojechaliśmy na Heining, żeby dać zakładnikom śniadanie, właściwie lunch. Zrobiło się całkiem późno. Okazało się, że Heineken bał się, że się nie zjawimy. Myślał, że zostawimy ich tutaj i nikt ich nigdy nie znajdzie. No, tacy źli to nie byliśmy. Przygotowaliśmy dla nich kanapki i dołączyliśmy krótki list:

Zapłacono.

Jutro wypuścimy was na wolność.

Czy macie specjalne życzenia, odnośnie do jedzenia i picia wieczorem?

Napiszcie na tym papierze.

Odpowiedź Heinekena nadeszła po kilku minutach.

Chcę umyć się w ciepłej wodzie.

Poproszę o:

Rosół.

Omlet (same jajka) + biały chleb + masło.

Kawę i słabe papierosy (np: Phillip Morris Superlight).

Po południu filiżankę herbaty z mlekiem, jeśli można. Dobra wiadomość. Rano byłem zaniepokojony brakiem śniadania. Strach, że jeśli z wami wszystkimi coś by się stało, to nas mogliby nigdy nie znaleźć. Mam nadzieję, że jakiś list z adresem jest gdzieś w drodze na wszelki wypadek.

Ab Doderer nie wypowiadał się, czy jest zadowolony, czy nie. W liście wymienił tylko, co chce zjeść: frytki, mus jabłkowy, fasolkę szparagową i piwo. Hamulec miał się tym wszystkim zająć. Teraz, kiedy dostaliśmy okup, przynajmniej tyle mogliśmy dla nich zrobić. To było coś w rodzaju obiadu dla skazańca, więc musiał być dobry. Następnego dnia będzie po wszystkim.

Posprzątaaliśmy wszystko na Heining i pojechaliśmy na chwilę do miasta, żeby jak zwykle obejść wszystkie nasze bary. Pokazać się wszędzie. W pewnym momencie, kiedy czekając na pozostałych, kręciłem się mercedesem Meijera w okolicach Spui i Nieuwezijds Voorburgwal, zobaczyłem w tylnym lusterku, że jedzie za mną jakiś brązowy golf. Najpierw pomyślałem, że to nie policja, bo samochód miał odkryty dach, a to nie jest typowe dla policji kryminalnej. Zacząłem jednak coś podejrzewać, gdy pół minuty później zobaczyłem faceta z brodą, o którym wiedziałem, że jest śledczym z tak zwanej brygady antynapadowej w amsterdamskiej policji.

To nie mógł być przypadek. A kiedy tego brodacza zobaczyłem później w innym miejscu w mieście, blisko Zeedijk, wiedziałem na osiemdziesiąt procent, że mamy problem. Postanowiłem na razie nic nie mówić pozostałym, ale sam przeprowadzić dochodzenie. Po godzinie pojechałem do domu, i zobaczyłem, że gliny stoją jakieś pięćset metrów od mieszkania na Staalmeesterslaan, obok kina Cinema International. Tym razem, czułem to, nie przyszli po Evertje T. lub kogoś innego, ale po mnie, po Cora van Houta, pseudonim Flip. Z garażu wyprowadziłem volvo Sonji i pojechałem na Bestevaerstraat nr 15, gdzie Frans przebywał u swojej byłej żony. Teraz też mnie śledzili. Niestety, nie miałem żadnej wątpliwości. Od razu pomyślałem o tym ranku na Dworcu Centralnym w Amsterdamie, kiedy kupowaliśmy gazetę. Dobrze wtedy widziałem. Prawdopodobnie śledzili nas

już od jakiegoś czasu.

Od Yvonne, byłej żony Meijersa, dowiedziałem się, że wyszedł z psem, pojechałem więc samochodem poszukać go. Spotkałem go kilka minut później w parku i przekazałem mu tę nieszczęsną nowinę przez okno samochodu.

– Frans, mamy problem... śledzą nas... w każdym razie mnie.

Jeż spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Coś ty, Flip, niemożliwe!!! Jesteś pewien?

Przygryzłem wargę z zakłopotaniem.

– Niestety tak, chłopie. Wsiadaj, to zobaczysz.

Jechaliśmy do mieszkania Kota w Zwanenburgu, a za nami, w odpowiedniej odległości, agenci. Śledzili nas. Bardzo profesjonalnie, trzeba przyznać, gdybym tej brody nie poznał, to pewnie byśmy się nigdy nie domyślili.

U Boellaarda przesiedliśmy się do jego mercedesa i pojechaliśmy we trójkę. Chcieliśmy przeprowadzić test. Jechałem siedemdziesiąt kilometrów na godzinę wąską uliczką naokoło Haarlemu, a na rondzie nagle dodałem gazu i popędziłem do przodu. Po kilku kilometrach szybkim manewrem zaparkowałem w zatoczce i zgasilem światła. Kawalek jechaliśmy z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Po niecałych dwudziestu sekundach przemknął obok nas fioletowy opel z silnikiem 2,3 i bmw.

– Jak myślicie, kto to jest? – zapytałem Meijera i Boellaarda. – Przekonałem was?

Siedzieli smętni na tylnym siedzeniu, tylko przytaknęli głowami. Dopiero po kilku sekundach rozległ się ochrypły głos Kota.

– Co teraz?

No tak, co teraz? Dobre pytanie. Kiedy wróciliśmy do mieszkania Kota, zobaczyliśmy, że w bocznej uliczce stał samochód z tajniakiem w środku. Stało się jasne, że wszyscy jesteśmy obserwowani.

Najpierw pojechaliśmy do Amsterdamu ostrzec Nosa. Przez głupi przypadek zobaczyliśmy, że jedzie po Haarlemmerweg – Admiraal de Ruyterweg ze swoją przyjaciółką Beppie. Zatrzymaliśmy go i powiedzieliśmy

tylko:

– Mamy problem, Nos. Chodź z nami.

Wim przesadził przyjaciółkę do taksówki i jechał za nami. Umówiliśmy się, że nie pojedziemy w znane miejsca, a więc nie na Heining i nie do mieszkania Willema, bo to mogłoby naprowadzić psy na ślad. Może jeszcze niewiele wiedzieli. Gdyby znali wszystkie tajniki sprawy, toby nas zwinęli, tak rozumowałem.

Umówiliśmy się następnego ranka w kawiarni Bodega Keyzer, obok filharmonii, Concertgebouw, przy Van Baerlestraat 96, żeby omówić sytuację. Tej nocy nie spaliśmy z Willemem w domu, ale pod fałszywymi nazwiskami w hotelu Résidence w Vinkeveen, gdzie nocowaliśmy już wcześniej, kiedy psy wartowały przed naszymi drzwiami.

Spotkaliśmy się następnego dnia, 29 listopada, ale rozmowa była praktycznie niemożliwa. Mieliśmy wrażenie, że różne podejrzane figury nas podsłuchiwały. Dlatego Willem postanowił wynająć pokój w hotelu Okura przy Ferdinand Bolstraat. Tam mogliśmy porozmawiać spokojniej. Zrobił to pod nazwiskiem Hollander, zamiast Holleeder, żeby w razie kontroli powiedzieć, że to pomyłka. Istniało duże prawdopodobieństwo, że policja będzie nam deptała po piętach.

Hamulec nie był obecny przy rozmowie. Kazałem mu czekać na dalsze informacje. Zawsze mógł się przyłączyć, ale w tej sytuacji wolałem go trzymać z daleka. Około dwunastej wjechałem samochodem z naszą czwórką do garażu hotelu Okura. Znowu zauważyłem, że jesteśmy śledzeni. Wsiadając, powiedziałem do pozostałych:

– Uważajcie, poczekajcie chwilę.

I rzeczywiście, minutę później do środka wszedł facet w okularach, który wyraźnie nie miał tam nic do szukania – śledczy. Postaliśmy chwilę, obserwując go. Kręcił się trochę. W pewnym momencie zapytałem.

– O co chodzi? Petów szukasz czy co? Zjeżdżaj stąd!!!

Mężczyzna ulotnił się szybko, mrużąc coś niezrozumiale.

– Widzieliście? – zapytałem pozostałych trzech. – Psy podchodzą coraz bliżej, chłopaki.

Wynajęty pokój znajdował się na przedostatnim piętrze. Tam rozgorzała

trudna i emocjonalna, dwugodzinna rozmowa.

– Musimy zwiewać, chłopaki – powiedziałem na początek. – Sprawa się posypała. Mamy jeszcze trochę czasu, bo Heineken i Wianek są w naszych rękach, ale to nie będzie trwało wiecznie. Musimy się ukryć, najlepiej za granicą.

Kot ciągle się zastanawiał, w jaki sposób policja wpadła na nasz trop. Gdzie popełniliśmy błąd? Nie rozumiał, jak to się mogło stać. Ja też nie, ale nie było czasu się zastanawiać. Do tego problemu mieliśmy wrócić później. Teraz chodziło o bezpieczną ucieczkę. Przypomniałem, że jeszcze przed porwaniem rozważaliśmy możliwość wynajęcia na rok willi w leśnej okolicy, w Belgii, tam bylibyśmy w miarę bezpieczni. Niestety: dwie osoby z naszego otoczenia słyszały przez przypadek, o czym rozmawiamy, a więc ta opcja nie stanowiła tajemnicy, a tym samym nie była bezpieczna.

W tej chaotycznej rozmowie zgadzaliśmy się co do jednego: beczki w Zeist trzeba otworzyć, bo ucieczka kosztuje. Musieliśmy mieć pieniądze, żeby przetrwać dłuższy czas. Atmosfera w hotelu była posępna. Jan Boellaard powiedział, że nie chce uciekać. Chciał osobiście wypuścić Heinekena i Doderera. Sugerowałem, żeby tego nie robił, że lepiej zadzwonić z zagranicy na policję z wiadomością, gdzie oni się znajdują. Kot nie chciał o tym słyszeć.

– Nie, oni siedzą w mojej fabryce, mnie od razu namierzą. Jak ich oddamy w innym miejscu, to może nigdy nie będzie wiadomo, gdzie byli przetrzymywani. Wszystko szybko zburzę – zasugerował.

Miał trochę racji, ale obawiałem się, że to próżna nadzieja. Policja nie błyszczała może intelektem, ale nie byli też idiotami. Frans Meijer chciał się ukrywać, ale najpierw w Holandii, a dopiero kiedy sprawa ucichnie, wyruszyć za granicę. Zwiewać stąd! Willem był podobnego zdania. Miał przyjaciółkę we Francji, do której mógł pojechać. Ja myślałem początkowo o Hiszpanii, miałem mały apartament w Fuengirola, ale odrzuciłem ten pomysł, bo szybko by mnie tam znaleźli. Dlatego tymczasem wybrałem Francję. To było dość daleko, ale nie taki znowu koniec świata.

Wszyscy uważaliśmy, że dla Hamulca najlepiej będzie, jak tu zostanie. Gdzie miał jechać? Nie zrobił wiele, dołączył do nas później i nie wiedział

wszystkiego. Szacowałem, że prawdopodobnie uda mu się uniknąć wysokiej kary, dostanie najwyżej trzy, cztery lata więzienia. Niemniej jednak mógł mieć inne zdanie w tej sprawie i chcieć uciec. Kiedy rozmawiałem z nim dzień później, potwierdził nasz plan: nie miał zamiaru się ukrywać.

Podczas rozmowy wyglądałem przez okno i widziałem, że jakiś glina nas obserwuje. Musieliśmy się spieszyć z decyzjami. Zastanawialiśmy się, kto jedzie ze mną. Wim Holleeder i Frans Meijer chcieli jechać, ale Frans wołał, żeby Nos został albo podróżował inną trasą. Uważał, że trzy osoby to za dużo, będą zwracały na siebie uwagę. Tak naprawdę chodziło o to, że Willem i Meijer nie całkiem się lubili. Wima złościł często nieprzewidywalny charakter Meijera, co mi nie przeszkadzało. Nie chciałem wybierać między dwoma przyjaciółmi i zaproponowałem, żebyśmy pojechali we trójkę.

Meijer pokręcił jednak zdecydowanie głową.

– Nie, Cor, przepraszam, pójdę swoją drogą. Znam dobry adres, gdzie mogę się ukryć...

Nie chciał powiedzieć, gdzie to jest, może lepiej, obyło się w ten sposób bez nieporozumień. Zrobiło mi się przykro, że tak się zegnamy po tym wszystkim, co przeszliśmy razem, ale pogodziłem się z tym. Nie było innego wyjścia.

Musieliśmy jeszcze rozwiązać problem pieniędzy. Trzeba było je zabrać z lasu koło Zeist, ale oczywiście uważać przy tym, żeby nikt nas nie śledził, bo wtedy stracilibyśmy wszystko. Cały wysiłek poszedłby na marne. Umówiliśmy się, że ja z Fransem załatwimy tę sprawę. O czwartej po południu miałem go zabrać sprzed budynku sądu na Prinsengracht w Amsterdamie.

Potem opuściliśmy hotel Okura i rozeszliśmy się. To utrudniało policji śledzenie nas. Nos postanowił wynająć pokój w hotelu Résidence w Vinkeveen, gdzie wieczorem mieliśmy podzielić pieniądze. Poszedł też do Society Shop kupić kilka koszul i krawatów, żebyśmy porządnie wyglądali przy przekraczaniu granicy. Kupił też dla każdego z nas komplet walizek i toreb do przeniesienia pieniędzy.

Kot zadeklarował, że wstąpi po Hamulca i razem, gubiąc policyjny ogon, pojedą na Heining, żeby zniszczyć możliwie jak najwięcej śladów. Kazałem

im spalić w piecyku wszystkie peruki, listy i aparaty, z którymi zakładnicy mieli do czynienia. Zniszczone i koniec.

Sam pojechałem do przyjaciela, Thomasa van der Bijla, brata mojej byłej przyjaciółki Anneke, który mieszkał na Haarlemmer Houttuinen, blisko Dworca Centralnego. Powiedziałem, że mam pilną sprawę do załatwienia i zapytałem, czy mogę pożyczyć na jakiś czas jego golfa GTI. Thomas był od lat moim dobrym kumplem i jako stolarz wykonywał liczne prace dla należących do mnie firm deweloperskich. Popatrzył z troską, skinął głową i wyjął kluczyki z kieszeni. O nic nie pytał. Po tym poznaje się prawdziwych przyjaciół. Wyszedłem dyskretnie tylnymi drzwiami i wsiadłem do czarnego golfa zaparkowanego na sąsiedniej ulicy. Pojechałem na Prinsengracht, tam zobaczyłem zbliżającego się do mnie od strony Leidsestraat, na damskim rowerze, Fransa. Korzystał z pasa dla tramwajów. Sprytne posunięcie, w ten sposób nie mogli go śledzić samochodem bez zwracania uwagi. Przy okazji zastanawiałem się, czy stołeczny korpus policji posiada jeszcze damskie rowery. Pojechaliśmy szybko drogą w kierunku Amersfoort Zeist, wstępując do sklepu z narzędziami ogrodniczymi, żeby kupić łopatę. Około szóstej wieczorem dotarliśmy do lasu leżącego naprzeciwko gospody De Taveerne. Najpierw skontrolowaliśmy dokładnie, czy nikt nas nie śledzi i czy nie ma w okolicy ludzi, którzy mogliby coś zobaczyć. Wpadka mogła nas kosztować trzydzieści pięć milionów guldenów. Na szczęście było już ciemno i całkiem cicho w tym miejscu. Stałem na czatach, a Frans kopał.

Otworzyliśmy beczki, w których leżały dwa niesprawdzone wcześniej worki z pieniędzmi, wyjęliśmy je i włożyliśmy sto pięćdziesiąt kilogramów banknotów do bagażnika samochodu. Beczki starannie przykryliśmy i ruszyliśmy w kierunku Vinkeveen. Meijer żartował trochę po drodze, chociaż sytuacja nie była wcale zabawna.

– Za to, co wieziemy w bagażniku, możemy kupić cały ten hotel – szacował.

Prawdopodobnie wiele się nie mylił. Obliczyłem, że mamy ze sobą około czternastu, piętnastu milionów guldenów. Średnio siedem milionów na worek.

Pokój numer sto dwadzieścia pięć w hotelu Résidence Willem wynajął na

nazwisko Tona van Maurika, znajomego właściciela szkoły sportowej ze śródmieścia. Kiedy przyjechaliśmy z Fransem, pozostali razem z Hamulcem już na nas czekali w środku. Wyłożyliśmy pieniądze na stół i zaczęliśmy sortować na poszczególne waluty. Ja z Fransem widzieliśmy wcześniej tę górę pieniędzy rozłożoną na śpiworach w lasku, ale inni nie. Rozległy się okrzyki zaskoczenia, zdumienia, podziwu i entuzjazmu. Wszyscy musieli pościskać w dłoniach pliki banknotów, żeby poczuć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Dwa lata poświęceń i ryzyka... Zbyt dużo ryzyka, jak się teraz okazało...

Po dokładnym przeliczeniu okazało się, że mieliśmy przed sobą piętnaście milionów guldenów. Nie można sobie wyobrazić, ile to jest, jeśli się samemu nie zobaczy. Podzieliliśmy je między sobą, każdy dostał po trzy miliony. Część moją i Willema spakowaliśmy do walizki, którą z ledwością zamknęliśmy. Wyjąłem kilka plików franków francuskich, wszystkie w banknotach pięćsetfrankowych. W drodze z Zeist do Vinkeveen rozmawiałem z Fransem, że przewożenie naszej części łupu w samochodzie przez granicę, do Francji, uważa za niebezpieczne przedsięwzięcie. To był duży ciężar, razem jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt kilo, nie bardzo miałem ochotę wlec taki balast, uciekając. To jak kula u nogi. Poza tym nadzwyczaj niebezpieczne przedsięwzięcie. A jeśli nasz samochód zostanie skontrolowany na granicy? Trzech milionów nie da się ukryć w popielniczce.

Frans zaproponował wtedy, że weźmie pieniądze, zostawiając nam kilkaset tysięcy „kieszonkowego”, i ukryje je gdzieś w Holandii albo znowu w Zeist, albo w innym bezpiecznym miejscu. Uważałem, że to nie był zły pomysł, tym bardziej że tymczasowy. Spotkamy się znowu gdzieś potajemnie na sylwestra i wtedy będziemy mogli zabrać forszę. Zyskamy z Willemem dzięki temu na czasie, co pozwoli nam wyrobić sobie nowe paszporty i ustalić ostateczny plan ucieczki. To, że musieliśmy pryskać, i to daleko, było jasne. Może nawet na kilka lat. Trzeba to było dobrze zaplanować, bo świat się zmniejszył przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, od kiedy brytyjscy rabusie pociągu szukali gdzie się dało bezpiecznego schronienia.

Dlatego teraz włożyłem do kieszeni tylko kilka plików franków. Niedawno

opróżniłem też swoje konto w Luksemburgu, w banku Indo Suez, gdzie miałem około dwustu tysięcy, a w Amsterdamie, licząc wszystko razem, uzbierałoby się jeszcze ponad sto tysięcy gotówki na bieżące wydatki. W sumie było tego dobrze ponad pół miliona guldenów. Musiało wystarczyć, zwłaszcza jeśli mieliśmy się spotkać na sylwestra. Charakterystyczne, że dzień, od którego to wszystko się zaczęło, miał znowu odegrać ważną rolę. Wyjechaliśmy gdzieś około pierwszej w nocy. Policji nigdzie nie dostrzegliśmy, było cicho wokół hotelu, więc natychmiast zwróciliby na siebie uwagę. Włożyliśmy walizki z ubraniami do bagażnika i upchnęliśmy dużą część pieniędzy w kieszeniach płaszczy i w schowku w samochodzie. Zbliżał się moment pożegnania. Zdałem sobie sprawę, że czeka nas niepewna i trudna przyszłość. Całkiem możliwe, że nie zobaczymy się przez długi czas, jeśli na przykład umówione w sylwestra spotkanie z jakichś przyczyn nie będzie mogło się odbyć. Nie dało się tego przewidzieć.

Prosiłem, prawie błagałem Jana Boellaarda, żeby również zdecydował się na ucieczkę. Wiedziałem, że inaczej go zaaresztują. Był jednak stanowczy, chciał wypuścić Heinekena i Doderera i dopiero potem poszukać kryjówki. Hamulca wziąłem na chwilę na bok, na rozmowę. Był zadowolony z pieniędzy. Powiedziałem mu, że prawie na pewno go złapią. Czułem się głupio. To ja go namówiłem, a teraz uciekałem. Hamulczyk jednak przyjął to dobrze. Powiedział mi, że nie powinienem sobie nic wyrzucać, że on sam tego chciał. Poradziłem mu dobrze ukryć kasę.

– Uważaj, Hamulec, najpierw będziesz pewnie musiał posiedzieć, jakieś trzy, cztery lata.

Niewiele mówiliśmy. Słowa były zbędne. Ucałowaliśmy się i uścisnęliśmy sobie dłonie. Frans popatrzył na mnie swoimi brązowymi oczami i powiedział na pożegnanie:

– Do zobaczenia w Raju...

Miał oczywiście na myśli mieszkanie na Van Hallstraat 99. Skinąłem twierdząco głową.

– Do zobaczenia w Raju, chłopie...

Potem wyruszyliśmy z Willemem w kierunku Francji. Do granicy nie odzywaliśmy się wcale do siebie. W myślach zegnaliśmy się tymczasem

z Amsterdamem, z Holandią. Ja dodatkowo z Boxie, która o niczym jeszcze nie wiedziała. I z Francis, która była za mała, żeby cokolwiek zrozumieć. Rano krótko rozmawiałem przez telefon z Sonją. Powiedziałem, że musimy wyjechać na kilka dni w związku z kłopotami podatkowymi. Kilka dni... Wiedziałem, że to potrwa dłużej, bardziej zaważy na naszym życiu, ale nie chciałem jej martwić na zapas. I tak czeka ją trudny okres.

Czuliśmy się z Willemem niepewnie tej nocy. Zastanawialiśmy się, co się mogło stać. Nic nie wydedukowaliśmy. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, że ktoś z nas miałby wszystkich zdradzić. W jaki sposób? Poza naszą piątką nikt, ale to naprawdę nikt nie wiedział o całej operacji. Czy to ten list zostawiony i przeczytany przez przypadek w biurze przez personel? Nie, zauważyłbym, że inaczej się zachowują. Czy policja kryminalna była mądrzejsza, niż myślałem, i udało im się nas śledzić przy przekazywaniu okupu? Pytania, na które odpowiedzi nie znaliśmy.

Na szczęście bez problemów udało nam się przekroczyć granicę z Francją. Nie musieliśmy nawet pokazywać paszportów i mogliśmy wziąć całe trzydzieści pięć milionów guldenów, gdybyśmy chcieli. Około trzeciej w nocy zadzwoniłem z przydrożnej restauracji do Hamulca, żeby zapytać, jak poszło. Zasugerowałem mu, żeby powiedział o wszystkim swemu ojcu, mojemu ojczymowi, może mógł mu trochę pomóc. Zaraz po naszym odjeździe zadzwonił do niego i poprosił, żeby wpadł. Martin mówił, że ojciec przestraszył się, kiedy usłyszał całą historię i zobaczył worek z pieniędzmi. Ale obiecał mu pomoc. Naturalnie ojciec nie zostawia syna w potrzebie, nawet w takiej sytuacji, chociaż zdawał sobie sprawę, co za to grozi. Na koniec radziłem bratu dobrze ukryć pieniądze:

– Najlepiej je zakopać, owinać dobrze, grubo plastikiem, wtedy nic się nie może stać.

Willem mknął płatną autostradą sto trzydzieści kilometrów na godzinę w kierunku Paryża, a ja rozmyślałem, co byśmy robili, gdyby wszystko dobrze się skończyło. Umawialiśmy się, że najpierw będziemy żyć tak jak dotąd. Boellie miał nadal prowadzić swoją stolarnię, a my handlować nieruchomościami. Okupu obiecaliśmy sobie nie ruszać przez dwa lata. Najpierw powinna ucichnąć burza, która niewątpliwie by się rozpętała. Poza

tym w tym czasie mogliśmy się dowiedzieć z mediów, czy i co zrobiono z tymi pieniędzmi. Na przykład, czy potraktowano je jakimiś chemikaliami, albo zanotowano numery banknotów. Po tych dwóch latach mieliśmy ostrożnie naruszyć okup. W porozumieniu. Nie rozrzutnie, bo wtedy można łatwo wpaść. Przy dużych wydatkach – powyżej pięćdziesięciu tysięcy guldenów – mieliśmy głosować we czterech, czy ryzykować. W miarę upływu czasu i osłabienia uwagi policji moglibyśmy być odważniejsi i zainwestować na przykład w nieruchomości. Z dochodów za wynajem i sprzedaż moglibyśmy stać się z czasem legalnymi milionerami i żyć spokojnie... Niestety, póki co, to były mrzonki – zdemaskowano nas, wpadliśmy, wszystkie plany należało wyrzucić na śmietnik albo przynajmniej zmienić.

Około szóstej rano dojechaliśmy w okolice lotniska Charles'a de Gaulle'a i wynajęliśmy pokój w hotelu Mercure. Na szczęście nie musieliśmy się legitymować. Ze względu na bezpieczeństwo spaliśmy w jednym pokoju. Kiedy szliśmy spać, pierwsi goście właśnie się budzili. Słyszeliśmy głosy na korytarzu i ku naszemu przerażeniu głównie holenderską mowę. Następnego dnia zrozumieliśmy dlaczego. Naprzeciwko hotelu znajdowała się holenderska fabryka DAF. Niebezpieczna sprawa. Mimo woli pomyślałem o naszym innym kandydacie, Pecie van Doornie, który był dyrektorem tej fabryki. Wszystko potoczyło się inaczej. On tymczasem zmarł, a my musieliśmy uciekać...

27 Nasi goreng – tradycyjna potrawa indonezyjska z ryżu i warzyw z przyprawami (przyp. tłum.).

Rozdział 13

Po naszym pobycie w hotelu Mercure, raczej niewyspani, pojechaliśmy do centrum Paryża. Zaparkowaliśmy golfa Thomasa na Montparnassie w XIV dzielnicy i kupiliśmy kilka par spodni, koszul, butów i marynarki. Musieliśmy chodzić po ulicach porządnie ubrani. Nie chcieliśmy wyglądać jak zbiegli bandyci, ale jak szacowni biznesmeni.

Po zakupach poszliśmy się napić kawy i tam wszedłem do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do domu. Chciałem powiedzieć Sonji, że to może potrwać. Telefon zadzwonił trzy razy, a potem ktoś odebrał i usłyszałem nieznamy męski głos.

– Tak, halo, tutaj Piet... – przez moment myślałem, że wykręciłem zły numer.

– Jaki Piet? – zapytałem nieufnie.

– No, twój przyjaciel – brzmiała odpowiedź.

Zrozumiałem, co się dzieje i odpowiedziałem:

– Nie jesteś moim przyjacielem, Piet...

Zaraz odwiesiłem słuchawkę i poszedłem do Willema, który tymczasem zamówił kawę. Chciał upić łyk, kiedy mu powiedziałem:

– Sprawa się posypała, Nos. Psiarnia siedzi u Sonji w domu.

Willem odstawił filiżankę i polecił do budki zadzwonić do matki. A tam to samo bagno. Podniesiono słuchawkę ze słowami:

– Halo, tutaj Henk...

Willem nie zadał sobie trudu, żeby zapytać, kto to jest, tylko rzucił słuchawkę na widełki. Wsypa na całego, droga powrotna do Holandii była na razie odcięta na dobre.

Omawialiśmy w kawiarni, co robić dalej.

– Wszystko stracone, Willem – powiedziałem. – Nasze zdjęcia rozesłano

wszędzie teleksem, możesz na to liczyć. Każdy kontakt z Holandią jest śmiertelnie niebezpieczny. Musimy błyskawicznie znaleźć bezpieczną kryjówkę.

Wróciliśmy do samochodu i pojechaliśmy na początek na lotnisko Orly. Zostawiliśmy auto na parkingu wielodobowym dla turystów wyjeżdżających do Włoch, dla zmyłki. Prawdopodobnie nie było to nawet potrzebne, bo znając Thomasa, wiedziałem, że nie pobiegnie na policję, żeby donieść, że uciekłem jego samochodem.

Willem pojechał potem taksówką do przyjaciółki, którą znał od lat. Nazywała się Sylvia Robert-Winter i była blondynką po trzydziestce, z zawodu agentem nieruchomości. Spotkał ją kiedyś w hotelu Hilton. Ja wróciłem do hotelu Mercure i zamknąłem się w pokoju, czekając na wieści do Willema. Ci wszyscy Holendrzy nie mogli mnie tam widzieć za żadną cenę. Mieliśmy szczęście, że Willemowi udało się od razu zastać Sylwię w domu. Powiedział jej, że oszukaliśmy urząd skarbowy, nie mamy przy sobie dokumentów i czy nie zechciałaby wynająć dla nas pokoju w dobrym hotelu. Uznała to za ekscytującą historię i obiecała pomóc. Willem przyjechał po mnie pod wieczór i wytaszczyliśmy walizki z hotelu. Wzięliśmy taksówkę do luksusowego, pięciogwiazdkowego hotelu Meridien naprzeciwko Concorde de Lafayette^[28] w Paryżu, gdzie Sylvia wynajęła dla nas pokój. Pojechaliśmy windą do góry i przez pierwsze godziny siedzieliśmy w nim w milczeniu.

Byliśmy jednak niezmiernie ciekawi, co się dzieje w Holandii. Czy kogoś aresztowano, czy Boellie uwolnił Heinekena i Doderera? Kiedy się ściemniło, odważyliśmy się wyjść z pokoju i pojechaliśmy taksówką na Champs-Élysées, gdzie sprzedawano w kioskach holenderskie gazety. Willem zapytał najpierw – dla bezpieczeństwa po angielsku – o „The Telegraph” i dostaliśmy angielski „Daily Telegraph”. Dopiero kiedy poprosiliśmy o „The Dutch Telegraph” otrzymaliśmy „De Telegraaf”.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zakląć po holendersku, kiedy rzuciłem okiem na pierwszą stronę.

– Kurwa mać... zobacz!!!

Tytuł na całą szerokość strony brzmiał: POLOWANIE NA

GANGSTERÓW, a powyżej zdjęcia moje, Fransa i Willema, z nagłówkami: poszukiwany...

Nie chcieliśmy zwracać uwagi kioskarza, więc Willem szybko zwinął gazetę i wtopiliśmy się w tłum. W innym kiosku kupiliśmy francuskie gazety, żeby zobaczyć, czy dla Francuzów również jest to interesujący temat.

Dopiero po powrocie do pokoju hotelowego odważyliśmy się przestudiować porządnie gazety. Zaniemówiłem. Nie przypuszczałem, że będzie aż tak źle. Na środku pierwszej strony umieszczone było zdjęcie Heining i baraku, również celi, w której siedział Heineken. Przeraziliśmy się nie na żarty. Z towarzyszącego zdjęciom tekstu wynikało, że w środę rano policja kryminalna wkroczyła do kilkudziesięciu domów – przede wszystkim w Amsterdamie – i zaarrestowała dwadzieścia pięć osób. Z domu wyciągano wszystkich: rodziców, siostry, braci, szwagrów, bratowe, przyjaciół, przyjaciółki i... nawet moja dziewięciomiesięczna Francis siedziała na posterunku.

Zwykle podawano tylko inicjały podejrzanych, jedynie nasze nazwiska podano w całości. Próbowaliśmy domyślić się, kogo zatrzymano. To wszystko strasznie wyglądało, ale z drugiej strony podejrzewałem, że szybko ich wypuszczą. To pewnie coś w rodzaju rutynowej kontroli. Niestety, nie dla Jana Boellaarda i Hamulca, oni wpadli. Cholera jasna, dlaczego Kot nie chciał mnie słuchać!?

Przeczytałem, że nie miał nawet okazji ich uwolnić, został aresztowany w drodze na Heining. Cały jego trud i wysiłek poszedł na marne. Policja odzyskała również część okupu, którą miał ze sobą, Hamulca też...

Wrzało we mnie. Zacisnąłem pięści. Co za durnie! Cholera! Mówiłem przecież bratu, żeby dobrze ukrył te pieniądze... a teraz wszystko stracili.

Z ciekawością śledziłem oczami tekst, żeby zobaczyć, jak poszło Fransowi, czy zdołał umknąć z gotówką? Niewiele informacji zamieszczono na jego temat, tylko podejrzewano, że Willem, Frans i ja przebywamy razem, i że policja nie jest w stanie ustalić naszego miejsca pobytu.

Gazeta poświęcała wiele stron naszej sprawie. Artykuły, wywiady, obserwacje, komentarze, plany sytuacyjne i tak dalej. Główny inspektor Sietsma, który prowadził śledztwo, mówił w wywiadzie o „średniowiecznym

traktowaniu”, które Heineken i Doderer musieli znosić. Szczególnie fakt, że byli przykuci łańcuchami, określił jako barbarzyński. Wiedzieliśmy, że opinia publiczna będzie tym oburzona. Przypomniałem sobie dyskusję, jaką prowadziłem na ten temat z Kotem i Jezem. Ale co się stało, to już się nie odstanie.

Willem wskazał mi artykuł, w którym pisano, w jaki sposób trafiono na nasz ślad. Rzuciłem się do czytania i rozczarowałem się. Gazeta podawała mgliście, że policja kryminalna dostała anonimowy list, który wysłano już 16 listopada na adres koncernu Heinekena. Sietsma określał go mianem „ślad numer 547”.

Policja otrzymała w sumie setki wskazówek. Nie podawano, co dokładnie napisano w tym liście ani żadnych szczegółów dotyczących jego nadawcy. Informowano tylko, że wymieniono w nim pięć nazwisk i podano związek ze stolarnią na Heining. Po otrzymaniu listu policja wszczęła dochodzenie i założyła podsłuch na telefony. W ten sposób zorientowała się, że to „właściwy” trop – ze wszystkimi tego konsekwencjami. Historia wydawała mi się trochę przesadzona i podejrzewałem, że policja ją sfabrykowała, żeby nie powiedzieć prawdy.

W innym artykule znaleźliśmy dokładne opisy nas samych. Mnie nazywano kombinatorem z prywatnych spółek, a Willem był według gazety moim ochroniarzem. Meldowali także, że jego ojciec pracował przez wiele lat dla koncernu Heinekena i został w nieprzyjemny sposób zwolniony. Jego też ściągnięto z łóżka tego ranka. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie naszego przyjaciela Robbiego Grifhorsta, nazywanego przez nas Budowlańcem lub w skrócie Bouwie. Jego także aresztowano i określano mózgiem całej operacji. Klepnałem się po głowie. Jak to możliwe... Bouwie był naszym dobrym przyjacielem i właścicielem agencji nieruchomości statutowo zarejestrowanej na Heining. Mieliśmy wspólnego księgowego. Ale na tym podobieństwo się kończyło. Bouwie mieszkał przez większą część roku w Hiszpanii i cała ta sprawa w ogóle go nie dotyczyła. Był dobrym kolegą, ale nie towarzyszem do takiej brudnej roboty, jeśli mogę tak powiedzieć. Policja popełniła straszny błąd. Już sama myśl, że on miałby w tym uczestniczyć, wydawała się śmieszna. Ale stało w gazecie, dużymi

literami. Wymieniono jego nazwisko, a obok widniało zdjęcie. Był przedstawiony jako „jeden z czterech głównych podejrzanych”. Próbowałem w myślach znaleźć się w jego sytuacji: jak bardzo się musiał przestraszyć. Nie tylko dlatego, że my mieliśmy to sensacyjne porwanie na sumieniu, ale że wymieniano go jako przyjaciela, w jednym rzędzie z nami. Kiedy będzie już po wszystkim, dużo czasu zajmie mi wytlumaczenie mu szczegółów, zakładając, że da mi w ogóle szansę to zrobić.

Ciekawym szczegółem w tych relacjach była informacja, że szturmując Heining, policja myślała początkowo, że się pomylili. Po otwarciu drzwi barak okazał się ku ich zdziwieniu całkowicie pusty. Stali przez chwilę bezradnie. Dopiero po kilku minutach zorientowali się, że z tyłu musi być niewidoczna ściana i mogli uwolnić Heinekena i Doderera. Jeszcze raz okazało się, że Kot wykonał stolarską robotę po mistrzowsku. Teraz jednak na nic nam się to nie przydało.

Leżąc na hotelowym łóżku, omawiałem z Willemem rozwój sytuacji. Włączyliśmy głośno radio, na wypadek gdyby jakieś ciekawskie typy chciały podsłuchiwać z korytarza. Zastanawialiśmy się, kto na miłość boską wysłał ten list do koncernu Heinekena. Willem także wątpił w wersję policji. Nikt nie wiedział o całej operacji, a w mojej rodzinie i kręgu przyjaciół nie było nikogo, kto wskazałby nas policji. Z drugiej strony ta historia utwierdzała nas w przekonaniu, że w czasie porwania nie zrobiliśmy żadnych błędów, z których powodu policja mogła nas zidentyfikować. Bez tego listu nie byłiby nas w stanie znaleźć. A może wpadli na trop przez przypadek i w ten sposób próbowali to zakamuflować? Zagadkowa historia...

Rozważaliśmy, czy nie wrócić do Holandii, do Zeist. Zabrać resztę okupu. Baliśmy się, że pieniądze nie są tam bezpieczne. Byłem pod wrażeniem akcji policji kryminalnej, tych wszystkich aresztowań i rewizji. Kot został zatrzymany i chociaż był bezsprzecznie człowiekiem honoru, to nie wiedzieliśmy, czy nie ulegnie naciskom podczas przesłuchania. Nawet mocne osobowości potrafiły się łamać, a tchórze nagle okazywali się mężni. Często słyszałem takie opowieści na mieście. O Hamulca mogliśmy się nie martwić: nie znał miejsca, gdzie schowaliśmy pieniądze. Wiedział tylko, że w pobliżu wiaduktu w Utrechcie, ale to było bardzo szerokie pojęcie. Policja

niewiele mogła zdziałać z taką informacją.

Zdecydowaliśmy, że jednak nie pojedziemy. Już choćby z tego powodu, że nie mogliśmy się pokazać na ulicy. Staliśmy się zwierzyną łowną, sezon polowania się rozpoczął. W tamtym momencie trochę żałowałem, że nie zabraliśmy naszej części okupu. Eskalacja wydarzeń w Holandii postępowała błyskawicznie i nie można było nimi kierować z pokoju hotelowego. Trzeba było polegać na pomysłowości Fransa, której mu nie brakowało, ale czy sytuacja w Holandii go nie przerośnie? Istny dom wariatów. Wszystko stanęło na głowie. Także we francuskich gazetach opublikowano obszernie artykuły o tym, jak zakończyło się porwanie w Amsterdamie. Zrobiono z tego światową sensację. Na szczęście nie opublikowano naszych zdjęć.

Stawało się jasne, że nie możemy zostać dłużej w tym hotelu. Nasz pobyt tutaj zacząłby zwracać uwagę. Musieliśmy, o ile to było możliwe, znaleźć własne lokum.

– Gdzie ta Sylvia właściwie mieszka? – zapytałem Willema, który od razu zrozumiał, co mam na myśli.

Jego zdaniem posiadała duży apartament w jednej z lepszych dzielnic Paryża. Pytanie było, jak ją przekonamy do tego, żeby wspólnie tam zamieszkać. W sytuacjach stresu i napięcia człowiek jest bardziej kreatywny i po dwóch minutach wpadłem na pewien pomysł: udamy, że jesteśmy bardzo chorzy. Tego wieczoru Sylvia miała nas odwiedzić i umówiliśmy się, że będę leżał w łóżku z wysoką gorączką. Mieliśmy ją ostrożnie zapytać, czy nie mógłbym „na jakiś czas” zamieszkać z nią, żeby wydobrzeć.

Jak uradziliśmy, tak zrobiliśmy. Tuż przed przyjściem Sylvii zapakowałem się do łóżka i wycisnąłem wodę z myjki na twarz i podkoszulek. Wyglądało, jakbym miał gorączkę, i pot kapał mi z czoła. Zadziałało doskonale. Sylvia wystraszyła się, kiedy weszła do pokoju, i sama powiedziała, że hotel to nie miejsce na chorowanie. Willem nonszalancko wzruszył ramionami i powiedział sprytnie:

– No tak, ale gdzie mamy się podziać, może ty masz jakiś zapasowy pokój?
– Sylvia zastanawiała się chwilę, a Nos na zachętę dodał, że jesteśmy gotowi dobrze zapłacić za przyzwoite mieszkanie...

Sprawa została załatwiona. Za cenę sześciu tysięcy franków na tydzień – ponad dwa tysiące guldenów – mogliśmy wynająć apartament. Ona miała zamieszkać u swojego chłopaka.

Wylazłem z łóżka i puściłem oko do Willema. Spakowaliśmy wszystkie rzeczy, nie chciałem tu zostawać nawet minuty dłużej. Sylvia była zadowolona z ceny, ale po jej oczach widziałem, że zdziwiła się nieco moim szybkim wyzdrowieniem...

Pół godziny później siedzieliśmy w taksówce wiozącej nas pod nowy adres. Obszerny apartament przy Rue de Penthièvre numer 2, w VIII dzielnicy, blisko Champs Elysées, urządzony w stylu Ludwika XVI, liczył sto dwadzieścia metrów kwadratowych i był wyposażony w kominek, kolorowy telewizor oraz wideo. Cena za te cudenka to naturalnie czyste zdzierstwo, ale nie mogliśmy wybrzydzać, kiedy teleksy policyjne na całym świecie wypluwały nasze nazwiska.

Widziałem też korzystną stronę tej sytuacji. Sylvia nie chciała stracić pieniędzy za wynajem, a to zapewniało nam jej dyskrecję i pomoc. Pikantnym szczegółem całej sprawy było to, że mieszkanie leżało dokładnie naprzeciwko urzędu ministra spraw wewnętrznych, szefa francuskiej policji. Znaleźliśmy się naprawdę w paszczy lwa, ale czasami jest to najbezpieczniejsze miejsce. Mieszkaliśmy na ostatnim, czwartym piętrze budynku i mieliśmy nawet taras na dachu, a więc dobrą drogę ucieczki, gdyby okazało się to konieczne.

Siedząc w eleganckich fotelach, oglądaliśmy tego wieczoru telewizję we względnym spokoju. Na Rue de Penthièvre czuliśmy się bezpiecznie. W każdym razie bezpieczniej niż w międzynarodowym hotelu. Zmieniło się to natychmiast, kiedy we francuskich wiadomościach transmitowano całe sprawozdanie o porwaniu.

Zobaczyliśmy znane miejsca: willę De Ark w Noordwijku, Pentagon przy Weteringplantsoen i Heining. Ze spoconymi dłońmi czekałem, kiedy na ekranie ukażą się nasze zdjęcia z informacją, że jesteśmy poszukiwani. Wtedy prawdopodobnie nasza przygoda z Paryżem musiałaby się skończyć. Ale mieliśmy szczęście. Spiker poinformował tylko, że podejrzani są poszukiwani, ale nie podał nazwisk ani żadnych osobistych szczegółów.

W pierwszych dniach Sylvia Robert-Winter przychodziła regularnie do mieszkania i jeszcze w nim czasem spała. Po tygodniu wyprowadziła się na przedmieście Paryża – do Neuilly, do swojego chłopaka zajmującego wysoką pozycję w świecie reklamy. Jeszcze wierzyła, że musieliśmy uciekać z powodu kłopotów z podatkami.

Na początku siedzieliśmy całymi dniami w środku. Tylko wieczorem wychodziliśmy na spacer i kupowaliśmy gazetę na Champs Elysées. Nigdy nie szliśmy razem, ale w odległości około trzydziestu metrów od siebie. W ten sposób mniej rzucaliśmy się w oczy. Mieszkanie Sylvii sprzątał niejaki Norbert, mały żabojad, który dorabiał sobie, pozując do gejowskich czasopism. Powiedział nam, że z zawodu jest kucharzem, ale nie może znaleźć pracy. Nie mówił tego bez powodu. Wieczorem zamawialiśmy często obiad w cateringu, ale było to ryzykowne. Poprosiliśmy zatem Norberta, żeby zajmował się pracami domowymi i gotował dla nas – oczywiście za opłatą. Od tego dnia jadaliliśmy bardzo wykwintnie, a mieszkanie było czyste i schludne. Bycie zbiegiem to żadna frajda, ale mimo to nie byłem niezadowolony ze sposobu, w jaki się urządziliśmy. Nie było nam źle.

Piątego grudnia, w wigilię św. Mikołaja, nadeszła zła wiadomość. Willem wybrał się sam po gazetę. Zostałem w domu i oglądałem wideo znalezione w apartamencie. Godzinę później Willem wrócił tak podekscytowany, że zapomniał o wszystkich środkach bezpieczeństwa. Jeszcze zanim wszedł na dobre, słyszałem, jak krzyczał w korytarzu – notabene po holendersku – „Flip! Flip! Słuchaj!”. Kiedy otworzył drzwi, chciałem coś powiedzieć na ten temat, ale nie dał mi szansy.

– Znaleźli forszę!... Beczki... w Zeist! – wysapał Willem.

Popatrzyłem na niego z przerażeniem.

– Coooo?! – Czuję, jak krew odpływa mi z głowy, prawie zemdlałem. Willem powtórzył jeszcze raz.

– Okup przepadł...

Niestety to była prawda. W poniedziałkowym wydaniu „De Telegraaf” policja podawała, że znaleziono beczki w lasu koło Zeist, po tym, jak jakiś spacerowicz natknął się na plik dwustu banknotów po sto dolarów.

Zaalarmowana lotna brygada policji nakłuwając kijami ziemię, odkryła wkrótce ukryte beczki. Znaleźli wszystko: nie tylko pieniądze, ale i broń, kamizelki, peruki, wykrywacz nadajników. Uderzyłem pięścią w stolik w stylu Ludwika XVI, który od takiej siły prawie się złamał. Kurwa mać... Prześladuje nas pech. Forsa przepadła! Od niej wszystko się zaczęło, a teraz diabli ją wzięli. Chciało mi się wyć. Nie wierzyłem w opowiastki o znalezionej paczce. Jak to możliwe? Czyżby złamali Boellaarda? Nie, oczywiście, że nie, Kot nigdy by nie zdradził, to były przecież też jego pieniądze.

Później, kiedy zaczęliśmy się nad tym zastanawiać, powiedziałem do Willema:

– Pamiętasz, jak ćwiczyliśmy na Heining noszenie worków z drewnem i worek Fransa pękł? Może to był zły znak. Kiedy pojechałem z nim po pieniądze, mogliśmy coś zgubić w pośpiechu. Worki pękały w szwach...

Była taka możliwość, ale głęboko w sercu nie wierzyłem w nią. To była taka sama nieprawdopodobna historia jak „ślad nr 547”, anonimowa informacja, która zdaniem śledczych doprowadziła do wykrycia sprawy.

Musieliśmy teraz inaczej spojrzeć na naszą sytuację. Nie mogliśmy szastać pieniędzmi. Kasa była pusta, wyparowała. Frans zabezpieczył jeszcze naszą część, ale przy sobie nie mieliśmy więcej jak sześćset tysięcy. Sytuacja zmieniła się drastycznie. Miałem nadzieję, że Fransowi uda się przechować walizki do sylwestra, to złapiemy trochę oddechu. Jeśli ta forsa też przepadnie, to mogliśmy zapomnieć o ukrywaniu się. Bez pieniędzy nie da się tego robić. Na szczęście francuska prasa szybko straciła zainteresowanie sprawą. Dla szowinistycznych z natury Francuzów była to afera zagraniczna. Nie mieliśmy się czego obawiać, a nasze zdjęcia nie ukazały się ani w prasie, ani w telewizji. Mimo to musieliśmy bardzo uważać na ulicy. W Paryżu kręciło się sporo Holendrów, a nasze twarze widać było codziennie w holenderskich mediach. Dlatego w weekendy zawsze siedzieliśmy w domu. Wtedy ze wszystkich stron zjeżdżały do Paryża autobusy napakowane turystami, gotowymi do zabawy w stolicy Francji. Rozważaliśmy nawet ufarbowanie włosów, ale nie ośmieliliśmy się ze względu na Sylwię: domyśliłaby się, że chodzi o poważniejszą sprawę niż

podatki. Wkładaliśmy zatem kapelusze i okulary, ale one tylko przyciągały uwagę. Wyglądaliśmy, jakbyśmy wyszli prosto z kabaretu, więc szybko je porzuciliśmy.

Sylvia kupiła dla nas samochód – peugeot 104. Nie potrzebowaliśmy go w Paryżu, ale chciałem mieć auto pod ręką na wypadek, gdybyśmy musieli uciekać. Peugeot kosztował jedenaście tysięcy franków i stał z pełnym bakiem benzyny na pobliskim parkingu. Kluczyki przykleiliśmy pod zderzakiem, żebyśmy mogli skorzystać z niego w każdej chwili, nawet oddzielnie. W Paryżu używaliśmy przeważnie samochodu Sylvii, białego golfa gti, którego wynajmowaliśmy za dodatkowe tysiąc franków na tydzień. I co istotne, w samochodzie był telefon. Jeśli jeden z nas by wyszedł i został zatrzymany, należało tylko nacisnąć jeden guzik, który automatycznie wybierał numer apartamentu przy Rue de Penthièvre. I gdyby w słuchawce zaległa głucha cisza, to osoba w mieszkaniu wiedziała, co się stało i mogła podjąć odpowiednie kroki.

Co do telefonowania, po jakichś dziesięciu dniach chciałem zadzwonić do Holandii. Może nie było to rozsądne, ale potrzeba kontaktu była znacznie silniejsza i przeważała nad ryzykiem. Wiedziałem z gazety, że Sonja siedziała cztery dni w areszcie, ale teraz była wolna. Chciałem wiedzieć, jak jej się wiedzie, jak się ma Francis i wszyscy inni. Golfem Sylvii pojechałem do budki telefonicznej, jakieś dwadzieścia kilometrów za Paryżem. Jeśli policja podsłuchiwała, to nie będą mnie w stanie szybko zlokalizować. Poza tym nie zadzwoniłem od razu do Sonji, ale do jej najlepszej przyjaciółki. Poprosiłem ją, żeby Boxie była za godzinę w domu, to zadzwonię do niej.

To była emocjonalna rozmowa. Sonja była zdenerwowana i płakała.

– Flip, co ty zrobiłeś? – pytała. – Gdzie jesteś, mogę do ciebie przyjechać...?

Powiedziałem, że nie wolno mi zdradzić, gdzie przebywam, ale że tymczasem jest to bezpieczne miejsce. Sonja opowiadała nieskładnie, że śledzą ją dzień i noc, a jak płaci w sklepie gotówką, policja sprawdza, czy to nie są pieniądze z okupu. Potwierdzały się moje przypuszczenia. Teraz, kiedy nie mogą nas dopaść, będą dręczyć bliskich.

Sonja powiedziała też, że mieszkanie przy Staalmeesterslaan zostało przez policję i komornika całkowicie opróżnione. W oczekiwaniu na dalsze

wydarzenia miała przeprowadzić się do matki. Zapytałem, jak się miewa Francis.

– Ona nic z tego nie rozumie – odparła. – Dziecko jest zupełnie zdezorientowane. Ciągłe woła: „Tata, tata...”.

Boxie znowu zaczęła płakać. Ja przelykałem łzy. Gardło miałem ściśnięte i z trudem próbowałem ją przekonać, żeby nikomu nie mówiła, że dzwoniłem. Jeśli ta rozmowa by się wydała, będą ją jeszcze bardziej prześladować. Chcąc dodać Sonji trochę otuchy, rzekłem:

– Przygotuj paszport, Boxie, to niedługo po was przyjadę...

Po tej rozmowie, zamiast poczuć się lepiej, czułem się gorzej, żeby nie powiedzieć beznadziejnie. Bolało mnie, kiedy słyszałem Sonję. Bardzo przeżywała całą tę historię, a ja byłem za to wszystko odpowiedzialny. Odwiesiłem słuchawkę i powiedziałem patrzącemu na mnie pytająco Willemowi:

– Nieźle narozrabialiśmy...

Nie blefowałem, mówiąc, że przyjadę po Boxie. Umówiliśmy się przecież z Fransem w sylwestra na Hallstraat w Amsterdamie. Cieszyłem się, że zobaczę Jeża. Byłem bardzo ciekawy, jak sobie poradził w tym okresie i gdzie przebywał. A poza tym chciałem odzyskać swoją część okupu. To było wszystko, co nam zostało i wolałem sam mieć na nią oko. Gdyby coś się stało, nikogo nie mógłbym winić. Tak było lepiej. Po telefonie do Sonji zadzwoniliśmy też do innych znajomych. Oczywiście nie mówiliśmy, skąd się odzywamy. Zbliżał się sylwester i trzeba było przygotować porządny plan ucieczki. Nie mogliśmy wечно mieszkać na de Rue de Penthièvre, a nie miałem ochoty ciągle gnać z jednego miejsca na drugie. Powinniśmy spróbować znaleźć gdzieś daleko schronienie i zmienić tożsamość. Osiąść w kraju, gdzie nie będziemy znani, i zacząć od nowa, ale pod przybranym nazwiskiem. Dlatego nawiązałem kontakt z jednym facetem z Amsterdamu, którego znałem jeszcze z czasów firmy Epan. Kiedyś w przyпыwie zaufania wygadał się, że ma międzynarodowe znajomości i oprócz różnych innych nielegalnych biznesów prowadzi handel paszportami, dowodami tożsamości, prawami jazdy i tak dalej. „każdego kraju, jaki wybierzesz”. Nie wiedziałem, czy mówił prawdę, czy blefował, ale teraz nadarzała się okazja,

żeby to sprawdzić.

Kiedy do niego zadzwoniłem, okazało się, że nie zapomniał naszej rozmowy.

– Już zastanawiałem się, gdzie się podziewasz? – zachichotał. – Liczyłem na telefon. Pewnie potrzebujesz papierów? – zapytał lakonicznie, jakby chodziło o bilety na mecz piłki nożnej.

Żaden problem, zapewniał mnie stanowczo. Było mnóstwo możliwości. Twierdził, że w Ameryce Południowej ma szczególnie „dobre wejścia”. Europa była trudniejsza, ale nie niemożliwa. Wymienił kilka krajów, o których słyszałem, ale nie znałem dokładnie ich położenia. Paragwaj, Brazylia, Ekwador, Panama, Kostaryka i parę innych. Za dwadzieścia tysięcy guldenów od osoby był w stanie wszystko załatwić. „Przyjacielska cena” zapewniał.

Cena była rzeczywiście dobra, myślałem, że to będzie droższa sprawa. Miał pewnie wzgląd na to, że we wszystkich gazetach pisano, iż większa część okupu została odzyskana. Inaczej nie wiem, jak by było. „Przyjacielska cena” mogła wówczas leżeć o kilka stopni wyżej. Mimo to nie mogłem się od razu zdecydować. Nic nie wiedziałem o tych krajach, w których musiałbym zacząć budować przyszłość. Jakimi językami się tam mówi, jakie są możliwości, czy to chociaż trochę cywilizowane miejsca, czy rodzina mogłaby przyjechać po jakimś czasie, jaki rząd sprawował tam władzę? Takie pytania chodziły mi po głowie.

Facet dał nam tylko kilka dni na zastanowienie, naciskał na szybką decyzję, bo musiał mieć trochę czasu, żeby uruchomić odpowiednie kanały. Oprócz pieniędzy potrzebował po dwa zdjęcia paszportowe, także Fransa Meijera. Obiecałem, że zadzwonimy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i powiemy, jaki kraj wybieramy.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy następnie, było kupienie atlasu. Musiałem zobaczyć, gdzie te państwa dokładnie leżą. Tego wieczoru po raz pierwszy od czasu szkoły podstawowej studiowaliśmy geografię. Z trudem staraliśmy się uzyskać jakieś bardziej szczegółowe informacje. Jedno było pewne: wszelkie porównania z Holandią wypadały blado. No, ale nie mieliśmy wielkiego wyboru. Trzeba było podjąć decyzję. Po wieczornej burzy

mózgów uznaliśmy Panamę za najmniejsze zło. Był to raczej wybór w ciemno, na los szczęścia, że tak powiem. Wybraliśmy ją, bo nazwa brzmiała nam znajomo w uszach, wiedziałem, że tam się handluje – przynajmniej pod flagą Panamy – a poza tym, że jest to kraj dość cywilizowany i mówiono w nim po angielsku. Nie miałem zamiaru zamieszkać w jakimś bambusowym państewku. To już lepiej w więzieniu w Holandii. Jeśli naprawdę zbudujemy przyszłość za oceanem, chciałem ściągnąć tam Boxie i Francis. Co oznaczało, że kraj musiał dawać szansę na odpowiednią edukację, a Sonja miała mieć coś więcej do roboty niż zrywanie kokosów z drzew.

Willem zgodził się ze mną. Mieliśmy zacząć od Panamy. Jeśli nam się nie spodoba, to mogliśmy szukać dalej, ale to był przynajmniej jakiś początek i znajdowalibyśmy się poza zasięgiem długiej ręki holenderskiego wymiaru sprawiedliwości. Już następnego dnia zadzwoniliśmy do naszego faceta w Amsterdamie.

– Panama – powiedziałem krótko. – Czy da się szybko wszystko zorganizować?

Człowiek z drugiej strony wymamrotał, że się dowie:

– Normalnie nie ma problemu. Odezwij się do mnie jutro w tym samym czasie.

Następnego dnia zadzwoniłem znowu. Za każdym razem z innej budki, bo miałem jakieś niedobre przeczucie. Chyba nas nie oszuka, za dużo o nim wiedziałem, ale spotkało nas już tyle różnych zagadkowych kłopotów, że nawet sobie nie ufałem, że tak powiem. Facet, jeśli nas nie zwodził, musiał mieć znakomite kontakty, bo zameldował, że podróż do Panamy nie przedstawia żadnych trudności. Powiedział, że zostaniemy oficjalnie wpisani na listę obywateli, więc nie będziemy nielegalnie przebywać w kraju. Zostaniemy zarejestrowani nie jako Holendrzy, ale Szwedzi. To dało się łatwo załatwić. Byliśmy wysokimi blondynami o niebieskich oczach. Nazwiska mogliśmy sami podać, byle tylko przypominały szwedzkie. Jeśli o mnie chodzi, uważałem, że to nawet lepiej. Podróż do Panamy mieliśmy odbyć statkiem, rejs trwał jakieś sześć tygodni. Według niego tak było bezpieczniej niż samolotem, z powodu mniejszej kontroli w portach. Jeśli

dostarczymy zdjęcia paszportowe i po dwadzieścia tysięcy guldenów na osobę – wyłączając podróż statkiem – to obiecał, że w ciągu kilku dni otrzymamy ważne dokumenty tożsamości z Panamy. Byłem podejrzliwy i obawiałem się jakichś sztuczek, więc zapytałem go, jak może to tak szybko załatwić. Odpowiedział w bardzo subtelny sposób:

– Panie Van Hout – mówił miękkim, ale zdecydowanym głosem. – Jest jeszcze tyle pytań w sprawie Heinekena, na które chcielibyśmy znać odpowiedź tutaj w Holandii, między innymi gdzie pan przebywa... Czy ja pana o to kiedykolwiek pytałem?

Musiałem powstrzymać uśmiech: *that's my style*. Miał rację. Sam nieraz innym odpowiadałem:

– Nie pytaj jak, ale korzystaj...

Teraz też tak było.

Poprosiłem, żeby wszystko przygotował. Na jego pytanie o pieniądze odpowiedziałem, że w krótkim terminie, w ostatnim tygodniu grudnia zostaną dostarczone do niego, razem ze zdjęciami. Zobaczysz, w jaki sposób. Nie chciałem mu zdradzać, że mamy w planie sami pojawić się w Holandii.

Tego wieczoru, pierwszy raz od długiego czasu, humor nam się nieco poprawił. Wyprawa do Panamy wydawała się ekscytująca. Śmialiśmy się ze szwedzkich nazwisk, które mieliśmy przyjąć. Powiedziałem Willemowi, że odtąd będę się nazywał Kur, a nie Cor, a dla niego wymyśliłem nazwisko: Nos Holgerson, zmodyfikowany wariant nazwiska Niels Holgersson, chłopca z bajki, który uciekał, siedząc na gęsi. Byłem ciekawy, co Frans Meijer sądzi o naszych planach ucieczki. Pewnie będzie to dla niego niespodzianka, ale znając go, przypuszczałem, że z entuzjazmem podchwyciłby pomysł podróży na drugi koniec świata.

Ale jak bez zwracania na siebie uwagi przedostać się do Holandii? Polowanie na nas trwało i wszystkie jednostki policyjne czujnie kontrolowały przejścia graniczne i wewnątrz kraju. Myśleliśmy najpierw, żeby pojechać pociągiem, z własnymi paszportami. Kontrola graniczna odbywa się w pociągu, a celnicy nie mają komputerów, żeby wystukać numery naszych paszportów. Mogli tylko ustalić autentyczność dokumentu i czy nie upłynęła jego data ważności. W tamtym czasie było jednak kilka zamachów

bombowych w Paryżu i tak zaostrzono kontrolę na dworcach, że nie odważyliśmy się na ten krok. Musieliśmy znaleźć inny sposób. Wpadłem na pewien pomysł, który mógł stanowić całkiem dobre rozwiązanie problemu.

– Co ty na to, gdybyśmy pojechali do Holandii w samochodzie do przeprowadzek – zaproponowałem Nosowi. – Jako paczki...

Spojrzał na mnie tak, jakbym zwariował, ale kiedy wytłumaczyłem mu, o co chodzi, nabrał entuzjazmu. Nawiązaliśmy kontakt z firmą transportową z holenderskiego wybrzeża. Właściciel był moim starym kumplem, który w młodości mieszkał niedaleko mnie. Mogliśmy mu zaufać na sto procent. Razem rozrabialiśmy, a w późniejszym okresie pomogłem mu trochę finansowo. Powiedział wtedy: „Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował pomocy...”. No cóż, właśnie przyszła taka chwila.

Zadzwoniliśmy do niego, nie zwlekając. Najpierw myślał, że to jakiś żart.

– To naprawdę ty, Flip? – zapytał zdumiony. – Chłopie, cały świat cię szuka, a ty do mnie dzwonisz?

Powiedziałem mu, że jesteśmy gdzieś w Europie, ale w ostatnim tygodniu grudnia chcemy przez Francję przyjechać do Holandii i zapytałem, czy może się postarać o jakiś „specjalny” sposób przekroczenia granicy.

Początkowo mówił, że lepiej będzie, jak pojedziemy jeszcze dalej, ale ponieważ nalegaliśmy na podróż do Holandii, obiecał nam pomóc. Miał przyjechać z przyczepą do Francji, ale najpierw wbudować w nią podwójną ścianę, tak jak to my zrobiliśmy na Heining, w której mogliśmy się ukryć. Samochód jechałby pusty, żeby nie trzeba było załatwiać żadnych papierów, deklaracji VAT lub tym podobnych. Obiecaliśmy mu naturalnie hojną stawkę za kilometr, za cały trud i... milczenie. W Holandii mogliśmy używać w razie potrzeby jego samochodu, wrócić mieliśmy w ten sam sposób. Obiecał od razu zabrać się do pracy.

Podobała nam się taka akcja. Powrót do Holandii byłby nie lada wyczynem i popisem odwagi w czasie, kiedy wszyscy nas tam poszukują. Jeśli się uda, to korki od szampana będą strzelały na Van Hallstraat. Tydzień później mieliśmy we trzech udać się statkiem przez morze do Ameryki Południowej. Do nowego świata oferującego nowe szanse. Nie martwiłem się o pracę. Jeśli uda nam się odzyskać naszą część okupu, to zawsze

możemy rozkręcić jakiś handel albo zainwestować w coś.

Po kilku dniach znowu zadzwoniliśmy z budki telefonicznej do naszego kierowcy, który powiedział, że ściana jest już wbudowana i gołym okiem jej nie widać. Pomyślałem przez chwilę o Kocie i jego doskonałej robocie na Heining. Teraz też siedział za podwójną ścianą, dobrze widzialną, ze stali. Ale sam tego chciał. W każdym razie ja z Willemem mieliśmy siedzieć w szoferce i dopiero jakieś dwadzieścia kilometrów przed granicą przesiąść za podwójną ścianę, bo pięciuset kilometrów nie dałoby się tam wytrzymać.

Święta spędziliśmy w apartamencie. Norbert, nasz kucharz, przygotował fantastyczny obiad z szampanem i winem. Musieliśmy trochę pocelebrować, chociaż nie było nam do śmiechu. Tęskniliśmy za naszymi kobietami, rodziną i przyjaciółmi. Właśnie w te dni. Podtrzymywała nas na duchu perspektywa wyjazdu do Holandii. Ciągle o tym myślałem. Rozważałem, czy o wszystkim pamiętaliśmy, czy nie popełniliśmy żadnego błędu.

Trochę zaniepokoiłem się faktem, że w tamtym tygodniu gazeta podawała, że w Amsterdamie pojawiły się listy Fransa Meijera, który wyrażał żal, skruchę i dawał do zrozumienia, że nie wie, co robić. Listy dostarczono w Amsterdamie do biura gazety „Het Parool”. Nic z tego nie rozumieliśmy. Wydawało mi się to dziwne. Czy to była sztuczka, próba skierowania policji na mylny ślad? Czy próbował nam coś przekazać? Na przykład, że stawi się na spotkanie w Amsterdamie, na sylwestra w Raju? Przeczytałem informację o listach wiele razy, ale mimo najlepszych chęci nie mogłem zrozumieć. Nie mieściło nam się w głowach, żeby Jez miał żałować. No, może żałował, że nie zażądaliśmy pięćdziesięciu milionów zamiast „marnych” trzydziestu pięciu...

Postanowiliśmy jednak nie odkładać wyjazdu. Wszystko było przygotowane. Meijer musiał nam w Amsterdamie wytłumaczyć, o co chodzi z tymi listami. Mieliśmy wyruszyć w czwartek 29 grudnia. Jeszcze raz zadzwoniłem do naszego człowieka, zapytać, czy wszystko w porządku, a on zaraportował z ożywieniem, że „przeprowadzka” jest zapięta na ostatni guzik.

– Możecie być pewni, że wszystko ładnie i dobrze wygląda – powiedział dwuznacznie.

Umówiliśmy się, że przyjedzie do Paryża już 28 grudnia i zaparkuje na parkingu dla ciężarówek w dzielnicy Saint Denis, blisko Le Bourget, przy Autoroute Du Nord. Tam będzie na nas czekał. Wszystko grało jak w zegarku. Tego dnia pojechaliśmy z Willemem taksówką w pobliże parkingu i ostatni kawałek przeszliśmy ostrożnie na piechotę. Trochę się bałem, że policja wywęszy całą operację, ale wszystko było w porządku. Zobaczyliśmy czerwoną ciężarówkę z holenderskimi numerami, a nasz „szofer” właśnie mył szyby. Nie widział, że podeszliśmy go od tyłu, powiedziałem grubym głosem:

– Możemy, kolego?

A Willem dodał natychmiast:

– Wsiadamy i jazda!

Podróż do Holandii przebiegła bez żadnych kłopotów. Zatrzymaliśmy się jakieś dwadzieścia kilometrów przed granicą na parkingu i przesiedli z Willemem do przyczepy, za przegrodę. Nasz człowiek nie przesadzał. To była rzeczywiście fachowa robota, mogła się równać z mistrzostwem Kota. Perspektywa postawienia stopy na ziemi holenderskiej wprawiła nas w doskonały humor. Jeszcze trochę i spotkamy się z Fransem Meijerem, zabierzemy okup i być może – miałem cichą nadzieję – uda mi się zobaczyć potajemnie Boxie. Oczywiście nie wiedziała, że będziemy w Holandii.

Nasz kierowca uważał tę „przeprowadzkę” za ekscytującą przygodę i był dumny, że jego wybraliśmy do tej roboty. Czasami nie mógł wytrzymać i powtarzał tylko:

– No, no, gdyby oni tylko wiedzieli... Ale numer!

Po wjeździe do Holandii przesiedliśmy się znowu do szoferki, naciągając czapki na uszy, żeby nas nie rozpoznano. Wyglądaliśmy jak prawdziwi robotnicy firmy zajmującej się przeprowadzkami. Jakieś piętnaście kilometrów przed biurem naszego kolegi znowu weszliśmy za ściankę. Mieliśmy najpierw jechać do biura, ale ponieważ nie wiedzieliśmy, czy tam ktoś jeszcze jest, czy nie, lepiej było się ukryć. Zapadł już wieczór, ale w tej pracy nigdy nie wiadomo, o której się wraca do domu. Po chwili wjechaliśmy do garażu i nasz kierowca poszedł sprawdzić, czy możemy bezpiecznie wyjść.

Trwało to długo. Po dwudziestu minutach wrócił i zaczął coś niespokojnie przesuwac. Kiedy otworzył drzwi, zobaczyłem światło w garażu. To znaczyło, że jest bezpiecznie. Podeszedłem do drzwi i wtedy zauważyłem, że uśmiechnięta twarz naszego kierowcy jest blada i spięta. Coś było nie tak.

– Meijer oddał się w ręce policji – powiedział zachrypniętym głosem.

Najpierw mu nie uwierzyłem.

– No pożartuj sobie na koniec, fajna zabawa.

Nic nie mówiąc, podsunął mi pod nos gazetę. Na pierwszej stronie widniał tytuł: *Podejrzany w sprawie porwania Heinekena melduje się na policji.*

Nie wiem, co się stało, była to pewnie kombinacja napięcia i przerażenia, ale nagle zacząłem wymiotować. Żołądek mi się skurczył, jakby ktoś uderzył w niego młotkiem, i wszystko zwróciłem. Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałem. Mój kumpel sam oddaje się psom! Nie potrafiłem skupić myśli. Miałem w głowie chaos. Wydawało mi się, że śnię. Czy on zwariował? To wbrew umowie! Dlaczego to zrobił? A okup, gdzie był okup?!

Kiedy troszeczkę doszedłem do siebie, czytaliśmy gazetę ze zdziwieniem i niedowierzeniem. Frans, razem ze swoją przyjaciółką Marijke, z Den Helder, zgłosili się razem do kwatery głównej policji i na pierwszym przesłuchaniu nasz kolega wyraził skruchę. Miał powiedzieć dosłownie:

– Rozumiem, dlaczego ludzie tacy jak my są nieszczęściem dla społeczeństwa...

Nie wierzyłem własnym oczom. Czy to był Jeź, od piętnastu lat nasz najlepszy kumpel? Pisano, że sprawiał wrażenie nieco chorego, zmieszanego, czasami nie rozumiał, co się do niego mówi. No, to musiała być prawda, inaczej by tego przecież nie zrobił! Teraz lepiej rozumiałem te dziwaczne listy, które powysyłał. To nie była sztuczka, jak myślałem. To znaczyło, że na próżno przyjechaliśmy do Amsterdamu, na nic ryzykowaliśmy tak wiele. Nasza podróż do Panamy stała pod znakiem zapytania, bo gdzie się podziały pieniądze? Co on z nimi zrobił? Niedobrze mi się od tego robiło. To była katastrofa. Straszne! Jak mógł coś takiego zrobić. Rozumiem, jak ktoś wpadnie i go zaaresztują, okej, ale samemu się oddać w ręce policji? To było sprzeczne z naszym niepisanym kodeksem. Tak się nie robi...

Musielismy wracać do Paryża, jak najszybciej. Amsterdam stał się niebezpieczny. Nie mieliśmy tu czego szukać. Rozmawialiśmy z kierowcą, żeby odwiózł nas jeszcze tego samego wieczoru. Okazało się to zbyt trudne, mogło wywołać podejrzenia u różnych osób. Mieliśmy wracać następnego dnia, 30 grudnia. Mogliśmy zanocować u niego w domu i wyruszyć wcześniej rano.

Podczas ciepłego posiłku, który nam podano, nie mogliśmy z Willemem przestać rozmawiać o Meijerze. Oczywiście obaj wiedzieliśmy, że potrafi być nieźrównoważony, a po bankructwie Epanu korzystał z pomocy psychiatry, ale w gazetach pisano, iż całkiem oszalał. Jeśli to prawda, nie wyglądało to dla nas najlepiej. Następnym krokiem będzie przekazanie policji miejsca przechowywania okupu. Miałem nadzieję, że Frans był tak sprytny, jak myślałem, i to wszystko miało jakiś cel. Z drugiej strony obawiałem się, że tak nie jest, że to iluzja, bo o co mogło mu chodzić? Czy warto było oddawać się w ręce policji? Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie.

Teraz, kiedy byliśmy tak blisko Amsterdamu, rosła we mnie chęć zobaczenia Sonji. Zapytałem Willema, czy nie moglibyśmy zaaranżować jakiegoś spotkania na tę jedną noc, którą tu zostaniemy. Nos uważał jednak, że w tym wypadku nie możemy tak ryzykować. Sonja jest na pewno śledzona dzień i noc, a zainteresowanie policji sprawą wzmogło się po aresztowaniu Fransa... A jeśli nawet wszystko poszłoby dobrze, ale potem informacja by wyciekła, to śledczy łatwo wyciągnęliby wniosek, że jesteśmy niedaleko. Willem miał rację. Zamiast tego pojechaliśmy samochodem naszego kierowcy na przejażdżkę po Amsterdamie, powdychać znajome powietrze. Tęskniliśmy za Mokum cały czas. Za przytulną atmosferą, knajpkami, kawiarniami, przyjaciółmi, krokietami z Kwekkeboom, kawą u Tante Nannie, właściwie za wszystkim. Zatrzymaliśmy się przy stadionie olimpijskim i rzucaliśmy monetę, kto ma iść po hamburgery do FEBO. Za nimi też tęskniliśmy we Francji. Przed porwaniem jadłem je codziennie, pycha. Może wydaje się to szalone – i pewnie takie było – ale odważyliśmy się kupić po jednym. Ja przegrałem i musiałem po nie iść. Na szczęście nie miałem kłopotów. Moje zdjęcie gazety zamieszczały niezliczoną ilość razy, ale nikt mnie nie rozpoznał. Przede wszystkim dlatego, że nikt się nas nie

spodziewał. W gazetach bez przerwy sugerowano, że jesteśmy za granicą. Na dodatek mam całkiem przeciętną twarz, fryzury często zmieniałem, nosiłem też wtedy okulary, a na zdjęciach w gazetach ich nie miałem.

Potem pojeździliśmy po mieście. Z Nassaukade widać było komendę główną policji przy Elandsgracht. Światła się jeszcze świeciły.

– Kto wie, może przesłuchują Jeża... – zagadnąłem do Willema.

Byliśmy tak blisko Fransa, ale nic nie mogliśmy zrobić. Wiedziałem, że nasza przyszłość zależała częściowo od niego. Nos naśladując „oficjalny” ton śledczego, powiedział:

– Panie Meijer, co pan zrobił z pieniędzmi z okupu?

Tak, też chciałem to wiedzieć. Co on z nimi do diabła zrobił? Pojechaliśmy dalej, do dzielnicy, którą kochaliśmy, gdzie dorastaliśmy. Kiedy będziemy mogli do niej wrócić? Zmierzając do biura naszego kierowcy, jechaliśmy przez Van Woutstraat i jej przedłużenie, Rijnstraat. Przejeżdżając, zobaczyliśmy w Café Zuid, gdzie bywaliśmy dawniej regularnie, naszego wiernego Jeljera de Jonga, adwokata Willema, który po aferze z Epanem wyciągnął go z kłopotów. Zawsze tam siedział, popijając drinka, i teraz też tam był, przy oknie. Właściwie nic się nie zmieniło w Amsterdamie.

Następnego dnia wróciliśmy ciężarówką do Paryża. W zupełnie innym nastroju niż przed wyjazdem. Kierowca wysadził nas w tym samym miejscu, po jego odjeździe pojechaliśmy do mieszkania przy Rue de Penthièvre. Czuję się przygnębiony i smutny. Cieszyliśmy się, że zobaczymy Fransa, a teraz wszystko się rozpadło. Na dodatek przyszłość, od strony finansowej, wyglądała dość niepewnie.

Następny dzień, czyli sylwestra, spędziliśmy w mieszkaniu. Zamówiliśmy kilka butelek szampana, ale nam nie smakował. Byliśmy sami. Kucharz Norbert pojechał do przyjaciół. A nasi przyjaciele gdzie byli? Wszyscy za kratkami. Po raz pierwszy od dwunastu lat obchodziliśmy początek Nowego Roku bez kumpli... To było bolesne, przykre doświadczenie. „Do zobaczenia w Raju...” powiedzieliśmy sobie na pożegnanie tego wieczoru, kiedy opuszczaliśmy Holandię. Raj... hmm... chyba nam to niespecjalnie wyszło. Mój przyjaciel Frans siedział na policji, a lampy do przesłuchania pałą mu

twarz raczej jak ogień piekielny.

Żeby poczuć, że się jest chociaż trochę bliżej rodziny, zadzwoniliśmy o wpół do pierwszej z budki telefonicznej do Stien, matki Willema i Sonji. Przypuszczałem, że wszyscy tam się zebrali. Telefon był na pewno na podsłuchu, ale ryzyko brałem na siebie. Będę rozmawiał jak najkrócej, żeby nie mogli nas zlokalizować. Dobrze przypuszczałem, a jeszcze miałem fart, ponieważ telefon przypadkowo odebrała Sonja. Powiedziałem tylko jedno zdanie:

– Kochana Boxie, szczęśliwego Nowego Roku dla ciebie, Francis i reszty. Wszystko będzie dobrze...

Oniemiała i wyjąkała tylko:

– Och, kochany...

Potem odwiesiłem słuchawkę.

Czy wszystko będzie dobrze, to miało jeszcze się okazać. Zastanawialiśmy się z Willemem, co się stało z naszymi pieniędzmi. Tydzień potem odpowiedź zamieszczono w „De Telegraaf”. Frans oświadczył sędziemu śledczemu, że je spalił... „Część okupu ze sprawy Heinekena poszła z dymem” – informował tytuł. Przestraszyliśmy się nie na żarty, byliśmy przekonani, że Frans naprawdę zwariował i zrujnował naszą przyszłość.

Jednak przy uważnym czytaniu artykułu ogarnęło mnie przeświadczenie, że Frans może nie był tak głupi, jak holenderska policja przypuszczała. Pisano, że swoją część, trzy miliony guldenów, Frans spalił na plaży, bo to były brudne pieniądze. O naszej części, w sumie sześciu milionach, nic nie wspominał. Doszedłem do wniosku, że jeśli by spalił te pieniądze, to nie omieszkałby o tym fakcie też zameldować. Nie było powodu, dla którego miałby milczeć.

Poza tym, gdyby Frans naprawdę zwariował, to nie zdawałby sobie sprawy, że nie można o nich mówić. Im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej byłem pewien, że Frans odgrywa jakąś sztuczkę. Ryzykowną sztuczkę, ale według mnie dokładnie wiedział, co robi. Musiałbym się bardzo mylić, gdyby nasze pieniądze nie leżały gdzieś bezpiecznie ukryte, czekając na nas. Jeź grał, a znając go dobrze tyle lat, wiedziałem, że marnuje swój niezwykły talent. Jedyne pytanie, na które nie miałem odpowiedzi, brzmiało:

dlaczego nie pojawił się na sylwestrowym spotkaniu, chociaż tak wyraźnie się umawialiśmy?

Ale i ta odpowiedź wkrótce nadeszła. Po przesłuchaniach usłyszałem od wspólnych znajomych powód, dla którego oddał się w ręce policji. Podejrzewał, że policja kryminalna dowiedziała się o naszym sylwestrowym spotkaniu, co mogło się skończyć strzelaniną. Frans twierdził, że zrobił to, aby uchronić mnie i Willema. Listy wysłane do gazet „Het Parool” i „De Telegraaf” miały służyć jako ostrzeżenie, żebyśmy nie przyjeżdżali. To była jego wersja wydarzeń, ale nie bardzo mi się podobała. Wiedziałem od Boxie, że policja nawiedzała ją często i za każdym razem nalegała, żebyśmy się sami zgłosili na posterunek.

– To leży w ich interesie... jeśli bowiem my dokonamy aresztowania, istnieje ryzyko, że coś się im może stać... – grozili.

Oznaczało to, że mogą do nas strzelać. Czy Frans się przestraszył? Możliwe, że miał informacje, których my nie znaliśmy, ale to nie oznaczało jeszcze, że musi się natychmiast oddać w ręce policji. Moim zdaniem były jeszcze inne, bardziej oczywiste sposoby, żeby odwołać nasze spotkanie w sylwestra. Niemniej jednak odczuliśmy ulgę, słysząc to wszystko. Nie było tak strasznie, jak nam się wydawało. Nasze pieniądze nie poszły z dymem, tylko zostały przesłonięte zasłoną dymną...

Zatrzymanie Jeza oznaczało jednak niepewną sytuację finansową i zmieniło nasze zachowanie. Byliśmy trochę przygnębieni i różne rzeczy przestały nas interesować. Mimo to żyliśmy na luzie, bardziej nonszalancko. Nasza ucieczka do Panamy, na którą postawiliśmy, została odwołana, co mieliśmy robić, kiedy nasi kumple siedzieli w więzieniu, a my na razie nie mogliśmy się dostać do forsy?

Coraz częściej dzwonił do Amsterdamu. Na początku byliśmy bardzo ostrożni, ale teraz podaliśmy numer telefonu naszego mieszkania kilku dobrym przyjaciółom, żeby mogli dać nam znać, jeśli zdarzy się coś szczególnego. Czasami odzywał się do nas mój stary kumpel Thomas, którego golfem uciekliśmy z Holandii, albo Robbie Offenberga i jego teść Gijs van Dam oraz syn Gijssie. Mogłem im zaufać na sto procent. Starali się też, żeby Boxie mogła do nas od czasu do czasu zadzwonić.

Chodziła do budki telefonicznej – najczęściej z Gijssiem – on wykręcał numer i mogliśmy sobie porozmawiać. Dla Sonji te rozmowy były ważne. Przeżywała trudny okres i pogawędki ze mną dodawały jej otuchy. Nigdy nie podałem jej naszego numeru telefonu, bo policja kryminalna cały czas ją śledziła. Istniała możliwość, że znowu ją kiedyś zabiorą i będą naciskać, żeby wydała adres naszej kryjówki: „Jeśli teraz złożysz oświadczenie, to zaraz możesz pójść do domu”. Kobiecie, która miała prawie roczne dziecko, bardzo trudno było zachować milczenie w takiej sytuacji. Dlatego robiliśmy to w ten sposób. Sonja była zadowolona z takiego rozwiązania.

Prawie codziennie chodziliśmy grać w tenisa do Beverly Hills, najdroższego klubu w Paryżu, i biegaliśmy w pobliskim Lasku Bulońskim. Wieczorami szliśmy często do restauracji, a potem na piwo do baru. Przyjęliśmy postawę: ach, zabawimy się jeszcze trochę, dopóki można. Trochę później, kiedy uporządkowaliśmy kilka spraw, omawialiśmy z Willemem możliwości wyrwania z Holandii pozostałych kompanów, wyciągnięcia z więzienia, ucieczki...

Wydawałoby się, że to rzecz niezwykle skomplikowana, ale nieprawda. Jeśli udało się zorganizować porwanie tego kalibru i wprowadzenie w błąd całej policji na wiele tygodni, to można było pomyśleć o zorganizowaniu ucieczki z więzienia. To jest kwestia pomysłu, obserwacji i organizacji. Ostatecznie zrezygnowaliśmy z pomysłu. Dlaczego mieliśmy ryzykować? Meijer poddał się sam, Boellaard nie wprost, ale również, a dla Hamulca kara nie będzie wysoka i cały trud nie był wart ryzyka.

Tymczasem zrobił się już luty. Minęły dwa miesiące. W Holandii nikt nie natrafił jeszcze na żaden ślad prowadzący do nas. W mediach porwanie Heinekena ustępowało miejsca innym aferom. Sprawy szły w dobrym kierunku. Tak sądziliśmy... I właśnie w pierwszym tygodniu lutego znowu stało się coś, co wymagało od nas odporności. Doprowadziło nawet do tego, że Willem, niemal publicznie, musiał złożyć oświadczenie w naszym imieniu w Holandii.

Tego wieczoru ktoś niespodziewanie zadzwonił do nas z Amsterdamu. Każdy taki telefon wywoływał u mnie strach, zastanawiałem się, co się mogło stać. Sonja dzwoniła zawsze o stałej porze, po południu, a jeśli telefon

dzwonił wieczorem, to była to zapowiedź jakiegoś nieszczęścia. Popatrzyliśmy na siebie z Willemem z niemym pytaniem: „Kto to może być?”, a potem Nos odebrał telefon i odezwał się z francuska: „Allooo...”. Słuchałem zaciekawiony i zobaczyłem, że twarz Willema zrobiła się biała w ciągu kilku sekund.

Wieści były naprawdę niedobre. Gorzkie nawet. Ku swemu przerażeniu Willem usłyszał, że jego najlepszy przyjaciel Robbie Offenberg zmarł w Belgii z powodu obrażeń, jakich doznał w wypadku samochodowym. Najpierw leżał w śpiączce, ale nie dało się go uratować. Śmierć niezawodnego przyjaciela była najgorszym ciosem, jaki nas mógł spotkać. Po naszej ucieczce rozmawialiśmy z nim kilka razy przez telefon. Podobnie jak wszyscy był zaszokowany wiadomością, że dokonaliśmy porwania, ale zaraz powiedział: „Flip, co się stało, to się nie odstanie. Wiedz, że zawsze jestem z tobą... jesteś i na zawsze zostaniesz moim przyjacielem”.

A teraz nie żył. Nasz przyjaciel Robbie, którego poznałem na wyścigach konnych, od którego kupiłem kiedyś mojego pierwszego ogiera. Zawsze gotowy do pomocy, nawet zanim zwróciłeś się z prośbą... Oddałbym cały okup, wszystkie pieniądze świata, gdyby można było zapobiec temu wypadkowi, ocalić przyjaciela. Ale już się nie dało...

Przekonaliśmy się w bolesny sposób, jak względne są cele, do których dążymy. Kiedy przeczytaliśmy nekrolog, zastanawialiśmy się poważnie, czy nie wrócić do Holandii. Poddać się. Normalnie nigdy bym tak nie postąpił, zabraniała mi tego duma i honor, ale teraz była inna sytuacja. Chciałem złożyć hołd przyjacielowi. Osobiście. Willem myślał tak samo. Przez te wszystkie lata nigdy nie widziałem, żeby płakał, ale dzień śmierci Robbiego wstrząsnął nim. Był zdruzgotany, chciał wracać do Amsterdamu. Ja miałem uczucie, jakby ktoś rozdarł moje serce na pół. Zastanawialiśmy się, czy nie zadzwonić na policję i powiedzieć, że wrócimy dobrowolnie, pod warunkiem że pozwolą nam uczestniczyć w pogrzebie Robbiego.

Przemyśleliśmy wszystko. W rozmowach telefonicznych zwierzyliśmy się przyjacielom w Holandii z naszego zamiaru, ale po drugiej strony linii usłyszeliśmy, że Robbie nic z tego nie będzie miał. Nie chodzi o fizyczną obecność, ale o pamięć. Namawiano nas, żeby w nastroju żałoby

i przygnębienia nie podejmować decyzji, których konsekwencje trudno przewidzieć. Poza tym robienie z pogrzebu przedmiotu negocjacji i kordon pilnującej nas policji w czasie uroczystości mogły być bolesne dla rodziny. Po naradzie zdecydowaliśmy z Willemem, że zostaniemy w Paryżu. Poprosiliśmy przyjaciela z Amsterdamu o kupienie wieńca. Na wielkiej wstędze widniał napis: „Rob, nigdy Cię nie zapomnimy. Cor i Wim...”.

Nasze przypuszczenia, że policja i prasa będą obecne na uroczystościach pogrzebowych, okazały się prawdą. W Amsterdamie nie było tajemnicą, że przyjaźniliśmy się z Robbiem. W „De Telegraaf” ukazało się zdjęcie wieńca i napisano w tytule, że porywacze Heinekena dali „znak życia”. Po raz pierwszy od długiego czasu coś o nas usłyszano w Holandii, ale mnie to nie przeszkadzało. Rob był wspaniałym przyjacielem i chciałem, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Mogli pisać o tym w gazetach i telewizji, przyjaciół nie można się wstydzić. W dniu pogrzebu ubraliśmy się elegancko i pierwszy raz od czasu niedzielnej szkółki z młodości poszliśmy do kościoła. Zapaliliśmy świeczkę i w myślach byliśmy razem z naszymi przyjaciółmi w Amsterdamie. Wieczorem zadzwoniliśmy jeszcze do Holandii, żeby się dowiedzieć, jak wypadł pogrzeb. To był najsmutniejszy dzień w czasie naszej ucieczki, może nawet w całym naszym życiu.

Codziennie kupowanie gazety w Paryżu stanowiło dla nas swego rodzaju atrakcję, co wiele mówi o naszej sytuacji w tamtym okresie. Codziennie czekałem na tę chwilę. Przeczytać, jak Ajax zagrał, co słychać w Amsterdamie. Zawsze było coś o ludziach, których znaleźmy ze światka przestępczego, albo o wyścigach. Taki kawałek Holandii, *une pièce d'Amsterdam*, używając francuskiego zwrotu. Mimo że nie mogliśmy narzekać na mieszkanie i opiekę, to nie było nam łatwo. Nie mieliśmy doświadczenia w ukrywaniu się i mogę teraz powiedzieć, że nie polecam tego nikomu. To katastrofa, ciągle piekło. Bardzo męcząca sytuacja. Fizycznie jest się wolnym, ale psychicznie uwięzionym w klatce. W każdym momencie, każdej sekundzie może nastąpić koniec, i to się czuje. Trzeba się zawsze oglądać, ukrywać, kłamać, udawać, być kimś innym. Zawsze trzeba płacić za milczenie, kupować pomoc od ludzi, którzy jakby wyczuwali, że jesteś w kłopotach. I robisz to, bo jakie masz wyjście? Stajesz się chorobliwie

podejrzliwy wobec wszystkich i wszystkiego. Nie wierzysz w przypadek. Jeśli w ciągu dnia zobaczysz kogoś dwa razy, to myślisz, że to na pewno jakiś detektyw. Źle interpretujesz dobre intencje, odrzucasz pomoc, bo nie chcesz podejmować ryzyka...

Swoją drogą nieźle trafiliśmy z tą Sylvią Robert-Winter. Razem ze swoim przyjacielem Jeanem François zapraszała nas czasami na obiad do Neuilly, a oni jadali czasem u nas. Jean François pracował w reklamie i jak sam mówił, zrobił kiedyś reklamę żółtego sera Goudy. Poprzez niego spotkaliśmy na grillu w Neuilly francuskiego mistrza w skeecie, czyli strzelaniu do ceramicznych rzutków, który miał uczestniczyć w olimpiadzie. Rozmowa zeszła na broń i powiedzieliśmy mu, że w Amsterdamie byliśmy członkami klubu strzeleckiego. W wyniku tej rozmowy zostaliśmy zaproszeni na strzelnicę, żeby postrzelać do rzutków. Pojechaliśmy tam w którąś niedzielę w lutym i prawie zapłaciliśmy za to głową. Jechaliśmy białym golfem Sylvii i nagle, tuż za Paryżem, natrafiliśmy na rutynową kontrolę pojazdów francuskiej policji...

Cholera jasna, wpadniemy, przeleciało mi przez głowę. Nie mieliśmy żadnych papierów przy sobie. Będą kłopoty. Francuzi byli surowi w takich sytuacjach. Willem siedział za kierownicą i spojrzał na mnie pytająco. Co mieliśmy robić? Wysiąść i uciekać? Gdzie? Zastrzeliliby nas, zanim przebiegliśmy sto metrów. Za chwilę nasza kolej. Policjanci byli już dwa samochody przed nami.

Nagle wpadł mi do głowy pomysł, ostatni ratunek.

– Willem, zacznij dłubać w nosie! – zarządziłem. – Głęboko, tak, żeby dobrze widzieli...

Nos nie wahał się ani minuty i... okazało się to mistrzowskim posunięciem! Policjant podszedł do nas, spojrzał i wykrzywił twarz z obrzydzenia, kiedy zobaczył, jak Willem bezwstydnie i niesmacznie wsadza sobie palec do nosa i w nim grzebie. Nie miał ochoty oglądać naszych papierów i brać ich z jego ręki. Szybko machnął, że mamy jechać dalej. Odetchnąłem z ulgą.

– Nos, to było genialne – śmiejąc się, pochwaliłem Willema. – Oddałeś honor swojemu pseudonimowi. Nikt ci nie dorówna...

Oprócz tenisa i biegania zapisaliśmy się też do szkoły sportowej, ale po dwóch razach zrezygnowaliśmy. Przy barze wisiały trzy czy cztery emblematy wydziałów policji, a od barmana dowiedzieliśmy się, że tu mnóstwo glin trenuje. Sami kupiliśmy kilka przyrządów: fotel i ciężarki, mogliśmy teraz ćwiczyć w apartamencie. To była właściwie jedyna korzyść z naszej ucieczki. Mogliśmy robić rzeczy, na jakie przez całe lata nie mieliśmy czasu.

Poza tym wypożyczaliśmy dzięki pomocy Norberta wiele filmów wideo i oglądaliśmy telewizję. Czasami chodziliśmy na ważniejsze wyścigi konne, na przykład te w Vincennes, niedaleko Paryża. Dawniej bywaliśmy tu częściej, liczyło się zwłaszcza Prix d'Amérique, mieliśmy tam przyjaciół, którzy wystawiali swoje konie. Teraz zaś baliśmy się wejść do środka. Nie przesadzę, jak powiem, że cały światek wyścigów konnych z Holandii nas znał. Na torze bywaliśmy trzy, cztery razy w tygodniu. Jedliśmy w restauracji, obstawialiśmy gonitwy, odwiedzaliśmy stajnie i oczywiście wystawialiśmy własne konie, z których moja Varinsja była najlepsza. Zнали mnie z Willemem wszędzie. Istniało więc ogromne prawdopodobieństwo, że ktoś nas w Vincennes rozpozna. Dlatego staliśmy za płotem, w okularach słonecznych na nosie. Zdarzało się, że widzieliśmy dobrze znanego nam holenderskiego dżokeja, Jana Kruithofa, który często brał udział w wyścigach we Francji. Nie mogliśmy go teraz pozdrowić, to nie był na razie odpowiedni moment.

Przeczytałem w gazecie, że nasze konie zostały skonfiskowane i zlicytowane przez urząd skarbowy. Podobnie jak motorówki, zawartość należących do nas mieszkań, majątek przedsiębiorstwa i wszystkie nieruchomości. Wszystko, co posiadaliśmy, zniknęło pod młotkiem licytatora. Właściwie nie rozumiałem dokładnie, jak to możliwe, bo „stajnia Flippera”, do której należały wszystkie moje konie, była legalnie i formalnie zapisana na nazwisko Sonji, ale została sprzedana za moje długi. Jednak to była teraz ostatnia rzecz, o którą się martwiłem. W tym momencie ważniejsze było, co mamy dalej robić, skoro nasza ucieczka do Panamy została odwołana, a do pieniędzy z okupu nie mieliśmy dostępu.



28 Dawna nazwa obecnego hotelu Hyatt Regency Parole Étoile (przyp. red.).

Rozdział 14

Najwyraźniej zaczęło brakować nam szczęścia, aż wreszcie 29 lutego 1984 roku wylądowaliśmy w więzieniu. To był pechowy dzień. Przestępny, zdarza się raz na cztery lata. Zaczął się normalnie, prawie rutynowo. Obudziliśmy się około ósmej i wstaliśmy spokojnie. Willem jak zwykle przygotował kilka croissantów z dżemem i podczas śniadania powiedział, że wybiera się dzisiaj do fryzjera. Ubrał się porządnie, żeby nie zwracać uwagi. Mieszkaliśmy w dzielnicy biurowej, więc wypadało nosić krawat, marynarkę i płaszcz przeciwdeszczowy.

Nie miałem nic przeciwko temu i postanowiłem poćwiczyć godzinę z hantlami, które niedawno kupiliśmy. Willem zamknął za sobą drzwi i chwilę potem usłyszałem skrzypienie windy jadącej na dół. Włączyłem wideo z najnowszymi przebojami i teledyskami. Lubiłem ćwiczyć w takt muzyki, robić pompki i ćwiczenia do rytmu. W jakiś sposób muzyka zachęcała mnie do większego wysiłku. Gdybym nie nastawił jej tak głośno, może usłyszałbym, co się dzieje na dole budynku, ale dowiedziałem się wszystkiego od Willema godzinę później. Musztarda po obiedzie...

Willem wyszedł na dole z windy i zobaczył faceta w skórzanym płaszczu stojącego pod ścianą, który niby czytał gazetę. Szósty zmysł natychmiast go ostrzegł. Kto w takim miejscu czyta gazetę? Opowiadał mi później, że przez moment wahał się, co zrobić, czy nie zawrócić na górę, ale uznał, że to zwróciłoby uwagę. Powiedział więc bezczelnie *bonjour* i poszedł dalej, wkładając ręce do kieszeni. W ten sposób sugerował tym, co się na tym znali, że ma przy sobie broń. Kiedy wychodził przez furtkę, kątem oka zauważył, jak w mieszkaniu dozorczyńni rusza się firanka. Rozejrzał się dookoła i czuł, że nadchodzi katastrofa. Właśnie w tym momencie Nosa zaatakowało dwóch policjantów, którzy złapali go za ramiona. Dziesięciu innych

trzymało go na muszce i rzucając na ziemię, przystawiało pistolet do skroni.

Przytomnie pomyślał, że trzeba mnie ostrzec. W pozornej panice zaczął krzyczeć po angielsku, żeby nie strzelali:

– *Don't shoot! Don't shoot!*

Miał nadzieję, że usłyszę hałas na dole i ucieknę przez taras na dachu. Z forsą oczywiście. To był sprytny ruch ze strony Nosa, ale rytmiczna muzyka zagłuszyła odgłosy z ulicy i o niczym nie wiedziałem. Spokojnie podnosiłem ciężarki. Willem został zaraz uciszony przez dwóch obecnych policjantów holenderskich:

– Spokojnie, nikt nie strzela. Nie masz się czego bać, dopóki będziesz grzeczny.

Nosa już mieli. Teraz przysła kolej na mnie. Po założeniu kajdanków Willemowi francuskim policjantom brakowało odwagi, żeby iść na górę. Holenderscy koledzy ostrzegali ich widocznie, że mamy broń i nie mieli ochoty patrzeć w lufę pistoletu, którego, nawiasem mówiąc, u nas nie było. Zapytali Willema, czy klucz, który znaleźli w jego kieszeni, jest od mieszkania. Nos zaprzeczył, chcąc utrudnić policji aresztowanie mnie.

Dokładnie w momencie, kiedy francuscy policjanci zastanawiali się, co zrobić dalej, w przejściu ukazał się nasz kucharz Norbert z Sylvią. Od razu zostali zatrzymani. Nieszczęścia chodzą parami. Śledczy pokazał im klucz Willema i zapytał, czy go rozpoznają. Sylvia, która nie wiedziała, o co chodzi, przytaknęła bezwiednie.

– *Oui, oui...*

Sprawa była przegrana. Holenderscy policjanci zaczęli wyzywać Willema:

– Kłamiesz, bezczelna kanalio! – krzyczeli.

Kilka minut potem dołączyłem do niego. Drzwi mieszkania otworzyły się i najpierw wkroczyła Sylvia. Gliny użyły jej jako tarczy. Ja jednak, zupełnie nieświadom nadchodzącego nieszczęścia, leżałem na fotelu z ciężarkami w rękach i odezwałem się przyjaźnie:

– A to ty, Sylvia...

Nie zdążyłem skończyć zdania, kiedy zobaczyłem, że z tuzin policjantów stojących za nią szturmują mieszkanie z pistoletami gotowymi do strzału. Ciężarki wypadły mi z rąk. Dwie sekundy później ja też leżałem. Kilku

agentów siedziało na mnie i zakładało kajdanki, a jeden ściągał ze mnie spodnie od dresu. To był stary, ale nadal dobry numer, w ten sposób nie można uciekać.

Jeden z facetów, widocznie jakiś szef, zapytał ostrym tonem:

– *Vous êtes monsieur Van Oet?*[29]

Próbowałem się jeszcze bronić i odpowiedziałem ze zdziwioną miną:

– *Non, monsieur*, to nie ja. Musi się pan mylić. Moje papiery znajdują się w samochodzie na dole.

Miałem nadzieję, że pozwolą mi je zabrać. Może ucieknę, gdy już wydostanę się na zewnątrz i będę mógł ostrzec Willema. Nie wiedziałem, że jest już obezwładniony.

W tym momencie facet w cywilnym ubraniu, który do tej pory patrzył na mnie w milczeniu, odezwał się z amsterdamskim akcentem:

– Co ty wyprawiasz, Van Hout? Masz nas za idiotów?

Na chwilę zaniemówiłem... holenderski śledczy. Gra była skończona. Wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem lakonicznie:

– Nie mogłeś się wcześniej odezwać?

Policjanci zaczęli od razu przeszukiwać mieszkanie. Jasne było, co chcą znaleźć – okup. Za chwilę zabrzmiał triumfalny krzyk jednego z nich, który wyciągnął z naszych rzeczy jakieś pięćdziesiąt tysięcy guldenów. To był drobiazg. Wielką forszę, pół miliona guldenów, kilka dni temu ukryłem bardzo sprytnie w pianinie. Jeszcze zażartowałem do Willema.

– No, jak za pół miliona nie jest dobrze nastrojone, to ja nie wiem...

Miałem nadzieję, że tej sumy nie znajdą i ku mojemu zadowoleniu zobaczyłem, że Francuzi nie mieli ochoty na dalsze poszukiwania. Swoją pracę wykonali i znaleźli, jak sądzili, sporo szmalu, który chcieli oddać jak najszybciej przełożonym. Tylko dwóch holenderskich detektywów marudziło, że musi tu być więcej pieniędzy i nalegało na dokładniejsze przeszukanie. Przeklinałem ich w duchu. Musiałem szybko się ubrać i zostałem zabrany na dół, gdzie stał Willem również zakuty w kajdanki. Nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa, nasze żalosne spojrzenia mówiły wszystko. Wiedzieliśmy, że tak się to kiedyś skończy. Zostaliśmy przewiezieni dwoma samochodami do komisariatu w VIII dzielnicy Paryża.

Zostaliśmy osadzeni w osobnych celach. Przez przypadek miałem w polu widzenia Sylwię, którą również zatrzymano. Siedziała w pomieszczeniu naprzeciwko mnie i widziałem ją, bo drzwi były otwarte. Miała bladą twarz i patrzyła smutno. Zaaresztowano ją tak jak nas i dlatego była taka przestraszona. Dwóch oszustów podatkowych okazało się poszukiwanymi wszędzie porywaczami.

Siedzieliśmy przez chwilę sami i dlatego próbowałem zwrócić jej uwagę.

– Hej... psst... Sylvia!

Zadziałało, popatrzyła na mnie trochę oszołomionym wzrokiem. Nie miałem zamiaru tłumaczyć się, czy zabawiać ją rozmową. Może później przyjdzie na to czas. Chodziło mi o przekazanie informacji, że gotówka była cały czas w mieszkaniu i gdzie. Słyszałem od detektywów, że oprócz pięćdziesięciu tysięcy niczego nie znaleźli. Na szczęście.

My z Willemem byliśmy chwilowo wykluczeni ze sprawy, więc to ona musiała zabezpieczyć forszę. Potem się z nią rozliczymy. Kiedy popatrzyła w moją stronę, pokazałem jej ręką stary jak świat symbol pieniądza, pocierając kciuk i palec wskazujący o siebie. Przybrałem następnie pytający wyraz twarzy, chcąc sprawdzić, czy rozumie, o co chodzi. Skinęła głową. Następnie starałem się dać jej do zrozumienia, gdzie ukryłem szmal. Przebierałem palcami, jakby grając na pianinie i kiwałem głową w takt niesłyszalnej muzyki. To był pewnie idiotyczny widok, ale zadziałało. Sylvia pojęła szybko, uśmiechnęła się i bezdźwięcznie wyartykułowała *le pi-a-no*. Niezwykła sytuacja. Ona rozumiała język migowy, a ja potrafiłem czytać z ust.

Potem okazało się, że popełniłem jednak błąd, wciągając ją w tę sprawę. Gdybym tego nie zrobił, pieniądze do tej pory pewnie byłyby w pianinie. Po niecałym kwadransie od tego momentu Sylvia poszła na przesłuchanie. Pytali ją, czy w mieszkaniu znajdują się jeszcze cenne przedmioty lub gotówka, a jeżeli nie powie, to przewrócą cały apartament do góry nogami. Śledczy czuli, że coś ukrywa. Gdybym jej nic nie powiedział, to pewnie nic by nie znaleźli. Pod rosnącym naciskiem wypaplała jednak, że powinni szukać w *le pi-a-no*. Forsa przepadła! Używając terminu muzycznego, śpiewaliśmy teraz o ton niżej: dokładnie o pięć „ton-ów[30]”.

Willem pytał mnie później, dlaczego zdradziłem Sylvii, gdzie ukryliśmy pieniądze. Wytlumaczyłem mu, że nie miałem wielkiego wyboru. Wyglądało na to, że przez jakiś czas będziemy siedzieć i w ten sposób chciałem zapobiec sytuacji, że dziewczyna sprzeda albo wyrzuci pianino, nie wiedząc, co jest w środku. Patrząc z obecnej perspektywy, może ryzyko nie było takie duże. No tak, ale jak się z góry wszystko wie, to można objechać świat za dwadzieścia centów. Zaryzykowałem i drogo za to zapłaciłem.

Na komisariacie spisywano jeszcze całą sprawę dokładnie i obszernie, a informacje o naszym zatrzymaniu ukazały się już we francuskiej telewizji. Pozwolili mi obejrzeć program i zobaczyłem naszego dozorcę; bawiliśmy się czasami z jego dziećmi. Był zdumiony, że „tacy sympatyczni ludzie” okazali się porywaczami *le roi de la bière Heineken*. Mimo niewesołej sytuacji chcieli mi się śmiać z jego naiwności. Większość ludzi myśli, że przestępców można poznać po wyglądzie bandyty i ponurym, przerażającym spojrzeniu. Najlepiej jeszcze, żeby mieli blizny na policzkach i ohydny zarost. Życie w Amsterdamie nauczyło mnie jednak czegoś innego. Przekonałem się, że byli to często sympatyczni, dobrze ubrani, mili ludzie z poczuciem humoru, z którymi chętnie pija się drinka. Szczególnie oszuści są bardzo sympatyczni, inaczej nie mieliby szansy.

Spędziliśmy dwa dni na komisariacie. Tyle czasu było potrzeba na pobranie odcisków palców, przesłuchania – *non, non*, nie mam nic do powiedzenia – i wniesienie oskarżenia przez prokuratora i sędziego.

Nie miałem ochoty zeznawać. Mogli użyć tego, co powiem, przeciwko mnie. Tylko Sylwię staraliśmy się oczyścić z zarzutów. Pomogła nam bardzo, chociaż musieliśmy za to nieźle płacić. Ale to przecież oczywiste. Nie oczekiwałem od nikogo jałmużny. Potem trzeba się odwdzięczać. Podczas przesłuchania prosiłem ciągle o możliwość skontaktowania się z adwokatem. Ale w przeciwieństwie do Holandii we Francji nie było takiego zwyczaju. Jedzenia i picia też prawie nie dostawaliśmy. W ciągu tych dwóch dni dali mi jakąś białą bułkę ze startą marchewką, to wszystko. Burczało mi w żołądku. Ujmując to, co się tutaj działo, nieco żartobliwie, można było całą sytuację potraktować jako przygrywkę do życia „o chlebie i wodzie”, jakie czekało nas w Holandii.

Detektywi z Amsterdamu, De Rijk i Gebhard, również przebywali na komisariacie. Cieszyli się i świętowali, że udało im się złowić takie grube ryby. Pili w biurze puszkowanego... heinekena. Widocznie chcieli nas sprowokować, ale nie dałem się. Mówili do mnie.

– Pojedziesz do Holandii i dostaniesz przynajmniej dwadzieścia lat...

Nie dałem się nabrać i przybrałem zdziwiony wyraz twarzy.

– Ach tak? A dlaczego?

Nie chciałem pozwolić, żeby naigrawali się z mojego losu.

Drugiego dnia stanęliśmy przed sądem w okazałym gmachu Pałacu Sprawiedliwości przy Boulevard du Palais na sławnej Ile de la Cité na Sekwanie, w sercu Paryża, blisko katedry Nôtre Dame. To była formalna procedura konieczna do przetrzymywania nas w areszcie. Poznaliśmy Holenderkę, pracującą w sądzie w charakterze tłumaczki, która wyjaśniała nam francuskie terminy prawne. Powiedziała mi, że z Holandii przyjechał specjalnie do mnie adwokat i że mogę z nim porozmawiać. Trochę mi to poprawiło humor. Podejrzewałem, że to „stary” Jejler de Jong; przyda się na pewno. Był wiekowym, pomarszczonym, ale bardzo biegłym prawnikiem z samego Amsterdamu, który nieraz nam już pomagał.

Kiedy po przedstawieniu aktu oskarżenia zaprowadzono mnie do małej, ale dobrze strzeżonej celi, gdzie miałem rozmawiać z adwokatem, zobaczyłem od razu, że to nie był Jejler. Nie znałem tego mężczyzny. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Siwiejący na skroniach, doskonale ubrany, niewysoki, ale dobrze zbudowany. Na nosie miał okulary ze złotym łańcuszkiem wpiętym w klapę marynarki, a więc było to eleganckie lorgnon. Któż to mógł być na miłość boską? Od razu do mnie podszedł i przywitał się mocnym uściskiem dłoni.

– Moszkowicz – przedstawił się.

Odetchnąłem z ulgą. Nigdy go osobiście nie spotkałem, ale dużo o nim czytałem i słyszałem. To był mecenas Max Moszkowicz z Maastricht, słynny w Holandii specjalista w zakresie prawa karnego, znakomity adwokat. Prawdę mówiąc, byłem trochę zdziwiony i, mimo chwilowej ulgi, zaczęły mnie ogarniać wątpliwości. Dziwiłem się, że taki sławny adwokat przyjechał aż do Paryża. Nie miałem pojęcia, kto go dla mnie załatwił. Z wahaniem

w głosie zadałem pierwsze pytanie:

– Nie przybywa pan czasem w imieniu Heinekena?

Moszkowicz zaśmiał się, ale zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, proszę się nie obawiać. Reprezentuję wyłącznie pana interesy.

Wytłumaczył mi, że kilka godzin po aresztowaniu zadzwoniła do niego Sonja z prośbą o zajęcie się moją sprawą. I tak zrobił. Uśmiechnąłem się... kochana Boxie. Świetnie się spisała. Pomoc prawna najlepszego adwokata w tej sytuacji była nie do pogardzenia.

Od Moszkowicza dowiedziałem się, że dla Willema zadzwoniono po Ipo de Vosa, adwokata od spraw karnych z Amsterdamu, również należącego do grona najlepszych. Miał przyjechać wkrótce. Na moje pytanie, czy nie moglibyśmy obaj skorzystać z jego pomocy, prawnik z Maastricht wytłumaczył mi, że to nie jest rozsądne, bo w czasie procesu mogą pojawić się sprzeczne interesy. Pierwsza rozmowa w Pałacu Sprawiedliwości była krótka, takie zapoznanie się obu stron. Zapytałem Moszkowicza, co będzie dalej. Wrócimy natychmiast do Holandii, czy musimy tu zostać? Poinformował mnie, że między Holandią i Francją obowiązuje umowa o ekstradycji, którą on natychmiast przestudiuje. Spodziewał się, że pierwsze dwa tygodnie spędzimy we Francji. Myślałem początkowo, że może uda nam się wrócić samochodem do Holandii z tymi dwoma policjantami, ale okazało się, że to nie takie proste.

Pod koniec rozmowy Moszkowicz zapytał, czy czegoś nie potrzebuję. Tak, potrzebowałem. Straciłem wszystko, nie miałem nawet centa w kieszeni.

– Ma pan może przy sobie jakieś pieniądze? – zapytałem bezczelnie, wiedząc, że między klientem a adwokatem jest raczej odwrotnie.

Pan Moszkowicz od razu wyciągnął portfel i dał mi dwa banknoty stufrankowe. Zobaczyłem, że ma jeszcze banknot pięćsetfrankowy i chwyciłem za czubek. Spojrzałem na niego pytająco, na co się roześmiał i przytaknął skinieniem głowy. Pożegnaliśmy się znowu silnym uściskiem dłoni. Od razu poczułem się lepiej. Przyjazd mecenasa Moszkowicza przywrócił mi trochę wiary w siebie.

Po tej rozmowie usłyszeliśmy z Willemem, że nie pojedziemy z powrotem na komisariat, ale zostaniemy przewiezieni do więzienia La Santé w Paryżu.

Nigdy jeszcze nie przebywałem dłużej w więzieniu. Cztery dni po incydencie ze squatem przesiedziałem na komisariacie, ale nazwa La Santé brzmiała znajomo, żeby nie powiedzieć złowieszczo. Więzienie to opisywano w gazetach jako coś w rodzaju amerykańskiego Alcatraz, nieludzkie, okrutne miejsce, z którego ucieczkę można sobie było od razu wybić z głowy. La Santé, czyli po francusku „zdrowie”, na pewno nie wychodziło człowiekowi na zdrowie.

Myślałem o różnych rzeczach, kiedy jechaliśmy tam z Willemem osobnymi więźniarkami pod eskortą uzbrojonych policjantów. Mieliśmy kajdanki na rękach i nogach. Siedzieliśmy w specjalnie do tego celu skonstruowanej klatce o wymiarach pół metra na pół metra. Nie można było wykonać żadnego ruchu, więc kajdanki były właściwie zbędne.

W więzieniu, przy ulicy pod tą samą nazwą, Rue de la Santé, zaprowadzono nas najpierw do części administracyjnej, żeby dokonać rejestracji. Stałem wraz z kilkoma innymi więźniami, cały czas zakuty w kajdanki i rozglądałem się zdumiony. O Jezu, co to była za nora. Prawdziwe średniowiecze, mówiąc słowami nadinspektora policji Sietsmy. Widziałem, że Willem również przyglądał się wszystkiemu z obrzydzeniem na twarzy.

– W mordę, ale to wszystko badziewie – szepnął do mnie.

Okazało się, że nie dosyć cicho, bo strażnik stojący obok nas zapytał władcym tonem, co Willem powiedział. Nos przetłumaczył oczywiście nie dosłownie, ale na tyle, na ile znał francuski, oświadczył, że więzienie jest bardzo stare i zaniedbane. Strażnik wyszczerzył zęby w uśmiechu i odpowiedział drwiąco:

– Co też pan mówi, znajduje się pan teraz w nowej części...

Kilkoro innych strażników wybuchnęło śmiechem. Popatrzyliśmy na siebie bezradnie. Do diaska!... niezłe rzeczy nas tu czekają... Cieszyłem się, że pobyt w La Santé potrwa nie dłużej niż dwa tygodnie.

Musieliśmy oddać wszystkie rzeczy, po raz nie wiadomo który wzięto od nas odciski palców, kazano nam wypełnić papiery, rozebrać się całkiem i po „inspekcji” ubrania i ciała znowu się ubrać. Przyszedł fryzjer i zgolił wszystkim długie loki. Prymitywna robota. Wyglądaliśmy idiotycznie. Mimo

to śmiać mi się chciało, gdy przyszła kolej na Willema.

– Przecież byłeś w drodze do fryzjera, kiedy nas aresztowali? No, to ci się udało... – powiedziałem, kiedy jego ciemne pukle opadały na podłogę.

I dodałem z pewną ironią:

– Ale mnie mogłeś zostawić w domu, Nos...

Po ścięciu włosów i ogoleniu dostaliśmy pościel i dano nam do zrozumienia, jakie reguły obowiązują w La Santé. Sprzeciw ani żarty nie będą akceptowane. Mamy robić, co polecono, i to szybko, nie marudzić. Aby podkreślić wagę tych słów, pilnujący nas mężczyźni wazyli w rękach gumowe pałki, jakby je dopiero co dostali. Zaraz potem główny strażnik ryknął, że nie można trzymać rąk w kieszeniach, a jeśli ktoś z personelu do nas mówi, to mamy stać w rzędzie i nie odzywać się bez pozwolenia.

– *Compris!!?* – wyszczekał, chcąc sprawdzić, czy rozumiemy. To był bardziej rozkaz niż pytanie.

Kto nie pojął, musiał się nauczyć w inny sposób. Nikt nie miał odwagi zadać pytania lub czegoś powiedzieć. Scena wyglądała dokładnie tak jak w filmach. Czułem się ponizony, jednak pogodziłem się ze swoim losem. Nie miałem ochoty buntować się. Trzeba było nie dać się złapać. Pierwszą noc spędziliśmy w specjalnej celi, służącej tylko do spania. Musieliśmy wchodzić po kolei. Willem zrobił to pierwszy, a ja schyliłem się, wchodząc szybko za nim. Strażnik zawahał się przez chwilę, czy ma zareagować, ale niczego nie zrobił. Dołączył do nas jeszcze jakiś Arab i cela była pełna. Naprawdę pełna. Nie przesadzam, jak napiszę, że miała wymiary dwa i pół metra na półtora, i jedno trzypiętrowe łóżko. Miejsca na stół nie było. Potrącając się bez przerwy, przygotowaliśmy sobie posłania i położyliśmy się na nich. Zdażyliśmy na czas, bo niecałe pięć minut później światło zgasło. Nawet promyk nie wpadał, zapanowały egipskie ciemności. Nikt nic nie mówił. Wszyscy byli zajęci własnymi myślami. Leżałem na pryczy i dumałem o zdarzeniach ostatnich dni. La Santé to był koszmar. Na szczęście nie mieliśmy tu zostać zbyt długo. Inaczej można by się powiesić. No tak, ale co nas czekało w Holandii? Osiem, dziesięć, dwanaście, czternaście lat w więzieniu? Czy to była ciekawsza perspektywa? Nie, oczywiście, że nie, jednak na razie minął czas, w którym mogłem decydować sam o sobie.

W ciemnościach słyszałem ciężki oddech Nosa. Nie widziałem jego twarzy, ale przypuszczałem, że myśli mniej więcej o tym samym co ja.

– Willem? – zapytałem.

– Tak, Flip...

Milczałem przez chwilę i powiedziałem tylko:

– Dobranoc, przyjacielu...

29 Czy pan nazywa się Van Hout? (przyp. tłum.).

30 Gra słów: Een ton – sto tysięcy (przyp. tłum.).

Rozdział 15

Następnego ranka, choć oficjalnie zerwano nas z prycz o siódmej, to już wcześniej obudził nas łomot i krzyk w całym budynku. Panował hałas jak na targowisku. Dano nam niewiele czasu na ubranie się, o myciu nie było mowy, i zaprowadzono do dużej sali, gdzie stanęliśmy przed jakimś wysoko postawionym urzędasem. Miał dokonać selekcji, a potem przydzielić nas do jednego z sześciu bloków, na jakie jest podzielone La Santé. Słyszałem, że siedziało w nim w sumie dwa i pół tysiąca więźniów. Był to ludzki konglomerat.

Zająłem miejsce w kolejce obok Willem i powoli przesuwaliśmy się do przodu. Trzeba było stać przynajmniej metr od biurka tego człowieka – zdecydowanie nie mniej – i podać swój numer rejestracyjny, który nadano nam dzień wcześniej podczas wpisu. Gdy nadeszła moja kolej, powiedziałem: „Van Oet”, ponieważ Francuzi tak wymawiają moje nazwisko „Van Hout”, „Van Oet – numer 219531 W, monsieur”. Facet popatrzył na mnie przez chwilę i przesuwał palcem po liście z nazwiskami, czytając znajdujące się przy nich instrukcje. Następnie spytał, czy „Olleder” jest także obecny, po czym Willem zrobił dwa kroki do przodu. W notatkach widniało, jak nam powiedział, że mieli kategorię zakaz umieszczania nas nie tylko w tej samej celi, ale nawet na tym samym bloku.

Był to dla nas potężny cios. Żyłem nadzieją, że będziemy mogli przebywać razem, gdyż to złagodziłoby nieco naszą odsiadkę. Następnie szef zmierzył nas badawczym wzrokiem od góry do dołu, po czym zapisał przy moim nazwisku „blok C” i przy nazwisku Willema – „blok A”.

Dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się, że blok, który mi przydzielono, był najgorszą, a także jedną z najstarszych części więzienia. W przeciwieństwie do mnie Willemowi powiodło się lepiej, o ile w ogóle

można tak mówić, gdy ktoś trafi do La Santé. Blok A był odnowiony i cieszył się sławą „bloku oszustów”. Siedzieli tam ludzie o pewnej reputacji, sławni złodzieje i wielcy aferzyści.

Mężczyzna, który zdecydował o naszym przydziale, dokonał czysto losowego wyboru. Willem, ubrany w garnitur i płaszcz przeciwdeszczowy, wyglądał schludnie i całkiem kulturalnie, więc oceniono, że nadaje się do bloku oszustów. Ale ja w momencie zatrzymania przypadkowo trenowałem w starym dresie i zostałem potraktowany jak jakiś gałgan, który pasował do zbieraniny w bloku C: morderców, rabusiów, alfonsów i wariatów... Oznaczało to, że przez najbliższy czas nie będziemy się widywać. Poczułem się dziwnie, ponieważ w ostatnich latach, a szczególnie w ostatnich miesiącach, byliśmy nierozłączni. Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni i cmoknięciem w policzki, a ja rzuciłem:

– Trzymaj się, Nos.

– Nie daj się, Flip – odpowiedział.

Każdy z nas poszedł innym korytarzem, mnie towarzyszyło trzech ochroniarzy. Po drodze usłyszałem, jak szepczą na mój temat, padało określenie *Le ravisseur d'Eineken* – „porywacz Heinekena”. Zauważyłem, iż nawet w takim więzieniu jak La Santé robiło to wrażenie.

Cela, do której teraz trafiłem, była nieco większa niż klitka z poprzedniej nocy. Stały tutaj dwa łóżka piętrowe, a na środku drewniany stolik. Do ściany był umocowany kranik, z którego woda spływała bezpośrednio do otwartej muszli klozetowej. Oszczędzało to prawdopodobnie miejsca na umywalkę. Patrząc na to wszystko, odbiegłem na chwilę myślami w przeszłość, do dwupokojowego mieszkania w Amsterdamie przy Van Beuningenstraat, gdzie się wychowywałem. Stały w nim takie same łóżka. Od tego czasu minęło ponad piętnaście lat, ale co się właściwie zmieniło? Moimi towarzyszami w celi był zbir, który tak pobił policjanta, że doprowadził go do inwalidztwa, i facet, który obrabował bank. Razem około pięćdziesięciu lat do odsiadki, ale specjalnie się tym nie przejmowałem. Była to tylko tymczasowa sytuacja i musieliśmy pogodzić się z niewygodami. A ponadto nie mieliśmy na to zbyt dużego wpływu.

Na szczęście szybko otrzymałem wiadomość od mecenasa Moszkowicza.

Willem i ja mieliśmy zostać doprowadzeni przed izbę oskarżycielską, zwaną po francusku *Chambre d'Accusation* [31]. Był to rodzaj sądu, który miał zająć się naszą procedurą ekstradycyjną.

Pierwsze posiedzenie zaplanowano już na środę, 7 marca. W tym dniu zostaliśmy przewiezieni do sądu samochodami o zaciemnionych szybach i szczerze mówiąc, nawet mi to odpowiadało. Oznaczało, że możemy zaczerpnąć nieco świeżego powietrza i przynajmniej na chwilę wyjść z tego ponurego otoczenia. Ponadto mogłem ponownie zobaczyć Willema. Byłem ciekaw, co u niego słyhać. Powiedział mi, że ma się stosunkowo dobrze, chociaż najpierw miał trochę utarczek z kolegą z celi więziennej, z którym go posadzili. Ten facet miał nie wszystkie klepki w porządku i trzy razy dziennie czyścił jak szalony starą szmatą linoleum, aż podłoga błyszczała jak lustro. Aby zachować ten błysk, uszył ze starego wełnianego koca dla siebie i dla pozostałych więźniów z celi kapcie, które każdy w celi musiał nosić. Ze słów Willema wynikało, iż stuknął się w głowę i te jego pantofelki po prostu rzucił w kąt. Gdy parę godzin później gumowe buty sportowe Nosa pozostawiły czarne ślady na linoleum, doszło do pierwszej sprzeczki. Facecik zaczął się rzucać jak zwariowany i prawie skoczył Willemowi do gardła. W ataku złości wrzeszczał na pół więzienia. Uspokoił się trochę dopiero, kiedy Willem został w pośpiechu przeniesiony do innej celi, a wtedy z pełnym zapałem zabrał się natychmiast do usuwania śladów butów mojego przyjaciela. Mimo wszystkich utrapień krztusiłem się ze śmiechu, gdy Willem szeptał mi tę historyjkę do ucha. W *La Santé Nos* stał się dosłownie „kapiowym bohaterem”.

Ale wróćmy do poważniejszych spraw. Nie miałem zielonego pojęcia, jak będzie przebiegać takie posiedzenie. Na krótko przed rozpoczęciem odwiedzili nas, w jakiejś małej poczekalni, nasi adwokaci. Oprócz mecenasa Moszkowicza przyszedł także Ipo de Vos. Ponadto zjawiło się również dwóch francuskich adwokatów, Antoine Comte i Michel Rasle, ponieważ oni oczywiście dużo lepiej znali francuskie procedury sądowe. Po wywołaniu sprawy zostaliśmy wprowadzeni i zdjęto nam kajdanki. Na sali sądowej wyglądającej trochę staroświecko stało ośmiu uzbrojonych policjantów pilnujących porządku. Na trybunach siedziało kilku holenderskich

dziennikarzy.

Rozprawa strasznie nas rozczarowała. W zasadzie niczego nie omówiono. Za pośrednictwem tłumacza mogliśmy tylko udzielić odpowiedzi na kilka pytań dotyczących naszej tożsamości. Następnie przewodniczący, jakiś Bertholon, powiedział, iż nie otrzymał jeszcze tłumaczenia wniosku o ekstradycję i z tego względu odracza rozprawę do 21 marca. Do tego czasu, a więc jeszcze dwa tygodnie, musieliśmy zostać w areszcie. I tyle. Rozejść się! Marsz!

Oznaczało to, że musimy zawrzeć dłuższą znajomość z więzieniem La Santé i jego mieszkańcami. Miłe było to, że na spacerunku, na wewnętrznym dziedzińcu szybko poznałem innego Holendra, ziomka z mojego miasta. Nazywał się Dick Hommerson i parę lat wcześniej został zatrzymany na lotnisku w Paryżu za przemyt ponad pięćdziesięciu kilogramów kokainy. Znałem jego sprawę z gazet. Swego czasu dużo mówiło i pisało się na ten temat, ponieważ była to największa partia kokainy, jaką skonfiskowano w Europie. Teraz nagle poklepał mnie po ramieniu i powiedział z amsterdamskim akcentem:

– Cześć, koleś, podoba ci się tutaj choć trochę?

W takim miejscu jak La Santé, gdzie człowiek jest obcy, luksusem jest usłyszeć język ojczysty. Dotyczyło to nas obu. Podczas spaceru Dick opowiedział mi wszystko o życiu więziennym we Francji. Co wolno, a czego nie wolno robić. Komu można zaufać i jak uczynić życie jak najbardziej znośnym.

Po ponad tygodniu wywołano mnie z celi, ponieważ ktoś przyszedł na widzenie. Przypuszczałem, że zjawił się mecenas Moszkowicz i przynosi jakieś informacje o postępowaniu ekstradycyjnym. Dwóch strażników zaprowadziło mnie do oddzielnego pomieszczenia, w którym znajdowała się długa lada recepcyjna i za nią stało około sześćdziesięciu taboretów. W połowie tej lady zamontowano akrylową szybę kilkucentymetrowej grubości. Po drugiej stronie także ustawiono taborety. Tam mógł usiąść odwiedzający i trzeba było rozmawiać przez szybę.

Niekiedy, a doświadczyłem tego później, gdy wszystkie miejsca do siedzenia były zajęte, musieliśmy krzyczeć, aby się nawzajem zrozumieć.

Była to kakofonia dźwięków w różnych językach. Ku mojemu zaskoczeniu za szklaną ścianą nie czekał mecenas Max, ale moja Boxie, która przyjechała w odwiedziny samochodem, razem ze swoją matką Stien. Zobaczyłem ją wtedy po raz pierwszy od czterech miesięcy. Ale miałem wrażenie, jakby upłynął już rok, po tym wszystkim, co się wydarzyło. Przez ten czas musiałem się zadowolić starym, malutkim kolorowym zdjęciem jej i Francis. Teraz zauważyłem, że mało już przypominała Sonję z fotografii, minione miesiące odbiły się na jej twarzy, przyglądała mi się nerwowo. Usiadła naprzeciw mnie i przycisnęła rękę do akrylowej szyby.

– Witaj, Cor, jak się masz...? – zapytała, ale przez szybę nie mogłem dosłyszeć jej cichego, ściśniętego emocjami głosiku.

Domyśliłem się, co do mnie mówi, czytając z ruchu jej warg.

– Dobrze, kochanie... a co z tobą? Jak cudownie, że przyjechałaś – odpowiedziałem, mówiąc nieco głośniejsze.

– Dobrze, Cor, jakoś leci – powiedziała, ale widziałem, że łzy zbierają się w jej oczach. – Zawsze będę na ciebie czekać, Cor... niezależnie od tego, co się wydarzy. Musisz o tym wiedzieć.

Ścisnęło mnie w gardle, chciałem się przecisnąć przez tę szybę, aby móc przytulić ją do siebie. Czym zasłużyłem sobie na taką kobietę? Przytaknąłem tylko, próbowałem puścić oko i przez chwilę nie mogłem z siebie wydobyć ani słowa. Dalsza rozmowa była przyjemniejsza. Sonja pokazała mi zdjęcie małej Francis, która urosła jak na drożdżach w ciągu minionych czterech miesięcy. Opowiedziała mi o niej wszystko, ale także o sobie, jak się ratowała w trudnych sytuacjach, które nadeszły po rozwikłaniu sprawy porwania. Później uzmysłowiłem sobie, że na temat samego uprowadzenia nie zadawała żadnych pytań. Prawdopodobnie traktowała to jak coś z przeszłości, wydarzenie, którego nie można było cofnąć. Podczas któregoś z późniejszych widzeń powiedziała w pewnym momencie: „Tak się cieszyłam, że nic o tym nie wiedziałam, ponieważ powiedziałabym wszystko na komendzie, aby tylko móc stamtąd wyjść z Francis”.

Trzy kwadransy minęły oczywiście za szybko. Mieliśmy sobie jeszcze tak wiele do powiedzenia, ale strażnicy byli nieubłagani. Po rozmowie moja bateria ponownie była całkiem naładowana. Mimo wszystkich trosk i niedoli

zwawo wracałem do celi.

Posiedzenie sądu 21 marca znów okazało się farsą. W tym momencie siedzieliśmy już trzy tygodnie, ale w moim odczuciu, co najmniej sześć. Czas mijał powoli. Niezbędne tłumaczenie wraz z aktem oskarżenia jeszcze nie wpłynęło i rozprawa trwała chyba jeszcze krócej niż za pierwszym razem. Sprawę ponownie odroczone o tydzień, ale tym razem przewodniczący obiecał, iż na następnym posiedzeniu kwestia ekstradycji rzeczywiście będzie rozpatrywana. Jedyną zaletą przebywania w Chambre d'Accusation było to, że ponownie zobaczyłem kilku znajomych. Na trybunie dla publiczności obok Sonji siedziała także matka Willema, jego brat Gerard, mój brat Ad i jeszcze kilku przyjaciół z Amsterdamu.

Machali do nas entuzjastycznie i czasami zwracali na siebie uwagę, sycząc „pss!”, po czym wysuwali kciuk do góry. Kiwałem przytakująco i puszczałem do nich oko, kiedy tylko mogłem. Jeżeli o mnie chodzi, to rozprawa mogła trwać trochę dłużej niż pięć minut. Chwilę przed tym, jak ponownie zakuto mnie w kajdanki, przesłałem Boxie całusa ręką. Następnie nas wyprowadzono. I znów tydzień w La Santé.

Byliśmy z Willemem odseparowani od siebie w więzieniu, udało mi się jednak zobaczyć go parę razy na początku odsiadki. Było to w salce kościelnej, gdzie raz na tydzień odprawiano coś w rodzaju mszy. Właściwie mnie to nie interesowało, a poza tym ceremonia odbywała się po francusku, ale pomagało mi trochę odwrócić uwagę od beznadziejnej monotonii celi, a tego potrzebowałem. Od współwięźnia usłyszałem, że widział tam Willema i dlatego szukałem podstępu, aby tam także pójść: oczywiście w tym samym czasie co Nos.

W rzeczywistości było to bardzo proste. Podałem nazwisko kolegi z sąsiedniej pryczy, niejakiego Ladyfaritte, a ponieważ strażnicy jeszcze niezbyt dobrze znali moją twarz, nie połapali się w tym parę razy. Ladyfaritte był tak uprzejmy, że za paczkę papierosów zostawał w celi w tym czasie jako „Van Oet”. Siedziałem z Willemem z tyłu w salce kościelnej i szeptem rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Dodawaliśmy sobie trochę odwagi i przekazywaliśmy nowinki. W więzieniu wszyscy śledzili naszą sprawę. Francuska prasa pisała o niej regularnie i otrzymywaliśmy od

współwięźniów wycinki z gazet z Japonii, a nawet z Chin, gdzie również były o nas wzmianki. Dawaliśmy sobie dosyć dobrze radę z francuskim. Uczyłem się tego języka w szkole, a potem często bywałem we Francji na wakacjach, ale jeszcze częściej na wyścigach konnych. W ten sposób zdobyłem sporo doświadczenia w mówieniu i władałem nim niezłe.

W środę, 28 marca 1984 roku, o drugiej po południu, ponownie stawiliśmy się przed Chambre d'Accusation w Paryżu. Tego dnia miała się odbyć rozprawa główna i w więzieniu już optymistycznie poinformowałem, iż długo już tu nie będę. Myślałem, że teraz szybko przewiozą nas do Holandii. Grzecznie wszedłem na salę sądową, która była po brzegi wypełniona przedstawicielami mediów, ale przybyła także rodzina i przyjaciele.

Z moim adwokatem, Maxem Moszkowiczem, nie zdążyłem porozmawiać przed rozprawą, ponieważ wlekliśmy się w korkach w mieście. Przy wejściu wziął mnie pośpiesznie na bok. Miał dla mnie świeże informacje...

– Niech pan dobrze posłucha – szeptał mi z lekkim podekscytowaniem do ucha, spoglądając jednocześnie na zegar. Rozprawa mogła się rozpocząć w każdej chwili. – Zaszło coś bardzo ważnego. Musicie się sprzeciwić ekstradycji! Gdy za chwilę spytają, czy chcesz wrócić do Holandii, proszę powiedzieć „nie”, zamiast „tak”. Czy pan słyszy? Proszę powiedzieć „nie”. – Pan Max, jak zaczęliśmy go z Willemem nazywać między sobą, wypowiedział ostatnie słowa z naciskiem i patrzył przenikliwie przez swoje lorgnon na mnie, czy dobrze go zrozumiałem.

Stałem jak zamurowany. Czy dobrze usłyszałem?

– Co???? Nie zgadzać się na wydalenie? – zapytałem tak głośno, że wiele głów na sali odwróciło się w moją stronę. Dlaczego? Byłem całkowicie nastawiony na to, że dzisiaj zapadną decyzje i szybko wrócimy w domu. Mieliśmy nagle grać na „nie” i zgadzać się na dalszą niedolę w La Santé?

Pan Max kiwnął rezolutnie głową.

– Tak, proszę mi zaufać, wkrótce wszystko panu wyjaśnię.

Postanowiłem tak zrobić i potwierdziłem to dosyć niepewnie:

– W porządku, jeżeli pan tak mówi, ale nic z tego nie rozumiem.

Mecenas Ipo de Vos zaproponował to samo Willemowi. Nos popatrzył na mnie pytająco, z podniesionymi brwiami. Dałem mu wyraźnie do

zrozumienia, że dla mnie to wszystko też wciąż stanowi zagadkę.

Rozprawa rozpoczęła się i odczuwałem jakiś ucisk w żołądku, obawiając się tego, co się ma zaraz stać. Przewodniczący sądu, Bertholon, po zwyczajowym sprawdzeniu tożsamości spytał Willema, czy zgadza się na ekstradycję. „Tak” oznaczało bilet do Amsterdamu w jedną stronę. Willem zawahał się na chwilę, popatrzył przez sekundę na swojego adwokata i powiedział: *Non*, nie. Tłumaczka, pani Tardy, nagle wypadła ze swojej roli i powiedziała: „Masz chyba na myśli *oui*, tak.

Zrozumiała reakcja, ponieważ wszyscy wiedzieli, jak bardzo chcieliśmy uzyskać zgodę na wydalenie i że chętnie współpracowaliśmy podczas postępowania. Willem powtórzył jednak, teraz już głośniej:

– *Non, je veux rester*[32].

Zaskoczony przewodniczący za chwilę postawił mi to samo pytanie. I ponownie rozbrzmiało: *Non*. Czułem po gorączkowym szemraniu na sali, że nikt się nie spodziewał takiego obrotu spraw. Dziennikarze pośpiesznie robili notatki. Moja rodzina i przyjaciele czuli, że coś się dzieje, ale nie mogli dokładnie zrozumieć co. Boxie spoglądała na mnie nerwowo. Nie wiedziała o niczym. Uspokajająco skinąłem głową, aby jej dać do zrozumienia, że wszystko jest pod kontrolą, ukrywając przy tym własne wątpliwości. Bertholon był także zaskoczony. Aby dojść do siebie, natychmiast wyznaczył nową datę rozprawy na 18 kwietnia. Wtedy miały być wygłoszone mowy obrończe. Dodatkowe trzy tygodnie w La Santé. Konsekwencje naszego „nie” były od razu odczuwalne.

Przez ten czas umierałem z ciekawości, żeby usłyszeć od mecenasa Moszkowicza, dlaczego mamy się sprzeciwiać ekstradycji. Razem z Ipo de Vosem wszystko mi wytłumaczyli w strzeżonym pokoiku obok sali rozpraw. Słuchałem z rosnącym zaskoczeniem. Pan Max tłumaczył, że dokładnie przestudiował traktat o ekstradycji pomiędzy Francją i Holandią i natknął się na coś bardzo ważnego. Tłumaczył to oczywiście, używając skomplikowanego języka prawniczego, ale sprowadzało się do tego, że w traktacie z 1895 roku wymieniono po kolei wszystkie przestępstwa, za które, opierając się na przepisach prawa, można było kogoś wydać. Widniały tam między innymi: zabójstwo, otrucie, a także bunt, plądrowanie, aborcja

i bigamia. Traktat był bardzo stary i w tym mogliśmy dopatrywać swej szansy na ratunek.

Holandia zwróciła się do Francji o ekstradycję z powodu czterech popełnionych przez nas przestępstw: bezprawnego pozbawienia wolności, wymuszenia rozbójniczego, pisemnych grózb i rozboju. Traf zrządził, że dwa najcięższe z nich, czyli bezprawne pozbawienie wolności i wymuszenie rozbójnicze, nie były ujęte w tej umowie. „A jeżeli czegoś nie ma w traktacie, to nie można być za to wydanym – stwierdził mecenas Moszkowicz w swoim wywodzie. – Dlatego musieliście powiedzieć »nie«. Gdybyście powiedzieli »tak«, to sędziowie w ogóle nie zapoznaliby się z traktatem lub tylko pobieżnie. Ponieważ odmówiliście współpracy, a więc sprzeciwili się ekstradycji, muszą ocenić sprawę, opierając się wyłącznie na podstawach prawnych i, jeżeli zrobią to zgodnie z treścią traktatu, nie możecie za te czyny zostać wydani władzom holenderskim. Może to nastąpić tylko za groźby i za rozbój, ale są one zagrożone karą do czterech lat, rozumiecie”, zakończył pan Max swój wykład, chuchając niedbale na swoje okulary, które następnie wytarł o tokę.

Nie mogłem stłumić okrzyku podniecenia:

– O rany, a to dopiero dobra nowina!

Ha, ha, z takiej przyczyny mogłem jeszcze parę tygodni posiedzieć w La Santé. Nawet gdyby to miało być w kiblu... Ale niesamowity przypadek!

Nie mogłem w to wszystko uwierzyć. Czyżby po tylu pechowych sytuacjach zaczęło się do nas uśmiechać szczęście? W samochodzie, w drodze powrotnej do La Santé, rozmawialiśmy z Willemem podekscytowani. Czyżbyśmy naprawdę mieli małą szansę? Och, gdyby mecenas Max miał rację! Za pierwszym razem, jak tylko będę miał okazję, dam Boxie całusa, po którym zemdleje, ponieważ to ona wyszukała dla mnie adwokata Moszkowicza. To był naprawdę mistrzowski chwyt. Teraz okazało się ponownie, iż w reputacji tego człowieka nie ma żadnej przesady. Mieliśmy przecież także dwóch francuskich adwokatów, ale oni najwidoczniej przeoczyli te szczegóły. Rumieniąc się ze wstydu przytakiwali tylko, gdy pan Max przedstawiał nam swoją teorię.

W Holandii ten niespodziewany rozwój wypadków wstrząsnął

społeczeństwem i wywołał gorące dyskusje. W przysyłanych mi codziennie gazetach publikowano długie wypowiedzi i ostre komentarze, listy od oburzonych czytelników nie przestawały napływać. Wyglądało na to, iż uda nam się uciec przed odpowiedzialnością, co wprawiało we wściekłość wiele osób. W gazetach pisano wciąż o „sprytnym zagranium” adwokata, który wmanewrował organy ścigania w trudną sytuację, powołując się na „zakurzona” umowę. Przestępcom udawało się uniknąć zasłużonej kary. Mecenas Moszkowicz występował prawie codziennie w telewizji, aby w różnych talk-show i programach wszystko od nowa tłumaczyć, przy czym sam był pod ciężkim ostrzałem. Za każdym razem pojawiała się pytanie, czy nie odwrócił świata do góry nogami i czy to jest sprawiedliwość. Ludzie chcieli wiedzieć, czy on, jako adwokat, mógł się z tym pogodzić. Pan Max za każdym razem wyjaśniał, iż być może ta umowa międzynarodowa faktycznie jest stara, ale przez to nie straciła nic na ważności. Powiedział, iż nie można go obwiniać o to, że Holandia przez prawie całe stulecie zaniedbała weryfikacji i nowelizacji tego aktu prawnego. Jego zadaniem było tylko dbanie o to, aby prawo było poprawnie stosowane i nienagane w myśl zasady, iż cel uświęca środki.

Według gazet, powstała zwłoka stała na przeszkodzie prowadzeniu postępowania przeciwko Hamulczykowi, Janowi Boellaardowi i Fransowi Meijerowi. W czasie jednej z rozpraw przygotowawczych w Amsterdamie, na której przedłużono im areszt tymczasowy, zarówno prokurator, jak i przewodniczący sądu poinformowali, iż faktyczne wolą odroczyć rozpatrywanie sprawy do momentu, kiedy my także będziemy w Holandii. Wtedy cała nasza piątka mogłaby równocześnie stanąć przed sądem i w ten sposób, jak motywowano, można by uzyskać pełen obraz udziału każdego z nas i naszego związku ze sprawą.

Z relacji prasowych zrozumiałem, iż obrońcy Jana i Hamulca nie byli tym zbyt zachwyceni, ponieważ wobec ich klientów już cztery miesiące temu zastosowano areszt tymczasowy. Nalegali na szybką rozprawę, z naszym udziałem lub bez nas, nie sprawiało im to różnicy. Nawiasem mówiąc, obrońcą Fransa Meijera był „mój” adwokat, mecenas Max Moszkowicz. Złożył do sądu wniosek, aby Frans został zbadany psychiatrycznie, ponieważ

sprawiał wrażenie oszołomionego i wypowiadał się niespójnie. Po wielu ceregielach dopiął swego i w sądowej klinice psychiatrycznej Pieter Baan Centrum miano go zbadać, czy w chwili popełniania zarzucanych mu czynów był poczytalny.

W gazetach przeczytałem również, że koncern Heinekena podarował pół miliona guldenów amsterdamskiej policji. Z wdzięczności, ponieważ policjanci rozwiązali sprawę. Dziwne posunięcie – przecież gdyby nie otrzymali tego anonimowego, jak się okazało na wagę złota, donosu numer 547, nadal musieliby nas szukać. A teraz wyglądało tak, jakby Heineken płacił śledczym za wykonywaną przez nich pracę. Ucieszyłem się więc, gdy przeczytałem, iż Holenderski Związek Pracowników Policji uznał darowiznę za naganną. Prezes związku wyraził w gazecie dokładnie moje myśli: *Tak czy siak, mimo wszystko powstaje wrażenie, iż amsterdamska policja jest teraz dłużnikiem koncernu Heinekena. Tworzy się atmosfera uprzywilejowania: „jeżeli tylko masz pieniądze...”, tymczasem wobec prawa wszyscy powinni być równi. Przyjęcie podziękowania w tej formie jest absolutnie niedopuszczalne.*

Takie było jego zdanie. I w moich oczach ten człowiek miał rację. Bo co wydarzyłoby się podczas następnego uprowadzenia? Czy nowa ofiara będzie także mieć obowiązek przekazania jakiejś dotacji, aby poprawić nastrój i zwiększyć motywację wydziałów śledczych? I co będzie, jeżeli ktoś nie wyłoży pieniędzy na stół? Czy będzie to powodem do wolniejszego tempa pracy? Do mniejszej liczby nadgodzin? Były to pytania, które zadawałem sobie w ciasnej celi numer trzysta dziewięć w La Santé, aby trochę pogimnastykować mózg i czymś się zająć. Od Dicka Hommersona nauczyłem się, że człowiek musi przede wszystkim zachować dobrą kondycję umysłową. W momencie, gdy się poddasz lub ogarnie cię otępienie, pojawia się niebezpieczeństwo popadnięcia w rutynę systemu więziennictwa i wtedy mogą z tobą zrobić, co zechcą. Musisz podtrzymywać ducha walki.

Absorbowała mnie również próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób policja odkryła miejsce naszego pobytu w Paryżu. Czy ktoś nas zdradził, czy nie byliśmy wystarczająco ostrożni, a może ktoś nas rozpoznał? Czy być może znów wpłynął zagadkowy anonimowy donos? Nie wiedziałem

togo. I Willem też nie. Dopiero później miałem usłyszeć, jak to wszystko przebiegało. Okazało się, że sami sobie to zawdzięczaliśmy.

Amsterdamscy śledczy wytropili, że Sonja dzwoniła czasami z budki telefonicznej na ulicy Overtoom. Jak już napisałem w poprzednim rozdziale, Nos i ja daliśmy nasz numer kilku dobrym przyjaciołom w Amsterdamie, którzy w budce wykręcali go dla Boxie. Policjanci śledzili Sonję na ulicy i słusznie podejrzliwie podchodzili do tych rozmów z budki. Wiedzieli przecież, że w domu miała telefon. Z ukrycia, przez lornetkę mogli zobaczyć, iż wykręcany jest długi numer, a więc prawdopodobnie międzynarodowy i z tego względu przypuszczali, iż Sonja ma kontakt z nami.

No dobrze, i co dalej? Policja kryminalna nie mogła oczywiście całymi dniami podsłuchiwać tej budki telefonicznej. Z tego względu Boxie dzwoniła właśnie stamtąd. Policja miała jednak jeszcze jednego asa w rękę, o którym wtedy nie słyszeliśmy. Zlecili urzędowi telekomunikacji podłączenie do budki telefonicznej czegoś w rodzaju drukarki i cierpliwie czekali, aż Sonja ponownie zadzwoni. Gdy pewnego dnia, pod koniec lutego, faktycznie zadzwoniła, szybko zawiadomili wydział telekomunikacji i zlecili wydruk wszystkich numerów wykręconych w tym dniu, włącznie z godzinami. W ten sposób nie założyli podsłuchu, ale mogli dokładnie zobaczyć, o której i dokąd dzwoniło. Rezultat łatwo przewidzieć: numer naszego telefonu na Rue de Penthièvre wysunął się z drukarki i kilka dni później zakuto nas w kajdanki. Byliśmy ostrożni, ale w niewystarczającym stopniu. Kosztowna rozmowa, w razie pecha mogliśmy za nią zapłacić dziesięcioma, dwunastoma latami w pudle.

Harmonogram dnia w La Santé nie był zbyt urozmaicony. Zorientowałem się w nim już po paru dniach. O siódmej rano zapalano światło i otwierano cele. Posługiwano się przy tym dużym kluczem i ponadto od zewnątrz odryglowywano drzwi zamknięte dodatkowo na kilka ciężkich zasuw. Z daleka było słychać brzęk pęku kluczy, jakie nieśli nadchodzący strażnicy. Pod tym względem La Santé idealnie odpowiadało wyobrażeniom, jakie większość ludzi ma o więzieniu. Kwadrans po siódmej roznoszono płyn, który ze sporą dozą przesady Francuzi nazywali kawą. Zawsze uważałem, że kawa serwowana w większości ogródków kawiarnianych w mieście nie

nadaje się do picia, a ta w więzieniu była już zupełnie do niczego. Mdlilo mnie czasami, gdy ją piłem, ale była przynajmniej ciepła. Po kawie mogliśmy spędzić czterdzieści pięć minut na placu spacerowym. Następnie wracaliśmy do naszych małych cel, gdzie musieliśmy czekać do godziny pierwszej. Wtedy otrzymywaliśmy obiad: najpierw talerz zupy, ale – daję słowo honoru – nigdy nie widziałem, aby ktoś ją jadł. Zawsze odnoszono ją nietkniętą z powrotem do kuchni. Nigdy nie udało mi się ustalić, nawet w przybliżeniu, z czego była zrobiona. Na drugie danie podawano z reguły purée lub całe ziemniaki, przeważnie pozieleniałe. Czasami dodawano jakiś kawałek ugotowanego mózdzku owiec lub jakichś innych, tłustych podrobów. Ale wtedy trzeba było się śpieszyć, ponieważ jedzenie wrzucano do pojemnika dla czterech osób i każdy walczył o swoją porcję. Pod wieloma względami więzienie przypominało ogród zoologiczny. Dla mnie było to obrzydliwe. Szczególnie przy podrobach zbierało mi się zawsze na wymioty. Szybko spadałem na wadze. Z drugiej strony nie było to takie złe, ponieważ ważyłem około stu kilo, gdy mnie tutaj przewieziono. Po południu mogliśmy znów na trochę wyjść na spacerniak i resztę dnia musieliśmy spędzić w celi na tych dwóch metrach kwadratowych, które nam przydzielono, licząc sekundy, minuty i godziny.

O osiemnastej zasuwano wszystkie rygle i wtedy, przynajmniej dla strażników, dzień się kończył. Światło gaszono zawsze około wpół do dziesiątej. Ponieważ wyglądało na to, iż jeszcze tutaj trochę posiedzę i musiałem czymś wypełnić upływające godziny, postanowiłem codziennie wykonywać różne ćwiczenia. Zacząłem od poprawienia swojej kondycji. W ostatnich latach z braku czasu zaniedbałem kulturystykę. Teraz nie mogłem się tym usprawiedliwiać. Czasu mieliśmy mnóstwo i chciałem sprawdzić, do czego jeszcze się nadaję.

W tej klitce nie mieliśmy żadnych przyrządów i w więzieniu także nie było siłowni. Strażnicy wyśmialiby głośno człowieka, gdyby o to spytał. La Santé leży w centrum Paryża, ale pod wieloma względami jest bardzo przestarzałe.

Zacząłem od ćwiczeń brzucha i pompek. Na początku musiałem zaciskać zęby i sztywniałem z bólu, ale sytuacja poprawiła się szybko i zwiększyłem

liczbę i stopień trudności treningów. Jako ciężarków używałem wiaderka napełnionego wodą. Nawet nadawało się do ćwiczeń, mimo że czasami, ku irytacji kolegów z celi, woda wylewała się na nich z wiaderka, gdy je podnosiłem i opuszczałem. Robiłem też dużo pompek z obciążeniem. W więzieniu człowiek staje się kreatywny, sam byłem tego przykładem, a rezultaty dało się szybko zaobserwować. Mięśnie brzucha zaczęły się pięknie rysować, jak żeberka staroświeckiej tarki do prania, szczególnie dlatego że jednocześnie schudłem. Natomiast bicepsy zwiększyły obwód. Raz w tygodniu mogliśmy brać dziesięciominutowy prysznic, co ze względu na ćwiczenia nie wystarczało. Ponieważ cela była mała, każdemu brakowało prywatności, a niektórzy mieli niepohamowane potrzeby seksualne. W przeciwieństwie do Holandii w La Santé nie było mowy o tym, żeby raz w miesiącu spotkać się ze swoją dziewczyną czy żoną w osobnym pokoiku. To, że się siedzi w więzieniu, nie oznacza, że człowiek nie odczuwa naturalnych potrzeb. Dlatego też wielu osadzonych zaspokajało się pod prysznicem, którego nie sprzątało, a w każdym razie sprzątało za rzadko, w związku z czym był obskurny. Aby sobie nie utrudniać życia, od samego początku odmawiałem oglądania podniecających lektur będących w obiegu. Wmawiałem sobie, że dzięki samoopanowaniu można jakoś przetrwać. Po więzieniu uporczywie krążyły plotki, że przy pieczeniu chleba dodawano do niego jakiegoś chemicznego środka, który w znacznym stopniu hamował popędy seksualne. Nie wiedziałem, czy mam w to wierzyć, czy nie.

Podczas godzinki na spacerniaku w pierwszych tygodniach z reguły biegałem. Nie było to jednak takie łatwe. Dziedziniec miał mniej więcej wymiary niewielkiego boiska do koszykówki i był zdecydowanie za mały. Na dodatek spacerowało po nim strasznie dużo ludzi. Biegacze zawsze korzystali z zewnętrznej strony, a spacerowicze, palacze, jak o nich mówiliśmy, tłoczyli się w środku. Ledwie się każdy mieścił.

Jak tylko moja kondycja nieco się poprawiła, byłem w stanie biegać całą godzinę. Trzydzieści minut w lewo i tyle samo w prawo. Na początku dokuczały mi kostki, ponieważ w sumie cały czas zakręcałem. Przez to biegało się skośnie i obciążało wiązadła w kostce. Za mną truchtał przeważnie sznurek około piętnastu mężczyzn, ale ja nie spocząłem dopóki

nie wyprzedziłem ich co najmniej o jedną rundę. Nawet gdy później, ociekając potem, musiałem wrócić do środka i cały tydzień czekać na prysznic. Była to właściwie moja codzienna rozrywka. Z dnia na dzień stawałem się szybszy, mocniejszy i bardziej umięśniony. W więzieniu z powodu tego biegania zaczęli mnie nazywać Latający Holender, a szczególnie po tym, jak pewnego dnia udało mi się pokonać francuskiego bohatera ze światka przestępczego, Brunona Sulaka, który o swoich wielu przeżyciach napisał bestseller i był gwiazdą w Legii Cudzoziemskiej.

Wśród więźniów cieszyłem się wyraźnym respektem. Wszyscy wiedzieli, za co siedzę, często byli zaskakująco dobrze poinformowani i śledzili na bieżąco nowe fakty wpływające w naszej sprawie. To, że dużo o nas pisano, wywoływało także pewien podziw. I tak, na przykład, Sulak zaprosił mnie prawie natychmiast do gry w jego drużynie siatkarskiej, co było uznawane za ogromny zaszczyt. W zasadzie nowicjusze w pierwszych miesiącach nie mogli o tym nawet marzyć. Jeśli wolno tak powiedzieć, ludzie byli gotowi kogoś zamordować, aby wejść do tego zespołu. Ale w więzieniu panuje pewna hierarchia, może większa niż poza murami.

Szacunek dla mnie jeszcze nieco wzrósł, gdy jednego dnia wybuchła afera z pewnym Arabem. Na dziedzińcu rzucał piłką w moją głowę i wyzywał mnie w swoim języku. Nie rozumiałem co prawda dokładnie, co do mnie mówi, ale nie było to zbyt przyjemne. Widziałem po wyrazie jego twarzy, że najwyraźniej chciał wywołać moją reakcję. Na szczęście Dickie Hommerson wcześniej mnie ostrzegł i dlatego też wiedziałem, co mnie czeka. Powiedział mi, że jest tylko jeden język, który oni mogliby zrozumieć... Podeszedłem do niego spokojnie, nie pokazując mu swoich zamiarów. Gdy znalazł się w zasięgu mojej ręki, uderzyłem go znienacka z całą siłą. Dokładnie w brode: ciach! Arab poleciał najpierw na ścianę znajdującą się za nim, a następnie zwinął się powoli z bólu. Klawisze od razu zagwizdali i biegli z podniesionymi pałkami w naszym kierunku, ale nie było to potrzebne. Bitwa już była rozegrana. W La Santé trzeba było bardzo mieć się na baczności i uważać na takie bliskowschodnie typy. Im dłużej siedziałem, tym bardziej się o tym przekonywałem. Cieszyli się sławą niebezpiecznych i mściwych ludzi. Byli mistrzami w robieniu ostrych noży i broni kłutej

z niewinnych przedmiotów. Potrafili zrobić śmiertelną broń ze szczoteczek do zębów, do których z ręcznie wkładali żyłkę. Czekali na ofiarę i kiedy ta ich minęła, z nienacka przeciągali taką żyłkę po twarzy lub gardle. W dodatku ostrze pokrywali czymś lepkiem i następnie moczyli w cukrze. Powodowało to nieustające krwawienia i paskudnie ropiejące blizny. Willema już nigdy nie zobaczyłem w La Santé. Nasze próby widywania się w salce kościelnej musieliśmy przypłacić paroma dniami kary w izolatce. Stało się to pewnego dnia, gdy kolejny raz szedłem jako Ladyfaritte do kapliczki i dyskretnie dołączyłem do Willema. Usłyszeliśmy nagle rozkaz z tyłu: „Van Oet i Olleder... wyjść z szeregu!”. Spytali, skąd wzięłem się w tym towarzystwie i oświadczyli, że czeka nas za to karcer. Postanowiłem udawać głupka i nagle rozumiałem słabiej francuski niż normalnie. Twierdziłem, że nie pojąłem dobrze regulaminu, a także, iż nigdy nikt mi nie zakazał chodzenia do kaplicy. Nie chcieli jednak uwierzyć i jeden ze strażników powiedział, że przyprowadzi dyrektora. On miał to wyjaśnić. Willem zbladł ze złości i wyrzucił z siebie:

– Utrączę ci łeb, jeżeli to zrobisz!

Była to oczywiście niesubordynacja najwyższego kalibru i po gwizdku ze wszystkich stron nadbiegli strażnicy z pałkami. Konsekwencje: dla mnie cztery dni kary w odosobnieniu, a dla Willema – osiem. Normalna cela nie była zbyt dobrze wyposażona, ale w izolatce nie było kompletnie nic. Ani stołu, ani krzesła, prycza dopiero po szóstej wieczorem, żadnych odwiedzin i korespondencji, absolutnie nic. Było to prawdziwe piekło i nie wiedziałem, jak mam przeżyć dzień. Osadzonym w karcerze przysługiwało tylko pół godziny spaceru na świeżym powietrzu w pojedynkę.

W tym wszystkim bawił nas fakt, iż umieszczono nas w izolatce za karę, ponieważ chcieliśmy się widywać i ze sobą rozmawiać, ale podczas wyjść na spacer mieliśmy okazję do rozmowy! Plac spacerowy przylegający do cel-izolatek był podzielony na zamknięte trójkąty, powiedzmy jak kawałki tortu lub sera. Nie mogliśmy się widzieć, ale mogliśmy rozmawiać. Traf zrządził, że wyprowadzano nas na spacer o tej samej porze i na graniczące ze sobą kawałki „tortu”. Dzięki temu przez cztery dni po pół godzinki mieliśmy ze sobą kontakt. I strażnicy więzienni niczego się nie

domyślili. Przykre było to, że po odbyciu kary przeniesiono nas do innych bloków w więzieniu. Taki był zwyczaj w La Santé. Wkurzało mnie to, ponieważ już się trochę zdążyłem przyzwyczaić do moich kolegów z celi.

Trafiłem teraz do celi z trzema jugosłowiańskimi rabusiami, z którymi ledwie mogłem zamienić słowo, ponieważ prawie nie znali francuskiego ani angielskiego. Można powiedzieć, że celem systemu panującego w La Santé było utrudnianie kontaktów. Z doświadczenia wiedzieli, iż jeżeli wzajemna komunikacja pozostawiała wiele do życzenia, to nie musieli się obawiać planów ucieczki i spisków.

Dlatego też cieszyłem się, iż zbliżało się nowe posiedzenie w Chambre d'Accusation. Było zaplanowane na 18 kwietnia. I ponownie czekała nas niespodzianka, ale tym razem nadeszła z innej strony. W reakcji na nasz protest przeciwko ekstradycji rząd holenderski podjął nowe działania. Na rozprawie okazało się, że Holandia wysłała pismo do rządu francuskiego, w którym zasugerowała, aby o przestarzałej umowie z 1895 roku po prostu zapomniano...

Krótko mówiąc, sprowadzało się to do tego, że gdyby Francja wydała nas teraz niezgodnie z traktatem o ekstradycji, wtedy Holandia zareagowałaby „elastycznie” w jakimś innym przypadku. W naszych adwokatów ta „niemoralna propozycja” uderzyła jak grom z jasnego nieba. Max Moszkowicz zareagował z furją i według mnie tym razem nie tylko zawodowo, ale również z przekonania. „Jest to gwałcenie prawa. Rażące naruszenie istniejącej umowy holendersko-francuskiej, która w tej chwili jest lekkomyślnie odsuwana na bok. To nie jest prawo, ale śmierdząca polityka”, oświadczył tym niecodziennym dla prawników językiem obecnym na sali dziennikarzom. Zrozumiałem, że Holandia będzie robić wszystko, aby nas dostać. I w tym celu użyto radykalnych środków. Do jakiej innej sprawy przestępczej miesza się rząd? Do żadnej. Gdy po zakończeniu rozprawy wyprowadzano mnie i Willema, nie mogłem się powstrzymać od zrobienia gorzkawej uwagi w kierunku trybuny dla mediów: „Ach, teraz okazuje się, że w końcu trzeba coś zrobić za te pół miliona od Heinekena...”.

Rozprawa została odroczone o dwa tygodnie, do 2 maja. Do tego czasu będziemy siedzieć już dwa miesiące w La Santé. Mecenas Moszkowicz

wszczął w sądzie w Holandii procedurę w przyspieszonym trybie i starał się, aby rząd wycofał wspomniane pismo. Zdaniem pana Maxa wnioszek był niezgodny z przepisami i sprzeczny z prawem do rzetelnego procesu. Uważał, że rząd nadużył swojej pozycji i władzy. Jednak przewodniczący sądu w Hadze zapatrywał się inaczej na to wszystko. Przegraliśmy sprawę w postępowaniu przyspieszonym. W uzasadnieniu wyroku napisano, iż rząd jednego państwa może się zawsze zwrócić do rządu drugiego państwa z dowolnym pytaniem lub propozycją. Mhm, nie dla mnie takie bajki...

W więzieniu coraz częściej poddawałem się panującej tam przytłaczającej atmosferze. Początkowo liczyłem na to, że wyjdziemy za dwa tygodnie, ale teraz już wiedziałem, że potrwa to o wiele dłużej. Poza ćwiczeniami nie robiłem prawie nic innego. Brakowało przestrzeni do poruszania się. Nie wolno było także wnosić żadnych rzeczy, dlatego Sonja nie mogła nic przywieźć podczas kolejnych odwiedzin, nawet butów sportowych czy czegoś podobnego. W La Santé było coś w rodzaju sklepiku i w nim należało się zaopatrywać w niezbędne rzeczy. A jeżeli czegoś tam brakowało albo nie było odpowiedniego rozmiaru, to miałeś pecha.

Kupiłem tam między innymi małe radio, przez które wieczorami mogłem w miarę dobrze odbierać holenderskie programy. Szczerze mówiąc, nie nadawano nic nadzwyczajnego, ale sprawiało mi przyjemność, że mogłem usłyszeć ojczysty język, trochę banałów o pogodzie i temu podobne. Ponadto trochę handlowałem... piwem. Papierosów nie paliłem, więc mogłem je dobrze wymieniać. Oficjalnie można było mieć w celi na osobę po dwa małe piwa Becker dziennie, ale po paru papierosowych transakcjach miałem niekiedy nawet piętnaście sztuk. Pewnego razu, po niespodziewanej inspekcji celi, musiałem się z tego wytłumaczyć przed dyrektorem. Poinformował mnie ostro, że jest to zabronione, na co ja od razu zareplikowałem: „Zgadza się, ale ja siedzę tutaj za piwo...”. Na szczęście ten człowiek miał trochę poczucia humoru i dlatego sprawa skończyła się ostrzeżeniem, a nie karą w izolatce. Ponadto na pewno woleli, żebym zajmował się piwem, a nie wchodził w kontakty z przestępcami lub przygotowywał plany ucieczki czy coś podobnego. Piwka przechowywałem zawsze na wieczór. Gdy po powrocie z biegania na dziedzińcu odczuwałem

silne pragnienie, zabierałem się z przyjemnością do picia. Niestety, nie był to heineken, ale dało się je pić. Stawałem się po nim weselszy i szybciej zasypiałem. Sen było właściwie jedyną rzeczą, której nam nie brakowało w La Santé. Wieczorem o godzinie dziewiątej przeważnie leżeliśmy już w łóżku. Jak człowiek śpi, to przynajmniej czas trochę szybciej leci.

Raz na dwa tygodnie, w środę wieczorem, wyświetlano filmy. Niekiedy chodziłem je oglądać. Nie dlatego, że były takie dobre, wręcz przeciwnie. Trzeba było płacić pięć franków i za taką kwotę mieli czelność pokazywać jakiś czarno-biały film z 1932 roku albo jeszcze starszy. Nie, jedynym powodem, dla którego szedłem, była nikła nadzieja, że być może uda mi się tam spotkać Willema.

Codzienna rutyna została ponownie przerwana 2 maja ze względu na posiedzenie w Chambre d'Accusation. Po tych wszystkich niespodziankach i odroczeniach na ten dzień zaplanowano główną rozprawę. Nasi adwokaci mieli wygłosić mowy obrończe, a oskarżyciel przedstawić stanowisko francuskiej prokuratury. Także to posiedzenie sądu cieszyło się dużym zainteresowaniem. Rodzina i przyjaciele przyjechali, aby swoją obecnością Willemowi i mnie dodać otuchy. Zjawiło się także sporo przedstawicieli holenderskiej i francuskiej prasy.

Oskarżyciel przypuścił prawdziwie francuski atak: to znaczy mówił szybko, wykonywał teatralne gesty i często zmieniał intonację głosu. Prawdziwa kaskada słów. Przekonywał, iż nic nie stoi na przeszkodzie ekstradycji. Mówił między innymi: „Co to za różnica, że niektóre czyny nie są wymienione w umowie międzynarodowej? Nie tyle trzymanie się litery prawa jest tutaj najistotniejsze, ile duch prawa”. I doszedł do wniosku, iż „nie widzi przeszkód” do naszej ekstradycji. W przeciwieństwie do niego mój adwokat widział ich jednak sporo. Z pewnym napięciem czekałem na jego wystąpienie. Mogło dużo od niego zależeć.

Pan Max wyjaśnił po francusku, że umowa o ekstradycji była sformułowana bardzo jasno: pojęcie „uprowadzenie” nie pojawiało się w niej, więc za ten czyn nie mogliśmy zostać wydani. „Nie może pan próbować nadinterpretować traktatu w miejscu, gdzie jest niedopracowany”, stwierdził. Obserwowałem twarze trzech sędziów, chcąc

zobaczyć, czy wypowiedź mecenasa Moszkowicza zrobiła na nich wrażenie. Niestety, przeżyłem wielki zawód. Sędziami byli trzech starsuszkowie, z których jeden prawdopodobnie wyłączył aparat słuchowy, drugi wyglądał, jakby zapadł w głęboki sen, a przewodniczący, dyskretnie tłumiąc ziewanie, cały czas demonstracyjnie spoglądał na zegarek. Później, w trakcie wygłaszania mowy obrończej przez mecenasa Moszkowicza, opowiadał żarty drugiemu sędziemu. Ale mnie absolutnie nie było do śmiechu i bardzo mnie to denerwowało. Sędziowie zupełnie lekceważyli sprawę. Co więcej, podczas rozprawy po sali chodzili cały czas ludzie, którzy nie powinni się tam wtedy kręcić. Pytali o coś protokolanta, przynosili lub zabierali jakieś papiery i nie robili sobie nic z tego, że jednocześnie odbywa się rozprawa. Panował spory rozgardiasz. Każdy był czymś zajęty. Miałem wrażenie, że nikogo nie interesowało to, co mecenas Moszkowicz czy inni adwokaci mają do powiedzenia. Moim zdaniem ci sędziowie już znali wyrok, chyba że bardzo się myliłem. Fakt, iż datę ogłoszenia orzeczenia ustalono dopiero na 23 maja, a więc trzy tygodnie później, był według mnie tylko formalnością, aby przedłużyć tę szopkę. Dobrze było jedynie to, że udało mi się przez chwilę porozmawiać z Willemem.

– Flip, jak myślisz, mamy jeszcze jakieś szanse? – zapytał mnie.

Wzruszyłem ramionami i sceptycznie powiedziałem:

– Czarno to widzę, Nos. Widziałeś tych sędziów? Więc sam chyba rozumiesz, nie?...

Wróciłem do więzienia nieco przygnębiony. Otuchy w tym wszystkim dodawały mi listy, które otrzymywałem. Codziennie ich wyglądałem i na szczęście wielu znajomych i członków rodziny regularnie trudziło się, żeby do mnie napisać. W takim obcym, wrogim środowisku było zawsze miło dowiedzieć się, co słychać w domu, w Amsterdamie, w kawiarni u Ariego, na wyścigach, w Ajaxie, u naszych przyjaciół i znajomych. W pierwszych listach przebijało się przeważnie zaskoczenie, że Willem i ja braliśmy udział w uprowadzeniu Heinekena. Pisali także, że to potępiają, ale jednocześnie deklarowali, że mnie z tego powodu nie opuszczą. Przyjaciół zostaje przyjacielem na zawsze. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Bardzo podnosiło mnie na duchu to, że tak wielu osobom mój los leżał na

sercu, gdy tymczasem gazety prześcigały się w komentarzach, starając się zrobić z nas potwory. Często im odpisywałem, pomimo iż nie szło mi to łatwo, ponieważ przez całe życie nie napisałem wcześniej ani jednego listu.

W celi, w której siedziałem, panowała dosyć napięta atmosfera. Bariera językowa sprawiała, że nie mogliśmy się właściwie porozumiewać, a musieliśmy ze sobą przebywać cały dzień na paru metrach kwadratowych. Prowadziło to niekiedy to kłótni. Cztery osoby, oprychy, z których każdy miał swoje przyzwyczajenia, nieznośne strony i problemy. Przykładowo, zawsze trzeba było ustalić, kto z nas czterech jest najsilniejszy, a kto jest kozłem ofiarnym lub chłopcem na posyłki. Szło to prawie automatycznie. Próbowałem zawsze trzymać się z dala od tych kłótni, gdyż nie prowadziły do niczego dobrego. Na szczęście nie musiałem wkładać w to zbyt wiele trudu, ponieważ moja postura, waga, a przede wszystkim reputacja sprawiała, iż nie następowało mi na odcisk.

Jedynie, co mnie regularnie wkurzało, to sytuacje, gdy ledwo zasiedliśmy do jedzenia, ktoś na dłuższy czas wygodnie rozsiadał się w otwartej ubikacji. Albo właśnie zszedł z muszli i bez uprzedniego umycia rąk łamał bagietkę, z której jeszcze musiałem oderwać kawałek dla siebie. Brzydziłem się tym. Od razu traciłem apetyt. Z tego powodu często padały mocne słowa. W końcu wprowadziliśmy „punkt w regulaminie domowym”, że podczas jedzenia nie wolno korzystać z toalety i każdy musi myć ręce przed posiłkiem. I ja oczywiście nadzorowałem przestrzegania tej reguły.

Chcę dodać, że strażnicy więzienni odnosili się do mnie i Willema normalnie. Byliśmy spokojnymi chłopakami, nie używaliśmy narkotyków i okazywaliśmy zrozumienie dla systemu. Sprawianie trudności i przeciwstawianie się nie miało sensu, i tak oni zawsze mieli rację.

Absolutnie najważniejszą chwilą przerywającą monotonię więziennego życia była dla każdego z nas godzinka na widzenie. Nawet fakt, że miało to miejsce przez szybę, nie umniejszało naszej radości. Po spotkaniu z bliskimi człowiek mógł łatwiej przeżyć kilka następnych dni. Na moje szczęście odwiedzało mnie wiele osób. Najbardziej tęskniłem za Boxie, ale prawie co tydzień przychodzili także mój ojciec i matka, brat Ad i młodsza siostra Nancy. Dla Boxie każde widzenie było skomplikowanym do zorganizowania

przedsięwzięciem. Została sama z dzieckiem w Amsterdamie, miała tam wiele spraw do załatwienia, a na podróże do Paryża traciła mnóstwo czasu, zwłaszcza że harmonogram widzeń w La Santé pozostawiał wiele do życzenia. Aby się do mnie dostać, Boxie musiała już o ósmej rano ustawić się w kolejce przed bramą La Santé. Oznaczało to, że aby zdążyć, musiała wyjeżdżać w nocy z Amsterdamu. Na widzenie mieliśmy trzy kwadranse i ściśle pilnowano, żeby tego czasu nie przekroczyć. Nawet o minutę... *C'est la règle!*[33] zawsze brzmiało szorstko. Sonja mogła także odwiedzać Willema, ponieważ jest jego siostrą, ale nie należy myśleć, że mogła iść do niego zaraz po wizycie u mnie. Nie, między jednym a drugim widzeniem mogła być nawet parogodzinna przerwa nudnego oczekiwania. I potem musiała jechać sześć godzin do Amsterdamu. A więc te trzy kwadranse widzenia zabierały jej dwadzieścia cztery godziny. Później, gdy minęło parę miesięcy i nadeszła zima, mówiłem jej niekiedy: „Zostań w domu, to kursowanie jest zbyt wyczerpujące”. I myślałem o naszym przyjacielu, Robbiem Offenbergu, który zginął w wypadku drogowym w Belgii. Uważałem, że te podróże są zbyt niebezpieczne dla Sonji i małej Francis. Ale cokolwiek bym mówił, co tydzień stała ponownie przede mną, trzymając Francis na rękę. I szczerze mówiąc, niezmiernie mnie to radowało.

Niekiedy udawało mi się ją już dostrzec, gdy przechodziła obok więzienia. Siedziałem wtedy w celi od strony ulicy i po wspięciu się na krawędź pryczy i porządnym podciągnięciu się mogłem wyrzeć przez wysoko umieszczone okienko. Był to trudny i ponadto surowo zabroniony manewr, ale powtarzałem go co tydzień. Wiedziałem mniej więcej, o której przyjdą, i prosiłem kolegę z celi, aby obserwował, czy w pobliżu nie ma strażników. Gdy tylko zobaczyłem, że idzie, zawsze coś do niej wołałem. Na przykład: „Willem pierwszy...”, co oznaczało, że najpierw powinna poprosić o widzenie z Nosem albo odwrotnie, tak abyśmy mogli się nawzajem informować. Gdy byłem pierwszy, mówiłem Sonji, aby przekazała Willemowi na przykład jakieś wiadomości, które otrzymałem od mecenasa Moszkowicza. Dzięki temu miałem pewien kontakt z Nosem. Poza tym widywaliśmy się tylko podczas rozpraw w *Chambre d'Accusation*.

W środę 23 maja nastąpił wielki dzień. Sędziowie mieli orzec, czy

ekstradycja jest dopuszczalna, czy też nie. W dokumentach znalazłem informacje, iż to nie byłoby jednak prawomocnym orzeczeniem. Był to rodzaj opinii wydawanej na potrzeby ministra sprawiedliwości. Izba mogła się tylko wypowiedzieć, czy istnieją podstawy prawne do wydania, czy też nie. Gdyby takie podstawy istniały, to minister podejmował następnie ostateczną decyzję, przy czym z reguły postępował zgodnie z wydaną opinią.

Minister nie mógł zabierać więcej głosu w tej sprawie wyłącznie w przypadku, gdyby sędziowie orzekli brak podstaw prawnych do ekstradycji. Po prostu nie dochodziło do wydania. I obaj mieliśmy taką nadzieję. Byłem podenerwowany całą sytuacją. Ostatnie dni przed wydaniem orzeczenia wlekły się bez końca. Nie byłem w stanie myśleć o niczym innym. Wygramy? Może chociaż raz dopisze nam szczęście?

Niestety, byłoby to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Nie mieliśmy szczęścia. Przewodniczący, sędzia Bertholon, zaznaczył w wyroku, że możemy zostać wydaleny do Holandii „bez jakichkolwiek ograniczeń”... Ogarnęła mnie rezygnacja, gdy tłumacz przekazywał nam wyrok. A więc wszystko na nic. Do publiczności zebranej na sali jego treść nie dotarła od razu i zauważyłem, że Sonja, jej matka i kilkoro przyjaciół patrzyli w napięciu w naszą stronę. Stawka w tej grze była dla nich równie wysoka, jak dla nas. Z mojej zaszępionej twarzy mogli odczytać, że wszystko diabli wzięli. Byłem bezsilny. Nie powiodło się...

Po zakończeniu posiedzenia sądu, w małej celi przy sali rozpraw, mieliśmy naradę z naszymi adwokatami. Mecenas Moszkowicz był także rozczarowany i stwierdził, że „mieć rację, a przekonać innych do niej” to dwie różne rzeczy. Ale co teraz? Czy ten wyrok oznaczał, iż wkrótce zostaniemy przewiezieni do Holandii? Nie musiało tak być. Obaj adwokaci poinformowali nas, iż możemy się odwołać do Sądu Apelacyjnego w Paryżu i wtedy sprawa zostanie ponownie rozpatrzona. Co o tym myślimy?... Willem i ja popatrzyliśmy po sobie. Z pewnością trzeba będzie odczekać kilka miesięcy, zanim sprawa apelacyjna zostanie rozpatrzona i cały czas będziemy musieli spędzić w lochach więziennych w La Santé. Dzień za dniem. Ale jeżeli tego nie zrobimy, to wtedy wszystko i tak było na nic. Zapytałem mecenasa Moszkowicza, jak ocenia nasze szanse. Był nastawiony

optymistycznie i patrząc przez to swoje lorgnon, powiedział:

– Według litery prawa mamy rację. Jeżeli się nie poddamy i będziemy walczyć, musimy w końcu zwyciężyć. Ale sprawa może trafić aż do Rady Stanu, zanim tak się stanie...

O rany, to była piekielnie trudna decyzja. Szczególnie tego popołudnia, kiedy nas już tak wykończyli.

Willem szczerze powiedział, że nie wie, co zrobić:

– Flip... zadecyduj sam. Zrobię tak, jak powiesz.

Zastanowiłem się przez chwilę. Uzmysłowiłem sobie, jakie ma to konsekwencje dla nas i dla naszych żon. Na pewno czekały nas ciężkie czasy, ale w końcu w Holandii też by tak było. A gdyby tak za drugim razem udało nam się wygrać...

– Okej, proszę wnieść apelację – usłyszałem siebie mówiącego stanowczym głosem do dwóch adwokatów. – Stajemy do walki. – Wewnątrz targały mną wątpliwości...

Czy aby dobrze postąpiłem?

³¹ Obecnie *la Chambre de l'instruction* (przyp. red.).

³² Nie, chcę zostać (przyp. tłum.).

³³ Takie są reguły! (przyp. tłum.).

Rozdział 16

Siedzieliśmy w więzieniu już kilka miesięcy. Dni dłużyły się i widzenia wydawały się coraz krótsze. Raz na trzy miesiące mieliśmy prawo do tak zwanych otwartych widzeń. Zezwalali wtedy na rozmowę z bliskimi w sali spotkań, przy stoliku. Dzięki temu mogłem dotknąć Boxie, pocałować, poczuć zapach jej perfum. Takie czułe gesty podczas normalnych widzeń uniemożliwiała akrylowa szyba.

Pamiętam jeszcze, że przed takim pierwszym spotkaniem byłem trochę zdenerwowany, podobnie jak kiedyś przed pierwszą randką ze szkolną koleżanką. Dlatego też nałożyłem ładny, czysty T-shirt, który wygładziłem, trzymając go przez kilka nocy pod materacem. Od kolegi z celi pożyczyłem trochę płynu do golenia, którego teraz użyłem jako wody toaletowej. Dzięki temu wyglądałem w miarę znośnie i mogłem się pokazać. Nie dotykałem Sonji od pół roku. W pomieszczeniu przeznaczonym do widzeń czekała już razem z Francis, gdy wprowadzało mnie dwóch strażników. Boxie nie zastanawiała się ani chwili i rzuciła mi się w ramiona. I staliśmy tak chyba z minutę. Na mój podkoszulek skapnęło kilka ciepłych łez. Objęła mnie mocno rękami, tak jakby już nigdy nie chciała mnie wypuścić. Na ziemię ściągnął nas oburzony wrzask Francis, która nie miała pojęcia, co się dzieje, i chciała w ten sposób zwrócić na siebie uwagę.

Miała teraz roczek i cztery miesiące. Ostatnio bardzo urosła i zaczynała już mówić. Ogromnie mi jej brakowało przez ten czas. W końcu byłem jej ojcem. Gdy chciałem ją wziąć na kolana, zauważyłem, że mnie odpycha, że ją onieśmielam. Wolą siedzieć u Boxie. Nie było w tym nic dziwnego, w swoim krótkim życiu częściej mnie nie widziała, niż widziała... Co za beznadziejna sprawa, żeby dziecko w tym wieku musiało przychodzić do takiego miejsca jak La Santé, do cieszącego się złą sławą więzienia. Jaki

wpływ może to na nią wywrzeć? Ale teraz było za późno na zadawanie sobie podobnych pytań. Przecież to wszystko stało się z mojej winy.

Otwarte widzenie było wspaniałe. W końcu mogliśmy normalnie ze sobą porozmawiać. Dotychczasowy kontakt przez akrylową szybę zmuszał do głośnego mówienia, inaczej trudno byłoby się zrozumieć, i z tego względu pewnych tematów nawet nie dało się poruszać. O wiele trudniej jest komuś powiedzieć, że się go kocha, jeśli trzeba to wykrzyczeć, przebijając się przez zgłębienie innych głosów. Ale jak już mówiłem, tego typu widzenie było niestety możliwe tylko raz na kwartał. Za rzadko i za krótko, żeby się nim nacieszyć na długo. Gdy pierwsze z nich dobiegało końca, spotkała mnie miła niespodzianka, Francis objęła mnie za szyję swoim małymi rączkami i spontanicznie dała mi całusa.

– Kochany tata... – powiedziała i to była chwila, której nigdy nie zapomnę.

Atmosfera w La Santé powodowała takie przygnębienie, że wielu osadzonych popełniło samobójstwo lub usiłowało je popełnić. Podczas naszego pobytu kilku zdesperowanych więźniów przeskoczyło przez balustradę balkonu i spadło dziesięć metrów niżej, zabijając się na miejscu. Aby temu zapobiec, władze zawiesiły w końcu siatkę zabezpieczającą, ale to nie za wiele pomagało. Zdesperowani osadzeni dalej rzucali się prosto na dół i łamali kark. Dziwne w tym wszystkim było to, że dyrekcja nigdy nie potwierdzała, że ktoś targnął się na swoje życie. Mówiono, że został „ranny podczas upadku”. Ci ranni oficjalnie nigdy nie umierali, ale ich stan zdrowia nie ulegał także poprawie. Nikt ich już więcej nie widział. W ten sposób próbowano zachować spokój.

Udawało się to tylko do pewnego stopnia. Niekiedy po prostu nasze przecucie mówiło nam, że coś jest nie w porządku, mimo wszelkich zaprzeczeń. Nierzadko więźniowie odbierali sobie życie w celi, wieszając się lub przecinając sobie żyły. Miało to miejsce przeważnie wieczorem lub w nocy. Panowała wtedy dziwna i złowroga atmosfera. Drzwi do cel blokowano zasuwą, co uniemożliwiała spoglądanie na galerię, ale dziwnym trafem hałas zawsze potrafił przeniknąć do środka. Gdy się coś wydarzyło, horda strażników nerwowo biegała tam i z powrotem, pobrzękując pękami kluczy i dmuchając w gwizdki. Krzyki i wołania odbijały się echem od ścian

pustych korytarzy starego budynku. Więźniowie natychmiast wiedzieli, że coś się dzieje, tłukli pięściami w drzwi i walili kubkami do picia po stalowych rurach centralnego ogrzewania. Dudniło wtedy w całym bloku. Gdy doświadczyłem tego pierwszy raz, byłem naprawdę przestraszony. Panowała podminowana atmosfera i nagle, w ułamku sekundy, następowała cisza. Leżąc na pryczy, próbowałem zgadnąć, co zaszło? Bunt? Samobójstwo? Bójka? Nad ranem oglądaliśmy skutki. W galerii często widzieliśmy kałuże krwi. Oznaczało to, że znowu była jakaś bójka, kogoś pchnięto nożem, kogoś zabito. Albo że strażnicy pobili więźniów, aby ich „uspokoić”, jak to określano. Kilka razy zdarzyło mi się dostrzec w sąsiedniej celi kogoś zwisającego z sufitu na pasku lub na kawałku sznurka: wylupiaсте oczy, siny, wystający język, napuchnięta i zniekształcona twarz. Wywierało to na mnie mocne wrażenie. Na każdym zresztą. Samobójstwo nas przygnębiało i pogarszało nastrój współwięźniów w blokach. Z reguły znaleźliśmy samobójcę. I dlatego dotykało nas to głębiej. Z mojego doświadczenia wynika, że najczęściej były to osoby samotne, których nikt nie odwiedzał i które nie otrzymywały żadnych listów. Sami na świecie i w dodatku w więzieniu... Jedynym ich oparciem mógł być duchowny albo zaprzyjaźniony towarzysz niedoli. A to nie wystarcza, to za mało pokrzepienia dla osób znajdujących się niekiedy w beznadziejnej sytuacji. Próbowali z niej „uciec” w taki tragiczny sposób.

Regularnie fingowano samobójstwa. Niektórzy więźniowie specjalnie przecinali sobie przeguby dłoni, aby tylko opuścić La Santé. Szpital był zawsze lepszy. Lekarz więzienny nie lubił jednak sztuczek i wylapywał takie przypadki. Był człowiekiem typu „nie marudzić” i osoby z pozorowanymi dolegliwościami potrafił uderzyć w twarz i odesłać z powrotem do celi. A jak był w złym humorze, to za karę umieścić w karcerze. Niekiedy także popadałem w depresję, mimo że co tydzień ktoś mnie odwiedzał i otrzymywałem sterty listów. I dlatego mogłem sobie doskonale wyobrazić, jak czuli się ci, którym tego brakowało. Nigdy nie podejmowałem prób samobójczych. Muszę powiedzieć, że niekiedy jednak myślałem sobie: Ach, może byłoby lepiej umrzeć... To były dziwne, chore myśli, ale czasem niestety mnie ogarniały. Zastanawiałem się po prostu, jaki sens ma dalsze życie? Jaka

przyszłość mnie czeka? Czy uda mi się jeszcze ułożyć życie z moją żoną i córeczką? Niekiedy bardzo w to wątpiłem. Co powinienem zrobić? Nie mogłem przecież całymi latami obciążać żony i dziecka swoimi kłopotami. Droga powrotna była dla mnie odcięta, przynajmniej tak to odbierałem. W trudnych chwilach często czerpałem siły ze wspomnień o moim przyjacielu Robbiem Offenbergu. Zginął, chociaż jeszcze tyle oczekiwał od losu... Mówiłem sobie: żyjesz i jesteś zdrowy... zrób z tego użytek.

Szczególnie ciężki okres nadszedł dla mnie, gdy Chambre d'Accusation wydała orzeczenie, że nasza ekstradycja będzie zgodna z prawem. Miałem za sobą parę miesięcy pobytu w La Santé i pękłem. Może też dlatego, że regularnie otrzymywałem listy od Hamulczyka i Jana Boellaarda. Opowiadali mi prawie bajeczne historie o systemie więziennictwa w Holandii. W celi mieli telewizor, co tydzień prawo do otwartych widzeń z kilkoma osobami, rekreację, prawdziwy sport, raz na trzy tygodnie kontakt seksualny z żoną lub swoją dziewczyną, przyzwoite jedzenie, możliwości częstych telefonicznych kontaktów, i tak dalej, i tak dalej. Raj na ziemi w porównaniu z La Santé, gdzie brakowało wszystkiego i było tyle zakazów. Gdy moim towarzyszom w celi opowiadałem o sytuacji w Holandii, patrzyli na mnie z niedowierzaniem.

– Dlaczego wobec tego siedzisz jeszcze tutaj? – pytali zdziwieni.

Dobre pytanie. Może dlatego, że istniała nikła, bardzo nikła nadzieja, iż wygramy?

Listy od Hamulca i Kota wnosiły tak potrzebne urozmaicenie w moje życie. Było miło usłyszeć coś od ziomków. Informowali mnie o czekającej ich sprawie karnej i związanych z nią komplikacjach. Pisali także, że nie rozumieją, dlaczego z Willemem nadal walczymy we Francji. Dlaczego nie przyjedziemy do nich, czytałem między wierszami. Rozumiałem ich reakcję, ale z drugiej strony w Holandii mogłem dostać nie wiadomo ile lat odsiadki, więc nie bardzo mi się śpieszyło, a ponadto należę do gatunku ludzi, którzy lubią skończyć to, co zaczną. Uprowadzenie Alfreda Heinekena było tego najlepszym dowodem. Dodatkowo pan Max w czasie odwiedzin ciągle nam powtarzał, że pod względem prawnym mamy mocne argumenty, więc szliśmy wybraną drogą.

À propos wygranej: w La Santé powiedziano mi, że wygranie sprawy mógłbym kupić. Należało się zgłosić do pewnego adwokata, *maître* Legranda. Nie było to jego prawdziwe nazwisko, ale coś w rodzaju tytułu honorowego i znaczyło: wielki mistrz. Zajmował się ciemnymi interesami i miał wielu przyjaciół wśród polityków. Legrand był bogaty i wpływowy. Nie było jasne, co było skutkiem, a co przyczyną. Mówiono, że mógł załatwić rzeczy niemożliwe. Chciałem to kiedyś sprawdzić i poprosiłem francuskiego współwięźnia, aby napisał w moim imieniu list do jego kancelarii. Spytałem, czy mógłby mnie kiedyś odwiedzić. Niedługo po tym faktycznie zabrano mnie z mojej celi numer trzysta dziewięć na tak zwane spotkanie z adwokatem.

Chwilę później siedział przede mną. Prawdziwy dżentelmen. Przynajmniej z wyglądu. W wieku około czterdziestu lat, dobrze ubrany, elegancko się wysławiał. Był typem, który nigdy nie nazywa rzeczy po imieniu, ale daje do zrozumienia okreśną drogą. Rozpocząłem rozmowę od uwagi, że w więzieniu wiele słyszałem o jego reputacji i o tym, że może dużo zdziałać. „Czasami tak, czasami nie”, odpowiedział uprzejmie, nie wchodząc w szczegóły. W trakcie rozmowy powiedział, iż zapoznał się z moją sprawą. Niezbyt w to wierzyłem. Wynikało to z pytań, jakie zadawał. Prawdopodobnie przeczytał tylko nagłówki w gazetach. W końcu spytałem go prosto w oczy, ile kosztowałoby jej wygranie. Zastanowił się przez chwilę, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie, na kawałku papieru przeliczył franki na guldeny i wyszedł z propozycją. Wyglądało tak, jakbyśmy dyskutowali nad możliwościami, jakie stwarza prawo, ale obaj wiedzieliśmy doskonale, że było to zwykłe łapówkarstwo.

– Jeżeli chce pan być pewien zwycięstwa, to musi pan zapłacić siedemset pięćdziesiąt tysięcy guldenów – powiedział z kamienną twarzą.

Przełknąłem ślinę. Ale kwota! Legrand zachowywał się tak, jakby to była normalna stawka. Aby zyskać trochę na czasie, chciałem się niby upewnić, czy ta suma to opłata za mnie i Willema, ale czekał mnie zimny prysznic.

– Ależ skąd! Skąd panu to przyszło do głowy? – zareagował trochę zrzędliwie na holenderską drobiazgowość. – Oczywiście, że nie. Jeżeli rozmawiamy także o pańskim przyjacielu, to kosztuje to... eh... półtora

miliona guldenów.

Krótko skinąłem głową. Ooo... tak, półtora miliona guldenów. Co za typ! – pomyślałem tymczasem w duchu. Dla każdego było zagadką, jak on zdobył tytuł ukończenia studiów prawniczych. Być może kupił go także? Prawdopodobnie nigdy nie występował w sądzie, ponieważ zauważyłem, że specjalizował się w regulowaniu spraw jeszcze przed rozprawą.

Legrand najwyraźniej wyczuł, że zaskoczyła mnie wysokość tej kwoty i zapytał, czy chciałbym z Willemem wstąpić w szeregi francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Pokręciłem przecząco głową.

– W żadnym wypadku.

Jeszcze doskonale pamiętałem czasy, kiedy byłem „marynarzem”. Niezbyt dobrze wspominałem tamten okres mojego życia, więc nie chciałem nawet myśleć o służbie w wojsku francuskim. Następnie mistrz zapytał, czy może chciałbym pracować jako tajny agent dla Francji. Myślałem, że żartuje i nie zareagowałem zbyt poważnie:

– Proszę wybaczyć, ale nie nadaję się do tego. Mam rozmiar buta czterdzieści trzy...

Legrand popatrzył na mnie, nic z tego nie rozumiejąc.

– Rozmiar czterdzieści trzy???

Roześmiałem się i powiedziałem:

– Tak, telefon nigdy się w nim nie zmieści...

Nie odpowiadały mi tego rodzaju dziwaczne propozycje. Chciałem być wolny, a jako żołnierz Legii lub agent wywiadu nie byłbym. Wpadłbym z deszczu pod rynnę.

Odpowiedziałem Legrandowi, że najpierw muszę omówić jego propozycje z Willemem i moim holenderskim adwokatem. Dałoby mi to trochę czasu na zebranie dokładniejszych informacji i być może uzyskanie niższej ceny, ponieważ w ten sposób szybko zostalibyśmy bez grosza. Zastanawiałem się, w jaki sposób na litość boską mógłby załatwić coś takiego. Zrozumiałe, że nie chciał mówić zbyt wiele.

– W pana sprawie politycy mają do powiedzenia ostatnie słowo, nieprawdaż? – napomknął tylko.

To się zgadzało. Po wydaniu orzeczenia przez Chambre d'Accusation

minister sprawiedliwości był jedyną osobą, która mogła zdecydować o ekstradycji.

Minister prawie zawsze wydawał decyzje zgodnie z „zaleceniami” Izby. Prawie zawsze... Przypuszczałem, że właśnie tutaj Legrand miał pole do popisu. Być może mógłby nakłonić go do zrobienia wyjątku. Właściwie wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby można było przekupić francuskich polityków – nie wyobrażałem sobie, żeby do czegoś takiego mogło dojść w Holandii – ale z drugiej strony było wiadomo, że Legrand obracał się w najwyższych kręgach i czemuś musiał zawdzięczać swój przydomek.

Szczerze przyznałem, że w zasadzie mam chrapkę na tę osobliwą propozycję. Nie było to aż takie dziwne. Każdy, kto siedział w La Santé i miał przed sobą perspektywę dziesięciu, dwunastu lat do odsiedzenia, rozmawiał i myślał w ten sposób. Gdy mecenas Max Moszkowicz odwiedził mnie tydzień później, przedstawiłem mu wcześniej wspomnianą możliwość. Słuchał uważnie i kazał dokładnie powtórzyć całą historię. Powiedziałem mu, iż zważając na opowieści, które krążyły o Legrandzie, miałem pewne zaufanie do jego możliwości. Oczywiście nie zapłaciłbym mu tej kwoty z góry. Musiałoby to być, przynajmniej częściowo, oparte na zasadzie *no cure, no pay*^[34].

Mecenas Max miał jasny i wyrazisty pogląd w tej sprawie. Powiedział uprzejmie, lecz stanowczo, że oczywiście doskonale rozumie moje starania, aby się z tego wywinąć, ale jako adwokat nie może i nie chce na to przyzwolić. Jest to sprzeczne z jego poczuciem prawa. Zapewnił mnie jeszcze raz, że nasza sprawa ma szansę na wygranie.

– Zgodnie z prawem ma pan rację, a ja zadbam o to, żeby ją panu przyznano, panie Van Hout – powiedział. – Ale wyłącznie przez argumentację na sali sądowej, a nie przez orzecznictwo oparte na książeczce czekowej. Może potrwa to trochę dłużej, ale na pewno będzie taniej.

Gdybym jednak chciał kontynuować współpracę z Legrandem, to mogłem to oczywiście zrobić, ale on wycofywał się wtedy z roli mojego obrońcy. W ten sposób Moszkowicz przekonał mnie do swojej metody. „Transakcja” z Legrandem nie doszła do skutku, ale jego numer przechowywałem

w notesiku. Kto wie, może się kiedyś przyda...

Poza rozmowami o pieniądzach i seksie w La Santé rozprawiano najczęściej o ucieczkach. Temat ten powracał prawie codziennie. Szczerze mówiąc, było to przedsięwzięcie, szczególnie w La Santé, prawie z góry skazane na niepowodzenie, ale jednak wielu więźniów często o tym śniło na jawie. Takie myśli same nadchodzą, jak się siedzi dłużej w zamknięciu. Człowiek zaczyna się zastanawiać: Jak się stąd wydostać? W La Santé to pytanie nabierało dodatkowego znaczenia, ponieważ w całej historii tej instytucji uciekł tylko jeden facet, słynny francuski gangster Jacques Mesrine, który wziął jako zakładnika dyrektora więzienia i w ten sposób wydostał się za mury. Jakiś czas potem został przez francuską policję dosłownie podziurawiony jak sito pociskami ciężkiego kalibru.

La Santé było strzeżone przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, wewnątrz i na zewnątrz. Więzienie leży w środku miasta i z tego względu na każdym rogu kwadratowego kompleksu stoją uzbrojeni policjanci z krótkofalówkami. Do tego wzdłuż murów więziennych ciągle jeżdżą patrole. Jeżeli ktoś się podejrzanie zachowuje, przystanie o sekundę za długo, rozgląda się, czeka, zwraca na siebie uwagę – zostaje wylegitymowany. W więzieniu natomiast ciągle przeprowadzano inspekcje w celach. Ciężkich przestępców często przenoszono, aby zapobiec tworzeniu się gangów, a poza tym strażników było tak dużo, że mogło się zakręcić w głowie. Nie wspominając już o wielu niemożliwych do pokonania drzwiach, furtkach, murach i innych przeszkodach. Ucieczka była nie tylko praktycznie niemożliwa, była szaleństwem.

I mimo to, gdy siedziałem tam już kilka miesięcy, pewnego dnia „oficjalnie” mi ją zaproponowano. Zapytał mnie sam Bruno Sulak. Cieszył się sławą we Francji, ponieważ udało mu się ukraść z salonów jubilerskich Van Gold i Cartiera biżuterię o łącznej wartości ponad trzydziestu milionów guldenów. Był bardzo sprytnym, awanturnicznym mężczyzną, któremu już kiedyś wcześniej udało się uciec z więzienia i przez rok ukrywać się w Brazylii. Ponadto we francuskiej Legii Cudzoziemskiej nauczył się twardości i technik przeżycia. Można mu było zlecić załatwienie każdej sprawy, jak to się mówi. Nie wiem, czy zaproponował mi ucieczkę, ponieważ

zaimponowało mu porwanie i nasze późniejsze przygody, czy po prostu myślał, że dysponuję jeszcze dużą kwotą pieniędzy, ale w każdym razie zrobił to.

Przedstawił mi pokrótce scenariusz. Planowano uciec helikopterem. Ten miał nadlecieć w określonym przez nas czasie, najprawdopodobniej podczas pobytu na spacerniaku, i zrzucić drabinę sznurkową, po której mielibyśmy się wspiąć. Sulak twierdził, że może to wszystko zorganizować. Właściwie to już rozpoczął przygotowania. Mieliśmy uciec w trójkę. On, ja i pewien Raoul, Francuz, który miał jeszcze trzydzieści dwa lata do odsiadki za morderstwo. Koszty całej operacji mieliśmy pokryć wspólnie. Była to spora suma, ponad sto pięćdziesiąt tysięcy guldenów, bo w spisku brali udział skorumpowani strażnicy więzienni. Od jednego z nich Sulak otrzymał już przykładowo dziewięć podrobionych kluczy, umożliwiających dostęp do wszystkich pomieszczeń w La Santé. Dzięki temu moglibyśmy, ewentualnie przy użyciu broni, którą musielibyśmy jeszcze przemyścić do środka, sami utorować sobie drogę na plac spacerowy.

Uważałem, że plan nie jest zły i ma pewne szanse na powodzenie, ale nie chciałem uciekać. Po pierwsze, Willem nie mógłby się do nas przyłączyć, a ja nigdy bym go nie zostawił. Nawet gdyby mi ktoś dawał milion. We dwójkę rozpoczęliśmy tę przygodę we Francji i razem ją skończymy. Po drugie, nadal toczyło się postępowanie ekstradycyjne i o ile można było wierzyć ekspertom, wszystko wyglądało obiecująco. Więc dlaczego miałbym uciekać i podejmować ryzyko? Policja francuska jest znana z tego, że najpierw strzela, a później zadaje pytania. Na dodatek żywo stały mi przed oczyma obrazy z trzech miesięcy, kiedy ukrywaliśmy się z Willemem. Mieliśmy do dyspozycji ładny apartament w Paryżu, ale wcale nas to nie cieszyło. Kosztował kupę pieniędzy, było nam wygodnie, mimo to bez przerwy żyliśmy w napięciu. Po pewnym namyśle doszedłem do wniosku, że nie nadaję się do życia zbiega, przynajmniej dopóki mam jeszcze jakąś alternatywę.

Plan upadł. Nie dlatego że go nie poparłem, ale ponieważ wkrótce potem Bruno Sulak został przeniesiony do największego więzienia we Francji, położonego w Fleury-Merogis na obrzeżach Paryża. Po jakimś czasie podjął

tam ponownie próbę ucieczki. Zorganizował sobie wszystko w miarę dobrze, ale został złapany – dosłownie o krok od wolności – na murze więziennym przez dwóch strażników i zaraz potem zginął: spadł i zabił się w nigdy niewyjaśnionych okolicznościach. Spowodowało to zamieszki we Francji, a jego siostra Paulina, dziennikarka, napisała książkę o jego krótkim, ale pełnym zawirowań życiu. Jemu to już niestety nie pomogło.

O wiele później, w maju 1986 roku, gdy także siedziałem w więzieniu w Fleury-Merogis, ku mojemu zdziwieniu przeczytałem w gazecie, że nasz spektakularny plan ucieczki został zrealizowany przez kogoś innego. I to z powodzeniem! Michel Vaujours, któremu pozostało jeszcze do odsiadki osiemnaście lat za różnego rodzaju napady, uciekł właśnie w ten sposób. Helikopter pilotowała jego żona, która dla zrealizowania tego przedsięwzięcia wzięła lekcje pilotażu. A więc nawet z La Santé można było uciec. Bruno Sulak dobrze to ocenił swego czasu.

Pod koniec września w Holandii rozpoczął się wreszcie proces przeciwko moim przyjaciółom i przyrodniemu braciszкови. Biorąc pod uwagę kary nałożone za porwanie Toos van der Valk, liczyłem, że Boellie i Frans dostaną każdy około dziesięciu lat, a Hamulczyk, jako powiedzmy osoba towarzysząca, około czterech. W końcu nie było przecież żadnych ofiar i większość pieniędzy z okupu znaleziono – zarówno Hamulec, jak i Kot zostali złapani ze swoją częścią łupu – po trzy miliony euro. Zapadły niestety inne wyroki. W środę, 3 października, dostarczono mi do celi telegram od Sonji. Tekst był prosty: *Meijer: 16 lat. Boellaard: 16 lat. Hamulec: 10 lat. Uściski, Sonja.*

Przecierałem oczy z niedowierzaniem, myślałem, że na poczcie zrobiono błąd podczas pisania. Serce zaczęło mi walić. Przeraziłem się niesamowicie. Szesnaście lat dla Fransa i Jana... a dla Hamulczyka dziesięć! Zdawałem sobie sprawę, że rozgłos i oburzenie w Holandii przybrały gigantyczne rozmiary, i oczywiście rozumiałem, że sprawa nie zakończy się dla nas ostrzeżeniem, ale to? Nie, to przekraczało wszelkie granice. Nawiasem mówiąc, ze względu na zwięzłą treść telegramu nie wiedziałem, czy jest to wyrok, czy na razie prokurator zażądał takiej kary. Miałem zbyt mało doświadczenia w sprawach sądowych.

Dopiero tydzień później, gdy Boxie przyszła na widzenie, usłyszałem od niej, że było to żądanie prokuratora i kara może być nieco niższa. Ale mój strach niestety nie minął. Powiedziała mi, że Hamulczyka, Boellaarda i Meijera zszokowało żądanie prokuratora. Jeź, który podczas rozprawy w sądzie nadal robił wrażenie chaotycznego i zmieszanego, zawołał nawet w pewnym momencie do prokuratora: „Nie wstyd panu?”. A pod koniec rozprawy zabrał głos i w swoim ostatnim słowie zwrócił się uroczystym tonem do wszystkich obecnych: „Niech Dzień Pański zagości w waszych sercach...”. Rozśmieszyło mnie to, faktycznie typowy Frans. Nieprzewidywalny w reakcjach, ale w gruncie rzeczy facet ze złotym sercem.

Dwa tygodnie później, 17 listopada 1984 roku, ogłoszono wyrok. Rzeczywiście, kara była niższa. Kot dostał dwanaście lat zamiast szesnastu, a Hamulec – dziewięć. Wydanie wyroku w sprawie Fransa Meijera odroczone. Sąd chciał go najpierw poddać obserwacji w klinice psychiatrycznej w Utrechcie. Wyrok mógł zapaść dopiero po zapoznaniu się z wynikami badań. Nie bardzo wierzyłem, że to może coś zmienić. Poza tym prokurator ogłosił już, że i tak złoży odwołanie. Jego zdaniem kary były za niskie.

Byłem załamany. Przede wszystkim z powodu Hamulca, tyle lat odsiadki, straszne. To ja go wmieszałem w całą sprawę. To była moja wina. Chłopak skończył niedawno dwadzieścia lat. Notabene, nawet nie było go podczas obeszwałnienia Heinekena i Doderera. Nie mogłem tego pojąć, szczególnie że w tym czasie przypadkiem przeczytałem w gazecie, iż jakaś banda podpitych wyrostków na plaży w Egmond bez jakiegokolwiek powodu skopała na śmierć chłopaka i dostali za to tylko trzy czy cztery lata. Czy to była sprawiedliwość? A może decydowała tutaj polityka? Albo kwestia pieniędzy? Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Nawiasem mówiąc, nasze sprawy we Francji nie wyglądały lepiej. Ponownie przegraliśmy w Sądzie Kasacyjnym, do którego wnieśliśmy odwołanie. Postanowienie przekazano nam pisemnie w więzieniu 30 listopada. Nawet nie musieliśmy jechać do Pałacu Sprawiedliwości. Straciłem resztkę nadziei. Czy na to czekaliśmy dodatkowo przez te pół roku, przez ponad sto osiemdziesiąt długich, ciężkich dni? Była to bardzo

gorzka pigułka. Pomimo tej porażki mecenas Moszkowicz, który parę dni później przyjechał do mnie na widzenie razem z francuskim adwokatem Antoine Comte'em, nadal był przekonany o swojej racji.

– Panie Van Hout, może jest panu trudno nadal w to wierzyć, ale w końcu wygra pan tę sprawę. Czeka nas długa droga do przebycia, ale naprawdę mamy rację...

Moszkowicz dobrze zauważył: rzeczywiście w to nie wierzyłem, przecież już dwa razy przegraliśmy. Mecenas Max tłumaczył mi, że istniała jeszcze możliwość złożenia odwołania do najwyższej instancji sądowniczej we Francji, do Rady Stanu – Le Conseil d'Etat. Osobiście był przekonany, że tutaj mamy największe szanse, ponieważ w Radzie Stanu zasiadają najlepsi prawnicy, którzy w przeciwieństwie do tych z Chambre d'Accusation nie rozpatrują wszystkich okoliczności sprawy, ze wszystkimi towarzyszącymi jej emocjami, ale tylko kwestie czysto prawne. A te przemawiały na naszą korzyść – bezspornie, utrzymywał mecenas Moszkowicz.

Ponieważ nie chciałem, żeby nasze ostatnie pół roku w La Santé poszło na marne, zleciłem mecenasowi Maxowi złożenie odwołania do Rady Stanu, chociaż szczerze mówiąc, nie wierzyłem, że nasze szanse wynoszą więcej niż jeden procent. Adwokaci nie wiedzieli, jak długo potrwa procedura w Radzie Stanu, ale przypuszczali, że z pewnością kilka miesięcy. Ponadto wytłumaczyli nam, iż zgodnie z prawem istniała możliwość, że Francja wyda nas po orzeczeniu Sądu Kasacyjnego, nie czekając na zakończenie procedury odwoławczej. Ostateczny wyrok mógł nam zostać przekazany w swoim czasie, już podczas pobytu w holenderskim więzieniu.

Zasugerowany tymi informacjami zacząłem pakować swoje rzeczy. Dlaczego Francuzi mieliby czekać dłużej, skoro mieli możliwość pozbycia się nas? Przypuszczałem, że zechcą nas wydalić możliwie najszybciej. W duchu myślałem także: *home sweet home*, wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – wracam do Holandii. Pogodziłem się z tym. Wszystko trwało już tak długo i pragnąłem wrócić do ojczyzny, nawet gdybym trafił za kratki. Mówienie po francusku było dla mnie męczące, jedzenie mi nie smakowało, widzenia były źle zorganizowane i trwały za krótko. Bardzo schudłem, czułem się brudny z powodu fatalnych warunków higienicznych i dusiłem się w czterech

ścianach tej klitki, zwanej celą, w której musiałem przebywać niemalże dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ostrzegłem Boxie, że w nadchodzących tygodniach musi dzwonić przed wyjazdem do Paryża, aby sprawdzić, czy jeszcze tutaj siedzę.

Francuski minister sprawiedliwości, który powinien dać sygnał do wyjazdu, był jednak cierpliwy. Mogliśmy tutaj odczekać na wydanie orzeczenia przez Radę Stanu, tak jakby nam tym sprawiano przyjemność. Adwokaci Antoine Comte i Moszkowicz widzieli w tym pomyślny znak, ale ja musiałem znosić codziennie ciężki reżim panujący w więzieniu. Od dłuższego czasu nie spotykałem mojego przyjaciela Willema. Niekiedy widziałem go przelotnie podczas brania prysznic, ale wszelkie nowości mogłem usłyszeć tylko od kogoś, kto przyszedł w odwiedziny i regularnie wołałem przez okienko w celi: „Willem pierwszy”.

Zbliżał się grudzień, dni świąteczne, i ogarniała mnie coraz większa tęsknota. Zawsze lubiłem towarzystwo i wspólne imprezowanie. W La Santé nie było o tym oczywiście mowy. Nie znają tam nawet słowa świętowanie czy zabawa. Święta Bożego Narodzenia były tragiczne. Jeszcze gorsze niż zwykłe dni. Stołówki pozamykane, nie roznoszono poczty, bo prawie cały personel chciał mieć wolne. Do jedzenia dodano nam tylko stary kawałek ciasta. Jedyne, co mi pozostawało, to nadzieja, że wszystko szybko minie. Parę dni później był sylwester i przez przekorę zorganizowaliśmy w celi skromną imprezę. W minionych dniach udało mi się wymienić trochę papierosów na dodatkowe puszki piwa i mieliśmy co wypić. Pokrzykiwaliśmy i tańczyliśmy na zmianę na rozpadającym się stoliku. Energicznie wstrząsaną puszką piwa opryskaliśmy celę jak szampanem.

Z łezką w oku wracałem myślami do Holandii, do Amsterdamu, na ulicę Van Hallstraat, gdzie nad kwiaciarnią Raj tradycyjnie obchodziliśmy sylwestra. Mieszkanie stało teraz puste. Może już sprzedano je na licytacji. Nie stał w nim schłodzony szampan. Nie było tam żadnego z nas. Chyba te czasy minęły bezpowrotnie... Jeszcze przed północą położyliśmy się podchmieleni na nasze prycze i zasnęliśmy. Nie słyszałem żadnych fajerwerków wystrzelonych o północy w Paryżu.

Niespodziewanie Nowy Rok zaczął się jednak wspaniale. Może był to

najlepszy Nowy Rok w moim życiu. Przez trzeszczące radyjko usłyszałem w dzienniku ogólnokrajowym ANP wiadomość, że... Frans Meijer uciekł z kliniki psychiatrycznej Pieter Baan Stichting w Utrechcie przez okno rozbite froterką!! Nie mogłem uwierzyć własnym uszom, uradowany wyskoczyłem z łóżka i odańczyłem dziki taniec. Współmieszkańcy z celi nic z tego nie rozumieli, ale to mi nie przeszkadzało. Wrzeszczałem głośno, jakby Jeź mógł mnie usłyszeć:

– Frans, ziomeczku... klasa, chłopie, wielka klasa!

Wiadomość dotarła także do Francji i do wymiaru sprawiedliwości. W dniu 2 stycznia odczuliśmy z Willemem skutki tej ucieczki. Widocznie obawiano się, że my także w jakiś sposób znikniemy i z tego względu nadano nam tak zwany status DPS, *Detenu-Particulier-Surveiller*, co w wolnym tłumaczeniu oznacza „ciągła ochrona osobista”. Na początku, po naszym przybyciu do La Santé otrzymaliśmy tylko status *DPS-exterieur*, co oznaczało, że konwojent pilnował nas na przykład tylko wtedy, gdy przewożono nas do sądu.

Ale teraz, ponieważ Frans uciekł, nadano nam status *DPS-interieur*, a więc osobistą ochronę w obrębie więzienia. To wcale nie było zabawne. W całym więzieniu La Santé na dwa i pół tysiąca osadzonych tylko około dwudziestu osobom przydzielono taką ochronę. Trzeba było być naprawdę znaczącym, bardzo niebezpiecznym przestępcą. Zabójcą policjanta, terrorystą albo notorycznym zbiegiem. Do takiej kategorii zaliczał się na przykład Bruno Sulak, który chciał, abym z nim uciekł. Stałej ochrony osobistej nie przydzielano tak łatwo, między innymi dlatego że wymagało to zaangażowania dodatkowych strażników. Przez cały dzień dwóch takich facetów kręciło się koło mnie.

Nic sobie z tego nie robiłem, nawet gdyby mnie wsadzili na rok do izolatki, nadal bym się uśmiechał. Byłem dumny z mojego kumpla! Frans po prostu przechrzył ich wszystkich. Ha, ha, ponownie zapędził ich w kozi róg! Rechotałem z radości. Miałem nadzieję, że nie wpadnie w ręce policji i będzie się ostrożnie obchodził z naszym okupem.

W tym samym tygodniu całkiem przypadkiem natknąłem się na Willema przy prysznicach. Akurat wycierał się ręcznikiem i dzięki temu mogliśmy

zamienić ze sobą parę słów, mimo nerwowego nawoływania strażników, że musi się pospieszyć i że nie wolno nam rozmawiać. Do niego także dotarła ta wiadomość – był bardzo zadowolony. Z Fransem uciekła także częśćka każdego z nas. Powiedzieliśmy tylko do siebie: zrobił to o rok za późno. Powinien, zamiast oddawać się w ręce policji w ubiegłym roku, zabrać się z nami statkiem do Panamy. Z całą pewnością nasza trójka byłaby teraz w lepszej sytuacji. Ale cóż, łatwo mówić po fakcie. Na razie cieszyłem się z jego ucieczki. Rok 1985 rozpoczął się znakomicie.

Potem wróciła codzienna, szara rzeczywistość. Tygodnie i miesiące posuwały się do przodu w żółtym tempie. Siedzieliśmy już ponad rok w La Santé. Mogę powiedzieć – rok w tropikach. La Santé zabijało umysł, otępiało nas. Nadal codziennie trenowałem, ale i tutaj zaczynałem wpadać w rutynę. Na spacerunku nie było nikogo, kto chociaż przez pół godzinki mógłby dotrzymać mi tempa, ale to nie dawało mi już satysfakcji.

Nadal spadałem na wadze. Gdy przywieziono mnie do La Santé, ważyłem około stu kilogramów, ale oceniam, że straciłem dobre dwadzieścia. Ubranie na mnie wisało. Z kołnierzyka od koszuli wystawała cienka szyjka, jak u kurczaka, a spodnie były za szerokie. Sonja powiedziała mi, że jestem trochę żółty i obawiała się, iż choruję, ale to było normalne zjawisko często występujące w więzieniu. Jak ktoś długo przebywa w sztucznym świetle, to skóra automatycznie zaczyna nabierać żółtego koloru. Twarz zmieniła mi się w typową umięśnioną facjatę. Zapadnięte policzki z wyłupiastymi oczami, które wyglądały, jakby chciały wyskoczyć z oczodołów. Były tak wyraziste, że współwięźniowie żartowali niekiedy: „Wyglądasz jak Marty Feldman”, mając na myśli znanego aktora i komika...

Boxie i Francis odwiedzały mnie wiernie co tydzień. Ich wizyty podtrzymywały mnie na duchu. Francis już chodziła i dużo mówiła.

– Tatusiu, długo musisz jeszcze tutaj pracować? – pytała zawsze z cudowną dziecinną naiwnością. Zdawałem sobie sprawę z tego, że nie będę obecny przy niej w dzieciństwie i wczesnych latach młodości, chociaż Sonja robiła wszystko, co w jej mocy, aby mnie o wszystkim informować. W domu dużo o mnie opowiadała i wszędzie „porozwieszała” zdjęcia taty, aby Francis nie oddaliła się ode mnie. Ale przykre było to, że pewnych

przeżyć i wydarzeń nigdy nie da się nadrobić. Kiedy wyjdę na wolność, nastoletnia już wtedy zapewne Francis będzie miała za sobą kawał życia, w którym byłem nieobecny. Moi rodzice, brat i siostry także regularnie przyjeżdżali na widzenia. Mogli mnie odwiedzać raz w miesiącu, współczuli mi i próbowali dodać otuchy. Ale często widziałem, że wzdrygali się z przerażeniem na mój widok. „Znów schudłeś?”.

Nawiasem mówiąc, miesiące, które spędziliśmy w La Santé, były oficjalnie liczone jako areszt tymczasowy. Oznaczało to, że okres spędzony tutaj będzie zaliczony na poczet wymierzonej kary, gdybyśmy zostali skazani w Amsterdamie. Na szczęście, bo w innym przypadku przesiedzielibyśmy ponad rok na próżno. W Holandii było mniej więcej jasne, jak wysoką karę nam wymierzą. W marcu 1985 roku odbyły się rozprawy apelacyjne Boellaarda i mojego przyrodniego brata Martina Erkamps. Hamulczyk otrzymał o rok mniej, czyli osiem lat. A więc coś to dało. Wyrok dla Kota został utrzymany w mocy: dwanaście długich lat. To samo dotyczyło zbiegłego Fransa. W tym miesiącu został skazany zaocznie na dwanaście lat pozbawienia wolności.

Po jego ucieczce sąd postanowił jeszcze trochę poczekać, ale w końcu wydał wyrok skazujący, mimo że nie było raportu psychiatrycznego. Sędziowie uznali, że to z jego winy. Nie miałem wątpliwości, że kiedyś otrzymamy taką samą karę. Na pewno nie łagodniejszą.

W tamtych miesiącach, kiedy nasza odporność była wystawiona na ciężką próbę, często myślałem o przyjaciółach. Wszyscy znajdowaliśmy się teraz w złej sytuacji. Nie mogliśmy sobie nawzajem pomagać. Ale tylko ich miałem. Nie byłem pisarzem ani tym bardziej poetą, ale zrodziła się we mnie potrzeba przekazania moich uczuć.

Często rozmawiałem o moich kumplach z kolegą z celi, który w miarę dobrze mówił po angielsku. On miał także przyjaciela na dobre i na złe i rozumiał dokładnie, co mam na myśli. Wspólnie napisaliśmy coś w rodzaju wiersza, właściwie może bardziej opowiadanie. Używany przez nas język nie był perfekcyjny, a angielski może jeszcze gorszy, ale nie o to chodziło. Tekst oddawał dokładnie to, co czuliśmy w samotności w La Santé. Często znajdowałem w nim oparcie. Kiedy miałem silną chandrę, czytałem ten

wiersz, leżąc na pryczy, i myślami wracałem do Amsterdamu, Boxie, Francis, Willema, Fransa, Hamulczyka, Boelliego, Robbiego i Thomasa...

Nazywaliśmy to *Footprints* – odciski stóp.

A brzmiało to tak:

...One night you had a dream. That you were walking along the beach with me. Across the sky flashed scenes from your life. For each scene you noticed two sets of footprints in the sand: one belonged to you and the other to me;

When the last happy scene of your life had flashed before you, you looked back at the footprints in the sand. You noticed that many times along the Path of your life there was only one set of footprints.

You realised that it happened at the very lowest and saddest times of your life;

This really bothered you, and you questioned me about it. You said that I once decided to follow you, you would walk with me all the way. But I have noticed that during the most troublesome times of my life, there is only one set of footprints. I don't understand why you left me, just when I needed you most;

I replied then: my precious, precious friend, I love you and I would never leave you. During your times of trial and suffering, when you see only one set of footprints, it was then that I carried you...

...Pewnej nocy miałeś sen. Szliśmy razem po plaży. Na niebie rozbłyskały sceny z twojego życia. Każdej zauważonej przez ciebie scenie odpowiadały dwie pary śladów stóp na piasku: moje i twoje.

Gdy ostatnia szczęśliwa scena z twojego życia rozbłysła, odwróciłeś się i popatrzyłeś na ślady stóp w piasku. Zauważyłeś, że wiele razy na Ścieżce twojego życia widniała tylko jedna para.

Uzmysłowiliście sobie, że były to najgorsze i najsmutniejsze chwile w twoim życiu.

To naprawdę cię gryzło i dręczyło, i zacząłeś mnie o to wypytywać. Powiedziałeś, że kiedyś zdecydowałem się podążać za tobą, że przejdiesz ze mną całą drogę. Ale zauważyłem, że w najtrudniejszych momentach w moim

życiu jest tylko jedna para śladów. Nie rozumiem, dlaczego mnie zostawiłeś, właśnie wtedy, gdy cię najbardziej potrzebowałem.

Odpowiedziałeś mi: mój drogi, drogi przyjacielu, kocham cię i nigdy bym cię nie zostawił. W tych chwilach próby i cierpienia, kiedy widać tylko jedną parę odcisniętych stóp, niosłem cię na rękach.

Lato w La Santé minęło nam na czekaniu. Z niecierpliwością ciągle pytałem mecenasów Maxa i Comte'a, jak wyglądają nasze sprawy w Radzie Stanu. Wszystko ciągnęło się już tak długo. Naturalnie zgadzali się ze mną, ale nie mieli na to wpływu. Za każdym razem powtarzali: „Proszę wytrzymać jeszcze trochę, zacisnąć zęby... na pewno nie potrwa to już długo”. Po prostu nie było nic więcej do powiedzenia. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ich wizyty były bardziej towarzyskie, niż służyły omówieniu kwestii prawnych, co także niezwykle doceniałem.

Za każdym razem pytałem naturalnie pana Maxa, czy słyszał coś o Fransie Meijerze, ale wyglądało, jakby zapadł się pod ziemię. Moszkowicz nigdy nie otrzymał od niego żadnej wiadomości. Kiedyś w gazecie pojawiła się informacja, że widziano go gdzieś w Amsterdamie, ale potem zapadła wielka cisza. Było to dla mnie dowodem, że Frans podjął przemyślane działania. Inaczej trudno jest się ukrywać. Tego nauczyliśmy się w Paryżu.

To „trochę”, o którym adwokaci mówili do Willema i do mnie, pocieszając nas, było delikatnym określeniem. Zaliczyliśmy już ponad półtora roku La Santé. Rada Stanu strasznie zwlekała. Pod koniec października w Holandii ponownie powiało grozą po nowym porwaniu. Tym razem chodziło o kogoś, kogo osobiście dobrze znaliśmy, z kim byliśmy nawet zaprzyjaźnieni.

Nie wierzyłem własnym oczom, gdy w porannym wydaniu gazety „De Telegraaf” zobaczyłem duże nagłówki, że Gijs van Dam junior został uprowadzony. Jego ojca, także o imieniu Gijs, obaj z Willemem znaliśmy bardzo dobrze. Był miłośnikiem koni i od jego zięcia, naszego kumpla, świętej pamięci Robbiego Offenberga, kupiłem kiedyś mojego pierwszego konia. Van Dam pochodził z Jordanu i w ten sposób się poznaliśmy, a dzięki naszemu wspólnemu zamiłowaniu do koni zostaliśmy przyjaciółmi. Młody Gijs chodził często z Willemem i ze mną na wyścigi konne. W gazetach

wspomniano o naszej znajomości. Pisano, że Gijs van Dam jest dla mnie kimś w rodzaju „ojca chrzestnego” i że porwanie było porachunkiem w świecie przestępczym. Niemiała sytuacja. Zarówno dla Gijsa, jak i jego syna oraz dla nas. Nie mieliśmy z tym nic wspólnego, ale byliśmy z tym kojarzeni. Na szczęście uprowadzenie nie trwało długo i po sześćdziesięciu godzinach Gijs wrócił cały i zdrowy.

Porwanie dobrego znajomego było dziwnym doświadczeniem dla mnie. Siedziałem w napięciu przede wszystkim dlatego, że z La Santé nie mogłem nic zdziałać i nie docierało do mnie zbyt wiele wiadomości. Później pytano mnie niekiedy, czy pod wpływem tego wydarzenia zacząłem inaczej patrzeć na uprowadzenie Heinekena. Nie wiem dokładnie. Codziennie o tym myślałem, niezależnie od faktu, że Gijs także padł ofiarą porwania. Takie przestępstwo nigdy nie jest przyjemnym doświadczeniem, zdałem sobie z tego sprawę po tym, jak już mleko się rozlało, ale moim zdaniem istotne jest, czy porwany zostaje osiemnastoletni chłopak, czy dorosły mężczyzna.

Ponad tydzień później w La Santé wreszcie coś się wydarzyło. Prawie zapomniałem, że sprawa odwoławcza jeszcze się toczyła, gdy w środę 6 listopada 1985 roku po południu wyprowadzono mnie z celi, ponieważ odwiedził mnie mecenas Antoine Comte. Wyobrażałem sobie, że to jedna z tych rutynowych wizyt i cieszyłem się z urozmaicenia monotonnego dnia. Ale okazało się, że to coś innego.

Zamiast statecznego prawnika z fajką, do jakiego przywykłem, teraz wpadł do środka Antoine Comte, jakiego jeszcze nie znałem. Nierozłączną fajkę widocznie gdzieś schował, a na jego poważnej twarzy gościł szeroki uśmiech. Rozważne sformułowania zastąpił emocjonalny wybuch. Nie usiadł i tym razem nie podał mi ręki. *We won! We won the case!*^[35] wołał podniecony. Zaskoczony spoglądałem na niego niepewnie. Zastanawiałem się, czy go dobrze rozumiałem.

– *What...? Won?!* – zareagowałem.

– *Yes, we won* – zawołał Comte, jeszcze raz wyrzucając pięść w powietrze.

W tym momencie dotarło to wszystko do mnie, skoczyłem do góry i rzuciłem mu się na szyję. Zmieszał się zaraz, ale ja byłem przeszczeniwy. Zwyciężyliśmy! Zwyciężyliśmy! A więc to wszystko nie było na darmo!

Gdy się trochę uspokoiłiśmy, Comte powiedział, że już był u Willema i ten mu się także rzucił na szyję! Spytał z uśmiechem, czy wszyscy Holendrzy tak robią? Odpowiedziałem, że nie wszyscy, ale też i niewielu z nich spędziło tyle czasu w La Santé... Comte wytłumaczył mi, że Rada Stanu wreszcie wydała orzeczenie, które brzmiało jednoznacznie na naszą korzyść. Zgodnie z tym, co mecenas Moszkowicz sugerował od początku, Rada Stanu oceniła, że możemy zostać wydani Holandii tylko za „groźby pisemne”, ale nie za „bezprawne pozbawienie wolności” i „wymuszenie rozbójnicze”. Oznaczało to, że w Holandii pozostanie nam niewiele kary do odbycia. Okres odsiadki w La Santé musiał być zgodnie z prawem zaliczony na poczet kary. Zostanie nam do przemęczenia się najwyżej z dziesięć miesięcy... a to mogliśmy odsiedzieć, wesoło pogwizdując, nawet w La Santé czy w komórce na węgiel. Po wszystkich zwątpieniach i niepewności ogarnęło mnie poczucie dumy. Byłem dumny, że twardo obstawaliśmy przy swojej racji i wygraliśmy. Było to dokładnie 6 listopada 1985 roku, minęły prawie dwa lata – bez trzech dni – od porwania Alfreda Heinekena i Aba Doderera, dwadzieścia dwa miesiące od naszego zatrzymania. W tym czasie straciłem na wadze trzydzieści pięć kilo, Francis z niemowlaka wyrosła na przedszkolaka, Boellie i Hamulec siedzieli, Frans gdzieś się ukrywał, ale my, Nos i ja, wreszcie wygraliśmy!

Z wyprostowanymi plecami wracałem do swojej celi. Wewnętrznie uradowany. Pomimo wczesnej godziny otworzyłem puszkę piwa i oblałem nią moich zaskoczonych kolegów. Dwie godziny później tę wiadomość potwierdziło francuskie radio. Wspaniale! Cudownie! Gdy późnym popołudniem w tenisówkach i dresie pojawiłem się na spacerunku, aby z godzinkę pobiegać, okazało się, że wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy po całym La Santé. Współwięźniowie przywitali mnie spontanicznymi i jedynymi w swoim rodzaju oklaskami. Musiałem uścisnąć dziesiątki dłoni. W więzieniu, a już szczególnie w tamtym, obowiązywała reguła: „każdy za siebie, a Bóg za nas wszystkich”. Cieszyło mnie, że życzyli mi wygranej w tej sprawie.

Wieczorem doszedł do tego wszystkiego jeszcze telegram z Holandii, od Boxie:

Wygraliśmy! Gratuluję! Do szybkiego zobaczenia, uściski, Sonja.

Następnego dnia od rana czaiłem się przy okienku i wyglądałem Willema na dziedzińcu. Za wszelką cenę chciałem się z nim skontaktować. Przed samym południem poszczyściło mi się i nagle zobaczyłem, że przechodzi. Teraz już mnie nie obchodziło, czy jakiś strażnik mnie usłyszy lub zobaczy, najwyżej za karę będę musiał spędzić tydzień w izolatce. Chwiejąc się na wąskiej krawędzi piętrowej pryczy, złożyłem dłonie w trąbkę i krzychałem: „Willllleeeemmmmm!”. Zatrzymał się na chwilę i rozejrzał wokół. Jego oczy błądziły po oknach i gdy zauważył moją zmizerowaną twarz, zaczął wiwatować i podskakiwać, unosząc oba kciuki. Wołałem do niego entuzjastycznie: „Stary... udało się, wygraliśmy!”.

Zawdzięczaliśmy to głównie jednemu człowiekowi, mojemu adwokatowi, mecenasowi Moszkowiczowi. Po tym wszystkim nabrałem dla niego jeszcze większego podziwu. Szczwany lis widział to wszystko ostro jak brzytwa. „Wygra pan, cierpliwości” – powtarzał ciągle i teraz okazało się, że to nie blef. Pan Max był po prostu najlepszy. Aby okazać naszą wdzięczność, poprosiłem Boxie o dostarczenie butelki szampana Dom Pérignon do jego kancelarii w Maastricht. Gdy największe emocje nieco opadły, zacząłem się głębiej zastanawiać nad ewentualnymi skutkami. Jak przyjęto tę wiadomość w Holandii? Nie byłem jeszcze całkiem spokojny. Biorąc pod uwagę wcześniej okazywane wzburzenie, na pewno ta sprawa nie minie bez rozgłosu. Korthals Altes, minister sprawiedliwości, z całą pewnością tego tak nie zostawi i na pewno się do tego jeszcze ustosunkuje. No dobrze, ale czy mogli jeszcze coś zrobić? Orzeczenie francuskiej Rady Stanu nie pozostawiało cienia wątpliwości i – to było w tym wszystkim najpiękniejsze – od tego orzeczenia nikt nie mógł się odwołać.

Jednak wyczułem pismo nosem. Za kulisami próbowano uknuć podstęp. Już miałem spakowane ubranie na wyjazd do Holandii, ale na razie nie było o nim mowy. Wszystko trwało długo. Za długo. Mimo wspomnianego orzeczenia znów mijały tygodnie. Co się znów dzieje? Zaczął mnie ogarniać niepokój, ale nikt nie potrafił mi udzielić odpowiedzi na pytanie, dlaczego to tak długo trwa. Minęły ponad trzy tygodnie. Było to naprawdę denerwujące.

Za każdym razem, gdy otwierano drzwi, myślałem, że przyszedli mnie zabrać. Pragnąłem wrócić do „domu”, czyli do względnego luksusu holenderskiego więzienia – na jakiś miesiąc. Moje niedobre przeczucie sprawdziło się. W czwartek 5 grudnia 1985 roku, w dniu Świętego Mikołaja^[36], powiadomiono mnie o niespodziance. Po spacerunku wziąłem cotygodniowy prysznic i kiedy wróciłem do celi, moi podekscytowani koledzy zaczęli wołać, że mnie wypuszczają. W wielkim rozgardiaszu przekrzykiwali się nawzajem i popatrzyłem na nich zmieszany. Wyjdę na wolność? Tak, usłyszeli to przed chwilą w radiu, powiedzieli mi. Pokręciłem głową i powiedziałem im, że chyba mylą to z ekstradycją, ale oni utrzymywali, że dobrze usłyszeli. Nie mogłem w to jednak uwierzyć i w napięciu czekaliśmy na następne wydanie dziennika.

Godzinę później wiadomość została powtórzona. Faktycznie, to było zaskakujące! Prezenter dziennika poinformował, iż Holandia wycofała wniosek o ekstradycję wystosowany do władz francuskich, ponieważ uznano, że dziesięć miesięcy kary pozbawienia wolności, która mogłaby jeszcze zostać nałożona, jest niewystarczające. Dlatego też nasz areszt tymczasowy zostaje uchylony i będziemy zwolnieni...

Zamurowało mnie. Następnie, jeszcze nie całkiem ubrany, zacząłem wściekle walić w ciężkie drzwi. Musiałem porozmawiać z dyrektorem, natychmiast! I z moim adwokatem. Parę minut później, gdy dyrektor pojawił się, powiedziałem mu, że nie opuszczę więzienia. Pozornie wiadomość brzmiała cudownie, ale obawiałem się, że w ten sposób zostaniemy cichaczem wydani. Przypuszczałem, że Francja po prostu wysadzi nas po belgijskiej stronie, mimo nakazu sądowego. Była to idiotyczna sytuacja. Role nagle się odwróciły. Teraz Holandia nas nie chciała, a ja nie miałem ochoty wyjść z więzienia...

Willem widocznie podzielał moje zdanie. Jednak podszedł do sprawy bardziej rygorystycznie niż ja. Oczekując na przybycie dyrektora, porozbijał wszystko w celi w drobny mak. Czyli także czuł, że chcą wyprowadzić nas w pole. Dyrektor robił wszystko, żeby załagodzić sprawę. Przysięgał, że nie pojedziemy do Holandii, ale do francuskiego hotelu i, słowo honoru, nie zostaniemy wydani ukradkiem czy potajemnie. Uspokoilem się nieco, ale

nadal byłem podejrzliwy. Co za podłość, żeby na samym końcu procedury wycofać wniosek o ekstradycję! Takie zachowanie pasowało bardziej do cwane go adwokata przemytników niż szanującego siebie, a przede wszystkim prawo, ministra sprawiedliwości. Wieczorem spakowałem swoje rzeczy do wyjazdu. Radio, dzięki któremu utrzymywałem kontakt z Holandią, oddałem. Także część ubrania sportowego. Latający Holender, przez prawie dwa lata niepokonany biegacz, wychodził... Dokąd? Nie wiedziałem. Tej nocy nie zmrużyłem oka. Po głowie chodziły mi ostatnie wydarzenia. Byłem strasznie ciekaw, co będzie z nami dalej. Czy naprawdę nas uwolnią? Czy Boxie i Francis będą mogły przyjechać? Próbowałem zrozumieć, dlaczego Holandia zdecydowała się na ten zaskakujący krok, przecież teraz mimo tylu starań i sporów prawnych mogli nas stracić. Odpowiedź była prosta. Wycofując wniosek o ekstradycję, Holandia miała otwartą drogę do zatrzymania nas w przyszłości gdziekolwiek i do skazania na karę w pełnym wymiarze – na dwanaście lat zamiast dziesięciu miesięcy. W ten sposób wyjęli nas spod prawa.

Francja nie mogła nas dłużej trzymać, ponieważ w tym kraju nie popełniliśmy żadnego przestępstwa i siedzieliśmy w La Santé tylko w związku z postępowaniem ekstradycyjnym. Pojawiał się też kolejny problem: przypuszczałem, że nie będziemy mogli pozostać we Francji. Oznaczało to, że istniało niebezpieczeństwo, że wpadniemy w szpony Holandii bezpośrednio bądź w drodze ekstradycji przez inne państwo.

Następnego dnia musieliśmy wypełnić trochę papierów i otrzymaliśmy nasze rzeczy z powrotem. Dyrektor La Santé powiedział mi, że przy bramie więziennej stoi sporo dziennikarzy. Zastanawiałem się, czy są tam także nasi przyjaciele i rodzina. Czy w Holandii już wiedzieli, że dzisiaj wychodzimy na wolność? Szliśmy korytarzem, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Myślę, że było to tajne przejście, rodzaj tylnego wyjścia. Panowały ciemności i pajęczyny przyklejały mi się do twarzy. Gdy doszedłem do drzwi w zewnętrznym murze, Willem już tam czekał. Doprowadzono nas oddzielnie. Kiedy opuszczaliśmy budynek, powiało grozą, wszystkie cele były zamknięte, nie wiem z jakiego powodu. Zanim faktycznie wypuszczono nas za bramę, szliśmy cały czas skuci kajdankami, co sprowokowało mnie do

uwagi:

– Hej, co to znaczy, przecież jestem wolny?

– Wolny? – pogardliwie zareagował strażnik. – Skąd ci to przyszło do głowy? Zastrzelimy cię...!

Wzruszyłem ramionami. Tego rodzaju dowcipami nie mogli mnie zirytować.

– W porządku, przynajmniej będzie po wszystkim – lakonicznie zripostowałem.

Strażnicy, było ich chyba z piętnastu, stali z karabinami gotowymi do strzału. Willema i mnie wepchnięto do oddzielnych samochodów na pulsujących światłach. Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. To była tajemnica. Cały czas obawiałem się, że nas przewiozą przez granicę. Przy wsiadaniu szybkoitko rozejrzałem się, czy nie widać znajomych, ale prawdopodobnie stali przy głównym wyjściu. *Adieu Santé...*

Po niecałej godzinie jazdy na północ dotarliśmy do budynku, na którym widniał niebieski neonowy napis Hôtel de Police... Gdybym nie był skuty, stuknąłbym się w głowę. A więc to był „hotel”, o którym mówił dyrektor więzienia. Oszukano nas! Nie wypuszczą nas, przeleciało mi przez głowę. Ale na szczęście tym razem myliłem się. Komisarz powiedział nam, że musimy podpisać kilka dokumentów i zostaniemy przewiezieni do prawdziwego hotelu. Znajdowaliśmy się w miejscowości Beauvais, kilka kilometrów na północ od Paryża. Na komisariacie wszyscy zachowywali się wobec nas uprzejmie. Uzbrojeni ochroniarze zniknęli, gdy podpisaliśmy papiery, i miejscowa policja zdjęła nam kajdanki. Nie mieliśmy już ciągłej osobistej ochrony.

Policja w Beauvais, która miała w zasadzie do czynienia tylko z mandatami drogowymi, była wielce zainteresowana naszą sprawą. Zadawali pytania, przez które z jednej strony przebijała ciekawość, a z drugiej strony odrobina nieskrywanego podziwu. Przede wszystkim nie mogli przestać mówić o trzydziestu pięciu milionach guldenów okupu. Za każdym razem musiałem powtarzać, ile to jest we frankach. Aby mógł ochłonać z przerażenia po spacerze w kajdankach, poczęstowali mnie nawet w pewnym momencie kieliszeczkiem koniaku. Od razu poczułem się lepiej.

Puściłem oko do Willema, z którym nie rozmawiałem już kupę czasu: wszystko idzie w dobrym kierunku.

Rzecznik poinformował nas, że zostaniemy przewiezieni do miejscowego hotelu Campanile. Należał do znanej sieci hotelarskiej i miał dwie gwiazdki. Składał się z części mieszkalnej i restauracyjnej. Był położony w dzielnicy przemysłowej Beauvais i przeznaczony głównie dla biznesmenów. Zbyt mi to nie interesowało. Wszystko było lepsze niż La Santé. Śledczy mieli patrolować okolicę na okrągło, ale poza tym mogliśmy robić wszystko, co chcieliśmy i przyjmować, kogo chcemy. Poinformowano nas tylko, że wyjęto klamki od drzwi naszego pokoju hotelowego i okno nie otwierało się ze względów bezpieczeństwa. Mieliśmy coś w rodzaju aresztu domowego, chociaż mogliśmy przebywać na zewnątrz. Nie protestowaliśmy. Do tego, że okna się nie otwierały, przyzwyczailiśmy się w La Santé. To żadna nowość. Po dwóch latach pobytu w więzieniu taki hotel był rajem na ziemi.

Następnie zgodnie z zapowiedzią przewieziono nas do Campanile. Przydzielono nam oddzielne pokoje na pierwszym piętrze, na końcu galerii. Sąsiedni był wynajęty przez policję, która w ten sposób mogła odnotowywać, kto przychodzi do nas w odwiedziny. Pierwszą czynnością, jaką wykonałem, kiedy znalazłem się w środku, był telefon do Holandii. Co za luksus! Prawie dwa lata nie widziałem aparatu telefonicznego. Po drugiej stronie usłyszałem okrzyk radości, kiedy powiedziałem:

– Cześć, tak, tak, to Cor z tej strony... Cor przy telefonie...!

Szybko dzwonili do nas po kolei przyjaciele i rodzina. Stien, matka Sonji i Willema, powiedziała, że Boxie cały dzień czekała w Paryżu, aby mnie odebrać z La Santé. Podała mi numer telefonu i nazwę hotelu, w którym się zatrzymała na noc. Dwie minuty później z nią rozmawiałem. Była bardzo zaskoczona, ponieważ sądziła, że jeszcze mnie nie wypuścili. Władze więzienia zrobiły z tego wielką tajemnicę. Powiedziałem, żeby szybko wzięła taksówkę i przyjechała do nas, do hotelu Campanile w Beauvais...

W międzyczasie wzięliśmy z Willemem wspaniałą, ciepłą prysznic. Co za wytchnienie po tych brudach w La Santé. Następnie poszliśmy do restauracji na dobry befsztyk. Do tego zamówiłem butelkę wina i dla ugaszenia pragnienia prawdziwego... heinekena. Czuliśmy się jak we śnie. Jedzenie

smakowało znakomicie w porównaniu z tą obrzydliwą zupą rybną i gotowanym mózdzkiem. Nie mogliśmy się nagadać o wydarzeniach z ostatnich tygodni. Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia! Kiedy jedliśmy, do restauracji weszła Sonja. Na rękę trzymała Francis, która ze zmęczenia była blada jak śmierć. Jak one wyglądały... Po ciele przeleciały mi dreszcze.

Wstałem od stołu i wyszedłem im naprzeciw. Uśmiechając się, zamknąłem je w ramionach.

– Cor, naprawdę jesteś wolny? – spytała Boxie niepewnie. – Nie mogą cię dzisiaj wieczorem znów zamknąć?

Widocznie nie wierzyła do końca i obawiała się jakiejś przykrej niespodzianki. Uśmiechnąłem się, uniosłem ją nieco i mocno pocałowałem. Faktycznie, wszystko wyglądało nierealnie.

– Nie lękaj się, Box. To wszystko dzieje się naprawdę. Jesteśmy wolni...

34 Jaka praca, taka płaca (przyp. tłum.).

35 Wygraliśmy! Wygraliśmy sprawę! (przyp. tłum.).

36 Dzień Świętego Mikołaja w Holandii jest obchodzony 5 grudnia (przyp. tłum.).

Rozdział 17

Nie mieliśmy nawet czasu, żeby trochę dojść do siebie. Jeszcze tej samej nocy rozdzwonił się telefon i ciągle pukano do naszych drzwi. Polująca na nas armia dziennikarzy odnalazła miejsce, w którym przebywaliśmy, i masowo ulokowała się w tym dwugwiazdkowym hoteliku. Nie mam pojęcia, w jaki sposób udało im się tak szybko zdobyć informacje, ale byli tutaj reporterzy, fotografowie, dziennikarze radiowi i ekipy telewizyjne. Dotarli również przedstawiciele holenderskiego, ogólnokrajowego dziennika „NOS” programu publicystycznego „Tros-Aktua”, a także dziennikarze gazet francuskich i międzynarodowych agencji prasowych. Dwa lata po uprowadzeniu byliśmy nadal wydarzeniem na skalę światową.

Nie sprawiało nam to szczególnej satysfakcji. Miałem nadzieję, że najpierw będę mógł złapać oddech i pobyć z Boxie i Francis, ale gdy tylko chcieliśmy wystawić nogę poza pokój hotelowy, natychmiast pstrykały aparaty fotograficzne, a lampy błyskowe nas oślepiały. Telefon dzwonił nieomal bezustannie. Nie przeszkadzało im to, że w ciągu dwóch ostatnich lat nie miałem Sonji dla siebie nawet przez pięć minut. Wyglądało, jakbyśmy się stali publiczną własnością prasy, którą mogli dysponować dzień i noc. I tak robili. Zastanawiałem się niekiedy, czy to zawsze tak bywa. Bez skrupułów pukali o wpół do drugiej w nocy do drzwi, pytając, czy mogą zrobić zdjęcie albo przeprowadzić wywiad.

Najchętniej wyjąłbym telefon z gniazdka, ale nie miałem odwagi. Z Holandii dzwoniли do mnie także przyjaciele i rodzina, których głosy pragnąłem usłyszeć. Nie chciałem ryzykować, że nie będę osiągalny. Z tego względu tolerowałem takie sceny rodem z Dzikiego Zachodu. Nie bardzo mogłem zresztą postąpić inaczej. Z drugiej strony po nudach i terrorze La Santé miałem sporo urozmaicenia i poczucie względnej swobody. Mogłem

jeść i pić, ile chciałem i kiedy tylko chciałem. Jeśli miałem ochotę odetchnąć świeżym powietrzem, wkładałem płaszcz, dawałem znak pilnującym mnie policjantom i po prostu wychodziłem na spacer.

Ponadto Boxie i Francis były cały dzień ze mną. Przez pierwsze dwa dni rozmawiałem z nimi i ciągle przytulałem. Musiałem nadrobić zaległości. Wcześniej nigdy nie miałem okazji poleżeć rano w łóżku, żeby pobawić się i powyglądać z moją córeczką. Przed aresztowaniem była na to za mała i teraz, gdy miałem taką możliwość, nie mogłem się nią nacieszyć. Personel hotelowy i policjanci zwracali się do nas grzecznie: *monsieur Van Oet* i *monsieur Olleder*. Mieliśmy z powrotem nazwisko zamiast numeru rejestracyjnego. Dla nas obu pobyt w Beauvais był niesamowitym luksusem. Za jedyną korzyść płynącą z pobytu w La Santé mogliśmy uznać to, że nauczyliśmy się doceniać rzeczy, które kiedyś wydawały nam się oczywiste.

Po zaskakującym wypuszczeniu na wolność szybko skontaktowaliśmy się z mecenasem Maxem Moszkowiczem i Ipo de Vosem. Obiecali nam, że następnego dnia, w niedzielę 8 grudnia 1985 roku, przyjadą do Beauvais, aby omówić sytuację i porozmawiać z czyhającymi na nas hordami dziennikarzy. Do tego czasu mieliśmy mówić jak najmniej i przebywać jak najwięcej w pokoju. W niedzielę po południu, gdy już obaj adwokaci dotarli, odbyliśmy wspólnie krótką naradę. Chciałem się dowiedzieć, jakie konsekwencje miała dla nas decyzja władz holenderskich. Co mogła z nami zrobić Francja i co my sami?

Mecenas Moszkowicz potwierdził moje domysły, że znajdowaliśmy się w trudnej sytuacji. Tak długo, jak przebywaliśmy we Francji, nic nam w zasadzie nie groziło, ponieważ Holandia wycofała wcześniejszy wniosek o ekstradycję. Ale jeśli pojedziemy do innego kraju lub Francuzi przewiozą nas po prostu przez granicę, istniało prawdopodobieństwo, że Holandia od razu rozpocznie postępowanie ekstradycyjne w takim kraju. W ten sposób mogliby nas skazać na pełny wymiar kary (czytaj: dwanaście lat). Adwokaci przestrzegli nas, iż być może będziemy zmuszeni sobie urządzić życie w kraju, z którym Holandia jeszcze nie podpisała umowy ekstradycyjnej. Popatrzyliśmy na siebie pytająco. Zamieszkać w innym kraju? W jakim? Skąd mogłem wiedzieć, z jakimi państwami Holandia zawarła, lub nie,

umowy...? Od razu nie byłem zbyt pozytywnie nastawiony do takiej perspektywy. Pochodziłem z Amsterdamu i nie miałem niczego do roboty w innych miejscach. Najchętniej wrócilibyśmy do Holandii. Francuska Rada Stanu wydała korzystne dla nas orzeczenie i chciałem, żeby zostało ono po prostu wykonane i uszanowane. Przecież nie na darmo procesowaliśmy się przez te dwa lata? Brakowało słów na to, co Holandia teraz wyczyniała! Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem wściekły: można to było porównać do meczu piłki nożnej, w którym drużyna X wygrywa jeden do zera spotkanie z drużyną Y, a ta po ostatnim decydującym gwizdku sędziego nagle mówi: „Nie, ten mecz jest nieważny, ponieważ liczyliśmy na to, że zdobędziemy więcej bramek. Musimy go rozegrać jeszcze raz i dopiero jak wygramy, wynik będzie ważny...”. Może jest to dziwny przykład, ale tak wyglądała nasza sprawa. Holandia zrobiła z nas wygnańców, podczas gdy my wygraliśmy według prawa, w końcu tak orzekła najwyższa instancja sądownicza we Francji.

Mecenasowie Moszkowicz i Ipo de Vos w pełni się z nami zgadzali. W pierwszych komentarzach po naszym uwolnieniu powiedzieli w prasie, że Holandia jest „małostkowa i nie potrafi przegrywać”. I ministrowi zarzucali „falszywą” grę. Z wielu reakcji społeczeństwa holenderskiego wynikało jednak, iż większości posunięcie ministra bardzo się podobało. Chodziło o to, żeby nas dorwać. Nieważne jak – widocznie dla ministra Korthalsa Altesa cel uświęcał wszelkie środki. Nie było istotne czy zgodnie z prawem, czy nie. Byliśmy z Willemem wyjęci spod prawa.

Tak czy inaczej, w tym momencie nie mogliśmy nic zmienić. Mecenasowie Max i de Vos obiecali, że sprawdzą, z jakimi krajami Holandia podpisała umowy, a poza tym musieliśmy czekać na dalsze posunięcia Francji. Na pewno nie będą nas miesiącami trzymać w hotelu. Po tej naradzie postanowiliśmy zorganizować coś w rodzaju konferencji prasowej. Obaj adwokaci radzili nam, abyśmy „tylko raz a dobrze” wystąpili przed prasą. Spodziewali się, że dziennikarze wtedy wyjadą i zostawią nas w spokoju. Ponadto była to znakomita okazja do wypowiedzenia swojego zdania na temat postępowania holenderskiego wymiaru sprawiedliwości.

Rozmawialiśmy we czterech w czymś w rodzaju kawiarenki, położonej

obok restauracji, na parterze. Przez zasłony w oknie widziałem masę dziennikarzy stojących na parkingu. Wcześniej powiedzieliśmy im, iż być może po rozmowie z adwokatami przekazemy im więcej informacji. Czekali mimo grudniowego ziąbu, drżąc z zimna i niecierpliwości. Gdy jeden ze śledczych, który do tej pory każdego zatrzymywał przy drzwiach, po naszym przyzwoleniu dał znak, iż mogą wejść, rzucili się do środka, jakby rozdawano jakieś nagrody. Technicy rozciągali kable od kamer i kilka sekund później ostre lampy świeciły nam w twarz. Kamery klikały i błyskały nieustannie. Szacuję, iż w ten weekend zrobiono parę tysięcy zdjęć, a mimo to w gazetach zamieszczano prawie zawsze te same.

Patrząc z perspektywy czasu, myślę, że to wszystko wtedy nas trochę przerastało i powinniśmy zdać się na adwokatów. Mieliśmy za sobą dwa ciężkie lata w La Santé, nie wiedzieliśmy, co nas czeka, byliśmy rozemocjonowani z racji połączenia się z naszymi rodzinami, krótko mówiąc, niewystarczająco odporni i przygotowani na konfrontację z międzynarodowymi środkami masowego przekazu. Nie mieliśmy pod tym względem żadnego doświadczenia, a teraz oczekiwano od nas, że zabierzemy głos przed tym forum. Ale za późno to zrozumieliśmy: kamery kręciły non stop, mikrofony były włączone i zasypywano nas pytaniami.

Na pierwsze odpowiedzieli jeszcze nasi adwokaci. Mecenas Max Moszkowicz ponownie podkreślił, iż jego zdaniem Holandia postąpiła niezgodnie z prawem: „Mówimy tutaj o niewłaściwym zastosowaniu prawa przez organy administracji publicznej. Holandia wiedziała, jak się może skończyć wszczęcie postępowania ekstradycyjnego. Od początku mówiliśmy, że pod względem prawnym są w błędzie. Przez dwa lata zaprzeczali, a teraz, gdy Rada Stanu nie przyznała im racji, wycofują się rozgniewani jak rozpuszczone dziecko. Do czego to podobne? Uważam, iż Holandia powinna zaakceptować konsekwencje, a tym samym uznać wyroki sądów, nawet jeżeli w tym wypadku nie przyznano im całkowitej racji”.

Następnie nadeszła moja kolej.

– Panie Van Hout, co pan myśli o całej kwestii? – zapytał reporter z dziennika telewizyjnego „NOS”. Zerknąłem na bok na mecenas Moszkowicza, ale już nie mógł mi pomóc. Mhm, co powinienem powiedzieć?

– Holandia musi uszanować prawo... do czego nas to doprowadzi, jeżeli prawo nie będzie przestrzegane – odpowiedziałem.

W zasadzie powiedziałem dokładnie to samo, co Moszkowicz, ale jeżeli wierzyć przekazom, które do mnie dotarły, to podczas dziennika telewizyjnego o ósmej wieczorem w milionach mieszkań w Holandii rozlegało się wściekłe buczenie na taką brutalność porywaczy. „Szczyt wszystkiego”, reagowali ludzie, żeby ktoś taki miał śmiałość domagać się przestrzegania prawa! Z łatwością zapominało przy tym, że jesteśmy z Willemem tylko „podejrzany”, a nie „skazanymi” i – znów zgodnie z prawem – powinniśmy być traktowani jako niewinni. Jak już wspomniałem, udzielanie wywiadów w telewizji nie było rozważnym posunięciem. Nie byliśmy jeszcze gotowi na starcie z mediami, ale właściwie nas do tego zmuszono. Z konferencji prasowej płynęła jedna korzyść: po jej zakończeniu większość dziennikarzy wróciła do Holandii, prawdopodobnie chichocząc z zadowolenia z naszych kontrowersyjnych wypowiedzi.

Wieczorem zadzwonił do mnie Hamulec, który siedział wtedy w więzieniu Schutterswei w Alkmaar. Otrzymał na to specjalną zgodę. Wiadomości wyprowadziły go z równowagi z innego powodu:

– Flippie... Flip... co oni z tobą zrobili? – spytał rozemocjonowany. Zareagowałem zaskoczony:

– A co... Hamulec... co masz na myśli?

– Chłopie, początkowo nie rozpoznałem cię w telewizji. Myślałem, że pokazują nie te obrazy... Ale ty schudłeś... jak ty wyglądasz! Cor, co się stało?

– Mój przyrodni brat wydawał się autentycznie przerażony.

Później częściej słyszałem podobne reakcje z Holandii. Każdego zastanawiał mój wygląd i kiedy od czasu do czasu oglądałem te ujęcia, to rozumiem dlaczego. Gdybym przynajmniej w połowie uzmysłowił sobie, jak źle wyglądam, nie stanąłbym nigdy przed kamerami. Miałem na sobie garnitur sprzed aresztowania. Moja szyja mogła się teraz dwa razy zmieścić w kołnierzyku, schudłem trzydzieści pięć kilogramów, marynarka zwisała mi z ramion i miałem brzydką, żółtawą cerę. Mrużyłem podrażnione światłem oczy. Wyglądałem tak, jakby mnie ucharakteryzowano do filmu, ale to się działo naprawdę. Okropność!

Następne tygodnie były dużo lepsze. Mieliśmy dobry apetyt, jedzenie i picie nam smakowało, dużo spacerowaliśmy po świeżym powietrzu i szybko zaczęliśmy wyglądać w miarę przyzwoicie. Odwiedzało nas wielu przyjaciół i rodzina z Holandii, powoli zaczynaliśmy się przyzwyczajać do normalnego życia, czuliśmy się przez dłuższy czas jak na urlopie. Ale dla naszych kobiet – Beppie, dziewczyna Willema była także z nami – hotelik w Beauvais nie prezentował się zbyt atrakcyjnie, w każdym razie nie nadawał się na wielotygodniowy pobyt. Pokoje były małe i skromne, musieliśmy przebywać na terenie hotelu i policja przez cały dzień deptała nam po piętach. Po pewnym czasie mieliśmy poczucie, że nadal siedzimy w więzieniu. Jeśli o to chodzi, człowiek przyzwyczaja się bardzo szybko do lepszych warunków. W porównaniu z La Santé pobyt w hotelu Campanile był rajem na ziemi, ale zaczęliśmy już dostrzegać pewne niedogodności i robić uwagi.

Odzyskaliśmy trochę wewnętrznego spokoju, gdy władze francuskie nieformalnie poinformowały naszych adwokatów, że „na razie” możemy zostać w tym kraju. Nie zdefiniowano, jaki okres oznacza „na razie”, ale nie zostaliśmy wyrzuceni przed sylwestrem 1985 roku. Nie było to takie złe. Dawało nam przynajmniej czas na podjęcie w miarę rozważnych decyzji na temat przyszłości. Od razu pojawił się pierwszy problem: nasze paszporty utraciły ważność podczas pobytu w więzieniu. Wniosek o przedłużenie daty ważności, skierowany do Ambasady Holenderskiej w Paryżu, został natychmiast odrzucony. Był to potężny cios. Gdybyśmy chcieli szukać szczęścia za granicą, to musieliśmy mieć przynajmniej ważne paszporty. Przez chwilę przypomniałem sobie człowieka z Amsterdamu, który wcześniej miał mnie i Willemowi pomóc przedostać się do Panamy. Niestety, teraz nie mogliśmy skorzystać z jego usług. Obecna sytuacja nie nadawała się do tego. Przed zatrzymaniem mogliśmy działać w tajemnicy i nikt nie wiedział, gdzie się znajdujemy. Teraz pół świata nas znało i cały czas byliśmy pilnowani.

Moglibyśmy łatwo uciec z hotelu Campanile, nie wymagało to większego wysiłku. Po niewielkich przygotowaniach udawało nam się na chwilę pozbyć garstki pilnujących nas policjantów. Zabawne, że hotel, zachwalając swe

zalety, zachęcał potencjalnych gości sloganem reklamowym: *l'escape verte* – ucieczki w zieleni. Śmialiśmy się z tego zbiegu okoliczności: czasy „zielonej łąki dla Zająca” odżyły chwilowo w pamięci. Ale ja nie miałem zamiaru uciekać. Ucieczka zniweczyłaby wszystko. Dałaby władzom tylko karty do ręki. Nie, najpierw musieliśmy się jakoś dowiedzieć, co Francja zamierzała z nami zrobić. W tym samym czasie adwokaci sprawdzali możliwości znalezienia schronienia w innym państwie. Dlaczego mieliśmy podejmować trudne działania, gdy można było załatwić sprawę prościej?

Dni w Beauvais upływały na spacerach, rozmowach, posiłkach w miłej atmosferze i oczywiście na przyjmowaniu wizyt z Holandii. Do hoteliku wrócił względny spokój. Nowina trochę spowszedniała. Tylko podczas lunchu, gdy pojawiało się wielu biznesmenów z okolicy, widziałem, że spoglądają w stronę, gdzie siedzimy, i rozmawiają o naszej obecności. Ale nie przeszkadzało mi to, była to zrozumiała reakcja.

Ze dwa tygodnie później odkryłem inny rodzaj zainteresowania, który nam znacznie mniej odpowiadał. Zauważyliśmy, że w pokoju numer osiem na parterze mieszkał mężczyzna wyglądający na Holendra. Parę razy podczas spacerów spostrzegliśmy, że firanki w jego oknie się poruszyły i miałem wrażenie, że fotografował mnie, gdy biegałem po parkingu. Dziwiło nas, że nigdy nie spożywał posiłków w restauracji, tylko zamawiał je do pokoju. Pod hotelem stało małe renault, ale naklejka wskazywała, że samochód wynajęto w jednej z dużych wypożyczalni. Co ten człowiek robił tu całymi dniami? Biznesmen wybrałby inne miejsce. I żaden urlopowicz by tu absolutnie nie przyjechał. Ten hotel nadawał się jedynie na jedną, najwyżej dwie noce.

Wszystko to zachęcało do przeprowadzenia małego rozpoznania. Żyliśmy na dobrej stopie z kierownikiem hotelu, miłym młodym człowiekiem. Byliśmy oczywiście dobrymi klientami, ponieważ wynajęto dla nas trzy pokoje, a masę innych zajęli przedstawiciele mediów, nasza rodzina i przyjaciele. Dlatego też pewnego ranka zapytałem, czy mógłbym zerknąć do księgi gości. Nie stwarzało to problemu i okazało się, że mieliśmy słuszne przeczucie: pokój numer osiem był wynajęty niejakiemu Van der Meerowi. Bardziej holenderskie nazwisko trudno znaleźć.

W tym momencie nie wiedzieliśmy, co mamy z tym zrobić. Było jasne, że coś się nie zgadzało, ale co? Czy był to jakiś bezczelny reporter, czy może agent z firmy ubezpieczeniowej Lloyds w Londynie, który próbował znaleźć resztę okupu? Szybko wyjaśniliśmy sprawę. Nie było to wcale takie trudne. Willem zapytał kierownika, czy rozmowy telefoniczne prowadzone z pokoju są w jakiś sposób rejestrowane na potrzeby końcowego rozliczenia. Okazało się, że tak. Z dumą wyjaśnił nam, iż posiadają komputer dokładnie rejestrujący, o której godzinie, na jaki numer i w dodatku jak długo dzwonią. Właśnie dokładnie to chcieliśmy wiedzieć! Włożyłem mu do ręki banknot stufrankowy i spytałem, czy mógłby mi pokazać wykaz rozmów telefonicznych. Parę minut później mieliśmy z Willemem to, o co prosiłem, odnośnie do naszego pana Van der Meera. Okazało się, że regularnie łączył się z numerem 01718-30304. Był to numer z miejscowości Katwijk, leżącej niedaleko Noordwijku. Czy to był przypadek?

Willem zaproponował, abyśmy zadzwonili na ten numer, żeby sprawdzić, kto odbierze. Uznaliśmy, że to dobry pomysł. Nawiązaliśmy połączenie od siebie z pokoju, po drugiej stronie linii ktoś szybko podniósł słuchawkę, przedstawiając się: „Spółka Proseco, dzień dobry. Przy telefonie Abrahams”.

Willem wymamrotał, że to pomyłka i rozłączył się. Nazwisko zapisaliśmy. Było nam nieznane, ale coś nam podpowiadało, że dobrze trafiliśmy, a właściwie, że coś jest nie w porządku. W gazecie przeczytaliśmy, że Alfred Heineken powołał pewną grupę, składającą się z byłych policjantów i śledczych, stąd przypuszczałem, że może mamy z kimś takim do czynienia. Willem postanowił to sprawdzić.

– Dlaczego po prostu nie zadzwonimy do tego faceta do pokoju? – zapytał.
– Podamy się za Abrahamsa z Proseco, zobaczymy, jak zareaguje...

Parę sekund później Willem wykręcił numer pokoju Van der Meera. Odebrał natychmiast:

– Słucham, tutaj Léon...

Willem odsunął słuchawkę nieco od ust i poważnym głosem powiedział:

– Léon, dzień dobry, tu Abrahams... Proseco przy telefonie. Jak się sprawy mają? – To był chwyt na wagę złota. Ten Léon wkopał się niesamowicie.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Moim zdaniem ci dwaj coś podejrzewają –

meldował pośpiesznie. – Niespokojnie chodzą w kółko i dzisiaj rano zaglądali przez firanki do pokoju. Nie podoba mi się to...

Willem grał znakomicie i z zainteresowaniem zapytał, jakiego rozwoju wydarzeń Léon się spodziewał. Van der Meerowi głos rozmówcy chyba wydał się dziwny i spytał podejrzliwie, czy to aby na pewno Abrahams. Nos mógł w tym momencie przerwać połączenie, ponieważ wiedzieliśmy wystarczająco dużo, ale nie zrobił tego. Przybrał bardziej szorstki ton głosu i apodyktycznie zripostował:

– Léon, co ty wygadujesz? Oczywiście, że rozmawiasz z Abrahamsem! Nie wytrzymujesz napięcia? Powiedz uczciwie, to ktoś cię zastąpi.

Po drugiej stronie słuchawki słychać było gwałtowne zaprzeczanie:

– Nie, nie, przepraszam najmocniej, ale przez chwilę pomyślałem, że to ktoś inny. Wszystko w porządku – przepraszam.

Willem zakończył rozmowę, nakazując mu „dzwonić natychmiast”, gdyby zaszło coś nowego.

Ho, ho, to była dopiero zaskakująca wiadomość. Szpiegowali nas „agenci” z koncernu Heinekena. Stwarzało to dla nas dodatkowy problem. Powiedziałem Willemowi, że od dzisiaj musimy zachowywać zdwojoną ostrożność i przede wszystkim mieć się na baczności podczas rozmów. Liczyłem się poważnie z tym, że ten agent od Heinekena mógł ze swojego pokoju podsłuchiwać zarówno nasze rozmowy telefoniczne, jak i za pomocą specjalnych mikrofonów kierunkowych nasze rozmowy podczas spacerów po parkingu. Tego popołudnia opowiedziałem Boxie o moim odkryciu, nie zaskoczyło jej to. Wręcz przeciwnie, powiedziała, że w dniu naszego wyjścia z więzienia przed bramą La Santé przez wiele godzin stał niebieski mercedes 190, z kilkoma Holendrami w środku, którzy najwyraźniej czekali na nas. Przechodząc obok nich, zauważyła na tylnym siedzeniu walizeczkę z aparaturą do robienia zdjęć. Nie byli jednak z prasy, tak powiedziało paru holenderskich reporterów, którzy także się tam znajdowali. Pomyślała sobie, że to policja, ale teraz wyglądało na to, że to byli agenci pracujący dla Alfreda Heinekena.

Postanowiliśmy trochę zagrać Léonowi na nerwach. Po południu mocno zapukaliśmy do jego drzwi, chcąc sprowokować go do wyjścia. Schował się

jednak w pokoju i nie miał odwagi się pokazać. Parę minut później komputer kierownika zarejestrował rozmowę telefoniczną z Proseco w Katwijkku...

Oburzony powiedziałem pilnującym nas francuskim policjantom z kryminalnej, że ludzie z koncernu Heinekena znajdują się w hotelu. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że wiedzą o tym. Z miną niewinnych aniołków powiedzieli, że „góra” zabroniła na ten temat rozmawiać. Sytuacja była gorsza, niż myślałem. Spiskowano przeciwko nam. Musieliśmy mieć się cały czas na baczności. Śledczy powiedzieli nam wtedy, że obserwuje nas nie jeden człowiek, ale cała grupa. Mieli informacje, że w hotelu Mercure, dwieście pięćdziesiąt metrów dalej, mieszkają jeszcze trzy inne osoby od Heinekena. Akurat był u mnie w odwiedzinach przyjaciel z Amsterdamu, poprosiłem go, żeby natychmiast to sprawdził. Podjechał do hotelu i mimochodem spytał, czy przypadkiem w hotelu przebywają Holendrzy. Wrócił po dziesięciu minutach i powiedział, że mieszka tam dwóch lub trzech Holendrów, zameldowanych pod nazwiskiem Van der Meer... Wszystko było jasne.

Nadszedł czas na posunięcie z naszej strony... Zastanawiałem się, jak zareagowałby koncern Heinekena, gdyby tego rodzaju potajemne akcje zostały opisane w prasie. Oceniałem, że nie podobałaby mu się taka reklama. Nie było to, jak to się mówi, krystalicznie czyste zachowanie... Szczególnie we Francji, gdzie nie lubią mieszania się w sprawy policji. Reakcje pilnujących nas gliniarzy wskazywały, że im także nie podoba się obecność agentów Heinekena, odczuwali to jako swojego rodzaju brak zaufania.

Zadzwoiłem do reportera z „De Telegraaf”, którego niedawno poznałem. Przychodził na wszystkie rozprawy w Chambre d’Accusation w Paryżu, pisał do mnie regularnie listy do La Santé i codziennie przysyłał mi gazetę. Rozświeślał moje życie w więziennych ciemnościach i byłem mu za to wdzięczny. Wreszcie mogłem mu się zrewanżować i dla mnie również mogłoby to być korzystne, chciałem, jak to mówią, upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Opowiedziałem mu szczegółowo o naszych odkryciach. Pamiętał jeszcze stojącego przed więzienną bramą niebieskiego mercedesa 190. Nawet

zanotował numery rejestracyjne, ponieważ zamierzał sprawdzić, kto w nim siedział.

– Czy jest to interesująca wiadomość? – spytałem niepewnie.

Dziennikarz zaśmiał się i odpowiedział:

– Jeżeli to się zgadza, to z pewnością trafi na pierwszą stronę gazety...

Nie przesadzał. W sobotę 21 grudnia 1985 roku zadzwoniono do mnie wcześniej rano z Holandii. Na tytułowej stronie „De Telegraaf” opublikowano długą historię o tym, że za porywaczami Heinekena podąża jak cień grupa zorganizowana przez właściciela piwnego koncernu. Nagłówek głosił:

HEINEKEN POLUJE NA PORYWACZY

A więc udało się. Oni pewnie myśleli, że nagle staliśmy się naiwni. Musieli naprawdę wcześniej wstawać, jeśli chcieli mnie uprzedzić. Publikacja spadła jak grom z jasnego nieba. Wszystkie media przejęły tę wiadomość i co najważniejsze, także francuskie gazety, nawet telewizja. Tak, jak przypuszczałem, Francuzi nie byli zachwyceni obecnością agentów Heinekena. „Czy oni uważają, że sami nie damy rady?”, zapytywano w artykułach. „Le Figaro” sfotografował wspomnianych Van der Meerów w hotelu i napisał ku naszej uciechu, że chodzi tutaj o „des gens louches”, czyli osoby o „wątpliwej reputacji”. I kto tutaj był przestępcą? W rezultacie tych publikacji ludzie Heinekena zaczęli się pokazywać jawniej. Jeździli powoli wokół naszego hotelu i niekiedy zatrzymywali się, obserwując nas przez lornetkę. Zauważaliśmy ich od razu i uprzejmie do nich machaliśmy. Krótco przed świętami Bożego Narodzenia do naszego hotelu wprowadziło się trzech mężczyzn. Tego samego dnia rano przy użyciu wytrycha, który w zamian za mały napiwek dostaliśmy od kierownika hotelu, udało nam się wejść niespodziewanie do pokoju Léona. Chcieliśmy zobaczyć, co tam się działo. Siedział w nim w końcu cały dzień. Mogliśmy tylko na chwilę zajrzeć, ponieważ Léon i tym razem był w pokoju i wszelkimi siłami próbował nas powstrzymać od wtargnięcia do środka. Doszło do drobnego spięcia, co się oczywiście nie spodobało naszym francuskim ochroniarzom. Ale w ciągu

tych kilku sekund zobaczyliśmy dużą ilość aparatury do robienia zdjęć i trochę elektroniki. Sądziłem, że jest to nadajnik i odbiornik.

Niecałą godzinę po tym zajściu Léon wymówił pokój i wyprowadził się ze wszystkimi rzeczami. Cieszyliśmy się, że się go pozbyliśmy, ale nasza radość nie trwała długo. Tego samego wieczoru do recepcji zgłosiło się trzech mężczyzn i poprosili o pokój na nazwisko Van der Meer. Brutalnie podeszliśmy do nich z Willemem.

– Czego tutaj szukacie? – spytałem w niewielkim korytarzyku.

– Chcemy się trochę porozglądać – odpowiedział jeden z nich, udając zrelaksowanego, chociaż zauważyłem, że jest spięty po czubki palców.

Była to pierwsza prawdziwa konfrontacja z tymi osobnikami.

– Czy jest to może zabronione? – spytał.

– Tutaj nie ma nic do oglądania! Lepiej zjeżdżajcie stąd – wypaliłem ze złością.

– Niemożliwe, szef nas tutaj przysłał – odpowiedział jeden z nich, próbując zareagować szybko i adekwatnie.

– No to zadzwoń do szefa i przekaż mu, że ja kazałem wam się stąd wynosić i musi was odwołać.

Sytuacja z każdym słowem stawała się coraz groźniejsza. Francuscy policjanci stanęli między nami, ponieważ obawiali się, że błyskawicznie zrobi się z tego awantura. Agenci Heinekena otrzymali więc pokój w naszym hotelu. Nie dałem jednak za wygraną i napisałem oficjalną skargę do komisarza z Beauvais w sprawie „tej prowokacji”. Śledczy opisali incydenty z tego dnia w swoich protokołach, z których wyraźnie wynikało, że powstała napięta atmosfera. Następnego dnia grupa agentów Heinekena została „poproszona” o opuszczenie hotelu w interesie porządku publicznego. Godzinę później wracali ze swoimi walizkami do pobliskiego hotelu Mercure, a my machaliśmy do nich triumfalnie.

Prasa nadal okazywała nam zainteresowanie. Prawie codziennie w gazetach ukazywał się jakiś artykuł. Pisano o incydencie z ludźmi Heinekena, ale zadawano sobie także pytanie, dokąd się udamy. Padały nazwy najróżniejszych dziwnych państw. Muszę przyznać, iż było to na ogół pozytywne zainteresowanie. Przede wszystkim dlatego, że prasa nas

potrzebowała. Gdy siedzieliśmy w La Santé, byliśmy dla nich stroną bierną, o której mogli pisać najokropniejsze i czasami nieprawdziwe rzeczy. Teraz jednak potrzebowali jakiegoś wywiadu czy zdjęcia i jeżeli nie wyraziliśmy zgody, to musieli wracać do domu z pustymi rękami.

Prowadziło to do diametralnej zmiany zachowania u niektórych dziennikarzy. Pewnie myśleli, że zapomnieliśmy o wszystkich wcześniejszych nieprzychylnych historiach pisanych na nasz temat i zachowywali się nagle po przyjacielsku. Cały czas mówili do nas tylko: Cor i Willem. Czasami posuwali się za daleko. Uprzejmie proponowali coś do picia (najchętniej heinekena, ponieważ wtedy mogli to ładnie opisać w artykule), wznosili toast za nas i dobre zakończenie sprawy. „Słuchaj, Cor, nie chodzi o ciebie i Willema – mówili wtedy. – Jesteście porządnymi facetami z Amsterdamu, ale zrozum, że musimy coś napisać o tej aferze. Nie obawiaj się, naprawdę to nie będzie nic złego”. Pod tym względem byli zmienni jak chorągiewka na wietrze. Niekiedy mogliśmy zapoznać się z tekstami przed publikacją i kilka razy udało nam się coś zmienić lub dodać.

W tamtym czasie spotkaliśmy się także z dziennikarzem Peterem Postem z tygodnika „Nieuwe Revu”. Był to nadzwyczaj chaotyczny i hałaśliwy typ, ale nie można powiedzieć, że niemądry. Twierdził, że kiedyś siedział w więzieniu za usiłowanie zabójstwa i że w zasadzie był takim samym chłopakiem jak my. Śmieliśmy się z tego razem, ale nie wiedzieliśmy, czy go brać na serio, czy nie. Już o wpół do dziesiątej rano siedział czasami przy śniadaniu z butelką wina. Pod tym względem na pewno nie był podobny do mnie i Willema. Ale pod koniec grudnia przyszedł do nas z propozycją. Spytał, czy wybraliśmy już kraj. Oględnie powiedziałem, że jesteśmy w trakcie podejmowania decyzji. Liczyłem się z tym, że podstępnie chciałby się dowiedzieć, dokąd się wybieramy. Post powiedział nam, że dzięki dobremu przyjacielowi miał kontakty na wysokim szczeblu w małym afrykańskim kraju, Beninie, i moglibyśmy się tam udać, gdyby on pośredniczył. Na moje pytanie, czy może powiedzieć, kim są te ustosunkowane osoby, odpowiedział wymijająco:

– Nie pierwsi lepsi. Przekonasz się, kto to, jak do tego dojdzie.

Otworzyliśmy z Willemem atlas, żeby zobaczyć, gdzie leży to państwo,

którego nazwę już kiedyś słyszałem, ale w żaden sposób nie potrafiłem wskazać na mapie. Benin wciśnięty pomiędzy Togo, Górną Woltę[37], Niger, Nigerię i Ocean Atlantycki był dawnym francuskim terytorium zamorskim i do niedawna nosił nazwę Republika Dahomeju. Liczył około trzech milionów mieszkańców. Szczerze mówiąc, w ogóle mnie to nie pociągało. Z całym szacunkiem, ale co mielibyśmy robić w jakiejś bananowej republice? To było prawdziwe miejsce wygnania. Mieszkańcy utrzymywali się głównie z rolnictwa, a to nas akurat niezbyt interesowało. Następnego dnia poinformowałem Posta, że Benin trzymamy w rezerwie – w końcu nigdy nic nie wiadomo – ale wolelibyśmy wyjechać gdzieś indziej. Do kraju zorientowanego bardziej na Europę. Post obiecał, że wróci do tematu.

Czekała nas najpierw inna podróż. W piątek, 3 stycznia 1986 roku, przed drzwiami naszego hotelu w Beauvais niespodziewanie zjawili się kilku oficjłów.

– Spakować walizki, za pół godziny macie być gotowi! – padł rozkaz.

Przez chwilę pomyślałem, że Francja chce nas wywalić, ale tak nie było. Z dokumentów, które musiałem podpisać, wynikało, że przeprowadzimy się w inne miejsce, około czterdziestu kilometrów stąd. Po miesiącu okazało się, że ochranianie nas zbyt obciążało policję w Beauvais i utrudniało jej codzienną pracę, w związku z czym postanowiono nas przewieźć do Cergy-Pontoise, położonego nieco na północny zachód od Paryża. Miejscowość ta była dużo większa niż Beauvais i policja mogła lepiej zorganizować dyżury. Nie miałem nic przeciwko temu. Przynajmniej coś się działo. W Beauvais zaczynało mi się już trochę nudzić. Zmiana otoczenia dobrze nam zrobi, szczególnie naszym towarzyszkom.

W tej całej przeprowadzce najfajniejsze było to, że agenci Heinekena, którzy przez cały dzień tam krążyli, nie zorientowali się w sytuacji. Zauważyli zmianę dopiero, gdy już siedzieliśmy bezpiecznie na siódmym piętrze hotelu Arcade w Pontoise i od razu wpadli w panikę. Od rodziny, która jeszcze przebywała w hotelu Campanile w Beauvais, usłyszałem później, że przez godzinę gorączkowo jeździli tam i z powrotem po małym parkingu przed hotelem. Do Cergy-Pontoise przyjechali dopiero następnego dnia, kiedy napisano w gazecie, gdzie mieszkamy. Rozśmieszyło

mnie to: o rany, wielkich mi szpicli wynajął Heineken...

W dwugwiazdkowym hotelu Arcade w Pontoise było nam o wiele lepiej niż w hotelu w Beauvais. Znajdowało się tutaj duże, kryte centrum handlowe i ku naszej radości policjanci nie robili żadnych trudności, kiedy chcieliśmy tam czasem pójść. W Beauvais nie mogliśmy wyjść poza teren hotelu, a tutaj mieliśmy namiastkę wolności. Nasze panie cieszyły się, że mogły z nami pójść na zakupy. Poza tym było tutaj wiele kawiarenek i barów, gdzie mogliśmy coś wypić.

Nasi ochroniarze też nie byli najgorsi. Niekiedy napili się czegoś z nami i nawet pozwalali nam oglądać i potrzymać ich służbowy, naładowany pistolet. Wiedzieli, że im nie uciekniemy i dlatego pozwalali nam na pewną swobodę. Nie można było tego powiedzieć o rządzie francuskim.

Było już jasne, że znalezienie dla nas nowego miejsca będzie problematyczne. Okazało się, iż nasze nieważne paszporty dodatkowo komplikują sprawę. Dyplomaci z kilku krajów Ameryki Południowej przekazali odpowiedzi odmowne. Na naszych adwokatów wywierano presję, aby przedstawili nową listę państw, do których chcielibyśmy wyjechać. Musiały to być oczywiście państwa, z którymi Holandia nie podpisała umowy o ekstradycji, ponieważ w innym przypadku wpadlibyśmy z deszczu pod rynną. To bardzo utrudniało sprawę. Z większością rozwiniętych państw Holandia miała podpisane takie czy inne porozumienia, a więc musieliśmy je pominąć. Kraje, które ewentualnie wchodziły w rachubę, leżały przeważnie w Azji lub w Afryce. Może nadawały się na wakacje, ale nie do zamieszkania. Co miałyby tam robić Boxie i Francis? Dyskutowaliśmy nieustannie na ten temat. Co jest najmądrzejszym rozwiązaniem? Powinniśmy wyjechać do jakiegokolwiek kraju i tam zobaczyć, co dalej? Czy powinniśmy poczekać, co zrobi Francja, zwłaszcza jeżeli nie znajdziemy alternatywy? Zdawaliśmy sobie sprawę, że Francuzów może to irytować. Mieliśmy trudny orzech do zgryzienia i kosztowało nas to wiele bezsennych nocy. Nie było dobrych rozwiązań. Należało wybrać mniejsze zło. W tym czasie na horyzoncie znów pojawił się Peter Post, dziennikarz z „Nieuwe Revu”. Dzwonił do nas przedtem parę razy i powiedział, że pracuje nad ciekawym rozwiązaniem.

- Byle nie Benin – odpowiedziałem.
- Nie, sto razy lepiej – twierdził Post.

Gdy przyjechał do nas kilka dni później, usłyszałem, co było sto razy lepsze: Surinam, dawna kolonia holenderska... Post powiedział, że jest w stanie załatwić dla nas nie tylko zezwolenie na pobyt, ale także surinamski paszport. Wszystko oczywiście po zapłaceniu sporej kwoty odpowiednim osobom. Komu? Osobom z rządu, urzędnikom i wojskowym. Wszystko będzie załatwiane na bardzo wysokim szczeblu, poinformował nas. Na tym etapie wyszło szydło z worka, okazało się, w jaki sposób dziennikarz z „Nieuwe Revue” mógłby nam załatwić wyjazd do Surinamu. Była to absolutna rewelacja. Kontakty w Surinamie nawiązał niejaki Joop Ririmasse ze Smilde, pochodzący z Południowych Moluków[38], który w maju 1977 roku zyskał światowy rozgłos jako członek dziewięcioosobowej grupy Molukańczyków, która dokonała dramatycznego porwania pociągu w Glimmen, w prowincji Drenthe, powszechnie znanego pod nazwą „porwania w De Punt”.

Po kilkutygodniowym przetrzymywaniu zakładników sześciu kompanów Ririmasse’a zostało zastrzelonych, a on sam ciężko ranny. Sąd skazał go na karę ośmiu lat pozbawienia wolności, ale teraz już był wolny. Od tamtego czasu miał dobre kontakty w Beninie (...) i w Surinamie, między innymi z Henkiem Herrenbergem, a później także z wojskowym, Etiënne Boereveenem, który był prawą ręką Desiego Bouterse’a i w 1986 roku został zatrzymany w Ameryce za handel kokainą. Peter Post obiecał umożliwić nam kontakt z Ririmasse’em. Mówił, że poznał tego faceta z Moluków w więzieniu i od tamtej pory są przyjaciółmi. Organizacja Ruch Południowych Moluków, do której Joop nadal należał, potrzebowała pieniędzy i w ten sposób chciała dobrze zarobić. Dlatego zgodził się nam pomóc.

Po wyjeździe Posta popatrzyliśmy na siebie przez chwilę z mieszanymi uczuciami. Surinam wcale nie byłby złym rozwiązaniem, ale te konszachty z porywaczami pociągu to już pachniało niezbyt ładnie... To prawda, my też byliśmy kidnaperami, przestępcami grającymi o wysoką stawkę, ale zajęcie pociągu to jednak inna kategoria. Według mnie bardziej obciążająca. Przy

tej akcji zastrzelono niewinnych ludzi; dzieci, które nie ukończyły nawet dziesięciu lat, przetrzymywano tygodniami w szkole jako zakładników. Było to porwanie na tle czysto politycznym i negocjacje prowadził osobiście nasz premier i minister sprawiedliwości. Wszystko to jeszcze doskonale pamiętałem. Chyba zbyt dobrze, ponieważ ogarnęły mnie poważne wątpliwości, czy chcę się zadawać z takimi ludźmi. Nie wahali się zabijać. Zastrzelić niewinnych. My też nie byliśmy mięczakami, ale do tego byśmy się nigdy nie posunęli.

Pod presją okoliczności postanowiliśmy jednak rozmawiać z nimi dalej i wysłuchać ich propozycji. Zawsze mogliśmy zrezygnować. Post załatwił, żeby zadzwonił do mnie Joop Ririmasse. Zrobił na mnie bardzo korzystne wrażenie i dał do zrozumienia, że doskonale wie, w jakiej sytuacji się znajdujemy. Podczas pierwszej rozmowy zapewnił mnie, że naprawdę może załatwić pobyt w Surinamie, ale trzeba za to zapłacić dużo pieniędzy. Po kilku telefonach Ririmasse zaproponował, że przyjedzie do Francji w celu omówienia szczegółów, na co wyraziłem zgodę. Tego rodzaju negocjacji nie można prowadzić przez telefon, nigdy nie wiadomo, kto się temu przysłuchuje. Joop przyjechał razem z jakimś Appiem i Henkiem, w czwartek 6 lutego. Nie chcieliśmy, żeby ekipa Heinekena nas zauważyła lub zrobiła nam zdjęcia, więc udaliśmy się cichaczem, pojedynczo do mojego pokoju na siódmym piętrze. Siedząc na łóżku, omówiliśmy możliwości i warunki.

Ririmasse twierdził, że może załatwić wszystkie papiery, jakich potrzebowaliśmy w Surinamie, w tym oficjalne zezwolenie na pobyt i paszport. Powiedział, że dowódca armii, Desi Bouterse, osobiście wyraził na to zgodę. Chciał to zrobić, ponieważ dla niego była to znakomita okazja, żeby odegrać się na Holandii. W tamtym czasie stosunki pomiędzy tymi dwoma państwami były bardzo napięte, ponieważ Holandia wstrzymała pomoc rozwojową dla Surinamu. Przez zapewnienie nam pełnej swobody Bouterse mógłby w końcu wziąć odwet. W rzeczywistości była to kwestia polityczna, w której mieliśmy odegrać swoją rolę.

Po tym wprowadzeniu Joop Ririmasse przeszedł do finansów. I zażądał niemało. Cała operacja miała nas kosztować pół miliona guilderów, płatne

z góry. Ale na to się oczywiście nie zgodziłem.

– Za nic nie będziemy płacić z góry. Kto nam zagwarantuje, że się tam przedostaniemy? Albo że za pół roku nas stamtąd nie wyrzucą? Oznaczałoby to, że wyrzuciliśmy pół miliona w błoto. Dzięki i pozdrawiam! Jeżeli mamy robić ze sobą interesy, to płacimy krok po kroku. Na przykład, sto tysięcy za każdy rok naszego pobytu. Przez pięć lat. Jeżeli zostaniemy wydalenii lub wyrzuceni przed upływem tego okresu, nie zapłacimy nic więcej. Działamy na takich warunkach albo wcale.

Ririmasse i jego przyjaciele zrozumieli, że mówimy serio. Po krótkiej dyskusji zgodził się na nasze warunki. Najpierw miał się udać do Surinamu, razem ze swoim przyjacielem, żeby tam wszystko załatwić. I spytał, czy możemy dać piętnaście tysięcy guldenów zaliczki na opłacenie podróży. Zawahałem się, ale się upierał.

– Muszę tam pojechać, nie mogę wszystkiego załatwić telefonicznie. W przeciwnym wypadku odwołuję wszystko. Będąc na miejscu, mogę wszystko szybciej uregulować.

Zdecydowałem się zapłacić. Gra była warta świeczki. Byłem gotów dać mu tę kwotę nawet tylko za prawdziwy surinamski paszport. Dzięki niemu moglibyśmy jeździć po całym świecie, gdyby życie w Surinamie nam nie odpowiadało.

Prawdę mówiąc, mieliśmy wtedy spory problem z pieniędzmi. Frans Meijer nadal dysponował należną nam częścią okupu, ale nie bardzo wiedziałem, jak ją odebrać. Po pierwsze, Jeż siedział gdzieś w ukryciu i po drugie, przyjazd kogoś z kilkoma walizkami do naszego hotelu nie byłby rozsądnym posunięciem. Agenci Heinekena z pewnością tylko na to czekali. Musiałem w miarę szybko znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie mogliśmy ryzykować żadnej wpadki, bo stracilibyśmy wszystko. Piętnaście patyków mogliśmy na szczęście pożyczyć od przyjaciela z Amsterdamu, z którym ktoś nawiązał kontakt na moje polecenie. Dzięki temu operacja „Surinam” mogła być kontynuowana. Gdyby w pewnym momencie okazało się, że naprawdę tam pojedziemy, musiałbym zlokalizować Fransa i udzielić mu instrukcji, ale o to na razie nie musiałem się martwić.

Joop Ririmasse żądał od nas pisemnego potwierdzenia, że zgadzamy się

na wyjazd do Surinamu, ale wydawało mi się to bardzo niebezpieczne. Nigdy nie wiadomo, gdzie takie oświadczenie mogłoby trafić, może nawet do „Nieuwe Revu” i może to wszystko było jednym wielkim podstępem. Postawiał zawsze warunek, że chce z nami lecieć i otrzymać wyłączne prawa do napisania reportażu. Nie podobało mi się to, więc odnośnie do tego punktu zawarliśmy kompromis. Na papierze firmowym hotelu Arcade napisałem tylko jedno zdanie:

Zasadnicze porozumienie co do kraju pochodzenia. Podpisano: Cor van Hout i Willem Holleeder.

Moglibyśmy to różnie wytłumaczyć, gdyby kartka wpadła w nieodpowiednie ręce. Ciągle się obawiałem konsekwencji, które mogłyby z tego wyniknąć. Widziałem przed oczyma ogromne nagłówki w gazecie:

PORYWACZE HEINEKENA I PORYWACZE POCIĄGU W DE PUNT WSPÓLNIE OPRACOWUJĄ PLAN UCIECZKI

Wolałem się nad tym nie zastanawiać. Lepiej od razu przestać. Śmieszne było to, że ci południowi Molukańczycy myśleli bardzo podobnie. Postopowiedział mi, że oni, polityczne ugrupowanie pełne wzniosłych ideałów, uważali, iż zadawanie się z przestępcami, żądnymi tylko pieniędzy, jest poniżej ich godności. Miałem nadzieję, że całe przedsięwzięcie pozostanie w ścisłej tajemnicy. Joop Ririmasse miał wyjechać tego samego tygodnia i telefonicznie lub teleksem utrzymywać z nami kontakt z Surinamu.

Po wyjeździe Joopa i jego przyjaciół zbiednieliśmy o piętnaście tysięcy guldenów i wzbogaciliśmy się o wiele wątpliwości. Czuję się jak piłka, rzucona podczas gry na wszystkie strony. Jak nigdy dotychczas, straciłem panowanie nad sytuacją i byliśmy skazani na pomoc innych osób. Ludzi, z którymi wolałbym nie mieć nic do czynienia. Ale czy mieliśmy inne wyjście?

Kilka dni później utwierdziliśmy się w przekonaniu, że musimy szybko

działać. Usłyszeliśmy, że holenderski minister sprawiedliwości, Korthals Altes, złoży Francji nowy wniosek o naszą ekstradycję. Było to możliwe, ponieważ Francja podpisała w końcu *Konwencję Unii Europejskiej o ekstradycji*. Większość państw europejskich, w tym Holandia, podpisało tę konwencję kilka lat temu, ale Francja ciągle zwlekała. Politycy, zaalarmowani naszymi problemami, pośpiesznie umieścili ten punkt w porządku obrad. Właściwie sprawa niemająca precedensu. Tylko my z Willemem nie mieliśmy powodów do radości. Wspomniana konwencja była o wiele bardziej nowoczesna niż holendersko-francuski traktat z 1895 roku i nie mogło być już mowy o problemach związanych z ujęciem w niej różnych przestępstw – wytłumaczył minister Korthals Altes w mediach.

Wieczorem zadzwoniłem do mojego adwokata Moszkowicza i spytałem, czy to wszystko jest dozwolone i jakie to może mieć dla nas konsekwencje. Sądził, że Holandia nie może po raz drugi wnieść wniosku o ekstradycję, jeżeli za pierwszym razem go dobrowolnie wycofała. Mecenas Max wytłumaczył mi, że w prawie obowiązuje zasada zwana *ne bis in idem*, oznaczająca, że nie można sądzić kogoś dwa razy za tę samą sprawę.

Chciałem już odetchnąć z ulgą, ale mądry mistrz od razu mnie ostrzegł: „Ogólnie w prawie ekstradycyjnym, a w sprawie Heinekena w szczególności, tego rodzaju kwestie są bardziej skomplikowane... Proszę się nie dziwić, jeżeli wniosek zostanie przyjęty do rozpatrzenia, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Gdybym był na pana miejscu, starałbym się jak najszybciej znaleźć kraj, z którym Holandia nie ma umowy o ekstradycji”. Po odłożeniu słuchawki pomyślałem z zadowoleniem, że Joop Ririmasse jest w drodze do Surinamu, gdyż wyglądało na to, że będziemy zmuszeni wyjechać jak najszybciej.

Jak wszystko w tej sprawie, tak i to potoczyło się inaczej. Następnego dnia wieczorem, 12 lutego 1986 roku, staliśmy z Willemem przy szafie grającej w korytarzu hotelu Arcade, kiedy nagle wszedł komisarz z Cergy-Pontoise w towarzystwie kilku innych osób. Przestraszyłem się, myślałem, że nas zabiorą. Ale chodziło o coś innego. Miał przy sobie masę papierów i poprosił, abysmy na chwilę usiedli. Powiedział nam, że Francja włożyła wiele starań w znalezienie dla nas innego kraju, ale za każdym razem napotymano znane

nam trudności. Nie chciano nas jednak całe życie trzymać w areszcie domowym w jakimś hotelu i dlatego w końcu wymuszono rozwiązanie. Wyjął z torby dwa dokumenty i podsunął nam pod nos coś w rodzaju dekretu. Zacząłem pośpiesznie czytać. Co oni wymyślili dla nas, na miłość boską? Oczy biegały po papierze, ale francuski język urzędowy, z całą terminologią prawniczą, sprawiał mi trudności. Nie mogłem nic z tego zrozumieć. Kątem oka patrzyłem na komisarza, który uśmiechał się lekko rozbawiony. Siedział odprężony i wyglądał nawet sympatycznie. Na pewno nie była więc to zła wiadomość.

– Gu-a-de-lou-pe... Gwa-de-lu-pa... – wycedził w końcu powoli, widocznie próbując do końca utrzymać napięcie. – Słyszał pan wcześniej o Gwadelupie? Tam pan jutro leci. Samolotem francuskich linii lotniczych Air France. Wszystko jest załatwione.

Palcem wskazał jeszcze raz na dekrecie nasze miejsce przeznaczenia: Pointe à Pitre na Gwadelupie. Ponieważ ostatnio bez przerwy zaglądaliśmy z Willemem do atlasu, wiedziałem, gdzie leży Gwadelupa. To była wyspa na Karaibach, sąsiadująca z Grenadą i Barbadosem.

Akurat w tym momencie Boxie i Francis zjechały windą, mieliśmy jak zwykle iść na kawę do galerii handlowej. Gdy Boxie zobaczyła nas siedzących przy stoliku z policjantami, zapytała:

– Cor, wyjedziemy stąd kiedyś?

Wstałem ze śmiechem i odpowiedziałem:

– Oczywiście... jutro rano – na Karaiby!

37 Obecnie Burkina Faso.

38 Archipeląg między Nową Gwineą a Borneo wchodzący w skład Indonezji, dawnej kolonii holenderskiej. W 1950 roku jego mieszkańcy próbowali uzyskać niepodległość, ogłaszając powstanie Republiki Południowych Moluków. Prezydent Sukarno wysłał tam wojska indonezyjskie w celu podporządkowania Molukańczyków. Wielu z nich wyemigrowało do Holandii, a w latach 70. doszło do kilku spektakularnych akcji terrorystycznych zorganizowanych przez Molukańczyków na terenie Holandii (przypr. red.).

Rozdział 18

Gwadelupa była dla nas dużym zaskoczeniem. Jak już wspomniałem, widziałem kiedyś tę wyspę na mapie, ale nie przywiązywałem do niej wagi, ponieważ było to francuskie terytorium. A teraz rząd francuski sam wystąpił z taką propozycją. Pokazywało to, iż nie mają innej możliwości, aby się nas pozbyć. Nie bardzo rozumiałem, co leżało u podłoża tej decyzji. Jaki sens miało przemieszczanie nas w ten zakątek świata, skoro nadal pozostawalibyśmy na terytorium francuskim? A może chodziło o to, abyśmy zniknęli z pola widzenia francuskich mediów? Nie miałem pojęcia. Komisarz z Cergy-Pontoise utrzymywał, że jest to kwestia pieniędzy. Nasz pobyt w hotelu z dwudziestoczwierogodzinną ochroną kosztował według niego masę pieniędzy. Na Gwadelupie wszystko było dużo tańsze i ponadto nie mielibyśmy ciągłej obstawy. Nie bardzo mnie tym przekonał, ponieważ podróż samolotem też nie była tania, szczególnie że leciało z nami czterech policjantów, którzy nas konwojowali.

W tym momencie nie mieliśmy z Willemem zbytnej ochoty na zwracanie sobie głowy tymi pytaniami. W hotelu Arcade w Cergy-Pontoise mieszkaliśmy już około sześciu tygodni i przeprowadzka na Gwadelupę była dla nas równie niespodziewaną, jak dynamiczną zmianą, podniecała nas ta perspektywa. W każdym razie z entuzjazmem poklepaliliśmy się po plecach. We Francji było jeszcze zimno i ponuro, a Gwadelupa była z pewnością skąpaną w słońcu, tropikalną wyspą. Kusiło nas to. Gdyby wszystko dobrze poszło, czekały nas prawdziwe wakacje. W czasie naszego pobytu w La Santé i w tych hotelach prawie nie widzieliśmy słońca. Trochę opalenizny dobrze by nam zrobiło.

Następnego dnia, w czwartek 13 lutego 1986 roku, mieliśmy wylecieć wcześniej rano z lotniska Orly pod Paryżem, było więc jeszcze sporo roboty.

W moim pokoju zastanawialiśmy się razem z Boxie i Beppie, czy od razu polecą z nami. Miały na to ogromną ochotę. Cieszyłbym się, gdyby Box i Francis pojechały z nami, ale z drugiej strony było to niezbyt praktyczne. Wyjeżdżaliśmy, można powiedzieć, na złamanie karku i właściwie nie wiedzieliśmy, co nas tam czeka. Nie mogliśmy zabrać ze sobą dużo bagażu. W pokoju mieliśmy tylko trochę ubrań, głównie zimowych, i żadnych innych rzeczy. Rozsądniej było, jeżeli najpierw pojedziemy tam we dwóch z Willemem. Porozglądamy się, a panie w tym czasie uporządkują interesy w Amsterdamie. Jak znajdziemy dobre lokum na Gwadelupie, to przyjadą do nas i przywiozą różne niezbędne rzeczy. Chwilowa rozłąka może rozczarowywała, ale to było najpraktyczniejsze rozwiązanie.

Spakowaliśmy z Willemem walizki i jeszcze tego wieczoru informowaliśmy telefonicznie zdumionych przyjaciół i rodzinę, że wyjeżdżamy na drugi koniec świata. Zdążyli się już trochę przyzwyczać, że wreszcie mają nas znowu w zasięgu ręki, a teraz zapowiadało się, że będziemy mogli do siebie tylko dzwonić. Szczególnie nasi rodzice wysłuchiwali tych wiadomości z mieszanymi uczuciami. Powtarzałem każdemu:

– Wiedzieliśmy, że ta sytuacja nie może trwać wiecznie. Cieszcie się, że Francja nie wysadziła nas po drugiej stronie granicy... Gwadelupa jest podobno bardzo ładna i w dodatku jest całkiem rozwiniętym krajem. Jak się tam zdomowimy, to po prostu do nas przyleciecie. W dzisiejszych czasach świat nie jest taki wielki.

Trochę ich to uspokoiło i sami widzieli, że w tych okolicznościach nie jest to najgorszym wyjściem.

Zadzwoiłem także do mecenasa Moszkowicza. W sumie to jemu zawdzięczaliśmy takie rozwiązanie i dlatego chciałem z nim porozmawiać. Nie słyszał jeszcze o tym i zareagował ze szczerym zadowoleniem. Cieszył się bardzo z takiego zakończenia sprawy i życzył nam wszystkiego najlepszego.

– Widzi pan, panie Van Hout – do końca zachowywał formalne stosunki – droga była długa, ale osiągnął pan swój cel. Bez żadnych sztuczek, jeżeli pan rozumie, co mam na myśli. Gratulacje! Może pan być z siebie dumny. Nie

każdy by tak długo wytrzymał...

Następnego ranka, po niespokojnej, prawie bezsennej nocy, punktualnie wystartowaliśmy samolotem DC-10 linii Air France. Czterech ochroniarzy sprawnie przeprowadziło nas przez kontrolę celną i wręczono nam bilet klasy ekonomicznej na prawie dziesięciogodzinny lot. Nie byliśmy skuci kajdankami, ubrani w prochowce i marynarki wyglądaliśmy na zwykłych pasażerów. Na lotnisku trochę się denerwowałem. Podejrzliwie – taka to już moja natura – ciągle patrzyłem na tablice z rozkładem lotów, czy aby „przypadkiem” nie wsadzą nas do samolotu lecącego na lotnisko Schiphol w Amsterdamie. Wszystko przebiegało według planu. Wyglądało na to, że nic się za tym nie kryje. Gdy samolot z wyjącymi silnikami oderwał się od asfaltu pasa startowego, odetchnąłem głęboko.

– A więc lecimy, Nos. Do nowego świata i po nowe przygody.

– *Adieu la France – Guadeloupe here we come!*[39]. Z La Santé na słońce! – powiedziałem i mocno uścisnęliśmy sobie dłonie.

Wytrzymaliśmy. Ciężko było, bardzo ciężko, prawdziwa próba ogniowa, ale opłacało się. Może ten lot w DC-10 pomoże nam zostawić za sobą przeszłość i agentów koncernu Heinekena, jak stwierdziłem z zadowoleniem. Prawdopodobnie przewracali się teraz na drugi bok w Novotelu, który leżał za rogiem naszego hotelu Arcade. Przez te wszystkie tygodnie byli naszym cieniem, codziennie, przez okrągłą dobę. Obserwowali, krążyli samochodem, wsadzali wszędzie swój nos, fotografowali naszych gości i poza tym straszliwie się nudzili. Ale sami tego chcieli. A teraz, gdy naprawdę coś się działo, byli nieobecni, tak jak przy naszej przeprowadzce z Beauvais do Cergy.

– Ci faceci nigdy się niczego nie nauczą – zaśmiał się złośliwie Willem, podczas gdy pilot powoli podnosił maszynę na wysokość dziesięciu kilometrów, gdzie nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo.

Boxie, Francis i Beppie nie czekały na nasz odlot. Mój młodszy brat Gerard przyjechał po nie wcześniej rano. Spodziewałem się trochę prasy i nie miałem ochoty na jakieś emocje przed kamerami. Ale nic takiego nie zaszło. Dla dziennikarzy było chyba jeszcze zbyt wcześnie, pojawił się tylko „De Telegraaf”. Na pożegnanie dałem Boxie dużego całusa i rzuciłem: „Do

szybkiego zobaczenia”. Francis powiedziałem, że papa musi pracować i dlatego na jakiś czas wyjeżdża. Ku wielkiej ucieście wszystkich obecnych błyskawicznie zripostowała:

– Tak, ha, ha, wreszcie się czymś zajmiesz...!

W samolocie poczuliśmy się swobodnie. Po raz pierwszy od dwóch lat byliśmy poza zasięgiem wszystkich tych, którzy na nas czyhali. Mimo wczesnej pory zamówiłem lampkę szampana, a Willem tradycyjnie wodę mineralną – w obu są bąbelki. Następnie oglądaliśmy *Świadka*, amerykański kryminał z Harrisonem Fordem w roli głównej. Zrobił duże wrażenie na podróżujących z nami policjantach, a ja pod koniec filmu zażartowałem:

– Ach, to wszystko dziecinna robota...

Następnie zasnęliśmy na parę godzin, dzięki czemu podróż szybko mijała.

Ponieważ byłem ciekaw, czy na Gwadelupie coś dla nas zorganizowano, mieszkanie i tak dalej, zapytałem o to jednego z kryminalnych. Najpierw popatrzył na mnie, jakby nie rozumiał i za chwilę odpowiedział, że nie zostajemy na Gwadelupie, że tam jest tylko międzylądowanie.

Tylko międzylądowanie? Co jest grane? Twarz mi gwałtownie spochmurniała. Z zaniepokojeniem szturchnąłem Willema.

– Nos, posłuchaj, według mnie zaczynają się kłopoty – ostrzegłem go.

Kryminalny wyciągnął z kieszeni jakiś papier i pokazał nam go. Napisano, że lecimy przez Pointe à Pitre, stolicę Gwadelupy na Wyspę Świętego Marcina. Nie dłużej jak godzinka lotu śmigłowcem. Nic z tego nie rozumiałem. Na dekrecie, który komisarz pokazał nam w hotelu poprzedniego wieczoru, nic takiego nie widniało. Byłem o tym przekonany. Śledczy próbował nas uspokoić i powiedział, że wszystko w porządku. Na mapce pokazał nam wysepkę, podkreślając, że Saint-Martin jest najpiękniejszą wyspą na Karaibach. „Perła Francji”, twierdził. Mimo to w żołądku odczułem dziwny niepokój, ale oczywiście na wysokości dziesięciu kilometrów i tak nie miałem żadnego wyjścia. Może faktycznie nie było się czym martwić. Czy zawsze mieliśmy narzekać? Byliśmy po prostu zestresowani. A powinniśmy się cieszyć, że lecimy na jeszcze piękniejszą wysepkę.

O tym, że moja intuicja doskonale funkcjonowała nawet... na takiej wysokości, okazało się, gdy chcąc rozprostować nogi, poszedłem na tył samolotu. Przy toaletach natknąłem się na Holendra, który – nawiasem mówiąc – nie miał pojęcia, z kim sobie ucina pogawędkę. Ponieważ miałem trzy pary okularów i nosiłem je na zmianę, a często nie nosiłem żadnych, w dodatku różnie się czesałem, ludzie nieraz mnie nie rozpoznawali.

– Dokąd pan leci? Do Pointe à Pitre? – zapytał z zainteresowaniem.

– Nie, tam mamy tylko międzylądowanie, a później lecimy na Saint-Martin – odpowiedziałem zgodnie z prawdą...

– Aha – zareagował mężczyzna. – Ma pan na myśli Sint Maarten...

W głowie odezwał mi się dzwonek alarmowy. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zadał nowe pytanie, które spadło na mnie jak grom z jasnego nieba:

– Na część francuską czy holenderską?

Myślałem, że z rozpaczy wyskoczę z samolotu.

– Istnieje holenderska część? – wydusiłem z siebie z trudem i niepotrzebnie, bo nagle uświadomiłem sobie, że Saint-Martin to francuska nazwa wyspy, którą my nazywamy Sint Maarten...

Miałem ochotę walić głową w ścianę, że sobie tego wcześniej nie uświadomiłem! Mój rozmówca na szczęście nie zauważył, jakie piorunujące wrażenie zrobiły na mnie te informacje i wytłumaczył mi, że Wyspa Świętego Marcina składa się z części francuskiej i holenderskiej, nawiasem mówiąc bez wyraźnie zaznaczonej linii granicznej. „Nawet się nie zorientujesz, kiedy znajdziesz się po drugiej stronie”, mówił.

Druga strona... to była dla nas niewłaściwa strona. Śmiertelnie niebezpieczna! Już odechciało mi się iść do toalety. Szybko wróciłem na swoje miejsce i spytałem Willema:

– Słyszałeś kiedyś o wyspie Sint Maarten?

Skinął potakująco.

– Tam właśnie lecimy – jęknąłem i opowiedziałem mu o swoim odkryciu.

Przez chwilę siedzieliśmy przygnębieni. Co to wszystko ma znaczyć? Idiotyczna sytuacja. Przemierzyliśmy prawie pół kuli ziemskiej, lecieliśmy dziesięć godzin i znajdowaliśmy się bliżej Holandii niż kiedykolwiek. Jak to

możliwe na miłość boską?! Czegoś takiego naprawdę nie brałem pod uwagę! Co opętało Francuzów, żeby nas wysłać w jedyne miejsce na świecie, gdzie graniczą ze sobą terytoria francuskie i holenderskie. Czyżby miało jednak dojść do ekstradycji?

Willemowi nie chciało się w to wierzyć.

– Cor, ci Francuzi nie po to chyba kazali nam tak daleko lecieć, żeby teraz nas oddać w ręce Holandii? Równie dobrze mogli nas przewieźć przez belgijską granicę, mniej by to ich kosztowało. Nie, chłopie, na Saint-Martin musimy po prostu dobrze uważać, gdzie chodzimy i wszystko będzie w porządku. Prawdopodobnie czekają tylko, żebyśmy postawili jeden krok przez granicę, ale nie sprawimy im tej przyjemności.

Brzmiało logicznie, ale nie byłem jeszcze całkowicie uspokojony. Za dużo tych zbiegów okoliczności. Szczególnie że dopiero podczas lotu, gdy nie mieliśmy żadnego wyjścia, usłyszeliśmy, dokąd faktycznie lecimy. Liczyłem się z tym, że Francja w ścisłej współpracy z Holandią chciała spłatać nam figla. Francuscy konwojenci tylko wzruszali ramionami, gdy ich zacząłem rozpytywać w tej sprawie. Mówili, że o niczym nie wiedzą. A gdyby wiedzieli, to i tak by nam nie powiedzieli. W każdym razie, gdy DC-10 zniżał się do lądowania, nasza radość i podekscytowanie prawie zniknęły. Ich miejsce zajął niepokój i podejrzliwość.

Musieliśmy mieć się na baczności. Na lotnisku w Pointe à Pitre na wyspie Gwadelupa przywitał nas żar. Wydawało mi się, że różnica temperatur wynosiła ponad trzydzieści stopni. W Paryżu było poniżej zera, gdy stamtąd wylatywaliśmy.

– Jak myślisz, nie będzie dzisiaj padać? – zażartowałem do Willema, gdy rozkoszując się widokiem błękitnego nieba, patrzyliśmy na drgające od gorąca powietrze tuż nad asfaltową powierzchnią pasa do lądowania. Było upalnie i bezwietrznie. W grubych płaszczach i wełnianych swetrach zaczęliśmy się od razu pocić. Przy schodkach samolotu czekali na nas miejscowi policjanci, którzy zaprowadzili nas do pokoiku, do czegoś w rodzaju urzędu celnego. Widziałem, że z platformy filmowano nas i fotografowano. Ponownie wiadomości wyprzedziły nas samych.

W biurze wszyscy byli podnieceni i panowało zamieszanie, ale nie

rozumiałem dlaczego. Posadzono nas na krześle w pobliżu wysłużonego wentylatora, który dawał jednak trochę chłodu. Po jakichś uzgodnieniach podszedł do nas jeden z pracowników straży granicznej i przekazał nam, że polecimy na Wyspę Świętego Marcina, tak jakbyśmy tego jeszcze nie wiedzieli. Od razu skorzystałem z okazji i w obecności wielu świadków powiedziałem, że nie podoba nam się taki przebieg sprawy. Na tyle, na ile potrafiłem, starałem się wytłumaczyć po francusku jednemu z mężczyzn, który – biorąc pod uwagę liczbę pasków na mundurze – był prawdopodobnie najwyższy rangą, że mieliśmy lecieć na Gwadelupę i że Saint-Martin był dla nas niespodzianką, którą nam wyjawiono dopiero w samolocie. Powiedziałem mu prosto w oczy, iż obawiamy się jakiegoś podstępu, ponieważ część Wyspy Świętego Marcina należy do Holandii.

– Podkreślałem to z naciskiem – mówiłem, rozglądając się demonstracyjnie wokół, by każdy wiedział, że mamy świadków. – Nie chcemy jechać na terytorium holenderskie, chcemy zostać na terytorium francuskim. Gdybyśmy tam jednak trafili, to pan będzie za to odpowiedzialny.

Następnie zapytałem, czy mogę natychmiast zadzwonić do naszego adwokata w Holandii, aby go poinformować o sytuacji. Nie chcieli się na to zgodzić, podając różne wymówki, ale zauważyłem, że moje wystąpienie wywarło pewne wrażenie. Niewiele to pomoże, ale nuż staną się ostrożniejsi, kiedy ich ostrzeżemy, że odkryliśmy tę zagrywkę.

Po godzinie znowu mieliśmy wyruszyć w podróż. Tymczasem francuscy śledczy załatwili bilety na rejsowy lot starym fokkerem F-27 na Wyspę Świętego Marcina, dwieście pięćdziesiąt kilometrów dalej. Mały żółto-czerwony śmigłowiec linii Air Guadeloupe stał gotowy i wraz z Willemem wdrapaliśmy się do środka jako pierwsi pasażerowie. Nasze bagaże musieliśmy sami umieścić w luku bagażowym. Wszystko to jeszcze raz przypominało nam, że nie jesteśmy już w Europie, pomimo że byliśmy jeszcze na terytorium francuskim.

Cały czas zawracałem głowę śledczym, pytając, gdzie konkretnie chciano nas wysłać. Jednocześnie powtarzałem im, że nie możemy wylądować na terytorium holenderskim. W ten sposób nigdy nie będą mogli powiedzieć, że sytuacja ich zaskoczyła. Poprosiłem o pokazanie mi biletu z Air Guadeloupe

i przestudiowaliśmy go dokładnie z Willemem. Na bilecie widniało, że będziemy lądować na lotnisku Juliany i to ponownie mnie zastanowiło. Juliana... hm... Lotnisko zostało tak prawdopodobnie nazwane na cześć naszej byłej królowej... Zrozumiałe, że w holenderskiej części nadano taką nazwę, ale we francuskiej? Wydawało mi się, że oni by raczej wybrali Charles'a de Gaulle'a lub Joannę d'Arc. Prawdopodobnie lotnisko leżało na terytorium holenderskim, ale jakie konsekwencje miało to dla nas?

– Kiepska sprawa, Nos – krótko i treściwie wypowiedziałem swoje wątpliwości. – Oszukują nas w biały dzień, przysięgam!

Nagle wpadł mi do głowy pomysł na podstęp.

– Uważaj! Jak ci za chwilę powiem, że musisz zemdleć, to od razu padasz i wołasz, że jesteś chory... wtedy nie odlecimy – szepnąłem do Willema.

Następnie zwróciłem się do jednego z konwojujących nas policjantów i powiedziałem mu, że podejrzewamy, iż lotnisko Juliany leży na holenderskim terytorium i nie chcemy tam lecieć.

– Jeżeli wpadniemy w holenderskie ręce, to mamy do czynienia z ekstradycją. Poinformowałem was, że jest to prawdopodobnie holenderskie terytorium. Rada Stanu we Francji, najwyższy organ sądowniczy, zabroniła wydania nas – blefowałem pewnym tonem.

A Nos dodał bardzo mądrze:

– Jeżeli do tego dojdzie, będzie to od razu wiadomość na skalę międzynarodową, ponieważ dwóch holenderskich reporterów podróżuje w ślad za nami. Omawialiśmy to już z nimi w samolocie. – Willem wskazał na dziennikarza i fotografa z „De Telegraaf”, stojących przed samolotem w słońcu i czekających na dalszy rozwój wydarzeń... Ho, ho, to był znakomity chwyt.

Ochroniarze z kryminalnej wyraźnie zwątpili. Jeden z nich opuścił samolot i udał się do pokoiku straży granicznej, aby jeszcze raz się naradzić. Tymczasem wchodzili inni pasażerowie. Z pewnością nie zostało już dużo czasu do odlotu. Niespokojnie przesunąłem się i w napięciu wyglądałem przez okienko. Willem puścił do mnie oko i dał do zrozumienia, że jest gotów lada chwila zemdleć.

– Nie denerwuj się, Cor. Nie odważą się wystartować. Byłoby to sprzeczne

z wszystkimi regulaminami linii lotniczych – próbował mnie i siebie uspokoić.

Byłem świadom, że gramy o wysoką stawkę. Może za wysoką. Oczywiście w oczach Francji nie byliśmy grzecznymi chłopcami i jeżeli okaże się, że bezpodstawnie sabotujemy sprawę, konsekwencje mogły być dużo gorsze.

Pilot rozpoczął sprawdzanie listy kontrolnej. Nasz ochroniarz jeszcze nie wrócił. Zauważyłem, że inni pasażerowie także zaczynają się lekko denerwować. Jeden z nich rozmawiał przez chwilę z pilotem i obaj patrzyli na zegarek, jakby ustalali ostateczną godzinę odlotu. W momencie, kiedy włączono silniki, zobaczyliśmy, jak nasz ochroniarz wraz z szefem straży granicznej biegną truchtem po pasie startowym do samolotu. Miny mieli ponure jak chmura gradowa. Wspięli się do samolotu i przekrzykując hałas kręcących się śmigieł, wołali, że natychmiast mamy wsiąść, nie polecimy na Wyspę Świętego Marcina.

Gdy minutę później staliśmy bezpiecznie na pasie startowym i spytałem, dlaczego plan został zmieniony, odburknięto mi tylko, że „na polecenie wyższej władzy”... Popatrzyliśmy na siebie z Willemem pytająco. Nie wiedzieliśmy, czy było to na naszą korzyść, czy niekorzyść. W drodze powrotnej do placówki straży granicznej zobaczyłem, że F-27 kołuje na pas startowy i wtedy przypomniało mi się, że nasze bagaże nadal znajdują się w samolocie.

Niestety, było już za późno. Samolotu nie można było zatrzymać. Urzędnicy lakonicznie wzruszyli ramionami – „tym się zajmiemy później”. W biurze przekazano nam, że „w ostatniej chwili” nasz docelowy punkt został zmieniony: nie polecimy na Sint Maarten, ale na inną wysepkę, na Saint Barthélémy, położoną o dwadzieścia pięć kilometrów od Sint Maarten. Wysłuchałem tego z zainteresowaniem i zadałem tylko jedno pytanie:

- Czy to jest terytorium francuskie?
- Tak, na sto procent! – odpowiedziano.
- O której odlatuje samolot? – zapytałem, aby dać do zrozumienia, że się zgadzamy.

Ponieważ władze wcześniej zdecydowały się na takie osobliwe posunięcie, nie wierzyłem im już ani trochę. I okazało się, że słusznie. Dwadzieścia

cztery godziny później od dwóch reporterów z dziennika „De Telegraaf”, którzy podążali za nami krok w krok, otrzymałem potwierdzenie, iż udało nam się uniknąć aresztowania. Lotnisko Juliany było tak holenderskie jak pola tulipanowe w Hillegom, a w urzędzie imigracyjnym na tym lotnisku wisiał ogromny arkusz papieru z napisem wydrukowanym tłustymi literami, po holendersku:

NALEŻY ZATRZYMAĆ:
WILLEMA FREDERIKA HOLLEEDERA
(URODZONEGO 29.05.1958 ROKU W AMSTERDAMIE)
I
CORNELISA VAN HOUTA
(URODZONEGO 18.08.1957 ROKU W AMSTERDAMIE).
OBYWATELSTWO: HOLENDERSKIE.

Był to ordynarny podstęp. Każdy czekał tylko, żeby zakuć nas w kajdanki. Chodziło o to, abyśmy „przypadkiem” wpadli w holenderskie ręce, a każdy mógłby udawać, iż nie zdawał sobie sprawy, że wylądujemy na terytorium holenderskim. Wszyscy to zdrajcy. Zarówno Francuzi, jak i Holendrzy, już nie wątpiłem, że cała ta intryga była misternie uknuta i przygotowana w Paryżu i w Hadze. Przyświecało jej motto, że sprawiedliwości musi się stać zadość, ale tymczasem... Mieliśmy z Willemem niesamowite szczęście, że właściwie przypadkiem sami do tego doszliśmy i że w porę zaczęliśmy grozić Francuzom konsekwencjami. Przestraszeni perspektywami ściągnięcia na siebie międzynarodowej krytyki i rozgłosu kazali nam w ostatniej chwili wyjść z samolotu. Można by powiedzieć, że ponownie udało nam się uciec. Irytacja z powodu tych politycznych krętałów minęła i teraz ta cała sytuacja zaczynała mnie bawić. Głównie dlatego, że byłem przekonany, iż ci, którzy wymyślili tę pułapkę, siedzieli teraz we Francji i w Holandii i pluli sobie w brodę...

Godzinę później, bez bagaży, wsiedliśmy do maleńkiego samolociku mającego nas przewieźć na wyspę Saint Barthélémy. Była to niebezpieczna

przeprawa. Samolocik wydawał się niewiele większy od skrzynki do cygar, do której przymocowano śmigło, a podczas lotu rzucało nami w powietrzu tam i z powrotem. Lądowanie tuż za szczytem wysokiej góry okazało się przygodą, której długo nie zapomnę. Pilot, wykonując ten manewr, musi najpierw podnieść samolot, aby pokonać masyw górski, a następnie gwałtownie zejść nisko, ponieważ inaczej nie zmieściłby się na pasie lotniska. Z bladymi ze strachu twarzami wyszliśmy z samolotu. Ale i tak było to lepsze niż komfortowe lądowanie na wyspie Sint Maarten, gdzie czekały na nas kajdanki.

Policyjnym samochodem zostaliśmy przewiezieni do domu prefekta Saint Barthélémy. Okazał się miłym człowiekiem, przyjął nas serdecznie, zaprosił na kolację i opowiedział, jak będzie wyglądać nasze życie na wyspie. Miał się także postarać, aby nasze walizki zostały przewiezione z Wyspy Świętego Marcina. W trakcie jedzenia poinformował nas, że na razie będziemy mieć całkowitą swobodę. Jedynym naszym obowiązkiem było codzienne meldowanie się rano na posterunku żandarmerii, gdzie musieliśmy każdorazowo podpisać listę obecności. Nic więcej. Miał zlecić kilku swoim współpracownikom, aby rozejrzeli się za jakimś mieszkaniem dla nas. Dopóki to nie będzie załatwione, mogliśmy zatrzymać się u niego lub w hotelu. Wybór należał do nas. Zapowiadało się na świetlaną przyszłość, po tylu przejściach, dosłownie i w przenośni.

Pierwszą noc przespaliśmy u prefekta. Następnego dnia podano nam śniadanie i wzięliśmy cudowny prysznic. Czułem się znakomicie, mimo dużej różnicy czasu. Nocny odpoczynek dobrze mi zrobił. Konsjerż prefekta zaprowadził nas później na posterunek żandarmerii, abyśmy mogli złożyć pierwszy podpis.

Po drodze rozglądaliśmy się z zaciekawieniem, oglądaliśmy sklepy i ludzi. Rzuciło mi się od razu w oczy, że panowała tu spokojna, zrelaksowana atmosfera. Ku naszemu zdziwieniu na posterunku przywitał nas przyjaźnie uśmiechnięty komendant zmiany, mówiąc... po holendersku:

– A więc, panowie, jesteście daleko od domu...

Znajomość języka wytłumaczył nam tym, iż jego żona pochodzi z Utrechtu, i ucieliśmy sobie miłą pogawędkę. Niekiedy świat jest bardzo

mały. Cieszyłem się z tego spotkania, ponieważ mogliśmy się do niego zwrócić z ewentualnymi problemami.

Musieliśmy dziwnie wyglądać. Na dworze trzydzieści stopni, a my paradujemy w zimowych ubraniach. Lokalni mieszkańcy chodzili w krótkich spodenkach, cienkich koszulkach czy T-shirtach, a Cor i Willem w ciepłych, wełnianych spodniach i marynarkach. W najbliższym sklepiku kupiliśmy najpierw kąpielówki. Postanowiliśmy zafundować sobie dzień relaksu na plaży. Zasłużyliśmy na to po tym wszystkim. Może wieczorem będzie coś wiadomo na temat naszego zakwaterowania. Mieliśmy dobry humor. Wyspa Saint Barthélémy była naprawdę bajkowa, cudowna. Zwiedziliśmy sporo świata, ale południowoeuropejskie plaże nie umywały się do tych: pięknych, białych, z palmami i krystalicznie czystą wodą, taką jaką normalnie widuje się tylko w reklamach Bounty. Dzięki napływowi turystów ze Stanów Zjednoczonych wyspa była zadbana i świetnie prosperowała. Sonji i Francis na pewno będzie się tutaj podobało.

W drodze na plażę zostaliśmy na chwilę zatrzymani przez miejscowych policjantów, ponieważ rzucaliśmy się w oczy w tym zimowym ubraniu. Nawiasem mówiąc, lokalna policja to coś innego niż żandarmeria, z którą mieliśmy do czynienia do tej pory. Policja jest opłacana przez mieszkańców wyspy, a żandarmeria podlega ministerstwu z Paryża. Prefekt opowiedział nam, że pomiędzy nimi zawsze istniała lekka rywalizacja. W tym samym momencie, gdy policjant poprosił nas o pokazanie dokumentów, których oczywiście nie mieliśmy, nadjechał na szczęście ten żandarm rozmawiający po holendersku i powiedział, że wszystko jest w porządku i że jesteśmy gośćmi prefekta. Po czym szybko złapaliśmy taksówkę i pojechaliśmy z Willemem na plażę. Od razu wskoczyliśmy do wody i po raz pierwszy od długiego czasu prawdziwie odpoczywaliśmy.

Około pierwszej zaczęło nam burczeć w żołądkach i poszliśmy w kierunku ogródka kawiarnianego na promenadzie na jakiś dobry stek. Gdy tam dotarliśmy, ponownie zobaczyliśmy naszego żandarma. Widać było, że kogoś szuka. Zaglądał na wszystkie tarasy i osłaniając ręką oczy przed słońcem, przeszukiwał wzrokiem plażę.

– Nos, według mnie rozgląda się za nami – powiedziałem Willemowi

i skierowaliśmy się w jego stronę. Sądziłem, że miał jakieś wieści o naszych bagażach albo o mieszkaniu. Wyraźnie odetchnął, gdy nas zauważył.

– O, na szczęście jesteście! Cały posterunek wasz szuka! Chodźcie ze mną, szybko! – powiedział pośpiesznie.

– Dlaczego, co się dzieje? – spytałem zaskoczony.

– Powstało niesamowite zamieszanie... Chcą was wieczorem wrzucić do morza. Wszyscy was szukają...

I zanim dokończył zdanie, skinął, abyśmy szybko szli za nim do auta. Nic z tego nie rozumiałem. Wrzucić do morza? W samochodzie, w czasie jazdy na posterunek poinformował nas, że w miasteczku nagle rozgorzały gwałtowne emocje. W lokalnej gazecie napisano, że przybyliśmy na wyspę i ta wiadomość wywołała falę niepokoju. Sklepikarze i mieszkańcy po wspólnej naradzie oświadczyli, iż pod żadnym warunkiem nie chcą nas tutaj widzieć. Wygrazali żandarmerii, że wieczorem zapędzą nas do morza, jeżeli do tego czasu nie znikniemy z wyspy. Będziemy mogli z powrotem popłynąć do Francji, wołali. Kilku zacierzewionych wyruszyło już, by nas poszukiwać. Zaniepokojenie było duże i na prefekta, który nas tak mile przyjął, wywierano presję, aby wytłumaczył się z tego wszystkiego i powiedział, gdzie przebywamy. Z tego powodu żandarm nas szukał. Na lokalnych policjantów nie mieliśmy co liczyć. Zdradziliby od razu miejsce naszego pobytu mieszkańcom miasteczka. Rozczarowany popatrzyłem na Willema. Diabli by to wzięli! Wreszcie wylądowaliśmy w przyzwoitym miejscu i znów musimy zwijać manatki, ponieważ paru buntowników chciało pokazać swoją siłę?

Zaprowadzono nas na posterunek żandarmerii i tam rozpoczęła się od nowa bieda z nędzą. Można by powiedzieć, że znów nałożono na nas areszt. Nie wolno nam było wychodzić poza ogrodzenie ogródka, dopóki nie znajdą rozwiązania naszego problemu. Zamiast steku, który chcieliśmy zamówić w ogródku restauracyjnym, dostaliśmy kawałek bagietki i parę szklanek wody. Odczuwałem ulgę, że Sonja i Francis zostały na razie w domu, w przeciwnym razie wszystkie te nieszczęścia byłyby nie do wytrzymania.

Po południu na komisariat policji zgłaszało się coraz więcej ludzi, którzy chcieli się czegoś dowiedzieć o nas i naszej przeszłości, a przede wszystkim –

gdzie mieszkamy. Po paru godzinach przyszedł prefekt i zwrócił się do nas:

– Panowie, naprawdę bardzo was przepraszam. – Po twarzy było widać, że faktycznie tak myśli. – Ale tego nie przewidzieliśmy. Mieszkańcy są wściekli. Nie możecie tutaj dłużej zostać, bo ryzykujecie życie. Dojdzie do masakry. Zlinczują was, jak tylko będą mieć taką możliwość... Nie, nie przesadzam. Sytuacja jest krytyczna. Przed chwilą miałem kontakt z prefektem wyspy Saint-Martin i ustaliliśmy, że zostanieie tam jak najszybciej przewiezieni łodzią...

A więc jednak Saint-Martin! Serce zaczęło mi nieco mocniej bić.

– Nie, nie chcemy jechać na Wyspę Świętego Marcina! – powiedziałem. – Tam zostaniemy aresztowani...

Prefekt kiwnął ze zrozumieniem. Opowiedzieliśmy mu przecież obszernie historię z poprzedniego dnia.

– Obawiam się, że nie macie wyboru. Daję wam słowo honoru, że zostanieie przewiezieni na francuską część. Weźmiecie moją szybką łódź motorową, którą będzie sterować żandarmeria. Nie bójcie się. Nie będzie żadnych sztuczek...

Byłem skłonny mu uwierzyć. Był to człowiek godny zaufania. A poza tym nie mieliśmy innego wyjścia. Czy chcieliśmy, czy nie. Nie mogliśmy przecież czekać, aż paru chuliganów przyjdzie i założy nam sznurek na szyję. Zatem spadamy stąd... Poza spodenkami kąpielowymi nie mieliśmy bagażu, więc znów nałożyliśmy spodnie i marynarki. Kwadrans później wsiedliśmy do samochodu i z czterema uzbrojonymi policjantami pojechaliśmy na nabrzeże w tym małym porcie. W czasie jazdy jeden z nich kilka razy wskazał nam grupki ludzi, którzy przypuszczalnie nas szukali. Mieli przy sobie miotły, pałki i kawałki drewna. Wyglądało to faktycznie groźnie. Kilkakrotnie musieliśmy się szybko schylić, żeby nas nie zauważono.

Po przybyciu do portu kazali nam z Willemem zaczekać w samochodzie.

– Na mój sygnał wychodzicie z auta i wskakujecie do nadpływającej łodzi – poinstruował nas żandarm.

Chwilę później zobaczyliśmy, że w kierunku nadbrzeża płynie motorówka i policjant skinął, że musimy szybko podbiec. Łódka zakręciła do nabrzeża i zatrzymała się, wywołując wysokie fale, metr od brzegu. Podnieceni

policjanci popędzali nas, abyśmy skoczyli, wołając:

– *Jump! Jump!*

Chcieli się nas jak najszybciej pozbyć. Moje stopy jeszcze dobrze nie dotknęły dna łódki, a śruby już przecinały wodę na pełnych obrotach i wypłynęliśmy z portu. Tak wyglądał nasz pobyt na wyspie Saint Barthélémy. Krótki, ale pełen wrażeń!

Płynęliśmy ponad godzinę i przybiliśmy w ustronnym miejscu do Wyspy Świętego Marcina. Zanim postawiliśmy stopę na lądzie, upewniliśmy się, czy to aby na pewno część francuska. Pytanie nie miało wiele sensu, bo gdyby nas okłamywali, to i tak było za późno. Mogliśmy liczyć tylko na szczęście. Do hotelu przewieziono nas czekającym już nieopodal samochodem z przyciemnionymi szybami, zaprowadzono nas wejściem dla personelu do pokoju na pierwszym piętrze, zarezerwowanego na inne nazwiska. Doradzono nam, abyśmy jak najwięcej czasu spędzali wewnątrz budynku.

Hotel był bardzo zadbane. Z leżącej na stoliku ulotki dowiedzieliśmy się, że przebywamy w czterogwiazdkowym PLM St. Tropez w portowym miasteczku Marigot na terytorium francuskim. Żandarmi sądzili, że tutaj będziemy na razie bezpieczni. Przed odejściem dali nam kilka gazet, w których pisano o naszym przyjeździe na Karaiby. Dziwne, ale nie poświęcano temu zbyt wiele uwagi, co kontrastowało z emocjami na wyspie Saint Barthélémy. W największej gazecie zamieszczono o nas wzmiankę dopiero na dziewiątej stronie, i to pod nagłówkiem *faits divers*, czyli różne wiadomości.

Reakcje policjantów i innych osób wskazywały na to, że nigdy wcześniej nie słyszeli o porwaniu Alfreda Heinekena albo może już o tym zapomnieli. Pytano nas głównie o wysokość okupu i czy Heineken nie ucierpiał z tego powodu. Ponieważ nie znali naszej historii, absolutnie nie mogli pojąć, dlaczego tutaj właściwie jesteśmy. Na szczęście w gazetach nie opublikowano naszych zdjęć, więc miejscowi nie wiedzieli, jak wyglądamy, dzięki czemu mogliśmy się w miarę swobodnie poruszać. W innym przypadku musielibyśmy prawdopodobnie siedzieć zamknięci w pokoju.

Jeszcze tego samego wieczoru poznaliśmy inspektora Gilles'a Khaelina,

rodem z Paryża. Z tego co zrozumieliśmy, ten trzydziestolatek w okularach praktycznie rządził wyspą. Khaelin przyszedł do naszego pokoju, opadł na łóżko i spytał, czego właściwie oczekujemy, tak jakbyśmy mieli jakiś wybór. Odpowiedziałem uprzejmie, że chcielibyśmy spokojnie zamieszkać w miejscu, gdzie nie musimy się obawiać ekstradycji do Holandii lub zlinczowania przez miejscową ludność.

Khaelin kiwnął potakująco głową i wyszedł z zaskakującą propozycją. Bez jakiegokolwiek wstępu czy wypywania nas o dalsze plany zaproponował bez ogródek:

– Jeżeli chcecie, mogę załatwić wam podróż do Ameryki Południowej, zorganizuję fałszywe papiery i łódź. Stąd jest niedaleko do Panamy. Dla mnie to żaden problem. Możecie wyjechać pojutrze...

Powiedział to takim tonem, jakby zapewnienie bezpiecznego lokum oraz dostarczenie fałszywych dokumentów i łodzi poszukiwanym przestępcom było dla policji najnormalniejszą rzeczą w świecie.

Panama... Wróciłem myślami do pobytu w La Santé, kiedy to zastanawialiśmy się nad wyjazdem do tamtego kraju, żeby przeczekać gorący okres wokół sprawy Heinekena. Od tego czasu minęły dwa lata. Wszystko musiało się wtedy odbyć w jak największej tajemnicy, a teraz francuski policjant chciał nam w tym pomóc. Coś tutaj nie pasowało. Sprawialiśmy Francji tyle kłopotu, że zdecydowano się na nielegalne praktyki? Czy był to znów jakiś podstęp i zostalibyśmy, że się tak wyrażę, „zastrzeleni podczas ucieczki”? Mogło też być i tak, że Khaelin gra na dwa fronty i zostaniemy zatrzymani na łódce z fałszywymi dokumentami, jeszcze zanim wypłyniemy z portu. Wtedy stracimy wszystko. Będą się starali jak najszybciej przeprowadzić nas przez granicę na holenderską stronę, byłem tego pewien.

Gilles Khaelin, będący pierwowzorem bystrego medialnego gliniarza, wyczuł naszą podejrzliwość i podniósł dwa palce, żeby pokazać, że mówi poważnie i nie musimy się obawiać żadnych sztuczek. Powiedziałem, że musimy się nad tym zastanowić. Nigdy nie miałem dobrego zdania o policjantach, którzy mówili, że można im zaufać na sto procent. Zwłaszcza ci z wydziału kryminalnego prawie zawsze prowadzą podwójną grę. Poza

tym chciałem najpierw uzgodnić to z rodziną, z którą od kilku dni nie mieliśmy kontaktu. Khaelin wyszedł z naszego pokoju i już stojąc w drzwiach, powtórzył:

– Panama... ale pamiętaj... musicie się szybko zdecydować!

Chwilę później zadzwoniłem do Boxie, która bardzo się o nas niepokoiła. Okazało się, że w Holandii panowało duże zamieszanie w związku z naszym wyjazdem na Karaiby i późniejszymi perturbacjami. Nie rozmawiała z nami od kilku dni, ale oczywiście czytała w gazetach, że zostaliśmy prawie zatrzymani na lotnisku. Uspokoilem ją i powiedziałem, iż jesteśmy bezpieczni i dobrze się czujemy. Nasz status jest jeszcze niedoprecyzowany, ale kiedy to się zmieni, natychmiast je o tym powiadomimy. Uzgodniłem z Boxie, że zacznie się przygotowywać do wyjazdu, chodziło mi przede wszystkim o bagaże, ponieważ nadal nie odzyskaliśmy naszych walizek. Następnego dnia kupiliśmy w wiosce dżinsy, kilka T-shirtów i podkoszulków. Nawiasem mówiąc, dla zachowania ostrożności robiliśmy zakupy oddzielnie. Ludzie szukali dwóch mężczyzn, więc pojedynczo rzucaliśmy się mniej w oczy. I już naprawdę potrzebowaliśmy nowych ubrań. Moje wełniane spodnie, w których chodziłem od kilku dni, dałoby się postawić w kącie, tak były zeszywniałe od brudu i potu. Miałem wrażenie, że chodzę w worku od kartofli. Co za cudowne uczucie. Włożyć czyste, przewiewne ubranie. Dzięki temu nie wzbudzaliśmy też takiego zainteresowania.

Po zrobieniu zakupów przebraliśmy się z Willemem w kąpielówki i postanowiliśmy posiedzieć na plaży. W hotelu PLM było pełno amerykańskich turystów i personel zwracał się do nas od razu po angielsku, który na szczęście znaleźliśmy w miarę dobrze. Nie mieliśmy więc żadnych problemów. Śniadanie podawano na wysuniętym w stronę morza tarasie hotelowym. Zajadając się świeżym ananasem i innymi wspaniałymi tropikalnymi owocami, usłyszeliśmy, iż personel rozmawia z kilkoma gośćmi o zajściach na Saint Barthélémy. O całej aferze mówiono w radiu. Nikt nie wiedział, co się stało z porywaczami. Prefekt wysepki wypowiadał się bardzo ogólnikowo na ten temat.

– O ile wiem, nie ma ich tutaj – powiedział zgodnie z prawdą.

Ale gdzie są? Tego nie wiedział. Do końca pozostał porządnym facetem. Mogliśmy przynajmniej trochę odetchnąć. Znaleźliśmy zaciszne miejsce na plaży i przeleżeliśmy tam cały dzień, leniuchowaliśmy, opalaliśmy się na gorącym słońcu, a przede wszystkim rozmawialiśmy... Co dalej? Czy rysowała się jakaś perspektywa na najbliższą przyszłość na tych malowniczych karaibskich wysepkach? A może powinniśmy skorzystać z propozycji inspektora i wyjechać do Panamy? Sami nie wiedzieliśmy, jak postąpić. Ponieważ każde rozwiązanie miało swoje zalety i wady, postanowiliśmy spokojnie czekać na rozwój wydarzeń.

Późnym popołudniem, spaleni słońcem, wlekliśmy się do hotelu. Jakby mnie coś tknęło, powiedziałem Willemowi, że musimy zachować ostrożność i wobec tego pójdę najpierw sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie było nas tutaj cały dzień i w tym czasie mogło się wiele wydarzyć. W tym celu nieco go wyprzedziłem, idąc spacerkiem w kierunku tarasu, na którym rano jedliśmy pyszne śniadanie. Szedłem w cieniu wzdłuż elewacji budynku, starając się, aby mnie nikt nie zauważył. Po paru metrach ku mojemu przerażeniu usłyszałem nagle śmiech i głosy kilku osób rozmawiających po... holendersku. Przycisnąłem się do ściany i ostrożnie skierowałem wzrok do góry, na zbudowany na palach taras. Przy balustradzie zobaczyłem czterech siedzących mężczyzn, z których dwóch natychmiast rozpoznałem jako agentów Heinekena: „Rudego” Ariego i „Siwego” Toona, którzy śledzili nas cały czas w Beauvais i Cergy-Pontoise. Prawdopodobnie wsiedli do pierwszego samolotu, który leciał w tę stronę, i widocznie trafili na nasz ślad. Cholera! Ci faceci byli nam teraz potrzebni jak dziura w moście... ale, niestety. Jeśli zaczną rozpowiadać, gdzie przebywamy, to nasza sytuacja nie będzie wyglądała najlepiej. Dałem Willemowi sygnał, żeby się nie pokazywał. Gdy znaleźliśmy się już poza polem widzenia tej czwórki, opowiedziałem mu o moim odkryciu. Szybko obeszliliśmy hotel, kierując się do innego wejścia. Cichaczem dostaliśmy się do środka i tutaj czekała na nas inna niespodzianka! W korytarzu stała ekipa telewizyjna z ogólnokrajowego dziennika „NOS”. To nie mógł być przypadek! Wytropiono nas! Na szczęście udało nam się niezauważalnie wejść do pokoju, ponieważ kamerzyści nie spodziewali się, że paradujemy bezwstydnie w kąpielówkach z ręcznikiem

na szyi. Najprawdopodobniej rozglądali się za mężczyznami w wełnianych spodniach.

Właśnie naradzaliśmy się, co dalej robić, kiedy zapukano do drzwi naszego pokoju. Aby nie wpaść w ordynarną zasadzkę, zapytałem przez zamknięte drzwi po francusku, o co chodzi. Gdyby agenci Heinekena chcieli sprawdzić, czy jesteśmy w pokoju, to musieliby przynajmniej mówić biegle po francusku, a już w Beauvais zauważyłem, że tak nie jest. Nie był to jednak żaden podstęp. Za drzwiami stał inspektor Gilles Khaelin, ten sam, który poprzedniego wieczoru zaferował nam fałszywe dokumenty i łódź do Panamy. W rękach trzymał duże walkie-talkie i szybko wszedł do środka. Znowu pojawiły się problemy...

– Po wyspie rozniosła się wiadomość o waszym pobycie – powiedział. – W centrum Marigot powstało poruszenie. Mieszkańcy znowu was szukają. Chcą, żebyście stąd wyjechali. Jeżeli was znajdą, natychmiast wydadzą władzom holenderskiej części wyspy...

Po czym wyciągnął ze spodni zmięty kawałek papieru i podał go nam. Była to ulotka młodzieżowej organizacji z Saint-Martin, napisana łamanym angielskim, w którym twierdzono, że wyspa staje się coraz większym „śmietnikiem” dla europejskich problemów i że raz na zawsze trzeba skończyć z przerzucaniem niepożądanych cudzoziemców i przestępców na Karaiby. Wzywano do masowego protestu na ulicach miasteczka dzisiaj wieczorem. Inspektor nie był w stanie tego wytłumaczyć.

– Tego rodzaju rzeczy nie zdarzają się tutaj. Zwykle panuje bardzo przyjazna atmosfera. Sami widzieliście, że w gazecie prawie nie poświęcono wam uwagi, ale stacja radiowa PJD2 już od rana podżega ludzi. Nie mówią o niczym innym, nieustannie nawołują, że mieszkańcy nie powinni tego dłużej tolerować i powinni się zbuntować. W rezultacie wszyscy was szukają...

Wysłuchałem Khaelina uważnie i wyciągnąłem wnioski. Jeżeli normalnie tego rodzaju sytuacje na wyspie się nie zdarzały, a tu nagle lokalna stacja radiowa poświęca nam cały swój czas antenowy, to coś jest nie w porządku.

– Ta rozgłośnia PJD2 jest państwowa czy komercyjna? – spytałem.

Khaelin skinął głową.

– Komercyjna, mhm... jest własnością holenderskiego ugrupowania na wyspie.

Należy do Holendrów... Kółko się zamykało.

– No to teraz już wiem, kto potrząsnął sakiewką – drwiąco powiedziałem do Willema.

Koncern znów zrobił jakąś małą donację, tak jak wcześniej na rzecz amsterdamskiej policji.

Gilles Khaelin stwierdził, że dla własnego bezpieczeństwa powinniśmy opuścić pokój.

– To tylko kwestia czasu, kiedy was znajdą. Na wyspie niczego nie da się ukryć.

Wspólnie z menedżerem hotelu udało mu się znaleźć pustą, małą czytelnię mieszczącą się w piwnicy, gdzie mogliśmy się schować, dopóki burza nie ucichnie. Później miano nas przewieźć do jakiegoś mieszkania położonego gdzieś na uboczu na wyspie. Schodami dla personelu zeszliśmy do salki. Znajdowało się tam kilka stołów i krzesel, a w dużych przesuwnych drzwiach wisiały nieprzezroczyste zasłony.

Zdaniem inspektora i menedżera hotelu byliśmy tu w miarę bezpieczni.

– Jeżeli ktoś przyjdzie, to od razu się chowajcie. Rozmawiajcie jak najciszej, a najlepiej wcale. Nie zapalajcie światła i otwierajcie tylko wtedy, kiedy ktoś zapuka trzy razy.

Siedzieliśmy zamknięci w tej kanciapie i diabli nas brali na taką podróż. Inaczej wyobrażaliśmy sobie wszystko! Właściwie to jeszcze nie mieliśmy ani chwili odpoczynku. Na wyspie Saint Barthélémy sądziłem, że to tylko incydent, ale teraz zmieniłem zdanie. Było jasne, że ktoś podburzał ludzi. Willem usiadł w starym fotelu ustawionym z tyłu salki, a ja zainstalowałem się na podniszczonej kanapie i z tej pozycji, przez szparkę w zasłonie, mogłem zerkać na korytarz hotelowy. Gdybym zauważył jakieś zagrożenie, mógłbym go od razu ostrzec. Ściemniało się powoli i łudziłem się, że jest to dla nas korzystne.

Nie upłynęło pół godzinki, gdy usłyszałem ludzi idących korytarzem. Dwóch, może trzech mężczyzn. Rozmawiali po holendersku.

– Nos, pochyl się! – wysyczałem i nieomalże przykleiłem się do kanapy.

Willem rzucił się na podłogę i położył między krzesłami. Słyszałem jego cichy oddech. Zatrzymali się na chwilę blisko naszych drzwi. Nie miałem odwagi spojrzeć, ale wyraźnie słyszałem rozmowę:

– Jak to możliwe? Muszą być gdzieś tutaj – rozpoznawalnym basem dziwił się Arie, rudy agent Heinekena.

– Nic z tego nie rozumiem. Może się już wynieśli? Przejdźmy się jeszcze raz wokół hotelu – zareagował jego kompan Toon i chwilę później usłyszałem ich oddalające się kroki.

Zachichotałem. Uff, szukali nas. Ciepło, ciepło, ale na razie zgubili ślad. Przylecieli aż z Francji, ale jeszcze ani razu nas nie widzieli. Miałem nadzieję, że tak zostanie. Na razie wygrywaliśmy z nimi wojnę psychologiczną. Oni robili to tylko dla pensji, a my walczyliśmy o życie i wolność. Z takimi pobudkami nie mogli konkurować. Nieco później cichutko zapukano trzy razy i inspektor z menedżerem hotelu weszli do środka. Mieli zasępienie twarzy.

– W Marigot protestują przeciwko wam. Maszerują z pochodniami i transparentami. Sytuacja jest bardzo napięta. Na razie musicie tutaj zostać – zarządził Khaelin. Menedżer hotelu, który znów miał przy sobie walkietalkie, postawił przed nami kilka puszek coli, zamiast kolacji. Nie miał odwagi zamówić dla nas posiłku, ponieważ w kuchni mogliby zacząć coś podejrzewać.

– Przepraszam, ale nie byłoby to rozsądne – stwierdził i prawie zaczął nas błagać. – Siedźcie cicho jak mysz pod miotłą, jeżeli was tutaj zobaczą, rozwalą mi hotel.

Z niedowierzaniem popatrzyłem na inspektora. Czy menedżer aby nie przesadzał? Khaelin jednak skinął głową, mówiąc:

– Tak... niestety, obawiam się, że tak właśnie jest.

Po ich wyjściu leżałem w ciemności, myśląc na głos.

– Wyobraź sobie, Nos... – szeptałem. I nie czekając na jego reakcję, kontynuowałem: – W Holandii każdemu się wydaje, że żyjemy tutaj jak Peter Stuyvesant...[40] a mogą nas wkrótce powiesić i przed stryczkiem nie zjemy nawet ostatniej kolacji.

Słyszałem chichotanie Willema nadbiegające z tyłu salki. Do tej pory

naszej ucieczce brakowało romantyzmu. Ciągłe ukrywanie się, przemieszczanie, strach za każdym razem, gdy pukano do drzwi, wzmożona czujność, nadzwyczajna ostrożność. Niecałe pół godziny później ponownie zapukano. Ostrożnie uchyliłem drzwi i dwóch mężczyzn wcisnęło się do środka. W cieniu oświetlenia na korytarzu zauważyłem, że za pasem od spodni Khaelin ma duży pistolet. A więc sytuacja była poważna... Nakazał nam usiąść na podłodzie pomiędzy krzesłami i sam dosiadł się do nas. Zniżył głos do szeptu. Było już bardzo ciemno i nie mogliśmy nawzajem widzieć swoich twarzy. Dostrzegłem tylko małe czerwone światełko migające na walkie-talkie.

– Sytuacja wymyka się nam spod kontroli. Wybuchły zamieszki! – zaczął. Przerazony. Cholera jasna, niewesoło!

– Policjanci z wydziału prewencji są w drodze, ale nie wiadomo, czy dotrą w porę. Ustawiane są barykady, samochody niszczone i podpalane. Wątpię, czy mogę wam dłużej zagwarantować bezpieczeństwo.

I po paru sekundach, które dał nam na uświadomienie sobie powagi sytuacji, kontynuował:

– Protestujący szukają was... zamordują, jak znajdą. Ludzie są wściekli. Nadchodzą w tę stronę. Bądźcie rozsądni, poddajcie się Holendrom, to będziecie bezpieczni. Na wyspie prawie nie ma policji... Nie jestem w stanie opanować sytuacji.

Nie widziałem twarzy Willema, ale obu wyrwało nam się jednocześnie:

– *No! Not the Dutch side...*

Nalegałem, żeby Khaelin poszukał innego rozwiązania. Mogliśmy ewentualnie wracać do Francji, ale nie do Holandii. Powiedział nam, że decyzje zależą nie tylko od niego. Prefekt kontaktował się już telefonicznie z ministrem spraw wewnętrznych – proszę osobie wyobrazić! – w Paryżu i ten miał zdecydować. Khaelinowi pozostawało jedynie wykonywać polecenia i wydać nas, jeśli sytuacja się zaostrzy, aby uniknąć przelewu krwi. Musiałby się ponownie naradzić z prefektem, aby rozważyć, czy jest jakieś inne rozwiązanie.

– Zaproponowałem wam przeprawę do Panamy – powiedział Khaelin lekko poirytowany – gdybyście się na to od razu zgodzili, nie znaleźlibyście

się w takiej sytuacji. Teraz jest już za późno!

Ale za żadne skarby świata nie chciałem wpaść w ręce Holendrów. Bez wątplenia sprawiłoby to radość agentom Heinekena, w domu przyjęto by ich jak bohaterów. Oznaczałoby to, że ta przypuszczalnie ich akcja odniosłaby sukces, ale nie chciałem im dać tej satysfakcji. Willem miał w tym momencie inne zdanie:

– Flip, to jest paskudne miejsce – oznajmił z lekkim wahaniem. – Musimy stąd zniknąć. Naprawdę nas zabiją, jak znajdą. Poddajmy się. Co mamy robić? Do tej pory cały czas robiłem to, co chciałeś. Jak się coś razem zaczyna, trzeba razem skończyć, ale mam tego dosyć. Zatłuką nas...

Gdy Willem się uciszył, usłyszeliśmy na zewnątrz słaby rumor dobiegający do czytelnicy. Tłum się zbliżał. Na korytarzach można było wyczuć poruszenie. Ludzie chodzili tam i z powrotem, rozmawiali podekscytowani. Starłem się trochę uspokoić Nosa:

– Willem, to nie ma sensu. I tak cię zabiją, nawet jak się teraz poddasz. Są żądni krwi, tylko o to im chodzi. Nie o nas, chłopie, oni szukają tylko okazji, żeby porządnie porozrabiać, a my jesteśmy pretekstem. Nic więcej. I nie waż się uciekać, jak nas znajdą. Wtedy na pewno cię wykończą. To całe stado ruszy za nami. Trzeba spokojnie stać... patrzeć na nich, rozmawiać, nie pokazywać im, że się ich boisz.

Willem zaśmiał się chrapliwie.

– Taaak, normalnie stać... i pewnie normalnie dać się powiesić?

Pokręciłem głową, chociaż w ciemności Willem na pewno tego nie widział.

– Nie, Nos, ja także chcę żyć. Wytlumaczmy im, że zostaliśmy tutaj po prostu wysłani i że najchętniej chcielibyśmy wyjechać gdzie indziej. W najgorszym razie powiemy, że mogą nas zaprowadzić na holenderską stronę.

W tym momencie wrócił Gilles Khaelin. Z wiadomościami. Sytuacja na wyspie stała się kwestią polityki na wysokim szczeblu. Minister spraw wewnętrznych był na bieżąco informowany i zdaniem inspektora policji francuskiej postanowił, że musimy opuścić wyspę. Oznaczało to, że nie można nas przekazać na stronę holenderską. Odetchnąłem z ulgą. Uff...

Najadłem się strachu, bo jak, na litość boską, mieliśmy się bronić przed tym rozjuszonym tłumem?

Szef policji szeptem wytłumaczył nam plany. W tajemnicy negocjowano z Kanadyjczykiem, właścicielem jachtu pełnomorskiego cumującego na wodach zatoki w pobliżu Marigot, aby go wyczarterować na jedną noc. Na wodzie bylibyśmy bezpieczni. Następnego ranka przyleciałby po nas helikopter, którym polecilibyśmy z powrotem na Gwadelupę, czyli tam, gdzie zaczęła się nasza podróż po Karaibach. Zobaczyłem na zegarku, że już minęło wpół do dwunastej. Siedzieliśmy w tej czytelni około sześciu godzin. Khaelin powiedział, że agent da nam znak, jak droga będzie wolna. Wtedy natychmiast musieliśmy wyruszyć. Nasz bagaż miał być później dostarczony.

– Bagaż później? – zapytałem i śmiejąc się, wyjąłem szczoteczkę do zębów z kieszonki koszuli. – To wszystko, co mamy. Chyba mogę ją wziąć ze sobą?

Nasze walizki czekały na lotnisku imienia Juliany. A zimowe garnitury, „stojące” w pokoju, z przyjemnością podarowaliśmy mieszkańcom.

Agent zapukał trzy razy w drzwi.

– Idziemy! – rozkazał Khaelin. – Zachowujcie się normalnie, ale musicie iść szybko.

Idąc za menedżerem w ciemnościach, wyszliśmy ukradkiem z hotelu. Do zatoki było około pół kilometra. Niedaleko, ale wystarczyło, że rozdzieliliśmy się na cztery grupki. W dali widziałem blask pochodni. Dochodził do nas dźwięk syren, zgiełk i nawoływania. W Marigot panował spory rozgardiasz. Niepostrzeżenie dotarliśmy do przystani w zatoce, gdzie czekał na nas gumowy ponton. Szybko wślizgnęliśmy się do niego, woda wlała się do środka, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Cichutko poruszając wiosłami, dopłynęliśmy do dużego jachtu stojącego na środku zatoki. Wspięliśmy się na pokład od strony otwartego morza, niewidoczni z plaży, jeszcze przed wciągnięciem sznurowej drabiny włączono silniki spalinowe i szybko wypłynęliśmy z zatoki. Znowu uciekliśmy! Najpierw motorówką z Saint Barthélémy, a teraz jachtem motorowym z Saint-Martin.

Płynęliśmy na pełnej mocy silnika. Wbrew przepisom, na polecenie inspektora nie włączono oświetlenia na pokładzie. Szyper, dobrze

zbudowany gość z kilkudniowym zarostem, świecił tylko od czasu do czasu latarką kieszonkową, aby sprawdzić kurs na kompasie. Wtedy dopiero zauważyłem, że inni policjanci mieli ze sobą ciężkie karabiny. Do czego im były one potrzebne? Morze wzburzyło się, wiał silny wiatr i jacht z trudem stawiał mu opór. Siedziałem z Willemem w otwartej kajucie. Falowanie w połączeniu z zapachem tłustego oleju silnikowego sprawiało, że mimo pustych żołądków dostaliśmy mdłości. Byliśmy też wyczerpani. Ale to nas akurat najmniej martwiło. Mrugnąłem do Willema, któremu udało się na bladej twarzy na chwilę wyczarować uśmiech, a on westchnął.

– Flip, znowu udało nam się przecisnąć przez ucho igielne.

Po półtorej godzinie zakotwiczyliśmy. Byliśmy po drugiej stronie wyspy, prawie wykluczone, żeby ktoś nas śledził. Na lądzie prawdopodobnie wszyscy, włącznie z ekipą Heinekena, nadal nas szukali i wszystko demolowali. Kotwicę zarzuciliśmy przed Tintamarre, poinformował nas kanadyjski kapitan, który za to nocne przedsięwzięcie otrzymał kilkaset dolarów. Bezludna wysepka, dawno temu, w latach słynnej prohibicji w Ameryce, była gniazdem przemytników. Poza tym na Tintamarre nic się nie działo, ponieważ brakowało tam słodkiej wody, a podłoże wyspy stanowiła twarda skała.

Helikopter miał przylecieć o świcie, więc mogliśmy się przespać parę godzin. Położyliśmy się z Willemem w kajucie. Dopiero wtedy zacząłem odczuwać zmęczenie, głód i napięcie minionego dnia. Nie mogłem zasnąć i niespokojnie przewracałem się z boku na bok. Moje ciało było jakby sparaliżowane, ale umysł nie mógł się uspokoić. Ucieszyłem się, gdy inspektor zawołał, że mamy wstawać. Wokół wciąż panowały ciemności. Wiatr ucichł. Jacht kołysał się lekko na powierzchni wody. Nie mogliśmy dojrzeć brzegu, ale zdaniem Kanadyjczyka znajdował się blisko. Wydawałoby się, że kilkaset dolarów powinno wystarczyć na nocleg ze śniadaniem, ale podano nam tylko kubek letniej, ale za to podwójnie mocnej kawy. Nie do wypicia. Mój żołądek, który i tak już mi dokuczał, skurczył się gwałtownie, jakby ktoś wlał do niego kwas akumulatorowy. Kawa miała jedną zaletę: rozbudziła nas wszystkich. Ostrożnie zesliśmy do wody i brodziliśmy w kierunku brzegu. Byłaby to niezła przygoda, gdyby nie

wysoka stawka.

Po dojściu na ląd przedzieraliśmy się przez kłujące chaszczce i potykaliśmy się o zdradliwie wystające skały. Prawie nic nie widzieliśmy i szliśmy po omacku, klnąc niekiedy, gdy któryś z nas skaleczył sobie paskudnie ręce lub nogi. Widocznie Khaelin dokładnie wiedział, dokąd idziemy. Czyżby częściej brał udział w tego rodzaju tajnych operacjach? Po około trzydziestu minutach inspektor kazał nam się zatrzymać. Byliśmy pokiereszowani. Nie miałem skarpet i moje kostki krwawiły od zadrapań i stłuczeń. Słyszałem, jak Willem przeklina. Dotarliśmy do miejsca, gdzie stały resztki starego baraku z zardzewiałych stalowych płyt. Przypuszczalnie kiedyś chronili się w nim przemytnicy. Tutaj Gilles Khaelin kazał nam poczekać na helikopter. Na czarnym niebie zaczęły się pojawiać cienkie szczeliny, przez które przedzierało się światło. Nastawał dzień. Chwilę później w dali usłyszeliśmy narastający warkot. Po niecałej minucie przeleciał nad naszymi głowami zielony helikopter wojskowy, który reflektorem oświecał teren. Podczas lądowania z ziemi uniosły się tumany piasku, kamyków i kurzu. Łopaty helikoptera kręciły się nieustannie, widocznie nie było czasu do stracenia. Osłaniając twarz rękami, szliśmy z Willemem, niewiele widząc, do helikoptera, gdzie nas szybko wciągnięto na pokład. Nie zdążyłem nawet zapiąć pasów bezpieczeństwa, a maszyna już podnosiła się do góry i szybko odleciała.

Wytarłem brud z oczu i zobaczyłem, że zrobiło się jasno. W oddali na oceanie rysowały się jeszcze kontury Wyspy Świętego Marcina.

39 Żegnaj, Francjo, witaj, Gwadelupo! (przyp. tłum.).

40 Dyrektor generalny Nowej Holandii w Ameryce Północnej w latach 1647–1664. Zarządzał między innymi ówczesnym Nowym Amsterdamem, czyli przyszłym Nowym Jorkiem (przyp. red.).

Rozdział 19

Po powrocie na Gwadelupę znaleziono nam lokum w miejscowości Vieux Habitants, około siedemdziesięciu kilometrów od stolicy Pointe à Pitre. Hotel Rocroi stał na uboczu, na wysokiej nadbrzeżnej skale. Odniosłem wrażenie, iż byliśmy jedynymi gośćmi, ponieważ podczas śniadania i lunchu nie widzieliśmy nikogo. Zostaliśmy zameldowani pod fałszywymi nazwiskami, jako Maurice Chauvet i Charles Constantin. Biorąc pod uwagę, że z miasta do hotelu trzeba było jechać wąską, górzystą drogą co najmniej przez półtorej godziny, policja sądziła, że na razie będziemy bezpieczni. Właściciel i jego małżonka zostali poinformowani o naszej prawdziwej tożsamości, ale obiecali władzom, iż utrzymają to w absolutnej tajemnicy, także ze względu na własne bezpieczeństwo.

Właścicielem hotelu był około sześćdziesięcioletni mężczyzna o białych jak śnieg włosach, urodzony i wychowany we Francji. Na powitanie podał nam serdecznie dłoń. Zapewnił nas, że nie powinniśmy się niczego obawiać. Aby to zilustrować, gwizdnął przez zęby, na co z ciemnego kąta wyskoczyły z niesamowitą prędkością warczący doberman i owczarek niemiecki. Psy wyszczerzyły na nas lśniące zęby, a my przestraszeni cofnęliśmy się momentalnie.

– Jeżeli ktoś wejdzie tutaj nieproszony, zostanie rozszarpany w ciągu minuty – zapowiedział złowieszczo.

I jakby to nie wystarczało, zaciągnął nas do swojego biura i z dumą pokazał zbiór broni znajdujący się w szafie wiszącej na ścianie. Gdy zdjął kłódkę i otworzył drzwi, rozpoznałem trzy obrzyny. Były to strzelby z przyciętą lufą na ciężką amunicję. Jeśli ktoś zostanie trafiony pociskiem z takiej broni, to trzeba go zbierać zmiotką na szufelkę.

Widocznie nie lubił półśrodków.

– Do tej pory nikt mi nie dokuczał, zawsze zostawiają mnie w spokoju – dodał, szczerząc zęby w uśmiechu.

Opowiedział, że czterdzieści lat temu przeprowadził się z Francji na Gwadelupę i od tej pory nigdy nie był w ojczyźnie. W myślach policzyłem szybko, że wyjechał w 1946 roku. W połączeniu z tym, co przed chwilą zobaczyłem, nasunęło mi to myśl, iż ten człowiek mógł mieć wojenną przeszłość za sobą... Zwłaszcza gdy nieco później, uzmysłowiwszy sobie widocznie, że pochodzimy z Europy, w trakcie rozmowy niezręcznie się skorygował i podkreślił, że nie czterdzieści, ale czterdzieści sześć lat temu wyjechał z Francji – a więc dokładnie przed wojną. Ale tego ostatniego nie dodał, słuchacz powinien się sam domyślić. Nie bardzo mu wierzyłem. Który właściciel hotelu w spokojnej, nadmorskiej miejscowości, takiej jak Vieux Habitants, co dosłownie oznacza „Starzy Mieszkańcy”, potrzebowałby trzech obrzynów i dwóch złych psów do ochrony. W sumie nie sprawiało nam to różnicy, w jego rękach czuliśmy się bezpiecznie i tyle. Dla mnie była to priorytetowa kwestia, po wszystkich rozruchach i ryzykownych ucieczkach z innych wysp. Ponieważ uwielbiałem ludziom nadawać ksywy, od tego momentu nazywaliśmy go Biały Anioł, ze względu na kolor włosów i opiekę nad nami.

W hotelu trochę ochłonęliśmy. Wreszcie mogliśmy wziąć porządną prysznic i ogolić się, co poprawiło nam nastrój i pomogło uporządkować nasze sprawy. Byliśmy niecały tydzień w drodze, a mieliśmy wrażenie, jakby nie wiadomo jak długo rzucano nami na wszystkie strony.

Wylądowaliśmy helikopterem na wojskowym lotnisku. Prefekt wyspy poinformował nas od razu, że także to lokum jest prawdopodobnie czasowe. Po chaosie na Saint Barthélémy i Saint-Martin doszliśmy do wniosku, że nasze karaibskie tournée na pewno nie będzie sukcesem, który należałoby powtórzyć. We Francji na wysokim szczeblu naradzano się, co mają z nami począć. A my tymczasem dokonaliśmy przeglądu naszych możliwości. Rozpoczęliśmy od telefonicznego uspokojenia rodziny. W holenderskich wiadomościach pokazano przerażające obrazy z zamieszek na Saint-Martin i rodzina nie miała pojęcia, jak to wszystko się dla nas zakończyło, ponieważ niewiele osób wiedziało, że w środku nocy przerzucono nas statkiem jako

„uchodźców” na wyspę Tintamarre. Czułem, że Sonja bardzo się denerwowała.

– Cor, błagam cię, wróć, inaczej umrę tutaj. Czy wszyscy powariowali na tej wyspie? Naprawdę myślałam, że was zamordują!

Próbowałem to bagatelizować, aby ją uspokoić, ale oczywiście doskonale wiedziałem, iż o mały włos faktycznie by do tego doszło. Następnie wykręciliśmy numer Joopa Ririmasse’a w Amsterdamie, Odebrał, a więc wrócił z „rozpoznania” w Surinamie. Wydawał się podekscytowany.

– Hej, podróżniku! Już się zastanawiałem, dlaczego nie dajesz nic o sobie znać, ale jak zobaczyłem wiadomości, to zrozumiałem, że nie masz zbyt wiele okazji do dzwonienia. – Zachichotał.

Spytałem go, jak stoją nasze interesy. Nie było źle, powiedział. W Surinamie nawiązaliśmy kontakt na wysokim szczeblu i Desi Bouterse przekazał, iż jest gotów udzielić nam schronienia w swoim państwie „ze względów humanitarnych”. Mieliśmy otrzymać papiery i zezwolenia na pobyt.

– Wszystko jest załatwione – powiedział Joop ze sporą dozą entuzjazmu. – W sumie to nie takie trudne. Jesteście już, powiedzmy, o rzut beretem. Byłoby najlepiej, gdybyście polecili do Gujany Francuskiej, to jest terytorium francuskie, i stamtąd do Surinamu. I po kłopotach. – Nieźle to brzmiało.

– Joop, a jak z pieniędzmi? – spytałem go, bo był to dosyć istotny paragraf w całej umowie. I do tego podeszli także bardzo elastycznie.

– Żadnych problemów. Zgadzą się na wasze warunki, Cor, co roku, w ciągu pięciu lat, po sto tysięcy guldenów. Pierwsze sto tysięcy musicie zapłacić z góry. Powiedz, czego chcesz albo kiedy przyjedziesz... – meldował Joop.

Mhm, nie chciałem działać pochopnie. Powinienem wszystko spokojnie przemyśleć i naradzić się z Willemem. Surinam to była jedna z możliwości, ale miała swoje wady. Obiecałem Joopowi Ririmasse’owi, że oddzwonię do niego w ciągu czterdziestu ośmiu godzin i poinformuję go o naszej decyzji.

Im dłużej myślałem o Surinamie, tym więcej minusów widziałem. Szkoda, ponieważ na pierwszy rzut oka była to dla nas atrakcyjna

perspektywa. Ludzie mówią tam po holendersku i w dodatku to piękny kraj. Wyobrażałem sobie, że moglibyśmy otworzyć tam jakąś firmę importową. To były plusy. Ale istniały też minusy. Dowódca armii, Desi Bouterse, zgodził się na nasz przyjazd, ale jak długo ten człowiek pozostanie przy władzy? Jego rządu nie można było nazwać stabilnym. Zawsze mogło się zdarzyć, że jakiś sierżant, który inaczej zapatruje się na naszą sprawę, spróbuje dokonać przewrotu i przejąć władzę. Wtedy zostalibyśmy wyrzuceni lub – i to było bardziej prawdopodobne – musielibyśmy znów dużo płacić.

I oczywiście istniała możliwość, że zerwane stosunki pomiędzy Holandią a Surinamem mogą zostać nawiązane, co oznaczałoby, że umowy o ekstradycji znów zaczną obowiązywać... Holandia zalegała z płatnością około miliarda guldenów na rzecz rozwoju Surinamu i nie miałem ochoty, aby zaistniała sytuację wykorzystano jako zapłcenie swego rodzaju „okupu” za nas. Istniało prawdopodobieństwo, że uczynią ze mnie i Willema coś w rodzaju karty przetargowej. W tej chwili, dajmy na to, wykorzystają nas, aby zdenerwować Holandię, ale w przyszłości – gdyby im tak pasowało – wydając porywaczy Heinekena, mogą stosunki dyplomatyczne z nią polepszyć.

A co zrobimy w sytuacji, gdy zechcą nas całkowicie obskubać z pieniędzy, jak już znajdziemy się w Surinamie? Zaproponują alternatywę: płacicie albo wsadzamy was w samolot lecący do Holandii! Nie, w związku z Surinamem widziałem tylko same problemy. Musimy się przespać i przemyśleć to.

Następnego ranka jedliśmy właśnie śniadanie na tarasie przed hotelem, z którego rozciągał się cudowny widok na ocean, gdy podszedł do nas Biały Anioł. Powiedział nam, że przed chwilą zadzwonił do niego reporter z *Le quotidien d'information de la Guadeloupe*, czyli po prostu z lokalnej gazety, i zapytał, czy to prawda, że porywacze Heinekena, *monsieur Van Oet et Olleeder*, przebywają w jego hotelu. Zaprzeczył temu i odpowiedział, że w księdze gości jest zameldowany pan Chauvet i pan Constantin, ale dziennikarz utrzymywał, że jego informacje pochodzą z wiarygodnego źródła i nie wierzył mu zbyt. Jak to możliwe?! Wydawało się, że ci faceci z gazet wyczuwali nas na odległość. Za każdym razem trafiali na nasz ślad, niezależnie od tego, gdzie się znajdowaliśmy.

Z gazet, dostarczonych nam przez Białego Anioła, wynikało, iż nasza obecność wywołała wielką aferę, o której nie pisano już pod nagłówkiem *Faits divers*, ale która zdominowała pierwsze strony gazet na Karaibach. Staliśmy się „gorącym newsem”, na jaki dziennikarze polowali między innymi z tego powodu, że przypadkowo (???) mer Paryża i wtedy jednocześnie kandydat na prezydenta, Jacques Chirac, złożył wizytę na wyspach. Wielokrotnie atakowano go za francuską politykę w *l’Affaire d’Heineken*, przez co prasa zaczęła poświęcać tej sprawie więcej uwagi. A Chirac podczas kampanii wyborczej nie mógł oczywiście powiedzieć nic innego, jak tylko to, że oczywiście w zupełności zgadza się z ludnością.

Biały Anioł stwierdził, że dziennikarz z pewnością wkrótce przybędzie do hotelu, aby osobiście zbadać sprawę i wtedy odkryje kłamstwo. Zaproponował, abyśmy się stąd wyprowadzili. Po raz kolejny! Dysponował umeblowaną willą, stojącą kilka kilometrów dalej, która w tej chwili stała pusta i w dodatku teren wokół niej był zabezpieczony monitoringiem. Takiego zaproszenia nie mogliśmy odrzucić! Elegancka willa była zawsze lepsza niż pokój hotelowy. Po telefonicznym uzgodnieniu z prefektem, który nie miał nic przeciwko temu, zawieziono nas samochodem w nowe miejsce.

Nasz gospodarz nie przesadzał. To było cacko. W ogromnym domu znajdowało się wszystko, o czym można było zamarzyć: duża weranda, gigantyczny ogród z różnymi tarasami, radio, telewizor, wideo, kuchnia wyposażona w masę elektroniki, łazienka jak z hollywoodzkich filmów, lodówka wypełniona po brzegi i oczywiście ładne meble, a ponadto dużo pokoi sypialnych. Mogliśmy korzystać ze wszystkiego, także z telefonu, pod warunkiem, że będziemy notować czas trwania rozmów. I aby faktycznie niczego nam nie zabrakło, cały czas do naszej dyspozycji był także służący, który miał się troszczyć o nasze jedzenie i picie. To się nazywa prawdziwy *room service*.

Wszystkie okna miały grube okiennice, a cały teren był okolony solidnym ogrodzeniem z żelaza. Willa stwarzała wrażenie twierdzy. Uznaliśmy ją za szczyt naszych marzeń. Po odjeździe Białego Anioła, wiwatując z radości, opadłem na jeden ze skórzanych foteli chesterfield, stojących w salonie. Były prawie takie same jak te w mieszkaniu Willema.

– Hej, Nos, tutaj nas mogą zostawić na miesiąc – zaśmiałem się głośno. – Jakoś wytrzymamy. Ha, ha, ha, gdyby ci agenci Heinekena mogli nas teraz zobaczyć, ale by się zdziwili!

Przypuszczenia, że nasz gospodarz mógł mieć mroczną przeszłość, potwierdziły się, gdy z ciekawości zaczęliśmy z Willemem zwiedzać dom. Jeden z pokoi zajmowała biblioteka ze stosunkowo bogatym księgozbiorem i gdy otworzyłem drzwi jednej z szaf, i zacząłem przyglądać się grzbietom książek, zauważyłem, że wszystkie dotyczyły drugiej wojny światowej, generała Rommla, Hitlera, armii francuskiej, procesu w Norymberdze i tak dalej.

– Popatrz, popatrz, i on utrzymuje, że przyjechał tutaj już w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, a nie w czterdziestym szóstym – powiedziałem drwiąco do Willema. – No, jeśli on nie jest nazistą, to ja nie jestem porywaczem.

Resztę dnia spędziliśmy na balkonie, rozkoszując się słońcem. Pod ręką mieliśmy zimne piwo i telefon. Podnieceni zadzwoniliśmy do Amsterdamu i opisaliśmy nową, komfortową sytuację, w jakiej tym razem się znaleźliśmy. Nie do wiary, że życie mogło się tak zmienić z dnia na dzień. W Amsterdamie z trudem w to uwierzyli, ale Boxie przestała się niepokoić, gdy jej wszystko opowiedziałem i od razu spytała:

– Cor, czy mogłabym przyjechać do ciebie z Francis?

Oczywiście, bardzo bym tego chciał, ale była drobna przeszkoda: prefekt powiedział nam, że jest to czasowe lokum. Pewnego dnia skończą się te przyjemności. Nie musieliśmy zbyt długo czekać. Któregoś wieczoru odwiedził nas prefekt z trzema policjantami ze służby kryminalnej. To trio miało nas pilnować, dla naszego własnego bezpieczeństwa, jak się wyraził szef. Zażartowałem jeszcze, że jest to zbędne, ponieważ według nas Biały Anioł na pewno sobie poradzi z sytuacją, ale prefekt powiedział, że w radiu i w gazetach już poinformowano o naszej obecności na wyspie. W Pointe à Pitre od razu powstało zaniepokojenie i władze zostały zasypane krytycznymi pytaniami. Mer mógł uspokoić dużą grupę ludzi tylko przez uroczyste złożenie obietnicy, że przed weekendem wyjedziemy do Francji. Wołał, że porywacze są tutaj tylko „przejazdem”, ale mieszkańcy

przyjmowali to z niedowierzeniem. Następnie pośpiesznie nawiązano kontakt z ministerstwem w Paryżu, aby wymusić szybkie rozwiązanie.

Co za rozczarowanie! Popatrzyłem na Willema nieco zmartwiony. Było to idealne miejsce do odpoczynku, a tu znów tarapaty. Czy już nigdy nie znajdziemy spokoju? Nie, nigdy. Nawet w nocy. Policjanci spali w domu, ale gdy kilkakrotnie dzwonił telefon, nie odebrali go, więc wyręczyliśmy ich. Okazało się, że to dziennikarze z lokalnej gazety na Gwadelupie, którzy pytali, czy zastali może przypadkiem „Van Oeta et Olleedera”. Ponieważ mówiliśmy dobrze po francusku, nie połapali się, że rozmawiali z nami, ale oznaczało to, że znów depczą nam po piętach. Przypuszczałem, że w ciągu dnia przyjadą sprawdzić, czy mają rację. Dziennikarze tak szybko trafiali na nasz ślad, iż nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ukradkiem są informowani przez lokalne władze, aby w ten sposób wywierać duży nacisk na Francję. Tutejsi urzędnicy mogli wtedy poinformować ministerstwo, że lada chwila może dojść do eskalacji i że potrzebne jest szybkie rozwiązanie. Wszyscy oszukiwali wszystkich, to było ewidentne.

Następnego dnia, podczas śniadania, znów odwiedził nas prefekt. Mimo wczesnej pory pocił się solidnie. Nie tyle z powodu upału, ile z nerwów. Nakazał nam, abyśmy przez cały dzień siedzieli w domu i pozamykali okiennice. Z Pointe à Pitre donoszono, że dochodzi do zamieszek i grupki ludzi znowu zaczynają nas szukać. Na każdej wyspie działa się to samo. Aby nam udowodnić, że nie udaje, włączył radio i poszukał rozgłośni nadającej lokalne wiadomości. Po kilku minutach usłyszeliśmy reportaż emitowany na żywo ze stolicy, gdzie około trzystu osób głośno protestowało przeciw naszemu pobytowi na wyspie. Przez radio słyszeliśmy skandowanie: „usunąć porywaczy!” i „Gwadelupa to nie śmietnik...”. Gdzie już to wcześniej słyszeliśmy?

Zdaniem prefekta naradzano się gorączkowo z Paryżem, naciskając, aby nas stąd zabrano. Powiedział nam, że minister spraw wewnętrznych zajmuje się tą sprawą. Po wyjściu urzędnika rozczarowani słuchaliśmy radia, w końcu i tak nie mieliśmy nic innego do roboty. Słyszeliśmy, że protesty stawały się coraz silniejsze. Cieszyłem się, że ze stolicy trzeba do nas jechać ponad godzinę, bo inaczej na pewno znów musielibyśmy leżeć na

podłodze w jakiejś czytelnicy czy piwnicy.

Reporter radiowy, nadając relację na żywo z ulic Pointe à Pitre, łamiącym się głosem informował, że demonstranci zbliżają się do siedziby prefekta położonej na – co za odpowiednia nazwa – *La place de la Victoire*, w centrum miasta i że tam miała wybuchnąć „beczka prochu”. Kamieniami wybijano szyby, a grupka ludzi ściągnęła z budynku francuską flagę i uciekła z nią. Chyba to spowodowało, że miarka się przebrała, ponieważ chwilę później komentator przekazał, że władze wysłały Compagnie Republicaine de Sécurité (CRS), czyli oddział prewencji policji, który budziła powszechny lęk. Skutkiem były zmienne w sile, burzliwe starcia na upalnych ulicach Pointe à Pitre. Policja odpierała ataki, rzucała granaty z gazem łzawiącym, biła na oślep pałkami i zatrzymała kilka osób. I to wszystko z powodu dwóch chłopaków z Holandii, z którymi władze nie wiedziały, co zrobić. Absurdalna sytuacja, jaka nigdy wcześniej nie miała miejsca...

Jasne było, że tylko w jeden sposób można przywrócić spokój: porywacze Heinekena musieli opuścić wyspę. I to jak najszybciej. Zamieszki wywołały pożądany efekt. W narastającym słownym sporze pomiędzy Francją a Pointe à Pitre pierwsza strona poniosła porażkę, tak zrozumieliśmy, gdy późnym popołudniem delegacja podoficerów z policji odwiedziła nas w willi Białego Anioła.

– Jeszcze dzisiaj wieczorem wracacie do Paryża – relacjonował wynik ministerialnej narady jeden z nich. – Macie być gotowi za kwadrans!

Nie potrzebowaliśmy aż tyle. Nadal nie dostarczono nam naszych walizek, więc całe mienie mogliśmy zmieścić w kieszonce od koszuli. Byłem zadowolony, że wreszcie podjęto decyzję. Obecna sytuacja była nie do wytrzymania. Lepiej wrócić do Paryża. Może pobyt tam także nie należał do przyjemności, ale przynajmniej nie musieliśmy się obawiać o życie. Wszystko, co się działo na Karaibach, graniczyło z wariactwem.

Skorzystałem z czasu, który nam jeszcze pozostał, i zadzwoniłem do Amsterdamu, aby im powiedzieć, ku ich zaskoczeniu, że szykujemy się w drogę powrotną. Zadzwoniłem także do Joopa Ririmasse'a.

Czterdzieści osiem godzin jeszcze nie minęło, ale już podjąłem decyzję. W tych okolicznościach nie było najmniejszego sensu jechać do Surinamu,

rządzonego przez Desi Bouterse'a. Nie, najpierw chciałem pojechać do Paryża, do Boxie i Francis, i tam przemyśleć jeszcze raz wszelkie warunki i możliwości. Willem był tego samego zdania.

– Cor, nie mamy tam czego szukać – powiedział. – Cała bieda zacznie się od początku, jakby ją wiatr tam zaniósł. Odwołaj to!

Ririmasse był bardzo zawiedziony, gdy mu przekazałem, że na razie nie skorzystamy z jego pomocy i rezygnujemy z przeprawy do Surinamu. Był przekonany, że zaryzykujemy i teraz złościł się, że zdecydowaliśmy inaczej.

– A więc na darmo poleciałem do Surinamu? – spytał trochę poirytowany.

Ach, co to znaczy na darmo? Zapłaciłem za to piętnaście tysięcy guldenów i mieliśmy przecież swobodę wyboru? Nie podpisałem z nim umowy ani nic takiego? Ririmasse powiedział wtedy, iż znalazł się teraz w trudnej pozycji, ponieważ właśnie dzisiaj kilku zaprzyjaźnionym dziennikarzom przekazał, że udamy się do Surinamu.

– Cor, informacja ukaże się jutro w gazetach – powiedział, jakby myślał, że to zmieni naszą decyzję.

Wręcz przeciwnie. Nagle straciłem całe zainteresowanie! Co za bzdura, żeby wcześniej informować prasę?! Na to naprawdę się nie umawialiśmy.

– Joop, kiedyś zadzwonię jeszcze do ciebie. Teraz nie mam czasu – powiedziałem i zakończyłem rozmowę. Uznałem sprawę za załatwioną.

Nadszedł czas wyjazdu. Wcisnęliśmy się we czterech do renault 4 i szybko wyjechaliśmy z miejscowości Vieux Habitants. Białego Anioła już nie zobaczyliśmy. Władze miały z nim wszystko uregulować. I nawet gdyby tego nie zrobiły, to na pewno i tak zachowa dyskrecję. Z doświadczenia wiedziałem, że znajdując się w niepewnej pozycji, jest lepiej czasem niektóre rzeczy puścić płazem. Dojechaliśmy na małe, pobliskie lotnisko Baillife, gdzie na trawie stał znany już nam wojskowy helikopter. Chwilę później odlecieliśmy na główne lotnisko Raizet, gdzie specjalnie ze względu na nas opóźniono odlot boeinga linii Air France do Paryża. Dolecieliśmy kwadrans później. Boeing 747 był gotowy do startu, pasażerowie, niecierpliwiąc się już, siedzieli na swoich miejscach.

Pilot helikoptera, zanim wylądował, parę razy złośliwie zatańczył przed cockpitem dużego boeinga. Wysiedliśmy i pośpiesznie wspinaliśmy się po

schodkach, które dostawiono do drzwi samolotu. Koniec karaibskiej przygody. Z powrotem do Francji. Powrót do punktu wyjściowego. Była środa wieczorem, 19 lutego 1986 roku. Minął dokładnie tydzień od dnia, kiedy wyruszyliśmy. Przepędzono nas brutalnie z trzech wysp. Nic nie wskóraliśmy. Gorzej, nasza sytuacja bardziej się skomplikowała. Zostaliśmy skonfrontowani z rzeczywistością: Willem Holleeder i Cornelis van Hout byli wszędzie uznani za persona non grata.

Pasażerowie samolotu rzucali nam wściekłe spojrzenia. Wszyscy byli Francuzami i prawdopodobnie nas nie rozpoznali, a co dopiero mówić, żeby słyszeli o naszych niebezpiecznych awanturach. Lot opóźnił się przez nas pół godziny i to było jedyne, co się dla nich liczyło. Musieli tak długo czekać na tych dwóch smarkaczy w brudnych dżinsach? Skandal! Ale po wszystkich przejściach nie potrafiłem się tym przejmować. To nie nasza sprawa. Kazali nam zająć miejsce na tylnych siedzeniach samolotu i szczerze mówiąc, odetchnąłem z ulgą z tego powodu. Tutaj nic nam się nie mogło przytrafić. Wracaliśmy do cywilizacji. W czasie lotu nie zdołaliśmy obejrzeć filmu. Śmiertelnie zmęczeni zasnęliśmy zaraz po starcie i obudziliśmy się dopiero, gdy pilot podchodził do lądowania w zimowej szarej aurze lotniska Orly pod Paryżem...

Po powrocie do Francji zostaliśmy ponownie zakwaterowani w hotelu, tak jak kiedyś w Beauvais i Cergy-Pontoise. Tym razem przewieziono nas do Ibis w miejscowości Evry, przy znanej *Autoroute Du Sud*, Autostradzie Słońca, około dwudziestu kilometrów od Paryża. Hotel był jakościowo lepszy i wygodniejszy niż poprzednie. Jak dawniej przed drzwiami stał radiowóz i w pokoju obok mieszkali zmieniający się ochroniarze. Sonja, Francis i Beppie przyjechały z Amsterdamu natychmiast po naszym odlocie z Gwadelupy i mogliśmy im powiedzieć: „witajcie w klubie”. Prasa oczywiście także się pojawiła, ale gdy zobaczono, że w hotelu Ibis zaczyna się stara nuda, szybko zostawiono nas w spokoju. Nurtowało nas jedno pytanie: co będzie z nami dalej? Holandia zapowiedziała, że wystosuje do Francji kolejny wniosek o wydanie nas, jak tylko nowy, europejski traktat o ekstradycji, podpisany przez Francję, wejdzie w życie. Ta zaś dyplomatycznie nie zajmowała stanowiska w naszej sprawie. Rzecznicy

powiedzieli tylko, że czekają na rozwój wydarzeń i w odpowiednim czasie ewentualny wniosek Holandii o ekstradycję zostanie przestudiowany.

Poza tym prawie wszystko było po staremu. Agenci Heinekena znów wprowadzili się do oddalonego o trzysta metrów od Ibisu Novotelu i niestrudzenie codziennie patrolowali okolicę, a my próbowaliśmy się czymś zająć. W pobliskim parku mogliśmy czasami spacerować i biegać. Zależało to od ochrony, byli tacy, których wszystko drażniło, ale i tacy, którzy dawali nam pewną swobodę.

Doświadczenie nauczyło nas, że z biegiem czasu policjanci nie przywiązywali zbyt dużej wagi do przestrzegania reguł. Po pewnym czasie udało nam się nawet otrzymać zgodę na codzienne wyjście do niedalekiego klubu sportowego, gdzie przez godzinkę mogliśmy ćwiczyć na siłowni. Początkowo trenujący dziwnie patrzyli na gliniarzy, którzy nas pilnowali, z walkie-talkie i bronią służbową, ale z czasem do tego przywykli.

Ochrona była jednak dokuczliwa. Przede wszystkim dla Sonji i Beppie. Takiemu policjantowi trzeba było zawsze mówić, co się zamierzało robić. Nawet, jeżeli ktoś z nas szedł do toalety, musiał to najpierw zgłosić – jak małe dziecko. W najgorszym razie szli z tobą, jakbyś sam nie mógł sobie poradzić. Jeżeli potrzebowałem wrócić do pokoju, nawet tylko po płaszcz, musiałem czekać, aż policjant także wejdzie do windy. A gdy chcieliśmy coś zjeść, to siadali przy sąsiednim stoliku, itp., itd.

Czasami można było od tego zwariować. Pod tym względem hotel przypominał więzienie, chociaż był oczywiście o wiele lepszy niż La Santé.

Jedyną korzyść, jaka płynęła z pobytu w La Santé, to ta, że w razie skazania w Holandii czas aresztu musiałby ustawowo zostać zaliczony na poczet kary, a czas spędzony w hotelu – nie, mimo że tutaj także nie byliśmy wolni. W Evry odwiedzało nas wiele osób, rodzina i przyjaciele. Z nimi omawialiśmy sytuację i zastanawialiśmy się, co będzie dalej. Co powinniśmy zrobić? Spokojnie poczekać na drugi wniosek ekstradycyjny? Oznaczało to prawie pewny powrót do lochów w La Santé. Rozważaliśmy oczywiście także kwestię ucieczki z hotelu. Nie byłoby to wcale trudne, ale nie rozwiązywałoby problemu. Mówiąc szczerze, gdybym nie miał Boxie i Francis, to pewnie zwialibyśmy za granicę, ale sytuacja była taka, a nie

inna. Nie chciałem ich znów zostawić na pastwę losu, czułem się za nie odpowiedzialny. Gdybym miał podjąć jakieś kroki, to chciałem koniecznie, aby były ze mną, w przeciwnym razie nic bym nie robił. Ucieczka była niebezpiecznym przedsięwzięciem, pełnym napięcia, niepewności i niosła za sobą ryzyko. Nie chciałem ich na to narażać, mimo że wiele osób z mojego otoczenia namawiało mnie do tego.

Pewnego dnia z budki telefonicznej w centrum handlowym zadzwoniłem do mojego przyjaciela Fransa Meijera, który ukrywał się wtedy od ponad roku. Jeż robił to znakomicie, chociaż czasami dokuczała mu samotność i tęsknota, przynajmniej takie słuchy mnie doszły. Nie mieliśmy ze sobą kontaktu od długiego czasu. W Beauvais i w Cergy-Pontoise nie miałem odwagi, aby się z nim skontaktować, ponieważ byłem przekonany, że nasze rozmowy zostaną podsłuchane albo przez francuską policję, albo nielegalnie przez ekipę Heinekena. Za żadne skarby świata nie chciałem przyczynić się do tego, aby Jeż został złapany, chociaż dotarły do mnie informacje, że bardzo chciał porozmawiać. Nasze aresztowanie w Paryżu było dla nas wystarczającym ostrzeżeniem. Rozmowy telefoniczne stanowiły śmiertelne niebezpieczeństwo. Kto wie, może znów do budki telefonicznej była podłączona drukarka...

Ktoregoś dnia podczas zakupów w centrum handlowym w Evry zdecydowałem się zaryzykować. Towarzyszącemu mi policjantowi powiedziałem, że chciałbym zadzwonić do adwokata i wszedłem do jednej z sześciu budek podłączonych do automatycznej centrali telefonicznej. Nie musiałem łączyć się przez telefonistkę, więc mogłem dzwonić bezpośrednio po całym świecie.

Fransa dla bezpieczeństwa nazywałem przez telefon „Bram”. W młodości tak się do niego zwracałem przez jakiś czas, więc Jeż od razu zrozumiał. Liczyłem się z tym, iż jeden z naszych francuskich policjantów, który ma żonę Holenderkę, może rozumieć trochę nasz język i natychmiast wyteńczyłby słuch, gdyby usłyszał imię Frans lub Jeż. Oczywiście nie mógłbym mu zabronić oprzeć się o budkę i podsłuchiwać. Bardzo mnie ucieszyło, że możemy chwilę porozmawiać.

Pierwsze, co powiedziałem, gdy usłyszałem tak dobrze mi znany, nieco

nosowy głos Fransa, to:

– Hej, gdzie byłeś, stary? Myślałem, że umówiliśmy się w Raju...

Jeż zareagował natychmiast:

– Flip!!! Flippie!!! – wołał uradowany.

Przez chwilę rozmawialiśmy o tym, jak się bardzo cieszymy z faktu, że wreszcie się słyszymy. Oczywiście chciałem się dowiedzieć, co u niego słyhać, co robił w czasie, gdy z Willemem marnieliśmy w La Santé. Miał dużo do powiedzenia, ale zarówno ze względów bezpieczeństwa, jak i z tego powodu, że francuski policjant niecierpliwie spoglądał na zegarek, musieliśmy się streszczać. Dlatego też przeszedłem do sedna sprawy i spytałem go, co myśli o sytuacji. Okazało się, że jest dosyć szczegółowo zorientowany w tym, co się działo. Z napięciem śledził w gazetach nasze eskapady. Miał wyrobione zdanie na ten temat.

– Flip, nie dasz się przecież złapać po raz drugi? – zapytał. – Chyba nie zwariowałaś? Przyjedź tutaj, to jest możliwe. Wszystko ci zorganizuję, ale błagam, nie idź do więzienia. Nie wyjdiesz stamtąd żywy, mieliście dużo szczęścia na Saint-Martin.

Doceniałem niezmiernie propozycję Jeża, ale nie chciałem z niej skorzystać. Z powodów, których w tej książce nie chcę wyjawiać, żeby chronić mojego przyjaciela, taka podróż była niemożliwa. Być może sam mógłbym jeszcze pojechać, ale musiałbym zostawić Willema, a tego nie chciałem zrobić. Za nic w świecie, po tym wszystkim, co razem przeszliśmy. Nie mówiąc już o Boxie i Francis. Frans musiał zostać tam, gdzie był. Jeszcze nie nadszedł czas na połączenie się. Policja i ekipa Heinekena nadal na niego czatowali, chociaż ludzie już raczej nie pamiętali, że jeden z nas wciąż się ukrywał. Cała uwaga skupiała się na mnie i na Willemie. Można by powiedzieć, że byliśmy rodzajem piorunochronu dla Fransa.

Zamierzałem się natomiast dowiedzieć w zakamuflowany sposób, co z naszą częścią okupu, który wziął na przechowanie. Czy ukrył pieniądze bezpieczne, czy je jeszcze miał? Przez cały czas naszej rozłąki ta sprawa nigdy nie była dla mnie jasna w stu procentach. Po jego ucieczce z kliniki psychiatrycznej przez długi czas ludzie z naszych kręgów nie mieli od niego żadnych informacji. W kontaktach jak zawsze był równie ostrożny,

powściągliwy, jak przekorny. Trudno go było zgłębić. Dla wszystkich stanowiło zagadkę, co dokładnie robił w tym czasie. Na pytania o pieniądze i temu podobne nigdy nie udzielał odpowiedzi albo wypowiadał się tajemniczo i niejasno. Ale ja w przeciwieństwie do innych wiedziałem, jak się z nim obchodzić.

– Im mniej wiecie, tym lepiej – odpowiadał zdawkowo na pytania ciekawskich.

Z tego powodu nie chciał, aby nawiązywano z nim kontakt. Jeżeli coś się działo, wolał sam się zgłosić. Tak było bezpieczniej jego zdaniem. Nikt nie wiedział, gdzie przebywa i jak się można z nim skontaktować. Kryjówkę wynalazł rzeczywiście doskonałą. W dzisiejszym świecie zaginąć bez śladu na dwa lata to niemała sztuka. Rozumiałem Fransa i jego nieco nieprzewidywalne zachowanie. Jeszcze nie tak dawno przecież, ukrywając się z Willemem, mieliśmy podobne lęki i kłopoty.

Zdawałem sobie sprawę z tego wszystkiego, ale musiałem jakoś poruszyć sprawę pieniędzy.

– Masz jeszcze trochę tych orzeszków ziemnych? – spytałem. Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza.

– Nie czytałeś gazet? – zareagował Frans i następnie rzucił niedbałym tonem, jakby mówił o stercie starych gazet. – Spaliłem je na plaży... Flip, to były brudne pieniądze... czy ty może w to nie uwierzyłeś???

Na chwilę zamarłem z wrażenia. Poczułem ucisk w żołądku. Czy to nowy żart Fransa? Jeżeli tak, to w tej chwili nie potrafiłem się z tego śmiać. Nie wiedziałem, jak zareagować. W końcu chodziło o parę milionów guldenów. Jeżeli ich nie było, to nie było mi do śmiechu. Co się dzieje z Jezem? Czy był zdezorientowany, czy może nie chciał rozmawiać o tym przez telefon? Może ktoś był u niego i dlatego mówił ogólnikowo. Frans przerwał ciszę z lekkim chichotem:

– Ha, ha... Flipie... Flipie... Znów ci napędziłem stracha, chłopie... mówię ci, przyjeźdź, to opowiem ci całą historię...

I po tym, tonem, który mnie nieco uspokoił, dodał:

– Stary, nie znasz mnie jeszcze po tych wszystkich latach? Może niekiedy wyglądam na roztrzepanego, ale na szaleńca? Nie, nie jestem wariatem... ha,

ha. Powiem tylko, po raz drugi, do zobaczenia w Raju, cokolwiek miałyby to oznaczać...

Nie mogłem powstrzymać śmiechu, taki straszny był z niego dziwak czasami. Tymczasem policjant stojący na zewnątrz budki telefonicznej uderzał palcami po szybie i skinął niecierpliwie, żebym się pośpieszył. Zakończyłem rozmowę, mówiąc:

– Mam nadzieję, przyjacielu, że faktycznie przyjdiesz, bo poprzednim razem siedziałeś na komisariacie zamiast w Raju... nie rób mi tego więcej...

Myślę, że mecenas Max Moszkowicz, mój holenderski adwokat, spodziewał się, że uciekniemy. Gdy dzwoniłem do niego po poradę, pytał niekiedy pół żartem, pół serio:

– Ooo, jest pan jeszcze...

Sądził, że Holandia nie powinna wnosić po raz drugi wniosku o ekstradycję, ale chcąc być z nami szczerzy, przestrzegał, że może to jednak zrobić. I musimy być na to przygotowani.

– Mieć rację, a móc ją wyegzekwować to dwie różne rzeczy – powtarzał nam zawsze.

Mecenas Max miał jak zawsze rację, niestety... Ale tego wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy.

Odszukałem numer mecenasu Legranda, ekscentrycznego adwokata od ciemnych interesów, który odwiedził mnie kiedyś w La Santé i przy tej okazji zaproponował mi kupienie korzystnego wyroku. Wiedział od razu, kim jestem, i obiecał, że następnego dnia odwiedzi nas w hotelu Ibis. Zależało mi, żeby zorientować się w możliwościach znalezienia dobrego i bezpiecznego schronienia. Omawialiśmy to w czasie lunchu w hotelowej restauracji. Legrand nic się nie zmienił od ostatniego spotkania. Nadal był trochę wyniosły i niezwykle pewny siebie. I teraz także nie zawsze mówił konkretnie na temat, ale uważny słuchacz mógł wyciągnąć dosyć wniosków.

– Byli panowie kiedyś w Kolumbii? – spytał pozornie mimochodem.

Nie, nie byliśmy. Czego miałbym tam szukać? Handlu kokainą nie lubiłem i nie bardzo miałem ochotę na zamieszkanie wśród baronów narkotykowych.

– Całkiem przyjemny kraj... naprawdę urocze miejsce... – zapewniał nas

francuski prawnik.

Kontynuując tę grę, spytałem, czy cudzoziemcy także mogą się tam osiedlić. Legrand powiedział, że tak. Po „zapłaceniu jednorazowego podatku”, tak to nazwał, można by uzyskać wszelkie potrzebne zezwolenia i dokumenty. A właśnie, ostatnio przypadkiem usłyszałem, jaka to jest kwota – od osoby oczywiście – podkreślił, pamiętając, że swego czasu błędnie myślałem, że suma wymieniona w La Santé obejmowała mnie i Willema. Należałoby zapłacić po trzysta pięćdziesiąt tysięcy guldenów od osoby. Ale od tego momentu znikną wszelkie przeszkody i dalej wszystko będzie się odbywać oficjalnie, podkreślił Legrand, jakby znał znaczenie tego słowa. Szczerze mówiąc, w ogóle nie podobała mi się jego oferta. Kolumbia. Może to było coś dla Białego Anioła z Gwadelupy, ale nie dla nas. Oczywiście nie powiedziałem mu tego wprost. Stwierdziłem, że musimy sprawę przemyśleć i damy znać.

Tego wieczoru przedstawiłem jednak tę propozycję Boxie. W zasadzie była gotowa pojechać za mną na Saharę czy na Syberię, ale podczas rozmowy wynikło jednak sporo trudności. Co na litość boską mielibyśmy robić w Kolumbii? I co z Francis, która w pewnym momencie będzie musiała pójść do szkoły? Jak to mielibyśmy załatwić? Oznaczałoby to także pożegnanie się z rodziną, która nie wsiądzie przecież tak normalnie do samolotu. Agenci Heinekena na pewno będą ich ustawicznie mieć na oku. Z tych względów szybko postanowiłem: na pewno nie Kolumbia.

Wiedziałem mniej więcej, czego nie chcę, ale nie bardzo potrafiłem sprecyzować, jakie mam właściwie oczekiwania. Wszystko miało jakieś minusy. Musiałem przyznać, że nie było dobrego rozwiązania. Ucieszyłbym się, gdyby udało się uzyskać zezwolenie na pobyt we Francji, ale tego nie mógł załatwić nawet Legrand, tak nam powiedział. Nawet za milion guldenów. Powyższe wątpliwości, w połączeniu z nudą i stresem, napięciem i pobytem w obcym dla nas otoczeniu, były dla nas straszne. Całymi nocami nie mogłem zasnąć i pociełem się. Willem przeżywał podobne rozterki. Co powinniśmy zrobić? Rodzina i przyjaciele w dobrej wierze dawali nam rady i sugestie, ale jajka Kolumba wśród nich nie było. Coraz wyraźniej zacząłem sobie uświadamiać, że musimy sami z Willemem znaleźć rozwiązanie,

i jednocześnie, że takiego rozwiązania po prostu nie ma. Fiasko całej awantury z Heinekenem było ewidentne. Dobrze chociaż, że państwo francuskie płaciło nie tylko nasze rachunki, ale także naszych gości. Z pewnością kosztowało to fortunę, wystarczy pomyśleć, ile kosztowały rozmowy telefoniczne. Zdarzało się, że w restauracji w towarzystwie dziesięciu, dwunastu osób z rodziny czy przyjaciół zamawialiśmy drogie dania główne, butelki dobrego wina, kawę z likierem, ale nigdy nie przynoszono nam rachunku. Za śniadania, lunche, konsumpcje przy barze także nie. A nie odmawialiśmy sobie niczego, bo i tak nie mieliśmy w hotelu nic innego do roboty. Francuscy ochroniarze chętnie się do nas przyłączali i pod koniec wieczoru leżeli kompletnie ścięci na krzesła. Wtedy to my musieliśmy ich pilnować, a nie oni nas. Gdy nadarzała się jakaś okazja do świętowania, zamawialiśmy kilka butelek szampana, ale i za to nigdy nie musieliśmy płacić, nawet przysłowiowego centa. Nie wiem, jak to było możliwe, ale korzystaliśmy z tego chętnie. W tej całej biedzie był to dla nas szczęśliwy traf.

Vive la France, wołaliśmy, otwierając nową butelkę. Z upływem tygodni mieliśmy coraz więcej kontaktów z agentami koncernu Heinekena. Szliśmy niekiedy do ich hotelu na drinka i przy okazji ucinaliśmy sobie z nimi pogawędkę. Im także się nudziło i podczas rozmowy mogli nas mieć na oku. Niektórzy z nich byli w miarę sympatyczni i zainteresowani naszym sposobem myślenia. Uważali oczywiście, że powinniśmy zostać ukarani, ale z drugiej strony przyznawali nam rację, że te wszystkie perypetie na Saint-Martin, te osobliwe prawne przepychanki, to już duża przesada. Myślę, że wzbudzaliśmy ich zaciekawienie. Z niektórymi wypijaliśmy czasami małego heinekena i tak nam leciał czas. Właściwie to dziwna sytuacja. Uprawdziliśmy ich szefa, oni byli po to, żeby nas pilnować, a mimo to siedzieliśmy razem przy barze, mówiliśmy do siebie po imieniu i piliśmy za zdrowie nas wszystkich...

Lubiłem sobie z nimi pożartować. Ciągłe powtarzałem, że zawdzięczają nam pracę i z tego względu powinni traktować nas z większym szacunkiem, ponieważ inaczej nadal siedzieliby na jakimś komisariacie, jako oficerowie dyżurni. A niekiedy mówiłem:

– Czy wiesz, że jesteś u mnie zatrudniony? – A kiedy patrzyli na mnie, nic nie rozumiejąc, żartowałem dalej: – tak, ponieważ kupiliśmy udziały Heinekena za jeszcze nieznaną część okupu...

W jakiś sposób do biura siedziby głównej w Katwijk dotarły wiadomości, że agenci niekiedy traktują nas zbyt po koleżeńsku i kilku z nich odwołano. Ich następcy otrzymali wyraźnie instrukcje, że mają nas tylko mieć na oku i nic więcej. Znowu jeździli wokół hotelu, notowali numery tablic rejestracyjnych na samochodach naszych gości, fotografowali ich i chodzili za nami w odległości kilku metrów, gdy szliśmy na spacer lub na zakupy. Ach, właściwie to była po prostu gra. Zabawa w kotka i myszkę albo, używając terminologii z naszego porwania, zabawa sowy i myszy. Tyle tylko, że teraz to my byliśmy myszą...

Mijały tygodnie, miesiące i szybkimi krokami zbliżał się 11 maja 1986 roku, dzień, w którym nowa *Europejska konwencja o ekstradycji* miała zacząć obowiązywać także we Francji. Bezradni postanowiliśmy czekać na rozwój wydarzeń, w każdym razie nie uciekać czy kupować zezwolenia na pobyt w jakimś państwie. Gdyby Holandia po raz drugi złożyła wniosek, to francuski sędzia najpierw musiałby wydać orzeczenie. I zdaniem mecenasów Maxa Moszkowicza mieliśmy spore szanse na ponowne wygranie. Znowu więc musieliśmy stanąć do walki. Gdybyśmy ponownie wygrali, to możliwości Holandii wyczerpałyby się – przynajmniej we Francji. I była to bardzo kusząca myśl. Nie uśmiechał mi się jednak powrót do więzienia. Nuda i terror w La Santé! Nawet nie chciałem o tym myśleć. Niestety, przy procesie było to nieuniknione.

Pierwsze dwa tygodnie ciągnęły się niemiłosiernie. Liczyliśmy dosłownie każdy dzień. Pochłaniało to nasze myśli, psychicznie przygotowywaliśmy się na ponowne aresztowanie. Wszyscy byliśmy lekko podenerwowani, dla policjantów kryminalnych, którzy nas pilnowali, te dni też różniły się od poprzednich. Można powiedzieć, że aresztowanie wisiało w powietrzu. Ogarnęło nas dziwne uczucie, gdy w poniedziałek 12 maja nic się nie wydarzyło.

Wstaliśmy z Willemem rano i schludnie się ubraliśmy, włożyliśmy marynarki, krawaty, popielate spodnie i skórzane buty – nazywaliśmy to

garniturem na wypadek aresztowania. Nie chciałem powtórzyć swojego błędu i z powodu wyglądu włóczęgi trafić na zły oddział w więzieniu, tak jak to się zdarzyło w La Santé za pierwszym razem. Przez cały dzień czekaliśmy w holu hotelu Ibis na policyjną budę. Było to stresujące. Za każdym razem słysząc hamujący samochód, wyglądaliśmy na zewnątrz. Gdy ktokolwiek otwierał hotelowe drzwi, z ciekawością kierowaliśmy nasze głowy w tym kierunku. Spodziewaliśmy się, że lada moment założą nam kajdanki i zabiorą nas, ale nic takiego się nie stało. Zaskoczeni, pod koniec dnia nawiązaliśmy kontakt z naszą mecenas w Paryżu, panią Jacobą de Jongh-Dunand, która regulowała nasze bieżące sprawy, ponieważ Max Moszkowicz oczywiście nie mógł natychmiast osobiście przyjeżdżać w każdej sprawie. Pani mecenas mówiła biegle po francusku i dobrze znała ścieżki w systemie sądownictwa w Paryżu, co dla nas wszystkich było bardzo wygodne. Przykładowo, udało jej się odzyskać nasze walizki z ubraniami z Sint Maarten. Pani De Jongh sądziła, że nie zostaliśmy do tej pory zatrzymani, ponieważ konwencji na razie nie opublikowano we francuskim dzienniku ustaw, a więc jeszcze nie obowiązywała. Mogło to nastąpić w każdej chwili, ale na razie mieliśmy dzień wytchnienia. Szybko zmieniliśmy ubranie i zamówiliśmy obfity „ostatni posiłek skazańca”, z dobrą butelką wina. W więzieniu na pewno wrócimy do suszonych ryb i dań z podrobów, więc postanowiliśmy jeszcze nacieszyć się okazją. Wieczorem w barze niczego sobie nie odmawialiśmy, obserwowani przez zdziwionych agentów z koncernu Heinekena, którzy już w niedzielę drażnili nas zbliżającym się aresztowaniem i teraz nie mogli pojąć, że jeszcze jesteśmy na wolności. Reszta tygodnia minęła tak samo: nic się nie działo. Codziennie schodziliśmy na dół elegancko ubrani, czekaliśmy w napięciu na policję i opychaliśmy się jedzeniem podczas kolejnych „ostatnich posiłków”. I każdego wieczoru kładliśmy się spać zaskoczeni, że znów nas nie zabrano. Okazało się, że z wprowadzeniem nowej ustawy o ekstradycji są jakieś trudności. Ale nie potrafiliśmy się cieszyć z tej nieoczekiwanej „wolności”.

Byliśmy zbyt spięci i świadomi, że obecna niepewna sytuacja nie może przeciągać się w nieskończoność. Dopiero w poniedziałek 19 maja 1986 roku coś się wydarzyło. Był to drugi dzień Zielonych Świątek. O szóstej rano

obudziło nas dobijanie do drzwi. Strasznie zaspany myślałem, że to Willem zrywa mnie na śniadanie i krzyknąłem do niego:

– Nos, chłopie! Ja jeszcze śpię... odczep się!

Nie byłem przygotowany na to, że zostanę zatrzymany w drugi dzień Zielonych Świątek, ponieważ wtedy wszyscy mieli wolne. Sonja, która leżała obok mnie, zrozumiała, że to nie Willem i szybko wyrwała mnie ze snu.

– Flip, nie ma jeszcze szóstej, to musi być policja... – powiedziała – i miała rację.

Minutę później dziesięć osób stało w malutkim pokoiku. Kazano mi się ubrać. Ponieważ już któryś raz z kolei w tym tygodniu wskakiwałem w „garnitur”, kant w spodniach zdążył się nieco wyprostować. Pozwolono mi na szybki telefon do adwokatów, po czym dyskretnie wyjściem ewakuacyjnym opuściliśmy pogrążony w błogim śnie hotel. Na zewnątrz czekał na nas samochód-więźniarka. Wstawiłem do środka moją walizkę, objąłem i pocałowałem Boxie na pożegnanie. Kiedy się zobaczymy następnym razem? Nie chciałem nawet o tym myśleć.

– Kocham cię, Box, trzymaj się! – starałem się dodać jej odwagi.

Chwilę później samochód do przewożenia aresztowanych wyruszył w kierunku więzienia. Mieliśmy za sobą pięć wyczerpujących nerwowo, niekiedy pełnych napięcia miesięcy. Tak wiele przeszliśmy, tak wiele się wydarzyło, ale jeszcze nie dobrnęliśmy do końca. Inspektor, który nas nadzorował, miał niespodziankę: nie jedziemy do La Santé! Obowiązywała stara zasada, że ludzie, którzy już raz siedzieli w tym więzieniu, nie mogli tam być ponownie osadzeni. Policjant wytłumaczył mi, że chodzi o to, żeby zmniejszyć ryzyko ucieczki. Gdyby ktoś wiedział, dokąd trafi, mógłby podjąć pewne kroki przygotowawcze.

Przewieziono nas do więzienia we Fleury-Merogis, największego we Francji, które było usytuowane, jak się okazało, około pięciu kilometrów od hotelu Ibis. Prawdopodobnie z tego względu zakwaterowano nas w Evry. We Fleury-Merogis przebywało w tym czasie pięć tysięcy przestępców, więcej więc niż we wszystkich więzieniach w Holandii łącznie. Znałem je z nazwy, ponieważ Bruno Sulak, słynny francuski przestępca, który siedział ze mną w La Santé, został przeniesiony do tego więzienia. Gdy tam dojechaliśmy,

zobaczyłem od razu: prawdziwie ludzki konglomerat. Ogromny kompleks budynków, wyglądający na szczęście nowocześnie i czysto, w przeciwieństwie do beznadziejnie przestarzałego i brudnego La Santé. Być może będzie tutaj łatwiej wytrzymać.

Niestety były to tylko pobożne życzenia. W murach więziennych Fleury panował inny świat niż poza nimi. Nasze nazwiska od razu zamieniono na numery. Zostałem numerem 152 546, a Willem otrzymał numer wyższy o jedną cyfrę: 152 547.

Umieszczono nas w *Batiment D3*^[41], ale tam nas niestety rozdzielono. Trafiłem do celi sto drugiej, a Willem trzysta czterdziestej szóstej. Ku mojemu przerażeniu od razu nadano nam osławiony status DPS, specjalny reżim ochrony, zarezerwowany normalnie dla terrorystów i morderców, którzy zabili policjanta. Oznaczało to, że musieliśmy siedzieć w pojedynczych celach, widzenia ograniczono nam do minimum i nie mogliśmy dłużej niż godzinę dziennie korzystać ze spacerniaka.

Wkurzyło mnie to, nie mogłem tego znieść. Siedzieliśmy przez pięć miesięcy w hotelu, praktycznie pozbawieni wolności, i podróżowaliśmy po Karaibach, skąd setki razy moglibyśmy uciec, ale nigdy tego nie zrobiliśmy. Francuska policja chciała nam pomóc zwać do Panamy i z tej propozycji także nie skorzystaliśmy. A teraz, kiedy nas osadzono, traktują nas, jakbyśmy byli niebezpiecznymi gangsterami. To był szczyt idiotyzmu! Chyba z dziesięć razy starałem się to wytłumaczyć dyrekcji, ale oni nie chcieli mnie nawet wysłuchać. Raz DPS, zawsze DPS.

O ile w La Santé udawało mi się w miarę dobrze dostosować do tamtejszego trybu życia, o tyle we Fleury szło mi to o wiele gorzej. Uważałem się za szczęściarza, że ostatnie pięć miesięcy spędziliśmy poza murami więziennymi. Uratowało to moją więź z córeczką. Gdy szedłem do pudła w 1984 roku, Francis była jeszcze zbyt mała, ale w czasie mojego pobytu w La Santé rosła szybko i wtedy zauważyłem, że zaczynam tracić z nią kontakt. Podchodziła do mnie z powściągliwością i bojaźliwie. Trudno się było temu dziwić, widywała mnie raz na dwa tygodnie przez pół godzinki i w dodatku przez szybę. Właściwie nie miała ojca. Przez te pięć miesięcy z nawiązką odrobiliśmy zaległości. Przepadaliśmy za sobą i bez przesady mogę

powiedzieć, że ta dziewczynka stała się moim największym skarbem. Gdybym jej nie miał... Oczywiście to samo dotyczyło Sonji. W ciągu tych pięciu miesięcy mogliśmy poświęcić sobie dużo czasu i uwagi. Dodało nam to sił na przyszłość. Na opisanie pobytu we Fleury nie potrzebuję wiele miejsca. Była tam taka sama nędza jak w La Santé, tylko otoczenie inne. Problemem w La Santé było to, że siedzieliśmy za wielu w za ciasnej celi, a we Fleury dokuczala mi samotność w pojedynczej celi. Potrzebuję zawsze kogoś do rozmowy, ludzi wokół mnie i tego mi tutaj brakowało. Nie miałem czym wypełnić czasu, więc liczyłem minuty. Czułem się samotny. Oczywiście znów zabrałem się do pisania listów i do czytania, ale to nie wypełniało mi dnia. Sonja mogła przyjść do mnie w odwiedzinach tylko na pół godziny i ściśle tego przestrzegano. Szaleństwo z okresu odsiadki w La Santé powtarzało się. Musiała przejechać ponad tysiąc sto kilometrów – do tego dochodziły jeszcze problemy z wejściem do środka – czyli podróż zajmowała jej prawie dwadzieścia cztery godziny. Nadzwyczaj ją to wyczerpywało, ale jakoś wytrzymywała i w każdą środę rano czekała przed bramą więzienną. Niekiedy, jeśli ktoś zgodził się z nią jechać, przychodziła także w sobotę rano.

Rzadko widywałem Willema i tylko dzięki odwiedzającym słyszeliśmy najświeższe nowinki. Znów codziennie gimnastykowaliśmy się, a ja zacząłem trenować bieganie podczas pobytów na placu spacerowym. Latający Holender z La Santé powrócił we Fleury...

Oczywiście przed Chambre d'Accusation w Paryżu rozpoczęło się postępowanie ekstradycyjne. Budynek przy Boulevard du Palais znaleźliśmy prawie na pamięć. Z pisemnego wniosku wynikało, że Holandia ponownie prosiła o wydanie za cztery „stare” przestępstwa, a mianowicie: bezprawne pozbawienie wolności, wymuszenie rozbójnicze, pisemne groźby i rozbój.

Teraz także dla rozpatrzenia nowego wniosku zaplanowano kilka rozpraw, które ciągle odraczano lub odwoływano. Mijały kolejne tygodnie w więzieniu. Podobnie jak w La Santé szybko traciłem na wadze, którą w międzyczasie udało mi się odzyskać, między innymi dzięki tym wszystkim „ostatnim posiłkom” w hotelu Ibis w Evry. Teraz chudłem przeciętnie kilogram tygodniowo. Prawdopodobnie było to spowodowane złą jakością

jedzenia i stresem, w jakim ciągle żyliśmy.

W środę 18 czerwca 1986 roku Chambre d'Accusation w stolicy Francji w końcu rozpatrzyła merytorycznie holenderski wniosek o ekstradycję. Z Willemem uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy i nasi adwokaci włożyli wiele trudu w przygotowanie do rozprawy. Oprócz Maxa Moszkowicza i Jacoby de Jongh-Dundand obecni byli także mecenas Antoine Comte i Lafarière, specjalista od prawa ekstradycyjnego. Krótka mówiąc: ciężki kaliber.

Było to nadzwyczaj długie posiedzenie sądu. Reprezentant Chambre d'Accusation, jej rzecznik generalny, wypowiedział się w dwuipółgodzinnej mowie, że nie ma żadnych przeszkód stojących na drodze do ekstradycji. Jego zdaniem nie miało znaczenia, że jest to drugi wniosek ani że Rada Stanu wcześniej wydała ostateczny wyrok. Urowadzenie Heinekena nazwał „porwaniem stulecia” i wnioskował, aby nie powracać do starej umowy, a opierać się wyłącznie na nowej konwencji. Zdaniem rzecznika generalnego, według jej przepisów, nasza ekstradycja nie stanowiła najmniejszego problemu.

Nasi adwokaci czerpali argumenty z zupełnie innej beczki. Przekonywali, że taka ekstradycja byłaby sprzeczna z zasadą *ne bis in idem*, która mówi, że nie można wyrokować dwa razy w tej samej sprawie. A właśnie tutaj mamy z czymś takim do czynienia. Odwoływali się do orzeczenia Rady Stanu w pierwszej sprawie i argumentowali, że nowe jej rozpatrywanie jest zbędne, ponieważ orzeczenie mówi samo za siebie. Wszystko to brzmiało pięknie i przekonująco, ale nauczyłem się już od mecenas Moszkowicza, że mieć rację, a móc ją wyegzekwować to dwie różne sprawy, więc nie byłem zbyt wielkim optymistą.

I słusznie, jak się okazało podczas ogłoszenia wyroku w środę 9 lipca. Przeżyliśmy wielki zawód. Przewodniczący składu sędziowskiego pominął prawie wszystkie argumenty obrony i doszedł do wniosku, iż wydanie jest możliwe na podstawie trzech głównych punktów. Tylko czyn „groźby pisemne”, najlżejszy z czterech został oddalony, ponieważ Holandia na własne życzenie wycofała ten zarzut po wydaniu wyroku w pierwszej sprawie w 1985 roku.

Co za idiotyczna sytuacja. Aktualne orzeczenie było całkowicie przeciwstawne wyrokowi wydanemu przez Radę Stanu, która w swoim czasie orzekła, że właśnie za te inne trzy punkty wydanie jest niedopuszczalne, a za pisemne groźby – tak. Po zakończeniu posiedzenia sądu około kwadransa naradzaliśmy się z adwokatami. Obaj byliśmy bardzo rozczarowani. Liczyliśmy na coś lepszego niż to, co nam przyznał sędzia. Mecenas Moszkowicz uważał, że mamy szansę na wygranie apelacji. Musimy mieć na uwadze, że Chambre d'Accusation wydała także negatywne orzeczenie odnośnie do pierwszego wniosku. W dłuższej perspektywie czasowej mogliśmy wygrać, przepowiadał. Mieliśmy jednak tylko pięć dni na złożenie odwołania do Sądu Kasacyjnego. Dlatego nalegał na szybką decyzję. Powiedziałem, że powinien wnieść o kasację, ale jednocześnie zapytałem, czy możemy ją w każdej chwili wycofać. Tak, to było możliwe, ale mecenas Max chciał wiedzieć dlaczego. Nic mu nie wyjaśniłem i poprosiłem tylko, czy mógłby mnie jak najszybciej odwiedzić w więzieniu. Byłem zupełnie wyczerpany długą rozprawą i zawiedziony. Z tego względu chciałem szybko wrócić do swojej celi. Tam mogłem się spokojnie zastanowić, co było niezbędne.

Wieczorem i w nocy biłem się z myślami. Nie mogłem spać. Chodziłem po celi niespokojnie tam i z powrotem. Przegraliśmy i co teraz? Znowь złożyć apelację? We Francji siedzieliśmy już prawie dwa i pół roku i musiałem w duchu przyznać, że nie byłem w stanie tego dłużej wytrzymać. Odwołanie i może jeszcze procedura w Radzie Stanu mogły potrwać ze dwa albo nawet dwa i pół roku i znowь nie mieliśmy żadnej gwarancji, że wygramy... W rzeczywistości zabrnęliśmy w ślepy zaułek. Przesiedzieliśmy ponad dwa lata w więzieniu o zaostrowym rygorze i jeżeli dojdą do tego jeszcze dwa kolejne, jaki to wszystko będzie miało sens? Być może prawnie wygramy, ale faktycznie już przegraliśmy. Przynajmniej tak to widziałem.

Myślałem o Boxie i Francis, które co tydzień przyjeżdżały do mnie samochodem. Jak długo jeszcze tak wytrzymają i na jakie ryzyko są narażone? Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby im się w drodze coś przydarzyło. Przed oczami ciągle miałem przerażający obraz mojego kumpla Robbiego Offenberga, który zginął w wypadku drogowym. Wiedziałem, że

Sonja nigdy nie zrezygnuje z tych wizyt, ale czy miałem prawo ją prosić, aby przyjeżdżała? Takie pytania i wątpliwości targwały mną w nocy. Z jednej strony zawsze walczyłem o swoje i nie lubiłem się poddawać. Chociażby z tego względu, żeby innym nie dawać satysfakcji. I teraz był to bardzo mocny argument. Nie chciałem, przykładowo, aby ci agenci Heinekena chociaż przez sekundę łudzili się, że ich obecność i prześladowania w jakikolwiek sposób wpłynęły na moją decyzję.

Ale prawdą jest, że ta ciągła ochrona, w połączeniu z prześladowaniem przez strażników, złym jedzeniem, obcym językiem, napięciem i niepewnością, jaką to wszystko niosło ze sobą, wychodziły mi bokiem. Może nie było to wszystko takie straszne, ale po dwóch latach spędzonych w więzieniu patrzyłem inaczej na tego rodzaju rzeczy. Dla nas zabawa się skończyła. I tak miałem wrażenie, że stoimy na straconej pozycji. Holandia, nawet gdybyśmy znów wygrali, wymyśli coś innego, aby nas jednak złapać. Prawdopodobnie nigdy się od niej nie uwolnimy.

Po kolei, punkt po punkcie, rozważyłem w nocy wszystkie za i przeciw. Zestawiłem plusy i minusy, możliwości i trudności, a następnie skreślałem po kolei przeciwstawne punkty, mając nadzieję, że znajdę odpowiedź. Dopiero o świcie powziąłem decyzję i stwierdziłem, że zasłużyłem na sen. Zmęczony, ale z większym wewnętrznym spokojem niż w minionych tygodniach, położyłem się na prycy.

Gdy 15 lipca 1986 roku Max Moszkowicz odwiedził nas we Fleury, aby omówić sprawę, przedstawiłem mu naszą decyzję, bo okazało się, że Willem zgadzał się z mną w stu procentach.

– Wykonał pan wspaniałą pracę, panie mecenasie, i jesteśmy panu za to wdzięczni, ale już wystarczy. Chcemy zakończyć procedurę. Proszę wycofać odwołanie... Nie chcemy i nie możemy tego dłużej znosić. Pragniemy wrócić do Holandii, do domu, do naszych bliskich...

Pan Max próbował początkowo przekonać nas do podjęcia innej decyzji i wskazywał możliwe jej następstwa, podniosłem jednak rękę i przerwałem mu. Następnie wyznałem, że w nocy nie mogłem zasnąć i przedstawiłem mu naszą sytuację, wątpliwości, tęsknotę i możliwości, ale także sytuację naszych bliskich. Mówiłem i mówiłem... o sprawach, nad którymi

zastanawiałem się nocą. Musiałem z siebie wszystko wyrzucić. Nie mogłem się zatrzymać. Nic nie mogło mnie powstrzymać. Chciałem zakończyć proces, wyjechać z Francji, wrócić do Holandii. Żadnej więc apelacji.

Mecenas Moszkowicz słuchał uważnie i patrzył mi w oczy. I gdy wreszcie skończyłem, zwrócił się do mnie nie jak adwokat, ale raczej jak człowiek:

– Rozumiem... Wymaga się od pana niemożliwych rzeczy. Jako prawnik mogę powiedzieć, że jeszcze dużo możemy osiągnąć, ale jako człowiek mogę tylko zaakceptować pański punkt widzenia, że nie jest pan w stanie tego dłużej znieść. Zadbam, aby apelacja została natychmiast wycofana. Oznacza to, że wkrótce zostanie pan wydany Holandii, na podstawie ostatecznego orzeczenia sądu.

Gdy widzenie dobiegło końca i strażnicy otworzyli drzwi, wstaliśmy równocześnie. Max Moszkowicz odwrócił się do mnie. Uścisnął mi rękę. Mocniej i dłużej niż normalnie. Znacząco popatrzyliśmy na siebie.

– Wszystko rozumiem – powtórzył jeszcze raz. – Ale z drugiej strony żałuję, ponieważ z całego serca życzyłem wam zwycięstwa...

Rozdział 20

W piątek 31 października 1986 roku nadszedł ten dzień. Rano wyprowadzono mnie z celi i dyrektor powiedział mi, że po południu polecimy samolotem do Holandii. Od wycofania odwołania pod koniec lipca minęły trzy długie miesiące, wszystkie procedury zajęły wiele czasu, zdawałoby się, że Francuzi – o dziwo – nie chcieli nas wcześniej wypuścić.

Motywowano to tym, że nie minął jeszcze oficjalny termin dwóch miesięcy na wniesienie środka odwoławczego. Starano się zapobiec, żebyśmy, przebywając już w Holandii, nie złożyli jednak odwołania. Prawo przewidywało taką możliwość. Mogłoby to doprowadzić w konsekwencji do komplikacji, szczególnie – gdybyśmy wygrali sprawę. W takim wypadku musiano by nas „zwrócić” Francji, ale Holandia nie wydaje swoich obywateli, więc rozpoczęłyby się nowe przepychanki prawne. Francja chciała temu zapobiec i stała na stanowisku, że musi najpierw minąć oficjalny termin składania odwołania.

Za pośrednictwem naszych adwokatów wnieśliśmy oświadczenie, że rezygnujemy możliwości wniesienia środka odwoławczego, aby przyspieszyć nasz wyjazd, ale to nie pomogło. Władze poinformowały nas, że nie przedstawia ono żadnej wartości. Musieliśmy się uzbroić w cierpliwość. Nie było to takie łatwe. Teraz, kiedy pogodziłem się z myślą o powrocie do Holandii, chciałem się tam znaleźć jak najszybciej. Miałem dosyć Francji i ponadto zauważyłem, że siły Sonji i Francis też są już na wyczerpaniu. Po każdym widzeniu wracały do domu ledwie żywe. Na nogach trzymała je jedynie perspektywa, że wkrótce tym uciążliwym podróżom do Paryża zostanie położony kres.

Willem też już miał dość wszystkiego. Brakowało nam motywacji, procedura prawna dobiegała końca i dlatego nie miałem już sił, żeby dłużej

siedzieć. Między innymi z tego powodu zacząłem się gorzej zachowywać wobec strażników. Z trudnością odliczałem dni do 28 października, kiedy to mijał termin składania odwołania. Ponieważ później musiano załatwić jeszcze wiele formalności, potrwało to wszystko aż do 31 października. Bagaż miałem już spakowany. Niektóre drobne rzeczy i zbędne ubrania sportowe zostawiłem w celi, mogły się komuś przydać. Dyrektor, który przyszedł po mnie z kilkoma strażnikami, pożegnał się słowami:

– *Bon voyage à Hollande.*

Ku mojemu zdziwieniu ogarnęło mnie trudne do opisanie uczucie. Z jednej strony bardzo się cieszyłem, że nasz ponaddwupółroczny pobyt we Francji, dzięki Bogu, dobiegł końca. Z drugiej jednak nie wiedziałem, czego możemy oczekiwać w przyszłości. Tyle czasu zapierałem się rękami i nogami przed ekstradycją, a teraz nadszedł ten moment. Pobyt we Francji stał się częścią mojego życia, może nawet nieświadomie, ale jednak... Dzięki temu posługiwałem się biegle francuskim, czytałem codziennie francuskie gazety i mimochodem przejąłem wiele zwyczajów panujących w tym kraju.

Zadawałem sobie pytanie, jak teraz odnajdę się w Holandii? Czy tam się dużo zmieniło? Boxie utrzymywała, że nie, ale przyłapywałem się, że wielu rzeczy nie wiem. Czasami chodziło o drobnostki. Raz podczas widzenia zobaczyłem u niej w portmonetce banknot o nominale dwustu pięćdziesięciu guldenów. Wyglądał jak z gry w monopol, spytałem, po co jej te pieniądze, na co ku mojemu zdziwieniu odpowiedziała, że to jest nowy banknot będący w obiegu. I na pewno będzie więcej takich rzeczy, o których ani Willem, ani ja nie mamy pojęcia.

Oczywiście byłem ciekaw, do którego więzienia trafimy w Holandii. Miałem skrytą nadzieję, że umieszczą nas razem z kumplami, Kotem lub Hamulczykiem, ale zdawałem sobie sprawę, że na razie jest to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Na pewno tego nie zrobią. Szczególnie po tym, jak Jan Boellaard, który siedział w skrzydle B1, nazywanym Bunkrem, w więzieniu w Scheveningen, pod koniec sierpnia z trzema innymi osadzonymi podjął częściowo udaną próbę ucieczki. Niestety, już po dziesięciu minutach policja zajęła mu drogę w centrum Hagi, i od tej pory był pod zaostrzonym nadzorem.

Trochę mnie zdziwiła ta eskapada, w której, nawiasem mówiąc, brał też udział Franco Catberro, który porwał panią Toos van der Valk. Początkowo nie bardzo rozumiałem, dlaczego Jan się na nią zdecydował, ponieważ z informacji w gazetach wywnioskowałem, że akcja nie była dobrze przygotowana.

Z listu, który później od niego otrzymałem, okazało się, że właściwie to ocenilem. Kot pisał, że dołączył do pozostałych uciekających w ostatniej chwili, pod wpływem impulsu i niestety drogo musiał zapłacić za te dziesięć minut spacerku. Po zatrzymaniu siedział za karę ponad miesiąc w izolacji w areszcie w Maastricht, zanim go przewieziono do Bunkra.

Ach, zobaczymy, co będzie, pomyślałem. Koło południa opuściliśmy z Willemem więzienie różnymi samochodami. Ręce mieliśmy skute kajdankami. W eskorcie jechał między innymi konsul z Ambasady Holenderskiej w Paryżu, pan J. von Muhlen, który nas kiedyś odwiedził z urzędu. Pojechaliśmy bezpośrednio na lotnisko Orly, niedaleko Fleury. Niewielki samolot, którym mieliśmy lecieć, specjalnie wycarterowany przez holenderski wymiar sprawiedliwości, już na nas czekał. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zobaczyłem Willema.

– Popatrz, popatrz – drwiłem, puszczając do niego oko. – Znowu nie oszczędzono dla nas kosztów ani trudu...

Skinąłem głową w kierunku niewielkiego dwusilnikowego samolotu o napędzie śmigłowym typu Piper Cheyenne, którym mieliśmy odlecieć. Jednocześnie przypomniła mi się nasza przygoda na Karaibach sprzed paru miesięcy.

Niecały kwadrans później kołowaliśmy na pas startowy, po uprzednich drobnych sprzeczkach pomiędzy naszymi konwojentami, czy powinniśmy lecieć w kajdankach, czy bez. Konsul von Muhlen przerwał dyskusję i zdecydował na naszą korzyść, mówiąc, że za nas „gwarantuje”. Miał odwagę... Policjanci w samolocie zachowywali się dosyć sympatycznie wobec nas. Jednym z nich był Paul Martens, główny inspektor z Wydziału do spraw Przestępczości Zorganizowanej. Najwyraźniej traktowali tę podróż jako wycieczkę, bo przez całą drogę trochę żartowali. Widocznie sprawa nie miała już takiej wagi, nawet dla policjantów z wydziału kryminalnego.

Zresztą nie mogło być inaczej, minęły już prawie trzy lata od porwania Heinekena i Doderera na skwerze Tweede Weteringplantsoen. Trzy lata... Ach, oczami wyobraźni widziałem siebie siedzącego na parkowej ławce na tym skwerze, przy mroźnej pogodzie, czekającego, aż król piwa wyjdzie na zewnątrz...

O ile policjanci nie przejmowali się nami specjalnie, o tyle wśród reporterów porwanie wzbudzało nadal silne emocje. Przed wejściem do samolotu zostaliśmy sfotografowani przez prasę i po przylocie do Holandii zdaje się czekało nas to samo. Ale póki co znaleźliśmy się w powietrzu i Orly zniknęło nam z pola widzenia. *Au revoir*, do widzenia, nie chciało mi przejść przez gardło. Za dużo przeszliśmy w tym kraju. Ach, zresztą, gdybym nawet powiedział „do widzenia”, to i tak na razie nie będziemy mieć okazji, żeby tutaj wrócić. Sąd postara się o to. Z góry wiedziałem, jaką karę dostaniemy. Nie było to dla nas niespodzianką: dwanaście lat. Jan Boellaard i Frans Meijer także tyle otrzymali. Musieliśmy jeszcze zostać osądzeni, ale już właściwie byliśmy skazani. Policja i społeczeństwo dawno nas uznały za winnych. Nie dlatego, że dowody były ewidentne, ale ponieważ opinię publiczną tak urobiono, że nikt nie miał cienia wątpliwości. Między innymi z tego powodu umówiliśmy się z Willemem, że w Holandii nie będziemy składać żadnych wyjaśnień. Ani na policji, ani przed sędzią śledczym, ani w sądzie. Dlaczego mielibyśmy to robić? Przecież oni wszystko już wiedzieli, całymi latami nazywali nas „porywaczami”, zamiast „podejrzanymi”. A więc nie miało sensu, żeby usłyszeli naszą wersję. Nie czułem wewnętrznej potrzeby, aby im pomóc czy uzupełnić ich informacje. Niech sami szukają. Ode mnie i od Willema nie usłyszą ani słowa. Przynajmniej na razie nie... Podczas lotu niespodziewanie usłyszeliśmy, że nie wylądujemy na lotnisku Schiphol w Amsterdamie, tak jak się tego spodziewałem, ale na Zestienhoven w Rotterdamie. Prokuratura chciała jak najmniej rozgłosu w naszej sprawie. Powiedziano nam, że władze obawiały się efektu Bonnie i Clyde’a. Oczywiście wiedziałem, że byli oni parą gangsterską cieszącą się złą sławą, na długo przed moim narodzeniem, ale początkowo nie rozumiałem, jaki efekt policjanci mają na myśli. Później jeden z nich wytłumaczył mi, że obawiano się, iż opinia publiczna – tak, jak swego czasu

miało to miejsce w przypadku Bonnie i Clyde'a – po okresie potępienia i wrogości może jednak poczuć sympatię i współczucie dla nas, ponieważ upływ czasu u większości ludzi łagodzi sądy. Widocznie chcieli temu teraz zapobiec, tak jak wcześniej przez cały czas robili wszystko, żeby nas przedstawić w jak najgorszym świetle. Jeśli o to chodzi, nic się nie zmieniło. Tak czy inaczej, przez trik z lądowaniem w innym miejscu, niż planowano, chcieli wprowadzić prasę w błąd. Po około półtoragodzinnym locie zobaczyłem Euromasz w Rotterdamie. Wskazałem go Willemowi i przekrzykując huk silników, wołałem:

– Nos, jeszcze chwilkę... i jesteśmy w domu.

Willem zaśmiał się i także zażartował:

– Jeszcze chwilkę, czyli... za jakieś dwanaście lat prawdopodobnie.

Mimo wszystko nie straciliśmy poczucia humoru. A co nam zostało? Przed moim zatrzymaniem lubiłem sobie powtarzać, że „dzień przeżyty bez uśmiechu to dzień stracony”. I chociażby tylko dlatego próbowałem żartować, nawet jak nie było mi do śmiechu. Inni dziwili się temu, ale dla mnie to był sposób na przeżycie, chociaż muszę szczerze przyznać, że w ciągu minionych trzech lat miałem wiele „straconych dni”...

Okazało się, że prasa nie dała się wywieść w pole! Po wylądowaniu na lotnisku Zestienhoven zobaczyłem kilku fotografów i ekipę telewizyjną z kamerzystą, jak się później okazało z dziennika ogólnokrajowego „NOS”. Równie dobrze więc mogliśmy polecieć dalej, na Schiphol, ale niech tak będzie, władze tego sobie życzyły, a my musieliśmy się dostosować. Rozbawiło mnie to. Chcieli zapobiec scenom z Bonnie i Clyde'a, a teraz sami je urządzali. Na pasie do lądowania czekały trzy bardzo szybkie, opancerzone auta: ford sierra, opel rekord i mercedes.

Musieliśmy z Willemem wsiąść do oddzielnych samochodów i wyjechaliśmy przez specjalną bramę w kierunku Amsterdamu. Kierowcy przycisnęli gaz do dechy. Mknęliśmy autostradą jak strzały, niekiedy z prędkością stu osiemdziesięciu, stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, jakby chciano pobić rekord. Kierowcy próbowali pozbyć się paru fotografów, którzy za nami jechali, wykonując niebezpieczne manewry wyprzedzania po pasie awaryjnym, ale ci także okazali się niezłymi

rajdowncami i uporczywie siedzieli nam na ogonie, około pięćdziesięciu metrów za nami. Ponieważ jechaliśmy w kierunku Amsterdamu, zrozumiałem, że będziemy siedzieć w Bijlmerbajes przy ulicy Wenckebachweg w Amsterdamie-Duivendrechcie.

Było to logiczne: porwanie miało miejsce w Amsterdamie i musieli nas przesłuchać śledczy ze stolicy. Czyli osadzenie nas w areszcie w Amsterdamie było logiczniejsze niż w Maastricht. Jeszcze nigdy nie dojechałem tak szybko z Rotterdamu do Amsterdamu. Nic nie było w stanie zatrzymać tych trzech aut czy nawet zmusić do przyhamowania. Kierowcy samochodów, których wymijaliśmy to z prawej, to z lewej strony, mrugali niekiedy zbulwersowani długimi światłami lub pukali się znacząco w czoło. Samochody nie były oznakowane jako samochody policyjne i wszyscy myśleli z pewnością, że mają do czynienia ze zwykłymi piratami drogowymi.

Podczas jazdy z zaciekawieniem patrzyłem przez okno. Szczególnie gdy dojechaliśmy w okolice lotniska Schiphol, poczułem się na swoim, dobrze mi znanym terenie. Uczucie to wzrosło, gdy dojeżdżaliśmy do Bijlmerbajes i przez szybę zobaczyłem neonowe oświetlenie fabryki gumy do żucia Maple Leaf przy ulicy Daniël Goedkoopstraat. Właśnie w pobliżu tej fabryki przejeżdżaliśmy w środę wieczorem 9 listopada 1983 roku, z Alfredem Heinekenem i Abem Dodererem na tylnym siedzeniu, w czasie ucieczki na teren przemysłowy Heining. Nadal znałem tę trasę na pamięć. Przypomniało mi się, że Alfred Heineken w trakcie jazdy kątem oka zauważył neon tej fabryki, ponieważ kłapa nad nim nie była szczelnie zamknięta. I teraz, prawie trzy lata później, będziemy na nią mogli patrzeć z więzienia... Fabryka gumy do żucia jako symbol nieudanego porwania. Jak to dziwnie wszystko może się potoczyć. Nie miałem czasu, żeby się nad tym dłużej zastanawiać, ponieważ z piskiem opon wjechaliśmy na teren Bijlmerbajes. Także tutaj oczekiwało na nas kilku fotoreporterów. Błyskały lampy, ale pośpiesznie ich minęliśmy. Wjechaliśmy do jakiegoś garażu, którego drzwi natychmiast się zamknęły. Wróciliśmy do Holandii, wróciliśmy do Amsterdamu i... do więzienia.

Po doprowadzeniu nas do sędziego śledczego, który formalnie musiał zastosować areszt tymczasowy, umieszczono nas na jednym z wyższych

pięter, na tej samej kondygnacji w pawilonie IV, który był także znany jako areszt śledczy Demersluis. I muszę przyznać: faktycznie była to ogromna ulga! Z listów Hamulczyka i Jana już zrozumiałem, że nie da się porównać francuskiego systemu penitencjarnego z systemem holenderskim, ale to, co zastałem, przekroczyło moje najśmielsze oczekiwania. Areszt przypominał hotel Arcade w Cergy-Pontoise, gdzie spędziliśmy kilka miesięcy. Umieszczono mnie w niewielkiej, ale czystej i dobrze ogrzanej celi. Miałem telewizor i jeśli chciałem, mogłem codziennie wziąć prysznic w równie czystej jak celi łazience. Strażnicy więzienni rozmawiali po holendersku i nie byli tacy wybuchowi i szorstcy jak francuscy.

Jedzenie mi smakowało i w dodatku podawali je ciepłe. W pierwszym tygodniu przytyłem dwa kilogramy. We Francji otrzymywałem gazetę, ale zawsze z tygodniowym opóźnieniem i poza tym w zasadzie nie słyszałem żadnych wiadomości. Teraz przez cały dzień mogłem słuchać holenderskiego radia, a wieczorem oglądać telewizję: dzienniki, aktualności, filmy, a nie zapominajmy o sporcie. Już w pierwszym tygodniu zafundowano nam supermecze pierwszej ligi Feyenoordu z Ajaxem. Przez trzy lata nie oglądałem spotkań mojego klubu i pomimo że większości piłkarzy nie znałem z widzenia, cieszyła mnie ich gra i przekonujące zwycięstwo trzy do dwóch. Ajax był i pozostanie moim faworytem.

Przeżyliśmy na razie tylko jeden zawód: sędzia śledczy wydał nakaz całkowitego ograniczenia naszej swobody, co oznaczało, że jesteśmy pozbawieni widzeń, nie możemy wychodzić na spacerki z innymi więźniami i nasza korespondencja podlega cenzurze.

Ten środek zapobiegawczy nie służył żadnemu celowi. Jestem przekonany, iż wprowadzono go tylko po to, aby nas zastraszyć i zrobić nam na złość. Zdaniem sędziego śledczego istniało niebezpieczeństwo, że możemy uzgodnić między sobą treść naszych wyjaśnień. Ha, ha, ha! Śmiechu warte! Żart roku! Spędziliśmy wspólnie ostatnie trzy lata, nasze panie przyjeżdżały co tydzień na widzenia do francuskiego więzienia i podczas pobytu w hotelu mieszkały z nami przez pięć miesięcy. Jeśli chcielibyśmy coś uzgodnić, to mogliśmy to już zrobić tysiąc razy. Sędzia śledczy wiedział oczywiście o tym i mój adwokat Abraham Moszkowicz,

który podczas tego posiedzenia zastępował swojego ojca Maxa, podkreślił to także. Domyślałem się, o co chodzi. To wszystko było częścią gry. Organy ścigania nie chciały, żeby opinia publiczna oburzała się, że nas rozpieszczają. Nie było to przyjemne, ale nie narzekałem z tego powodu. Sami to sobie ściągnęliśmy na głowę. Od prokuratury nie mogliśmy oczekiwać niczego dobrego. Bez względu na to, jak potoczą się sprawy, zechcą nas wsadzić na dwanaście lat. Musieliśmy to wszystko jakoś wytrzymać. Pogodzić się z przegraną. Ograniczenie swobody było tymczasowe, nie mogą tego przedłużać w nieskończoność. Jest to kwestia kilku tygodni, tak przepowiadał mecenas Bram, i miał rację.

Gdy przesłuchujący nas śledczy z wydziału kryminalnego i sędzia zorientowali się, że na próżno trują się w czasie przesłuchań, pod koniec listopada uchylono ograniczenia wolności. Odzyskaliśmy prawo do widzeń, mogliśmy od czasu do czasu prowadzić rozmowy telefoniczne i nasza korespondencja nie podlegała cenzurze. Ponadto nie musieliśmy już samotnie siedzieć „w klatce tygrysa” na dachu podczas „wietrzenia”, a mogliśmy przebywać ze współwięźniami na dużym placu spacerowym. Wolno nam było regularnie chodzić do kantyny i grać w ping-ponga lub w bilard z innymi osadzonymi.

Przy uchylaniu środka zapobiegawczego poinformowano nas jednocześnie, że proces rozpocznie się 22 stycznia 1987 roku przed sądem w Amsterdamie. A więc trochę cierpliwości i sprawa się zakończy. Sprawa tak, ale nie kara. Oczekując na rozprawę, większość czasu spędzałem w swojej celi, obserwując Amsterdam z góry. Mogłem to robić godzinami. Wpatrywać się w wieżyczki, mosty i budynki, zaznaczające wszystkie mi znane miejsca, w których tak długo nie byliśmy. Wpatrywałem się w nie i powracały wspomnienia. Myślałem także o zawirowaniach w moim życiu w ostatnich latach.

Zastanawiałem się nad tym, co się nie udało i gdzie sami popełniliśmy błąd. Nad alternatywą, skutkami i konsekwencjami naszego działania. Po bez mała trzech wyniszczających latach wreszcie trochę doszedłem do siebie psychicznie i miałem czas na zastanowienie się. W holenderskim więzieniu otrząsnąłem się. Czułem się, jakbym wychodził ze stanu jakiegoś

długotrwałego odurzenia, zawężenia świadomości i psychicznego napięcia.
Automatycznie doszedłem do pytania:

CZY ŻAŁUJĘ?

Czy żałuję tego, co zrobiliśmy lub czego zaniechaliśmy? Czy żałuję tego, co wyrządziliśmy innym? Czy w ogóle żałuję 9 listopada 1983? Czy żałuję tych wszystkich przygotowań? Czy żałuję wykonania? Czy żałuję porwania?

Są to trudne pytania, na które nie można jednoznacznie odpowiedzieć tak albo nie. Bo właściwie co to znaczy żal? Gdybym chciał wyjść naprzeciw uczuciom dużej części opinii publicznej w Holandii, to musiałbym od razu wyrazić skruchę. Najlepiej ze łzami w oczach. Przemawiałoby to na moją korzyść. Tak to już jest, że łatwiej wybaczyć komuś, kto wcześniej poprosił o przebaczenie. Wiem o tym i być może byłoby to rozsądne posunięcie w mojej sytuacji. Ale nie zrobię tego, przynajmniej nie bezkrytycznie. Byłoby to równie łatwe jak obłudne, a takiej cechy charakteru nikt mi nie może przypisać. Może zrobiłem wiele rzeczy, których nie wolno robić, ale wypierania się samego siebie na tej liście nie ma. Stoję za tym, co zrobiłem, w tym sensie, że jestem gotów ponieść za to odpowiedzialność.

Aby dokładnie opisać, co znaczy żal, odszukałem wyjaśnienie tego pojęcia w słowniku: „Smutek, skrucha, poczucie winy, wyrzuty sumienia” – napisano. Trudno to wyrazić, ponieważ jest to odczuwanie czegoś. Nie przychodzi z dnia na dzień. W stylu: halo, żałuję. A już na pewno nie w naszym przypadku. Wszyscy zbyt długo i zbyt intensywnie pracowaliśmy nad zorganizowaniem porwania. Na pewno nie zdziwi nikogo, jeżeli powiem, że jedyny żal, który odczuwałem krótko po dramatycznym finale w grudniu 1983 roku, wynikał z tego, że cała akcja się nie powiodła... jak również, że daliśmy się złapać, że zniknęła większość pieniędzy i że siedzieliśmy w areszcie... Może to mocno brzmi, ale takie są realia. Wiedzieliśmy, co zamierzamy zrobić. Nie był to kaprys, jakaś impulsywna awantura, w którą wpakowaliśmy się na łapu-capu lub przypadkiem zostaliśmy wciągnięci przez innych. To ostatnie odnosi się tylko do mojego

przyrodniego brata Martina Erkamps. Zdaję sobie sprawę z tego, że gdyby cała sprawa skończyła się dla nas pomyślnie, to w tej chwili na pewno byśmy niczego nie żałowali. I może właśnie takie kryterium musimy przyjąć. Łatwiej jest oczywiście okazywać skruchę, płakać, niż się siedzi w tarapatach, jak za rogiem biją.

Czy więc wcale nie żałuję? To też, szczerze mówiąc, byłoby zbyt duże uproszczenie. Jak już wspomniałem, to nie jest kwestia absolutnego „tak” lub „nie”. Siedząc w celi i spoglądając wstecz na to, co się wydarzyło w ostatnich latach, często myślałem: chciałbym wtedy – powiedzmy w 1982 roku – wiedzieć to, co teraz wiem. Przez minione trzy lata nauczyłem się więcej niż przez resztę życia. Wtedy wszystko ułożyłoby się inaczej. Nie siedziałbym teraz w więzieniu. I mogę także śmiało powiedzieć, że Heineken i Doderer nie zostaliby porwani. Nigdy bym się na to nie zdecydował. Wtedy nie wiedziałem, ale teraz wiem, że gra nie była warta świeczki. Ani stu milionów czy pięciuset milionów guldenów, czy nawet dolarów lub funtów angielskich.

Co ja wyczyniałem? Co chciałem osiągnąć i jaką krzywdę wyrządziłem, często się zastanawiałem, patrząc przez okno mojej celi w Bijlmerbajes i widząc Boxie, która kilka razy w tygodniu, stojąc na wietrze i w deszczu, trzymając Francis na ręku, machała do mnie... Albo widząc ludzi chodzących na wolności, jeżdżących na rowerach, pracujących, śmiejących i dobrze się bawiących... Dlaczego nie byłem zadowolony z tego, co miałem, chociaż posiadałem więcej niż przeciętny człowiek? Dlaczego nie satysfakcjonował mnie handel nieruchomościami? Co opanowało mnie i moich przyjaciół, żeby dla pieniędzy pozbawić wolności dwie osoby? Dla pieniędzy. Dlaczego wszystko stało pod znakiem pieniędzy? Papieru, z którym właściwie nic nie można zrobić.

Dopiero teraz wiem, że nie chciałbym stracić mojej córeczki za żadne skarby świata. Że stałbym się bezradny, gdyby jej się coś przydarzyło albo gdyby ktoś wyrządził jej krzywdę... że drogiego Robbiego Offenberga nikt mi nie przywróci za wszystkie pieniądze świata... Wiem również, że dla tych pieniędzy poświęciłem swoją wolność i szczęście najbliższych mi osób, mam świadomość, że wolność jest bezcenna... I jeżeli ta wiedza, ta świadomość, że

przeze mnie niewinne osoby zostały pokrzywdzone, jest żalem... to – tak, żałuję. Żałuję, że w tamten wieczór sylwestrowy 1981 roku pojechałem do Raju przy ulicy Van Hallstraat, gdzie to wszystko się zaczęło.

Pierwszy raz od momentu porwania właśnie tutaj w Bijlmerbajes myślałem o tym, czego doświadczyli i jak to przeżywali Alfred Heineken i Ab Doderer. Zaabsorbowany własnymi perypetiami nigdy się w to nie wgłębiałem. Teraz zastanawiałem się, jak żyją z tym na co dzień i jak nas oceniają.

Już wcześniej wspomniałem, że w czasie przetrzymywania zakładników wszyscy współczuliśmy Abowi Dodererowi, kierowcy Heinekena. Bardzo źle znosił uwięzienie i kilka razy rozważaliśmy, czy nie powinniśmy go wcześniej wypuścić. Nie mogliśmy patrzeć na jego cierpienie. Niechętnie, ale jednak doszliśmy do wniosku, że uwolnienie Doderera mogłoby nam zaszkodzić. Często wracałem do niego myślami. Przed oczyma przesuwiał mi się obraz Aba, siedzącego na materacu w malutkiej kanciapie na Heining. Przygnębiony niepewnie błagał „Panie Orle, proszę mnie wypuścić...”. W uszach brzmiały mi jeszcze te słowa. W jakiś sposób chciałbym go przeprosić i to naprawić, ale zdaję sobie sprawę, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Wielokrotnie zamierzałem napisać list do niego i do Alfreda Heinekena. Kilka razy faktycznie zacząłem, ale za każdym razem odkładałem na bok. Albo nie mogłem znaleźć odpowiednich słów, albo obawiałem się, że Heineken i Doderer pomyślą, że to jakiś tani trik z mojej strony w obliczu procesu. Mimo że celem porwania był Alfred Heineken, jego obraz nie wrył mi się tak w pamięć jak obraz Doderera. Moim zdaniem Heineken radził sobie lepiej z sytuacją i w ciągu tych trzech tygodni wykazał podziwu godną postawę, z wyjątkiem paru chwil przejściowego załamania. Zachował humor i intelekt.

Przez co oczywiście nie chcę sugerować, że go to nie dotknęło. Wręcz przeciwnie. Teraz, gdy sam mam córeczkę, którą kocham z całego serca, uzmysławiam sobie, jakie męczarnie przeżywali jego najbliżsi. Nie mogli wiedzieć, że nigdy nie chcieliśmy zranić albo zabić uwięzionych. Z pewnością także Alfred Heineken, siedząc uwięziony w swojej celi na Heiningu, wielokrotnie w napięciu zadawał sobie pytanie: „Czy wyjdę z tego

cały i żywy?”.

Za wszystko, co spotkało Heinekena i Doderera, a także za ewentualne tego następstwa pragnę ich przeprosić. Teraz, w 1987 roku, pięć lat po pierwszych przygotowaniach, oświadczam, że żałuję tego, co zrobiłem – a mówiąc dokładniej – co im wyrządziliśmy. Mam świadomość, że niektórzy nieufnie potraktują to wyznanie. Ale ci, którzy mnie lepiej poznali, potrafią właściwie ocenić znaczenie tych przeprosin. Można mnie o wiele rzeczy obwiniać, ale nie o hipokryzję. Nie wypieram się swoich słów, podobnie jak nie wypieram się swoich czynów.

Niech wszyscy, którzy nieufnie podchodzą do moich słów i zamiarów, uzmysłowią sobie, że w ogóle nie muszę nic mówić. Nie ma to najmniejszego wpływu na wysokość mojej kary. Mógłbym to przecież wyznać wcześniej. Wiem, że niektórzy wezmą mi to za złe. A jednak robię to, tak jak w tej książce szczegółowo i otwarcie opowiedziałem o przygotowaniu, wykonaniu i konsekwencjach popełnionego przez nas przestępstwa, w sposób, w jaki tego nigdy wcześniej nie robiono. Dzięki temu wyjaśnione zostaną sprawy, które inaczej nigdy nie wyszłyby na jaw. Sprawy, o których dla naszego dobra prawdopodobnie powinienem był milczeć. Coś, co jeszcze sobie wyrzucam, to cierpienie, które zadałem mojej żonie, dziecku, rodzinie i kilku dobrym przyjaciołom. Szczerze mówiąc, w czasie przygotowań zastanawiałem się nad tym aspektem, ale wychodziliśmy z założenia, iż akcja się uda. Ludzie ci także przeżyli piekło i – wiele osób na pewno przypuszczalnie nie zechce tego usłyszeć – stały się tak samo ofiarami porwania jak Heineken i Doderer. Nie wiedziały nic o całej operacji, ale wywarła ona piętno na ich codziennym życiu w minionych latach. Ci, których kocham, zostali jeszcze bardziej ukarani niż my.

Policja, fale publikacji, w które bezlitośnie zostali wciągnięci i gdzie zostali zrównani z błotem, ostre reakcje społeczeństwa i bezpośredniego otoczenia – wszystko to dosłownie doprowadziło ich do „choroby”... Musieli się nauczyć z tym żyć. Rok za rokiem, dzień za dniem, minuta za minutą. Teraz i w przyszłości. Bez nas. I płacili za to niekiedy bardzo wysoką cenę. Moja córeczka Francis nie jest dzieckiem Cora van Houta, ale dzieckiem porywacza Heinekena. Przygotowywaliśmy akcję, gdy ona miała się dopiero

urodzić, ale prawdopodobnie będzie napiętnowana na całe życie tym, co zrobiłem, chociażby dlatego, że jako dziecko co tydzień przychodziła do więzienia. Nikomu tego nie biorę za złe. Jest to konsekwencją moich czynów, może tego, na co sobie zasłużyłem, jak mówią niektórzy. Ale Francis, Boxie i moi rodzice nie mają z tym nic wspólnego. Oni na to nie zasłużyli. Nigdy. Mimo to ich nie oszczędzano.

I z tego powodu czuję się winny. Cokolwiek bym powiedział, konsekwencją naszych działań jest to, że siedzimy w więzieniu. Może przez dwanaście lat. I nie pomogą wyrazy skruchy czy setki przeprosin. Z tą karą się pogodziłem. Pojawia się jednak ważniejsze pytanie: jaka przyszłość mnie czeka? Kiedyś w końcu wyjdę na wolność. Co się wtedy stanie z Flipperem Cornelisem van Houtem?

Często się nad tym zastanawiam, mimo że bardzo wybiegam w przyszłość. Na początku tej książki wyraziłem swoje zdanie na temat społeczeństwa i mieszczaństwa. Doszedłem wtedy do wniosku, że niewielu ludzi jest rzeczywiście wolnych. Większość, w moich oczach, była więźniami własnego środowiska, pracy pozbawionej perspektyw, kredytów hipotecznych, długów czy miesięcznej pensji, która została wydana na różne opłaty, zanim wpłynęła na konto. Ludzie byli uwięzani do ciągle powracających trosk i zobowiązań. Nazywałem ich wtedy niewolnikami pensji.

Chciałem uciec od takiego życia, być niezależnym, *prawdziwie* wolnym. Myślałem i wierzyłem w to, że mogę kupić i zawojować świat i aby to zrealizować, byłem gotów – razem z moimi przyjaciółmi, którzy o dziwo myśleli tak samo – posunąć się do ostateczności. Tak, pójść za daleko. Chciałem żyć inaczej. A później spieprzyłem to wszystko, wybrałem złą drogę. Nie chciałem czekać na szanse i perspektywy, jakie życie stwarza... Wyrastałem w świadomości, że sam muszę wszystko robić, sam do wszystkiego dojść i jeżeli konieczne, nawet to wymusić. Kto sam nie skubnie, zostanie oskubany...

Mam nadzieję, iż w przyszłości, po wyjściu, dostanę szansę, aby udowodnić, że jednak można inaczej żyć. Troszczyć się o rodzinę, znaleźć w miarę przyjemną pracę, zachowywać się przyzwoicie. Nie kosztem innych

i nie kosztem cudzego bogactwa, ale zbudować coś samemu, własnoręcznie. Między innymi dzięki tej książce zerwałem z przeszłością. Odsiaduję swoją karę, Na pewno nie będzie lekko. Także w holenderskich więzieniach lata ciągną się powoli. I fakt, że człowiek widzi, że zasłużył na karę, nie oznacza oczywiście, że się odsiaduje ją z przyjemnością. Z całą pewnością nie, jeżeli chodzi o dziesięć czy jedenaście najlepszych lat życia. Między innymi z tego powodu we Francji sprzeciwialiśmy się ekstradycji. I także tutaj, w Amsterdamie, przed procesem i w jego trakcie rozmawialiśmy z adwokatami, czy istnieją jakieś prawne możliwości, aby uniknąć tych niemal nieuchronnych dwunastu lat. Teraz to wszystko minęło. Pogodziłem się z wyrokiem, nie zachowując się przy tym w sądzie jak beksa. Zmieniłem się, ale pozostałem sobą. Spróbuję pożytecznie wypełnić swój czas, mając nadzieję, że nie wyjdę stąd napiętnowany, załamany i rozgoryczony, jak to zdarza się wielu więźniom.

Na koniec chcę powiedzieć, że porwanie nie jest dla mnie tylko negatywnym doświadczeniem. Zdecydowanie nie. Dało mi coś, co na pewno przetrwa tę całą niedolę i za nic nie chciałbym tego stracić. To jest nasza przyjaźń, która nas zawsze będzie łączyć. Nasze niespotykane, niezniszczalne, przewyższające wszystko wieczne braterstwo. Jesteśmy kumplami, którzy razem i dla siebie nawzajem robili niemożliwe i niewiarygodne rzeczy. To jest bogactwo, którego nie można wyrazić w pieniądzach. Bogactwo, które – pomimo tego, co się stało – nadal posiadamy i którego nikt nam nigdy nie odbierze.

Nos, czyli Willem Holleeder, Jeż, czyli Frans Meijer, Kot, czyli Jan Boellaard, i Hamulec lub Hamulczyk, czyli Martin Erkamps. Wszyscy oni wiedzą, jak nikt inny, co to oznacza...

Proces

W dniu 19 lutego 1987 roku, ponad trzy lata po porwaniu Alfreda Heinekena i Aba Doderera, po dwudniowym procesie, zarówno Cornelis van Hout, jak i Willem Frederik Holleeder zostali skazani na karę pozbawienia wolności na okres jedenastu lat. Prokurator, R. Berger, zażądał kary dwunastu lat więzienia.

Sąd w Amsterdamie, którego przewodniczącym był sędzia G. Bodewes, rozważył w wyroku, iż przy wymiarze kary brał pod uwagę, iż opierając się na francuskich warunkach nałożonych przy ekstradycji, czyn „pisemne grożenie śmiercią” został skreślony z aktu oskarżenia i z tego względu nie mógł być udowodniony. Sąd był także zdania, iż były podstawy do zaliczenia na poczet kary pięciu miesięcy spędzonych w „areszcie hotelowym” we Francji (od 6 grudnia 1985 roku do 19 maja 1986 roku).

Od wyroku nie złożono odwołania. W tamtych latach w Holandii nakładano stosunkowo „łagodne” kary. Profesjonalnie przygotowane porwanie i długotrwałe przetrzymywanie dwóch osób dla uzyskania ogromnego okupu dziś na pewno zostałyby obłożone wyższą karą pozbawienia wolności.

Van Hout i Holleeder podczas całego procesu powoływali się na swoje prawo do odmowy składania wyjaśnień. Obaj złożyli za pośrednictwem swoich adwokatów krótkie, pisemne oświadczenie, w którym napisali, że nie chcą nic mówić.

Willem Holleeder w swoim oświadczeniu dodatkowo przeprosił „panów Heinekena i Doderera i ich bliskich, a także tych, którzy byli z nimi w tych trudnych chwilach”.

Cor van Hout, za pośrednictwem swojego adwokata, mecenasa Maxa Moszkowicza, oświadczył, że po zakończeniu procesu, w określonym przez

niego czasie i w wybrany przez niego sposób, szczegółowo wypowie się na temat swojej roli w porwaniu. I miał na myśli właśnie tę książkę.

Epilog

Po ogłoszeniu wyroku skazującego na porywaczy Heinekena wyglądało na to, iż akta najgłośniejszego przestępstwa w Holandii mogą zostać zamknięte. Jednak po niedługim czasie było jasne, że tak się nigdy nie stanie. W następnych latach aż do teraz nazwiska wspomnianej „piątki” regularnie pojawiały się na pierwszych stronach gazet. Dochodziło do głośniejszych incydentów, nowych procesów sądowych, kolejni ministrowie sprawiedliwości i politycy musieli się zajmować tą sprawą. Ponadto z czasem okazało się, że z tak wysławianej przez Cora van Houta wiecznej przyjaźni niewiele pozostało. Jej miejsce zajęły podziały, kłótnie i zazdrość.

Z biegiem lat rozwiano niemal wszelkie wątpliwości dotyczące porwania, ale pozostało jedno, często zadawane pytanie, na które pewnie nigdy nie uzyska się odpowiedzi: w jaki sposób policja trafiła na ślad porywaczy? Kto złożył donos na wagę złota? Jest to ostatnia i jednocześnie największa zagadka. Policja i organy wymiaru sprawiedliwości pozostają przy oficjalnej wersji, że ten anonimowy odręcznie napisany list otrzymano 16 listopada 1983 roku, razem z setkami innych zawiadomień, zarejestrowano dopiero po dwóch dniach i nadano mu „numer 547”. Wskazywano w nim na trzech z pięciu porywaczy i pisano, że stolarnia na terenie Heining, w zachodniej części portu, mogłaby być miejscem, w którym przetrzymywani są Alfred Heineken i Ab Doderer. Szczegółowe obserwacje i inne czynności operacyjne potwierdziły te informacje. Nie wiadomo, czy donosiciel zgłosił się później po nagrodę i czy ją otrzymał. Ze względu na swoją zwięzłość informacja stała się powodem pogłosek, iż donos 547 być może nigdy nie istniał w takiej formie, ale jest wytworem śledczych, kamuflażem, stworzonym przez nich po to, aby chronić prawdziwe źródło informacji, które doprowadziło do zdemaskowania kidnaperów. I najlepiej strzeżoną tajemnicą dotyczącą

porwania Heinekena. Możliwa jest jeszcze inna wersja i do tego scenariusza Cor van Hout przywiązywał większą wagę. Zawsze dręczyło go pytanie, gdzie mogli popełnić błąd i często zastanawiał się nad tym podczas pobytu w więzieniu. Po wielu łamigłówkach doszedł do wniosku, iż liścik, który porywacze przez „zapomnienie” zostawili na ladzie recepcyjnej, był początkiem ich niepowodzeń. Przypuszczał, że jeden z pracowników zaczął coś podejrzewać i zgłosił to na policję. Van Hout tłumaczył sobie, że prawdopodobnie ta osoba, ze zrozumiałych względów, wymusiła całkowitą anonimowość i dlatego stworzono historyjkę o donosie 547. Możliwe, iż donosiciel otrzymał wysoką nagrodę pieniężną i milczenie było w interesie wszystkich. Cor powtarzał mi wielokrotnie: „Myślę, że tak właśnie się to odbyło, ale nie mogę niczego udowodnić. Nie popełniliśmy innych poważnych błędów”.

Po zakończeniu procesu Cor van Hout został przewieziony do więzienia w Hadze, gdzie mianowano go zarządcą siłowni. Następnie odsiadywał karę w więzieniu Norgerhaven w miejscowości Veenhuizen w prowincji Drenthe, grał tam w drużynie piłkarskiej, która ze względów bezpieczeństwa rozgrywała tylko „mecze domowe”. W końcowej fazie odbywania kary Van Hout przebywał w zakładzie półotwartym w miejscowości Hoorn, gdzie w ramach resocjalizacji pracował w ciągu dnia w stoisku z kwiatami.

Willema Holleedera w początkowej fazie odbywania kary umieszczono w więzieniu Schutterswei w miejscowości Alkmaar i zatrudniono w drukarni przy produkcji ulotek dla Ministerstwa Sprawiedliwości. Po dwóch latach przeniesiono go do więzienia Esserheem w Veenhuizen – w linii prostej zaledwie parę kilometrów od Cora – gdzie dostał pracę w fabryce betonu. Holleeder odsiadywał wyrok w Esserheem przez jakiś czas z Janem Boellaardem. Ostatnie miesiące kary odbywał, podobnie jak Van Hout, w Hoorn, i pracował w stoisku z kwiatami.

Martin Erkamps, ze względu na młody wiek i znikomą rolę, jaką odgrywał w uprowadzeniu, został skazany na osiem lat pozbawienia wolności, wyszedł na wolność jako pierwszy w 1989 roku. Jan Boellaard, Willem Holleeder i Cor van Hout, dzięki rozporządzeniom określającym, iż muszą

odsiedzieć dwie trzecie kary, opuścili więzienie w krótkich odstępach czasu po sobie, to jest pod koniec 1991 roku i na początku 1992 roku. Frans Meijer, któremu udało się zbiec, został w 1985 roku skazany zaocznie na dwanaście lat pozbawienia wolności, w 1992 roku nadal się ukrywał, a policja nie miała żadnych śladów wskazujących na miejsce jego pobytu.

Po wyjściu na wolność czterech kidnaperów ponownie zamieszkało w stolicy, gdzie znaleźli pracę i zajmowali się różnymi sprawami. Pomimo silnych więzów przyjaźni, które zawsze łączyły pięciu amsterdamczyków, powoli zaczęły rysować się podziały. Cor van Hout i Willem Holleeder nadal widywali się codziennie, ale Jan Boellaard i Martin Erkamps zaczęli chodzić własnymi drogami. Frans Meijer zniknął bez śladu, a z obawy przed wpadką i ewentualnym aresztowaniem nie miał odwagi szukać kontaktów ze swoimi starymi przyjaciółmi. Ponad osiem lat odsiadki, podczas których byli od siebie odizolowani, zaczynało odbijać się na ich relacjach.

Nie można powiedzieć, żeby panowie nauczyli się czegoś w więzieniu, a jeśli już, to nic dobrego. Jan Boellaard zaledwie dwa lata po wyjściu na wolność wrócił na przestępczą ścieżkę i po popełnieniu brutalnej zbrodni trafił na pierwsze strony gazet. Stało się to 2 stycznia 1994 roku, w niedzielę, kiedy to po szalonym pościgu samochodowym Kot wdał się w strzelaninę z Janem Holmem, celnikiem z miejscowości Almere, w wyniku której czterdziestoczteroletni Holm trafiony w klatkę piersiową zmarł parę godzin później w szpitalu, Boellaard zaś został postrzelony w nogę. Miał na sobie specjalną kamizelkę z dziesięcioma kilogramami kokainy, a drugie tyle jego dwudziestodwuletni współnik. Pościg odbywał się tuż po przejęciu przez nich narkotyków w zachodniej części portu w Amsterdamie.

Za ten czyn Jan Boellaard został skazany na dwadzieścia lat pozbawienia wolności. Przy wymiarze kary sąd wziął pod uwagę, iż wkrótce po wyjściu na wolność pod koniec 1991 roku, po odbyciu kary za porwanie Heinekena, ponownie dopuścił się ciężkiego przestępstwa.

W sierpniu 1994 roku, ponad pół roku po ponownym aresztowaniu Kota, niespodziewanie wyjaśniła się tajemnica zniknięcia Fransa Meijera, najbardziej poszukiwanego obywatela Holandii. O losie Jeza i miejscu jego

pobytu krążyły przeróżne fantastyczne pogłoski. Twierdzono, iż od lat mieszkał w Amsterdamie i dzięki chirurgii plastycznej był nierozpoznawalny. Ale nikt nie mógł tego udowodnić i w miarę upływu czasu coraz więcej osób zaczynało wierzyć, iż Meijer nie żyje. A on żył, ale bardzo daleko. Dziewięć i pół roku po jego ucieczce z kliniki psychiatrycznej udało mi się, dzięki informacji, którą otrzymałem, odnaleźć go w Asunción, stolicy Paragwaju, w Ameryce Południowej. Okazało się, iż Meijer stworzył sobie całkiem nowe życie w milionowej metropolii, był ponownie żonaty z Marią Gricel, młodszą od niego o ponad dziesięć lat Paragwajką, z którą miał już trójkę dzieci: dwóch synów i córeczkę. Najstarszemu synowi, który w 1994 roku miał osiem lat, nadał imię Cor na cześć swojego serdecznego przyjaciela Van Houta. Okazało się, iż na przedmieściach Asunción, w San Lorenzo, Meijer prowadził bar z hamburgerami. W ciągu dziewięciu i pół roku od zniknięcia prawie się nie zmienił. Nieco przytył, miał trochę siwych włosów, ale poza tym każdy mógł go natychmiast rozpoznać.

Z przeprowadzonego przeze mnie na miejscu rozpoznania wynikało, iż dwa miesiące po ucieczce z kliniki Fransowi Meijerowi udało się zbiec przez Belgię do Ameryki Południowej. Thomas van der Bijl, ten sam, który pomógł Corowi van Houtowi i Willemowi Holleederowi przy wyjeździe do Francji, tym razem okazał się pomocny w zorganizowaniu podróży Jeża. Meijer powiedział później, iż do Paragwaju trafił przez przypadek, równie dobrze mógłby wylądować w Brazylii, Argentynie czy Boliwii. W Paragwaju kupił za kilkaset dolarów dokument tożsamości i od tego momentu szedł przez życie jako Rudi Doves. W San Lorenzo otworzył najpierw smażalnię frytek, którą dzięki ciężkiej pracy udało mu się przekształcić w restaurację z hamburgerami. Po kilku latach kupił w dzielnicy Fernando de la Mora ładną, położoną na uboczu willę. Twierdził, iż jego żona i ludzie z najbliższego otoczenia nic nie wiedzieli o jego przeszłości w Holandii. Powiedział im, iż jako „biznesmen” przypadkowo wylądował w Ameryce Południowej i tutaj zapaścił korzenie.

Dwudziestego kwietnia 1995 roku, dziewięć miesięcy po znalezieniu Meijera i zatrzymaniu go na wniosek władz holenderskich, w niedzielę 16 kwietnia przewieziono go do zakładu karnego w Tacumbx, niedaleko od

Asunción. Holandia zwróciła się do Paragwaju z wnioskiem o ekstradycję, Meijer długo się jej sprzeciwiał.

W następnych latach wyglądało, jakby opatrność maczała palce w wydarzeniach, które dotknęły prawie wszystkich porywaczy.

Po tym, jak historie Boellaarda i Meijera trafiły na pierwsze strony gazet, w styczniu 1996 roku nadeszła kolej na Martina Erkamps. W pobliżu miasta Baza, na południu Hiszpanii, przyłapano go na gorącym uczynku podczas transportu trzydziestu kilogramów haszyszu. Hamulczyk został skazany na trzydzieści dziewięć miesięcy więzienia. Po odbyciu tej kary wrócił do Holandii, ale nie mógł się tutaj odnaleźć i wyemigrował do Panamy, gdzie mieszka już około dziesięciu lat i zajmuje się handlem nieruchomościami.

Zainteresowanie mediów sprawą Erkamps było niczym w porównaniu z histerią rozpiętą po próbie zamordowania Cora van Houta w środę 27 marca 1996 roku.

W ten wiosenny dzień, około południa, Van Hout przyjechał swoim grantowym mercedesem na Deurloostraat, na której mieszkał od wyjścia na wolność, w nierzucającym się w oczy, ale ładnym budynku z podcieniem. Jest to spokojna, ciesząca się dobrą opinią ulica w Amsterdamie Południowym. Gdy parkował samochód, niespodziewanie podszedł do niego mężczyzna, który najwidoczniej czekał już jakiś czas. Zanim Van Hout zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, człowiek ten wyjął broń i kilka razy nacisnął na spust. Szyba w drzwiach mercedesa roztrzaskała się i Van Hout, nadal siedzący w samochodzie jak w pułapce, został trafiony trzy razy. Trzydziestoosmioletni wówczas Cor wysiadł z samochodu i mimo silnego krwawienia stanął na nogach. Jego przyjaciółka Sonja, która właśnie chciała wysiąść z trzyletnim synkiem z drugiej strony, natychmiast podniosła krzyk. Zamachowiec wystrzelił prawdopodobnie siedem nabojów, następnie odwrócił się szybko i zbiegł na róg ulicy, gdzie przy murku stał przygotowany rower, którym odjechał. Van Hout próbował go ścigać, ale był zbyt ciężko ranny.

Tymczasem podniesiono alarm. Policja nadjeżdżała ze wszystkich stron. Zakładano, iż nieznana w tamtym momencie ofiara strzelaniny może umrzeć, i do akcji skierowano helikopter ratunkowy, który zawsze stał

w gotowości na dachu pobliskiego szpitala. Kilka minut po strzelaniu jak z westernu wylądował on z hałasem i w tumanach kurzu na amsterdamskiej uliczce. W tym samym czasie dojechała także karetka pogotowia i sanitariusze stwierdzili, iż Van Hout jest co prawda poważnie ranny, ale życiu jego nie zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. W czasie, gdy przewożono go do szpitala, policja kryminalna zamknęła ulicę i natychmiast przystąpiła do wykonywania czynności operacyjno-technicznych. W pierwszych godzinach trudno było ustalić rozmiar obrażeń. Cor krwawił obficie, co w połączeniu z serią słyszanych wystrzałów wystarczało świadkom do snucia przypuszczeń, że on „tego nie przeżyje”. W kilku wydaniach wiadomości radiowych, krótko po zamachu, rzeczywiście przekazano, iż Van Hout zmarł.

W praktyce okazało się, iż obrażenia nie były tak poważne, jak się wydawały, chociaż natychmiast należy jednak dodać, że graniczyło z cudem, iż Van Hout przeżył ten zamach. Jak to już częściej bywało, Flip znowu kompletnie wszystkich zaskoczył: został trafiony z bliska trzy razy, przy czym jeden pocisk trafił go w głowę, a dwa w górną część ciała, a on nawet nie stracił przytomności. Na stole operacyjnym zaczął żartować, relatywizując swoje trudne położenie. Okazało się, że pocisk, który trafił go w głowę, przeszedł przez szczękę i zdruzgotał między innymi część uzębienia, ale to wszystko było do naprawienia. A pociski, które trafiły go w tułów, nie uszkodziły żadnych ważnych narządów wewnętrznych.

W każdym razie zamach był nieudany, ale oczywiście natychmiast nasuwały się pytania: kto i dlaczego chciał pozbawić życia Cora van Houta? Wywołało to wielkie poruszenie i falę najdziwniejszych spekulacji – nawet najbardziej absurdalne przypuszczenia były poważnie analizowane przez niektóre środki masowego przekazu. Odważono się nawet zasugerować, że Alfred Heineken maczał palce w tym zamachu.

A co mówił sam Flip, leżąc w szpitalu pod ochroną policji? Prawie nic. Stwierdził, że zamach jest dla niego kompletnym zaskoczeniem i motyw pozostaje zagadką. Cor van Hout przeszedł dwie operacje i mógł opuścić szpital po czterech dniach. Razem z rodziną wyjechał w nieznanne miejsce do Hiszpanii czy Francji, aby tam wrócić do zdrowia i oczywiście żeby zniknąć

z pola widzenia, dopóki nie zostaną wyjaśnione motywy akcji wymierzonej przeciw niemu.

W drugiej połowie 1996 roku Van Hout przyjeżdżał do Holandii, ale mieszkał w stolicy pod innym adresem. Rzadziej pokazywał się też na ulicy i w centrum Amsterdamu. Wytłumaczył mi to następująco: „Znikoma jest szansa, że za drugim razem będę mieć tyle samo szczęścia”. Van Hout nie wiedział wtedy, że amsterdamska policja kryminalna posiadała taśmę wideo, na której zamach, a więc także i nieznany strzelec, był częściowo widoczny. Początkowo zespół prowadzący śledztwo trzymał te informacje w ścisłej tajemnicy, prawdopodobnie z tego względu, że policja miała inny cel, niż tylko odpowiedzieć na pytanie, kto próbował zlikwidować Van Houta. Od 1994 roku specjalny zespół śledczy prowadził długotrwałe i intensywne postępowanie w sprawie zorganizowanej grupy przestępczej, którą ich zdaniem kierował Cor van Hout. Banda miała trudnić się międzynarodowym handlem narkotykami miękkimi, prostytutką i praniem pieniędzy. Postępowanie prowadzono w najgłębszej tajemnicy pod kryptonimem „City-Peak”. Kilku śledczych próbowało od trzech lat rozpracować grupę, obserwując, śledząc i podsłuchując przypuszczalnych jej członków, a Cor van Hout był jednym z głównych podejrzanych w tej sprawie. W pobliżu jego mieszkania na ulicy Deurloostraat zainstalowano kilka ukrytych kamer, rejestrujących wszystkie ruchy w okolicy domu. Były one przypuszczalnie ustawione u sąsiadów z naprzeciwka lub w pustym budynku kościoła, ukośnie po przeciwnej stronie ulicy. I podczas gdy pod koniec marca 1996 policja udawała, że intensywnie poszukuje świadków zdarzenia, w rzeczywistości komenda główna w Amsterdamie dysponowała nagraniami wideo z tego incydentu. Policja stanęła przed ogromnym dylematem. Czy należało pokazać Corowi i Sonji te zdjęcia i poprosić o zidentyfikowanie sprawcy? Czy może należało pokazać je w programie telewizyjnym? Czy jednak należało zachować je w tajemnicy? Gdyby Van Houta poinformowano o istnieniu taśmy, policja równie dobrze mogłaby od razu odwołać całą operację, ponieważ natychmiast zrozumiałby, że jest obserwowany i zaprzestałby działalności przestępczej.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Van Hout był lepiej pilnowany, niż mógł

to sobie wyobrazić w najśmielszych marzeniach. Także po zamachu wciąż go obserwowano i podsłuchiwano. Upłynęło jednak jeszcze sporo czasu, zanim amsterdamski oskarżyciel publiczny zdecydował, iż zebrał wystarczająco dużo materiałów obciążających. Dopiero w pierwszym tygodniu października 1997 roku nadeszła odpowiednia chwila do przeprowadzenia akcji. W dziewięćdziesięciu pięciu miejscach w Holandii, w tym samym czasie, czterystu policjantów i funkcjonariuszy śledczych z różnych instancji i służb policyjnych przeszukało mieszkania podejrzanych. Cztery banki musiały ujawnić swoją księgowość z nakazu sędziego śledczego. W tamtym tygodniu zatrzymano dwadzieścia cztery osoby, w tym Cora van Houta, ściągniętego wcześniej rano z łóżka przez jednostkę specjalną policji, w obecności Sonji i synka Richiego.

Aresztowanie Van Houta odbiło się dużym echem. Na specjalnie zwołanej konferencji prasowej śledczy pokazali, co znaleźli podczas przeszukań. A było tego sporo. W boksie garażowym w miejscowości Zwanenburg, używanym przez Thomasa van der Bijla (jego autem Cor i Willem w 1983 roku uciekli do Paryża) odkryto arsenał broni: trzynaście pistoletów zwykłych, trzy maszynowe, osiem rewolwerów, około tysiąca siedmiuset sztuk ostrej amunicji, tłumiki i naboje z gazem łzawiącym. Ponadto w innych miejscach zabezpieczono milion guldenów w gotówce, a także, jak określała to policja, „specjalną aparaturę”: zestaw mikrofonów kierunkowych, różne skanery, kamizelki kuloodporne, peruki i maski.

O sprawie informowały wszystkie dzienniki telewizyjne i gazety. Podkreślano rolę Cora van Houta, „byłego porywacza Heinekena”, który zdaniem policji niewątpliwie kierował bandą. Dowodem na to, że jego niesławna przeszłość odgrywała rolę w najnowszych wydarzeniach, był fakt, że poza Corem van Houtem nie wymieniono ani nazwiska, ani nawet inicjałów żadnego z pozostałych podejrzanych. Na konferencji prasowej ujawniono, że w ostatnich latach grupa przemycała narkotyki do lub z Anglii, Francji, Hiszpanii, Norwegii i Szwecji. Chodziło o tysiące kilogramów miękkich narkotyków.

W pierwszych wiadomościach mówiono jeszcze o „byłych porywaczach”, którzy mieliby należeć do grupy przestępczej, bo przeszukano także

mieszkanie Willema Holleedera. Zaledwie garstka osób wiedziała w tym momencie, że drogi dwóch przyjaciół, „braci krwi” dwa lata wcześniej całkowicie się rozeszły zarówno prywatnie, jak i w interesach. Wielu miało jeszcze wyobrażenie o przyjaźni na śmierć i życie, o której w rzeczywistości od dawna nie było już mowy. Po zamachu na Cora van Houta Holleeder zajmował się swoimi sprawami i jego nazwisko prawie w ogóle nie pojawiała się w protokołach z czynności operacyjnych, przeprowadzanych przez śledczych, ale jednak dla pewności i jego „zaszczycono” wizytą. Podczas przeszukania amsterdamskiego mieszkania Nosa nie znaleziono żadnych obciążających materiałów dowodowych i nie zatrzymano go.

Po pierwszych burzliwych tygodniach nadeszła kolej na adwokata Cora van Houta, mecenasa Abrahama Moszkowicza, który miał za zadanie przedstawić swojego klienta w korzystniejszym świetle. Wskazywał, iż grupa nie była aż tak wielka, jak twierdziła policja i że wielu aresztowanych odesłano już do domu z powodu braku obciążających faktów. Adwokat ściał na siebie jednak uwagę dopiero po ujawnieniu, że z akt sprawy wynikało, iż zamach na jego klienta w marcu 1996 roku został sfilmowany, ale że śledczy utrzymywali to cały czas w tajemnicy. W wywiadzie Moszkowicz krytykował przebieg postępowania, mówiąc: „Widocznie uważano, że ważniejsza jest kontynuacja obserwacji mojego klienta niż schwytanie płatnego mordercy”. Adwokat zażądał okazania wideo swojemu klientowi, ale prokurator nie zgodził się na to. Prokurator nie chciał do tego dopuścić, ponieważ opierając się na ujęciach, można by było ustalić pozycję kamery. W ten sposób Van Hout łatwo doszedłby do tego, kto z jego sąsiadów pomagał śledczym. Policja obiecała tym osobom zachowanie tajemnicy.

W dniu 23 marca 1998 roku w sądzie w Amsterdamie, przy dużym zainteresowaniu prasy, rozpoczął się proces przeciwko Corowi van Houtowi. Oskarżono go o kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, handel narkotykami miękkimi w ilości prawie czterech tysięcy kilogramów i posiadanie broni bez zezwolenia. Razem z nim zasiadło na ławie oskarżonych jeszcze piętnastu innych, od „szefów dywizji” po „chłopców na posyłki”. Barwne towarzystwo, w którym każdy posiadał wiele mówiącą

ksywę, na przykład: Wtyczka, Tygrysek, Czajnik, Cygaro i Zezowaty. Podczas procesu okazało się, że nie ma zbyt wielu bezpośrednich dowodów przeciwko organizacji (w szczególności żadnych zeznań potwierdzających). Wszelkie wskazówki w tym kierunku prokurator opierał na protokołach z przeprowadzonych obserwacji i zapisach podsłuchanych rozmów telefonicznych. Prokurator dowodził, iż wynika z nich, że oskarżeni często porozumiewali się zakodowanym językiem i omawiali sprawy transportów narkotyków. Na przykład, w czasie rozmów telefonicznych zadziwiająco często rozmawiali o pogodzie. Czasami prowadziło to do zabawnych konwersacji.

Van Hout ma kontakt z pewnym O., współoskarżonym:

Van Hout: *Jaka jest u was pogoda?*

O.: *Zła.*

Van Hout: *Nie... ta inna pogoda...*

O.: *O, ta, ech, ta... wiesz... tamta czeka... mamy jednak ładną pogodę, nieprawdaż?*

Van Hout: *Tak, wszyscy.*

Także w wielu innych rozmowach mogło dziwić, iż często opowiadano o fali upałów, ładnej pogodzie, słoneczku i przekazywano inne prognozy. Ponadto często dodawano, iż „można otworzyć butelkę”. Traf chciał, że akurat w tym okresie pogoda w Holandii była wyjątkowo zła i prognozy na dni, w których przez telefon mówiono o fali upałów, były fatalne: deszcze, deszcze i jeszcze raz deszcze. Proces trwał prawie dwa miesiące, po czym sąd w Amsterdamie 18 maja 1998 roku ogłosił wyrok. Sąd uznał za udowodnione, że Van Hout kierował grupą przestępczą i że handlował narkotykami na skalę międzynarodową. Udowodniono także posiadanie broni, pomimo iż znaleziono ją w boksie garażowym jego przyjaciela. Van Hout został skazany na cztery i pół roku odsiadki. Wobec pozostałych piętnastu oskarżonych orzeczono kary pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do czterech lat. Zgodnie z obowiązującymi wtedy zasadami

oznaczało to, że Van Hout, któremu zasądono cztery i pół roku, w rzeczywistości będzie musiał odsiedzieć „trzy choinki”. Ale na poczet kary został zaliczony okres aresztowania tymczasowego i summa summarum został szybko przeniesiony na oddział półotwarty.

Pod koniec 1999 roku Flip znów wyszedł na wolność. I mylił się, kto myślał, iż od tej chwili nic nie będzie słyhać o najgłośniejszym porywaczu Heinekena. Niecały rok po opuszczeniu więzienia jego nazwisko znów pojawiło się na pierwszych stronach gazet i we wszystkich dziennikach telewizyjnych. W rzeczywistości nie rozwiązano żadnego z problemów, z którymi borykał się Van Hout przed skazaniem. Nadal musiał się liczyć z nowym zamachem na swoje życie, ponieważ sprawa pierwszego nie została wyjaśniona przez policję. Od chwili wyjścia na wolność prawie zawsze towarzyszył mu Bas V., współoskarżony w sprawie narkotykowej, który w tej chwili był czymś w rodzaju osobistego ochroniarza.

W Amsterdamie, w tamtym czasie, a więc około 2000 roku, rozpoczęło się coś w rodzaju wojny gangów. Dokonano różnych egzekucji i zastrzelono kilka mniej lub bardziej znanych osób ze świata przestępczego, a media regularnie sugerowały, że Cor van Hout był w to zaangażowany. Mogły to być porachunki związane z nieudanym zamachem na samego Van Houta w 1996 roku. W stolicy krążyły pogłoski, że zleceniodawcami byli groźni amsterdamscy przestępcy, Sam Klepper i jego towarzysz John Mieremet, i Van Hout doskonale o tym wiedział. Motyw był niejasny, ale prawdopodobnie chodziło „o władzę” w mieście. To przypuszczenie potwierdziło się, gdy stało się jasne, że właśnie Nos, czyli Willem Holleeder, były kumpel Cora, po nieudanym zamachu zaprzyjaźnił się z dwójką wymienionych gangsterów i wielokrotnie widywano ich razem. Van Hout i Holleeder byli skłóceni już przez jakiś czas, ale gdy według Van Houta Holleeder przeszedł na drugą stronę, stosunki zaostrzyły się jeszcze bardziej, przynajmniej tak mówiono. I tłumaczono, że Cor, który przeżył nieudaną próbę pozbawienia go życia, chciał „uprzedzić powtórkę”.

W tym scenariuszu kryła się pewna logika. Relacje między Van Houtem i Holleederem od pewnego czasu stały się napięte. Osobiście słyszałem od Cora, że zarówno Klepper, jak i Mieremet byli po części przyczyną

zadrażnień. Cor van Hout powiedział mi, że krótko po zamachu Holleeder rozmawiał z tą dwójką i że wtedy przekazano wiadomość, że „wszystko” można „wykupić” za milion guldenów. Jeżeli ta „kara” zostanie zapłacona, wszystkie problemy znikną. A jeżeli nie, to... No cóż. Nos zgodził się na tę kwotę, ku wściekłości Cora van Houta, który dosłownie powiedział: „Po moim trupie”. Pomimo że Klepper i Mieremet nie dosłownie dali do zrozumienia, że to oni kryją się za zamachem, było jasne, że „nie można wszystkiego wykupić” u kogoś, kto nie ma z tym nic wspólnego. Faktycznie więc było to skryte przyznanie się do winy. Holleeder podszedł do problemu praktycznie zgodnie z zasadą: *keep your friends close... keep your enemies closer*. Drogi dwóch „bratanków” od tego momentu definitywnie rozeszły się.

Przypuszczenie Cora van Houta, że za drugim razem nie będzie mieć tyle szczęścia, nie sprawdziło się. Najpierw, w 2000 roku, w biały dzień, zastrzelono Sama Kleppera w centrum handlowym na przedmieściach Amsterdamu. Sprawców nigdy nie ujęto. Ale to tylko podsycalo pogłoski, że sprawa ma związek z porachunkami pomiędzy rywalizującymi gangami, w co zaangażowany był także Cor van Hout. Ponad dwa miesiące po śmierci Kleppera ponownie dokonano zamachu na Van Houta, w chwili gdy późnym wieczorem przyjechał do mieszkania Sonji w Amstelveen. Podobnie jak za pierwszym razem w 1996 roku, pod drzwiami wejściowymi czekał na niego przyczajony zamachowiec. Tym razem nie strzelano do niego z bliska z rewolweru, ale z pewnej odległości z karabinu snajperskiego. Cor van Hout miał więcej szczęścia, niż mógł sobie wymarzyć: po raz drugi uniknął egzekucji, w sytuacji kiedy świat przestępczy z reguły rzadko pudłuje.

Co się dokładnie wydarzyło? Tego chłodnego, wietrznego wieczoru, 20 grudnia 2000 roku, Flip bawił się ze swoim przyjacielem w mieście. Około piętnastu minut przed północą podjechali skodą pod dom w Amstelveen. Bas V. był kierowcą i wyszedł pierwszy z samochodu, aby wyjąć z bagażnika torbę, Cor van Hout wysiadł z drugiej strony. W tym momencie, z odległości około stu pięćdziesięciu metrów, z zarośli leżącego po przeciwnej stronie terenu przemysłowego, padło kilka strzałów w jego kierunku. Jeden pocisk uderzył w bok samochodu, drugi w szereg domów z tyłu. Ponieważ zbliżał się koniec starego roku, Van Hout pomyślał przez ułamek sekundy, że ktoś

odpalił fajerwerki, ale instynktownie rzucił się na ziemię, a sekundę po nim to samo zrobił Bas V. Obaj mężczyźni leżeli chyba z dziesięć minut bez ruchu, udawali, że dostali. V. zadzwonił następnie ze swojej komórki do Sonji i poprosił, żeby uchyliła drzwi wejściowe. Van Hout i Bas biegiem wpadli do domu. Więcej już do nich nie strzelano.

Tej samej nocy pies policyjny znalazł w zaroślach łuskę. Strzelec leżał z całą pewnością na skarpie przy rowie wodnym, który otacza teren przemysłowy. Idealne miejsce, żeby samemu będąc niewidzialnym, mógł do kogoś otworzyć ogień. Strażacy, którzy później celownikiem teleskopowym przeszukali dno, znaleźli broń. Bardzo drogi karabin snajperski – PGM Precision, kalibru 7,62x51 mm, francuski wyrób. Doświadczony strzelec może nim trafić w cel z odległości półtora kilometra. To cud, że Cor van Hout przeżył także ten zamach.

Z reguły policji z wydziału kryminalnego nie udaje się ustalić, kto stoi za zabójstwami w świecie przestępczym, ale w tym przypadku już trzy dni po nieudanej próbie zamachu, 23 grudnia 2000 roku, aresztowano kilka osób. A parę tygodni później kilka następnych. Były to spektakularne wiadomości, gdyż aresztowano między innymi czterdziestoletniego wówczas Johna Mieremeta, kompana wcześniej zastrzelonego Sama Kleppera, czterdziestoczworoletniego Jugosłowianina Paję M. i trzydziestosześcioletniego Nica V., byłego osobistego ochroniarza zamordowanego Sama Kleppera. Zdaniem policji wymienieni przestępcy byli odpowiedzialni za drugi zamach na Van Houta. Był to ważny krok w śledztwie dotyczącym „wojny gangów”. Okazało się, że po zabójstwie Kleppera założono podsłuch na telefony kilku czołowych gangsterów, w tym między innymi Johna Mieremeta, Paję M. i Nico V. I te podsłuchane rozmowy telefoniczne dostarczyły bardzo interesujących materiałów. Jakiś tydzień przed próbą zamachu na Van Houta śledczy zarejestrowali ciekawą wymianę zdań pomiędzy Johnem Mieremetem i Nikiem V. Rozmawiano o tajemniczej walizeczce. Nico spytał Johna, czy wie, gdzie jest ta „walizeczka”, którą dwa miesiące temu dał przyjacielowi. Widocznie było to bardzo ważne. Kilka dni później ponownie rozmawiano na ten temat. John Mieremet powiedział teraz do Nica V., że „musi się umówić na spotkanie,

żeby oddać walizeczkę” i że nie chce, aby Nico „zabrał ją ze sobą”.

Niecałą godzinę później, tego samego wieczoru, Paja M. zadzwonił do Nica V. i ten powiedział mu, że „szybko zajrzał” do walizeczki. I następne zdanie brzmiało: „Hej, ziom... ładne, ale myślę, że czegoś mi brakuje, jednego kawałka...”. V. nie wiedział dokładnie czego, ale przypuszczał, że teraz nic z tego nie będą mieć. Niecałe trzy minuty później John Mieremet znów dzwoni do Nica V. I to, co zostaje następnie powiedziane, jest zdaniem śledczych bardzo ważnym fragmentem z podsłuchanych rozmów. Nico powiedział Johnowi, że czegoś mu brakuje. Po czym John spytał: „Czego? Przedniej części? Tylnej? Czego ci brakuje?”. Nico odpowiedział: „Nie, przednia część jest kompletna... ale tylna wygląda, jakby tam jeszcze coś należało włożyć, ale może się myłę”. Następnie John zareagował: „Nie wiem... czy tam jest coś na wierzchu, czy to wszystko jest razem?”. A także: „Jak to się nazywa, ten zacisk, jest ich tam kilka... wszystkie trzeba włożyć. Czy też tam są? Te okrągłe drobiazgi”. Nico potwierdził, że „jest ich tam ze dwadzieścia sztuk”.

Zdaniem śledczych przez zwroty „okrągłe drobiazgi” i „ze dwadzieścia sztuk” należy rozumieć pociski. A „coś na wierzchu” oznacza celownik optyczny. Policja uważała, że nie ma wątpliwości co do tego, że z podsłuchanych rozmów wynikało, iż John Mieremet kilka dni przed zamachem organizował przeniesienie broni palnej do Nica V. Opisana broń wykazywała uderzające podobieństwo z rozkładanym karabinem snajperskim, znalezionym w rowie w pobliżu domu Cora van Houta. Takie karabiny z reguły przechowuje się w niewielkich walizkach.

Ale nie są to jedyne informacje. Także 20 grudnia, tego wieczoru, gdy usiłowano zlikwidować Van Houta, Paja M. i Nico V. kilkakrotnie kontaktowali się ze sobą telefonicznie, co zarejestrowały urządzenia podsłuchowe. Ponadto z rozmów można wywnioskować, iż spotkali się. Co więcej, z analizy sygnałów wysyłanych przez ich telefony komórkowe wynika, że tego wieczoru przebywali w okolicy Amstelveen.

Dla wymiaru sprawiedliwości scenariusz był prosty. Nico V. strzelał, wspomagany przez Paję M., z broni dostarczonej przez Johna Mieremeta. Śledczy próbowali dostarczyć także innych dowodów rzeczowych. Na broni

palnej i na magazynku znaleziono ślady DNA, które chciano zbadać i porównać z profilem podejrzanych. Ponieważ broń leżała w wodzie, wymagało to specjalistycznych badań i mogło potrwać miesiące.

Prokurator z prokuratury w Amsterdamie stał na stanowisku, że nie może tak długo czekać i 8 marca 2001 roku zwolnił trzech podejrzanych z aresztu. Dopiero po zakończeniu badania wszystkich śladów miał podjąć ostateczną decyzję co do dalszego postępowania. Gdyby nie było nowych, obciążających dowodów, prokurator miał umorzyć sprawę: było dużo poszlak, ale brakowało twardych dowodów. I tak to się zakończyło. Nie było żadnych innych dowodów rzeczowych. Koniec.

W Amsterdamie zapanował spokój, przynajmniej chwilowo, ale daleko stąd, w stolicy innego państwa, sytuacja się odwróciła: po długim okresie bezruchu doszło do zmian. W piątek 25 maja 2001 roku ogłoszono, iż Frans Meijer, który nadal siedział w więzieniu w Paragwaju, oczekując na orzeczenie sądu w sprawie jego ekstradycji do Holandii, przegrał sprawę. Paragwajski Sąd Apelacyjny, po długotrwałych sporach proceduralnych, postanowił, iż Frans Meijer, alias Rudi Doves, może być wydany, chociaż pomiędzy tymi dwoma państwami nie było oficjalnej umowy ekstradycyjnej. Ta kwestia była przez prawie trzy i pół roku przyczyną sporów pomiędzy adwokatami i różnymi instancjami sądowymi.

Trzeciego stycznia 2002 roku, na skutek komplikacji po przebytych zapaleniu płuc niespodziewanie zmarł Alfred Henry Heineken. Miał 78 lat i zmarł w swoim domu, położonym na wydmach w Noordwijku. Człowiek, który z Johanem Cruijffem rywalizował o tytuł „najbardziej znanego Holendra za granicą”, został pochowany w ciszy i spokoju, tylko w obecności najbliższej rodziny, w Noordwijku. Oczywiście wiadomość o jego śmierci dotarła do wszystkich mediów i poświęcono jej dużo uwagi. Zwłaszcza porwaniu i porywaczom, którzy wywarli tak wielkie piętno na życiu Heinekena.

Po dwóch nieudanych zamachach Cor van Hout zaangażował początkowo całodobową ochronę i jeździł opancerzonym samochodem, ale z biegiem czasu poluzował nieco ten ostry reżim. Zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło. „Akurat w dobrym momencie”, powiedział Van

Hout. Chciał rozpocząć nowy etap w swoim życiu. Miał serdecznie dosyć ciągłej gorączki, przeszukań, aresztowań, wyroków, więzienia i nieustannej uwagi ze strony środków masowego przekazu. Zdawał sobie sprawę, że musi zmienić kurs. Na początek zawarł ugodę z Urzędem Skarbowym, z którym miał problemy od chwili wprowadzenia w 1983 roku. Skarbówka cały czas go ścigała, wysyłając ciągle nowe wezwania do zapłaty podatków i zaległości, ale nie udawało się im go złapać. Nie mógł mieć żadnych posiadłości na swoje nazwisko i był zawsze zależny od podstawionych słupów, drogich adwokatów i doradców podatkowych, co mocno utrudniało mu życie. Po długich dyskusjach doszedł do porozumienia z inspekcją podatkową. Van Hout potraktował tę ugodę jako początek nowego życia i wprowadził się do willi w Nigtevecht, około dwudziestu kilometrów od Amsterdamu. Przed domem cumowała łódka, którą niekiedy wypływał z synkiem i znajomymi na ryby, aby się poopalać czy po prostu trochę popływać. Kiedyś podczas takiej wyprawy zapytałem go, w jaki sposób zapewnia sobie ochronę, odpowiedział pogodnie, że jego zdaniem najgorsze już minęło. Nawiasem mówiąc, w swoim nowym domu zainstalował najnowocześniejszy system monitoringu, który śledził każdy ruch wokół willi. Po dwóch nieudanych zamachach właściwie nigdy nie można zaznać spokoju, jak mówił Van Hout. I znał oczywiście przysłowie „do trzech razy sztuka”...

I tak doszliśmy do piątkowego popołudnia, 24 stycznia 2003 roku. Dnia, w którym nagle zakończyła się era Cora van Houta. Tego dnia Flip umówił się na lunch w Amstelveen ze swoim dobrym znajomym, trzydziestosześcioletnim Robertem ter Haakiem, handlującym łódkami i jachtami. Towarzyszył im Bas V. Lunch spożywali w chińskiej restauracji Royal San Kong, położonej przy spokojnej Dorpsstraat w starej części miasta Amstelveen. Skończyli posiłek mniej więcej kwadrans po pierwszej, Bas V. poszedł po zaparkowany nieco dalej samochód, którym mieli odjechać. Cor van Hout i Robert ter Haak rozmawiali jeszcze chwilę i powoli zbierali się do wyjścia. Na zewnątrz mimo słonecznej pogody panował ziąb. Gdy stali na rogu ulicy, nagle nadjechał czerwony motocykl bmw K1200 RS, z dwoma mężczyznami na siedzeniu, który zwolnił nieco w miejscu, gdzie stali Van Hout i Ter Haak. Van Hout miał na głowie śmieszny, ciemny kapelusik,

który dzień wcześniej kupił na targu w Amsterdamie. Jeden dla siebie, a drugi dla synka. I zanim ktoś się zorientował w sytuacji, rozległa się długa seria: trrr trrr trrrr... Kilka stojących w pobliżu osób myślało, że są to fajerwerki, ale, niestety, był to odgłos kilkudziesięciu pocisków, wypluwanych z szybkostrzelnej broni palnej, które trafiły Cora van Houta, zanim zdążył coś powiedzieć albo zrobić. Został trafiony ponad dwudziestoma pociskami, zgiął się i zmarł prawie natychmiast. Śmierć nadeszła w momencie, kiedy jej się już nie spodziewał. W oknach, ścianach i futrynach za nim pociski pozostawiły duże dziury. Także jego przyjaciel, Robert ter Haak, nie uniknął tej dzikiej strzelaniny. Trafiło go co najmniej pięć pocisków.

Zdaniem świadków sprawcy chcieli się prawdopodobnie upewnić, czy Van Hout został rzeczywiście śmiertelnie postrzelony, ponieważ jakimś cudem przeżył dwa zamachy. Kierujący motorem wjechał na chodnik, na którym leżało ciało, i zrobił rundkę wokół niego. Ponownie oddał serię i dopiero potem dwaj sprawcy odjechali z dużą prędkością. Ludzie na Dorpsstraat w Amstelveen byli przerażeni. Cor van Hout leżał nieżywy na ulicy, a Robert ter Haak ciężko ranny. Trzy tygodnie później zmarł wskutek obrażeń, zostawiając żonę i dwójkę małych dzieci.

Miejsce przestępstwa, w najstarszej części Amstelveen, zostało natychmiast zamknięte przez pracowników działu techniki kryminalistycznej celem zabezpieczenia śladów. Ciało Van Houta leżało w kałuży krwi pomiędzy krawężnikiem chodnika a zaparkowanym volkswagenem. Przykryto je tylko derką. Obok ciemny kapelusik, cichy świadek... Policjanci z wydziału kryminalistyki w białych kombinezonach i niebieskich ochraniaczach na buty sprawnie wykonywali swoje czynności. W kręgu zakreślonym wokół Van Houta ustawiano tabliczki z numerami, oznaczające ślady po łuskach. Ustawiono ponad trzydzieści tabliczek, co było dowodem, iż za trzecim razem sprawcy nie chcieli pozostawić nic przypadkowi.

Przedstawiciele mediów napływali tłumnie. W mgnieniu oka rozeszła się wiadomość, iż nieżyjący mężczyzna był „ważną figurą” w świecie przestępczym: Cornelis van Hout, zwany Flipem. Ekipy reporterskie,

kamerzyści i wozy transmisyjne ze wszystkich stacji emitujących wiadomości utworzyły kordon wokół miejsca przestępstwa. Śmierć Cora van Houta, mózgu operacji uprowadzenia Heinekena, być może najbardziej znanego przestępcy holenderskiego, była newsem najwyższej rangi.

W dniach, jakie nastąpiły po morderstwie, w wysokonakładowej holenderskiej gazecie „De Telegraaf” zamieszczono wiele nekrologów, zamówionych przez rodzinę i przyjaciół, które były dokładnie studiowane przez inne środki masowego przekazu.

Sonja wraz z dziećmi, Francis i Richiem, napisali:

JEDYNY, NIE DO ZASTĄPIENIA, NIEZAPOMNIANY
NA ZAWSZE ZOSTANIE W NASZYCH SERCACH.

Willem Holleeder, który przez wiele lat przed śmiercią Cora nie utrzymywał z nim kontaktów, umieścił krótki, ale wiele mówiący nekrolog:

TERAZ WSZYSTKO JEST PRZESZŁOŚCIĄ. POZOSTANĄ
TYLKO CENNE WSPOMNIENIA Z DAWNYCH CZASÓW.

Ogłoszenie było podpisane pseudonimem Nos, wymyślonym kiedyś dla Willema Holleedera przez Cora.

Jan Boellaard, który siedział wtedy jeszcze w więzieniu za nieszczęsną strzelaninę w 1994 roku, napisał:

DROGI CORZE, ZAWSZE BYŁEM TWOIM
WIERNYM DRUHEM.

A Frans Meijer odbywający karę w więzieniu w Paragwaju, czekając na ekstradycję do Holandii, umieścił krótki nekrolog:

COR, BĘDĘ SIĘ ZA CIEBIE MODLIŁ.

Pogrzeb Cora van Houta stał się wydarzeniem medialnym. Rodzina zdecydowała się pochować go w białej trumnie, którą na miejsce wiecznego spoczynku wieziono białym, otwartym powozem ciągniętym przez osiem czarnych koni rasy fryzyjskiej, okrytych białym kirem, poprzedzonym przez dwóch jeźdźców na białych koniach. Karawan miał przejechać z centrum pogrzebowego na cmentarz w Amsterdamie Zachodnim. Tam rodzina wykupiła dla niego grób. Van Hout mówił zawsze, że chciałby być pochowany w dzielnicy swojego dzieciństwa – Staatsliedenbuurt. Za karawanem miał podążać sznur kilkunastu białych mercedesów z rodziną i przyjaciółmi. Po drodze planowano zatrzymać się przed domem na Van Hallstraat, przed Zielonym Rajem, kwaciarnią, powyżej której znajdowało się mieszkanie, gdzie rokrocznie Cor, Willem, Jan i Frans spotykali się w sylwestra, snuli plany na przyszłość i gdzie w 1981 roku wpadli na pomysł zorganizowania porwania. Tak zaczyna się ta książka, historia braterskiej przyjaźni, która miała trwać wiecznie. Teraz, po ponad dwudziestu latach, na ostatnim pożegnaniu nie było nikogo z dawnych braci. Frans Meijer siedział w więzieniu w Paragwaju, Jan Boellaard nie dostał przepustki na uczestniczenie w ceremonii, a Willem Holleeder, który poróżnił się z Corem, trzymał się z daleka. Tylko Hamulec, Martin Erkamps, pojawił się na pogrzebie.

Wbrew oczekiwaniom ceremonia przebiegła w tym ostatnim dniu stycznia 2003 roku całkiem spokojnie. Ze względu na wiele publikacji w mediach przyszło kilkaset osób, choć spodziewano się jeszcze większej liczby uczestników. Być może mróz i śnieg zalegający na ulicach zatrzymały ich w domach. Największy ścisk na cmentarzu i po drodze tworzyli dziennikarze, którzy chcieli sobie zapewnić dobre ujęcia.

W auli krematorium rodzina, przyjaciele i znajomi żegnali Cora van Houta. Na białej trumnie leżały trzy duże wieńce czerwonych róż – od Sonji, Francis i Richiego. Po obu stronach trumny stały dwie duże, płonące świece, a na jej wieku umieszczono zdjęcie Cora, z typowym dla niego uśmiechem. Włosy miał rozczochrane, a kołnierzyk koszuli rozpięty nonszalancko. Wokół leżało całe morze kwiatów, wieńców i wiązanek, głównie w białym kolorze, ze wstęgami. Mowę wygłosiła między innymi Francis, córka Cora,

i niżej podpisany autor tej książki.

Pewien etap, który rozpoczął się dwadzieścia lat wcześniej, kiedy porwano Heinekena, został zamknięty wraz ze śmiercią Cora van Houta w 2003 roku. Wkrótce potem zakończyła się też batalia Fransa Meijera z holenderskim wymiarem sprawiedliwości i jego pobyt w Paragwaju. Prawie osiemnaście lat po ucieczce z sądowej kliniki psychiatrycznej Pieter Baan Centrum i dziewięć lat po tym, jak znalazłem go na przedmieściach Asunción, został pod koniec marca 2003 roku wydany Holandii i umieszczony w zakładzie karnym. Ponieważ procedury trwały bardzo długo, spędził w areszcie tyle czasu, że w Holandii zostały mu do odsiadki tylko dwa lata. Ale sprawiedliwości stało się zadość.

Po jakimś czasie w doniesieniach prasowych pojawiło się nazwisko Willema Holleedera w związku ze sprawą osławionego potentata na rynku nieruchomości Willema Endstry, który w maju 2005 roku został zastrzelony przed swoim biurem. Holleeder często się z nim spotykał w tamtym czasie. Pięćdziesięcioletni Endstra oprócz posiadania legalnych firm i nieruchomości prowadził interesy z organizacjami w świecie przestępczym. W imieniu różnych kryminalistów inwestował pieniądze zarobione na handlu narkotykami, między innymi dla wymienianych wcześniej Kleppera i Mieremeta. Nazywano go „bankierem podziemia”. W trakcie śledztwa okazało się, że Endstra przed zamachem szukał kontaktu z amsterdamskim wydziałem kryminalnym i podczas przejażdżek samochodem (nie odważył się umawiać w miejscu publicznym ze strachu, że jego kontakty z policją mogłyby wyjść na jaw) wyznał, że jest szantażowany przez porywacza Heinekena – Willema Holleedera. Z rozmów „na tylnym siedzeniu” wynikało, że Endstra od lat miał kontakty z Holleederem, chociaż publicznie zawsze się tego wypierał. Spotykał się także z innymi ważnymi postaciami świata przestępczego. Willem Endstra opowiadał, że jego stosunki z Holleederem były początkowo przyjazne, ale z czasem przerodziły się w zwykły szantaż. Podobno w sumie wypłacił Holleederowi kilkadziesiąt milionów euro, często na podstawie sfigowanych faktur lub fałszywych planów biznesowych. Endstra twierdził, że Holleeder trzyma w garści kilkoro innych pośredników nieruchomości i wymusza od nich fortunę

według sprawdzonej recepty: najpierw owijał ofiary dookoła palca, potem zaciskał pętlę i wyciskał z nich, ile się da. Endstra twierdził także, że Holleeder maczał palce w kilku dużych likwidacjach i przekupił paru policjantów, w związku z czym był dobrze poinformowany, co się dzieje w wydziale śledczym policji. Według niego Willem sam mu powiedział, że kazał zlikwidować swojego szwagra i byłego przyjaciela Cora van Houta.

Mimo że Endstra był szantażowany przez Holleedera, nie chciał wnieść żadnego oficjalnego oskarżenia. Biznesmen zgodził się złożyć podpisane oświadczenie tylko w sytuacji, kiedy Holleederowi postawi się zarzuty zlecenia morderstw i „na zawsze zniknie z ulicy”. Kiedy tak się nie stało, Endstra wycofał się ze sprawy. Wkrótce potem został zastrzelony na ulicy. Śledztwo doprowadziło do aresztowania Willema Holleedera. W nocy z 29 na 30 stycznia 2006 roku został zatrzymany na ulicy, po czym oskarżono go o szantażowanie kilku pośredników nieruchomości. Najbardziej poszkodowany był Willem Endstra, od którego wymusił siedemnaście milionów euro. Nie obciążono go morderstwem Endstry, ponieważ nie było na to żadnych dowodów. Aresztowanie Holleedera stanowiło koniec okresu, w którym występował on w prasie częściej niż trener narodowej drużyny piłki nożnej. Porywacz Heinekena był teraz bezsprzecznie określany przez media mianem nowego ojca chrzestnego holenderskiego podziemia, który miał wszystkich w garści i rządził silną, bezwzględną ręką.

Jednym z najbardziej kontrowersyjnych zabójstw, za którym jak mówiono stał Holleeder, był zamach na dawnego przyjaciela Thomasa van der Bijla, w dniu 20 kwietnia 2006 roku, w kawiarni De Hallen w Amsterdamie. Van der Bijl został zastrzelony w momencie, kiedy rano sprzątał salę odkurzaczem. Nos siedział wtedy już kilka miesięcy w ściśle strzeżonym więzieniu, gdzie wszystkie jego rozmowy były podsłuchiwane, a więc miał dobre alibi. To oczywiście nie świadczyło jeszcze o tym, jak rozumowała policja, że nie mógł w jakiś sposób wydać takiego zlecenia, ponieważ w tym okresie Van der Bijl zwrócił się przeciwko niemu.

Przypomnę jeszcze, że Thomas Van der Bijl był kiedyś zaprzyjaźniony z porywaczami Alfreda Heinekena. Pomógł Van Houtowi i Holleederowi zwać do Francji w grudniu 1983 roku, a Fransowi Meijerowi w ucieczce

przez Belgię do Paragwaju. Kiedy Van Hout i Holleeder posprzeczaali się w połowie 1996 roku, pozostał wierny Corowi. Krótko mówiąc, Van der Bijl był dobrze poinformowany o wszystkich ciemnych sprawkach w ostatnich dwudziestu latach.

Podejrzanie potwierdziło się jakiś czas później, w trakcie postępowania sądowego przeciwko Willemowi Holleederowi. W dniu 18 lipca 2006 roku prokurator oznajmił, że ma w swoim posiadaniu pięć oświadczeń, które zostały przekazane funkcjonariuszom policji kryminalnej przez Thomasa Van der Bijla niedługo przed jego śmiercią. W tych zeznaniach Van der Bijl przyznał, że wiedział o wymuszeniach i szantażach Willema Holleedera. Oświadczył także, że Holleeder znęcał się nad nim i mu groził.

Van der Bijl nakreślił obraz swoich relacji z porywaczami, kiedy w latach osiemdziesiątych – po porwaniu Alfreda Heinekena – został zaufanym Cora van Houta i wyświadczył kidnaperom różne przysługi. Były stolarz zdradził w rozmowie z policją, że obawia się o własne życie. „W ciągu ostatnich czterech, pięciu tygodni przychodzili do mnie różni ludzie, którzy twierdzili, że zostaną wkrótce zabity. (...). Jeśli Holleeder lub ktoś z jego grupy dowie się, że z wami rozmawiałem, zastrzelą mnie” – mówił Van der Bijl 12 lutego 2006 roku w rozmowie z funkcjonariuszem z Krajowej Policji Śledczej. Dwa miesiące później rzeczywiście został zamordowany, a jego pięć oświadczeń stało się makabrycznym „dowodem” w sprawie.

Pięćdziesięcioletniego Thomasa van der Bijla pochowano na tym samym cmentarzu co Cora van Houta. Jednym z mężczyzn niosących trumnę był Frans Meijer. Jeż podczas odsiadki i później regularnie utrzymywał kontakty z Van der Bijlem. Podobnie jak Boellaard, który także był obecny na pogrzebie. Otrzymał w tym celu specjalną przepustkę z więzienia, ponieważ odsiedział już większość kary.

Ale wróćmy do Holleedera. Mimo że milczał w czasie procesu, jasne było, że nie przyznaje się do postawionych mu zarzutów. Jakim prawem prokuratura twierdzi, że chodziło o wymuszanie lub groźby? Holleeder odzyskał od bankiera świata przestępczego Endstry zainwestowane pieniądze, których biznesmen nie chciał mu oddać. Czy to Holleeder jest szantażystą, czy raczej Endstra oszustem? Endstra niestety już nie żył i nie

mógł wyjaśnić swoich rozmów z policją, co komplikowało sprawę. Zważywszy na to, iż kilka z twierdzeń Endstry okazało się całkowicie lub częściowo niezgodnych z prawdą, i mówiąc delikatnie, sam nie cieszył się nieskazitelną opinią, powstawało pytanie, czy oskarżenia o szantaż można będzie podtrzymać. Zazwyczaj oskarżony miał prawo do wysłuchania świadka, który złożył obciążające zeznania, ale w tym wypadku nie było to możliwe.

Rozprawy sądowe przeciwko Holleederowi odbywały się przy zastosowaniu najwyższych środków bezpieczeństwa i w specjalnie strzeżonych miejscach. Sąd w Haarlemie przekształcono w twierdzę pilnowaną przez kilkudziesięciu dobrze uzbrojonych ochroniarzy, a głównego podejrzanego przewożono z zawiązanymi oczami policyjnym helikopterem bądź w konwoju samochodów policyjnych na syrenach, z migającymi światłami, podjeżdżających i odjeżdżających z piskiem opon.

Pierwsze otwarte rozprawy rozpoczęły się w 2007 roku i stały się pierwszorzędnym spektaklem medialnym, jakiego w Holandii jeszcze nigdy wcześniej nie widziano. Odbywały się w specjalnym, silnie strzeżonym budynku sądowym w Amsterdamie Osdorp, lepiej znanym pod nazwą „bunkier”. Można powiedzieć, że proces rozpoczął się dosłownie z hukiem, ponieważ w poniedziałek 2 kwietnia 2007 roku, na kilka godzin przed początkiem rozprawy, budynek został ostrzelany z prawdziwej wyrzutni raketowej i mocno uszkodzony. Proces przeniesiono w pośpiechu do budynku sądowego w Amsterdamie Południowym. Powstało oczywiście mnóstwo spekulacji: Komu zależało, żeby nie doszedł do skutku? Czy to sam Nos chciał przeszkodzić w procesie? Czy to inni w ten sposób dawali znak Holleederowi, że ma milczeć, bo tym razem oświadczył, że złoży zeznania? Zamach na „państwo prawa” nigdy nie został wyjaśniony.

Ledwo rozprawa się rozpoczęła, Holleeder zaczął narzekać, że źle się czuje. Prasa i widzowie z trybuny dla publiczności mogli zauważyć, że naprawdę wygląda na chorego. Siedział apatyczny z głową wtuloną w ramiona, ziewał, przecierał oczy, ledwo słuchając tego, co się mówi w sądzie. Adwokat wszczął alarm i poprosił o lekarza, który stwierdził poważną chorobę serca, wymagającą natychmiastowej operacji.

Przewieziono go do szpitala akademickiego, gdzie wykonano trudny zabieg. „Proces stulecia” wstrzymano na trzy miesiące, aby dać oskarżonemu czas na rehabilitację. Mimo powagi sytuacji Holleeder żartował: „W każdym razie w ten sposób udowodniono, że mam serce”.

Po trzymiesięcznej przerwie proces toczył się dalej. Nos twierdził dawniej, że nigdy nie złoży żadnego oświadczenia ani nie będzie zeznawał przed policją czy w prokuraturze – na przykład w sprawie o porwanie Alfreda Heinekena – ale tym razem mówił bez przerwy. Prasa miała uciechę. Jego amsterdamski dialekt pomieszany z żargonem kryminalisty był zabawny i dowcipny, a Holleeder nie miał oporów przed wyjaśnianiem sądowi i prokuraturze, jak działał świat przestępczy. Widocznie rozprawy sądowe były dla niego miłym urozmaiceniem codziennej rutyny życia w zakładzie karnym. Obecni na sali co chwilę wybuchali śmiechem, kiedy Nos opowiadał kolejne dowcipy. Jednak nie przyznał się do zarzucanych mu czynów.

Po ponadpółrocznym procesie prokurator przedstawił w końcu akt oskarżenia w połowie listopada 2007 roku i zażądał dla Holleedera dwunastu lat więzienia. Sąd orzekł wyrok tuż przed świętami Bożego Narodzenia, Nos otrzymał karę dziewięciu lat pozbawienia wolności.

Podczas odsiadki jego nazwisko pojawiała się w prasie niemal codziennie. Łączono je z kilkoma niewyjaśnionymi zabójstwami w świecie podziemnym i innymi przestępstwami. Na pół roku przed zakończeniem odbywania kary rozpoczęły się spekulacje, co będzie robił dalej i gdzie zamieszka. Holleeder wyszedł z więzienia wcześniej, mianowicie pod koniec stycznia 2012 roku. Od tego momentu można go było zobaczyć codziennie w Amsterdamie. Nie miał stałego miejsca zamieszkania, tak czuł się bezpieczniej. Był pewien, że czyha na niego wielu dawnych wrogów.

I tak doszliśmy do roku 2015, minęło ponad trzydzieści lat od uprowadzenia, a nazwiska porywaczy nadal pojawiają się w doniesieniach prasowych. Tyle się wydarzyło w ciągu tego czasu. Jan Boellaard ma już ponad sześćdziesiąt lat, a Holleeder i Meijer po pięćdziesiąt kilka. Martin Erkamps, Hamulczyk, kiedyś beniaminek gangu, w 1983 roku za młody, żeby

w pełni wziąć udział w porwaniu, skończył w kwietniu 2013 roku pięćdziesiąt lat. Czterech z pięciu młodych mężczyzn, którzy porwali Alfreda Heinekena w 1983 roku, jest teraz siwiejącymi panami w średnim wieku. Piąty, Cor van Hout, nie żyje, nie dożył nawet pięćdziesiątki, co by go pewnie najmniej zdziwiło, bo na kartce z życzeniami dla Jana Boellaarda z okazji jego pięćdziesiątych urodzin napisał: „Który przestępca dożywa teraz twojego wieku?!”. Zmarł Alfred Heineken. Ab Doderer zaś, który zawsze unikał mediów, jest sędziwym staruszkim. Thomas van der Bijl nie żyje. Czas podzielił tak niegdyś zżytą grupę przyjaciół, ale śmierć niektórych znowu połączyła – groby Cora van Houta i Thomasa van der Bijla leżą w odległości niecałych stu metrów od siebie.

A ja sam... miałem 27 lat, kiedy porwano Heinekena, byłem młodym reporterem zajmującym się sprawami kryminalnymi w „De Telegraaf”, o bezgranicznej ambicji, umierającym z ciekawości, jakie fakty i wydarzenia kryły się za tą sprawą. Wydarzenia, jakie rozegrały się wtedy i później, były ważnym krokiem w mojej karierze i do dzisiaj są nicią przewodnią mojego życia. Poznałem osobiście prawie wszystkich, którzy byli zaangażowani w tę sprawę i byłem świadkiem jej wpływu na ich życie: jak je zmieniła, jak stymulowała, reżyserowała, zrujnowała i także, jak doprowadziła do śmierci. Dosłownie i w przenośni.

O tym, że „porwanie stulecia” żyje nawet po trzydziestu latach, świadczy fakt, iż nakręcono już dwa filmy na ten temat. Jeden holenderski, z Rutgerem Hauerem w roli Alfreda Heinekena, który przyciągnął do kina bardzo wielu widzów. Dużą ich część stanowiło młode pokolenie, które nie pamiętało nawet samego porwania. W 2011 roku sprzedałem prawa do sfilmowania tej książki producentowi hollywoodzkiemu, firmie Informant Media. W 2015 roku odbyła się światowa premiera filmu *Kidnapping Mr Heineken*, z supergwiazdą Anthonym Hopkinsem w roli Heinekena. Cora van Houta gra Jim Sturgess, a Willema Holleedera Sam Worthington.

Na koniec tej zwięzłej próby wyjaśnienia dalszych losów głównych bohaterów książki pozostaje ważne pytanie, czy jest szansa na rozwiązanie zagadki trzeciego, i w efekcie ostatniego zamachu na Cora van Houta na Stationsstraat w Amstelveen w styczniu 2003 roku? Sprawa pierwszego

i drugiego trafiła do sądu, ale nie doprowadziła do znalezienia winnych, mimo że podejrzani byli dosłownie w zasięgu ręki, a policja i prokuratura bardzo starały się ją rozwiązać. I podobnie jak w pierwszych dwóch wypadkach była blisko znalezienia sprawców, ale zabrakło wystarczających dowodów. Policja jest przekonana, że gwałtowna śmierć Cora van Houta stanowi część całej serii zamachów i porachunków w świecie przestępczym, ciągnącej się od 1996 roku i prawie na pewno chodzi o tych samych sprawców, o ile po drodze część z nich nie została zamordowana.

W roku 2014 prokuratura zawarła umowę ze świadkiem koronnym. Był zamieszany w zabójstwo Thomasa van der Bijla i skazany początkowo na trzydzieści lat więzienia. Po wyroku zaczął rozmawiać z policją. W zamian obiecano mu zmniejszenie kary o połowę. W swoich zeznaniach oświadcza, że (współ)zleceniodawcą różnych likwidacji był Willem Holleeder, w tym tych dotyczących Thomasa van der Bijla i Cora van Houta.

W grudniu 2014 roku Willem Holleeder został ponownie aresztowany i w tej chwili prowadzone jest dochodzenie w sprawie jego domniemanego udziału w wymienionych wyżej zabójstwach. Nie wiadomo, czy doprowadzi ono do wniesienia aktu oskarżenia do sądu. Świadek koronny nigdy nie rozmawiał osobiście z Holleederem ani nie otrzymał od niego bezpośrednio żadnego zlecenia i opiera swoje zeznania na tym, co usłyszał od innych, którzy mieli z nim kontakt. Jeśli zarzuty zostaną udowodnione, Holleederowi grozi wyrok dożywocia. Dla dzieci Cora van Houta taki scenariusz jest koszmarem: znaczyłoby to, że wujek, brat matki, kazał zamordować ich ojca...

W chwili publikacji obecnej wersji książki mija dwanaście lat od śmierci Cora van Houta. Historia uczy, że rozwiązanie tej zagadki jest cały czas możliwe. Dla mnie to jasne, że poniższy epilog nie jest końcem całej sprawy chociażby dlatego, że nazwiska kidnaperów na pewno pojawią się znowu w doniesieniach prasowych.

Peter R. de Vries

Podziękowania

W celu napisania niniejszej książki autor przeprowadzał w 1986 roku, w okresie czterech tygodni, wywiady z porywaczami Corem van Houtem i Willemem Holleederem, podczas ich „aresztu hotelowego” we francuskiej miejscowości Evry, gdzie czekali na ekstradycję do Holandii.

Głównym tematem tych rozmów i wywiadów były oficjalne dokumenty śledczych z Amsterdamu, wykorzystywane w sprawie o porwanie. Autor opierał się na dokumentach policji liczących razem kilka tysięcy stron, zawierających zarówno rozmaite fakty, jak i kulisy sprawy, co pozwoliło na zweryfikowanie i uzupełnienie zeznań Van Houta i Holleedera o brakujące detale i zdarzenia, przy których oni sami nie byli obecni.

W czasie porwania i po nim autor miał okazję rozmawiać wielokrotnie z osobami prowadzącymi śledztwo w tej sprawie i kierującymi negocjacjami z porywaczami. Należeli do nich: nadinspektor policji K. Sietsma, który był kierownikiem zespołu operacyjnego śledczych, komisarz H. Terhaar, nadinspektor G. van Beek i komisarz T.J. Platenkamp (wówczas zastępca szefa Centralnego Biura Śledczego w Hadze, ale w czasie porwania oddelegowany do policji w Amsterdamie).

Poza tym przy szukaniu materiałów i badaniu tej sprawy autor korzystał z pomocy:

Pana Maxa Moszkowicza, adwokata Cora van Houta i Fransa Meijera;

Pana Ipo de Vosa, adwokata Willema Holleedera;

Pana Vincenta Kraala, adwokata Jana Boellaarda.

Autor tej książki był świadkiem wielu opisywanych tutaj wydarzeń. Był obecny na wszystkich rozprawach sądowych i przy wszystkich procedurach. Udało mu się również, jako jedynemu dziennikarzowi, śledzić porywaczy podczas ich egzotycznej wyprawy w lutym 1986 roku na Karaiby.

W czasie odsiadania kary przez Van Houta, Holleedera i Boellaarda w kraju i za granicą pisarz prowadził z nimi korespondencję i odwiedzał ich w zakładach karnych przynajmniej raz w miesiącu. Przeprowadził również rozmowy z rodzicami, partnerami, rodziną i przyjaciółmi porywaczy, co pozwoliło mu lepiej zrozumieć ich osobowość.

Na koniec należy wspomnieć, że przy pisaniu tej książki autor korzystał z artykułów z gazet krajowych i zagranicznych, czasopism i agencji prasowych, między innymi: „De Telegraaf”, „Het Parool”, „Algemeen Dagblad”, „de Volkskrant”, „nrc Handelsblad”, „anp”, „Panorama”, „Elsevier”, „Nieuwe Revu”, „Vrij Nederland”, „Time”, „Le Monde”, „France Soir”, „Libération”, afp, „Notre Vie”, „France-Antilles”, „Le quotidien d’information de la Guadeloupe”.

Peter R. de Vries

Adres korespondencyjny:

Postbus 5182

1410 AD Naarden